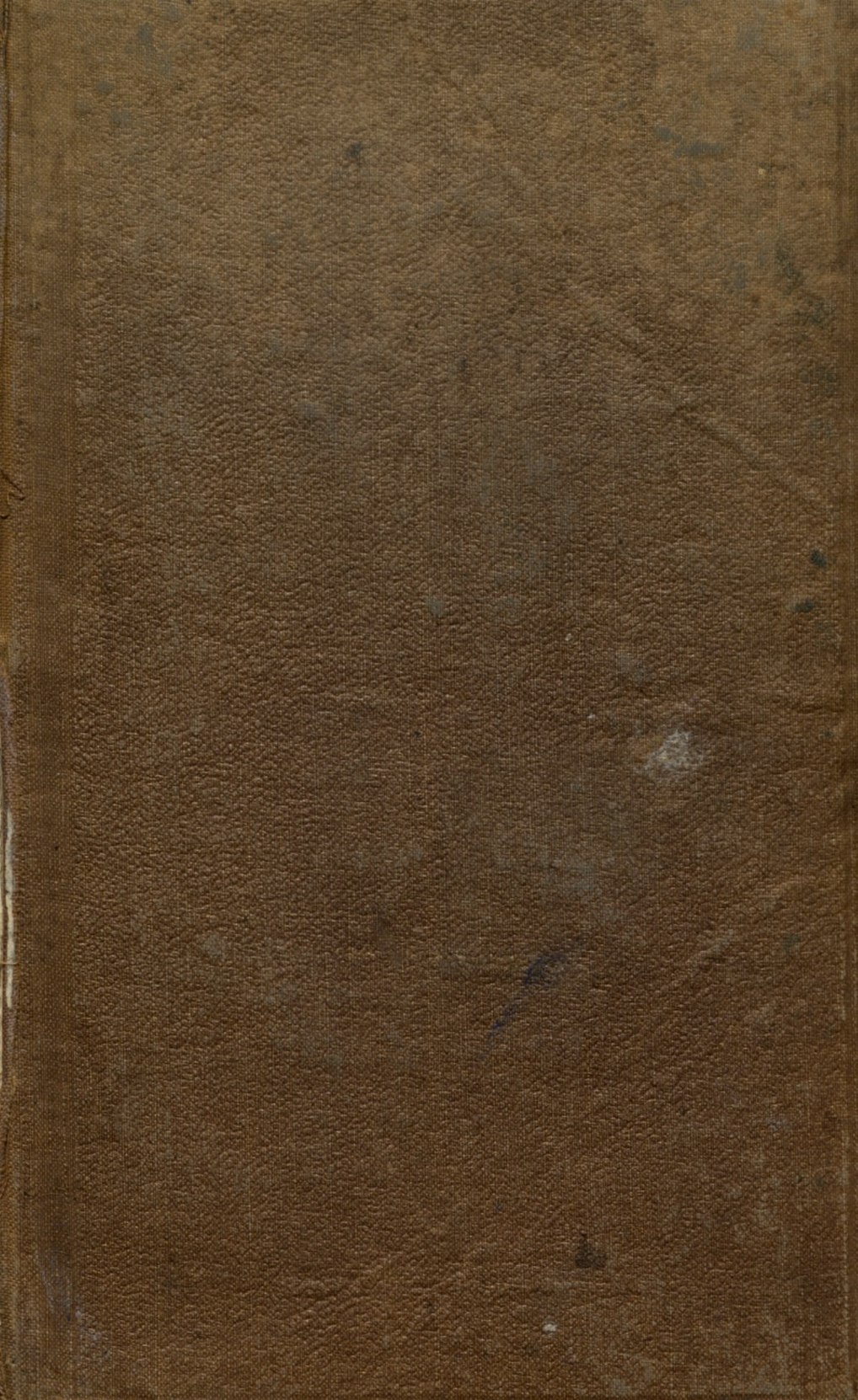




2900502

50 W. C. Moore 50

W.C.

Matyordineus 11/11/11

Matyordineus

WYPISY
Z PISARZÓW POLSKICH.

M. Starycki

WYPISY Z PISARZÓW POLSKICH,

ZAWIERAJĄCE PO WIĘKSZEJ CZĘŚCI PRZEDMIOTY REALNE,

UŁOŻYŁ

MAKSYMILIAN ŁYSZKOWSKI

DYREKTOR GIMN. REAL. WARSZ.

CZEŚĆ III.

POSTANOWIENIEM

JW. MINISTRA OŚWIECENIA

polecona do użytku uczniów klasy III^{ci} i IV^{ci} wszystkich szkół
rządowych i zakładów naukowych w Królestwie.



WARSZAWA.

Nakładem HENRYKA NATANSONA.

1856.

WYPISY

Z PISARZÓW POLSKICH



26.203

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 7/19 Kwietnia 1856 roku.

Starszy Cenzor,

F. Sobieszczański.

UP - Kraków BG



1050222580



Egzemplarzy nie opatrzonych podpisem moim, prawnie poszukiwać będę.

[Handwritten signature]

W Drukarni Gazety Codziennej.

I. RELIGIA I MORALNOŚĆ.

WYJĄTKI Z PISMA ŚWIĘTEGO.

1. Stworzenie świata.

Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię. A ziemia była pusta i próżna, i ciemności były nad głębokością. I Bóg rzekł: niech się stanie światłość, i stała się światłość. I ujrzał Bóg, że światłość była dobra i przedzielił światłość od ciemności. I nazwał światłość dniem, a ciemność nocą. I stał się wieczór i ranek, i to był dzień pierwszy.

I rzekł Bóg: niech się stanie utwierdzenie między wodami, a niech przedzieli wody od wód. I uczynił Bóg utwierdzenie i przedzielił wody, które były nad utwierdzeniem od tych, które były pod utwierdzeniem. I stało się tak. I piękne niebo rozciągnęło się obłoczysto nad ziemią, chmury krążyły w wysokich krainach, a powietrze rozpostarło się między niebem i ziemią. I był znowu wieczór i ranek, i to był dzień wtóry. Potem rzekł Bóg: niech się zbiorą wody, które są pod niebem, na jedno miejsce, i niech się suchy żywioł ukaze. I stało się tak. I suchy żywioł nazwał Bóg ziemią, a zebranie się wód nazwał morzem. I rzekł: niech ziemia zrodzi ziele zielone i dające nasienie, i niech zrodzi drzewa rodzajne. I stało się tak. I ziemia rozzieleniła się ziołami i kwiatem, liściem i owocem. Tak nadszedł poranek i to był dzień trzeci.

I rzekł Bóg: niech się staną światła na utwierdzeniu nieba, a niech dzień od nocy oddzieli i niech będą znakami dni i roków. I stało się tak. Wtedy rozświeciły się mgliste krainy, słońce okazało się w blasku na nieba przestrzeni i zapuściło promienie swoje ku ziemi milcząc; a gdy świecić przestało, wystąpiły na jego miejsce księżyc i gwiazdy. I widział Bóg, że wszystko było dobre. Tak nadszedł wieczór, tak nadszedł ranek, i to był dzień czwarty.

Ale nie było jeszcze żywego stworzenia, coby się tém piękném światłem rozradowało. I rzekł Bóg: niech wody wydadzą żyjące istoty, a niech się ptastwo nad ziemią pod utwierdzeniem unosi. I stworzył Bóg ogromne wieloryby, i wszystkie twory pływające po wodzie i ptastwo, które powietrze na skrzydłach przebiega. I widział Bóg, że to było dobre. Tak nadszedł wieczór, tak nadszedł zaranek, i to był dzień piąty. Rzekł téż Bóg: niech zrodzi ziemia duszę żyjącą, według rodzaju swego, bydło, ptaz i dzikie zwierza według rodzajów ich. I stało się tak, i widział Bóg, że było dobre.

Tak wszelkiéj wielkości ryby po wodach igrać zaczęły; ptaki bujały po nadziemskich przestrzeniach, albo zwieszając się na gałązkach z radości śpiewały. Dzikie zwierza wystąpiły na ziemię. Wszędzie na górach i dolinach wesoły ruch zwiastował życie.

Widzimy ztąd, że Bóg, Stwórca nieba i ziemi, jest wszechmocny: co chce, to czyni; mówi, a wszystko go słucha. Dobrym jest, bo na świat tyle dobrodziejstw, przyjemności i ozdób wylał: od słońca aż do ziarenka piasku, wszystko jest darem hojności Jego. Mądrym jest nieskończenie, bo układ najmniejszego kwiatka przechodzi pojęcie ludzkie. Niebo i ziemia zapowiada Jego dobroć, mądrość i wszechmocność. Widok pięknego obrazu świadczy nam o zdolności mistrza, choćby go oko nasze nie widziało; widok nieba i ziemi zwiastuje nam Boga, tyle czci i miłości godnego. Niebo i ziemia świadectwem są wszechmocy, dobroci i mądrości Boga. Badajmy dzieła Jego z świętém zajęciem, a w tych Go znajdziemy uradowani, i błogą miłością ku Niemu rozgorejemy.

Checiał Bóg żywić w nas wdzięczność przez pamięć na dni tworzenia i cieszyć nas rozważaniem dzieł swoich.

Ustanowił więc ku temu dzień osobny w tygodniu. W sześciu dniach stworzył niebo i ziemię, w siódmym tworzyć zaprzestał. A tak uczy nas własnym przykładem, że i my sześć dni pracować mamy, siódmy zaś, u nas Niedzielę, poświęcać winniśmy czci Boga i radowaniu się w dziełach Jego.

Ale nietylko w Niedzielę rozpamiętywać mamy dobrodziejstwa stworzenia: każdy dzień przypomina nam obraz rozwijającego się świata, gdy słońce promieniste rano powstaje. Zrazu wszystko jest zanurzone w ciemności, zwolna rozprasza się pomrok, i rozróżnić możemy stopniowo niebo i ziemię, wody i pola, murawy i kwiaty, rośliny i drzewa; nakoniec słońce wschodzi, ryby igrają w swoim żywiole, ptaki śpiewają na gałązkach zwieszane, zwierzęta budzą się ze snu, a dzikie w swoje nory się kryją: wtedy wychodzi człowiek i zaczyna swe prace. Piękny poranek w dzień wiosenny lub letni daje nam obraz stworzenia świata. Skoro Wszechmocny ziemię skarbami obsypał, skoro jój dał błogosławieństwo, które po wszystkie wieki trwać ma, rzekł: Stwórzmy człowieka na obraz i podobieństwo nasze. Utworzył tedy Pan Bóg człowieka z mułu ziemi, i natchnął w oblicze jego dech żywota, i stał się człowiek duszą żyjącą. I dał mu imię Adam, co znaczy z ziemi wzięty, aby człowiek zawsze swój początek pamiętał.

Adam wyszedłszy z rąk Twórcy, z niewinném uwesele niem rozpatrywał się w pięknościach nieba i ziemi. Bóg wywiódł przeciw niemu wszystkie zwierzęta i Adam wszystkim nadał nazwiska. Cieszył się widząc koło siebie żyjące stworzenia, ale tęskno mu było, że nie mógł z niemi rozmawiać. Pieścił się z niemi, ale żadne go nie rozumiało; wszystkie uważał, ale żadnego towarzyszem mieć nie mógł. I on jeden zasmucił się pośród tylu stworzeń cieszących się młodocianém weselem. Wtedy Bóg zesał na niego sen głęboki, i wyjął z boku jego żebro, z którego Ewę utworzył, i przywiódł ją przed obudzonego Adama. I uczuł Adam radość nieznana dotąd sercu swojemu: widział bowiem podobną sobie, mógł do niej mówić, i ona odpowiadała.

Tak człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo Boga, nad wszelkie zwierzęta nieskończenie wyższy. Wdzieliśmy, że Bóg tworząc zwierzęta, rzekł: Niech zrodzi ziemia duszę żyjącą, według rodzaju swego, bydło, ptaz i dzikie zwierzęta; ale że człowieka utworzył z mułu ziemi, ale że sam natchnął w oblicze jego dech żywota: stał się człowiek duszą żyjącą. Ciało więc jego należy ziemi, ale

duśa od Boga pochodzi. Ta duśa zdolną jest poznawać dobre, kochać i czynić: ona jest zwierciadłem, odbijającem mądrość Boga, Jego dobroć i potęgę, tak jako kropla rosy odbija słońce.

Jakżebyśmy nie mieli czcić w sobie obrazu Boga? Jakżebyśmy mieli poniżać się ośpałością duszy, gniewem, zazdrością, lenistwem i stawać się podobnymi zwierzętom? Jakże zapomnieć mamy, że ciało nasze z prochu ziemi do-cześnie złożone; jakże możemy zajmować się dumą, chciwością, zemstą i nienawiścią, kiedy wszystko ziemskie tak jest przemienne, kiedy właśnie ludzie znikomi z prochu złożeni, winni sobie miłość i pomoc wzajemną?

Doskonalić w sobie miłość wszystkiego, co dobre, zaprawiać się w rozum, litość, uczynność i świętobliwość: to jest, co nas do Boga, źródła naszego unosi, gdy wszystkie podłe, bezrozumne, złe żądze, do rzędu zwierząt nas poniżają.

Dlatego właśnie, że dusze nasze zarówno od Boga biorą początek, żeśmy docześnie znikomi i słabi, winniśmy w każdym bliźnim szanować Boga, i jeden drugiego wspierać w niemocy i przygodach naszych. Pogardzać bliźnim, choćby najuboższym, jest to znieważać obraz Boga lub raczej Boga samego. Gdyby dziecię rozważnie obraz ojca swego deptało, czyżby mogło szanować dawcę dni swoich.

2. Człowiek skazany na pracę.

Jeśli ukaranie pierwszego grzechu okazuje nam sprawiedliwość Boga, który złe ściga: widzimy oraz i miłosierdzie Jego. Nie dość, iż upadłemu człowiekowi obiecał Zbawiciela, który go z nędzy grzechu wyzwolić miał; ale chciał, aby i kara sama nowem dobrodziejstwem się stała. Rozbierzmy te kary, naznaczone nam przez sprawiedliwość boską w rodzicach naszych, a pod gorzką pokrywą zobaczymy owoc zbawienny, a z niektórych względów nawet i słodki.

Widzimy wyrok skazujący rodziców naszych na wygnanie z raj, aby obszerną ziemię posiedli. Trzeba im było

obszerniejszego pobytu, gdzieby rozwinęli swe siły, i szranków, gdzieby zwalczać mogli nowe swoje skłonności. Trudy i praca są pomocnikami cnoty; to wszyscy mędracy uznają, równie jak to, że dary i uciechy życia wtedy są tylko prawdziwe, gdy je okupimy przez trudy, gdy na nie zasłużymy przez pracę.

W stanie ukorzenia swojego ledwo zdolni jesteśmy do uciech, którychby brak jaki nie poprzedzał lub od których dalekie byłyby przykrości: słowem, nie masz uciech bez trosk. Orzeźwienie, jakie nam daje sen, pokarm i napój, trudem, głodem i pragnieniem okupić trzeba. Naukę z trudnością tylko nabywać można. Cnoty przez walkę tylko dostępujemy, a nawet jej istota zależy na ciągłej walce i wyparciu się samego siebie. Praca, trudy i poświęcenia są stopniami do cnoty. Jeżeli chcemy, aby to życie, które chleb utrzymuje, było poświęceniem się cnotie: trzeba nam ten chleb w pocie czoła pożywać.

Święta religia nasza najprzód nam zapowiada, że królestwa Bożego tylko przez mnóstwo cierpień dostąpić można. Ona uczy, iż dla miłości Boga, która naszą miłość uprzedziła, z pokorną wdzięcznością przyjmować należy wszelkie cierpienia, jakie nam zsyła. Bo te cierpienia nasze nie tylko nas oczyszczają, ale uczą nas cierpliwości, dają sposobność dowiedzenia miłości Boga, a złe, które czas rączy z sobą unosi, w źródło trwałych i wiecznych pociech zmieniają.

Siejący we łzach, w radości odbędą żniwa; jeżeli ze łzami muszą porzucać ziemi często ostatnie ziarno, później z okrzykiem radości do pełnych snopów się rzuca. Szczególniej też praca, którą Przedwieczny pierwszemu człowiekowi naznaczył, przez wszystkie mędrce, za najsłabszą uważaną była. Od niepamiętnych lat pan najstarszego i największego królestwa ziemi, cesarz chiński, nim wstąpi na tron, ma sobie za zaszczyt orać w oczach swych ludów. Najrozumniejsi obywatele rzymscy kwitnieniu rolnictwa świetność państwa swojego przypisywali; a upadek tej zacnej sztuki był upadkiem Rzymu. Jeżeli z pracy, ręk swoich żyć mamy, nie masz pewniejszego

utrzymania życia nad rolę, a nadto nie masz zatrudnienia, któreby więcej sprzyjało moralności, rozwijało uczucia i rozsądek, a oraz któreby więcej wznosiło serce ku Dawcy wszystkiego. Obok trudów nieoddzielnych od ziemian, ileż prawdziwych rozkoszy! Rok toczy się kołem pór swoich w przepisany porządku, niebo i ziemia się łączą, siejąc obfitość na łono pracowitości; oracza nie kołyszają świetne choć zwodne nadzieje, lecz za to potrzeby jego są umiarkowane i łatwe do nasycenia.

Natura nie zna brudnego skąpstwa, z jakim człowiek wydziała zapłatę sługom: ona hojnie trudy nasze opłaca. Nie na tém przestaje, aby nam dostarczyła pierwszych potrzeb do życia: chleba i wody, ale z obfitością najrozmaitsze dary rozsiewa. Rolnik, pasterz, myśliwy i rybak znajdują w niej matkę, troskliwie dla nich pokarm obmyślającą.

Bóg przywiązał przyjemności do pracy. Nie przestał na tém, abyśmy stół swój pracą rąk swoich zastawiać mogli; ale nadto z obfitego rogu rozsiewa dla nas owoce: pszczołom rozkazał, aby soki najśodsze z drzew i kwiatów pełnych dla nas zbierały; dał nam mleko żywiące i wino, które serce ludzkie raduje. Zboże, główny pokarm człowieka, wszędzie pomyślnie wschodzi, niektóre tylko miejsca wyjąwszy, gdzie drzewo chlebowe, pewne pożywne korzonki, brzegi rybnym morzem oblانة, albo gdzie samo morze w odnogi się wciskające, różną żywność podaje. Dlatego zboże mało bardzo ulega wpływowi klimatu. Zboże więc jedno zawiera w sobie dwie przeciwne własności: najprzód upowszechnione wszędzie, nie jest żadnemu krajowi wyłącznie właściwe; powtóre, potrzebuje zawsze starannej ręki człowieka, lubo do hodowania prawie jest najłatwiejsze. Ta podwójna własność odpowiada cudownie dwojakemu zamiarowi, jaki sobie Twórca wyraźnie zamierzył. Uczynił zboże powszechnym dla zaspokojenia fizycznych potrzeb człowieka, a czyniąc rozmnożenie jego od ciągłej pracy ludzi zawistym, uczynił zadość ich potrzebom moralnym, bo trzeba, ażeby człowiek chleb swój w pocie czoła pożywał. Tak praca jest razem przeznaczeniem i szczęściem człowieka.

3. Ofiara Abła.

Adam i Ewa mieli dwóch synów: starszy zwał się Kain, a młodszy Abel. Kain silniejszy był rolnikiem; Abel zaś słabszego zdrowia był pasterzem. Ziemia uprawna chlebem ich żywiła; a trzody dostarczały im wełny na odzież. Bóg błogosławił pełnym pracom Kaina i troskom Abła około trzody. Kain przeto ofiarował Bogu płody ziemi, a Abel jagnięta z trzody wybrane.

Nie dość jest pracować, trzeba żeby Bóg wspierał nas w trudach, bo od niego są zboża i trzody. Za każdą pracę pomyślnie zrobioną, wnosimy wdzięczne serce do Boga. Bóg przyjął mile ofiarę Abła, ale od Kaina i od jego ofiary odwrócił oczy.

Obaj przecież zarówno ofiarowali, każdy dał, co miał. Ale Bóg patrzy nie tylko zewnątrz, lecz jeszcze więcej wgląda w serce człowieka. Abel pobożny i wdzięczny cenił Boga jako syn ojca, ale Kain był tylko powierzchownie naбоżnym, a to jest obłuda obrzydła Bogu.

4. Noe składa ofiarę dziękczynną.

Sto i pięćdziesiąt dni panowała woda na ziemi. Wtedy spomniał Bóg na Noego i na wszystkie stworzenia w korabiu, i ciepłym wiatrem ziemię owionął. I zawarły się źródła, przepaści i upusty niebieskie, i powódź opadła. Korab zatrzymał się na górze Armeńskiej, której wierzchołek zwolna nad wody się wyniósł.

Noe otworzył okno, ale wkoło nie jeszcze nie dojrzał, prócz wody. Wypuścił przeto kruka, aby poznał, czy dalej wody opadły; ale kruk nie powrócił.

Potem wypuścił gołębicę, ale ta nie mając gdzie spocząć, latała ciągle około korabia. Noe litośny nawet dla zwierząt, wyciągnął rękę i ptaka do korabia wrócił. Siódmego dnia później puścił gołębicę powtórnie: ta przylatowała aż wieczór, niosąc w dziobie gałązkę oliwną z liściem zielonym. Jakaż była radość wszystkich na widok

tego godła nadziei! Wtedy poznał Noe, że wody znacznie opadły.

Siódmego dnia potem jeszcze puścił gołębicę, ale teraz już nie wróciła, i Noe przekonał się, że ziemia już oschła.

Rzekł tedy Bóg do Noego: Wyjdź z korabia, ty i żona twoja, synowie twoi i żony ich z tobą. Wypuść oraz wszelkie stworzenia, zwierzęta, bydło, ptaki i płazy.

Bóg nieubłagany dla niepoprawnych, pełen jest dobroci dla dobrych. Pobożny i Bogu ufający niech nie drży, choćby się ziemia rozpadała: Bóg jego będzie ramieniem.

Patryarcha, jak zawsze, tak i teraz z radością rozkaz Pana wypełnił, i wyszedł z korabia z rodziną swoją. I wyprowadził wszystkie pary zwierząt, bydła, ptastwa i płazów.

Cóż się nie działo w sercu Noego, gdy patrząc wokoło, widział ziemię tak niegdyś kwitnącą i zaludnioną a teraz w głuchej samotności milczącą i pustą!

I zbudował Noe ołtarz Panu i ofiarował całopalenie, a dym ofiary aż pod niebo się wznosił. Ale czystsza i gorętsza jeszcze miłością gorzał sam wdzięczny Noe ku Panu, który taką ofiarę przyjął uradowany.

A w tej uroczystej chwili, między zniszczeniem dawnego i nadzieją nowego świata, rzekł Pan do Noego, już odtąd samą tylko ojcowską miłością przejęty: Oto czynię przymierze z tobą i z wszystkimi ludźmi, którzy będą po tobie! Po wszystkie dni ziemi, siew i żniwo, zimno i ciepło, lato i zima, noc i dzień nie ustaną, i żaden nie będzie już potop ziemię zalewający. I oto położę łuk mój na obłokach (tęczę), a ten będzie znakiem przymierza między mną a ziemią.

A teraz wyjdźcie na ziemię swoją; a wszystko, co jest na ziemi, wam daję na pokarm. Napełnijcie ziemię i miłujcie się wzajem. Kładę łuk na obłokach, i wspominać będę na przymierze z tobą i ze wszelką duszą żyjącą.

Ileć pośród chmur czarnych ujrzymy błyszczącą tęczę na niebie, wspomnijmy na to urozyste zdarzenie i pamiętajmy, że Bóg karzący, pełny jest oraz dobroci dla prawdziwych swych synów. Ten łuk siedmiobarwny, po ulewach i smutku oko ludzkie cieszący, jest razem pamiętką potopu i wiecznej nadal łaski Stwórcy naszego.

5 Manna na puszczy.

Synowie Izraela przeszli morze Czerwone i w puszczy obozem stanęli. Była to pustynia niezmierna, głucha i okropna. Ani pola uprawnego, ani chaty, ani człowieka nie było w niej widać. Ledwo nie wszyscy mniemali, że z głodu poginą.

Bóg czynił dotąd dla nich cuda nadzwyczajne. Izraelici przecież sarkali, oskarżając Mojżesza i Aarona, i mówili: obyśmy byli pomarli z ręki Pańskiej w ziemi egipskiej. Tam siedzieliśmy nad misami pełnymi mięsa i jedliśmy chleb do sytości. Czemuście nas wywiedli na te pustynie, aby tak wielkie mnóstwo ludu głodem pomarło!

Tak lud zmysłowy wyrzeka zawsze na przykrój drodze zbawienia; taką wdzięczność zyskają jego dobrem zajęci.

Bóg chciał im przecież dać jeszcze niesłychany dowód Swój miłości i rzekł do Mojżesza: oto ja spuszcze wam chleb z nieba. Niechaj lud wychodzi przed namioty, a zbiera tyle, aby dość było na każdy dzień, a doświadczycie, iż jestem wasz Pan i Bóg.

Mojżesz i Aaron słusznie czynili ludowi wyrzuty, mówiąc: któż my jesteśmy, abyście sarkali przeciwko nam; nie przeciw nam sarkacie, ale przeciwko Panu: mimo to jutro rano nową łaskę nieba ujrzycie.

Nazajutrz rano cała ziemia błyszczała rosą; potem rosa opadła, a ziemia pustyni stała się białą jak śnieg, i jakby szronem okrytą: byłyto białe okrągłe ziarenka. Skoro synowie Izraela ten dar nieba postrzegli: cóż to jest? wołali zdziwieni. Jestto chleb, rzekł Mojżesz, który Pan wam zsyła, niech każdy zbiera go tyle, ile mu potrzeba do jedzenia. Zaczęto więc zbierać ten pokarm i nazbierali go jedni mniej a drudzy więcej nad tę miarę, którą Mojżesz przepisał. Lecz, gdy go potem w namiotach mierzono, pokazało się, iż ani ten, który go więcej nazbierał, więcej miał; ani ten, który mniej wziął, mniej znalazł, lecz każdy według tego, co mógł pożyć, nazbierał. Było cud, którym Bóg chciał powściągnąć Izraelitów łakomstwo i nau-

czyć każdego człowieka, aby na potrzebnych rzeczach do życia przestawał, a za zbytecznymi chcieć się nie ubiegał. Bóg żywił Izraelitów tym chlebem nazwanym manną, dopóki byli na puszczy, to jest przez lat czterdzieści.

Bóg, który codziennie spuszczał mannę dla ludu Izraelskiego, nie z mniejszym cudem chleb dla nas z ziemi wywodzi; do czego żąda współpracownictwa człowieka, i tę pracę wskazał mu najprzód jako najszlachetniejszą. Szanujmy więc prace rolnicze i rolników. Bez zboża ziemia byłaby pustynią; bez niego głupieją mędrcy, pyszne miasta i wioski wesołe w pustynie się zamieniają. Ten dar nieprzeplacony przypomina szczególnież związek pracy z Bożem błogosławieństwem; i serce człowieka w ciągłej niech utrzymuje wdzięczności.

6. Moralność Ewangeliczna.

przez

Jana Śniadeckiego.

Religia chrześcijańska, cała zajęta dobrem i niedolą człowieka, wystawia mu wielkie jego przeznaczenie, prowadzi do cnoty, cierpliwości i zasługi, zasadza pobożność na ustudze nieszczęściu i na najtkliwszych obowiązkach ludzkości; urządza spokojność duszy, każe urazy darować, niesie radę w pomyślności, a pociechę w dolegliwościach; krzepi upadającego nadzieją, i nie dopuszcza rozpacz; na powściągnięcie ambicji i chciwości ostrzega o krótkości życia, i radzi nie łudzić się znikomością rzeczy ludzkich. W tej nauce Prawdy, Pokoju i Pocieszenia zawarte jeszcze jest prawdziwe zbawienie na ziemi rodu ludzkiego, skojarzonego w związek towarzyski. Ewangelia obok miłości Boga nakazuje miłość bliźniego; wszędzie się w języku prostym rozwodzi nad niedolą i cierpieniem współ-ludzi, żeby zatrudnić czułość naszą, zmiekczyć ją widokiem nędzy i nieszczęścia, i zaszczerpić słodkie poruszenia ludzkości. W tej religii Bóg zawiera z człowiekiem przymierze dla ratunku, ulgi i pociechy nieszczęśliwych; jestto ludzkość nakazana imieniem nieba; a niedola potrzebnych i cier-

piących przytulona pod jej opiekę, dla zapewnienia spokojności cywilizowanemu towarzystwu. Nie dziw więc, że ta religia wytrzymawszy srogie prześladowanie, w pierwszych zaraz wiekach zatamowała rozboje, mordy i pożogi waleczego się państwa rzymskiego; nie dziw, że zbawiła Europę od barbarzyństwa, kiedy ją najechała i zalała dzicz; nie dziw nakoniec, że zawierając w sobie najsilniejsze pomoce i pierwiastki cywilizacji ludzkiej, przyłożyła się najdzielniej do dobra nauk, a z niemi do ucywilizowania Europy, i postawiła tę część ziemi w pierwszym rzędzie chwały, mocy i świetności. Dziś nawet, gdziekolwiek dojdzie jej łagodne i dobroczynne światło, ustępuje srogość w obyczajach, kojarzą się ludzie miłością braterską w porządne towarzystwa. Tento duch obudzonej przez religią ludzkości, szerzył zaraz w początku chrześcijaństwa cnoty litości, gościnności i mężnego poświęcenia się na ratunek cierpiących i nieszczęśliwych; kojarzył pobożne towarzystwa na wspieranie nędzy, wykupowanie więźniów, na schronienie cierpiących lub znękanym dolegliwością ludzi; inne znowu poświęcające się nauczaniu i oświecaniu młodzieży; ten jeszcze duch nauki Chrystusa wydał owe cuda pobożności, prowadzącej płeć nawet słabą i delikatną do najobrzydliwszych usług dotkniętemu chorobami ubóstwu. Oslabiać więc tak zbawienną i potrzebną naukę, jest to targać się na prawa ludzkości, na całość i spokojność społeczeństwa ludzkiego.

7. Boże Narodzenie.

(z Waszyngtona Irwina.)

Dawniej na Boże Narodzenie w każdym domu można było widzieć porządną ogień dla utrzymania ciepła, a dobrego mógł znaleźć i siary i mały. Spraszano po przyjacielsku sąsiadów, każdy był dobrze przyjętym i żaden nawet ubogi z nikąd nie wyszedł na głodno.

(Old. Sang.)

Nic w Anglii z tak przyjemnym urokiem na wyobraźnię moje nie działa, jak ostatki zwyczajów zachowywanych w czasie uroczystości i starodawnych igrzysk wiejskich. Zdaje mi się, że znowu oglądam malowidło, które w wio-

śnie życia mojego lubiłem tworzyć sam sobie, w czasie, gdy nie jak dzisiaj, znałem świat tylko z książek. Zdaje mi się, że jest obecny owym oddalonym wiekom, gdzie może równie omamiony, oglądam świat bardziej prosty, bardziej towarzyski i weselszy niż dzisiaj. Z żalem wyznać muszę, że czas nieznacznie niszczy te zwyczaje, lecz sądzę, iż nowe mody daleko się skuteczniej do ich zapomnienia przyczyniają. Podobne są one tym malownym szczątkom architektury gotyckiej, które się gdzieś tam w wsiach niszczejące ukazują, w części ręką wieków zepsute, w części zmianami, jakie gust nowy wprowadził, skażone. Ztémwszystkiem poezya zdaje się z czułością przywiązywać do zabaw wieśniaczych i świątecznych rozrywek, gdzie wiele pięknych czerpa obrazów; podobna bluszczowi, który swe bogate liście rozciąga wokoło gotyckiej arkady, lub napół zapadłej wieży, za użyczoną sobie podporę odpłaca, wzmacniając ich słabe szczątki i barwiąc zielonością, dającą czuć zdaleka przyjemną wonność.

Ze wszystkich starodawnych uroczystości, Boże Narodzenie najwznioślejsze myśli w nas obudza. Jest coś w uciechach dnia tego, co rodzi w duszach naszych nieporównane rozkosze. Obrzędy kościoła w dniu tym bardziej niż kiedy, zdolne są natchnąć najtkliwszemu uczuciem; opierając się na wspamiętaniu podaniu o początku wiary i na widowiskach pasterskich, które chwili zwiastującej ją światu towarzyszyły; nabierają przez ciąg adwentu coraz więcej czułości i mocy, aż nakoniec w dniu samym Bożego Narodzenia, całą swą wywierają siłę dla uświęcenia tego świętego poranku, który przynosi ludziom pokój i szczęśliwość. Nie znam żadnej muzyki, któraby mocniej na usposobienie moralne działała, jak chór i organ, gdy wykonywa w kościele Antyfonę Bożego Narodzenia napełniając poważną harmonią całą przestrzeń rozległej budowli.

Pierwiastkowym też czasem winniśmy tę myśl szczęśliwą, że święto przypominające przyjście religii pokoju i miłości, stało się epoką, w której krewi, zgromadzając się w jedno miejsce, z rozkoszą wzmacniają ten węzeł, jaki różne obowiązki, zatrudnienia i rozrywki świata ustawi-

cznie rozerwać usiłują. Cóż miłszego nad tę chwilę, w której wszystkie dzieci jednej rodziny, rozbiegłe po przestworzu świata, zgromadzają się raz jeszcze około ojczywego ogniska, gdzie się wszystkie zlewają uczucia, i tam wśród ulubionych dzieciństwa swego pamiątek, kosztują znowu uciech młodości i przywiązania.

Sama nawet pora roku przyczynia się wiele do przydatnia powabów obchodowi uroczystości Bożego Narodzenia. W innych okresach czasu, część naszych przyjemności czerpamy jedynie w pięknościach natury, wzruszenia nasze rozlatują się, że tak powiem, po rozległym widobrazie oświeconym promieniami ognistego słońca, i jak powiada poeta: żyjemy zewnątrz i wszędzie. Śpiewy ptasząt, szemranie przejrzystego strumyka, miła wonność wiosenna, słodki powab lata, przemożna wystawa jesieni, ziemia szatą zieloności odziana, a niebo jasnym błękitem i wspaniałymi obłoki osute: wszystko duszę naszą napełnia niemią i najwdzięczniejszą słodyczą; oddajemy się całej mocy uczuć naszych. Lecz podczas zimy, kiedy przyrodzenie ze wszystkich wdzięków obrane śnieżną oponą jest okryte, szukamy rozkoszy w źródłach serca własnego. Smutna pośepność widoku, krótkie dnia trwanie i ciemność nocy, ograniczając przechadzki nasze, nie pozwalają przypatrywać się naturze i usposabiają nas do uciech towarzyskich; myśli są bardziej skupione, serca więcej otwarte; tkliwsi jesteśmy na powaby społeczności i czujemy lepiej potrzebę jednoczenia się dla używania przyjemności w owę porę roku. Serce przyzywa serca, czerpamy najczystsze rozkosze w źródłach wzajemnej życzliwości, które się w duszach naszych utajone znajdują i raz odkryte dostarczają prawdziwej karmi ożywiającej szczęśliwość domową.

Chłód i ciemność panujące na dworze sprawują, iż serce nasze pełnieje, gdy wchodzimy do izby ogrzanej ogniem roznieconym w wieczór na kominie. Jaskrawy jego płomień sztuczne nam lato sprawuje; a zdaje się, że tylko promienie słońca mogą nam nadać pogodną i ujmującą postać.

Jestże miejsce, gdzieby się gościnność serdeczniej uśmiechała, gdzieby przyjaźń z większą przemawiała wymową, jak przy ognisku? Kiedy wiatr w sieniach gwiżdże z impetem, wstrząsa drzwi na zawiasach i huczy w kominie, nie masz przyjemniejszego nad uczucie zupełnego bezpieczeństwa, z jakim spoglądamy dokoła naszej opiekuńczej ochrony, oraz na prostą i niewinną wesołość w niej panującą. Z przyczyny szczególniejszego upodobania, jakie wszystkie stany w Anglii mają do różnych zwyczajów wiejskich, Anglicy lubili zawsze swe uroczyste obchody i zabawy, które tak przyjemnie przerywają jednostajność życia wiejskiego, a w pierwiastkowych czasach najtroskliwiej przestrzegali religijnych i towarzyskich obrzędów na święto Bożego Narodzenia. W rzeczy samej z rokoszą czytamy pomimo ich suchości szczegóły przez niektórych antykwaryuszów nam zostawione o wystawie, wesołości i dobroduszości, jakie w obchodzie tego święta widzieć się dawały.

Zdawało się, że owa uroczystość otwierała wszystkie serca. Jednoczyła ona pana z wieśniakiem i mieszała wszystkie stany w szlachetnym wylaniu się wesela i czułości. Starożytne zamków sale brzmiały dźwiękami arf i odgłosem pieśni, gdy ogromne w nich stały gięły się pod ciężarem niezliczonych potraw. I najuboższa nawet chatka obchodziła to święto, strojąc się w ostrokrzewie i bluszcze, prześliczne ognie, błyszcząc z okien, zdawały się zachęcać podróżnego, aby wszedł do środka i połączył się z matłem, około ogniska zebranem gronem, uprzyjemniającem sobie długi wieczór zimy, przez przypominania legend i powieści.

Jednym z najmniej pożądaných skutków wykwinności, którą gust nowożytny do uciech naszych wprowadził, jest wyniszczenie tych prostych i ujmujących zwyczajów; zupełnie prawie starły się żywe i uderzające rysy, które ich cechą były, społeczność stała się bardziej wykształconą, ale prawdziwy swój charakter straciła.

Większa część rozrywek i obrzędów Bożego Narodzenia już nie istnieje, i jak wino dawnego Falstafa jest tylko

dzisiaj przedmiotem rozpraw pomiędzy komentatorami. Kwitnęły one w owych dniach wesela i radości, kiedy ludzie nieokrzeseane lecz pięknie zdrowiem i szczęśliwością życie prowadzili; w owych dzikich i romantycznych czasach, w których poezja niewyczerpane źródło przedmiotów, a sztuka dramatyczna czarującą różnaitości obyczajów i charakterów znajduje. Świat się stał bardziej światowym. Jest teraz więcej w życiu roztargnień, a mniej rzetelnej rozkoszy; zdają się sobie robić teraz w pewnym względzie łożysko obszerniejsze, ale mniej głębokie; rzuciły one te spokojne kanały, kędy powolnie płynęły na cichem tonie życia domowego. Społeczność się przybrała w kolory czystsze i wyszukańsze, lecz straciła prawie wszystkie znamiona wesela, wszystkie zabawy, któreby nazywać można miejscowemi; nie widać już w niej więcej tych prostych i szczerych uczuć, tych słodyczy, jakich niegdys kosztowano u wiejskiego ogniska; zwyczaje, które nam wiek złoty starożytności przekazał; obyczaje możnych, pełne gościnności, biesiady, jakie sprawować lubili, znikły z zamkami baronów i przepyszniemi dworami, gdzie je obchodzono. Przystawały one salom zaciemnionym, długim drewnianym galeryom, parlatoriom obleczonym w bogate kobierce, ale stałyby się niestosownemi do obszernych i jasnych pokojów i wesołych salonów dzisiejszego domu wiejskiego.

Chociaż pozbawione dawniejszych zaszczytów, jest jeszcze święto Bożego Narodzenia epoką uczt i różnych rozrywek. Miło jest znajdować w sercu każdego Anglika te rodzinne uczucia, jakie się zdają nad nimi mieć tak przeważną potęgę. W którąkolwiek stronę obrócisz oczy, wszędzie zobaczysz trudniących się przyrządzaniem stołów, wokoło których mają się zgromadzić i przyjaciele i krewni; wszędzie ujrzyś roznoszone owe delikatne potrawy, znaki poważania i uszanowania, a które się zdają wzbudzać i ożywiać przyjemne wrażenia; wszędzie postrzeżesz około domów i kościołów, rozsadzony ostrokrzew, bluszczy i bukszpany, znamiona ukontentowania i pokoju. Wszystko nakoniec najprzyjemniejszy skutek sprawuje, wszystko

uczucia dobrożyczliwości i przyjaćielstwa zapala. Same nawet śpiewy stróżów nocnych, jakkolwiek niezgodne, zdają się doskonałą harmonią, gdy nocy zimowych długość przerywają; obudzony tym odgłosem w owęj milczącej i cichej godzinie, kiedy sen na nas sypie swoje maki, często go słuchał z niemém zachwyceniem, i stosując go do wesołej i uświęconej epoki, którą obchodzono, brałem za chór niebieski zwiastujący ludziom szczęśliwość i pokój. Z jakąż rozkoszą wyobraźnia temi wpływami moralnemi dotknięta, używa wszystkim przedmiotom powabu i zgody. I kiedy w czasie głębokiego spoczynku całej okolicy, lud wiejski słyszy koguta, obwieszczającego nocne godziny, zda mu się, iż on blizkie nadejście téj religijnej uroczystości ogłasza.

„Niektórzy utrzymują, że w czasie, gdy się obchodzi Narodzenie Zbawiciela, ranny ten ptak śpiewa noc całą, powiadają, że nocy bywają spokojne; dodają jeszcze, że płanety nie wywierają wtenczas szkodliwego wpływu; tak ten czas jest święty i pełen Wszechmocnego.”

Kiedy tak wszystko do szczęśliwości przyzywa, gdy się umysły wzruszają, a przywiązania nasze zdają się ożywiać, jakież więc serce nieczułem zostanie? Jestto pora odradzania się uczuć. Dzień ten jest epoką zapalania w biesiadniczej sali ognia dla gościnnego przyjęcia; jest też czasem, który w duszach naszych roznieca płomień chrześcijańskiej miłości bliźniego. Obrazy najpierwszych naszego serca skłonności przedstawują się znowu pamięci zwycięzkiej z tylu zaburzeń przeżytego czasu, i słodkie wspomnienie rozrywek domowych orzeźwia umysł upadający, jak wiatr chłodny w Arabii, który ze stron dalekich na strudzonego podróżnika w pustyniach powiewa!

Chociaż przychodniem jestem w tym kraju, chociaż ognisko domowe nie pali się dla mnie, chociaż się z lubą gościnnością drzwi nie otwierają przedemną, i przyjazna ręka nie spieszy ścisnąć méj dłoni w progu; czuję wszelako wpływ téj pory, i zdaje mi się, że uwesелone wejrzenia mnie otaczających sprawują podobneż w duszy méj uczucia.

To pewna, że szczęście tak się odbija jak światło słoneczne pozór uradowania, oblicze, gdzie się niewinność, wesele i uśmiech szczęścia maluje, jest czystém zwierciadłem, które do nas przesyła, jeżeli tak rzec mogę, promienie słodkiej serdeczności.

Człowiek nieczuły, mogący odwrócić oczy od widoku szczęścia podobnych sobie i usiąść w kącie smutny i ponury, gdy wszystko dokoła niego się raduje, może niekiedy doświadcza chwil zaspokożenia i rozkoszy; lecz nie zna tych czystych i towarzyskich wzruszeń, jakie stanowią największą przyjemność dnia Bożego Narodzenia, któremu radość przewodniczy wszędzie.

8. Wpływ dobrych zasad.

Człowiek bez zasad jest trzcina, igraszkom wiatrów oddana: nikt na nim polegać nie może i on w nikim nie ma ufności; ale te zasady niech będą szlachetne i dobre, niech mają za cel prawosć i użytek powszechny. Takie tylko zasady zaszczycają człowieka i pożytek mu niosą. Te od młodości niech sobie obierze za kierownika swój woli.

Zasadą główniejszą jest: czasu rzadnie używać. Kto co wieczór rozważył, co i jakim porządkiem jutro ma czynić, ten sobie ułatwia i uprzyjemnia swoje zatrudnienia. Od wczesnej młodości trzeba sobie przedsięwziąć czegoś gruntownie się uczyć, zawsze to w sobie doskonalić, nabierać w tém zręczności i wprawy coraz doskonalszej. Nikt nie może niczego zupełnie się wyuczyć. My jesteśmy tylko cząstki, cząstką jest tylko nasza wiedza, czynność i umiejętność. Dobre zawsze może być lepszym, albo lepij użytym.

Kto sobie mocno postanowił, ażeby obowiązków swoich, jako człowiek, we wszelkich stosunkach sumiennie dopełniał, ten nabiera zdobiącej mocy charakteru, i wszystkie burze tego życia przepłynie. Ku niebu zwrócony czerpa otuchę, a sumienie daje mu w przeciwnościach odwagę i siłę.

9. Rzetelność.

Nie ma tak zbawionego wpływu na nasz charakter, jak mocne postanowienie w dotrzymaniu słowa, czyli rzetelność. Dlatego jedną z najważniejszych rzeczy wychowania jest, od młodości ludzi do tego zwyczajając. Sławić się w słowie, w każdéj, choćby najmniejszej rzeczy, jestto oprócz zaszczytu, który człowieka najwięcej zdobi, rozwijać swój charakter i roztropność. Cnotliwy nie da słowa do czynu niecnego, roztropny nie prędko się do niego namyśli, aby nie żałował dotrzymania i niedotrzymania. Zatem dawanie słowa z namysłem w rzeczach najmniejszych, czyni nas baczniemi na wszystko i roztroptymi. Pospiesznie obiecujący przy najlepszych chęciach, często staje się kłamcą. Ściąga na siebie urazę ludzi, jakby im zabrał rzecz, którą obiecał. Małą i lekkomyślną winą, zrzadza wielkie szkody innym i sobie wielkie przykrości. Pięknie jest być niewolnikiem słowa, uczciwie i roztropnie danego.

10. Sumienie.

Wina jak wrzód w ciele, tworzy w duszy naszej ranę, która się ciągle sama z siebie rozjatrza i zakrwawia. Rozum wszelkie inne smutki i przykrości z czasem zaciera, ale téj ani rozumowanie, ani roztargnienia, ani czas nie zatrze, tém bardziej, że jest wewnątrz nas, tak jak zimno, albo gorąco febry dotkliwsze jest od tego, które zewnątrz nam tylko dokucza. Jest niewypowiedziana rozkosz pogody i szlachetnej śmiałości człowieka, mającego dobre sumienie. Nie mała to pociecha, módz sobie wewnątrz powiedzieć: „Ktoby zajrzał do mojej duszy, nie znalazłby mię winnym ani zazdrości, ani zemsty, ani chęci szkodzenia komu.”

11. O porządku i posłuszeństwie.

przez K. B.

Porządek jest duszą wszystkiego; a czego najlepszego młodzież praktycznie w szkołach publicznych nauczyć się

może: jest porządek. Gdy wiemy w naukach, iż natura we wszystkiém zachowuje porządek i karność nieubłaganą, że nauki w ścisłym porządku łączą się z sobą i rozwijają, że tylko przez ścisły porządek wiadomości nabywać i władcze umysłu rozwijać możemy; któryż człowiek mógłby nie pamiętać, że przy porządném oddawaniu się naukom, ścisłe wykonywanie przepisów wewnętrznego porządku jest nieodzowne?

Najmniejsze towarzystwo nie zdoła się obejść bez porządku, bez zjednoczenia woli i czynności wszystkich pod jednym prawem: tak być musi w boju, na okręcie, przy każdéj fizycznej i umysłowej pracy, w towarzystwie. Porządek wymaga surowego posłuszeństwa prawom, bez którego byłby chaos. Każdy, choćby tylko sam dla siebie działał, musi sobie założyć pewne prawidła postępowania i tych się trzymać, tém bardziej każdy, na łono społeczności przyjęty, gdy w niej ze swoim jéj cel łączy, powinien słuchać jéj prawa. Cóż dopiero ten, dla którego dane prawidła głównie jego dobra się tyczą, które mu w miejsce dowodzenia dobroczynnie są dane? posłuszeństwo więc ustawom jest obowiązkiem sumienia, rozumu i miłości dobra własnego. Obowiązani żyć pod prawami, powołani do posług rządu, w porządek i posłuszeństwo wprowadzić się winni. Kto sam się dobrze nie rządził, innymi rządzić nie zdoła, tak jak nie może rozkazywać, kto być posłusznym nie umiał.

Ledwie więc dowodzić potrzeba, iż przepisom, takie dążenie mającym, najściślej ulegać należy. Idzie więc o to, ażeby je pełnić z przekonania i chęci. Człowiek rozumny ulega z chęci, nie z przynaglenia. Pozorne tylko posłuszeństwo więcej daleko szpeci, niżeli pozorne oświecenie. Trzeba równie prawa jak nauki szanować z zasad i wewnętrznego przeświadczenia, inaczej nie możemy sobie przyznać wewnętrznój godności. Dopełnienie samej tylko formy przepisów, nie ich ducha i celu, podejście i wyszydzenie ufności przełożonych, jest niewdzięcznym oszukaństwem, zdradą i poniżeniem samego siebie. Ktoby tak od młodości zaczynał, już na zawsze przywdzieje maskę

poзору, i będzie się formami prawa przeciw prawu zasia-
niał. Młodzież nie ma występków ale błędy, lecz te stana-
ją się występkami, gdy są ukryte; są one bowiem tajem-
niem się z niebezpieczną chorobą. Szczerłość, otwartość w każ-
dym postępowaniu jest wrodzonym młodego przymiotem.
Chciała tego sama natura, nadając mu żywość, która ze-
złem swoim i dobrem nie może się ukryć, i przez to tylko
może być doskonałym. Dała licom jego rumieniec, świad-
czący o winie ukrytej. Świadek ten dobroczynny, oskar-
żając jeszcze nie zepsute serce, rozbraja razem sędziego;
kto tego świadka w młodym wieku już nie ma, tego natura
na zawsze ciężko skarała.

12. Porządek i punktualność.

Porządek jestto rząd, jestto rozum; gdzie w domu nie
ma porządku, tam nie pyta o szczęście i błogostawieństwo,
bo nie ma głównej zasady, która wszystko nabywa i utrzy-
muje. Nieporządek niszczy dzieło pilności, truje czas kło-
potliwie, i wszystko niemilem czyni. Punktualność (zły to
znak, że na to nie ma wyrazu), jest córką porządku, ona
zyskuje dobre imię i zaufanie, bo wszystko w czasie swoim
i według zamiaru wykona. Ona czyni człowieka słownym,
rzetelnym, na którego zawsze spuścić się można. Ona łą-
czy rozum z sumiennością, które razem dobry byt i wię-
tość domu przysparzają. Doświadczenie uczy, że dzieci nie
wszystkie przymioty serca i duszy po rodzicach dziedziczą,
że, gdy do rozumu przychodzą, unikają wielu wad, które
niestety! w rodzicach postrzegają, ale porządek i punktual-
ność, które same przez się ani są cnotą, ani występkiem,
te powszechniej stają się nałogiem czyli drugą naturą
dzieci, jeżeli wzór i baczność rodziców do tego ich nało-
żyły. W wielu rzeczach człowiek sam sobie później pora-
dzi, pozbędzie się złych i nabierze dobrych przymiotów
pomiedzy ludźmi, ale najtrudniej włożyć się do porządku,
gdy się kto w nieładzie wychował. Przez nieład najłepszi
ludzie, pełni zkadinał zalet, są klęską rodziny.

13. Praca i nudy.

Bardzo się myli, kto sądzi, iż sobie sprawi ciągłą przy-
jemność, zmieniając swoje tylko zabawy i rozlagnienia.
Próżniak i niewieściuch nazwałby to nudnym udęczeniem,
gdyby ciągle, to chodził z fuzyą za zajacem, to się po uli-
cach przechadzał, to zabierał czas innym odwiedzinami.
Taka rozmaitość stanie się nakoniec nudną jednostajnością;
próżniak szukający zatrudnienia, zazdrości często temu,
który drzewo rąbie, lub kopie w ogrodzie. Nie masz wię-
kszej pracy, jak nudy: niemi udęczywszy się przez dzień,
dęcymy się coraz więcej w spoczynku po pracy żadnej,
że dzień z trudnością przebyty, tylko nam wstyd wewnątrz-
ny przyniósł w zarobku. Przeciwnie, dobroczynnie to urzą-
dziła Opatrzność, że każda praca powołania albo urzędu
ludziom użyteczna, jakkolwiek długa, bez zniechęcenia
ciągle odnawiana być może. Zatrudnienie i rzemiosło, które
raz w młodości bawiło, przyjemne jest i na starość, nawet
wtedy, gdy już możnaby tylko swobodnie ich owoców uży-
wać. Po pracy całodzienniej rzeźwi wstajemy nazajutrz;
gdy liczymy przeszły i przyszły pożytek, wszystko wokoło
nas wesoło rośnie i my ze wszystkiemi. Powoli nie owoc
pracy, ale praca sama staje nam się potrzebą i niejaką na-
groda. Nie masz do zabaw samych lepszej zaprawy, jak
gdy po pracy do nich przychodzimy. Kto tylko ciągle się
bawi, ten i w zabawie pracuje; kto jedno z drugim rządnie
przeplata, ten sieje i zbiera: tego zabawa prawdziwie orze-
źwia. Uczestowanie przyjaciół nigdy nie jest miłszem, jak
gdy im stawiasz owoc własnej swej pracy. To jest najgo-
dziwsza wystawność i duma najszlachetniejsza.

Jonson mieni najszczęśliwszym człowieka, który obok
gorliwie pełnionego powołania dla przyjemności, jakakol-
wiek nauką lub sztuką się trudni i utrzymuje, że tylko czyn-
ny człowiek szczęśliwym i zacnym być może. Na smutek
i pewne słabości duszy i ciała nie masz lekarstwa, jak za-
trudnienie. I najbogatszy przez pracę tylko szczęśliwym

być może. Nie masz skarbów, któreby bez niej próżne go-
dziny nieczynnego zapętnić zdołały.

14. O pracy.

Praca jest fizyczną a obok tego mniej więcej umysłową działalnością ludzi, zmierzającą głównie do utworzenia rzeczy użytecznych i posiadających wartość, albo też sił do tego celu prowadzących.

Po przyrodzie praca jest najcenniejszym źródłem bogactwa krajowego, albowiem za jej tylko pomocą człowiek może wydrzeć przyrodzie środki utrzymania się i dobrego bytu, utworzyć zapasy i narzędzia (kapitały), przez które pewniej i trwałej cel ten osiągnąć się daje.

Praca sama przez się, ma prawie nieobliczony wpływ na dobry byt społeczności, gdyż narody, siłą okoliczności zniewolone dokładać największej usilności ku zaspokojeniu najpospolitszych potrzeb życia, daleko bardziej rozwijają siły ciała i ducha, i daleko mniej wpływom występku ulegają, aniżeli te, których potrzeby sama opatruje przyroda.

Z tego względu ziemię pod umiarkowanym niebem nazwaćby można wielką rodzicielką pracy i ukształcenia, jak dalece staje się dla człowieka przyczyną rozmaitych i gwałtownych potrzeb, budzi w nim zabieżliwość i usilność, najpiękniejsze lata jego niemi zatrudnia, a do pracy i oszczędności skłania. Raz przeto nawykawszy do czynności i zabieżliwości, pod umiarkowanym niebem wciąż postępuje w rozwinięciu sił swoich, gdy tymczasem tam, gdzie przyroda zbyt się dla niego szczodra okazuje, nieraz na najniższym szczeblu ogłady pozostaje. I dlatego szczególnie umniactwo (kunszt) i nauki, przemysł i byt dobry, cnoty domowe częściej pod umiarkowanym niż pod ciepłym i skwarnym niebem napotykać można.

Najdoskonalszy stan rodu ludzkiego wtedy nastąpi, gdy siłami przyrodzonymi będzie można zastąpić wszelkie, zbyt utrudzające czynności; gdyż w tym razie takiej jeszcze pozostanie człowiekowi dokładać usilności fizycznej, jakiej wymagać będzie dobry byt fizyczny, a każdy człowiek

będzie mógł pędzić życie w pośród zobopólnej zamiany duchowych i fizycznych przyjemności. Że ludzkość zdąża do tego celu, zaprzeczyć nie można. Maszyny i wynalazki ucywilizowanej Europy, już zastępują pracę niewolników starożytności. Już w krajach najbardziej ucywilizowanych bardzo rzadko zobaczyć bezwzględne próżniactwo; już dzisiaj duchowa praca jedna zaszczyty i godności: fizyczna szacunek i poważanie. W gospodarstwie narodowym praca umysłowa znaczy tyle, co dusza w ciele. Ona wciąż nowymi wynalazkami pomnaża siłę człowieka. Pomnijmy tu tylko na zasługi kilku mężów, których pracy winniśmy wynalazek i udoskonalenie maszyny parowej; nie tylko, że szczupłej liczbie ludzi dodali sił do wykonywania robót, dla których skutecznienia przedtem potrzeba było miliony rąk zatrudnić, ale nadto nauczyli człowieka, jak wydobywać skarby ziemi z najgłębszych przepaści, do których przedtem nie mógł się dostać, jak uśmierzać potęgę wiatru i burz, jak przenosić się z miejsca na miejsce szybkim lotem ptaka. Oni rozpowszechnili dobry byt, używanie przyjemności i wygod, pomnożyli ludność, a dobroczynne skutki ich pracy rozrastają się z pokoleń w pokolenia. Nadto umysłowa praca zaszczenia i pielęgnuje płodzące siły przyszłych pokoleń, bo młodzież przyucza do pracowitości, obyczajności i oświecenia się; utrzymuje porządek i prawo, ma staranie o zachowanie i postęp zakładów, sztuk i umiejętności, złe fizyczne i moralne, tudzież zbrodnie wyłącza lub łagodzi.

15. Zachowanie zdrowia.

przez

Ignacego Krasickiego.

Przyrodzenie w działaniach swoich prostym idzie torem, ten dobrze uważany wskaże, czego używać, czego się strzedz. Wstrzemięźliwość jest najlepszym do zdrowia środkiem zaradczym; kto przeciw niej wykracza, później lub prędzej zawsze szkodować musi.

Narzekamy na terażniejsze wieki, iż ludzie są w nim słabsi, niżeli przedtem byli, a zatem krócej żyją. Wiek nie

nie winien, świat się nie zestarzał, my naszym niedoleżnościom dajemy przyczyny, my sami sobie króćmy życie. Żartoczność, pijaństwo, rozpusta, niewczas trawia siły; wstrzemięźliwość najlepszym jest sposobem; im się bardziej od niej oddalamy, tym większy szwank zdrowie cierpi.

W pospolitem używaniu, wstrzemięźliwość znaczy zachowanie miary właściwej w każdej rzeczy. Tak zbytki widoczne, jako i te, które wewnątrz nas są, a o zmysły się dobijają, równie zdrowiu szkodliwe. Żal zbyteczny często kroć zabija, radość niekiedy równie szkodzi, gniew gwałtownie wzrusza, zazdrość wewnątrz ssie, zgoła, ile żądz mieszających umysł, tyle przyczyn słabiących zdrowie.

Namieniłem już o zewnętrznych zbytkach, jakimi są: pijaństwo, żartoczność, rozpusta, niewczas. Uwaga zawczasu ostrzega, jak się gwałtownym wzruszeniom opierać. Pełne prawideł obyczajności mędrców są księgi, a co największe rozumu wysilenie przenosi, święte religii obowiązki, nie tylko wzruszeniom nieprawym, ale przyczynom wzruszeń takowych zapobiegają, i kładą metę. Tych świętych przepisów chwycić się jak najusilniej potrzeba, nie z tą podłą myślą, abyśmy przezto zdrowie zachowali; ale cel wyższy, uszczęśliwiając umysł, przyda w dodatek i czerstwość zdrowia. Spokojność więc wewnętrzna, która z dobrego sumienia pochodzi, ta żądz porywczosć usmiera, radość wznieca, wzruszenia tłumi, zgoła czyni człowieka szczęśliwym ze wszech miar. Rozum zdrowy w ciele zdrowym, według dawniej powieści, to grunt człowieka; a o zdrowiu dobrze nasz Kochanowski powiedział:

„Szlachetne zdrowie,
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz;
Tam człowiek prawie
Widzi na jawie,
I sam to powie,
Że nic nad zdrowie,
Ani lepszego,
Ani droższego.
Bo dobre mienie,
Perły, kamienie,

Także wiek młody,
I dar urody,
Miejsce wysokie,
Władze szerokie,
Dobre są, ale
Gdy zdrowie wcale;
Gdzie nie masz siły,
I świat nie miły.“

Cały rodzaj ludzki pisze się w tej mierze z Kochanowskim, więc i ja tak kończę żądanie moje jak i on wiersh ten o zdrowiu.

„Klejnocie drogi!
Mój dom ubogi,
Oddany tobie,
Ulubuj sobie.“

II. ZWYCZAJE, OBYCZAJE, CHARAKTERY, POWIEŚCI, PODRÓŻE I OPISY POMNIKÓW, ŚWIĄTYN, MIAST, OKOLIC I OSOBLIWOŚCI NATURY.

1. Gościnność:

przez

Wł. Każ. Wojcickiego.

Gościnność, piętno szlachetnego rodu Słowian, w największej czci była u naszych ojców. Proste oni mieli przyśłówie, ale je czuli w prostocie duszy i obyczajów:

„Gość w domu, Bóg w domu!“

„Piękna jest rzecz ludzkość (mówi Szymon Starowolski) i hojne chleba swego użyczenie, co Polacy mają z przyrodzenia, i z obyczajów narodu słowiańskiego, który dawniej miał Boga swego Radogosta, którego chwalili, i jego święto z wielkiem nabożeństwem obchodzili. Wszystkie uczty, biesiady, z gościnności idące, jakoby na jaką miłość spólnego przyjaciółstwa, bywają zawołane, o toż też w Polsce częstsze uczty i biesiady bywają, niż gdzie indziej. Stądże najprzedniejsza poczeiwość ta jest, co najlepiej i najczęściej gości uczci, a większej sromoty nie masz, jedno nigdy, abo źle gości uczci, co wszystko do miłości się

ściaga, którą sobie Polacy wspólnem użyczeniem chleba jednają.“

Uprzejmość domowa i chęć usłużna gospodarza, tak były u nas zwyczajne, że stara przypowieść: „Kiedy gospodarz na ganku, nie ma gości doma“ maluje najdokładniej baczną troskliwość i zajęcie w przyjęciu gości.

„Szlacheckie i kmiecie domy (pisze Wołan za czasów Zygmunta III) tak wszystkim są otworzyste, tak ku pokazaniu wszelkiej ludzkości przychylnie, że sobie niejakię podejrzenie uczynić skąpstwa, a nie dodać wszystkiego hojnie a obficie gościowi, za wielką to się sromotę poczyta. Wolno w krainy nasze przyjechać, choć z niemającym poczem, bez wszelkiego kosztu i nakładu, gdyż ludzie nasi chętnie gościa w dom do siebie przyzywają, i dobrowolnie wszystkiego ku hojniejszemu życiu nie bronią, bez żadnej opłaty.“

Ale nie na przyjęciu samém i na karmieniu kończyła się gościnność: bezpieczny, daleki od zdradzieckiego napadu, mógł każdy wchodzić w progi pierwszego domostwa, znalazł tam nieochybnie, oprócz posiłku żadanego, przytułek i ochronę.

Nieprzyjaciel nawet i wróg zaprzysięgły, kiedy jako gość i proszący o schronienie przybył: nigdy prawo gościnności złamaném nie było.

Otwartość, prostota, szczerłość cechowały najdawniejsze wieki. U pana i kmiecia nawet stół był nakryty, zawsze stała flaszka z napojem, czara, leżały chleb i sól. Pierwsze powitanie, które gość od gospodarza odbierał, skoro próg domostwa przestąpił:

„Chleb z solą i z dobrą wolą;“

a słowa te nie były tylko czerzą formułą. Gość przyjmowany zawsze szczerze, nie żałowano niczego, bo:

„Czém chata bogata, tém była i rada!“

Chleb też zajmował pierwsze miejsce w gościnności polskiej.

Gościnność Polacy za rzecz tak świętą uważali, tak konieczną do obowiązków każdego człowieka, że nie znajdując takowej w obcém plemieniu, z boleścią na to się uza-

lają. Ze znanéj i doświadczonéj gościnności wszedł obyczaj, że nie do karczemu, nie do zajezdnych domów, lecz prosto udawano się do domu znajomego czy nieznajomego ziemianina, proboszcza, z którym wnet się tworzyła poufałość i każdy nie za natręctwo to uważał, lecz jako wyświadczoną sobie łaskę cenit i przyjmował najmiléj.

Ztąd powszechny zwyczaj zostawiania kilku miejsc próżnych u stołu, dla „panów Zagórskich,“ czyli mogących jeszcze przybyć; ztąd ludzkość owa, że ktokolwiek, chociaż nie proszony, ani spodziewany, wszedł tylko i cześć gospodarzowi oddał, miał prawo z nim u stołu siadać.

2. Święcone.

Obyczaj to kraju naszego. W tym dniu i kmiotek i najuboższy człowiek zdobędzie się na kawał wieprzowiny przynajmniej, kiełbasę, placek i jaja, majątniejszy na okazalsze święcone. Po nabożeństwie odbytem z rodziną i domownikami, z gośćmi i każdym w dom przybyłym, dzieli się uprzejmie wśród życzeń jak najlepszego zdrowia i pomyślności święconém jajkiem, którego nikt odmówić nie może, potem innemi zapasami częstują i raczą. Każda część święconego w ówczesnych wyobrażeniach miała jakąś moc szczególniejszą, tak Rej w postylli powiada żartobliwie: „w dzień wielkanocny, kto święconego nie je, a kiełbasy dla węża, jarząbka dla więzienia, już zły chrześcianin.“ Jemuśmy obowiązani, że nam, jak wiele innych zwyczajów, tak i to mniemanie z swych czasów zachował. Kto rezurekcyą zasnął, utrzymywano, że nie ma prawa jeść święconego. Baranek na sucho pieczony, placki pełne szafranu, rozynków, to główna zasada święconego. Kosztowano wszystkiego po trosze, mówi p. Guebriant; resztę zostawiano służącym. Oto są niektóre szczegółowe opisy, dowodzące przepychu w tym względzie.

Mikołaj Pszonka, dworzanin hetmana Tarnowskiego, pięknie opisał żonie swojej u mieszczanina krakowskiego święcone. (Patrz w Pszczółce krak., i Tygod. wil. N. 10 r. 1822). U Mikołaja Chroberskiego, rajcy, na stole okrągłym, u któ-

rego i sto osób pomieścić się mogło, przykrytym w krzyż zszywanym obrusem, na 6 misach srebrnych mięsiwa wędzone wieprzowe z zad, na drugich 6 dwoje prosiąt, kiełbasy dziwnie pachnące, ustrojone rzędami jaj święconych, pomalowanych w przeróżnej barwie, ale najwięcej na rakowe. Stały figury z ciasta przedniego wyobrażające dziwnie zabawne historyjki. Piłat wyjmował kiełbaskę z kieszeni Mahometowi, a świadomo, że turek i żydzi nie jedzą mięsa wieprzowego, więc to na nich epigramma było i pocieszne. Na środku stołu dziwnie piękny baranek z masła, wielkości naturalnej owieczki; ale jabych za cały stół radbych wziął jemu oczy. A wszakże to dwa były brylanty, jak laskowe orzechy w czarnej oprawie, alias pierścienie ukryte w masle, których tylko tyle widać było, ile potrzeba na okazanie oczu. Tego baranka, na którym wełna nie do poznania była od prawdziwej, robiła sama panna Agnieszka z rodzicem swoim. Pan hetman (Jan Tarnowski) zaproszony przez pana Chroberskiego na to święcone, przybywszy wraz z dworem, długo mu się przypatrywał; ale co tam u niego znaczą dyamenty, kiedy sam ich ma pełną rękojesę u karabeli. Tylko go robota cieszyła, że mało jadł, tylko weń patrzył. Stary kilka razy poprawił karabelę, co znaczy u nas, że kontent i pełen affektu. Dalej stały bańki srebrne pozłociste z octem i z oliwą i 4 kruże wielkie starego miodu na tacach srebrnych wyślacanych, obstawione czarami także wyślacanymi. Dalej srebrne tódeczki z konfektami wszelkich owoców, jakie Pan Bóg w kraju dał, a to wszystko smażone na jesieni. Stało też wino w gąsiorach prawda szklanych, ale te gąsiorzki stały w koszykach srebrnych wyślacanych, a główki miały śrubowane w zawoje srebrne, a szkło białe jak śnieg i gładkie bardzo roboty.

Czas przystąpić do najważniejszych rzeczy, które i Wasze lubisz, do kołaczów, placków, jajeczników, maczniczków, i Bóg spamięta ich miana, które okrążyły jeden najpoważniejszy kołacz. Kołacz ten miał cyrkumferencyi z 8 łokci, jeśli nie więcej, gruby na 2 pędzi, a jakeśmy tylko weszli do izby, to nam już zapachniał swojemi przyprawa-

mi. Po brzegach wokoło niego stały różne figurki; święci 12 apostołowie udani jak żywi, a to wszystko z ciasta. Judasz mnie bardzo zabawił. Przypominasz może sobie Wasze Saluniu owego p. Giełbutowskiego, bezecnego roztrucharza, co mi za moję klacz żrebną dawał ślepego podjezdka, a sumitował się Bogiem, że nie ma żadnego defektu, i całował mię: takowuteńki rudowas i szafraniec. W środku stał Pan Jezus Chrystus z chorągiewką, a nad nim unosił się anioł na druciku od szabaśnika ozdobnego, nieznacznie w górze zawieszony, i że zdawało się, jakby leciał po niebie i z gęby wychodziły mu słowa: „Resurrexit, sicut dixit, Alleluja!” Inne placki wyobrażały różne zjawiska. Zabawiła mię kąpiel, bo to był jeden taki placek, co miał w środku sadzawkę z białego miodu, i wyglądały z niej rybki. Robota tego była bardzo sztuczna.

Po zmówieniu zwyczajnych modlitw, zaczęło się pożywanie daru bożego. P. hetman ochoczy prosił, aby mu wolno było gospodarzyć sobie podług woli. Jadł wszystkiego po trochu, napił się miodu, wina nie chciał, mówiąc: bodajmy go nie znali, dużo nam ten szkodzi trunek. My czekaliśmy z wielką estymą, aż p. hetman pozwoli nam przysunąć się bliżej do stołu; bo nie długo rzekł: używajcie waszmość panowie hojności gospodarza, a skromnie i honeste. Sam pokłoniwszy się pożegnał wszystkich łaskawie, i odjechał na zamek. Tu my dopiero zaczęliśmy repetaować, co daj Boże, miód i kołacz najbardziej trzeszczał. W nim było séra ze trzy kamienie, miodu tyleż, i innych przypraw nie licząc, dziwnie smaczny. Pan Śniatycki tak jadł, że się ledwie nie dawił. Aż też przyszli żaki z oracyami, Boże odpuść, pełnemi banialuk. Głodomory te straszliwie się oblizowały, ale też nie na sucho odeszli, każdy z nich dostał po całym bochnie chleba, po garnuszku przasnego miodu, po kawałku plus minus półtłokciowym wędzonej twardej kiełbasy z gorczycą, po kromie udca wieprzowego, opieprzone, jak Bóg przykazał. Pan Ocieski Kazimierz śmiał się jak opętany, z jednego pacholika, co był przebrany za Piłata, miał brodę z konopi a brwi ze

mchu brzozonego. W otwartości odbywaliśmy tę biesiadę. Każdy pożył co chciał, nikt nie zalał, przy wesołym alleluja rozeszliśmy się, i dosiadłszy koni, w imię Boże ruszyliśmy na zamek, gdzie była radość Zmartwychwstania pańskiego. Wszyscy dworzanie J. K. Mei i panów, co pospołu w dolnych izbach jedli i pili, a pamiętając na uroczystość święta bożego zbytku strzegli. — W jednym z starych kalendarzy poznańskich znajduje się opis bez daty, zdaje się jednak, że to musiało być za Władysława IV.

Wojewoda Sapięha w Dereczynie; także wyprawił święcone, na które zjechało się co nie miara panów z Litwy i Korony. Na samym środku był baranek wyobrażający Agnus Dei z chorągiewką, całutki z pistacyami; ten specyał dawano tylko damom, senatorom, dygnitarzom i duchownym. Stało 4 przeogromnych dzików, to jest tyle, ile części roku. Każdy dzik miał w sobie wieprzowinę, alias: szynki, kielbasy, prosiątka. Kuchmistrz najcudowniejszą pokazał sztukę w upieczeniu całkowitym tych odyńców. Stało tandem 12 jeleni także całkowicie pieczonych z zło-cistemi rogami, całe do admirowania, nadziane były rozmaitą zwierzyną, alias: zającami, cietrzewiami, dropiami i pardwami. Te jelenie wyrażały 12 miesięcy. Naokoło były ciasta sążniste, tyle ile tygodni w roku, to jest 52, całe cudne placki, mazury, żmudzkie pirogi, a wszystko wysadzane bakalią. Za nimi było 365 babek, to jest tyle, ile dni w roku. Każda była adornowana, inskrypcjami, floresami, że nie jeden tylko czytał, a nie jadł. Co zaś do bibendy: były 4 puhary, exemplum 4 pór roku, napełnione winem jeszcze od króla Stefana. Tandem 12 konewek srebrnych z winem po królu Zygmuncie; te konewki exemplum 12 miesięcy. Tandem 52 baryłek także srebrnych in gratiam 52 tygodni, było w nich wino: cypryjskie, hiszpańskie i włoskie. Dalej 365 gąsiorków z winem węgierskim, alias tyle gąsiorków, ile dni w roku, a dla czeladzi dworskiej 8760 kwart miodu robionego w Berezie, to jest tyle, ile godzin w roku. — Uginają się i teraz stoły pod ciężarem szynek, mięsów, jaj, kielbas lub placków, mazurków. Rzadko już gdzie dają się widzieć starożytnie

ciast gatunki, kołaczki, obertuchy, jajeczniki. Jaka w owych wiekach, tak i teraz radość, kiedy się udały ciasta, smutek w przeciwnym razie. Są ciasta parzone, baby petynetowe, dla równości w dziurkowaniu tak nazwane. Słyną pod tym względem dobre gospodynie, w pieczeniu ciast wybornych trafne, do nich udają się o przepisy. Gdzie większą chcą mieć okazłość, po miastach nadewszystko, cukiernicze zastawiają ciasta, lukrowaniem ozdobne: baby migdałowe, z razowego chleba, trójkolorowej masy: białej, różowej i ciemnej torty królewskie.

3. KULIG.

przez

K. Wł. Wojcieckiego.

Oto zapusty!

Dalej Kuligiem w przyjaciół chaty,
Zbudzimy śpiących, zabierzem z sobą,
Kto nas zobaczy, ten nie zostanie,
Z nami na nowe poleci tańce;
Mnogie hajduków świecą kagańce,
Szybkie po śniegu migają sanie.

My sobie jedziem kuligiem,

I w nocy i we dnie,

Lecim saniami,

I jadą z nami,

Wrzawa, śmiech pusty.

Czy znasz ty polskie zapusty?

Malczeski—Marya.

Na obszernej dolinie, mała gdzie zagajonęj, po nad strumieniem studzienną wody, rozciągała się wieś Lustawice z ozdobnym kościołem i białym dworem na wzgórzu. Ocieśniało go kilka jodeł smętnych, dwa cisy i odwiecznych kilka dębów. Szeroki strumień tegie ścisnęły mrozy, po szklistej jego powierzchni chłopcy ze wsi ślizgali się na przegony; szerokie równiny śnieg biały grubo okrył, zawiesił się nawet na gałęziach czarniawych jodeł, i migał zmrożony blaskiem odbitego promienia słońca, które zamglone, wśród chmur sinawych, pędzonych wiatrem, rzucało światło na okół. Z kominów chat wychodzące prosto w górę dymy zwiastowały i mróz łęgi i wygodę mieszkańców, że przy ciepłych kominach nie lękają się zimna. Przed go-

dzina odgłos dzwonu kościelnego przerywał tu ciszę, gdy zwoływał wiernych do modlitwy; teraz jeno poświst wichru zakręcił z szumem zasy śniegu, i przyniósł słabe echo wycia zgłodniałych wilków, co w dalekim lesie gromadnie przebiegały, szukając napróżno żeru.

W białym dworze na wzgórzu aż ze trzech kominów wznosiły się dymy sinawe jak marmurowe słupy; z dziedzińca już zastyszałeś gwar mocny, bo właśnie zbliżało się samo południe, i zastawiono do obiadu. Gospodarz pan cześnik w lisiurce stał na ganku, i wołał niecierpliw, by prędzej dawano na stół; nakryczawszy dosyć, wszedł z marszczonem czołem do jadalnej komnaty, gdzie siedziała jego małżonka z dwoma córkami i księdzem proboszczem, poważnym siwizną i pobożnością. Pan cześnik głośko czuprynę, spluwał, zacierał ręce, i nie nie mówił, co było zawsze oznaką głodnego żołądka. Aż przecież kredencarz wniósł wagę, wszyscy zasiedli do stołu, a po rosole, sztuce mięsa i po kilku kieliszkach wina, zaczęło się czoło cześnika rozchmurzać, i uśmiech, zwyczajny towarzysz szlachetnego oblicza, zjawił się na nowo.

— Ależ mróz był ognisty — odezwał się gospodarz — zdawało się, że para z ust marznie.

— Więcej dawał uczuć moc swoją na głodny żołądek — odrzekła cześnikowa, spoglądając z uśmiechem na męża.

— Przecież wiesz aśka moja pani (bronit się dobry cześnik, całując ją w rękę), że to nasza natura, gniewać się, gdy głodno, boć zaprawdę woneczas śpiewać nie mogę.

— Nie zdałby się wielmożny cześnik na myśliwca dawnych czasów (rzekł proboszcz), kiedy człowiek przez dwie całe doby nie jadł. Jaćci tego doświadczył w młodych latach.

— A niechże mnie Bóg zachowa! — wykrzyknął, porwijąc zraz sarniej pieczeni — nie do tegom ci, mój proboszczu, nie do tegom. Przecież, gdy nagła potrzeba, łamałem się w przygodzie i z głodem, i ztąd poznałem, jak człek stupidus, gdy żołądek piszczy.

Proboszcz już się zabierał do długiej rozprawy o głodzie, zaczynając od przysłowia z Ł. Górnickiego „Dworza-

nina,” że głód najlepszy kuchmistrz, gdy zabrząkły przed gankiem głośnie dzwonki, a po chwili roztwały się drzwi komnaty na ścieżaj, i arlekin zamaskowany z trzepaczką w rękę ukłon oddaje, i jednym skokiem staje na środku.

Tu biegając w około, wskazując na stołki, przewracając co po drodze zawadzało, śpiewał ciągle: „Ej! kulig! kulig! kulig!” Tak obleciawszy całą komnatę, w drzwiach ukłon znowu powtórzył i zniknął.

— Grzegorz! — zawołał pan cześnik, a wyrzuj z ganku, w którą stronę pojechał ten Skomoroszek.

Gospodyni co rychlej wstała od stołu z córkami, proboszcz już krótko bawiąc odszedł do plebanii, przyrzekłszy, że jak kulig zjedzie, stawić się nie omieszka, a cześnik radośny, wydawał rozporządzenia na przyjęcie wesolej drużyny, co z zamiecią śnieżną przebiegała od dworu do dworu.

Grzegorz tymczasem wrócił, donosząc, że czarny diabełek, co tak skakał, w jodłowym lesie zniknął. I wywołany kredencarz odebrał rozkaz ze świeżego antału natoczyć kilka koszów węgryzna, kucharz ogień już wielki naniecił, klucznica smarzyła faworki i pączki, a pan cześnik kazał uprzątnąć komnaty, i przy zmroku oświełlić wszystkie, zrzucił lisiurkę, i wystrojony w kontuszu oczekiwał zapowiadzianych gości. Pani cześnikowa ubrana świeżo z córkami, weszła także do wielkiej sali, oświełnionej jarzącem światłem i blaskiem z marmurowego komina, gdzie naniecony jałowiec z jagodami przy cieple i zapach roznosił. Szósta na zegarze ściennym z kurantem wybiła, a nie słychać dzwonków kuligowych. Cześnik niespokojny wyrżał oknem. Zamieć śnieżna coraz się powiększała, wiatr zimny poświstywał, a śnieżycą pokryła drogi, i tak zaćmiła wszystko, że nie mógł zobaczyć choć bliskiego gumna. Grzegorz wystany na zwiady doniósł, że zamieć tak wielka, iż trudno do bramy nawet trafić, i kulig pewnie zabłądzi. Niespokojny gospodarz rozkazuje latarnie zapalić, i ustawić to na bramie, to na słupach parkanu: aby zbłąkanym nadać łatwiejszy kierunek. Jakoż dzięki tej przezorności, zadzwoniły sanki, siedział w nich ów arlekin,

ale nie był tak rzeźwy, przysypany śniegiem, bo nie raz przewrócony w dole od kartofli leżał, a których w okół dworu cześnika nie brakło: przeziębły, zaledwie wylazł z sanek, i drżący wszedł do sali, dawszy smutną wiadomość, że cały kulik w opłotkach błądzi, przewraca się, a krzyk i wrzawa tak wielkie, że tylko wiatr przeciwny przeszkadza, że nie dochodzą do dworu.

Natychmiast wystąpił cześnik czeladź swoją z latarniami, sam nawet przywdział na powrót lisiurkę i z ekonomem i proboszczem, co nadbiegł na tę wiadomość, udali się na miejsce.

Pomoc ich była niezbędną; dwanaście sanek wystawiało obraz nieładu: konie w jednych rozhukane porwały zaprzęgi i pędem na dziedziniec wpadły, drugie wraz z saniami ugrzęzły po brzuchy, oczekiwały ratunku. Kobiety płakały, mężczyźni jedni krzyczeli, drudzy śmiali się, woźnice kłęli. Pudła, pudełka, szkatułki, wyrzucone z przewróconych sani, leżały po obu stronach drogi. Po omacku zwoływali się, aby być razem i chociaż piechotą dojść do dworu. Jakaż ich była radość, gdy ujrzeli zbliżające się światło i pomoc, które winni byli swemu arlekinowi, co pierwszy dał znać do dworu, i gorliwości szlachetnego cześnika. Ustał płacz kobiet, mężczyźni radośnie wykrzykują kulig! kulig! woźnice już nie klną.

Dwie godziny trzeba było wyciągać kulig ze śniegów i dołów, zbierać rozrzucone rzeczy; cześnik przy zamieci i mrozie, zmęczony, wrócił przecie uradowany, że wszyscy zdrowi, choć przeziębli.

Ogień na kominie rozgrzał ich wkrótce, a rozweselił węgry. Wnet weszła kuligowa muzyka, zabrzmiała poloneza, i długi rząd par wesołych posuwał się w poważnym tańcu.

W pierwszej szedł parze pan cześnik z panią starościłą, już wiekową niewiastą. Wyrzucił za siebie na ramiona wyloty, lewą ręką trzymał za pas bogaty; prawą prowadził damę. Za nim jego małżonka z siwym starostą; dalej poważniejsi dostojestwi i wiekiem; za tymi piętnaście par wesołej młodzieży. Wiódł rej cześnik po obszernej sali,

w trzecim zakręcie uchylił głowy, klasnął w dłonie — rozdzielił się ze swoją damą i w długim wraz z towarzyszami stanął szeregu. Niewiasty i panny same, za przewodem starościły, przeszły poważnym w takt tańcem dwa razy w około, i każda według upodobania wybrała z mężczyzn podaniem ręki.

Kiedy na nowo parami posuwało się grono gości w poważnym tańcu, arlekin, wysuszony i rozgrzany, wlaźł na chórek nade drzwiami umyślnie od lat dawnych dla muzyki zbudowany, uderzył silnie trzepaką i krzyknął: „Hej kulig! kulig! kuligowego mazura.” A wnet grajki stają obok i zaczynają od ucha.

Na to hasło starcy, poważniejsi i starsze niewiasty ustępują z koła, zostawiają rzeźwą młodzież do skocznego tańca.

Gospodarz wyprowadził do bocznej komnaty sędziwych gości, a gdy jedni poczęli grać w tryszaka, drudzy w ślepego marysza, reszta usiadła wieńcem w około poważnego starosty, bawiąc się gawędą. Cześnik należał do tego grona, w którym gęsto obchodziły kielichy starego węgryna, i śmiech serdeczny uweselał zmarszczki i siwiznę. Cóż ich tak radowało? co troski z szlachetnych spędzało obliczy? Wspomnienie lat młodych, kroplami złocistego węgryna dobyte z serca i myśli.

Starosta miał sławę w całej okolicy dobrego opowiadacza; żyjąc w świecie długo, i z niejednego jadłszy chleb pieca, obfitował w dykteryjki zabawne, dzieje rodzin znakomitych, które tak gładko z ust mu płynęły, jak gładko wysuszał kielichy do kropli. Nie brakło i Cześnikowi, równie jak i innym starcom grono to poważne składającym. Starosta właśnie zaczął wyliczać sławne łgarstwa i czyny znanego Panie Kochanku, a które w mgnieniu przebiegały kraj cały, bawiły wszystkich, i stanowiły w swoim czasie rodzaj szczególny literatury niepiśmienną, co równe znajdowała przyjęcie w wspaniałym zamku i wielkim dworze jak pod strzechą słomianą ubogiego szlachetca na zagrodzie.

Bogaty wojewoda, potentat, tak zwany Panie Kochanku, od przysłowia, którego używał, nieraz opisywał swoje

łowy. Pan Cześnik (mówił starosta) zna je wszystkie, ale może nie zasłyszał o tych, o których chce waszmościom powiedzieć.

Cześnik skłonił głowę, nalał pełny kielich i podał go z uszanowaniem, a starzec przybierając mowę samego Panie Kochanku, którą doskonale naśladował, począł:

— Przed czterema laty byłem na łowach Panie Kochanku, strzelałem razy kilka, wyszły mi wszystkie naboje, aż tu razem Panie Kochanku, wyskakuje duży jelen, i staje bliżutko. Co tu robić: był jeszcze nabój prochu, sypię w lufę, a jadłszy właśnie wiśnie, miasto łoftek pestkami nabiłem. Jak zmierzę Panie Kochanku, jak palnę, aż jelen podskoczył, zdawało mi się, że go trafił w czoło, ale z pewnością nie wiedziałem. Wyjechałem potem za granicę, zwiedziłem Niemcy, Francję i Włochy, po trzech latach wróciłem do domu. Że lubię łowy, poszliśmy znowu na jelenia; stoję w tém samym miejscu, i niedługo wyskakuje jelen, patrzę, poznaję, że to ten sam, com doń strzelił pestkami, bo z samego środka czoła wyrosła wiśnia z pełnemi gałęziami owocu! Takto Panie Kochanku, poznałem swego jelenia, który uszedł zdrowo, i buja w moich kniejach.

Przypominam sobie (mówił dalej), że miał na dworze swoim szlachcica ogromnego i barczystego, zwał się Leon Borowski. Miał on być zawsze towarzyszem Panie Kochanku, potwierdzał wszystko, co potentat wyrzekł, i wchodził jako osoba działająca do historii różnych. Od niego się dowiedział, jakiego sposobu używał Panie Kochanku na łowienie licznych niedźwiedzi. Półwozia (o dwóch kołach) z krótkim dyszlem, który kazano okować ostro, smarowano miodem, i rozstawiano po kniei. Łakome niedźwiedzie słodczy, liżąc coraz dalej, same się nadziewały, tak, że konie dyszla drugą stroną wychodziły, wtedy ukryci chłopcy wyskakiwali z zasadzki, porywali za one końce i przywozili do dworu niedźwiedzia. Zapewniał mnie sam Panie Kochanku, że jednego roku, co był w miód ubogi, 2,000 niedźwiedzi przywiedli chłopcy. Skóry z nich władował na okręt i sam z niemi ruszył, ale burza zagnała go na nieznane i odległe morze. Wiatry chwiały nawą, już go miały

przewalić, wtedy ja Panie Kochanku, skoczywszy w rozhukane bałwany, oburącz uchwyciłem okręt i przez całą dobę płynąc pod zagrożoną nawą, podpierając własnymi barki, przyprowadziłem do bezpiecznego portu.

Za pozwoleniem wielmożnego starosty, odezwał się pan Jan ze Szczuczyna, pomnę dobrze, jak wielu niedźwiedzi trzymał na swoim dworze. Kiedy jakiego cudzoziemca spodziewał się u siebie, zaraz w oznaczonym czasie, gdy widziano, że się zbliża, służba dworska i czeladź znikła. W bramie stało dwóch niedźwiedzi ogromnych, białoszyjków, z wielkimi pałkami, na ganku, w sieniach też samo. Zdarzyło się w on czas, że zaprosił do siebie sławnego Włocha doktora; boć to od dawna jak w przypowieści: co Włoch, to doktor. Włoszysko, co nigdy nie widziało naszych niedźwiedzi, nie mógł wjechać w bramę, bo konie wystraszone zwracały. Przydany dworzanin radził mu wysiąść z kolasy, i pójść pieszo. Usłuchał ale na swoje ciężkość. Wchodzi w bramę, aż tu zamrukną niedźwiedzi-ska, podniosą się na dwóch łapach z pałkami, pan Włoch mało nie umarł; idą dalej, nikogo z ludzi nie widno; doktor się żegna i modli; wchodzi na wyniosły ganek, stoją niedźwiedzie; do sieni, tu rzędem dwunastu stoi; to było dla Włocha za wiele, zbladł jak Pietrowina z grobu, a dworzanin prawie wniósł go do komnaty. „Panie Kochanku, — rzekł pan wojewoda do Włocha — ja inszj służby nie mam, u mnie wszystko zastępują niedźwiedzie, służą za czeladź i jeżdżę niemi.” — Tak zaprawdę — rzekł pan cześnik — mój ś. p. ojciec sam był obecny, jak w Warszawie do jednego znacznego pana, Panie Kochanku zajechał. Zjazd był wielki; nagle powstaje rozruch, krzyk i wrzawa; rozhukane konie przewracają pojazdy, zrywają zaprzęg; pan domu posyła marszałka, ażeby wykazał powód rozruchu. Marszałek wraca i donosi, że Panie Kochanku zajechał czterema ogromnemi niedźwiedziami i wszystkie rozhukał konie.

— O! lubił ci, lubił te zwierzęta — zaczął znowu pan Jan ze Szczuczyna — onemu Włochowi jeszcze nie tu koniec. Zaledwie ochłonał nieco i otrzeźwił dobrém winem (jakiego nam widzę i pan cześnik dobrodziej nie żałuje), dano

do stołu. Pan wojewoda zasadził doktora przy sobie; po pierwszym daniu radzi Panie Kochanku odmienić talerz: Włoch obraca się z nim, i widzi wielkiego niedźwiedzia stojącego na dwóch łapach za krzesłem, z talerzem czy-stym pod pachą. To go dobiło:—zbladł i zemdlał;—długo mu nos kręcono, nim przyszedł do siebie; od onej doby już więcej tam nie zajrzał.

— Kiedy nasz miły sąsiad, — zawołał gospodarz — chwali tak nasze wino, i porównywa do dawnego, a to ze sławnej piwnicy, trzeba go lepiej zakosztować i nie tak małą miarką.

To wyrzekłszy, otwiera w pobliżu leżące pudło i wyjmuje zeń puhar dwukwartowy srebrny, bez nogi z tym literami gockiemu napisem:

„Ludzie wzięli mi jedną, ja im lepiej zrobię.
Bo za jedną nogę, odejmę im obie.”

— Bene! — wykrzyknął podochocony starosta, i klasnął w dłonie radośnie: „Mors a tergo, bibamus ergo!” I całe grono starców poczęło wołać donośnie: vivat! vivat!

Pan Jan z Szczuczyna przyjmując z rąk starosty, co go już spełnił, puhar, jak nazywano kulawką, którego postawić nigdzie nie można, i musiał obchodzić wokoło z ręki do ręki, wstał i zanucił:

Gospodarzu! gospodarzu! kto u ciebie bywa,
Zawsze wesół, zawsze wesół, nigdy nie pościwa.
Hej! ha! do licha,
Dajcie nam kielicha!
A za jego zdrowie,
Niech nam szumi w głowie.

I przytknął do ust kulawkę, przechylił, i oddał próżny towarzyszowi Zarebie. Zareba, gracz stary, wedle wyrażenia cześnika, niedługo się bawił i dobrze się sprawił, ani kropli nie zostawiwszy, oddał w ręce gospodarza; gdy głośna wrzawa w sali, gdzie młodzież tańczyła, zwróciła wszystkich uwagę. Sześć par krakowskich ukazało się w sali z własnym skrzypkiem; niespodziewane ich zjawienie obudziło radosną wrzawę.

Grajek krakowski przygrał serdeczną nutę do śpiewków.

Zaledwie wokoło dwa razy wesoło grono obiegło, zmieszał się porządek. Wszyscy chcieli do krakowiaka

należć; rozochocone dziewczątka poskoczyły do grona starców; w pierwszą parę musiał pójść starosta, dalej cześnik, pan Jan ze Szczuczyna, sędzia i tłusty podsedek. Sędziwy starosta kazał grajkowi ciąć od ucha, i nadrabiając miną, wyręczając nogi, klasnął w dłonie. Oklaskami przygłuszone grajki, gdy z chóru zagrzmięła muzyka cała marsza, i wszyscy udali się parami na wieczerzę do zastawionych w kłamrę stołów.

Już było daleko po północy, kiedy się uczta skończyła, młodzież zmęczona nie tak rzeźwie tańczyła; tylko kulawka między starcami przechodziła z rąk do rąk, lubo nie długo. Kiedy i kapela poczęła drżymać, na dany znak przez cześnika zagrała dawną piosnkę hejnałową, na powitanie zorzy; a arlekin z kilką młodzieży i panem Janem z Szczuczyna, który ich tej stariej pieśni nauczył, zanucili razem:

„Hejnał świta jużci z morza!
Rumiana powstaje zorza;
Jutrzenka w swojej jasności
Rozgania nocne ciemności.
Wstaje w lesie ptak zakryty,
Wstaje w puszczy zwierz niebity,
Wstań oraczu! hejnał świta,
Ciebie z początku zawita.”

Pieśń ta była hasłem rozejścia się na spoczynek: arlekin uderzył silnie trzepaczką i zawołał: „dobra noc! dobra noc!” a pan Jan z Szczuczyna kulawkę raz jeszcze na chórkę wychylił, życząc wszystkim snu smacznego i błogiego.

1. Mazury.

Mazury oddzielną składały prowincją; cenieni byli, czego dowodem przysłowie, cztery najlepsze rzeczy wyliczające: koń Turek, chłop Mazurek, czapka magierka, szablą węgierka.

Taniec mazur upowszechniony w całym kraju i od cudzoziemców chwalony, obertas, drugi ich taniec; wyborne placki, mazurkami zwane, wstawili ich równie.

Dyalekt ich odmienny, ztąd przysłowie: „zacina z mazowiecka;” zamiast sza, cza, mówią sa, ca; z ż robią z; trzy u nich brzmi tsy; z y robią a, z dż c; nie powiedzą

chodźmy ale chodźma; e i a, przetwarzają na o; tak więc mówią: panionki, gorki; zamiast szcze, używają sce.

O Mazurach Święcicki w dziele swoim: *Topographia Masoviae*, tak wyraża się: „Lud wiejski hoży, wesoty i odważny, w rozrywkach swych dźwiękiem jednostrunnego instrumentu lub trąby zabawia się.

W Mazowszu chłop ubiera się w białą, czarną lub szarą siermięgę z łapkami, czerwonym lub zielonym sznurkiem obwiedzionemi; koszula zwieszona na spodnie, do kościoła idąc, w spodnie ją kładzie. Spodnie zimą i latem parciane; wybierając się na nabożeństwo, stroi się w granatowy sukienny żupan, takąż lub zieloną suknię, u której wyłogi czarne, aksamitne, jak u kontusza i dwa guzy cynowe; pas czerwony lub w strefy żółte z czerwonym, taśmową robotą w kilkoro obchodzący. But od parady; przy robocie bosa noga. Czapki różnego koloru niskie, grubo wystane pakułami z baranem szerokim czarnym; kij gruby dębeczak albo świdłak; latem kapelusz prosty wełniany biały lub szary, albo słomiany. Kobięcy ubiór: prócz innego odzienia, kaftan sukienny.

5. Lud Podlaski.

Składa się z Mazurów i Rusinów. Pierwszych obyczaje opisały się już wyżej, o ostatnich jedynie tu mowa. Rusin bywa pospolicie śniadawej twarzy, średniego wzrostu, zwięzły, blady; wasy, niekiedy gęsta broda i spojrzenie surowe nadają mu postać ponurą. Wytrzymały na wszelkie zmiany powietrza, i kobiety nie ustępują w tej mierze mężczyznom; na koniach jeżdżą dobrze. Sukmana Podlasiaka ciemno-kafowa, przepasana czarnym pasem; ma nahawice czyli spodnie i soroczkę, to jest koszulę z białego płótna z niskim kołnierzem, spiętym mosiężną spinką lub czerwona wstążeczką zawiązanym. Czoboty (buty) powyżej kolan zachodzą z ogromnemi podkowami; duża czapka z szerokim baranem lub kapelusz słomiany. Dziewki równo z czołem wiążą chustkę, której końce na przodzie w karkdę ułożone; nad nią leży warkocz, czyli kosa splecio-

na, różnokolorowemi ozdobiona wstążkami; gorset niebieski lub z płótna białego, sukmana taka, jak mężczyzn. Mężatki warkocz ukrywają pod czepcem, na który w święta kładą płat, czyli 5 łokci białego płótna, złożone nakształt szalu, spadające aż do kostek. Są małe różnice powiatów. Strój tu opisany jest obwodu Bialskiego i Radzyńskiego. Wieśniacy i wieśniaczki noszą postoly czyli obuwie z kory lipowej, a czasem ze skóry plecione. Dziewczęta mają włosy gładko zaczesane, warkocz wstążkami przeplatany, spada z tyłu; czoło całkowicie płótnem białem w kształcie długiego prostokąta przewiązują, u którego farbowane czasem rogi, końce przez siebie przełożone spadają z tyłu głowy na plecy; koszula biała, szyja paciorkami ozdobiona, sukmana ciemnokafowa, krótsza jak góralska gunia, przepasana krajką czarną lub koloru burakowego. Zameżne nie chodzą z gołemi głowami. Warkocz na kibatek okręcony, przykryty małym czepcem, który sam warkocz tylko osłania. Czoło przewiązują podobnym ręcznikiem, jak dziewczęta, z pod którego reszta włosów gładko czesanych wygląda. Płatów używają powszechnie. Mężczyźni soroczkę i nahawice mają z białego płótna, sukmanę kafową po kolana, pasem czarnym lub burakowym przepasaną, postoly, mały kapelusz słomiany, lub niską czapkę w kształcie głowy cukrowej. W Łosickim powiecie kobiety kaftaniki sukienne lub cycowe, z świećcami guzikami noszą; nie znają płatów, tylko chustki, koszule z garniowaniem; mężczyźni kapoty siwe, kapelusz okrągły czarny, lub czapki z siwym baranem, przy którym wiele wstążek różnobarwnych.

Muzyką Podlasiaków skrzypce, trąby pastusze i fujary nakształt fletrowersów z sześcią otworami. Taniec ich zawierucha, we czworo na krzyż trzymając się za ręce; hajduk, w linii prostej kładą cztery czapek, staje czterech młodzianów, każdy wyprawia skoki; kozak, we dwie lub cztery osób, w dwóch rogach izby stanąwszy, skaczą naprzód do siebie; sztalcer, a raczej sztajer, śnać od Niemców przejęty, podobny do walca, tylko go szerzej tańczą, w każdy kąt izby dolatując; nakoniec wale i obertas.

6. KILKA SŁÓW O WIEŚNIAKACH ŻMUDZKICH.

Wyjęte

Z WSPOMNIENI ŻMUDZI

Księżda Ludwika Adama Jucewicza.

Lud prosty (gmin) bez zaprzeczenia stanowi prawdziwą masę narodu, w której wyobrażenia, charakter i obyczaje przodków, jakkolwiek przeciagiem lat i wpływem rozmaitych okoliczności zmienione, zwykle się zachowują.

Gmin na Żmudzi stanowi rzadki wzór zbioru prawie wszystkich cnót; wady, jakie są na Żmudzi, do tamecznego prostego ludu zastosować się nie dają; wady te mają szlachta i obywatele. Chłop żmudzki nadewszystko miłuje domową zagrodę, nigdy jej też nie opuszcza; to jego przywiązanie do domowej strzechy, jest przyczyną mało tu upowszechnionego handlu. Żmudzinowi oddalić się kilkadziesiąt mil od domu, jest to samo, co pojechać za kraniec świata, pomiędzy biegunowe lody, z kąd rzadko kto wraca. Najdalsze punkta, które tutejszy zna chłop, są: Wilno, Ryga, Tylża, Kłajpeda i Królewiec; dalej czy mieszkają jacy ludzie, i wiedzieć on nie chce.

Pobożność i ścisłe wypełnienie ustaw religijnych poczytuje za pierwszy obowiązek. Wiara dla niego jest droższą nad wszystko w świecie. Zaprowadzony zwyczaj oddawna uczenia dzieci wiejskich czytania, pisania i rachunków utrzymuje się i dzisiaj. Wzgardy powszechniej stałby się ofiarą ten wieśniak, którego by ujrano w kościele bez książki do nabożeństwa. Skutkiem dobrze poznanych zasad wiary i ścisłego ich wypełnienia, są dobre obyczaje i moralność. Wieśniak żmudzki jest przywiązany i kocha swego dziedzica, nie jako pana, lecz jako ojca, od Opatrzności przeznaczonego. Występki kradzieży nader są tu rzadkie; o zabójstwie ani słyszeć. Piękne, budujące są obyczaje kmiotków; wykroczenia przeciw cnocie pomiędzy niemi do szczególniejszych fenomenów złego się liczą i praktykują się bardzo rzadko.

Wieśniak żmudzki nosi się czysto i strojno, zwykle kolorowo. Strój mężczyzn: kapota z domowego sukna błęki-

tna do kolan, podobna do krakowskiej sukmany, w piękne wzory wyszywana na około, zielonym jedwabnym sznurkiem objęta, skórzanym pasem, spinającym się mosiężnym lub srebrnym pendentem, torba borsucza, przez plecy przewieszona, pantalon sukienne lub płócienkowe, chustka na szyi kolorowa, czapka okrągła z psięj albo lisięj skóry w zimie, a w lecie kapelusz okrągły, wysoki z zatknietą kłtą z piór pawich. Strój zaś kobiet: katanka z sukna cienkiego za kolana, nadzwyczaj fałdzista z amarantowemi mankietami, i trzy chustki bardzo cenne, na głowie, piersiach, a jedną twarz obwiązana. Letnią porą: koszula z płótna holenderskiego lub perkalowa haftowana, gorsek jedwabny kolorowy, u nie zameżnych włosy splecione w dwa duże warkocze, łączące się drogą zwykle różową wstęgą, spływają na ramiona; na szyi noszą mnóstwo paciorków i koralików bursztynowych; zameżne obwiązują głowę chustką, namiotek tutaj nie znają. W niektórych okolicach, a szczególnie koło Rosien, kobiety kładą na plecy perkalowe haftowane płachty, podobne z kształtu do szalów dam naszych. Kobiety z nad morza Bałtyckiego używają pewnego rodzaju przykrycia, podobnego do szkockich pleców, spiętego klamrą srebrną, lub francuzkiego złota, ozdobioną drogiemi kamieniami. Rozumie się samo przez się, że opisane tutaj ubiory są świąteczne; w dnie powszednie stroją się, jak im wypada i jak wygodniej.

Pijaństwo tu nader jest rzadkie, i kmiotek chyba w czasie biesiady się podchmieli.

Lud na Żmudzi z przyrodzenia jest wesoły; po ukończeniu całorocznych trudów, porą zimową, w każdej wsi, w dni świąteczne, zbierają się wszyscy do jednego domu, gdzie starcy siadłszy za stołem przy pełnych szklanicach wybornego piwa, albo wódki warzonej z miodem i zaprawnej imbirerem, cynamonem i sokiem malinowym, zwanęj krupnikiem, gwarzą o dawnych czasach, o starożytnych bohaterach, których wyobrażnia potomków nadludzkimi poczyniła, a obojędzi młodzież weseli się tańcem lub się grą zabawia; niektóre z tych gier i zabaw do pewnych czasów są zastosowane.

Wszędzie ujrzyś wsie porządne, ślicznie zabudowane, ulice wysadzone drzewami, płoty kamienne; domy włościańskie z kominami, mężczyzn dorodnych, niewiasty piękne, ustrojone w płócienka własnej roboty, od których ruskie przynajmniej o dwadzieścia procent są niższe. I dlatego tu nigdy nie zjawia się ruski kupiec, albo przynajmniej bardzo rzadko. Domy wieśniaków w tej stronie, (w stronie jeziora Płotejskiego) szczególnież też ku pruskiej granicy, wszystkie prawie są ich własnością; z tej więc przyczyny i najpiękniejsze podobno na całej Litwie i Polsce. Te domy mogą oni sprzedawać; niektóre po kilkaset, do tysiąca talarów wartości mają. Tutaj chłop mniej niż gdzieindziej jest uciśnionym dworską powinnością, zwaną pańszczyzną; bo zwykle czynsz płaci. Ci zaś, którzy dla dziedzica pracują, nie więcej nad dwa lub trzy dni w tygodniu odbywają. Mając zatem dosyć czasu do zajęcia się robotą, mają i byt daleko lepszy od wieśniaków innych okolic. Oddać tu należy sprawiedliwość, iż do pomyślności prostego ludu, najwięcej się przyczyniają zacni i wiecznej wdzięczności godni obywatele.

7. Śpiewacy w Polsce i na Rusi.

przez

Wł. K. Wojcieckiego.

Zagaśła pierwsza Guślarzów nazwa, wraz z ich pamięcią u ludu, a starożytne śpiewy, one pomniki dziejów dawnych, głuchły coraz: w ustach jedynie wieśniaczych, zostawiwszy słabe echo, nie już wspomnień historycznych, ale właściwie słowiańskiego ducha, barwy i myśli.

Dziś kobzę rzadko zobaczyć, rzadko napotkać wędrownego z rzemiosła dudarza, a przecież taka ich mnogość była za Stefana Batorego, że na sejmie w 1578 r. ustanowiono, iż każdy dudarz rocznie podatku dać winien 24 groszy ówczesnych. Duda i lira, brzmiały gędźbą po zamkach panów i modrzewiowych dworach szlachty, a rycerz w okurzonej zbroi, wróciwszy z wyprawy, zadąć kobzy się nie wstydził, lub przygrać na lirze, albowi bandurze.

Ów zawołany bohater Samuel książę Korecki, którego S. z Skrzypny Twardowski słusznie „piorunem tureckim“ nazywa, gdy szedł w jassy turecki; po nieszczęsnej bitwie przygrywając na kobzie, smutnych pocieszał towarzyszy swoich.

Kobza, inaczej koza, duda zwana, najpowszechniejsza była w krajach nadwiślańskich, jak lira i bandura u Rusinów. Jeżeli dudarzy pełno było, nie tylko w miastach i po wsiach osiadłych, niemniej i wędrujących, co przebiegali z kobzą w ręku, a pieśnią w ustach, sioła, dwory i zamki.

U Rusi wszakże dostrzegam oddzielną kastę śpiewaków. Są to ślepy, niewidomi. Znałem na Pokuciu (nad Prutem) dziadą, który dwóch synów oślepił. Dziad taki niewidomy lub sam gra na lirze, lub go prowadzi syn młody, co przygrywając na niej, przyspiewuje pieśnią.

Rzewnie patrzeć na starca, co pozbawiony wzroku z sakwami na plecach, trzymając za ramię młodego syna, obchodzi dziś jeszcze sioła i dwory na Rusi. Usiedzie starzec, miasto oczu, drgają mu tylko białka, a syn obok niego pokręca korbą, uderza zręcznie w klawisze liry, i wydobywa z niej tony, do pieśni świętej lub smutnej dумы. Ale nie zacznie ni dумы starodawniej, ni wesołej kołomyjki, póki nie odśpiewa pieśni o świętym Mikołaju.

„Bo nie masz na ziemi (tak śpiewa lirnik) większego patrona: w nim jest pomoc cała, on rozum jest. On ratuje więźnia, sierotę i wdowę. Jeżeli błądząc pomodlisz się do niego, on cię naprowadzi na drogę; nie wpadniesz między lutek wilków, a biesowski rozpędzi obłąd.“

„Opiekun sierot, karmiciel biednych, o co go błagasz, w tém cię poratuje; a gdy przyjdzie dzień strasznego sądu, w nim pomoc i obrona grzesznika.“

A gdy zakończy pieśń pobożną, starzec przypomina mu dumę jaką; lirnik młody gra i śpiewa już wtedy światowe pieśni, zwykle wesołą kołomyjką kończając.

I tak chodzą ode wsi do wsi, od dworu do dworu; ślepiec napełnia sakwę żywnością i grosza uzbiera, wraca do swojej chaty, gdzie wygodnie żyje. Zwykle albowiem ten

Panionko, jak go Ruś sama zowie, do najbogatszych należy: nie ma we wsi nad jego zamożniejszej chaty; a pomiędzy swymi jest w powadze i znaczeniu. Dlaczego używając dobrego bytu, ojciec stara się, by w jego krwi i pokoleniu utrzymał się zaszczyt rodu Dida (dziada), bo to już nie mała chluba, gdy Panionko może powiedzieć o sobie: że did z dida, dziad z ojca i pradziada.

I sami Panionkowie grywają na lirze. W górach w pobliżu sławnego wodospadu Prutu, spotkałem młodego ślepeca. Nadszedł w to miejsce widomy lirnik, i począł przygrywać. Na pierwszy odgłos zadrżał ślepy, błagał, aby mu użyczył liry; drgały mu palce, z chciwością wyciągnął ręce jakoby po skarbiec jaki; ale nieużyty grajek nie chciał dać mu liry, zaledwie dalkiem zagniony do spełnienia gorących życzeń ślepoty. Won czas ślepiec schwyciwszy lirę, odetchnął wolniej, pochylił głowy przysuwając bliżej ucho, zakręcił korbą, i puścił palce uczone po klawiszach.

Na bladej twarzy wnet wybił rumieniec, w całym było widać głębokie uczucie; mógł powiedzieć, że nigdy lira nie miała lepszego mistrza; a gdy skończył, z wysilenia opuścił bezwładne ręce, oparł głowę o skałę, pod którą siedział, a pot kroplisty oblał twarz całą, rozpaloną gorączką.

Lirnicy odwiedzali często i nadwiślańską ziemię, a Mazury równie lubili tych grajków i śpiewaków razem, jak swoje sławne mazowieckie dudy. Jeszcze pamiętam starca lirnika, co obchodził po Warszawie. Wysoki, nachylony nieco łaty, siwy jak gołąb, poważnego i czerstwego oblicza, okryty zawsze jasno-niebieskim szerokim płaszczem z krótkim kołnierzem, pod którym nosił lirę. Chodził od gospody do gospody grając na lirze, przyspiewując drżącym głosem dawne dumy i pieśni. Często i na publicznych przechadzkach usiadłszy, obudzał smętne tony. Pamiętam dobrze! Ta twarz sędziwa, zmarszczkami okryta ale szlachetna, z której rozpusta nie spędziła młodzieńczej róży, ten włos siwy, w długich splotach, co wiatr rozwiewał, płaszcz długi, ubiór niezwykły, przy wykwinnym stroju cudzoziemskim mieszkańców Warszawy, używających prze-

chadzki, cała postać wspaniała, ten głos drżący, co się tak dobrze godził z drżącą struną liry, silne na młodzieńczym umyśle musiał czynić wrażenie. Byłto ostatni lirnik śpiewak, wśród zfrancuziałego i przenienczałego miasta, dobywał grobowego głosu, do wyśpiewania starodawniej pieśni, której słabe echo nie odbiło nawet. Któż wtedy zwrócił na niego oko? Pamiętam jego słowa, gdy raz wychodził z gospody, nie mogąc nic zarobić, zagłuszony wrzaskliwą katarynką: „Źle, że starego nie chcecie słuchać, a stary dawne rzeczy pamięta.“ We dwa lata, jakem go poznał, w zimie umarł. Napróżnom go czekał tam, gdzie zwykle zawsze przychodził, gdzie słuchałem jego liry i pieśni; nie ujrzałem już więc niebieskiego płaszcza, jak go nazywano; pogrzebiono go w tym płaszczu, a lira, na której nikt grać nie umiał, rzucona na komin, posłużyła do rozniecenia ogniska ubogiej rodzinie, przy której zamieszkiwał starzec.

Duda pod nazwą kozy, kobzy, używana jest w Krakowskiem, u górali, w Wielkopolsce; nie ma do dzisiaj muzyki u pospólstwa, gdzie dudy nie ma. Wismukli górale nasi na brzmienie kozy w chyżych skokach okazują radość, jak górale Słowacy, wśród śnieżnych Tatrów, kiedy swoje gajdy usłyszą. Ruś dotąd używa jeszcze kozy.

Duda wielkopolska tém się głównie różni od kobzy krakowskiej, góralskiej i ruskiej, że grajek sam usty nie dmie, ale za pomocą mieszka umocowanego na prawém biodrze nadyma, a przez to swobodniejsze zostawia usta do śpiewu.

Tymto dudarzom, kobeźnikom, bandurzystom i lirnikom, kiedy zagasta pamięć słowiańskich guślarzy, winniśmy dochowanie najdawniejszych i najpiękniejszych poezyj. Byłto prawdziwi apostołowie, co przychodzili ode wsi do wsi, od dworu do miasta, nauczając pieśni i nuty.

Chwalono w XVI wieku mazowieckie dudy, z niemi chodzili pątnicy (pielgrzymi) zwani Cursory wonceas, a przygrywając śpiewali pieśni nabożne i cuda świętej Jerozolimy.

Pomiędzy dudarzami bywali sławni grajkowie. Zimorowicz wychwala Daniela Kobeźnika.

Jak lubiono za Zygmunta III dudy, dowód podaje Kasper Miaskowski.

„Ale nie masz nad nasze z krzywym rogiem dudy.
Bo te może mieć zawsze i pacholek chudy.”

Bandurzyści przetrwali długo polskich dudarzy i kobeźników; kiedy ci już nie zajrzeli do żadnego dworu, przygrywając jeno po gospodach i na weselach wiejskich, bandurzyści do ostatnich lat panowania Stanisława Augusta znaleźli miejsce po dworach. Widziałem rysunek sławnego naszego malarza Orłowskiego, przedstawiający powrót z uczty dwóch panów polskich. Idą z rozpalonem obliczem, za nimi postępuje służba, poprzedza ten orszak wesoły bandurzysta, skacząc śpiewa i przygrywa na bandurze.

S. O polskim języku Łowieckim i o Świecie Łowieckim.

Łowiectwo należy do najstarszych zatrudnień człowieka. Najpierwsze pokolenia ludzkie, otoczone dzikimi zwierzętami, musiały z nimi walczyć, to broniąc się od ich napaści, to potrzebując skóry i mięsa lub ciał na ofiary bogom, to podbijając je pod swoje panowanie, to obierając siedliska w miejscach ich przytułku. Dla pierwszych więc ludzi łowiectwo było potrzebą; onito idąc codziennie w zapasy ze zwierzętami, tworząc prawie jedno z nimi towarzystwo, znali dokładnie ich istotę i nie tylko je ponazywali, ale przymioty ich, ruchy, głosy, w słowach oddali. Onito są twórcami języka łowieckiego, który w swych czasach nie nosił tej oddzielnej nazwy, i dopiero wtedy ją przybrał, kiedy świat łowiecki, przestawszy być sceną powszechnego życia ludzkiego, stał się tylko miejscem zabawy. Jak wszystko, co w odległej starożytności powstało, tak i język łowców, był zwierciadłem przyrody, a słowa jego wiernym malowidłem przedmiotów. Później, gdy ludzie, odwykając obcowania z przyrodą, coraz mniej ją pojmowali; jeszcze później, gdy nauki przestały, że tak powiem, wyrastać z serca narodów, straciła przyroda w ich

mowie barwę, głos i życie. Pierwszy raz sił swoich doświadczyli ludzie zapewne na zwierzu; bohaterami nazywano tych, którzy wytępiając szkodliwe zwierzęta stawali się użytecznymi ludzkości. Słowianie od niepamiętnych czasów trudnili się łowiectwem, czcili boginię łowów, mieli rozmaite bóstwa leśne. W Polsce, według świadectwa latopisarzy, polowania są bardzo stare. Bractwa strzeleckie bywały w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i we Lwowie. W szkole strzeleckiej, z dawna istniejącej w Krakowie, strzelano z łuków, kusz i rusznic do kurka (koguta) drewnianego; a kto go zestrzelił obrany był na cały rok królem kurkowym i otrzymywał różne przywileje. Strzelanie, albo jak dawniej lepiej mówiono, strzelbę uważano kunstem rycerskim, a ćwiczenie się w niem za przyzwoite mężowi. Prawie wszyscy królowie polscy lubili łowy, niektórzy z nich większą część czasu na nich trwonili, jak August III. I szlachta polską lubiła polowanie i używała różnych tego rodzajów, bądź z drapieżnymi ptakami, bądź z psami, bądź innymi; odbywano je niekiedy z wielką wystawą. Śród takich okoliczności dojrzewał język łowiecki polski, nosi on niezaprzeczoną cechę dawności; słowa, któremi objawił myśli natury, obrazy, w których ją zmysłowie przedstawił, czynią go poetycznym. Wiele zapewne słów zatrzymał jeszcze z czasów pogańskich, inne ustąpiły miejsca późniejszym, inne znowu weszły bogacąc tylko język, wiele może zaginęło, wiele dotąd nie zebranych błądzi po ustach starych myśliwych. Dziś łowy rzadsze, język łowiecki widocznie zamiera, bo młodzi myśliwi często z języka swego zaledwie kilka słów umieją; dawniej taka obojętność była naganną i karaną, i nieraz młody paniczek wszedłszy w świat łowiecki, dostał sforami na zwierzu, albo okupił się musiał za nieumienie języka łowców, albo za spudłowanie (chybienie) niedźwiedzia lub dzika, z którymi się potykając ojcowie jego, drwili z tatarskiego tańca. Niektóre obce narody mają podobne języki. Język niemiecki łowiecki, acz piękny, nie wyrównywa naszemu. Przystępujemy teraz do części składowych polskiego języka łowieckiego. Są różne rodzaje polowania,

jako to: obława, czaty, podstuchy i t. d. Polowanie nazywa się polem. Czarne pole jest polowanie na dziki; szklane, wodne, legawe pole albo brodzenie, polowanie na lotną wodną zwierzynę. Dodniówką nazywa się zaranie, i polowania w zaranie najpowszechniej używano na lisa; wieczorką, polowanie wieczorne. Ostre pole, ziemia grudowata; mówiące, widne pole, ziemia na której znać ślady; ślepe pole, gdzie ich nie znać; srokate, mieszane pole, ziemia gdzieśniedzie śniegiem pokryta; dzikie pole, pustynia. Wysoki las, jest las z drzew wielkich; niskim lasem są krzaki; knieja podszyta, to jest krzewiną zarosta; ponoś, znaczy trop zwierza na śniegu; hasłem jest trąbienie. Czarną zwierzyną nazywają się dziki, płową jelenie, lotną ptaki. Pole zakładać, znaczy polowanie zaczynać. Zwierzęta są miejscowe, albo domowe, albo przechodnie.

Pies, istota zadziwiającej pojętności, stróż człowieka, przyjaciel dzielący z nim stale wszystkie losy koleje, towarzyszy mu i na świecie łowieckim; tu on rozwija różne swoje przymioty, tu prawie każdy ruch jego ciała, każdy odcień ducha znajduje nazwę i nieśmiertelność w słowie; tu mu się człowiek moralnie najwięcej odwdzięcza. Różne ma nazwy, to gatunkowe, jako: brytan, kondel, ogar, chart, gończy, wyżeł, jamnik, pijawka; to przymiotowe, jako: mistrz, bardzo zręczny; bałamut, goniący lada co głosem; bydlarz, porywający się do bydła; zapaśnik, łgarz i t. p., to według kształtu, barwy, głosu, albo usług, jakie pełni, np. śpilka, pałasz, cygan, płaczek, gęśla, duda, podsokoli, postrzenienny. Głowa jego jest twarzą, pysk trąbą; zęby u charta śpilki, ogon kitą; czuch albo pach, albo wiatr, powonieniem; przymioty cnotą; odzywanie się goniąc, graniem; lata, polem. Pies spąchiwa, to jest poczuwa zwierza; rusza, wypędza; goni po zwierzu, po tropie; albo na oko, kiedy gra postrzegłszy tylko, zławia, odzywa się nie widząc zwierzyny; zaciera, gubi ślad; unosi się, za ślad wybiega; wiatrem goni, tylko za wyziewem zwierzęcia w powietrzu rozlanym; trzyma, długo goni; ucina, przestaje gonić; zalewa się pysk, w rosie macza; dłubie, źle goni; zbija, jeden drugiego przegania; wyrzuca, wyprzedza inne; na

przełaj idzie, zachodzi drogę zwierzynie; bucha, w śnieg zapada; kopnął się, wyskoczył z śniegu lub jamy; pudło (mydło) wozi, z tyłu zostaje; dociera, dogania; pracuje, albo już dopracował się, dogonił; wyżeł waruje, bobruje, na brzuchu się kładzie; dzwoni, ogonem macha; mamla, ino oszczekuje zwierzynę; znosi, przynosi z wody. Psy się odzywają różnemi głosy na rozmaitego zwierza, to grubszym, to cieńszym, altem, basem, dyskantem, drząco, rzewnie, zapalczywie, albo cukrują, to jest głosem przyjemnym; na lisa żarliwiej grają jak na zająca, za pierwszym pospolicie sznurem, to jest linią prostą; za drugim, krzywą gonią. Charty się smyczą; gończe sforują; kondle drążkują. Zgraja, łaja, jest psów gromada; luzem idą, kiedy nie powiązane. Pancerz, jest ubiór na piersi zabezpieczający je od dziką; pierścień, naszyjnik, koleczka obroża; wprawa, nauka psom dawana. Odprawą, są skoki zajęcze, chleb w kostki krajany lub inny pokarm dawany psom po uszczuciu zwierzyny; nawara, pokarm zwyczajny, robiony z maki owsianej z dodaniem chleba, nóżek baranich lub mięsa. Uważać należy, aby psy regularnie jeść dostawały i czystą wodę miały i najochędźniej były utrzymywane. Pies w koszyku leży, kiedy w kółko zwinięty wypoczywa; dobry i zdrowy pies w gorącu rozciągnięty, a w chłodzie w koszyku leży. Kotłowy, jest dozorca psów i wprawiający je. Z młodem bardzo ostrożnie postępować należy, aby nie zrazić, nie osłabić, a zawsze z dobrimi psami układać.

Zając najpowszechniej zwany kotem, ma i inne nazwy, jako od ubarwienia bielak, szarak; od pory roku: marczak, wrześniak, przytém ślepak, wytrzeszczak, śpiuch, skotak, korpak, koszlak, wacho; oczy jego są wytrzeszcze; uszy słuchy; zęby strugi; wąsy strzyże; nogi skoki; ogon kosmyk, osmyk; okryty kożuchem a na Rusi smużkiem; tłuszcz jego jest skromem; sierść, turzyca; miejsce legowiska, kotlina; miejsce zabaw w nocach miesięcznych i zabawy same, kotem; wrzeszczy, kniazi; w biegu swoim kluczy, albo robi klucze, to jest miesza tropy; susa, przesadza rowy; chica, wyskakuje; łamie, bałamuci charty; robi susy, stawia słupki; majaczy, krąży wokoło; przycupa, przypada do

ziemi albo w krzak; kołkuje, staje w miejscu i słucha; wy-
sworowywa się, wychodzi na miejsce, gdzie łatwiejsza
ucieczka; émi, bardzo daleko się pokazuje; miga, pokaże
się i znika; szusta, zapada w śnieg; modli się, kiedy oto-
czony chartami; kica, bieży powoli; kipi, albo kładzie się
po sobie, zmyka w całym pedzie; prosi się, kiedy pod wsie
w zimie podchodzi, a polowanie wtedy: na proszonego;
łapy liże, uciekł. Jest albo żakiem, niezręcznym albo gra-
czem. Ślad jego dobrze oznaczony jest ścieżką, a miejsce,
kiedy przemyka, przesmykiem. Ogrodowinę strzyże, wy-
strzyga, psuje.

Lis jest psem; zakradający się do kurników, kurnikiem;
wychodzący zawsze o świcie, zorzanem; pysk jego, nosem;
ogon, kitą albo łopata; nogi, stawki; dynduje, to jest biega;
myszkuje, poluje na myszy; składa psy, zwodzi; choica się,
zbliża ukradkiem; znika, w jamę się kryje.

Jeleń jest bykiem albo rogalem, oczy jego świece; uszy,
łyżki; nogi, badyle; rogi mu nie odrastają, ale wieniec
wkłada i przyozdabia gałęziami, perłami, różą, pierście-
niem, mchem, które są częściami wienca; roguje, bije ro-
gami. Sarna jest kozą; samiec sarny, sarniec albo cap;
u niej ogonem, kwiatek; nogami, cewki; bieg jej drzeniem
albo podrzeniem.

Wilk jest basiur albo dziki pies, albo z łacińskiego lupus;
porywający się do cięższych koni, kobyłarzem albo kobyła-
kiem; zgłodniały, zbójem; głowa jego, latarnia; oczy, lam-
pami, na Rusi kagańcami; zęby, kłanćcami, a dzwonięcie,
kłanćcaniem; ogon, polanem, wiechą, kądzielą; głos, wy-
ciem albo trąbieniem; skrada się, podchodzi pod bydło;
wynosi, zajada; cupie, obces się rzuca; zaświeca, w nocy
pokazuje się; korowodzi, gromadnie chodzi; zaumiera, za-
czaja się postrzelony; bębni, po strzale, zaraz pada.

Dzik jest odyńcem, roczniak pojedynkiem, młody war-
chlakiem, samica lochą lub samurą; inaczej zwany bło-
ciarzem, smolakiem i t. p., według miejsca lub zatrudnie-
nia; ryjak jego gwizdem, ma pióra zamiast szczeciny;
szablę zamiast kła, którą obcina i kaleczy; a myśliwy
ostrożnym być powinien, kiedy idzie na dym, to jest po

wystrzale strzelca. Odzywa się gwizdaniem, gruchaniem,
kwikaniem, grzechotaniem, szumem albo krzykaniem.
Buchta, miejsce poryte przez dzika; miejsce przechodu,
droga. Niedźwiedź jest włochacz albo miś, albo misio;
miód wykradający, bartnik; młody niedźwiedź, piastun;
łapa jego plackiem, albo łopata; włos, kudłami; chód, tele-
paniem, łazem; głos, rykiem, porykiem, hukiem, mową;
miejsce legowiska, domem albo złomem; wodzi za pasy,
boryka się; stawia drabinę, spina się na przednich łapach;
wichrzy, strzela, miota kamienie, drzewo; pieści albo ści-
ska, dusi; zamiała, dokoła się broni. Borsuk jest norem
albo jazwcem; susał, swiszczkiem; łasica strzałą, a jej
mieszkanie dupłem. Na żubra czole skóra włosiem okryta
jest wirem, a grzywa jego kądzielą. Bobra ogon, kielnią;
tłuszcz, strojem; głos, kwileniem lub świstaniem; miejsce
osady żeremiem.

Krew zwierząt jest barwą (farbą); dzika, posoką; niedź-
wiedzia, juchą. Ubarwienie w ogólności zwierząt i ptaków,
nazywa się suknią; ziobra, piórami; wnętrzności, patrocha-
mi; grzbiet, cąbrem; bok, połciem; węż, wiatrem; stado,
chmurą. Wielki zowie się mocny; piękny, dobry; chudy,
cienki; postrzelony, chory; dobrze się broniący, cięty. Za-
jąc tłusty jest skromny; jeleń, kraśny; dzik, sadlisty. O pta-
kach mówi się, że są oblane albo żerne, co niektórzy i do
zwierząt stosują; kuropatwa, pyszna; gęś zażywna, sytna.
Śladem zwierząt jest trop, ślak, sznur albo pęd. Miejsce
ich przebywania, koczowiskiem, żerowiskiem, leżą. Prze-
chodzimy do lotnej zwierzyny. Ptaki są albo miejscowe,
albo przelotne, to jest odlatujące na zimę, albo tułające się
jak wrony, kawki; inne zimowe, jak śnieguły.

Niektóre ptaki mają różne nazwy bądź gatunkowe, bądź
przymiotowe; dzikie kaczki są: krzyżówki, cyranki, podgo-
rzałki, podlotki, łyski, kozy, nurki; noga dzikiej kaczki
jest wiośtem; połyskujące na skrzydłach pióra, zwiercia-
dłem; bekas jest dubelt, krzyk, baranek, słomka, kulik,
kuliczek, samotnik i t. d. Drozd: paszkoł, kwiczoł, kos,
zawojec, średniak. Jarząbka gdzieniegdzie zowią kogut-
kiem; kuropatwa jest kurą albo starką; dziki gołąb, grzy-

waczem; turkawka, gołąbkim, kwilodem; drób', indykiem, bieg jego, unoszeniem; dzięcioł, kowalem; bocian, bociem albo boćkiem, lub buśkiem (po rusku czornohus); dzika gęś, gąską. Ptaki jadą, to jest latają; padają, okrywają, to jest siadają; biesiadują, przebywają; wędrują, w jesieni odlatują; koczują, przebywają gromadnie; błakają lub bładają, z miejsc na miejsca się przenoszą; wiszą, kiedy na powietrzu w jednym miejscu się ważą; są w krzyżu, np. jastrzębie, kiedy rozciągniętymi skrzydłami krzyż tworzą; paprzą, grzebią; kapią się, tarzają w piasku; furnają, raptem odlatują lub zrywają się; brykają, odjeżdżają, nietrafione ulatują; wiośtują, pływają; mogą być albo obarczone, postrzelone; albo koziołkować, przewracać się w powietrzu; albo spaść z dymem, upaść kamieniem, to jest spaść zaraz po strzale; opierzyć, znaczy tak strzelić, że się tylko pierze z ptaka posypie. Ptaki przeoczą i przez sieć uciekają i nie chwytają, ale łamą inne ptaki. Łot słoński jest przeciąganiem; krzyka, wymykiem; derkacza i przepiórki, uskokiem; kuropatwy i drobia, bieganiem; dzikich gęsi, żorawi i kaczek, ciągiem; dzikich gołębi, siewek, turkawek, obłokiem; chmurą, kiedy lecą gromadnie. Piękne ubarwienie ptaków jest ubraniem; skrzydła ich są loty albo żagle; miejsce ich padania, siadłem, ziarnikiem, żerowiskiem, łokiem, paprzą; gniazdo drapieżnego ptaka, pieleszem; czas zbierania się ptaków, złoty. Młoda gęś, kaczka albo kuropatwa mało co upierzona zowie się farbówką. Polowania z drapieżnymi ptaki należą do najdawniejszych; używano u nas orłów, sokołów i różnych ich gatunków, jako białozorów, to jest sokołów bielegających na starość, kobuzów, rarogów, krogulców, jastrzębi, bądź krajowych; bądź zagranicznych. Gniazdowiec jest ptak z gniazda wzięty; gałęźnik, który dopiero z drzewa na drzewo wylatuje; takie mają być najlepsze do polowania. Dobry sokoł i w ogóle każdy ptak drapieżny, powinien być chudy, oczu pełnych ognia, skrzydeł silnych, nóg mocnych i szponów ostrych. Drapieżnym ptakom odbierają dzikość bezsennością, a potem je uczą, co się nazywa unoszeniem; żywność dla wszystkich tych ptaków świeża być powinna, a trzymać je

należy w miejscu chłodnym. Iść czarnym szlakiem albo borem, znaczy podchodzić lotną zwierzynę; pod pierzem szczewać, polować z ptakiem drapieżnym.

Uboższym jest język łowiecki co do ptaków, których państwo jaśnieje różnych barw bogactwem, zajmuje tysiącami pieśniami, może dlatego, że nie wszystkie nazwy i słowa są znajome; wiele także ptaków nie należy do zwyczajnego polowania. Nazywają jeszcze szczygła kulczykiem; wilgę, gwizdą; sówkę, babą, kukawką; jaskółkę domową, domaszką; rybitwę, rybakiem; dudka, wudwudkiem; bąka, hukałem albo hupałem.

Są to nazwy łowiecko-ptasznicze; słyszałem je od ptaszników, częścią w Królestwie, częścią w Galicyi. Słowa łowieckie są bardzo właściwe, żaden inny wyraz nie wyrówna słowu kicać, na oznaczenie powolnego biegu zająca, a zając w największym pędzie czyliż nie kładzie się po sobie, albo ktoś nie widział na polowaniu jak zając łamie charty, jak te przez swoje różnostronne szybkie ruchy zdają się łamać? Głosy niektórych zwierząt: jak żubr jęczy, jeleni beczy, lis skomli, wiewiórka pryska, orzeł szczeeka, sęp kłapa, sokół kwili, kuropatwa gdaka, cięgoce; przepiórka bije, gęś gęga, drop' ksyka, słońska chrapi, śnieguł piszczy, gołąb' bębni, grucha, bruka; żółna skrzeczy, kwiczoł piska, kawka plegoce, skowronek dzwoni, przepioruje; jaskółka piskoce, żoraw struka, sokół kwili, puchacz woła; jak wiernie oddane.

Nie będę się rozwodził nad pięknnością każdego słowa, nie ujdzie zapewne baczności mowców, a przyjaciele ojczystej mowy ujrzą i w jej odnodze, w języku łowieckim, tę cechę wyższości, która stanowi jej zaletę między siostrami słowiańskimi.

Pełen życia i poezji jest nasz język łowiecki; żaden powszechnie używany wyraz nie zdoła zastąpić słów jego; są one w porównaniu z niemi, czém kwiat sztuczny z kwitnącym.

Strzelba świeży albo żywi, kiedy nie od razu ubija; dołuje, góruje, bokuje, rozrzuca albo gęsto bije. Koniec rury jest okiem; częściami szelby są: kolba, lufa albo rura, cel,

łoże, przykład, ujęcie, warkocz, stępel, kapsel, kominek, zamek i t. d.

Różne także mają nazwy np. pojedynka, dubeltówka, ptaszniczka, kniejówka, szmigownica, dziwerówka, jaszczurka, tyrolka, sztuciec i t. d.

Sieci jest mnóstwo, jako: płot, parkan na grubego zwierza; rozjad, włok, trokówka, płotek, pajęczyna, niewód. I trąbki są różne: chareciówka, borówka, kniejówka i t. p. i trąbi się rozmaicie według potrzeby.

Jest także kilka słów obcych w używaniu, mogą one być ojczystymi zastąpione: apel (przybywaj), cwajnos (dwunosi), forsować, kuplować i t. d. Do łowców należą: myśliwi, strzelcy, sokolnicy, bobrownicy, ptasznicy. Nie mieliśmy zamiaru rozszerzać się nad wszystkiemi, co dotyczy łowiectwa, i chcących obszerniejszych wiadomości odsyłamy do dzieł o tym przedmiocie mówiących.

9. Dom możnego szlacheica.

Z CZASÓW STANISŁAWA AUGUSTA.

(Wyjętek z powieści *Rzewuskiego* „Listopad.”)

W powiecie Mińskim, nad jeziorem Wielizańskim rozlega się wieś obszerna, dziś nazwana Korwinowem, a która jeszcze niedawnemi czasy nosiła nazwisko Niewodowa. Tam wznosi się teraz pałac murowany, pokryty blachą połyskującą majowym kolorem, którego gzymsy opierają się na pilastrach korynckiego porządku. Od pałacu aż do jeziora rozciąga się ogród angielski, gdzie rośliny z czterech części świata ściągnione, z zadziwieniem spotykają się pośród borów na pół hyperborejskiej Litwy. Sam pałac, oparty na dwóch pawilonach, zdaje się natrzęsać z kurnych chat, nad którymi panuje. Dzisiejszy właściciel, założyciel tego gmachu, niczego nie zaniedbał, żeby ozdoby wewnętrzne i tryb życia były jemu we wszystkiemi odpowiednie. Okna jednoszybowe, z Petersburga sprowadzone, stały się przedmiotem podziwiania, niemniej od mahoniowych mebli, których połysk jasno-brunatny odbijają złociste brzozy. Ognie z kosztownych pajaków, kandelabrow

i lamp kryształowych rzucane, powtarzają się w kłamanym mistrzowską ręką marmurze, ozdobionym sztukaterią. W niektórych pokojach wiszą materye w Lugdunie wyrobiane, w innych widać naturę pędzlem zwyciężoną. Napatrzyć się można na zegary bogato orzeźbione, na stoły z malakitu i mozaiki włoskiej, na sążniste zwierciadła, na obrazy kosztowne albo przynajmniej w kosztownych ramach ubrane. Przepych stołu odpowiada przepychowi pałacu, a kapela, pod wodzą artysty z Neapolu sprowadzonego, przynajmniej dwa razy na tydzień melodyjnemi tonami popisuje się przed gospodarstwem i gośćmi, co ich odwiedzają. Jednem słowem Korwinów jest przedmiotem nie tylko zawiści, ale i jakiegoś uszanowania całej sąsiedniej okolicy.

Takim jest dzisiejszy obraz Korwinowa. Ale, jeżeli cofniemy się o lat kilkadziesiąt, wcale inaczej wyglądał, wcale był inny tryb życia jego mieszkańców. Zamiast ogrodu angielskiego były trzy długie ulice lip niebotycznych, jako trzy ściany w środku zamkniętego sadu; czwartą od południa było jezioro Wielizańskie, a na jego brzegu widać było kilkanaście grzęd tytoniu, kapuszy i innych jarzyn. Między domem a równoległą ulicą lipową, róże mechowe, bzy tureckie, ostróżki i stokroć, oparkane wokół porzeczkami i agrestem, były jedyne rośliny, niby pieszczone. Z przeciwnej strony szerzył się dziedziniec tak ogromnie, że jego część była zasiana makiem i anyżem. Parkan był z wysokiego dębowego częstokołu. Za parkanem obszerny wygon zamknięty półkołem chatami czystemi, których dziedzińce, oszańcowane żerdziami, świadczyły o dobrym bycie mieszkańców. W obrębach dziedzińca pana wioski był dom niemały, drewniany, ale na podmurowaniu, nieco mniejsza oficyna kuchenna, gdzie oprócz kilku izb gościnnych, był jeszcze warsztat sukienny. Naprzeciwko oficyny imbar czyli świronek, z pod którego wyskakiwały często pierzchliwe króliki, a w samym świronku były znaczne zapasy gorzałki, skór, wosku, stoniny i innych płodów krajowych. Ku bramie wznosił się gołębnik, dalej wędłarnia, na koniec murowana stajnia z wozownią, masztalernią

i jeszcze jedną izbą, gdzie pod strażą drzwi żelaznych spoczywały archiwa domowe.

Sam dom, szumnie od wsi mieszkańców nazwany zamkiem, wysoki a spadzisty dach nosił na barkach swoich, dach, w którego wnętrzach była suszarnia na mąkę. Dom się opierał na ganku przestronnym.

Z ganku wchodziło się do sieni obszerniej, w zimie ocieplaniej, gdzie czeladź dworska, na zydlach i ławkach siedząc czekała rozkazów pańskich, nie z założonemi jak dziś rękami, ale robiąc sieci i niewody. W sieniach nad drzwiami prowadzącemi do bawialnego pokoju, wisił obraz N. Panny Boruńskiej. Tego pokoju, niby najwykwintniejszego w całym domu, meble składały się z dwóch kanap i tuzina stołków obitych drylichem sinym w arcabnicę, z dwóch stolików i jednej komody, na czarno bejcowanych. Przy oknach były firanki z muślinu, luzowane miesięcznie przez drugie także, nad kominkiem zwierciadło w tynk wpuszczone, a na ścianach obrazy ś. Kazimierza Jagiellończyka, Króla Augusta III i Królowej Maryi Józefy, Księcia Hetmana i Ks. Hetmanowej Radziwiłłów.

Po jednej stronie bawialnego pokoju były drzwi od bokówki, tak nazywano izbę przeznaczoną na sypialnię dla najświetniejszych gości i Książę Wojewoda nie raz ją zaszczycił noclegiem. Tej izby sprzęty były jeszcze skromniejsze. Dwa tapczany z siennikami zakrytemi kilimkiem domowej roboty, dwa stoły dębowe bez nakrycia, na jednym z nich toaletka z warcabnicą, na tamtym krucyfiks drewniany, dalej jedna szaraga, sześć stołków, a na ścianach obraz błogosławionego Fabiana ze Słupiów i ś. Antoniego Padewskiego.

Po drugiej stronie alkierz, tam za kotarą z karmazynowego adamaszku stało łóżko żelazne gospodarza, pod opieką dużego obrazu N. Panny Ostrobramskiej, któryto obraz kilka pokoleń, jedno drugiemu, z błogosławieństwem przekazywało; pod obrazem grórnica, woda święcona z kropidełkiem, kilka gałęzi wierzbowych z ostatniej Kwietniowej niedzieli i para wianków aromatycznych na Boże Ciało poświęconych. Przy łóżku duży stół ponsowem sukniem

okryty, na nim na postumencie hebanowym mały krucyfiks srebrny z kokosowemi paciorkami i dzwonkiem Loretańskim, który w czasie burzy, tętniąc w rękę chłopca biegającego wokoło domu, cały Niewodów od piorunów i gradów zastaniał. Nad drzwiami do bawialnego pokoju, wisił ogromny ryngraff z wizerunkiem N. Panny Częstochowskiej, który nie w jednej bitwie ocalił życie pobożnemu rycerzowi, z wiarą go noszącemu. Dalej kufer bawoli w żelazo okuty, obwarowany podwójnym zamkiem, a na nim co niemiara motków i kłębków. Naprzeciwko łóżka wielka szafa, ledwo niedotykająca pułapu, a na niej wyglądały zapyłone papiery.

Sień, o której wspomniałem wyżej, przedzielała pokój bawialny od sali, a ta była obszerna, kiedy pośrodku stał nieruchomy od założenia domu stół, za którym czterdzieści osób mogłoby się wygodnie usadowić, na ławkach także odwiecznych, obitych sukniem niegdyś zielonem. Między drzwiami wchodowemi a kominem był zegar z kukłką, wedle którego odbywał się porządek dzienny całego domu. Po drugiej stronie ku oknom była szafa kredensowa, a jej półki zdradzały się kratą drewnianą ukośną. U spodu szafy były trzy wielkie szuflady z bielizną stołową, to wszystko pod pieczę starego kredencera, uposażonego długimi siwemi wąsami. Na szafie stał butel z piskorzami pluskającemi się w wodzie, dwa razy na tydzień odświeżanej. Barometr niekosztowny ale rzetelniejszy od tych, co je z niemalym kosztem aż z Niemiec sprowadzają. Przy szafie wanienska, a w niej dzban szeroki, miedziany, wewnątrz grubo pobielany, z wodą kryniczną, czystą jak łza, przezroczystą jak ranek majowy.

Z sali wchodziło się do skromnej, ale pod pewnym względem, najważniejszej izby całego domu. Była to kancelarya jegomości. W niej najpierw uderzało wążutkie łóżko żelazne, na niem materac zielony skórzany, siercią wybity, i poduszka zamszowa. Na nim jegomość codziennie odpoczywał godzinę po obiedzie. Nad poduszką wisił obraz ś. Józefa, patrona gospodarza, pod nim mappa Europy, a nad samem łóżkiem mnóstwo kołków, na których

zaczepione były rozmaite części zbrojówki szlacheckiej. Cztery karabele z furdymementem, ładownica podróżna, torba myśliwska z borsuka, dwie koszul z siatki żelaznej, kordełas, kilka strzelb, nahaj z srebrną skówką, laska z toporkiem. Przy łóżku stolik z szufladką, na nim krucyfiks, para brzytew, mydelniczka cynowa, pasek skórzany, osetek z grabiny skamieniałej do wycierania brzytew i książka do nabożeństwa, nazwana Żołtarz. Przy jedynym oknie kancelaryi drugi stolik; na nim kalendarz tegoroczny, talia kart polskich w stariej kopercie zawinięta i próbki rozmaitych ziarn. Ale najgłówniejszy sprzęt był kantorek z klajpedy sprowadzony, wysoki, wznoszący się na 4^{ch} kolumnach żelaznych z mosiężnymi kapitelami, z ponad szuflad dolnych, a dźwigających sam kantorek, oklejony sukrem zielonem, na którym, stojąc gospodarz pisywał. Szuflad dolnych było dwie, i w nich zamykały się księgi rejestrowe, kassowe, inwentarz i raporta ekonomiczne. A między kolumnami leżała biblioteka, wedle dzisiejszych wyobrażeń szczupła, ale jak na owe czasy obszerna, gdzie jednak bez wątpienia znaleźć można było więcej zdrowych myśli i prawdziwej nauki, niżeli w wielu teraźniejszych, które śmieciami umysłowemi zapełniają PP. Księgarze drukujący na wagę. Albowiem szczegóły tej biblioteki były następujące: Biblia Wujka, Herbarz Niesieckiego, Nowe Ateny, Wojsko Affektów, Rekolekcyje Sgo Ignacego, Śwada Polska, Żywoty Świętych Skargi, Kronika Strykowski, Psalmy Kochanowskiego, Zegar Monarchów, i kilka książek łacińskich. Osobno leżał w szufladzie zamknięty Statut Lit., Hau-ra o gospodarstwie i Inwentarz prawa Żeglickiego.

Takito obraz rezydencji P. K. istniał rzeczywiście w końcu pierwszej połowy i w początkach drugiej zeszłego stulecia. Wszystko było skromne, pomierne, pospolite.

Jedyna rzecz, która i zewnątrz architekturą, i w środku ubraniem swoim, mogłaby zastanowić przechodnia obeznanego nawet z cudzemi krajami, była kaplica Niewodowska, na dziedzińcu dworu wzniesiona.

Kaplica ta była eksekwowana na wzór Chrzcicielicy Medyolańskiej, przez doskonałego architekta, wywiezio-

nego z Paryża przez księdza biskupa Wileńskiego, a pokryta blachą miedzianą, na ogniu pozłacaną. Ołtarz był z granitu szlifowanego, kolumny, na których się opierały organy, były z gipsu i barwą i połyskiem naśladowanego marmuru. Lichtarze, ramy do obrazu N. Panny nad ołtarzem, lampa we dnie i w nocy świecąca się przed Najświętszym Sakramentem, były ze szczerzego srebra, a jakie bogactwo ornatów, kap, aparatów kościelnych...

Ale wracając tylko do samej architektury, musiała być ona piękną, kiedy jedna tylko kaplica zdołała sobie ocalić od ogólnego wywołania staroświecczyny, lubo wprawdzie jej przeznaczenie odmienione zostało.

Gdzie był dwór i zabudowanie dworskie, teraz rosną klomby angielskie, na miejscu stajni wznosi się cieplarnia, zamiast grzęd warzywnych, obszerny i pieszczony kobierzec gazonu zalega brzeg jeziora, nawet ciemny szpaler lipowy nie uszedł niszczącego toporu. A dawna kaplica zamieniona w altanę, dotąd przepychem swojej budowy zadziwia. Oprócz niej wszystko się odmieniło — i ludzie i ich dzieła.

10. Jarmark w Berdyczewie.

Ustęp z powieści Józefa Korzeniowskiego „Spekulant.”

Przejdźmy do Berdyczewa, do tego ogniska żydowskiej Elipsy Polskiej, której drugie ognisko jest w Brodach.

Już na równinach od Podola i Ukrainy bieleły ogromne trzody bydła; a wśród tej masy rogatej czerniały tu i owdzie baranie czapki i brudne twarze zgońszczyków. Tam także, jak półkownicy przed piechotą, uwijali się szlachta i różni spekulanci na koniach; podjeżdżały to ztąd to zowąd bryczki, wózki, a nawet i kocz, w których siedzieli żydzi, szlachta i panowie. W innym miejscu beczała armia owiec hiszpańskich, saskich i mieszanych polskich. Z tym odgłosem przeraźliwym, głupim, i przechodzącym po kudłach szeregach jak plutonowy ogień, mieszały się krzyki właścicieli, łajanie pastuchów, szczekanie psów i harkotanie żydów, którzy jak powietrze obejmowali wszystko i byli wszędzie. Bliżej miasta w zagrodach stały tabuny

tatarskich koni. Wśród nich i wokoło uwijali się wierzchem Tatarowie, tłukli się na twardych siodłach żydzi w trzewikach i w pończochach podziurawionych na pięcie, i harcowali panicze w czamarkach, z wąsami, z brodami, często z gołą twarzą i kieszeniami; ale każdy z batożkiem w ręku, z uśmiechem na ustach, z okiem zapaloném chęcią posiadania. W środku uwijał się arkan, który zarzucano na szyję biednemu koniowi; a we wrotach zagrody stali kupujący szlachta, żydzi i panowie, śród harhotania i gwaru, śród klaskania batożkami, śród krzyku Tatarów: prot! prot! W mieście był taki sam ruch i krzyk jeszcze gorszy. Ulice wąskie i brudne zawałone były podwodami chłopów. Powózki ruskich zwoszczyków, wyładowane ciężko i sztucznie, ciągnęły się rzędem. Tu i owdzie biegły krakowskie bryki, pełne żydów, żydówek i dzieci, które złamtąd jak wróble z gniazda, wyciągały kudłate główki, i patrzyły, czy nie spadnie z kąd półrubelek? Frachtowe bryki szły także w różnych kierunkach, z wystającymi bokami, z wysokim płóciennym dachem, pokrywającym olbrzymi ładunek. Na ich kozłach żydzi w zabłoconych pończochach, chociaż błota nie było, w kapeluszach z obwisłymi skrzydłami, poświstywali długimi biczami, raz krzycząc na konie: wiu! wiu! to znowu harhocząc z oskakującymi ich ze wsząd faktorami, których poły były naturalnie podkasane; mieli nankinowe spodnie, zabłocone trzewiki i dziurawe pończochy. Przez ciasne miejsca, które zostawiały podwody, bryki i powózki, przesuwała się to kareta, z której wyglądały ciekawe twarzyczki szukające, gdzie sztyl Szaflagla; to kocz, w którym jechał obywatel, poglądający na okna ratusza, gdzie go zielony stół oczekiwał; to liczne konie panów, które furmani prowadzili od wody; a między tym labiryntem wozów i powozów, jak woda bystrzej rzeki szumiąca i ogarniająca porozrzucane kamienie, krążyli wszędzie żydzi, starzy i młodzi, bogaci i ubodzy, to z towarami, to bez towarów, to wadząc się, to zmagając, a wszyscy razem gadali, wszyscy krzyczeli, wszystkim szło o jedno, o ten talizman, który daje ruch i życie każdemu jarmarkowi — o pieniądź.

Taki sam zgietk, taka wrzawa, takie harhotanie było na wszystkich ulicach, po wszystkich zajezdnych domach; i przy teatrze, na którym naklejone były afisze; i przy ratuszu, którego wszystkie sklepy były otwarte i pełne; i dalej, dalej w niskich sklepikach, ciągnących się ku Karmelitom; na chwiejących się i połamanych wschodach, zewnątrz przyczepionych do domów żydowskich i prowadzących na pierwsze piętro, a nawet u samych Karmelitów, gdzie wówczas więcej było żydów i tatarów, niż chrześcian, i gdzie z tej fali różnobarwnej, różnojęzycznej, brodatej, wąsatej, wygolonej, łajaczej, zaklinającej się i klnącej, wysuwała się czasem do otwartego kościoła jaka postać ludzka.

11. Dwór w Dębowej Woli.

(przez tegóż).

Koło godziny dziewiątej pan Kasper, który nocował o parę mil od Dębowej Woli, wjechał w cienistą dąbrowę, której każde drzewo to stojąc oddzielnie, to w grupach, zdawało się przyzywać Ruisdała, aby je przeniósł na płótno, tak było piękne, tak starannie oczyszczone, tak malowniczo wznosiło się na miękkim puchu zielonej murawy. Szeroka droga wystana zwirem i tylko co umieciona, prowadziła do gustownej i niskiej bramy, od której ciągnęło się na prawo i na lewo ładne i lekkie ogrodzenie, oddzielające park od ogrodu. Spojrzał złamtąd wokoło pan Kasper i nie mógł się nasycić tym widokiem harmonii, gustu i prostoty. Po obu stronach dziedziniec kończył się ogrodem zaginającym się w zieloną dolinę. Najpyszniejsze gazony, najumiejętniej dobrane i skombinowane kłaby, najrozmaitsze grupy drzew, a gdzieniegdzie samotny ogromny dąb, poważna i cienista lipa, oto były jego ozdoby. I myśl i oko miały się czém zająć i ucieszyć. Równolegle do parku wznosił się dom nie zbyt wielki, ale przez swoje formy i doskonałość rysunku, okazujący masę imponującą. Dach był zakryty wysokim gzymsem i kształtną galeryą. Środkowa wystawa o trzech oknach, wysunięta cokolwiek naprzód i ozdobiona czterema pilastrami, miała na sobie odpowie-

dni altyk z bogatą armaturą, umieszczoną widać jako ozdoba architektoniczna, nie przez próżność, bo na tarczy nie było żadnego herbu.

Po obu stronach wystawy, służącej za wchód, było po cztery okna. Były one ogromne, i dochodziły aż do niskiej galeryi, ciągnącej się wzdłuż domu i ubraniej w wazony drzew pomarańczowych, cytrynowych, i kwiaty wyniesione z oranżeryi. Pierwsze piętro było daleko niższe i małe, i miało kwadratowe okna. Do obu boków domu przypiętały dwie galerye, ciągnące się w całą jego szerokość, i mające po jednym oknie weneckim odpowiedniemi wielkością oknom dolnego mieszkania. Kolor szary dodawał powagi całej tej budowie, wznoszącej się spokojnie na okrężającym ją placu, który cały był usypany zwirem. Poza domem, w owej rozkosznej dolinie widać było wielkie zwierciadło wody. Brzegi jej z przeciwniej strony zieleniły się czystą murawą, a gdzieś tam kapaty się w niej gałęzie wierzb, bżów i innych drzew, ugrupowanych z rzadkim przemysłem.

Słońce niezbyt wysokie rzucało jeszcze długie cienie na gazony; świeżość poranka jeszcze nie przeszła w upał dniowy; ptaki jeszcze niezupełnie umilkły; żadne niepotrzebne zabudowanie, żadna kupka śmieci, żaden ruch i zakręt domowy nie psuły tego uroczystego wrażenia, jakie sprawiał na naszym podróżnym widok tak pięknej natury, tak wytwornej sztuki, takiej czystości, porządku, i tej poważnej ciszy, która go otaczała. Zapomniał na chwilę pan Kasper o tych bolesnych uczuciach, które mu całą noc nie dały zamknąć oka, i odświeżony, lepszy zbliżył się z wolna i stanął przed gankiem. Zaledwie wysiadł i wstępował na wschody, wyszło z sieni dwóch kozaczków, czysto, choć nie bogato ubranych. Jeden, skłoniwszy się rzekł: — Pan Marszałek w domu — a drugi zapytał: — Czy pan każe odprowadzić konie do stajni? — Jak chcesz, mój grzeczny chłopcze! — odpowiedział pan Kasper i poszedł za pierwszym.

Sień była obszerna, wystłana marmurową posadzką. Takież wschody prowadziły na pierwsze piętro. Na prawo

i na lewo były wielkie drzwi do pokojów. Wszedł pan Kasper na prawo, a minawszy jeden pokój, znalazł się w wielkiej sali o trzech oknach przez całą szerokość domu idącej. Tam kozaczek poprosił go, aby się chwilę zatrzymał; a sam wszedł do owej galeryi, o której wspomnieliśmy wyżej.

Sala miała doskonałą dębową posadzkę, białe mozaikowe ściany; pod lekkim gzymsem na półtora łokcia niżej, biegł pas szeroki mat, na którym były rozmaite ozdoby i arabeski; trzy wielkie żyrandole służyły do oświetlania tego obszernego pokoju; a pod ścianami wokoło stały niskie, miękkie i wygodne sofy, obite amarantową materją.

Spojrzał pan Kasper na tę prostą elegancją, przypomniał sobie salę Chorążego i uśmiechnął się, mrugnąwszy okiem. W tejże chwili wszedł Marszałek w rannym surducie, a poznawszy swego gościa, poprosił go z sobą. Wszli więc do galeryi. Byłto pokój tak wysoki jak i inne, tak długi jak sala, i mający do dziesięciu łokci szerokości. Oświetały go dwa okna weneckie: jedno na dziedziniec, drugie na ową dolinę, gdzie był staw foremny, czysty i okrągły jak jezioro. To ostatnie okno było otwarte, dawało świeże powietrze i najcudowniejszy widok. Z niego wychodziło się na obszerny i kamienny ganek, mający wschody na ogród. Podłoga w całym pokoju wybita była zielonym sukmem. Na środku stał wielki stół do pisania, a na przeciwko niego marmurowy kominek. Cała ściana zewnętrzna od dołu do góry założona była książkami, ułożonemi porządkie, oprawnemi czysto ale bez zbytku, i stanowiącemi dobór szacowny dzieł w rozmaitych gałęziach nauk, szczególniejszycy się: historyi, literatury, historyi ludów i filozofii praktycznej.

Ściana przeciwna wybita była cienkiem malinowego koloru pułsukienkiem; a na tém tle odbijały przedziwne obrazy w złoconych ramach, porozwieszane ile można odpowiednio i z różnaitością okazującą prawdziwego znawcę.

Przy drzwiach otwartych na ogród, stał stolik ze śniadaniem, dokąd Marszałek gościa swego poprowadził. Pan Kasper szedł z wolna; patrzył ciągle na to wspaniałe i ciche ustronie, na ten widok, który go czarami otaczał; i prze-

nikniony do gruntu serca usiadł w milczeniu. Postrzegł to Marszałek, i rad w duszy z wrażenia, jakie to sprawiło na człowieku, o którym wysoką miał opinią, rzekł, nie udając fałszywej skromności:

— Staratem się, ile mogłem, pomódz naturze do ozdobienia mojej samotności.

— Panie Marszałku,— odpowiedział gość, wyciągając do niego rękę: — kto jak Pan używa majątku, już przez to samo jest szanownym człowiekiem.

12. Obraz sknery wystawnego.

(przez tegoż).

Pan chorąży Woleczyński byłto sknery wystawny, jakich mamy wielu na wszystkich szczeblach majątkowych naszej szlachty. Próżność bowiem i wystawność jest pierwiastkiem i sprężyną ich czynności, jest źródłem głupstw najpociesniejszych. Jeżeli który z nich odebrał staranne wychowanie, jeżeli zna świat, i widział wiele rzeczy pięknych i wytwornych, w wystawności jego będzie gust i wybór; jeżeli zaś wyrósł w domu, zestarzał się w swojej prowincyi, to we wszystkiem, czém się zechce popisać, będzie dziwactwo, nieestosowność, nagromadzenie bogate rozmaitych rzeczy bez prostoty, elegancyi i celu. Ale w duszy obu jest skąpstwo brzydkie, prawdziwe. Ani jeden, ani drugi nie daruje grosza swoim wieśniakom; nie da zapomogi, nie postawiwszy wołu, krowy, konia, uprzęży, odzienia, które otrzymują w cenie wyższej nad rzeczywistą; rozgniewa się, gdy się dowie, że w motkach niedostawało jakiego pasma, że nie dodano jakiej kury, że między jajami które biedna chłopka dostawiła do dworu, były niektóre zepsute. I ten i ów podwyższy arędę, jeżeli ją może podwyższyć, dając wzamian żydowi zupełne prawo obdzierać i demoralizować chłopą; ani ten ani ów nie ustąpi nic possessorowi, przez wzgląd na nieurodzaj lub na taniość produktów; i jeden i drugi z najbiedniejszym żydkiem, który wózkem na dwóch kołach zajeżdża do dworu skupować skórki zajęcze, każe się targować do upadłego; księgarza, który przyjdzie do

domu, i przywiezie książki, każe wypędzić z dziedzińca i nie dać mu szklanki wody; te szlachetne dusze, które z narażeniem się na tysiąc odmów i przykrości, śmieją przecież podnosić głos za biednymi i proszą o składkę, przyjmie z urąganiem, lub da zupełnie wytartego półrubelka. Słowem, i jeden i drugi kocha monetę i do niej ma szczególne nabożeństwo; chroni ją i oszczędza, żałując dla siebie, dla dzieci, dla biednych, ale tylko na potrzeby istotne, na wydatki, mające na celu wygodę, zdrowie, gruntowną edukacją i miłosierdzie; bo tego nikt nie widzi, nikt o tém nie zagada. Lecz, gdy wydatek gruchnie po całym powiecie lub gubernii, i da szlachcicowi pozór pana, tam wysypie chętnie. Kupi co okazałe choć niepotrzebne; i co zdarł z chłopą, to odda w angielskim magazynie; co wydrwił z biednego żydka, to zostawi u Szafnagla; co odciął ekonomowi i biednemu nauczycielowi polskiemu, to weźmie kamerdynier Francuz lub guwernantka Angielka.

Takim był pan chorąży Woleczyński. Odebrał on po ojcu majątek dosyć znaczny, ale nie odebrał żadnego wychowania. Z początku był sknerą niewinnym, zagrzebanym, sknerą zwyczajnym, jakich wszędzie wielu; lecz gdy mu się przypadkiem udało dostać posażną żonę, gdy dolazł miliona, zrobił się sknerą wystawnym, sknerą herbowym polskim, tém brzydszym i tém niemoralniejszym, że cały deficyt, okazujący się w budżecie w skutek głupich i niesmacznych wydatków, zapełniał nowymi zdzierstwami, nowym uciskiem chłopów, oficyalistów i arendarzy!

Ponieważ pan Orłowski w Malinowcach miał piękny pałac z kolumnami, postanowił więc i pan Chorąży wystawić dla siebie rezydencyą, któraby widna była w okolicy i o którejby w całej gubernii zagadano. Miał on stary dom, obszerny, wygodny i z ogrodem ozdobionym wodą i przepysznymi drzewami; ale ten dom stał w zakacie, i ukrywał się przed okiem ludzkim. Pan Chorąży wybrał wzgórek za wsią, nagi i bez wody, kazał tam wkopać wielką krowkę, do niej przywiązać prześcieradło jak flagę, i jeździł konno na około wsi, robiąc krąg coraz większy, dla przekonania się, z jak daleka widać będzie dom, który miał

wystawić, a szczególnie z pocztowego traktu. Zaspoko-
ny z tego względu wziął się do roboty, i kontent, że nie
było żony w domu, któraby mu wmieszała swoje ale, pu-
ścił wodze swemu gustowi. Skończył on swój dom prędko,
bo nie żałował pieniędzy; wznosił dwa piętra, postawił
przed gankiem sześć ogromnych kolumn, ułożył posadzki
w rozmaite wyrzynania, wymarmuryzował i wylakierował
ściany, na gzymsach i piecach porozstawiał rozmaite figu-
ry; ale ktoby tam chciał szukać harmonii, proporcji, zgody
kolorów, doskonałości rysunku, a szczególnie prostoty,
wygody i elegancyi, bardzoby się oszukał. Zdała jednak
jaśniała żółta masa z białemi kolumnami, i więcej jak na
milę w około świecił się dom pana chorążego.

13. DOMEK MEGO DZIADKA.

przez

Ignacego Chodźkę.

Któż nie doznał najtkliwszego uczucia, wchodząc po
długim oddaleniu się do domku, w którym dni swoje dzie-
cinne i młode przepędzał; czyż oko nie zalało się łzą mi-
łego rozrzwienia na wspomnienie osób, których w tych
samyh już nie ogląda izbach, a które go tu niegdyś z pie-
szczotą tuliły do serca; czyż mu nie będzie słodsza jagoda
z tegoż samego krzaka w jesieni życia zerwana, z którego,
gdy był dziecięciem, piastunka lub stary dziadulek go kar-
mił; któż w starych sługach domowych nie będzie szukał
z upragnieniem choćby jednego świadka chwil dawno ubie-
głych a obecnych sercu i pamięci obudwóch? Jakże mu
drogim i szacownym będzie ten pomnik, z jakim rozkoszą
rozmawiać z nim będzie i uczyć się na nowo tego wszyst-
kiego, na co dziecinne kiedyś poglądał okiem!

Przybywam do domku mego dziadka:

Wszystko tak, jak było,

Tylko się ku starości nieco pochyliło.

Takaż sama mchem porośła strzecha, tenże sam ganek
z ławkami, i te w rozmaite strony wydeptane ścieżki, po
których dziecinna niegdyś biegła stopa; a co najbardziej,
tenże sam ogromny kamień, na którym tylekroć razem wie-

czorem zebrani letniego używaliśmy chłodu, lub zwróceniu
pokornie do wzniesionego tuż wizerunku Chrystusa, za
przewodnictwem ojca rodziny, wznosiliśmy za jego długie
życie, on za naszą szczęśliwość, gorące modły. Chciwy
zastawnik, który tu był zamieszkał, ogatacując ze wszyst-
kiego tę ubogą chatkę, nie śmiał poruszyć krzyża, a nie
zdołał głazu i te jedyne przy niemyh ścianach zostawił
mi pamiątki.

Przez lat kilkadziesiąt mieszkał tu P. Maciej Widmont,
dziadek mój. Szanowne cnoty jego i proste obyczaje, tém
interessowniejszy złożyć mogą obraz, że pomiędzy opisem
zbytków i wspaniałości bogatych dziadów naszych, pomię-
dzy obrazami wad klasy niższej i średniej, chcącój zawsze
naśladować wyższą, a do naśladowania zbytek bardziej
i nałogi, niżeli dobre wybierającój przymioty, już nie mamy
pierworysów owych uboższych ziemian, u których, w skro-
mnych zagrodach, zachowywała się bogobojna poczei-
wość, prosta i otwarta szczerłość sumienia. Przechowywał
się także zapas przesądów, co wieczór w cichym powta-
rzanych gwarze, łączących familijném, że tak powiem,
ogniwem, gminne urojenia i powieści z domowemi bajkami.

Kilka chat włościańskich i mały obszar ziemi składały
dziedzictwo mego dziadka; z tém szczupłym mieniem
był szczęśliwym i uszczęśliwiał. Jakiżto los do zazdrości!

„Pszczołka, klaczka i pszenica

Wyprowadza z nędzy szlachcica.”

Powtarzał często Pan Widmont, a siedł w gospodar-
stwie za tém starowiejskiém przysłowiem: to też dwa
ogródki jego gajem wiśni, jabłoni i grusz zarosłe, brzę-
czały rojami pszczołek, na gumnisku zawsze kilkoro pię-
knych hasało żrebiąt, i corocznie wielka część pola jego
złotym pszenicy okrywała się kłosem, a obfitość i dostatek
gospodarski napełniały mu stodoły, spiżarnie i spichrze.

Mój dziadek nigdy nie był bez zapasu pieniążków. O! do-
brze pamiętam ów kuferek szczególnie okuty, w ciemnym
kątku garderóbki alkowy stojący; z niego to dostawały mi
się często talary i złotówki, a zawsze ze zwyczajną prze-
strogą, którą mnie wnukowi za naukę, a sam sobie za re-

fleksją przeciw zbytecznej hojności, przy każdym otwarciu kuferka powtarzał:

„Pamiętaj przychodzie
Życ z rozchodem w zgodzie.”

Dom ten mały, chędogi, natenczas wesoły i ładny, dziś mi tylko urokiem przypomnienia miły, zawiera dwie izby pokojami honorowie zwane, alkówkę z garderóbką i bokówkę z alkierzykiem. Bokówka ta z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zydlem koło pieca i długim zapieckiem, gniazdem dziatwy i szczurów, była miejscem najwালniejszej spraw domowych; tu panowie i studzy zgromadzali się przededniem na rożaniec, wieczorem na godzinki; tu przy kawie rano ulubione snów tłumaczenie, i tu wieczorne przy kominie o strachach gwary, którym mój Dziadulo, lubo zdawał się nie wierzyć, i wszystkim niewiarę wmawiał, jednakże sam nową często przydając powieść, niechęć z własnym wydawał się przekonaniem, a kończył zawsze na tém: „Dziatki! dziatki! bez woli Boga nic się nie stanie.” Tu fruzały wiecznie dwa kołowrotki, głuszac zwadkę dwóch świegotliwych prządek. Rzadko jednak goście wstęp mieli do bokówki; dla nich dwa paradne były pokoje; w pierwszym z nich wielki obraz Boga Rodzicy, co niedziela w świeże bukiety siarczystych gwoździaków ustrojony, zajmował ścianę; pod nim bogaty relikwiarz misternej roboty i dzwoneczek loretański odpędzający chmury, pioruny i nawałnice. Kredens i inne sprzęty proste dogadzały tu koniecznej tylko wygodzie. Drugi pokój na zbytek zakrawał; tu kanapki dywanikami zastane; tu staroświeckie w kwiaty malowane obicia okrywały ścianę; tu dwa stoliki niegdyś malowane: na jednym warcabnica, na drugim talia kart polskich dobrze ogranych, i filiżanka z garścią bobu na marki; tu bowiem był plac rozprawy w codziennego nałogowego maryasza i świątecznego ówika.

O! ileż to razy jechałem tu na uroczyste święta! Błogi wieku dziecinnny! jakże ci mało do uszczęśliwienia potrzeba! jak wyobrażenie zabawy i pociechy upaja rozkoszą niewinne serce! jak żywa radość błyszczy w oczach i wzru-

sza całym dziecinnym jestestwem! Z jakimże uniesieniem postrzegałem zdaleka gaik i dach domku, w którym piękną Wielkanoc przepędzić miałem! Wielkanoc! święto najweselejsze, święto wiosny! święto odzywającej się natury! święto odkupienia i powszechniej radości.

Ostatnie resztki sutęj pańskiej wieczerzy, ostatni suchar i ostatni ślędz w wieczór ostatniej soboty spożyty został, i już z bokówki, jakby pierwociny jutrzejszych godów miłe zalatywały wonie, gdy huczne kotły i dzwony dawały hasło rezurekcyi. Bieżał wnet mój dziadunio do kościoła, biegliśmy my wszyscy za nim, biegła cała czeladź domowa; bo, kto z gospodarzem chciał używać darów Wielkanocy, modlić się z nim wprzód koniecznie musiał. Powitany wesołym Alleluja, dzień zaświtał wśród nabożeństwa; dzień piękny, wiosenny; gromadnie i huczno wychodzono z kościoła, „wesołego Alleluja,” odzywano się na około. Pozdrowienie to uroczyste mieszało się z wesołym gwarem pospółstwa, a rzeźwość, uweselenie i radość jaśniały na twarzach wszystkich.

My także wracaliśmy do domu, przechodząc koło chat wiejskich; przy każdej z nich familia pocziwych chłopków w kupkę zebrana, czekała na poświęcenie swoich zapasów. Nasze damy powracały do domu w staroświeckim ale na przepych wyporzadzonym pojeździe, my piechotą krótką tę odbywaliśmy podróż, dając czas księdzu proboszczowi do przybycia dla podobnegoż obrzędu. Co za miły widok nas oczekiwał! W pierwszym pokoju świeża wysypanym jedlinką, długi stół okryty był najsmakowitszym święconym. Tu na środku baranek z czerwoną chorągiewką na grzbiecie, trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodej trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę; obok podpiera go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czerwonym jajem, zwyczajnym, wielkanocnym podarkiem; dalej indyk utuczony, który sam jeden w całym domu przez post wielki nie pościł; szynka, główna ozdoba możnych i chudo-pachołskich święconych stołów; przy niej jakby dla rozdwojenia apetytu żarłoków, ćwierć cielęcina szeroką zalega misę. Cóż mówić o półgaskach, ozo-

rach, cietrzewiach, zdolnych najbardziej stępiony obudzić apetyt? Na obu końcach stołów zasiadły szerokie, przysadziste, jakby téj spiżarni gospodynie, dwie ogromne baby! Ach bez nich! cóżby całe święcone znaczyło? na ich ogorziałych obliczach gęsto wysypane czerwone garby, a ze środka czarniawa, lipka wysączona masa upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory, wewnątrz i zewnątrz smaczne były. Garnitur pirogów i placków rozmaitego kształtu i nazwania, zapełniał zdarzane między półmiskami przerwy, a wszystko gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów: widzenia, smakowania i powonienia nęciło.

Oczekiwano na księdza proboszcza, a tymczasem każdy przygotował się do swojej roli; poglądano w okna, milczano, lub szeptano z cicha; kotka tylko, faworytka domowa, siedząc na kredensie, figlarnie myła się łapką, Filonek tańczył około stołu. Przybywa nakoniec ksiądz proboszcz, mój dziadunio przyjmuje go na ganku; wnet w komżę przybrany, mając za sobą organistę z miednicą wody i kropidłem, poświęca i błogosławi dary Boże, a ukończywszy obrządek, odwraca się z powagą do gospodarza i wyborną prawi oracyą, przez połowę po łacinie i po polsku. Mój dziadunio pełen erudycyi i jezuickiej jeszcze łaciny, wzajemnie zatém wyciął perorę proboszczowi, w której i dzisiejsza solenność i respekt dla jego pasterskiej godności acuminose połączone były. Tu już następowały powinszowania, w których mniej dowcipu, a więcej prawdziwej wylewało się czułości. Syn i synowa, córki i zięciowie, ze łzami w oczach, mało mówiąc, całowali rękę ojca i dobroczyńcy. Nakoniec przychodziła kolej na wnuczka. Aj, serce mi się wyrывało z piersi! Występowałem więc, koło się rozszerzyło, jam na środku, domowy nauczyciel trochę bliżej od innych, dla dodania serca i w potrzebie wyrazu, jeżeliby pamięć lub energia mówcę zawiodły. Zaczynam!... O cudo, o mądrości nad wiek i nadzieje! zaczynam po francuzku i bez zajknięcia się pałę aż do końca; już francuzczyzna w modę wchodzić zaczynała, i ja z gotową, w szkołach ułożoną oracyą, przybywałem na święta.

Dziadulek i rodzice płakali z radości, jam płakał z dzieciniego rozrzewnienia.

Traktował potem gospodarz wszystkich z kolei pokrajanem jajem i nie opuścić najmniejszego dziecka; a z uczuciem równie życzliwem podawał talerz swym dzieciom, jak sługom i wiernej czeladzie, która potem szła do piekarni i posilała się nie tak wylornem lecz równie obfitem święconem.

14. Spoczynek po pracy.

Był to w miesiącu lipcu, kiedym przejeżdżał przez okolicę Środy. Ochoczy zniwiarze rąco po rozległych uwijali się polach, zgromadzając w brogi obfite plony. Dokuczający upał trwał prawie dzień cały, słońce parne zdawało się wróżyć deszcz pożądany.

Jakoż w istocie niedługo po południu tu i owdzie na lazurowém niebie pokazywać się zaczęły białe obłoczki, z których zwolna tworzyły się na horyzoncie chmurki, na postać ośreniałych gajów i gór lodowatych, obniosły się po niebie i mnogością swą blask słońca zakryły. Wiatr wykręcił się od zachodu, wkrótce utworzył czarne chmury, a gwałtownym swym powiewem rozgrzane ochłodził powietrze. Coraz potężniej szumiał po drzewach, miotał niemi silnie i naginając jak smagłe latorośle wyniosłe topole i wierzby rozłożyste, przemocą swą pokonywał ich opór i szelest daremny. Zakrety gwałtownego wiru unosiły wysoko lekkiego kurzu tumany, zaćmiły drogi i pola pyłem, i całą zakryły naturę.

Ciągły potysk błyskawicy czarnych chmur łono daleko oświecał, gdy tymczasem przytłumiony odgłos odległego grzmotu dawał się już słyszeć. Pasterze przerażeni ku domowi zawracają trzody, których szybki pochód chrapliwe na szyjach oznaczają dzwonki; ryk bydła rozlega się w powietrzu; pierzchliwe ptactwo szuka schronienia; śmiała jaskółka bystrym lotem wraca do swych piskłat; trudno się ostać na polu, deszcz kroplisty padać już zaczyna. Wśród takiej zawieruchy zajechałem przed karezmę. Tu z zadziwieniem słyszę wesole krzyki, śpiewania, tańce i słaby

głos skrzypców. Wszedłem do domu, nieznosne gorąco uderzyło na mnie. Wesołość połączona z szczęśliwością, jaśniejąca na twarzach wszystkich, czuły prawdziwie wystawiała widok. Nie mogąc się jednak domyślić przyczyny tak powszechnej zabawy, mówię do gospodyni domu: dzień roboczy, a wy sobie tańczycie, zapewne u was jakie święto? Oho! Nie święto, odpowie gospoia; oto pan nasz obiecał ludziom, co grabili siano, kilkanaście kwart wódki, jeżeli jeszcze przed deszczem się uwiną i zgrabią. Zgrabili szczęśliwie i wcześniej, dotrzymał im pan obietnicy, a podochociwszy oto sobie, zabrali się do tańca i tak po pracy sobie odpoczywają. Osobliwszy spoczynek po pracy, pomyślałem sobie. Przestałem mówić z gospodynią, bo i czasu nie miała i dla wielkiej wrzawy i głośnych śpiewów trudno było się rozumieć. Wtém ulubiony od wszystkich Tomaszek, przodownik żniwa, zaśpiewał.

Ogromny trzask uderzającego w bliskości gromu przerwał śpiewy i tańce. Nawałnica już nadciągnęła, a ustawiczne błyskanie, krzyżujące się i przyskające ognie po niebie, spadające wężem pioruny, zdawały się chcieć zniweczyć i pochłonąć wszystko. Karczma jakby w ogniu gorejąca, uciekła nagle; zadrżeli wszyscy i w mgnieniu oka zamieniła się w dom modlitwy. Skrzypek zdjawszy kapelusz, zeskoczył ze stołu, porzucił skrzypce, klęknął, a za nim całe towarzystwo, trzeźwe już prawie z przestrachu, udaje się pod opiekę swego Stwórcy. Leją się gwałtowne potoki deszczu, straszny szum wiatru, połączony z hukiem piorunów, wywiera swą wściekłość; lecz po niejakiem czasie zwolna ustąpiła burza, niebo się wypogodziło i zupełna nastąpiła cisza. Tanecznicy się rozeszli do swych domów, a ja w dalszą puściłem się podróż.

15. ŁOWY NA WILKA.

przez

K. Wł. Wojcieckiego.

Dawniejszemi czasy kilkunastu myśliwych, dobrze uzbrojonych, zwykle wybierało się na wilki z prosięciem na

wabika. W ogromnych saniach, przyrządzonych po temu umyślnie, cała drużyna strzelców na ławkach siadała, z tyłu sani stał jeden i gniótł prosiaka, ażeby kwikiem przywabić wilka; tymczasem na długim sznurku wiązka grochówin przywiązana i wleczone po ziemi, wyobrażała ciągnione prosię. Jak podobne łowy są niebezpieczne w naszym kraju, dowiedzie wypadek prawdziwy, zdarzony przed kilkunastą laty.

W Sandomierskiem Czesław, młody ziemianin, zaprosił sąsiadów i strzelców, w liczbie ośmnastu, którzy na tak przygotowane sanie, zaprzężone czterema końmi, wsiadłszy, ruszyli na łowy. Każdy oprócz dubeltówki opatrzony był w parę pistoletów; kilka sztuk broni nabitę na zapas, za poradą starego strzelca, wzięto na sanie. Z wesołym okrzykiem ruszyła ochocza drużyna myśliwych, wypiwszy nie mało wina na pożegnanie i za zdrowie gospodyni domu. Żwawo ruszyły konie, a chrzęst śniegu gniecionego ciężkimi saniami i kwik przerywany prosięcia ogłaszały przejazd téj zbronej, radosnej czeredy; ale im bliżej dojeżdżano lasu, ustawała gwarna z początku rozmowa, a jej miejsce zajmowała ciekawość ujrzenia dzikiego zwierza. Mieszało się może nieco i obawy, bo stary strzelec i doświadczony opowiadał smutne powieści, które wszystkich czoła zachmurzyły.

— Będzie temu, mówił, lat dziesięć, podobnie jak teraz wybraliśmy się na wilki, pięć dzielnych koni zaprzężono; wsiadło nas dwudziestu na sanie. Ale jak się pokazały ómy wilków nieprzeliczone, bez wystrzału nawet uciekliśmy.

— Tchórz! zawołał młody Czesław, siedzący blisko starego strzelca; we dwudziestu i obawiać się jeszcze.

Strzelec nagniół silnie prosiaka, który przeraźliwie zakwiczał; po chwili odezwał się: — Zła wróżba, mój panie zuchu! prosię długim głosem zakwiczało.

— I cóż z tego? zapytało kilku z uśmiechem.

— Bo tak było właśnie, mówił dalej stary strzelec, kiedy szesnastu myśliwych wilcy zjedli, a ja jeden zaledwie uciekłem.

Na te słowa, czy wiatr zimniejszy powstał, czy może i trwoga tajemna, ale wszystkich mroz przeszył.

— Pleciez brednie, stary gaduło, odpowiedział Czesław; trzebaby na to z tysiąc wilków.

Było ich więcej, odrzekł spokojnie, a dzięki gniadój klaczy, że mnie żywo uniosła, chociaż jej ogona mało wilcy nie urwali. Tak, tak! śmieście się panowie junaki, ale to szczerą prawdą, jak to, że żyw jestem.

— Będzie temu ze 20 lat, z takim jechaliśmy prosia-kiem. Wesoty, bo młody, pierwszy raz wybrawszy się na takie łowy, myślałem, że i samego diabła lękać się nie trzeba, kiedy nas tylu razem! Przecież wszystkich kości wiley roznieśli po świecie; zginęli bez pogrzebu, a wiele wdów zostało i drobnych sierot.

Zasnieżyło się niebo, wesołość znikła w tym gronie; sam Czesław popił z torby, bo wspomniat na swoją żonę i dwoje jak aniołków dzieci. Wszyscy zwrócili oczy na starego strzelca i mimowolnie poczuli jego wyższość.

— Jakże to było? zapytało wielu razem.

Strzelec nie nie rzekł słowa, podniósł się z ławy, spoj- rzał wokoło. Śnieg drobny a gesty nie dozwalał daleko dojrzeć; nagle odwrócił się, jakby odpowiadając na pytanie. „Jak było, tak będzie,” rzekł ponuro i wskazał palcem.

Wśród śnieżnej zawiei z początku myśliwi nie dojrzeć nie mogli. „Co ci się przywidziało? ot śnieg na polu rozłajał; to czerni się ziemia,” rzekł Czesław wpatrując się pilnie.

— Widzicie to pole, mówił strzelec z cicha, a to nie pole, ale taka ęma wilków; stado, jak pole długie i szerokie. Już nas poczuli. W konie! w konie! bo inaczej zginiemy wszyscy.

— Strzelać odezwali się niektórzy, przecież tylu ludzi i broni.

— Cicho! zawołał z gniewem strzelec, usiąść na ławach, broń mieć w pogotowiu, ale nie strzelać. Strzelać! strzelać! wołacie, a cóż będzie z tego? zabijesz pięciu albo dwudziestu, a stu się na ciebie rzuci i pożre!

A wszyscy na groźne starego myśliwca słowa posiadali na ławach; konie, jakby poczuły, w chyżym biegu zaledwie dotykały ziemi.

— Jeżeli dostaniem się prędzej na utarty gościniec, ocalimy się zdrowo. Rachujcie teraz panowie wilków, co to się wam strzelać zachciało.

Czesław spojrzat! Co zdawało się zdaleka wśród śnie- żnej zamieci kawałem pola, bytato gromada wilków; szty w gęstiej massie, kilku tylko wybiegło naprzód. Przy zmro- ku coraz większym błyskały ogniem oczy zajadłych i zgło- dniałych wilków. Czesław usiadł na jednej ze strzelcem ławie, a ten z cicha rzekł do niego:

— Tego wilka, co najbliżej widzicie, zabić nie trudno; ale ten chyba strzeli, kto chce, by kości jego święta ziemia nie przykryła, ale żeby je zaszczerbiły zęby wilcze, a dzio- by kruków szpik wydziobały. To wilczyca.

Tu przestał, jakby dokładnie wszystko objaśnić; nagle odwrócił głowę; widać było na jego twarzy bladeść, usta zsiniały. W konie! na rany Chrystusowe! w konie! zawołał.

Dobył kordelasa, ścisnął mocno ryj prosięcia i przebił od razu; nie było słychać najmniejszego kwiku. Uniósł się z ławy, spojrzat wokoło, a widząc, że już blisko szeroka droga do wsi prowadząca wysadzona lipami, których jeno suche konary sterczały, przeżegnał się, porwał za nogi skrwawione prosię, i z zamachem wyrzucił z sanek.

Wilczyca najbliżej pędząca zatrzymała się w biegu, porwała zdobycz i poczęła szarpać. Przyskoczyło więcej wilków, ale śnieżnica nie dozwalała rozpoznać, jak się dzieliły tak drobnym dla nich kąskiem. Wszyscy przeziebli od mrozu i wiatru, wlepili oczy w twarz starego strzelca, chcąc z niej wyczytać ocalenie lub zgubę. Woźnica z cicha rzekł: „już widać we wsi dzwonnice.”

Strzelec naszykował dubeltówkę. — No! panowie, jes- zcze dla nas ostatnia nie wybiła godzina; lecz trzymajcie się mocno, bo kto wypadnie z sanek, tego zostawim na strawę wilkom, choćby to był mój brat rodzony! A teraz Macieju! zawołał na woźnicę, co koń wyskoczy! I woźnica trzasnął silnie biczem, a dzielne bieguny wyciągnęły się, prawie brzuchami dotykały ziemi, leciały jak na sokolich skrzydłach. Wiatr donosił szczekanie psów ze wsi; świe- ciły ognie przez małe okienka chatek; wystraszeni łowcy

wzięli je za iskrzące oczy wściekłych wilków. Strzelec stał, trzymając się krzepko w saniach, odwiódł zamki u dubeltówki i zawołał głośno: „Panowie! który może, do mnie się niechaj obróci i ognia razem.“

Zadrżała ziemia od huku strzałów; po nich usłyszano głucho wycie wilków. — Ognia znowu! krzyknął strzelec, i tak raz po raz grzmiąły strzały, których echem było okropne wycie wilków.

Już blisko byli opłotków, a stado goniących wilków ani się na chwilę nie wstrzymało; psy ze wsi całej, jedne na dachach chlewów i obór, drugie skryte w budach żałośnie wyły; zuchwalsze, które się na drodze pokazały, w oczach myśliwców rozszarpane bez znaku. Leciąły sanie przez wieś.... już są na dziedzińcu dworu, z kąd tak wesoło i radośnie wyjeżdżali. Zaledwo wpadli do dworu i drzwi zatarasowali, stado wściekłe napełniło dziedziniec. Ogromne kondle, wyły, charty, przeszło dziesięć psów w jednej chwili wilcy rozszarpali. Strzelcy i domownicy rozstawiając się w oknach i na ganku, ciągłym ogniem razili. Blisko godziny grzmiąły strzały. Księżyc zmrok rozjaśnił, zajaśniała wilków gromada rozpierzchnęła się i znikła w nocnej pomroce.

16. Przygoda Macieja Strykowskiego, r. 1551.

Dziedzice Osostowa Strykowscy już od lat kilkunastu prośbami swemi niebo męczyli: w cudownych miejscach jaśniały ich darami ottarze; przy każdej niemal rozstajnej drodze stał krzyż piękny ich ręką stawiany; bo pełne były ich brogi zboża, pełne tłustego bydła obory, lecz próżne były szczęścia ich serca, próżne nadziei ich życie: nie mieli dotąd dziecięcia, nie mieli dotąd nikogo, kto by z nimi dostatków używał, kto by im zamknął powieki. Ale nareszcie Bóg ich wysłuchał: urodziło im się dziecko, syn czerstwy, miły, nadobny. Ledwie odrósł cokolwiek od ziemi, o własnej puścił się mocy, głosem przemówił dziecinym, już wesołością, rozumem rodziców cieszył, dziwił czeladkę. Świeży jak wiosna, jak iskra żywy, obraz swo-

body i zdrowia, całym był szczęściem rodziców, całą ich życia przyszłością. Właśnie rok piąty zaczął, właśnie w sierpniowym wieczorze, przed modrzewim siedząc dworem, lubą i słodką o synie zajęci byli rodzice rozmową. W ciągu dnia dał był dowody nadzwyczajnego dowcipu, potem na czterokątnym podwórku zręczne wyprawiał skoki i pąsy; teraz jak hetman pobiegł do sadu na czele dzieci czeladki, tam ich do boju zwykle szykował, tam z nimi igrał wesoło; rodzice o swych nadziejach mówili. Wtém odgłos przeraźliwego krzyku obija się o ich uszy; był tam szczególnież krzyk jeden, co matki serce wskrósł przeszył: powstaje, drżąc cała, bieży. Ojciec zawsze od niej silniejszy, dziś jej wyścignąć nie może. Jedynek bawił się w sadzie, tam jest głęboka sadzawka.... tam dążą, ku miejscu temu zbłąkane zwracają oczy; widzą rozbiegłą dziecinkę gromadę, jakby przed wilkiem owieczek trzoda; jedno za drzewami sława, drugie w wysoką trawę się kryje, trzecie, co zdążyć może, ucieka, a wszystkie płaczą i krzyczą: „Panicz utonął! utonął!“ Już prawie bez tchu rodzice przyspieszają swój krok ociężały, stają nareszcie nad brzegiem wody; z razu nic na powierzchni nie widzą, lecz wkrótce już bez oporu ciało ich syna wypływa. Zanurza się ojciec w wodę, nieszczęsnej matce stać przykazuje, wyciąga dziecinkę, na brzeg je kładzie. Porywa matka mokre dzieciętko, woła na nie, ono nie słyszy; tuli do łona, ono nie czuje; bierze je ojciec—toż samo! niosą je pędem do domu, a krew w ich żyłach zimniejsza od zimnej wody, co na nich ścieka. Zbiega się wierna czeladka, przybywa pleban z lekarzem, przychodzą zewsząd stare niewiasty; każdy coś radzi, wskazuje, każdego ojciec i matka słucha; co tylko radzą, robią, próbują, a dziecinkę zawsze jakby nieżywe. Sine, odęte i zimne leży zmartwiałe ciałko chłopczyzny, każdy go sobie podaje, każdy go cuci, trząsa, naciera, a dziecinkę zawsze nieżywe. Rodzice rwą włosy i łamią ręce, głowami o ściany tłuką, dawniejsze wznawiają śluby, świętych wzywają pomocy, lecz niebo głuchem się zdaje, i dziecinkę leży nieżywe. — Próżne te nasze mozoty, odbiegł tej duszy już nie nie zwrócił tak mówią cicho pleban i le-

karz, tak cicho mówi czeladka. Słońce zachodzi, noc cała mija; dzień cały drugi spływa okropny; już w sercu ojca nadzieja kona, już mdleje w duszy zbolatęj matki. Widząc spełnione srogie nieszczęście troskliwy pleban z lekarzem ciągną rodziców do drugiej izby, cichaczem trumnę przynoszą. Płacząc sędziwa piastunka, obleka dziecię w białą koszulkę, zeschłe włoski gładko czesze, równianką z kwiatów je stroi, kładzie w ostatnią ludzi łóżnicę. — Tak cię ja kładłam w kołyskę — mówi do niego zalana łzami, — tak ty mnie w trumnę położyć miałeś! — W tej chwili wpada strwożona matka: — Okrutna cóż czynisz? — boleśnie woła — alboż to dziecię... — Umarło — pleban dokończa — umarła twoja pociecha. Ten, co ją zesał, przyzwał do siebie; Ten, co dał, odebrać może. Poddaj się woli Pana, niewiasto! szanuj z pokorą wyroki jego.

Kłęką niewiasta, obok nięj ojciec; oboje ręce do nieba wznoszą; usta ich razem mówią te słowa:

— Panie, możesz, oddal ten kielich; jednakże nie dziątek woła — Twoja, Ojczy, niech się stanie! Tak rzekli, wzmocnieni wstają, i mówią głośno: Weźcie już dziecię! Ciśnie się tłumem czeladka do dwóch kościołów; pleban znać daje, sam się w żałobne szaty odziewa; biorą trumienkę domowi, niosą na barkach odkrytą; wybladła matka zwłok się dotyka; drząc cały ojciec żonę podpira. Idzie przez miasto orszak w milczeniu, wybiegli z domów mieszkańcy co krok to grono zwiększają; każdy w cichoci dziedzica płacze, a więcej jeszcze jego rodziców. Nagle w obudwóch kościołach huczny głos dzwonów powietrze dzieli, a matka czuje zimnych zwłok drgnienie, krzyknęła, — stawają; lekarz przybiega; kładą na ziemi trumienkę, i znowu lekkie czuć drganie. Porywa matka z trumienki dziecię, osłania je suknią, rękoma, chce z niem uciekać daleko; wstrzymuje lekarz jęj obłokanie, pomału iść przykazuje, strwożonej krzyczeć zabrania; do swego domu matkę wprowadza, tam w ciepłe łóżko dzieciątko kładzie, tam je sam jeden cuci, ratuje, tam słowa nadziei głośli, milczenie, cichosć zaleca; matka i ojciec dech swój wstrzymują. Po krótszej nad opis chwili serce dzieciny

mocniej uderza, po całym ciałku duch się rozbiega, dziecię do życia powraca. Niknie z wolna siność z twarzy, krew przebiegać się zaczyna, odmyka dziecię oczki zawarte i ku rodzicom je zwraca; blade usteczka na pół otwiera, chciałoby przemówić, uwieżyły słowa, lecz się uśmiechnąć zdołało. — O! Boże, Wszechmocny Boże! — wyrzeka cicho, przejęta matka, i łzy! uniosły ciężar jęj nieszczęścia.

Zaledwie trzy dni minęło, już na podwórzu biegał jednak, już był na nowo szczęściem rodziców, już nie sama czeladź domowa, wszyscy się nad nim dziwili. W pierwsze zaś po tym dniu święto, pleban licznemu ludowi te księgi Boskiej przeczytał słowa: — Onego czasu przybliżał się Pan ku bramie miasta Naim, a oto wynoszono umarłego z miasta jedynaka swęj matki, i rzesza wielka szła za nim. Ujrzawszy oną matkę Pan, ulitował się nad nią i rzekł jęj: — nie płacz. Przystąpił, dotknął się mar, i ci, co nieśli, stanęli. A on rzekł: — Młodzieńcze! tobie mówię: wstań! I usiadł on młodzieniec, który był umarły, i począł mówić; a Pan dał go matce jego. Zdjął wszystkich strach wielki, i wielbili Boga, mówiąc: — Bóg nawiedził lud swój. I rozeszła się powieść po wszystkich okolicznej krainie.

17. Odwiedziny kwestarza u podłowczego Bielewicza.

WYJĄTEK Z PAMIĘTNIKÓW KWESTARZA

przez

Ignacego Chodźkę.

W wielkich puszczech książąt R. żyją podłowczowie jak w folwarkach. Książęta osadzają tam najczęściej swoich zastużonych sług ze szlachty, i byle sprawowali się pocziwie, a stawali sprawnie i ochoczo na polowanie i obławy, mają tam pewny kawał chleba od ojca na syna. Leśnicy włóścianie obrabiają ich ziemie i koszą siano po lasach; mają prócz tego pensyjkę ze skarbu książęcego; ze zwierzyny nie zdają ścisłego rachunku, i niczego im nie braknie.

Tak sobie siedzi i pan Bielewicz, staruszek czerstwy jeszcze i jary; sam odemknął nam wrota i wyprzedził mnie

(kwęstarza) nawet w pobożnym powitaniu; bo ja na dzie-
dzińcu lub w izbie chciałem powiedzieć: „Niech będzie
pochwalony Jezus Chrystus!” a on we wrotach toż samo
powiedział; mój woźnica Marcin odpowiedział mu: „na
wieki wieków!” ot ja (kwęstarz) zostałem z niczém.

Podwórko małe ale czyste, na środku krzyż z męką
pańską, okratkowany i daszkiem pokryty; domek z przyz-
bami dla siedzenia i grzania się na słońcu, z większemi
okienkami po jednej stronie w świetlicy, z mniejszemi przy-
kurzonemi po drugiej w piekarni; naprzeciw domu świronek
z oknami w strychu, za którymi tłuste poćcie, poledwice
i kielbasy wędzone wisiły na powietrzu; dalej inne go-
spodarskie małe ale opatrzone stajenki, odryny i chlewki.
Okolo nóg starego myśliwca dwoje psów gończych płatało
się, a tłusty wyżeł leżał spokojnie na przyzbie.

— Bóg zapłać Jegomości Dobrodziejowi, żeś do mnie
zawitał — rzekł pan Bielewicz.

— To ja przywiozłem Dobrodzieja, bo to nowicyusz, nie
wiedział gdzie zawrócić; a ja zawsze zaczynam kwestę od
Jegomości, odezwał się Marcin.

— Dziękuję więc i waszeci, panie Marcinie! rozgość
się po staroświecku w stajni z siwą i dropiatym; Eliasza
i Barabasa (1) puść na oślicę, a Jegomości Dobrodzieja
do izby proszę.

W izbie znaleźliśmy młodą gospozię za krosnami, jestto
córnka pana Bielewicza.

— No, Hanulku! — rzekł do niej staruszek — dodaj do
obiadu wczora zabitego szaraka, bo Bóg dał mi miłego
gościa. A Jegomość Dobrodziej dziś odpocznij u nas, bo
choć nie wiele jeszcze ujechałeś, ale wiele jeszcze masz
przed sobą. Na obiad powrócą i moi synkowie, to i oni do
nóg Jegomości Dobrodziejowi uniżą się.

— Dziękuję — rzekłem — memu kochanemu Dobrodzie-
jowi za takie kordyalne mnie przyjęcie; na odpoczynek
nawet do jutra chętnie przystaję; zwłaszcza, że dzień dzi-

(1) Tak się nazywały barany klasztorne, mające służyć za przewodników dla in-
nych zebranych przez kwęstarzy.

siejszy za łaską Boską, dobre nam nadarzył spotkanie
z wielkim Panem, który mnie hojnie obdarzył.

— Jeździłem i ja niegdyś — rzekł on — po całej Litwie,
a szczególnie po Mińskim, gdy byłem dworzaninem u pana
Woł..., niech Bóg świeci nad jego duszą.

I łowczy obszernie opowiadał przypadki swojego da-
wnego pana. Córka przerwała dyskurs pana Bielewicza,
donosząc, że obiad gotowy. Zebrała się więc drużyna;
chłopczy dwaj dorodni synkowie gospodarza, wrócili z la-
sów i zasiedliśmy stół, odwiedzwszy wprzód puzderko.
Jedliśmy na talerzach z pięknej słuckiej gliny, białej jak
farfura. Barszcz ze schabkami smaczny, jakiego dawno nie
jadłem, zając i bekasy pieczone, a sielanka na trzecie;
a nakoniec przyniosła panna Anna dzban polewany jabłecz-
niku, któryby nam wszystkim wystarczył, gdyby się we
drzwiach z Marcinem nie spotkał. Ten ujmując niby fatygi,
panience a ciężaru dzbanowi, z połowę duszkiem wychylił,
i stawiając resztę na stole:

— To — rzekł — lepsze bodaj, jak nasze klasztorne pi-
wo, które jeszcze ksiądz Kanafarz chrzci wodą dla czela-
dzi, niech mu Pan Bóg odpuści. Jabłecznikowi temu przy-
najmniej lat dwa. Oj! znam się na tém!

— Dopijajże i resztę, a Anusia przyniesie dla nas drugi
dzban. Lżej mi teraz, widzisz Jegomość, gospodarzyć, gdy
się dochowałem własnej gospodyni i tych chłopców. Lat
ośm jak odumarta mi żona. Napłakałem się! Bogu o tém
wiedzieć, a co się zmarnowało i potraciło w chudobie
przez cudze ręce, tego już nie spędzić.

Podziękowawszy Bogu, a potem gospodarzowi za tak
wysmienite uraczenie, wdałem się z nim w rozmowę o wy-
pawkach z czasu jego młodości.

— Pójdźmy, mój Dobrodzieju — rzekł gospodarz — do
odryny na świeże siano; odpocznij trochę, a potem opo-
wiem Jegomości wszystko, co też i uczynił. Gdy wieczór
nadszedł poszliśmy z gospodarzem na łaskę, gdzie już
irzeci stóg siana wyrastał, a na nim harcował mój Marcin,
mając przy sobie flaszę z naszego podróżnego puzderka.
Poznałem więc, że zapasy nasze zawsze będą pod jego

opieką. Wkrótce potem zasiedliśmy do chłodnika i kurecząt, a po wieczery każdy w swoją stronę na paciorki i potem każdy na swoje miejsce na odpoczynek. Moja kwatera w świronku, do którego wprowadzając mnie pan Bielewicz, rzekł: — Jegomość Dobrodziej jutro po śniadaniu ruszysz w drogę. Już to moja Anulka częstować będzie, bo ja z synami przededniem wybiorę się na młodzię i na zajączki w dalsze knieje od domu. A tak dziś żegnam Jegomości Dobrodzieja. Dziękuję najpokorniej za odwiedziny, i proszę nadal nie mijać ubogiego mego domu. Baran mój już przy przewadyrach.

— Nie, nie, — odezwał się, słysząc to Marcin, — spać długo nie dam mojemu Jegomości. Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje. I my przededniem razem wyruszym.

Znowu poznałem, że nie tylko moje puzderko, ale i ja jestem pod opieką pana Marcina. Tak się i stało. Jeszcze się niebo czerwieniło tylko na wschodzie, kiedy wypiwszy po kufelku grzanego mleka, wyruszyliśmy za wrota, my z Marcinem na naszych kałamaszkach, a pan Bielewicz przy nas piechotą z dwoma gończymi i wyżłem. Ojciec z synami ubrani byli po myśliwsku: kurtka i szarawary zielone, pas skórzany szeroki, z tyłu na sprzączki mosiężne spięty. Postępowaliśmy cicho, bo każdy modlitewki poranne odmawiał; pieski tylko ciągnąc się na sforach, odzywały się niekiedy i po ranniej rosie znaczyły swe ślady obok drogi. Nakoniec i słonko się pokazało. Pan Bielewicz skończywszy paciorki: — No, synki! na dobry humor i na szczęśliwe polowanie zajaca. — Więc huknęli synkowie, a z nimi ojciec basem:

„Siedzi sobie zając pod miedzą, pod miedzą,

A myśliwi o nim nie wiedzą, nie wiedzą;

Siedzi sobie, lamentuje,

Testament życia spisuje.

Śmiertelny! śmiertelny!”

Aż echo rozległo się po kniejach. Ja zwróciłem się na lewo ku gościńcowi, a myśliwcy zapuścili się dróżką w las. Długo jeszcze słyszeliśmy ich pieśń wesolą; nakoniec pieski doławać się zaczęły; więc odezwała się trąbka i razem ho! ho! był tu kot! kot! kot! tu! tu! tu! że aż nam

w uszach zadzwoniło. Pieski zagrały, i na sercu mnie tak grało, tak wesoło stało się, że aż miło!

18. PRZYJAZD.

(Z dzieła pod tytułem: „Pan Podstolic”).

przez

E. T. Massalskiego.

Wozy zatém i wózki, bryki, i kolaski,

Tu kufry, tam tłómoki, i paki, i faski;

Na wozach, wózkach, konno, pieszo pędzi zgraja;

Ten już ukradł, ten kradnie, tamten się przyczaja.

Ig. Krasiński. „Listy.”

Dolina która się przed oczyma naszych podróżnych odkryła, otoczona była piętrzonemi pochyłościami jaru i przerżnięta szafirowemi nurty zagiętego poważnie w kilka kolan Niemna. Za nim na wklęsłej spadzistości jednego wzgórza zaległo w amfiteatr czarne litewskie miasteczko. Z pośrodku najgęstszego strzech okopconych natłoku wznosił się czerwony dach kościoła białego; nad nim wysoka dzwonnica opatrzona w zegar, którego wyłtaczane strzałki i okna kościelne błyszczały promieniami zachodzącego słońca. Po bokach miasteczka pojedynczo rozsypane chałupy miejskie, z obszernemi ogrodami warzywnemi i gdzieniegdzie ruiny pieców i sterczące reszty komińców, a niekiedy część ścian murowanych świadczyły o dawniej rozległości i większych dostatkach ściśnionej teraz pod kościół mieściny.

Płaszczyna doliny łąkami usłana, kończyła się dziekimi obszary dębów i olech, zakrywających koryto Niemna. Nad łąkami pierwsze wzgórza umajone były leszczyną, wyższe pagórki i pochyłości gaikami brzozowemi, dzielącemi drobne niwy, a na krawędziach jaru wahały się do koła nieprzejrzone lasy sosnowe.

Z obu stron Niemna kilką gościńcami ciągnęty ku miastu rzędy wozów i pojazdów, a pomiędzy temi pasmy, z lasów i gór wywijały się ścieżki, któremi na wózkach i pieszo, wioząc lub niosąc kosze i wiązki, zbiegali się okoliczni mieszkańcy. Gwar ludu, rżenie koni, brzęk ładownych wozów, turkot lekkich pojazdów, krzyki wymijających się, wołanie przewoźników; cała ta niesforna wrzawa, tłocząca

się kilkunastą promieniami do miasta, w którym się zanurzała, przez kilka chwil zajęła przyjemnie uwagę naszych podróżnych.

— Piękny obraz — rzekł pan Podstolic. — Ten ruch, to życie, wskrzeszone na psepnej wczoraj i martwej dolinie, może nam dać poczuć, jaka jest różnica kraju handlowego od wyłącznie rolniczego. Na jedną chwilę zawitał tu przemysł i już wszystko ożywił; za kilka dni cisza znowu na tę okolicę zaciągnie swoją ponurą barwę, a życie odrętwieje na leniwym pługu. Jeszcze i tak można byłoby winshawać tej okolicy, że szczęśliwsza od innych, choć raz w rok się przebudza, gdyby ci, w których rękach złożone są wszystkie skarby tej ziemi, zdołali kiedykolwiek pojąć zamiar jarmarków i zachęcić się do przemysłu; ale rozstrząsając pobudki, które ich tu sprowadzają, trudno jeszcze cieszyć się tą nadzieją.

— Jakież może być ten zamiar? — zapytał Władysław. — Przedać, co nam zbywa, kupić, czego potrzebujemy!

— Nietylko to, — odpowiedział pan Podstolic. — Oprócz handlowych celów, zbliżenia między sobą kupców i ułatwienia im odbytu, jarmarki nasze prowincjonalne mają na celu: rozłączając między nami wyroby rękodzielni i obznajmiając mieszkańców z nowymi wygodami, obudzać w nich chęć do zdobycia się przez pracę i przemysł na produkowanie takich przedmiotów, któreby mogli dać w zamian za przywiezione towary a nawet i takich, jakie tu postrzegają. Ale do tego trzeba byłoby przyjeżdżać na jarmark dla jarmarku, nie zaś dla innych widoków, które zgromadzenie się na jarmark nastrecza.

— Alboż to wszystko, co spieszy do miasteczka, nie dla jarmarku tam dąży? — zapytał Władysław.

— Sam osądź, — rzekł pan Podstolic. — Spójrz na te karety, landary, koczki, na te wyglądające z nich kapelusze, i w drodze już wyelegantowane, te lornetki, okulary, perspektywki, zwracające się na towarzyszków podróży i powiedz, dla czego ci jadą?

— Widzieć, pokazać się i zabawić! — odpowiedział Władysław.

— A ci? — pytał pan Podstolic, wskazując na figury zamysłone, — w czapkach na szlafmyce naciśniętych, toczące się na brykach, ustawiającymi szkapami. Co myślisz — rzekł — o tych zadumanych fizyognomiach; czy ich głowy kreślą teraz plany wielkich obrotów handlowych? Dla czego oni jadą?

— Poznaję moich powielników — odpowiedział Władysław. — Są to najzagorzalsi sejmikowicze. Oni to pewno tu spieszą jedynie dla układu fors i intryg na przyszłych wyborach.

— A ci? — mówił pan Podstolic, wskazując na lekkie kałamaszki, unoszące szybko pudermany i szare kapoty szlachty ziemian, którzy wesoło wyśpiewując, popędzali swe podjezdki.

— Ci — odpowiedział Władysław — jadą widzieć ludzi, to jest upić się dla rozmaitości nie w domu, ale na jarmarku; może sprzedać jaką gaskę lub kaczkę, i za to poczęstować przyjaciół.

— A ci? — mówił pan Podstolic, wskazując na kałamaszki ciężko ciągnięte przez mizerne koniska i naładowane czapkami lisiami.

— Ci — odpowiedział Władysław, — wiozą wielki towar na jarmark: kredkę i główkę.

— Tak jest — rzekł pan Podstolic. — Ale te wozy powrócą naładowane towarami, za te same produkty, które teraz włościanie na tych skrzypiących drabinach ciągną. Te owce, cielęta, miód, zboże, siano, przeszedłszy przez ręce żydów, zostaną spożyte na jarmarku; włościanie opłaciwszy akcyzę, bramne, brukowe, targowe i wódkę po karczmach, z niczym powrócą do domu; a żydzi, którzy z niczym tu jadą, korzystając z ciemnoty włościan, a częstokroć i z nagłych potrzeb właścicieli włości, napełniają swe kieszenie i wozy. A ci po co jadą? — dodał, wskazując na długie rzędy powózek jednokonných, krótkich, wysoko rogożami nakrytych, ciężko ciągniętych, i na bryki długie czworokonne, płótnem powleczone, głęboko tór w drogę gniotące.

— Tak jest,—odpowiedział Władysław—oni jedni jadą na jarmark.

— Oni jedni,—rzekł pan Podstolic—i oni jedni zeń skorzystają, porobią między sobą zamiany i rozjadą się napowrót; a ta okolica, nie mając nic dać im w zamianę za te towary, tyle tylko ich pozyszcze, za ile ci przybysze spożyją tutejszych pokarmów; albo, jeśli grosz jaki zabłąkał się od rocznych wydatków, przetoczy się i ten w ich ręce bez żadnej dla okolicy korzyści; gdyż wzięte zań towary będą spożyte bez reprodukcji.

Witania się wzajemne żydów, prowadzących bryki fraktowe, zastanawiających się przy każdej kałamaszce napelnionej czapkami lisiemi, obwieszczające, że przybywali z Lipska, z Królewca, ze Lwowa, z Warszawy; przekleństwa i wrzaski furmanów, którzy musieli ich wymijać; turkot i skrzypienie kół, krzyki różnych zwierząt wiezionych i niesionych; cały słowem hałas tego tumultu był zagłuszany wołaniami żydów pieszych, mieszkańców jarmarkowego miasteczka, którzy biegąc po kilku lub kilkunastu przy każdym wozie włościańskim, targowali w zgiełku jego ładunek.

— Ale ty więcej na rynku nie weźmiesz!

— Ja ci dam na wódkę osobno!—masz 3 złote za ten wóz siana.

Tak krzyczało kilku żydów na włościanina, jadącego obok pana Podstolica.

— Mnie sprzedaj,—wołał głośniejszy inny—ja ci dam 3 złote i pół kwarty wódki.

— Nie chcę, nie chcę,—mruzczał włościanin.—Obaczmy na jarmarku. Już mnie przedtém dawano za też siano 8 złotych i kwartę wódki; a tamci wasi bracia, którzy tylko co odesli, dawali jeszcze 5 złotych!

Czy to wiosna?—zawołali chórem żydzi. Jaki ty głupi! Jaki ty głupi!

— Słuchaj, kochaneczku,—mówił tonem uroczystym żyd poważniejszy, biorąc włościanina za kołnierz.—Ja ci dam 2 złote gotowemi pieniędzmi i kwartę wódki, a na jarmarku nie weźmiesz i półtora złotego!—Nie oddajesz?

— Panie Lejbo!—rzekł smutnym głosem włościanin.—Wiem z doświadczenia, że, kiedy w. p. co powiesz, to już nikt więcej nie da; lecz sam w. p. uważaj, siano murożne, wóz najmniej pudów 20, a wiorstę przedtém dawano mnie zań 8 złotych, potém 5, a ci oto jeszcze cenią 3 złote i pół kwarty wódki.

Lecz ci ostatni, na znak Lejby, już odbiegli do innych wozów targować, a siano okrążyli drudzy, krzycząc:—Półtora złotego za siano! czy oddajesz gospodarzu?

Oglądał się na wszystkie strony włościanin, upatrując tych, którzy mu dawali 3 złote. Panie Lejbo!—rzekł westchnąwszy daj w. p. zadatek.

— Ale tylko półtora złotego za siano, mówił Lejba.

— A w. panze sam dawałeś 2 złote i kwartę wódki,—zawołał włościanin, żałośnie zatamując ręce.

— Jak drudzy dają—odpowiedział Lejba—tak i ja dam. Dość półtora złotego. Teraz nie wiosna.

— Dość! dość! krzyknęli na około żydzi.

— Nu! mówił Lejba, jaki ty głupi! Kiedy ja tobie daję tyle, ile inni, ty jeszcze płaczesz! Słuchaj kochaneczku, wież to siano na rynek i mów tam, że je sprzedałeś mnie za 10 złotych, a za to weźmiesz odemnie pół kwarty wódki borysza. Czy bierzesz zadatek?

— Żeby wam Pan Bóg nie pamiętał naszej krzywdy! mówił włościanin, ocierając łzy. Ileż mnie dajesz zadatku?

— Bracie gospodarzu!—zawołał pan Podstolic.—Nie kończ z nimi. Ja ci dam 8 złotych za ten wóz siana. Wież za mną.

— O wybawicielu mój! krzyknął włościanin. Precz to try! albo was tą dębina.....

— Już ja kupiłem to siano! to moje!—wołał Lejba.—Gwałt! Gwałt!

— Aj gwałt! aj gwałt!—zewsząd wołali żydzi,—zabiegając włościaninowi drogę i zatrzymując mu konia.

— Nie lękaj się!—wołał pan Podstolic.—Śmiało jedź obok mnie. Wy jeszcze nie kupiliście tego siana! Nie powinniście krzywdzić włościan, podstępnie zbijając im cenę. Wykraczacie też przeciw prawu, które wam wzbrania

przejmować za miastem włościan, wiozących na targ produkta. Marcinie! uprzątnij mu drogę.

— Co nam te prawa! Nam trzeba jeść! — wołali żydzi, rozbiegając się na widok Marcina, który z marsową miną maszerował krokiem podwójnym naprzód.

— Czy to panowie tak robią! — krzyczeli na około żydzi. — Czemu inni panowie przejechali milczkiem, każdy myśląc o swoim interesie?

— I ty im wierzysz? — wołali na włościanina. — On weźmie twoje siano i nie nie zapłaci. Drudzy zaś krzyczeli: Będzie on kontent z tego siana; pokusił się na pozór, a ono zgnite....

Wszelako powoli cichła burza; jeden po drugim żydzi udawali się do innych wozów pomagać rozpoczętym z równymże zgietkiem targom.

Uwolniony włościanin z nadzieją ale i z bojaźnią, żeby się nie sprawdzili ostatnie przepowiednie żydów, poglądał na pana Podstolica, który, dla ubezpieczenia go, dał mu 3 złote zadatku i kazał jechać około siebie. Zbliżyli się do przeprawy. Prom przybił do brzegu, kilka pojazdów spieszyło zabrać miejsce, niedopuszczając pokornych drabin włościańskich; pan Podstolic, nim sam wjechał, kazał pierwój swego włościanina umieścić. Nie śmieli przewoźnicy opierać się panu.

Kilkunastu pieszych wcisnęło się z tłumoczkami między pojazdy, a jeden chłopiec odarty, lecz żwawy, usiłował wciągnąć za sobą krowę. Natarczywość jego, zreźeczność i weselość zabezpieczyły mu miejsce i ściągnęły nań uwagę obecnych. Odbito od brzegu. Tymczasem jeden z pieszych, młody, lecz jak cygan ogorzały z fajką w zębach i małym tłumoczkiem na kiju, wpatrując się w chłopca z krową zawołał: — Antoś? to ty!

— Bartek! — zawołał wzajemnie chłopiec i skoczył mu do szyi.

— A nasi rodzice! pytał Bartek, ściskając czule chłopca.

— Żyją i weseli, — odpowiedział Antoś — ale biedni; dobrze, żeś już powrócił, przynajmniej im pomożesz. I ja uczę się ślusarstwa. Ależ jak ty długo wędrowałeś?

— Trzy lata bratuniu. Napatrzyłem się i nauczyłem wielu pięknych rzeczy, — odpowiedział Bartek, oglądając się na obecnych i przybierając poważną minę. — Teraz niech schowają się przedemną wszyscy ślusarze tutejsi. A tyś dawno u majstra?

— Zaraz po twém odejściu — rzekł Antoś — umieścili mię rodzice u Filipa, gdzie i ty byłeś.

— Nie wiele od niego nauczysz się — mówił chętnym tonem Bartek. — On tu wprowadzie najlepszy z całego cechu; ale w Petersburgu, w Moskwie, w Kijowie, w Warszawie, o tam napatrzyłem się! tam (kończył obrócony do pana Podstolica) ślusarzom chleb kochany Panie. U nich tak się wydoskonalilem, że tu żaden majster ze mną nie sprostą. A ty Antosiu, czego się nauczyłeś?

— A cóż? — mówił Antoś — wszak wiesz, że u nas chłopiec przez trzy pierwsze lata młota do rąk nie weźmie; ledwo miech rozdymać nauczy się. Cały dzień zapędzają, to izbę wymiatać, to drwa rąbać, to wodę nosić, to nareszcie krowy paść, jak właśnie teraz widzisz.

— Wszędzie tak — mówił Bartek. Na to bracie cechy. — Potem za to nagrodzisz.

— Ale ja mógłbym teraz cokolwiek zarobić dla swoich biednych rodziców, gdyby mnie dali co robić za pieniądze. Toż nie tak trudnego młotem klepać, albo pilnikiem szorować.

— Nie wolno bracie: prawa cechowe nie pozwalają chłopcom do lat 6 nie na siebie robić, póki się nie nauczysz na czeladnika.

— Też to i bięda — mówił chłopiec. — Kiedy człowiek mógłby grosz jaki zapracować i rodzicom pomódz, wasze prawa cechowe nie pozwalają. — Ochota wreszcie przejdzie. — I prawdę mówiąc, na co ja mam śpieszyć się z nauką, kiedy mnie do lat 6 nie wolno zarabiać. Dobrze, żeś powrócił braciszku! nasza matka od 2 lat już chora i ojciec opadł na siłach, ledwo się czołga; poprzedawali wszystko na chleb i bardzo biedni. Oj! bądź radzi, żeś przecie powrócił. Przynajmniej ty ich poratujesz; musiałeś dużo pieniędzy przynieść z trzyletniej roboty na wędrowce.

— Jak ten prom powoli idzie! — rzekł Bartek.

— A cóż nieprawda? dużo pieniędzy przyniosłeś z podróży? — powtórzył mu w oczy Antos.

— Pokiwał głową Bartek i westchnąwszy mówił: „Gdzie tam pieniądze, mój bracie! W każdym mieście, co człowiek zarobi, to i wyda na potraktowanie majstrów i kolegów. Królewskie dni najczęściej spadają na wędrowników. A z sobą nic nie wyniosłem, gdyż co się zarobiło przez 3 lata czeladnictwa, to poszło na świadectwa i na pożegnanie z kolegami. Nie wiem teraz, za co sobie warsztat sprawić. Trzeba podobno będzie jeszcze lat kilka służyć, nim na własnem kowadłe zadzwonię. Oj biada! biada! A téż jeszcze trzeba za majsterstwo zapłacić!”

— Więc jeszcze nie jesteś majstrem? — zapytał pan Podstolic.

— Nie jeszcze, mój kochany panie. Umiem ci to ja więcej niż którykolwiek majster, ale się jeszcze nie wkupiłem i warsztatu założyć nie mogę.

— Alboż to tak wiele kosztuje?

— A jakże mój kochany panie? Majstrom trzeba sprawić obiad i kolacyą: suto płastwa, zwierzyny, likierów, wina, co kto pije... Nie patrzą, z kądem; a nie dasz, tedy majstrom być ani się spodziewaj. A terazże warsztat, mój kochany panie. Toż nie mało....

— Ileż lat zajmujesz się już swoją professyą? — przerwał pan Podstolic.

— Dwanaście lat, mój kochany panie; 6 byłem chłopcem, 3 czeladnikiem, a 3 lata wędrowałem.

— I jeszcze nie masz z czego warsztatu założyć? Powiedz mi, jak myślisz, w ile lat mógłbyś się nauczyć tego samego, co teraz umiesz, gdybyś nie w cechu ale wolno się uczył?

— Mój kochany panie, — odpowiedział Bartek — widziałem ja w szkole Instytutu technologicznego w Petersburgu chłopców, którzy we 3 lata w każdym rzemiośle tak się wyuczali, że żaden z majstrów uczonych zwyczajnym sposobem im nie wyrówna. Do tegoż, mój kochany panie,

umieją wiele pięknych rzeczy: rysować, pisać, rachować, a nawet historii i jeografii po trosze.

— Zatem ucząc się w cechach, z 9 lat, 6 na próżno giną, jeśli by we 3 można więcej umieć?

— Ginę, mój kochany panie, ale cóż robić? Czy my sami nie znamy tego, że przez 12 lat człowiek mógłby jakkolwiek zapasik już sobie zapracować? Gdybym ja od początku po 5 groszy na dzień zarabiał, nimbym się nauczył młotem robić.... ale to we 2 miesiące przyszłoby robiąc z ochoty; tedy i tak na końcu roku mógłbym już coś zebrać dla rodziców albo na warsztat. A tak 12 lat straciłem; rodzice, jak pan słyszysz, umierają z nędzy, a tu jeszcze, nim człek zdobędzie się na swój kawałek chleba, nowe wydatki w cechu na traktamenta i wkupne do rozpacz przywodzą. I nie chcąc człowiek rozpić się musi.

— Prawda, że wiele trwonicie czasu — rzekł pan Podstolic — i wiele musicie ponosić kosztów, nim zostanieie majstrami; ależ za to potem wielkie macie korzyści; podryw z ustronia nie masz, odbył pewny, i publiczność na tém korzysta, że ma zaręczoną dobrą robotę.

— Wszystko jedno, mój kochany panie — rzekł, nie przenikając myśli p. Podstolica Bartek. — Kto chce mieć odbył i zarobek, musi się starać dobrze robić, czy on w cechu, czy nie w cechu; a publiczność na tém chyba traci, że cechowym musi drożej płacić, niżeli niecechowym.

— A toż za co?

— A jakże, mój kochany panie? Ja naprzykład, włożywszy w moje rzemiosło 12 lat pracy i tyle już wyexpenso- wawszy pieniędzy, czyliż tego nie mam liczyć za część kapitału, od którego z mojej roboty powinienem mieć procent? Ale gdzie tam tego dokazać? Zawsze i tak z naszej strony strata i publiczność niestłusznie musi drożej płacić, kiedy mogłaby mieć to samo taniej, a nawet i lepiej zrobione przez wolnych rzemieślników.

— Dla czegoż to, taniej i lepiej?

— Tak, mój kochany panie, taniej: bo wolny rzemieślnik nie liczy do swojej pracy żadnych kosztów nauki; od początku już zarabia, zatem może sprzedawać swoje robo-

ty tanięj; lepiej też może robić, gdyż mu idzie o wziętość, a u nas wziętość już zapewniona przez samo przyjęcie do cechu. Co my dbamy o wydoskonalenie naszych wyrobów, kiedy czy źle, czy dobrze zrobisz, zawsze nam muszą zapłacić, i choćbyśmy najlepiej zrobili, nie zapłacą drożej nad to, co inni biorą. Nie mamy tedy interesu starać się o polepszenie naszych wyrobów.

— Ale i źle robić nie możecie, gdyż urzędnicy cechowi mogą was za to ukarać!

— A z kogoż, mój kochany panie, składa się urząd cechowy? Kruk krukowi oka nie wykole. Co innego tam panie, gdzie rzemieślnicy są wolni, jak to słyszałem jest miejscami za granicą, tam za złą robotę można w sądzie odpowiadać; ale własnych urzędników cechowych my się nie boimy.

— A po innychże miastach, gdzie bywałeś—pytał p. Podstolic—czy te same niedogodności postrzegłeś z cechów?

— Wszędzie toż samo, mój kochany panie. Wszędzie chłopcy oddani na naukę, używają się do innych zatrudnień i posług gospodarskich, a choć i są użyci zaraz do rzemiosła, tedy przy niem uczą się swawoli i rozpusty, gdyż rzemiosło nie ma dla nich interesu. Czeladnicy zarabiają wprowadzić nieco na siebie; ale, gdyby na własnych warsztatach robili, zarabialiby więcej za mniejszą od publiczności zapłatę; zarobki swoje powiększają części marnują, gdyż nie mogą jeszcze ożenić się i na własnym gospodarzyć, nie mają do czego oszczędzać; opłaty zaś do cechu pochłaniają resztę. Tak lat 9 albo i więcej najpiękniejszego wieku ginie marnie; człowiek się rozpuści i potem majstrem zostawszy, najczęściej źle się prowadzi, a z ubóstwa ledwo senny, oszczędniejszy lub szczęśliwszy podźwignie się. Bądź pan zdrow, jeśli będzie potrzeba jakiej ślósarskiej roboty, proszę pytać o Bartka Kowalewicza:

Prom właśnie przybił, piesi zaczęli przeskakiwać na brzeg. Bartek rozpytawszy się u brata, gdzie może znaleźć rodziców, pośpieszył przed pojazdami. Ledwo zjechał z promu pojazd pana Podstolica, przyskoczyli strażnicy z cienkimi prętami żelaznymi szukając gorzałki. Próżno

im zaręczał p. Podstolic, że jej nie ma; pruli bez względu wszystkie kąty. Władysław z oburzeniem na nich fukał.

Przykra to zaiste, mówił pan Podstolic, rewizya; wszelako nie gniewam się na to, acz z tego jedynie względu, że odstręcza od przywożenia tej trucizny. Wysoka cena jej w miastach wstrzymuje cokolwiek od pijaństwa mieszczan; potonęliby w gorzałce, gdyby o połowę była tańsza. Gdy domawiał tych słów pan Podstolic, pojazd wchodził na rynek obudowany w czworogran.

Na środku, jak okręt na morzu, wznosił się na błocie gmach drewniany, poziomy, czworoboczny, w różne strony przez starość powyginany. Z każdego boku trójkątna facyata piastowała na swém łonie herb miasta i powiatu; a najwyższa ze złamaną wieżą drewnianą, obwieszczającą wewnątrz gmachu ratusz. Wzdłuż ścian tej zagrzeżtłej budowy ciągnęły się na około wielkie czworogranne otwory, okiennicami tylko zawierane, służące za drzwi i okna do kramek tę budowę składających. Na szerokich ławach, dokoła sprowadzonych pod oknami, siedziały żydówki, bachury i kozy; jedne beczały, drugie płakały, a żydówki młode i stare wrzaskiem zagłuszały przechodniów, zapraszając do sklepów, w których wszystko jest. Lecz niektóre kramy były zamknięte, przystępy do nich oczyszczone z błocka, wystłane tarcicami, wysypane piaskiem i jedlinką; co zapowiadało, że w tych kramach umieścili się kupcy przyjezdni, którzy nazajutrz dopiero mieli targi otworzyć.

Tłumy prostoty, brnąc po błocie i dziwiąc się jakby z obowiązku wszystkim znajomym i nieznanym przedmiotom, obchodziły kramy i domy zajezdne. Pomiedzy temi z jednego boku rynku stał kościół, z drugiego kilka budynków pozorniejszych, na których żółte tablice z czarnymi orłami wskazywały domy rządowe. Obok jednego z nich zastanowił się pojazd pana Podstolica i natychmiast wyskoczył na ganek człowiek opasty, podżyły, w żupanie ceglastym i w granatowej na nim kurcie, podszytój lisami; na głowie miał zieloną aksamitną konfederatkę z barankiem kasztanowatym, a na twarzy ogromny nos czerwony,

siedzący na siwych lecz zawieszonych wąsach. Był pan Burmistrz.

19. JASKINIA TYGRYSÓW.

Przygoda w górach Peruwiańskich.

(Z Angielskiego.)

Przybyłem do Peru w r. 1826, dla objęcia dozoru w imieniu Kompanii londyńskiej. Przed powrotem do Europy chciałem z tej długiej podróży cokolwiek skorzystać, zwiedzając przynajmniej z moimi towarzyszami, pp. Warton i Lincoln, najwyższą górę w Peru Chimboraco.

Jednego dnia, spędziwszy noc poprzednią w indyjskiej wiosce, krążyliśmy dalej około ogromnej podstawy tego olbrzyma Andów, kiedy, podniósłszy głowę postrzegłem, że blask wiecznych śniegów, otaczających jego wierzchołek, niknął powoli pod grubą mgłą. Przewodnicy nasi, Indyanie, dali nam poznać, że gwałtowna burza groziła; obawy ich wkrótce się ziściły. Mgła oblekła prędko boki góry, zostaliśmy pogrążeni w głębokiej ciemności. Powietrze było duszące, a jednak tak wilgotne, że stał w naszych zegarkach rdzą się pokryła, i zegarki stanęły. Rzeka, przy której szliśmy, płynęła podwojonym pędem. Nagle, jakby czarodziejską siłą ze skał po lewicy nam będących, runęły potoki, porywające z sobą pnie drzew i krzewów wyłamanych z korzeniami; postrzegłem także między nami ogromnego węża, który się przelaczał, nie mogąc się oprzeć gwałtowności wody. Wnet grzmot uderzył: wszystkie echa gór ozwały się zarazem. Co chwila błyskawice rozdierały nad nami i przy nas obłoki; zdawało się, że nas objął ocean ognia. Schroniliśmy się pod cień wielkiego drzewa, a tymczasem jeden z Indian szukał nam bezpieczniejszego ukrycia. Niedługo wrócił z doniesieniem, że wypatrzył przestronną jaskinię; udaliśmy się do niej. Burza trwała z tak mocnym hałasem, żeśmy jeden drugiego słyszeć nie mogli. Stałem u wejścia jaskini, przez długi i ciasny otwór uważałem, co się działo zewnątrz. Najwznioślejsze cedry padały, albo zginały się jak trzciny. Małpy i papugi, zabite opadłymi gałęziami, pokrywały

ziemię; potoki wypełniły się jak wielkie rzeki, i w różnych kierunkach płynąc około góry, odrywały ogromne bryły ziemi. Lecz darmobym się silił na opis wspaniałego widoku; kto nie był w Ameryce południowej, nie zdoła sobie o nim utworzyć pojęcia.

Kiedy burza nieco się ukołysa, przewodnicy nasi wyszli, chcąc zobaczyć, czy będziemy mogli iść dalej. Grota, w której szukaliśmy schronienia, była tak ciemna, że, kiedyśmy się od wyjścia oddalili, nie mogliśmy na cał widzieć przed sobą. Kiedyśmy rozmawiali o trudności naszego położenia, krzyki i jęki żałosne, z głębi groty wychodzące, nagle załasnowały naszą uwagę. Warton i ja słuchaliśmy z uczuciem przestachu. Lecz Lincoln, nasz młody przyjaciel, rozciągnął się na ziemi, i z Frankiem, moim strzelcem, popęzł w głąb jaskini, chcąc się dowiedzieć przyczyny. Załedwie się na kilka kroków oddalili, postyszeliśmy ich krzyk zdziwienia, i zaraz wrócili, niosąc każdy zwierzę osobliwie centkowane, wielkości małego kota, ze strasznie mi zębami w szczękach. Oczy ich były zielonawe, miały długie u nóg pazury, język jak krew czerwony wisił im z pyska. Warton na ich widok zawołał: Dla Boga! jesteśmy w jaskini... Lecz nagle przerwały mu krzyki naszych przewodników, którzy biegąc do nas, wołali: tygrys! tygrys! i natychmiast z niesłychaną szybkością wleźli na wierzch stojącego u jaskini cedru, i skryli się w gałęziach. Pierwsze wrażenie strachu ścięło krew we mnie; lecz kiedy to uczucie nieco minęło, pochwyciłem strzelbę. Warton przyszedł także do siebie, i wzywał nas, abyśmy zawalili otwór jaskini kamieniem ogromnym, który szczęściem tuż leżał. Uczucie ogromnego niebezpieczeństwa sił dodawało: bo zaczęliśmy słyszeć wyraźnie ryczenie bestyi, a bylibyśmy zgubieni, gdyby stanął u otworu wprzód, nimbyśmy go zawalić zdołali. Nie skończyliśmy jeszcze, kiedyśmy już widzieli, jak skokiem zwierz zbliżał się do jaskini. W tej strasnej chwili podwoiliśmy nasze usiłowania, i wielki głąz między nami a nim zastawiony, ukrył nas od jego napadu. Była jednak mała szpara, mogliśmy widzieć głowę tygrysa, w której iskrzyły się oczy, rażące nas wzrokiem wście-

kłóści; od jego ryku trzęsła się głąb jaskini; kocięta odpowiadały ostremi jękami. Nasz straszny nieprzyjaciół usiłował zrazu uchwycić kamień szponami, potem odepchnąć go głową, bezskuteczność wysiłen powiększyła jego wściekłość. Ryknął przeraźliwiej niż kiedy, a rozognione oczy zdawały się ciskać światło w gęstą ciemność naszego schronienia.

Czas wystrzelić, powiedział Warton z zimną krwią, której na chwilę nie stracił: celuj do oczu: kula przejdzie przez mózg, możemy się uwolnić. Frank pochwyił dwururką strzelbę, Linkoln pistolety. Na komendę Warton, obaj razem puszczili cyngle, lecz wystrzału nie było. Tygrys postyszawszy uderzenie kurka, odskoczył w bok; lecz widząc, że nie był dotknięty, powrócił na pierwsze miejsce z podwójną wściekłością. Proch w panewkach był zamoczony. Warton i ja zaczęliśmy szukać prochownic; było tak ciemno, że szukaliśmy omackiem. Kiedym się dotknął kociąt, postyszałem coś nakształt dźwięku metalu, i wkrótce postrzegłem, że te zwierzęta igrały z naszymi prochownicami. Na nieszczęście wyjęły korek pazurami, i proch rozsypany na wilgotną ziemię, nie mógł nam na nic się przydać. To okropne odkrycie odjęło nam ostatnią nadzieję.

„Zginęliśmy, zawołał Warton, pozostaje tylko wybierać, czy lepiej jest umrzeć z głodu ze zwierzętami, które są z nami zamknięte, czy od razu przeciąć cierpienie, wpuszczając potwór do jaskini.”

To mówiąc, stanął przy kamieniu i wyteżył wzrok niezłęczony na iskrzące się oczy tygrysa. Młody Linkoln w rozpacz, tysiące młotał przekleństw. Frank, więcej mający krwi zimnej, wziął kawał powrozu, który nosił z sobą w kieszeni, odszedł w drugi koniec jaskini, nie mówiąc nam po co. Wkrótce postyszeliśmy stłumiony świst. Tygrys, który to także postyszał, zdawał się być gwałtowniej jeszcze dotknięty. Chodził i wracał przed wyjściem jaskini obłąkany i wściekły; potem stanął nagle i stojąc przed lasem, ryczał najprzeraźliwiej. Nasi dwaj przewodnicy indyjscy korzystali z tego, puszczili kilka strzał z wierzchołka drzewa, na którym byli ukryci. Trafili kilka razy, lecz

strzały odpadały od grubej skóry, aż jedna nakoniec uwięzła blisko oka. Wściekłość tygrysa wówczas wezbrała; rzucił się ku drzewu, wspiął się i pochwyłwszy szponami, zdawał się chcieć je wyrzucić. Lecz, kiedy się pozbył strzały, stał się znowu spokojniejszym, i znowu stanął przy wejściu groty. Frank wtenczas powrócił: w ręku niósł tygrysięta na powrozach, któremi je podusił, i oba wyrzucił przez otwór jaskini. Tygrys zaczął je oglądać i przewracać spokojnie; kiedy się przekonał, że były nieżywe, wydał tak przeraźliwy krzyk rozpacz, żeśmy musieli uszy pozatykać. Wyrzuciłem mojemu strzelcowi niepotrzebne barbarzyństwo; lecz z jego przykrych odpowiedzi poznałem, że stracił wszelką nadzieję ratunku, i że wszelkie postępowanie uważał za rozwiązane. Co do mnie, sam nie wiem, z kąd miałem nadzieję jakiegoś niespodzianego wybawienia. Grzmot tymczasem ustał, wiatr cichy nastąpił po gwałtownym uraganie. Tygrys leżał przy dzieciach. Był to zwierz wielki i okazały; widać było na jego wyciągnionem cielsku dziwną siłę muskultów; ze szczęki uzbrojonej wielkimi zębami spadała piana. Nagle drugi ryk dał się słyszeć z daleka; tygrys odpowiedział nań z żalosnym jękiem, a Indianie krzyknęli, ostrzegając nas o nowym niebezpieczeństwie. Jakoż ujrzelśmy wnet dążącego ku nam tygrysa, mniejszego niż pierwszy.

„To straszniejszy nieprzyjaciół, bo samica,” powiedział Warton. Ryki tygrzycy, gdy ujrzała martwe kocięta, przeszły wszystko, cośmy już słyszeli: i tygrys przydawał jeszcze swoje żalosne jęki. Nagle jej wycia ustały: ujrzelśmy, jak kurzące się nozdrza wsunęła przez otwór, jakby dla odkrycia, kto ją dzieci pozbawił. Dostrzegła nas, i natychmiast cisnęła się na kamień tak gwałtownie, iż możeby go odwalila, gdybyśmy wszyscy nie pospieszili na podparcie. Widząc, że nic nie dokaże, zbliżyła się do tygrysa, jakby na naradę, poczem oboje odbiegli szybko. Ryki coraz cichły i wkrótce zupełnie ustały.

Nasi przewodnicy zeszli z drzew i naglili nas do przedkić ucieczki, wnosząc, że tygrysy poszły szukać wyżej gdzieś innego otworu, aby się dostać do groty. Odwalili-

my więc kamień, i już byliśmy w drodze, przedzierając się przez gałęzie i korzenie powodzią naniesione, kiedy krzyk ostry Indyan ostrzegł nas, że tygrysy gonili w ślad za nami. Byliśmy wtenczas u mostku z trzciny, rzuconego przez potok. Indianie tylko mogą lekko się przesunąć po takich mostkach, trzęsących się za każdym krokiem. Głęboko wparty między dwa brzegi, ostremi skałami nastroszony potok w dole gwałtownie płynął.

Linkoln, Frank i ja przebiegliśmy most bez przypadku, lecz Warton był jeszcze na środku, usiłując zachować równowagę, kiedy tygrysy wybiegłszy z pobliskiego lasu, podskoczyły ku nam ze strasznym wyciem. Warton, jak tylko dostał się na drugą stronę mostu, dobył swój nóż myśliwski i odciął węzły, któremi był przywiązany do brzegu: spodziewał się przez to położyć nieprzebytą tamę naszym nieprzyjaciołom; lecz zaledwie odciął most, tygrysa rzuciła się ku potokowi, chcąc go jednym skokiem przesadzić. Był to ciekawy widok patrzeć na to straszne zwierzę, zawieszone chwilę nad przepaścią: lecz ta scena przeminęła jak błyskawica. Siła jej nedorównała odległości: nie dosięgłszy brzegu potoku, rozszarpała się na kolecach skał. Nie zmieszało to jej towarzysza: silnym rzutem rów przesadził, przednimi jednak tylko pazurami zdolał brzegu zachwycić. Zwieszony tak nad przepaścią, usiłował wdrzeć się łapami. Indianie znowu dziko krzyknęli, jakby już nie było nadziei; lecz Warton, który był blisko tygrysa, podszedł go odważnie i nóż swój wraził mu w pierś. Z wściekłością niepodobną do opisaną, zwierzę zebrawszy całą siłę, wparł tylne łapy w skałę i potrafił pochwycić za udo Wartona; lecz mój nieustraszony przyjaciel zachował odwagę, uchwycił się lewą ręką, dla podpory, za pień drzewa i znowu silnie nożem ugodził w pierś tygrysa.

Wszystko to w chwili się odbyło. My wszyscy pobiegliśmy na pomoc. Linkoln porwawszy strzelbę Wartona, tak mocno uderzył tygrysa kolbą w głowę, że ogłuszony zwierzę upadł w przepaść. Lecz Linkoln nie wymierzył siły swego uderzenia, pochylił się naprzód, i pograżył w potok.

(Z Tygodnika Petersburskiego na rok 1830).

20. GEJZER.

Z opisu Doktora Smith.

przez

prof. Alexandrowicza.

Bardzośmy dziękowali Bogu, gdy po dziewięciodniowej burzy zdołaliśmy zarzucić kotwicę pod Bessasteder. Przybyłem do Islandyi z nadzwyczajną ciekawością, jaką wzbudzał we mnie poetyczny ustrój tego kraju. Spodziewałem się znaleźć tam wszystko, co mogło być najcudowniejszym. I w rzeczy samej, gdyby który z melancholicznych romantyków wyrwał się z szumnej Europy, i szukał dla siebie dzielnego schronienia, to pewnieby go tu znalazł; tu, gdzie pomiędzy rykiem dwudziestu siedmiu ogniem ziejących wulkanów i lodową szatą północnego bieguna, żyje naród myślący, poważny; tu, gdzie po skrytej odnodze Faxafior-da, Nadd-Öde norweskimi król morza, uciekający przed niesprawiedliwością i przemocą, swoje lekkie czółno posuwał; tu panował Gazdar Suafarson; ztąd zaludniało się dzikie, puste nadbrzeże, w dumne odważne serca, które nie zniosły Haralda Harfagara, i wołały zginać na odległej ziemi, polecivszy dzieciom swoim poddać losy Nowej Anglii północnemu panu. Dzieci usłuchały głosu ojców i oddały się pod opiekę złotowłosemu Hakonowi 1261 r.

Łódź napełniona bladymi, brodatymi ludźmi, odbiła od brzegu, i skoro dopłynęła do okrętu, starzec z rembrandtowską postawą, pełen siły, wstąpił z niej na pokład. Był to sternik; natychmiast podał on, znacznie uszkodzonemu okrętowi naszemu wszelkie możebne środki naprawy, odzywając się w słowach poważnych, lecz zarazem uprzejmym i życzliwym, na które kapitan po przyjacielsku odpowiedział.

Poczem przedstawił mu kapitan mnie, mówiąc: — pan doktor życzy sobie, zwiedzić wasz pod wielą względami ciekawy kraj, poczem ma wrócić na pokład.

— Witam pana! odrzekł zwracając się do mnie starzec, oby tylko pan z tego, co u nas znajdziesz, był zadowolony! Na znak przyjaźni podał mi rękę, i w godzinę później byliśmy na lądzie.

Wypisy, cz. III.

W Bessastad inaczej Bessasteder znajduje się najwyższa ze szkół Islandzkich, w niej wykładają się nauki realne, niższa teologia i prawo. Fakultet medyczny reprezentowany był podówczas przez dwóch felerów, których jakiś siwy starzec uczył spajać złamane kości, puszczać krew i bańki stawiać. Ta ostatnia operacja odbywa się tam następującym sposobem: do przecięcia ciała przykładają się róg z przedziurawionym końcem, przez ten koniec ustami wyciąga się powietrze, poczem otwór zalepia się woskiem. Wszystkie środki przeczyszczające znajdują się tu w morskiej wodzie. Gorących siarkowych kąpiel jest tu poddostatkiem.

Same miasto składa się z niskich chat bez ładu rozrzucanych, zbudowanych z drzewa wodą sprowadzonego, gdyż na tej wyspie, drzewo, prócz małej liczby karłowatych brzoź, weale nie rośnie. Do jednej z podobnych chat, zaprowadził mnie tenże niedawny mój przyjaciel. Żona jego na imię Dina, matka dwojga poważnych bladych chłopców, przywitała mnie serdecznym ścisnieniem ręki.

Niebawnie na ufetowanie gościa, też szanowna matka Dina przyniosła okrętowy suchar i wódki z czarnych jagód, o godzinie, o której w Londynie zwykliśmy jadać obiad. Następnie, w drewnianym czarnym naczyniu, nasiąkniętym smolą, postawiła jakąś zieloną ciecz, która mi nie bardzo chętnie w gardło włożyć chciała. Napiwszy się tego, musiałem powrócić do wódki z czarnych jagód, gdyż zaczęło mnie mglić i uczułem ból w żołądku. W końcu dobrze głodny usiadłem do kolacyi, którą składały: galaretowa rybia zupa, szczupak gotowany w owej zielonej cieczy z różnymi przyprawami. Trudno mi było powściągnąć swoją odrazę, na widok której gospodyni się uśmiechała, spodziewając się, iż mnie pocieszy jakąś Smöhr. Ach! jakże cudny zapach miał ten przysmaczek. Była to mieszanina masła i sera z czosnkiem, która przez rok fermentowała i w końcu jeszcze raz została czosnkiem przyprawiona. Nieznacznie gospodarz dał mi do zrozumienia, że są nawet doktorzy, którzy nie wiedzą, co jest prawdziwie dobre.

Pan jednak pod moim dachem głodu cierpieć nie możesz, tylko nieco zaczekaj. Poczem podano mi świeżą rybę, przyprawioną świeżym masłem i kminem. Gdy zacząłem chwalać tę potrawę, znowu zjawiły się uśmiechy. Żeby skierować rozmowy na inny przedmiot, zacząłem wypytywać ich o Eddzie, o Niflugosagu i t. p. Bardzo się ucieszyli z mojej ciekawości, i wnet starzec z homeryczną powagą zaczął recytować rozmaite pieśni. Poruszająca się jego biała broda, pełne blasku oczy, śmiała, odważna postawa starszego syna Sweno, milczące przysłuchiwanie się młodszego, nie równe drganie światła lampy, które rzucało wielkie cienie, przytęmiły to jednostajne opowiadanie o starym Królu morskim, który opuszczony, gnany, straciwszy wszystko prócz miecza Ringga, przybywa do cięgiego nadbrzeża, by umrzeć na grobie ojca, sprawiły na mnie wrażenie, którego nigdy nie zapomnę. Doskonale wypocząłem na miękkim erdredonie, ale po przebudzeniu się, z obawą rozmyślałem nad śniadaniem. Przyjemne jednak sprawiła mi zdziwienie matka Dina, stawiając przedemną ogromną misę mleka.

— Jakże panie! spytał mnie starzec, czyś odpoczął? Jeżeli tak, tobym zaproponował mu wędrówkę ziemną w głąb kraju; tam zobaczyłbyś pan wiele rzeczy ciekawych, których zapewne nigdzie nie znajdziesz. Wielkich wygod zapewnić nie mogę, gdyż po drodze gospód nie napotkamy i będziemy musieli żywić się z własnego przemysłu.

Ostatnia okoliczność powinna była zupełnie zniechęcić mnie, gdyby nie to, że już od dawna pragnąłem poznać cuda Islandyi. Miałem pewnych i silnych przewodników do zwiedzenia tak mało znanych części Islandyi, ale byli to przewodnicy, dla których blanda (ów zielony napój), zupa z masła i czosnkowego sera były przysmaczkami. Na szczęście przysłał mi kapitan bulionu w tabliczkach i araku. Sweno wystarał się dla mnie o jednego z tych małych, ale wytrzymałych koników, i pewnego poranku wybraliśmy się na wędrówkę. Przeszedłszy przez potok stwardniałej lawy, doszliśmy do Thingwalla, gdzie się dawniej odbywały sądy.

Począłem przybyliśmy do najdzikszej części Islandyi, do siedliska dawnych Tytanów, gdzie znać jeszcze wstrząśnienie po dziś dzień tworzącej się skorupy ziemskiej. Przedarłszy się przez potoki lawy, źródła wód siarczanych, przybyliśmy do gorących źródeł, które mój przewodnik nazwał Laugar. Trzeciego dnia stanęliśmy nad rzeką Huitaa. Sweno złożył w niej ogromną forellę, podczas gdy ja ze zdumieniem przypatrywałem się strasznym, lodami pokrytym skałom, to miejsce zdobiącym.

Starzec przybliżył się do mnie; zdumienie moje nad rodziną ojców jego, napełniło go radością.

— Nasza podróż, rzekł, skończona, ale moglibyśmy jeszcze o jeden dzień drogi posunąć się, by obejrzeć Gejzer.

— Gejzer! czyż my tak blisko od niego jesteśmy? zapytałem przyjemnie zdziwiony.

— Gdyby wiatr wiał z tamtej strony, już słyszelibyśmy jego huk, lecz jeżeli chcesz pan mieć o nim wyobrażenie, chodź pan ze mną.

Prowadził mnie przeszło kwadrans ponad brzegiem, poczem usłyszałem dziwny szelest. Gdyśmy się wychylili, z poza skały nagle przedstawił mi się widok, jaki jedynie w Islandyi spostrzedz można. Wśród potoku sterczała skała, częścią w wodzie pogrążona; z niej wytryskał syczący strumień wody wrzącej, białej na kształt mleka, wydającej szczególniejszy szelest, który dowodził, że z nią wybucha razem wielka ilość wyziewów wulkanicznych.

Wystrzał z fuzji Swena oznajmił, że posiłek był gotowy. Przyjaciel mój, radził mi wziąć kąpiel, którą przygotowała sama natura w szczelinie skały pokrytej siarką. Woda była ciepła, i chociaż mocno napojona siarką, zupełnie przezroczysta. Potem na moim koniku jechałem po urwiskach, które nawet dla dzikiej kozy, zdawałyby się niebezpiecznymi. Gdy mi przed jakimś niebezpiecznym miejscem oddech się zatrzymał, wstyd mię brał, patrząc na śmiałego Swena; popuszczałem cugle koniowi i jakoś szło mi to nie źle. Gdzie droga była nieco szersza, ojciec szedł ze mną i uprzyjemniał podróż różnemi opowiadania-

mi, które głównie tyczyły się wulkanów napotykaných na naszej drodze.

— Mamy na południu kilka wybuchających wulkanów, mówił starzec, jak np. Heklefiall, który wy nazywacie Hekla, Eyafiall, Orefo, Katllagajokul, na zachód Skaptar, na wschód Skioldbreid, Baula, Snowfioldsjokul, ale na północ znajdują się: Krabla, który prawie ciągle bucha, Gajtlandusjokul, Tröllandlinga, Herdubreid, Horvedal i inne, które są bardzo niebezpiecznymi sąsiadami. Tam znajduje się także bezdenne siarczane jezioro Myvatn, siedlisko złych duchów. My oddawna wiemy, dokąd sięgają ich ogniście ramiona i staramy się ich wystrzegać. Przecież za mojej pamięci, Hrauns Glutstrom, pochodzący z Leirnjukru, jednego dnia pochłoniął 28 gospodarstw, gdy tymczasem wrzące potoki wody zniszczyły trzody, jedyne bogactwo Islandczyka.

Strasliwy huk przerwał opowiadanie, i z tysiej skały wybuchnęła okropna para. — Gejzer dmucha! rzekł stary widząc moje przerażenie. Co sześć godzin dmucha Gejzer, lecz wybuchu już nie będziemy mogli wiedzieć, gdyż rzadko trwa dłużej nad kwadrans, lecz za pół godziny będziemy tam i możemy obejrzeć jego źródło.

Stanęliśmy nakoniec w dolinie otoczonej z jednej strony górami, których szczyty pokrywały odwieczne śniegi. Tu i owdzie z ziemi wychodziła gorąca para, którą wiatr rozpraszał dokoła. O 300 stóp od nas wznosiła się kupa kamieni tufowych — źródło Gejzeru. Przystęp do niego był nie bardzo łatwy, gdyż wkoło płynęły strumyki wrzącej wody, i nie po jednym niebezpiecznym skoku ze skały na skałę, pomimo gorąca dotarliśmy do jednej z przystępniejszych stron jego. U góry widzieliśmy gładki okrągły otwór, mający około 10 stóp obwodu, głęboki zaś do 40 stóp; można było widzieć burzącą się i syczącą wodę, jakby w mocno rozgrzanym kotle. Chciałem zmierzyć go dokładniej, ale naleganie starca i kilka huków jakby z 48 funtowego działa, które jego naleganie usprawiedliwiały, odwiodły mnie od tego zamiaru. Ledwieśmy doszli do bezpieczniejszego miejsca, gdy huki zaczęły coraz prędzej po sobie następować, i wnet wyzionął wrzący bałwan z pioruna-

wym łoskotem. Jakaż to nadzwyczajna siła, przed którą niknie ludzka potęga, wyrzucała wodę do 100 stóp w górę! Centnarowe ułamki skał wylatywały w górę, gdy tymczasem wszystkie przyległe strumyki napełniły się wodą mleczną, żółtawo-czerwoną. Nareszcie podziemna siła przestała działać, woda wpadła napowrót do krateru i tylko słyszeć było ciągle huczenie nakształt grzmotów.

Głęboko przejęci, przypatrywaliśmy się temu wszystkiemu, lecz żaden z nas przy tém dziwném zjawisku nie śmiał odezwać się z błażem słowem.

Podczas gdy Sweno gotował nurka wodnego w strumyku, ojciec opowiadał mi o drugim młodym Gejzerze, leżącym o dzień drogi od nas, który jednak był niedostępny z powodu szeroko otaczających go strumyków. Jego bałwan, powiadał, nie jest grubszy od człowieka, ale za to wznosi się do 150 stóp. Czasami bucha przez całe godziny z temi samemi zjawiskami, co i stary Gejzer.

Po dość posilnej wieczerzy, opuściliśmy tę straszną dolinę, z której Gejzer wysyłał nam jeszcze swoje huczne gromy. Gdyśmy się obejrzeli, spostrzegliśmy ogromny snop wody wznoszący się w powietrze i błyszczący przy zachodzącym słońcu.

Nazajutrz z rana doszliśmy do Reikum składającego się z 50 domów, rozrzuconych w ciasnej dolinie; okolica jego ma to szczególne, że ziemia będąc u spodu ogrzewana podziemnym ogniem, daje najpyszniejsze pastwiska, na których wybornie hodują się trzody. O pół mili ztąd znajdują się gorące źródła, których liczą do stu. Pomiędzy spadzistemi trachitowemi skałami, napotkałem małe jeziorzko nie więcej nad 20 stóp szerokości. Nie było tu słyszeć huku, ciche jednak wrzenie zwiastowało wybuch, jakoż niebawnie po obu stronach owego jeziorzka podniosły się od 30—40 stóp promieniste kryształaty. Nader krótko, zaledwie pięć minut trwało to cudne zjawisko, i powtarzało się co pięć kwadransów.

Dopiero w nocy mogłem się rozstać z tym czarującym widokiem, który przy świetle księżyca nabierał jakiegoś niewypowiedzianego uroku.

Następnego dnia stanęliśmy w Bessasteder, gdzie otrzymałem rozkaz wrócenia natychmiast na okręt.

21. KAZIMIÉŻ WIELKI.

Kazimiérz Wielki był wzrostu wysokiego i otyły, włosów gęstych i kędzierzawych, brody długiej; mówił głośno, lecz nieco zająkliwie. Wstawiły go bardziej dzieła w pokoju znakomite, niżeli wojenne sprawy; a przeto z tamtych zasłużył sobie bardziej na imię Wielkiego, to jest z budowy wspaniałych i pożytecznych gmachów, dźwigania zamków i miast, opasowania ich murami, rozrządzenia wewnętrznej kraju ekonomiki, i innych przezornego króla i bacznego gospodarza czynów.

Zjednał sobie prócz tego miłośność powszechną we wszystkich stanach hojnością, sprawiedliwością, łaskawością, łatwym każdemu przystępem, a bogatym i wspaniałym, jak na króla przystało, w domu i w podróżach obejściem. Inni mu z postaci i wzrostu nadane imię Wielkiego, przeciwnym ojcu Władysławowi sposobem, być rozumieją, pomyliwszy się podobno na niedobrze zrozumianych wyrazach prawdziwej łaciny. Dzieła tego króla, których szacowne ślady dotąd widzimy, sprawiedliwiej to imię do zasług jego i przymiotów wielkich stosować każą, niżeli do wzrostu, bez wielkości duszy mało znaczącego.

Albowiem ten monarcha potargawszy niewywikłane owe dawnych zwyczajów i szkodliwego prawodawstwa płataniny, prawa jasne, czyste, do wszystkich stanów stosowne, albo poprawione zachował, albo nowe utworzył. Skargi i potrzeby uboższych nie tylko cierpliwie słuchał, ale onym dzielnie zaradzał. Nie zbytkowali za jego panowania dziedzice dóbr nad pracowitą wieśniactwem.

Znał dobrze kmięć, do roli urodzony, powinność poddanego i stan swój. Dla téj przyczyny nazwano tego pana Królem Chłopów. Zabranym w czasie wojny lub napadów nieprzyjacielskich w niewolę ludzi swoich, własnym kosztem wykupował. Nie był surowy w ukaraniu winowajców, ale występki (łotrstwo) ostro karał. Polskie Królestwo,

dawniejszymi wojnami i innemi klęskami z bogactw i mieszkańców wyniszczone, uczynił ludniejszém, przez zakładanie prawem teutońskiem wsi i miasteczek na gruntach tak swoich, jak szlacheckich i duchownych, do których w znacznej liczbie obcy się garnęli, łagodnością praw i nadzieją własności dla siebie i potomków swoich przynęcał. Całe podgórze ruskie i małopolskie, tudzież inne miejsca pograniczne, różnych teraz rzemieślników pełne, sąto osady pierwiastkowe tego dobroczynnego króla.

Nigdy Polska tyle zamków i miast murowanych nie widziała, jak za Kazimierza. On zamek krakowski przyozdobił i wzmocnił, który potem następni królowie na inny kształt, wiekom późniejszym przydatniejszy, przemienili. On w mieście tém w rynku sklepy różne dla kupców zbudował, a za miastem zwierzyniec założył. Długosz powiada, iż ten król zastawszy Polskę z lepiątek i drewna ukleconą, kamienną i ceglana zostawił; i że od tego dopiero króla zaczęli Polacy nabierać gustu do murów.

(Z historyi Naruszewicza.)

22. KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W WILNIE.

W miejscu, gdzie dziś w Wilnie wspaniała w nowym guście wznosi się świątynia, stał od wieków las dębowy, poświęcony pogańskim bożyszczom tam, gdzie Wilejka z Wilią się łączy. Tuż przy lesie wielki kościół Perkuna, to jest boga grzmotów, zbudowany przez księcia Gierajmunda w r. 1285 z kamienia bez dachu. Jedno tylko wejście od strony wielkiej rzeki prowadziło do niego; przy ścianie naprzeciw wejścia położonej była kaplica zawierająca w sobie rozmaite osobliwości i bogate świętości; pod nią był sklep, gdzie poświęcone węże i ziemne żaby utrzymywano. Nad kaplicą była wysoka altana, 16 łokci wyżej nad ścianę kościoła wyniesiona. W samej altanie był drewniany posąg bożka przyniesiony z Połongi lasów świętych. Kaplica i altana były z cegły. Przed kaplicą stał ołtarz na 12 stopniach balami otoczony, 3 łokcie wysoki, 9 łokci szeroki w kwadrat, w górze mnóstwem żubrowych rogów

otoczony. Każdy stopień był z osobna poświęcony pewnemu znakowi zodyaku; w dniu, w którym słońce w znak ten wstępowało, palono ofiarne ognie. Na wysokim ołtarzu gorzały ogniem ofiary zwierzęce: tutaj także nieustanny palił się ogień przez osobnych ku pilnowaniu go kapłanów strzeżony. Była w nim tak misternie sporządzona wkłęsłość w środku, że żadna ulewa deszczu, ani śnieg, ani wiatr nie mogły ognia przygasić, owszem płomienie wznosiły się jeszcze wyżej, co przez palne materyały zapewne sprawiano.

Przy wchodzie do świątyni był pałac Krywe-Krywejty, miał on okrągłą wieżę, z której bieg słońca uważano, według niego palenie ofiary na stopniu ołtarza oznaczało pierwszy dzień miesiąca, a cegła z pewnym znakiem wmurowana w ścianę wieży na Nowy rok, okazywała lata. Stara powieść niesie: iż, gdy księżę Gierajmund zamyslał kościół ten stawiać, ojciec jego Swintorag wyprawił 2 lata przedtém wspaniałe poselstwo do wyroczni rzeki Niemna na Żmudzi, z zapytaniem o przyszłe świątyni losy? Wyrocznia obiecała mu tak długie trwanie, jak pogaństwo samo trwać będzie, i rozkazała 101 sztuk okrągłej cegły zrobić ze wskazanymi hieroglificznymi znakami; dobre i szczęśliwe lata w nich się znamionowały; lecz ostatnia cegła była ze znakiem podwójnego krzyża, co jakoby za podarek księciu od wyroczni uważano i do herbu państwa wniesiono. Inni powiadali, iż za nadejściem kolei tego znaku, zburzenie kościoła i pogaństwa ma nastąpić przez chrześcian. Te cegły po większej części są widzialne ze strony południowej katedralnej dzwonnicy. Chociaż te cegły nie zasługują na większą uwagę, dowiedziona jest jednakże rzeczą, że w roku 1396 w poniedziałek po Białej niedzieli w liczbie 101 były, w którymto dniu świątynię Perkuna burzyć, a w tém samym miejscu kościół katedralny na cześć św. Stanisława budować zaczęto. Poświęcił go uroczyscie w obecności książąt i panów litewskich i polskich Bodzanta, arcybiskup gnieźnieński, a królowa Jadwiga drogiemi sprzętami i naczyniami z własnego skarbcu udarowała. Na

pierwszego biskupa dyecezyi Wileńskiej wybrał Władysław Jagiełło Andrzeja z Wasilewa Ważyłę, czy też Wasilona z rodziny Jastrzębców, zakonu braci mniejszych, biskupa ceretńskiego, niegdyś spowiednika królowej węgierskiej Elżbiety, przykładnego męża i sławnego kaznodzieję.

Cztery zaś prelatury i 8 kanonij nowo ustanowionych, oddano najgorliwsiemu z księży rozkrzewiających wiarę Chrystusa w Litwie. Niedługo potem Dobrogost, biskup poznański, w orszaku Jagiełły będący, wysłany był do papieża dla wyjednania bulli, potwierdzającej wybór nowego pasterza i fundacyą biskupstwa Wileńskiego. Opatrzył je król natychmiast znacznemi dochodami, jak świadczą przywileje oryginalne w archiwum Kapituły Wileńskiej. Fundusze te powiększył jeszcze Władysław, nadaniem kościołowi i biskupom jego znacznej części miasta Wilna, która zajmowała całą przestrzeń od zamku aż do cmentarza Ś. Mikołaja do Rudnickiej ulicy, a w drugą stronę do drogi Trockiej rozciągającą się. Biskup otrzymał wolność budowania domów na całej rozciągłości i korzystania z niej podług swęj woli, a razem dom królewski murowany, w obrebie zamku dolnego na ciągłe mieszkanie dla siebie i następców.

Jakiego kształtu była pierwotna przez Jagiełłę wystawiona, a przez następców jego zdobiona świątynia, nie mamy najmniejszego śladu; albowiem pożar wielki, co większą część Wilna obrócił w perzynę, zniszczył także w r. 1531 i kościół katedralny. Bernard Zenobi, Genuńczyk, przywrócił go w przeciągu 8 lat na rozkaz króla polskiego do dawnęj okazałości, lecz w r. 1610 na nowo stał się pastwą płomieni. Wystawiona świątynia za staraniem różnych dobrodziejów na nowe kłeski była przeznaczoną, albowiem w roku 1769 orkan gwałtowny wieżę jedną z nięj zrzucił, i tak wielkie poczynił szkody, iż naprawa prawie nie była podobną. Kapituła Wileńska wraz z biskupem Ignacym Massalskim zajęła się budową dziś stojącej świątyni w r. 1777, podług planu zasłużonego profesora architektury przy akademii Wileńskiej, Wawrzeńca Gucewicza.

Kościół katedralny wileński zajmuje znawcę swém położeniem na wolnym placu, znaczną obszernością i wspianiami ozdobami. W kształcie równoległoboku ma na czele portyk na 6 filarach oparty, w górze trzy filary kolosalnej wysokości, w środku Ś. Helenę z krzyżem, z boku Ś. Kazimierza i Stanisława unoszący. Z przeciwnęj wchodowi głównemu strony są dwie kaplice, kopułami ozdobione, jedna poświęcona czci Ś. Kazimierza, w drugiej zaajduje się wspianata zakrystya i sala mieszcząca w sobie ważne archiwum Kapituły. Płaskorzeźba nad głównym wchodem wystawiająca ofiarę Noego, jako też posągi Abrahama, Mojżesza i 4 Ewangelistów są dłuta sławnego w Rzymie snycerza p. Righi. Wnętrze świątyni odpowiada godnie jęj powierzchowności; zdobią je dzieła pędzla znakomitych mistrzów, a pomiędzy wszystkiemi zasługuje na uwagę dwunastu apostołów zawieszonych na dwunastu filarach dźwigających podniebienie świątyni, i w głównym ołtarzu umieszczony obraz, wystawiający męczeństwo Ś. Stanisława, dzieło F. Smuglewicza.

Ośm kaplic zawiera niemnięj szacowne obrazy, najwięcej dzieła Smuglewicza.

Dopiero w r. 1801 ukończono przy wielkich staraniach terażniejszą świątynię, którą tegoż roku 29 września, biskup wileński J. Nep. Kossakowski na cześć Ś. Stanisława i Władysława uroczystie poświęcił.

23. Królikarnia.

Kto opuszcza Warszawę rogatkami mokotowskimi na trakcie szosą ku Piasecznej, po wielu pięknych domach, przyjemnych ogrodach, zdobiących tę miłą okolicę miasta, i stanowiących w jednym ciągu jakby przedmieście stolicy, ujrzy po lewęj stronie okazałe zabudowanie, w formie rotundy, kilką pawilonami otoczone, zwane Królikarnią. Jadącym drogą do Wilanowa równie wspianaty widok po prawęj stronie na wzgórzu miejsce to przedstawia. Królikarnia była początkowo własnością wojewody ruskiego; następnie Tomatis, dworzanin króla Stanisława Augusta,

wystawił skromny domek z kilką zabudowaniami, gdzie założył Królikarnią, sprowadziwszy wiele gatunków tych zwierzątek z różnych krajów Europy. Nowość ta dla Warszawy i kilką włoskim sposobem urządzonych zabaw przez założyciela sprowadzały mnóstwo osób w to miejsce.

Z czasem pierwszy zakład ustał, lecz nazwisko dotąd pozostało. miejsce to tak powabne jest dziś własnością książąt Radziwiłłów i przez nich znacznie rozszerzone i przyozdobione. Zabudowanie gustownie urządzone, a nade wszystko bogata i rzadka galerya obrazów pędzla pierwszych mistrzów Europy, tu umieszczona, sprowadza w dni pogodne każdego ze znawców i wielbicieli, ktokolwiek z pozwolenia właściciela korzystać pragnie. Przyjemne ustronie, obszerny, dobrze urządzone i w każdym czasie czysto utrzymywany ogród, jest co niedziela i święto licznymi gośćmi napełniony. K....

24. Czerniaków.

Wieś, w stronie południowej Warszawy, o trzy ćwierci mili blisko odległa od niej, jest dziś własnością Ossolińskich. Miejsce to jest wstawione odpustami, na które lud pobożny nie tylko ze stolicy, ale i z odległych miejsc w miesiącu maju i czerwcu corocznie w znacznej liczbie uczęszcza. W Czerniakowie znajduje się kościół i klasztor OO. Bernardynów, założony przez Stanisława Herakliusza Lubomirskiego, starostę spiskiego w r. 1694.

Kościół niewielki, w kształcie krzyża wystawiony z kopułą w stylu tokańskim, zaleca się kilką pięknymi obrazami, z których jedno są darem rodziny fundatora, drugie po zgonie króla Jana III ofiarowane. Z tych szczególniejsz służywał na uwagę obraz N. M. Panny, który służył do ołtarza obozowego, w czasie wypraw wojennych wspomnianego monarchy. Może obojętność względem historycznych pomników, niewiadomoś, lub zły zarząd, który dla nowości każe ustąpić dawniej pamiętce, sprawiły, że ślad tego obrazu od lat dwudziestu zaginął.

W kościele pod wielkim ołtarzem jest grób ś. Bonifacego z dwoma wejściami, po wschodach ze stron przeci-

wnych. Kości św. męczennika ofiarowane były przez papieża Innocentego XII, Herakliuszowi Lubomirskiemu, i ten je tutaj złożył, wystawiwszy kościół pod tytułem tego męczennika. Dziś spoczywają w szklanej trumnie ubrane w bogatą szatę, sprawioną przez jedną z obywaterek Warszawy; dokoła trumny są pozawieszane liczne ofiary ze srebra, na znak wdzięczności; dowody łask, na tém miejscu cudowném otrzymanych. Sprowadzenie zwłok tego świętego i opis jego życia, staraniem OO. Bernardynów kilkakrotnie są drukiem ogłoszone. W grobach kościoła Czerniakowskiego spoczywają zwłoki fundatora. Przy tym kościele znajduje się bractwo z samych włościan złożone.

Miejsce to tak licznie co rok odwiedzane, zostało teraz przyozdobione ogrodem z ławkami dla spoczynku przybywających, których niekiedy w dniu jednym do dziesięciu tysięcy bywa.

Włościanie Czerniakowa, lubo tak blisko wielkiego miasta, noszą się po wiejsku. Z nich można brać wzór porządnego ubierania się mazowieckich wieśniaków, zwłaszcza kiedy w dniu uroczystym hoże parobki występują do kościoła w swych ulubionych strojach. Wszyscy dobrze zbudowani i pięknej cery, są uprzejmi i życzliwi dla przybywających. Stosunki częste z mieszkańcami stolicy i szkoła wiejska, przez właściciela od dawna tu utrzymywana, sprawiły na nich pomyślnie skutki ukształcenia, dla którego ani pracy rolniczej, ani porządnego gospodarstwa nie zaniedbują. K.

25. BIELANY.

Ze strony północnej, na lewym brzegu Wisły, leży pod Warszawą las, zwierzyniec niegdyś królów, gdzie świetne wyprawiano łowy, Bieleń noszący imię. Na górze, pod którą zdroj rozkoszny i grot, wznosił Władysław IV, dopełniając uczynionych ślubów, kościół, przy nim wystawił domek, w którym sam przebywać lubił; wkrótce za przykładem swego monarchy, osoby możniejsze ze dwadzieścia na Bieleńach założyły domków. Jan Kazimierz dokończył

budowy klasztoru 1667 r.; i Michałowi to miejsce było upodobane, w niem też serce swe złożyć rozkazał.

Od czasów Augusta II weszło w zwyczaj, że jak w Paryżu do Longchamp, tak tutaj w drugi dzień Zielonych Świątek, cała publiczność Warszawska się przenosiła; widać tu niekiedy do trzech i czterech tysięcy pojazdów, a przeszło dziesięć tysięcy pieszych gości. Autorowie i artyści zwykli tu grywać Mszą świętą w tym dniu uroczystym. August II i III, gdy byli przytomni w Warszawie, nie omieszkal nigdy przejażdżki do Bielan. Stanisław August bywał tu zawsze na nieszpórach, poczem zakonników cele odwiedzał.

26. KRZESZOWICE.

przez

Ambrożego Grabowskiego.

W czystym miejscu....
Gdzie zdrowy szuka zabaw, zdrowia szuka chory,
Tam leżą Krzeszowice. Czyż odda pióro
Wdzięk, którym to ustronie ozdabiasz naturę?
Br. Kiciński. Dzień w Krzeszowiecach.

Komuż są nieznane piękne, a dla geognostów zbyt ważne okolice Krzeszowic?

Miejsce to, sławne kąpielami siarczanymi (1) i źródłem wody żelaznej, głośniejsze jeszcze jest z przyjemnego położenia, i zwiedzającym je powszechnie się podoba.

Ta piękna wieś z kościołem, na zachód Krakowa o mil trzy odległości, jedna z trzydziestu czterech wiosek (i z miasteczkiem Nową Górą) składających hrabstwo Tęczyńskie, leży w pośród niw urodzajnych, w dolinie opasanej dokoła wzgórzami. Mineralne wody tutejsze około r. 1780 doktor Leonhardi poznał, i własności ich lekarskie chorym zalecał.

Zupełne upiększenie Krzeszowic dziełem jest Księżny Izabelli Lubomirskiej, Marszałkowej Kor., której kosztem stały porządne łązienki, piękne dworki, wygodne domy

1) Ziemia Krakowska jak w różne kruszce, tak i w wody mineralne obfituje. Prócz Krzeszowic są kąpiele siarczane, znacznie mocniejsze w Swoszowicach, wiosce leżącej na prawym brzegu Wisły, o pół mili od Krakowa za Podgórzem, gdzie są i obfite kopalnie siarki.

Źródła tutejsze siarczane znane już były w wieku XVII, wspomina o nich J. Broscius w r. 1645; pisze o nich Rzączyński „Hist. Nat. pag. 120,” i Duńczewski w Kalendar. na r. 1720 in 4-to.

gościnne, dla przyzwoitego pomieszczenia gości, letnią porą kąpiele te odwiedzających.

Pałac tutejszy zwany Vauxhall, poświęcony jest rozrywkom i zabawom gości, a mury sali górnej w tymże, zdobią portrety naturalnej wielkości sławnych ludzi,

Gdy przy używaniu kąpeli, przechadzka jest nieodzownym warunkiem kuracyi, Krzeszowice przeto pod tym względem w najszcześniejszym znajdują się położeniu; albowiem okolica ta łączy wszystko, co pięknem nazywać się może. Góry uwieńczone lasami, nagie skały, bujne łąki, uśmiechające się doliny nęcą oko; ulice z drzew rozłożystych, labirynty cieniste zachęcają do użycia przyjemności przechadzki; sklepienie z gęstych liści odpiiera skwar słoneczny, a powiew chłodnego wietrzyku roznosi balsam ożywiający. Środkiem przechadzek tych płynie rzeczka, tworząca w biegu swym wodospady; a mostki rzucone przez nią z wygodnymi siedzeniami, ułatwiają wytchnienie po utrudzeniu.

Lecz któż zdoła opisać wrażenie, jakie na podróżnym działa cudny widok Krzeszowic? Tu się schódźcie bogacze, którzy angielskie ogrody zakładać myślicie, i niech ta wielka mistrzyni natura, waszą będzie nauczycielką!.... Patrząc na ten obraz zawołałem: dobrze twierdził Anglik ten, który rzekł: „Bóg stworzył wieś, a człowiek zbudował miasto.” (Nachrichten üb. Polen. II pag. 109).

W porze kąpielnej zajeżdżają tu często w znacznej liczbie mieszkańcy Krakowa, a wtedy miejsce to ożywia się tą krótko-trwałą ludnością. Bawiący tu goście przerwą pomiędzy kąpielami poświęcają grom i rozrywkom rozmaitym, krótszym przechadzkom lub dalszym przejażdżkom, w celu poznania pięknych pobliskich okolic, które się tu wymieniają.

27. Alwernia.

Kościół z klasztorem KK. Bernardynów, miejsce wabiące ciekawych piękną posadą wśród lasu. Założyciel jego Krzysztof Koryciński, kasztelan Wojnicki, roku 1636 zmarły i tu pochowany, przyswoił mu nazwę pustyni leżącej nad

rzeką Arno w Toskanii, wstawionej mieszkaniem Św. Franciszka.

28. Czerna.

Kościół pod wezwaniem Św. Eliasza i klasztor OO. Karmelitów bosych (pustelników), na górze wśród ponurzej pustyni, fundowała r. 1628 Agnieszka z hrabiów z Tęczyna Firlejowa.

OO. Karmelici na Czerny, regułą wskazane mieli wykupno jeńców.

Ktokolwiek kościół na Czerny odwiedził, przyzna, jak miłym jest skromne urządzenie jego. Nie ciężą tu żadne ozdoby, a czarne marmurowe ołtarze przy świetnej białości murów, nadają mu tę uroczystość tak przyzwoitą miejscu chwały Boga.

Odwiedzający tę pustynię, murem oprowadzoną, na którego ukończenie Piotr Gembicki, biskup Krak. 1000 złp. testamentem odkazał, zwykli oglądać most kamienny kilkadziesiąt łokci wysoki, teraz już środkiem zwalony, który dwie góry z sobą połączał, i dziwić się wielkości nakładu na wystawienie go. Spodem przedziera się łożem, urwiskami skał zawalonem, bystry potok, w górach tutejszych źródło swe mający.

29. Dębnik.

Na gruncie tej wioski do Paczatołowic należącój, a przeto OO. Karmelitów na Czerny własnej, znajdują się kopalnie marmuru twardszego niż Szwedzki (Rzeczyński, Hist. Nat. p. 29), zbitego i świetny przyjmującego połysk, licznej różnaitości kolorów, a przez swą kilku-stopową miąższość ławie, zdatnego do wszelkich rzeźbiarskich robót, jakeimi świątynie Krakowskie są zapełnione. Również i domy Boże, gmachy publiczne i pałace możnych w Polsce, zwykle ztąd pomniki i ozdoby swę sprowadzały, a marmury Krakowskie w całym kraju są i były słynne. Wydobywanie ich z łomów tutejszych dalekiej zasięga przeszłości. Marmurowe pomniki katedry Krakowskiej na cześć znakomitych mężów,

które tam niegdyś istniały, już od najdawniejszych czasów zastanawiały uwagę cudzoziemców, jak to widać z dzieła Hartmana Schedel.

Król Jan Kazimierz, wydanym w Krakowie r. 1661 przywilejem, pozwolił tutejszym robotnikom około marmurów, w całym kraju wszelkich podejmować się robót, jako to: stawiania ołtarzów marmurowych, nagrobków, portyków, kominków i wszelkich ozdób pałacowych i t. d., a na przeszkadzających im, karę stu czerw. złotych. naznaczył; który to przywilej król August III w r. 1772 potwierdził.

Lecz i za granicą znane były tutejsze kopalnie i ościennych krajów miasta ztąd potrzebnym marmurem opatrywały się, jako to: Wiedeń, gdzie w kościele Św. Szczepana wielki ołtarz z czarnego polskiego marmuru jest zbudowany; oraz Wrocław, gdzie w kościele Św. Maryi Magdaleny sarkofag w nagrobku rodziny Arzat, także z czarnego krakowskiego marmuru jest wyrobiony.

Podniesienie fabryki marmurów w Krzeszowicach dotąd istniejącej, gdzie włóścianie należycie usposobieni, różne z tego kamienia sprzęty i ozdoby wyrabiają, winniśmy przyznać królowi Stanisławowi Augustowi, który po zwiedzeniu tych miejsc, w r. 1787, majstrów biegłych w sztuce dobywania, dłutem wyrabiania i polerowania, z Włoch sprowadził. Prócz marmuru znajduje się jeszcze w okolicy Krzeszowic w wielu miejscach, a mianowicie przy wsiach Miękinia, Sanka, Poręba, Żegoty, piękny ciemno-czerwony, twardy, zatém politurę dobrze przyjmujący porfir, zdolny do wyrabiania z niego (acz kosztownie) ozdób i różnych sprzętów, tém bardziej, że w wielkich kawałach wydobywać go można.

30. Tęczyn.

Zamek ten, którego ruiny szczyt wysokiej góry zalegają, a fundamenta zdają się być wrostem w skałę, zbudował w r. 1319 Nawój z Przegini herbu Topor, syn Żegoty Toporczyka, Wojewoda Sandomierski.

Góra, która dźwiga te zwaliska, złożona z porfiry lub migdałowca, znajoma w świecie geognostycznym, ile że

o niej różni zagraniczni wspominają pisarze, we względnie mineralogicznym jest jedną z najważniejszych gór w ojczyźnie naszej, a okolice jej obfitują w kwarcie, ametysty, chalcedony. Widok z jej szczytu nader jest piękny, od wschodu otacza ją przestrzeń piaskowa, bogata w pokłady węgla kamiennych (w wiosce Tenczynku), tego dobrodziejstwa przezornej natury dla krainy mało lasów mającej jak Krakowskie; i gdyby nie ten produkt, którego nam ziemia z wnętrzości swych obficie dostarcza, opał w Krakowie i okolicach, do najwyższej doszedłby był ceny.

31. Częstochowa.

Miasto to, położone w Polsce, w powiecie Wieluńskim, o trzy mile od granicy Szlaskiej, na lewym brzegu Warty, wstawiło się swoim klasztorem Jasnogórskim, do którego już od kilku wieków pielgrzymki się odbywają. To miasto w dawniej swój posadzie było blisko o pół mili od klasztoru odległe, lecz później usadowiło się wielu mieszkańców pod samą Jasnogórą, i utworzyli tym sposobem drugie miasto, któremu nadali imię Nowej Częstochowy, czyli Częstochówki. To ostatnie całe było drewniane i w rozmaitych wojnach po kilkakroć spalone. Stara zaś Częstochowa, w połowie murowana, lepiej się utrzymała, i przedażą świętych obrazków, ksiąg nabożnych i wyszytych skaplerzów i t. d., jaki taki handel prowadziła. W ostatnich dopiero czasach, od wzrostu rękodzielni polskich, wzniosł się i Częstochowy przemysł. Usadowiło się w niej wielu fabrykantów niemieckich; mnóstwo nowych domów, w kierunku do Jasnej góry postawionych, połączyło prawie Starą z Nową Częstochową, i ludność ich o drugie tyle się podniosła. Sam zaś klasztor Jasnogórski stoi na wzgórzu posady skalistej, nie nadto wprawdzie wysokiem, ale dla płaskości otaczającego kraju, z daleka widzianem. Składa się z obszernego, w kwadrat zbudowanego gmachu, tudzież z kościoła i przyłączonej do niego kaplicy. W niejto złożony jest na ołtarzu z hebanowego drzewa, od wieków cudami słynący obraz Najświętszej Panny, który się stał pier-

wszą podstawą historycznej ważności owej sławnej na całą Słowiańszczyznę Jasnej góry.

Obraz ten, podług popularnego podania, ma być dziełem św. Łukasza. Sprowadzony został z zamku Bełzkiego na Rusi przez księcia Władysława Opolskiego przy końcu XIV wieku, i usadowiony tu, na już natenczas tak nazwanej Jasnej górze, w kościele (podług ówczesnego zwyczaju) drewnianym, z przydanymi do jego utrzymania zakonnikami św. Pawła. Tych wreszcie fundusz przez ciąg wieków od różnych monarchów i panów polskich coraz bardziej powiększony został. W XV wieku, przy końcu panowania Władysława Jagiełły, Hussyci czescy wpadli od Szlaska na klasztor Jasnogórski, zrabowali go, zburzyli, i święty obraz z sobą porwać usiłowali; ale cudownym sposobem dostał się napowrót w ręce księży Paulinów. Ten wypadek powiększył jeszcze powszechnie do tego obrazu uwielbienie. Odtąd pomyślano trwalszy dla niego przybytek wystawić. Stanął zatem około połowy XV wieku kościół, jaki dziś widzimy; ale bez przydanych później ozdób wewnętrznych, dach jednak miał gontowy, drewnianą wieżę i z podobnegoż materiału klasztor. Odtąd też wszyscy już prawie królowie nasi, wielu możnych panów, tak z kraju jak i z zagranicy, uczęszczać poczęli do Jasnejgóry, i w innych już językach, jako Claramons, Klarenberg i t. d., sławną być zaczęła. Ofiarowane ze wszech stron bogate dary na cześć Najświętszej Panny, przechowywane zostały w skarbcu księży Paulinów i mimo licznych odtąd strąt poniesionych, widać tam po dziś dzień między innemi ciekawościami: złotą monstrancyą, własnoręcznej roboty celującego w złotnictwie króla Zygmunta Jagiellończyka. Około roku 1620, za Zygmunta Wazy, obwiedziony został klasztor wysokim murem warownym dla obrony zawartych w nim posiadłości. Był to wszelako tylko prosty mur bez baszt, rowu i ostrokołów, i w tymto stanie roku 1655, za panowania Kazimierza Wazy, wytrzymała pamiętne przeciw Szwedom oblężenia.

Roku 1698 na początku panowania Augusta, po wielkim pożarze klasztoru i części kościoła, pokryty dopiero został

blachą kościół, a klasztor gruntownie, jak dziś stoi, wy-murowany.

Roku 1817 nowy obrządek wskrzesił dawną ważność religijną Jasnejgóry. Obchodzono stuletni jubileusz koronacyi świętego obrazu Najświętszej Panny, za upoważnieniem papieża Piusa VII i błogostawionej pamięci cesarza Aleksandra I.

32. Karpaty.

W pierwotnym składzie naszej części ziemi, najwyżej wzniosły się Alpy, a najobszerniej zaległy Karpaty. Część ich najogromniejsza i najwyższa, a prawie w pośrodku rozgałęzień gór Sarmackich leżąca, nosi imię Krępak, później dopiero Tatrami przezwana, podobno od przechodu tędy hord tatarskich. Tatry są częścią Karpat najpiękniejszą; na samém pograniczu Galicyi z Węgrami, góruje nad innemi szczyt Łomnicki 8316 stóp wysoki, i Krywań nieco od niego niższy.

Od północy Krywań z trudnością przystępny, ma skały przepaściste, od południa wchód bardzo łatwy. Przez pół dnia po niezmiernych rozwalinach wdzieratem się na najwyższy grzebieniec, który jest cały z litego granitu. Przeszedłszy liczne góralskie polany, to jest pastwiska i sianożęcia, gdzie pasterze mają swe kotary czyli koliby, i gdzie podczas kośby z rodziną i trzodami bawią, dostałem się w kilku godzinach na wysokość, kędy już lasy ustają. Gdy się idzie dalej w górę, na wysokości 960 sążni, spotykają się z wielką pracą kowane w granitach różne lochy czyli stole. Sąto dawne górnicze wyroby na złoto, które tu znajduje się samorodne w listach lub w krzewiu; kierunku żył dostrzedz nie mogłem, bo stole wszystkie częścią zapadły, częścią śniegiem i lodami są zawałone.

Od tych kopalni złota, jeszcze czwarta część góry do najwyższego szczytu. Idąc prosto, możnaby wejść w godzinę czasu, ale zbyt przykro; postępując zaś grzbietami ciągnącemi się ze wschodu aż do wierzchu, w dwie godziny stanąłem na najwyższym Krywania szczycie. Trudne do pojęcia, trudniejsze jeszcze do opisania pierwsze wrażenie.

Wszystkie dotąd z taką trudnością przebyte góry, znikają teraz pod nogami memi, i ukazywały się tylko jako poziome kopce.

Natura w dolinach jest skryta; aby ją rozpoznać, kopać ją potrzeba; w górach jest otwartą. Tu sama zdaje się odkrywać, sama wynosić, aby się okazała całą. W równinach natura jest niezmiernie czynną, nieskończenie rozmaita, nieustannie świat ozdabia, upiększa, coraz inne tworzy kwiaty, drzewa, zwierzęta. Tu wszystko inaczej, ni tu znaku przemysłu, ni śladu rozumu; wszędzie, gdzie człowiek spojrzy, spotyka tylko jeden i zawsze jeden ogół. Jestto świat stary, ponury, chropowaty, nieużyty. Natura czyli nie śmie, czyli nie może go przyozdobić ani urozmaicić. Wśród łysych skalisk natura sama naga i zimna. Tu zdaje się spotykać pierwsze krańce ostateczności; ów koniec, gdzie wszystko martwieje, gdzie same żywioły ustają. Powietrze jakieś głuche, niezdatne do dźwięków odgłosu; światło jakieś spokojne, nie tak jak na dole, żywo połyskuje, świetnie jaśnieje, ale nie ogrzewa. Przecież i tu wszystko natura przerabia i przemienia. Ogromne rozwaliska wszystkich gór pierwotnych, szczególnież Krywania, dowodzą, że świat ten stary nie był takim, jakim dzisiaj, kiedy został stworzony. Góry pierwotne przynajmniej raz jeszcze od teraźniejszych były wyższe. Sam grzbiet Krywania mało więcej nad dwa sążnie szeroki ma od południa spadek na dwadzieścia kilka stopni potoczysty, cały rozwalinami skał aż do dołu, pokryty. Od północy ma ściany zaraz z góry przepaściste.

Na wysokości czterech tysięcy kilkaset stóp w górach Tatrach ukazuje się wielki plac, miejsce na pół mili rozległe a całe jakoby zapadłe lub wykute wśród samych granitowych skał, których widać ogromne i jeszcze na kilka tysięcy stóp wyżej na około sterczące wielorakiego kształtu cyple. Tych podobieństwem do różnych istot uderzana, dzielniejsza w góralach niż w gminie po równinach wyobraźni władza, różnemi je nazwała imiony: zbójów, pielgrzymów, starców, mnichów i t. d.

Wpośrodku takich granitów leży w dole obszerne jezioro Rybie. Spadają do niego dwa wielkie potoki, które na pięćset stóp z góry na dół leżąc, z strasznym hukiem rozbijają po skałach swe wody, i czynią zachwycający widok. W tém miejscu ogromność wszystkich razem przedmiotów łudzi oko, wszystko to zdaje się być niewielkie, blizkie, a przyłożona w szczegółach miara odkrywa wszędzie niespodziewaną odległość, wielkość. Jezioro na pierwszy rzut oka zdaje się być bardzo małe; zmierzone zawiera przeszło 8000 stóp naokoło. O tego jeziora głębi; o mających się w niem znajdować wielkich rybach i jakichś potworach, które czasami wyrzucają wodę do góry, i porývają pasterzom nadto zbliżone do brzegów owce i kozy, są liczne między góralami tutejszymi powieści.

Pilne uważanie i użyte przezemnie różne sposoby dla złowienia ryb, lub postrzeżenia ich gatunków, nie odkryły mi innego, tylko gatunek pstrągów, zbliżający się najwięcej do tego rodzaju ryb w Laponii, które prawie jedyną są karmią Laponczyków w górach; jest to ryba mająca długości stołę jedną, głowę owalną, ogon widełkowaty, łuski bardzo drobną, po obu stronach żółtymi kropkami popstrzoną, skrzeme czerwone, boki niebieskie, a brzuch żółty. Znajdują się także pstrągi mające dwie stopy długości i przeszło; są one wyżej opisanym podobne, ale się różnią wężykowatemi pręgami.

Wyszedłszy jeszcze wyżej na te skały, z których owe dwa potoki do jeziora Rybiego spadają, znalazłem na wysokości odtąd jeszcze pięćset stóp, dwa drugie jeziora, z których wody pędząc na dół, rozbijają się po skałach; jedno z nich zowie się Czarny Staw, drugie na wschód między najwyższymi i najostrejszymi skałami, nazywa się Morskie Oko. Otoczone jest wkoło granitowemi skałami na kilka tysięcy stóp wyżej jeszcze sterczącemi. Trzy granitowe ściany od północy, wschodu i od południa są całe, gładkie, prostopadłe, nie mające żadnych rozpadlin. Czwarta zaś ściana, która niegdyś tę całą przepaść i w niej wody Morskiego Oka zamykała, leży teraz w zwałiskach, zasypujących wielką część Rybiego jeziora.

O tém Oku Morskiem, że jest niezgruntowane, że wody jego mają podziemne połączenie z morzem i że te w pewnych czasach do góry się podnoszą, znalazłem między góralami liczne gminne podania. To tylko zdaje się być rzeczywistém, że wody tego jeziora wznosiły się w początkach do znacznej wysokości, czego dowodem jest ogromne rozwalisko czwartej ściany, którędy te wody spadły i do tąd spadają. Jezioro to i inne na górach pierwotnych leżące właściwie w przepaściach, nie mają żadnych źródeł, a wszystkie dla swych wód uchodu mają jedną ze czterech ścian prostopadłych rozerwaną albo całkiem wywaloną, którędy wody spadając, uchodzą. To wzbieranie i opadanie wód w Oku Morskiem, które tutejszych góralów tak zadziwia, jest jedynie skutkiem nawalnych ulew i roztopień śniegów. Wtenczas wody jego wznoszą się nagle, dopóki nie przebiorą grzbietu w rozwalonej ścianie, a w całej szerokości na kilkaset stóp przewaliwszy się tamtędy, czynią widok ogromnej rzeki na kilkaset stóp wysoko i szeroko lecącej po skałach w Rybie jezioro.

Mimo braku w tém miejscu czółna i wszelkiego na tutejszej wysokości drzewa, starałem się przecieź w kilku miejscach zmierzyć Oka Morskiego głębokość. Rzucana kula ołowiana na sznurze, 580 stóp najgłębiej spadała.

Oko morskie leży z strony północnej Tatrów; ma wysokości 4566 stóp. Już przy niem nie znalazłem żadnego drzewa i nie widziałem nic żywego, ani ptaków, ani ptaków ziemskich. W wodach Oka Morskiego żadnych ryb nie masz, naokoło zaś w rozpadlinach skał śniegi i lody.

33. KAMIENIEC PODOLSKI.

przez

Aleksandra Przezdzieckiego.

Rzeka Smotrycz żółtawym wód pierścieniem oblewa naokoło wysoką, stromą skałę, na skale miasto; wśród klasztorów i kopuł kościelnych wznosi się Turecki minaret z półksiężycem na szczycie, na półksiężycu posąg Najświętszej Panny, a w tym pomniku odbija się cała historia

Kamieńca. Niewola Turecka i oswobodzenie, owoc zwycięstw króla Jana III, który August II na paktach Karłowickich już dojrzwały zerwał.

Zdaleka widać Kamieniec na skale, ale wjechać do niego, to nie łatwo. Ponad Smotryczem ciągnie się naokoło wał skalisty, i drugim zewnętrznym pierścieniem Kamieniec otacza; na tych skałach rozrzucone są Polskie folwarki od Podola; a z przeciwnej strony od Chocimia sterczą kamienne baszty fortecy. Łączy ją z miastem most z polowych kamieni na arkadach, dzieło Turków, przez lat 27 panów Kamieńca.

Trzy bramy do Kamieńca prowadzą: od Podola Wietrzna Brama, nakształt zameczyska walcowatego z napisem, który Stefana Batorego i Stanisława Augusta, królów, jako założycieli i odnowicieli wspomina. Od Chocimia, przy fortecy Brama Polska czyli Zamkowa. Trzecia brama Ruska nad rzeką.

Miasto nie wielkie; sam środek zajmuje rynek kwadratowy, naokoło niego kamienice ze sklepami w dolnych piętrach. Na rogu stoi katedra katolicka z ochrzczonego muzułmańskim minaretem. Dominikańska ulica prowadzi z rynku na plac gubernatorski, na którym pałac gubernatorów, katedra grecka i seminarium, kościół trynitański, na koniec sala wyborowa, a za nią wały, jedyna przechadzka miejska. Szeroka, drzewami obsadzona ulica ciągnie się samym brzegiem skały; na kilkaset stóp w dół płynie Smotrycz, a za nim bieleją po skałach polskie folwarki. Stara forteca podnosi pod błękit nieba szare baszty kwadratowe, okrągłe, śpiczaste, gładkie lub wyrabiane w ząbki; stary most turecki pełźnie ku niej niby wąż olbrzymi, a z przeciwnej strony zieleni się ponad rzeką ogród Witta, o skały zewnętrzne oparty.

34. Tulon.

Puszczając się w daleką i długą podróż, ostatnie spojrzenie rzucamy na ziemię rodzinną, i żegnamy się z nią może na zawsze; mocny żal łączy się z naszym postano-

wieniem, i wtedy w naszej wyobraźni obudzają się wszystkie wspomnienia o domu, rodzinie i latach dziecińczych.

W takim usposobieniu umysłu znajdowałem się przy końcu lipca 1829 r., odpływając z Tulonu. W owym czasie z powodu blokowania Algieru przez Kontr-Admirała La Bretonniere, wielka czynność panowała w tym porcie. Parę dni, które mi jeszcze pozostały, nim odpłynąłem do wyspy Madery na statku angielskim, użyłem na zwiedzenie Tulonu i jego okolic. Ztąd rozpoczynają się pierwsze zapiski mojej podróży.

Wybudowane w pół okrąg przed jednym z najpiękniejszych portów morza Śródziemnego miasto Tulon doznało wielu wstrząśnień i przemian. Jego początek ginie wśród bajecznych przypuszczeń. To rzecz pewna, że Tulon już był sławny przemysłem za czasów Arkadyusza, syna Teodozyusza Wielkiego. Najazd Arabów przeszedł jak huragan po tej części Prowancyi, która zakwitła wkrótce pod opieką hrabiów Marsylii. Dwa razy Saraceni zburzyli go ogniem i mieczem, dwa razy przemysłowy geniusz jego mieszkańców wy dobył go z pod gruzów. Od tego czasu nadaremnie z pomocą Anglii i Hollandyi, książę Sabaudyi chciał zdobyć Tulon. Raz tylko pośród domowych niezgód ten klucz południowej Francyi dostał się w ręce Anglików. Było to w r. 1793, a dla młodego oficera artylleryi, który potem czoło swoje koroną cesarską uwieńczył, znalazła się sposobność wskazania Europie wojownika, którego tryumf i chwała cały ląd obiegiły, i skończyły się na klęsce pod Waterloo, i na skale Świętej Heleny.

Tulon uważany jako warownia morska, może w porcie swoim objąć tysiące żagli; jakoż wzrok gubi się w tém mnóstwie okrętów, fregat, korwet, galiot i mniejszych statków, stojących na kotwicy w tym malowniczym porządku. Ten las masztów załania powiększej części widok brzegów. Góra panująca nad miastem ochrania je od wiatrów północnych. Wzdłuż boków tej góry, pośród pól okrytych rozmaitemi płodami, pośród drzew oliwnych i pomarańczowych, widać białe domki, gdzie mieszkańcy Tulonu udają się w małych gromadkach na wiejskie zabawy i ucztę.

Wieczorem, kiedy rosa upadnie, wracają do miasta w tymże samym porządku, z tą samą wesołością. Za pierwszém spojrzeniem na miasto Tulon, nie możemy dobrze ogarnąć jego całości. Ulice są ciasne, place nieregularne, ale ozdobione fontannami, które zmniejszają upały letni, a mnóstwo robót hydraulicznych należy do bogactw tego miasta. Ich kamienne ściany okryte mchem i wegetacją, która rodzona i poetyczną ozdobę szanuje dobry smak ludu, rozpościerając w dzień i w nocy chłód zbawienny. Przez to mieszkania są zdrowsze, a przechadzki wieczorne bardziej uczęszczane. W ogólności domy są budowane wytwornie; pole marsowe, które było miejscem krwawych odwetów w roku 1793, jest piękne, obszerne, i podwójnym rzędem drzew otoczone. Nie trzeba zapominać na szerokim bulwarze, noszącym nazwisko Bulwaru kupców, o filarach unoszących balkon Ratusza; są one wiecznym pomnikiem drażliwości sławnego sztycharza Pouguet, który chcąc się pomścić za to, że mu dokuęcało dwóch członków magistratu, wystawił ich w płaskorzeźbie na pośmiewisko swoich współziomków.

Inne gmachy nie wiele zasługują na wspomnienie. Port i budowle do niego należące szczególniej zwracają uwagę podróżnika, wojskowego i żeglarza. Port Tuloński składa się z dwóch części: jedna zbudowana za Henryka IV i przeznaczona dla okrętów wojennych, jest to port stary; druga zaczęta i skończona za Ludwika XIV jest nowym portem. Oba łączą się kanałem, a warownie i baterie obsadzone działami, bronią przystani, z której obszernością żadna inna przystań mierzyć się nie może; w nowym porcie stoją pontony, służące za więzienie skazanym na galery. Więźniów jest blisko 4000, używają ich do czyszczenia portu, do robót na warsztatach okrętów, w arsenatach i w porcie; onito codziennie czyszczą ulice miasta. Imię ś. Wincentego a Paulo, którego ewangeliczne poświęcenie się przychodzi na myśl na widok galer Tulońskich, jest żywą tu pamiątką. Arsenat uderza wyobraźnią tych nawet, którzy zwiedzili arsenat w Rochefort, Brest i Cherbourg. Piramidy z granatów, z kul łańcuchami złączonych, z bomb stoją rzędami,

przedzielone moździerzami i działami ciężkiego kalibru. Obszerne sale mieszczą kilkadziesiąt tysięcy karabinów, zdobiących ściany; piki, berdysze, pistolety ustawione są symetrycznie w równo odległych rzędach; pałasze tworzą na sufitach rozety i słońca. Starożytnik z zajęciem zatrzymuje się na widok tego zbioru, gdzie znajduje ułożone w porządku wieków zbroje naszych przodków, zaczawszy od żelaznej Gaulów maczugi, i od świetnych kirysów rycerstwa aż do tegoczesnej strzelby podwójnej. Z tego arsenatu przechodzi się do linowni; jest to warsztat długi przeszło na tysiąc sześćset kroków; jego sklepienie jest wysileniem sztuki budowniczej: można w nim robić sześć lin razem, a codziennie nowe próby i doświadczenia, mające na celu skrócenie i udoskonalenie pracy, dowodzą troskliwości rządu o ten przemysł, jeden z najpotrzebniejszych do żeglugi. Trzeba także zwiedzić warsztaty stolarskie, bednarskie, ludwisarnie, kuźnice, piekarnie w nieustannym ruchu będące, i salę wzorów, gdzie można przypatrzeć się wszelkiego rodzaju statkom. W tych salach młodzież usposabia się do tych wypraw niebezpiecznych, które za czasem rozszerzą handel Francji pod zastawą naszej flagi. W służbie zbudowanej za dni naszych przez pana Gognard, mającej 300 stóp długości, a 100 szerokości naprawiają okręty.

Stopniowo w tym przeglądzie nabywając wyobrażeń potrzebnych do dalekiej żeglugi, nie zapomniałem także odwiedzić i miasteczka i ogrodów Hyeres, ojczyzny Massylona. Flora tej pięknej okolicy, w której jasminy Hiszpanii, kassya ze wschodu, pomarańcze z Portugalii, kojarząc swoje gałęzie, wonią napełniają powietrze, przedstawiła mi o dwa dni odległości uderzającą sprzeczność z pięknoscią wąwozów gór Olioules, tej dzikiej doliny, noszącej piętno wstrząśnień przyrodzenia, i klęsk przez wybuch wulkanu zrzadzonych. Zdaje się, że jeszcze na nich rozpoznac można ślady szerokich potoków lawy.

Spiekła dzikość tej puszczy przejęła mnie podziwieniem, później dopiero miałem oglądać uderzającą wspałałość góry Pik na wyspach Kanaryjskich.

35. KOLUMNA CESARZA ALEKSANDRA.

Kolumna wystawiona ku czci błogostawionej pamięci Aleksandra Igo, Cesarza Wszech Rossyi, przed pałacem zimowym w Petersburgu, należy do olbrzymich dzieł sztuki rzeźbiarskiej. Cała kolumna składa się z jednej sztuki granitu. Ogromna ta masa wydobyta z kamieniarni Finlandzkich w dniu 1 lipca 1832 roku, przywieziona do Petersburga 13 lipca i postawiona na podstawie 11 września tegoż roku, przechodzi wysokością wszystkie znajome dotąd pomniki. Kolumna jest doryckiego porządku, na podstawie również granitowej, mającej wschody o kilku stopniach z tego samego kamienia. Kolumna zakończy się kapitelem brązowym; na nim jest półkule, na którym wznosi się anioł wskazujący prawą ręką ku niebu, w lewą zaś trzyma krzyż tłoczący węża. Cztery strony podstawy otaczają trofea, allegoryczne wyobrażenia Niemna i Wisły, Sławy i Pokoju, Sprawiedliwości i Łaski, Mądrości i Dostatku. Między temi obrazami są na trzech stronach wyryte lata 1812, 1813 i 1814, na czwartej zaś stronie ku pałacowi zimowemu napis: Aleksandrowi Pierwszemu Wdzięczna Rossyja.

Wysokość całego pomnika od spodu aż do końca krzyża wynosi stóp 154; stęp właściwy z jednego kamienia złożony, ma 12 stóp w przecięciu a 84 stóp angielskich wysokości. Sam stęp kosztował 200,000 rubli; inne koszty, mianowicie rusztowanie, wyniosły 600,000 rubli. Połączoną siłą 60 dźwigni, 400 robotników i 2000 żołnierzy, którzy pod Cesarzem Aleksandrem wojowali, stęp wzniesionym został dnia 30 sierpnia 1832 r., w przeciągu 50 minut.

Dnia 11 sierpnia 1834 r. odbyło się uroczyste poświęcenie kolumny.

Tegoż dnia po wielkiej burzy nastał piękny poranek; od świtu liczne tłumy wszystkie miejsca zajęły. Okna, dachy i bramy wypełnione były mnóstwem widzów. Ciało dyplomatyczne i różne znakomite osoby zebrały się około 11 w pałacu zimowym. Pomnik pokryty był czerwoną ostoną,

którą utrzymywały trofea kratę otaczające, i słupy téjże kraty w formie rzymskich pęków (fascies). O godzinie 11 rozpoczęła się uroczystość, wojsko wśród huku dział zaczęło swój pochód. Na placu stanęło szesnaście uszykowanych pułków.

Tu ukazał się Najjaśniejszy Cesarz z świetnym orszakiem, i przy radosnych odgłosach szybko wojsko objechał. Poczém Najjaśniejszy Pan udał się do cerkwi zamkowej, gdzie Go z krzyżem i wodą święconą powitał Metropolita Nowogrodzki i Petersburski Serafim. Wtém rozpoczęła się uroczysta processya: Ciało dyplomatyczne, członkowie Rady Państwa, senatorowie, marszałkowie szlacheccy i deputowani stanu kupieckiego, zajęli miejsce na wystawie na ten cel urządzonej, ku tejże postępowała Najjaśniejsza Pani w niebieskim ubiorze paradnym, otoczona Ich C. M. W. książętami i księżniczkami, tudzież damami honorowemi i urzędnikami dworu.

Skoro processya ukazała się na wystawie, powitało ją całe wojsko prezentowaniem broni, przy odgłosie bębnów i muzyki. Nagle nastąpiła cichość najuroczystsza. Wmgnieńiu oka odkryli wszyscy głowy, i w środku placu między kolumną a wystawą, ujrano oddzielnie stojącego wojownika, dalej nieco dwóch innych. Był to Najjaśniejszy Cesarz, po lewej J. K. M. Książę Wilhelm Pruski, a za Najjaśniejszym Panem, Wielki Książę Michał. W téj chwili taka panowała cisza, iż nawet na przeciwnéj stronie placu, można było słyszeć wyraźnie słowa Protodyakona i powtarzać za nim modlitwę o pomyślność domu Cesarskiego.

Wszyscy ujrzeni przed sobą na bruku modlącego się na kolanach władzę milionów ludu. Również ukłękli obaj książęta i całe wojsko. Najjaśniejszy Pan powstał, a Protodyakon, zmówił modlitwę na cześć spoczywającego cesarza Aleksandra I. Tu o godzinie wpół do drugiej opadła nagle zasłona, postument kolumny zakrywająca, a złote godła zwyciężkie, które pomnik otaczały, nachyliły się ku kolumnie. W téj uroczystéj chwili całe wojsko broń prezentowało. Twierdza, okręty i cała artyllerya dawały ognia z kilkuset dział, a wojsko setysięczne wydawało okrzyki

hurra! Oczy zaś wszystkich zwrócone były na jeden z najwspanialszych pomników.

Po modlitwie o pomyślność wojska, parada szła po wschodach, okrytych czerwonym suknem i otoczyła pomnik. Najjaśniejsza Cesarzowa obeszła wewnątrz kraty pomnik, a Najjaśniejszy Pan zewnątrz konno. Poczem pokropiono pomnik święconą wodą, i parada wróciła drugimi wschodami w towarzystwie grenadyerów zamkowych, którzy dotąd szeregami przy wschodach stali.

Gdy Najjaśniejsi Cesarstwo zajęli miejsce na wystawie, rozpoczął się obrzędowy pochód wojska. Najjaśniejszy Pan salutował osobiście pomnik wiecznego w dziejach brata swego.

Uroczystość zakończyła się wspaniałą iluminacją, wśród której plac zamkowy szczególnie jaśniał. Na czterech rogach kraty pomnik otaczającej, urządzono cztery ofiarne ołtarze, a oświecenie okrętów na Newie wspaniały czyniło widok. Za Nową zaś, gmach giełdy jaśniał rzęsiśtym światłem.

Tak zakończył się ów dzień pamiętny, w którym łaska Ojciec ludu swego uwiecznił się, oddając cześć sprawiedliwą zasługom Najjaśniejszego brata swojego.

36. Walhalla.

W r. 1807 następca tronu Bawarskiego, następnie panujący król Ludwik, powziął myśl wzniesienia pomnika narodowej sławy Germanów. Obrano ku temu miejsce nad Dunajem, jako na krańcu dawnych posiadłości Rzymskich w Niemczech, pod wsią Donaustauf, na wzgórzu Brenberg, z kąd rozciąga się widok na Ratyzbong i na malownicze ruiny starożytnego, bo już w XI wieku słynnego zamku Stauffburg. Gmach ten nazwano Walhalla. Podług mitologii ludów Skandynawskich i Germańskich, Walhalla była przybytkiem zaświatowym dla duchów rycerzy poległych w boju (Halle der Erschlagenen — Sala poległych), miejscem przeznaczonem na bankiet z Odysem, gdzie rycerze popijali miód z czaszek zabitych wrogów, i w ciągłym szermierstwie i ścieraniu się orężem, czas przepędzali.

W r. 1821 rozpoczęły się przysposobienia do budowy. W roku 1830, 18 października położono węgielny kamień, a w r. 1842, 15 lipca całkowicie ją ukończono. Świątynia ta ma podobieństwo do Ateńskiego Panteonu Akropolis, i również jak ta zbudowana jest w starożytnym stylu doryckim. Na materiał do budowy użyto marmuru łamanego pod Salzburg. Walhalla wielkością wyrównywa największym świątyniom starożytnego świata. Długa na 440 stóp, szeroka na 290, wysoka na 200, na froncie 8 słupami, po bokach 17 ozdobiona, trzema kondygnacjami, formującemi ogromne, oddzielne, skaliste bryły nad powierzchnią wzgórza (sięgającego 250 stóp nad poziom Dunaju) wyniesiona, na daleki obszar kraju rozciąga swój widok. Uwieńczająca ten gmach wyższa świątynia, właściwa Walhalla, ma długości 232 stóp, szerokości 110, wysokości 63, i zawiera salę z portykiem wspierającą się na 37 słupach kolosalnych. Wysokość tych słupów wynosi 36 stóp, a ich średnica 5 stóp i 10 cali. Każdy z 11 tamburów ważył przed wyżłobieniem 10,000 funtów. Archytrawy mają 18 stóp długości, blisko 5 stóp wysokości, $2\frac{1}{3}$ grubości i ważą po 25,000 funtów.

Zewnętrzne, mianowicie podszczytowe ściany, frontowa i tylna, są ozdobione wypukłymi rzeźbami, wyobrażającymi jużto epizody z bitew, w których Arminiusz (Herman), wódz Germanów, zniósł legiony Warrusa, i uwolnił Germanię z jarzma rzymskiego, jużto znakomitsze dzisiejsze kraje niemieckie, związkiem przyjaźni i braterstwa połączone.

Wnętrze Walhalli, tak zwana Cella, jest przestronnym czworobokiem, na 132 stóp długim, na 50 szerokim. Pasy czyli gurty spoczywają na belkowaniu i jońskich pilastrach, na trzy oddziały podzielonem. Słupce pilastrów, równie jak i ściany są z brunatno-czerwonego, biało nakrapianego salzburgskiego marmuru, kapitele zaś z białego. Na gzymsie owemi pilastrami podpieranym, stoi 14 żeńskich karyatyd od 9—10 stóp wysokich, dźwigających belkowanie, nad którym wznosi się pokrycie dachowe z latarniami i oknami ze szkła zwierciadlanego, oświecającemi wnętrze. Wiązanie dachowe jest żelazne. Ściana główna w środ-

belku czyli fryzie, stawia przed oczy widza płaskorzeźby z wyobrażeniami czynów i wypadków odleglejszych, obchodzących tak w szczególności naród Niemiecki, jak w ogólności całą ludzkość. Napisami z kolosalnych bronzowych liter ułożonemi, zastąpione są popiersia tych bohaterów, których wizerunki nie doszły do potomności. Pod śródbelkiem w tęż ścianę są wprawione konsole, a dalej niżej na posadzce stoją postumenta, na których wznoszą się popiersia plastyczne bohaterów Walhalli, wykonane przez najstarszych niemieckich rzeźbiarzy.

Posadzka jest mozaikowa z kawałków kolorowego marmuru, według najpiękniejszego rysunku, pośród których przezierają trzy napisy, tyleż epok budowy oznaczające, to jest: uchwate, początek i dokończenie. Budowa z pełną wdzięku przyjemnością i czystością form i proporcji, została dokonana, jakśmy wyżej powiedzieli, w miesiącu lipcu 1842 r. Architektem tego jedyne go w swoim rodzaju arcydzieła, był sławny Leon Klenze, któremu Monachium winno jest wzniesienie najokazalszych swoich gmachów, jakoto: Pinakoteki, Bazyliki, Muzeum, Teatru wielkiej Opery i t. d. Fronton roboty snycerza Stigelmaer, a wewnętrzne ozdoby Wagenera.

Pod dniem 15 miesiąca lipca, pisma czasowe w Monachium ogłosiły poczet sławnych Niemców, których popiersia zajęły 200 czekających na nie w Walhalli postumentów (Verzeichniss der berühmten Deutschen, die in König Ludwigs Walhalla einen Ehrenplatz gefunden). Hermann der Römer Besieger zaczyna ten poczet, a Johan Wolfgang von Goethe zamyka go. Z obrazą cywilizacji i prawa narodów, umieszczono w tym poczie Mikołaja Kopernika, astronoma polskiego.

R.

37. Wyjątki z Dziennika Podróży po zachodniej części Galicyi, opisującego szczególnie Tatrę.

Dzień pogodny dopiekał, ale między górami przeciągał wiatr mocny; śniegi nocne leżały na wznioślejszych szczytach, dolna połowa zieleniła się trawą i pękającymi drze-

wy, wyższą rumieniły obumarłe jeszcze buki; nagle ukazało się Krościenko; mała dolinka, jak żeby góry umyślnie się rozeszły dla przyjęcia tej osady, rozwija się przed nią. Olbrzymie Pieniny ze skał poprzerastałych lasami nagle się podniosły, a ściśnione domy miasteczka i kościołek jego o czerwonym dachu, przyparte do Pienin, wydawały się jak dzieło malarskiego pędzla na zielonem tle lasów. Dunajec ukazuje się tu od południa i obmywa wschodnią stronę Pienin i Krościenka. Pasma nagich wzgórzów po tamtej stronie Dunajca obfituje w kwaśne mineralne źródła. Szczawnice, mila stąd odległe, z dawna już słyną; źródło wody Krościeńskiej zaczyna być dopiero uczęszczane. Do przeciwniej strony Pienin przytyka granica węgierska, łozem Dunajca określona. Pieniny najwyższe w paśmie Tatrzańskich przedgórzów, mają wdzięk historyczny. Pamiętne są mianowicie zamkiem w gruzy dziś zamienionym, gdzie Bolesław Wstydlivy ze Ś. Kunegundą kryli się przed Tatarami.

W skałach są pieczary do 200 stóp długości, i miały służyć za podziemny przechód w razie niebezpieczeństwa. Z Krościenka skręca się droga na zachód; do Czorsztyna tylko mila, a Czorsztyn strzeże wstępu do Nowotarskiej doliny; kto zbliżał się kiedy do stron, do istot najmilszych sobie, ten pojmie mój stódkie niepokój, moję radość: że niebawnie ujrzę cel podróży; ale co nieprzyjemności przytém: droga jak na złość najgorsza w świecie, połową kamienistém korytem potoku, zupełnie jak przez Paleśnicę, drugie pół wciąż pod górę; nie wytrzymałem, zasnąłem. Trącenie towarzysza budzi mię ze snu, podnoszę rozdrzymane oczy, patrzę za jego palcem, na lewej ręce las świerkowy: „Czy widzisz Tatrę?” „Oneżto?” zawołałem. Nie zapomnę nigdy pierwszego ich ujrzenia, nigdy już później nie widziałem ich takimi. Rażąca białość śniegu pokratowana w rozliczne wzory ciemnymi pręgami opok, pokrywała gmach cały, nadzachodnie słońce cieniowało go blado-rumianém światłem; nie śmiem kończyć obrazu, mogę tylko opowiedzieć, że w olbrzymiem powtórne m widzeniu objawiły się Tatrę, za drżącą siatką bengalskiego ognia; żem zajrzał

w zwierciadło najczystszej nieba: tak uroczy był błękit uśnieżonych Tatrów, taki ich był widok przez cienie świerkowego lasu. I nie cały jeszcze ogrom widziałem: zaślaniały go leżące na drodze węgierskie przedgórza. W pierwszym uniesieniu zapomniałem o reszcie okolicy, powóz tymczasem szybko się toczył, las gęstniał, droga się zniżać; okrążyła z uszanowaniem górę poświęconą gruzami Czorsztyna, i skręciła się przy Dunajcu na zachód: wstąpiłem więc na Nowotarską dolinę. Gór jeszcze nie widać. Wapienne skały, które obmurowały przeciwny brzeg Dunajca, przy wszystkich swoich wdziękach były mi nieznośną przeszkodą; pragnąłem je minąć jak najprędzej, minąłem wreszcie; ale cóż? grube chmury przewalając się z wyższej Tatry połowy, wkrótce zabrały całkiem mojemu oku nadzieję zobaczenia ich dzisiaj.

Widziałem tedy Tatry w całej okazałości: żaden obłoczek nie błakał się po nich, wyglądały jakby eterem oblane; deszcz też nocny znacznie opłukał śniegi. Stanowisko, z którego patrzałem, jest może jedyne w całej dolinie do takiego widoku. Pomimo przedgórzów opasujących Tatry, przebiegałem swobodnie cały łańcuch od góry podpierającej ogrom Łomnickiego szczytu, aż gdzie się zniża nad Wagiem. Skacząc okiem po tych kilkuset szczytach, to wyżej, to niżej, to ostrzej, to okrągłej ząbkujących widokres; tocząc myśl niby po tych wzgórzach, co są grzbietami gór, których wielkości w marzeniach nawet nie mieliśmy wyobrażenia; po tych niby rozpadlinach, co milami zalegają wewnątrz gmachu, i rozgałęziają się w tysiące dolin, wąwozów, przepaści niedojrzanych, niepoliczonych; wyobraziłem sobie wśród światła ziemi, świat osobny, świat śniegów i zgrozy, świat piękności tajemniczych, obwiedzionych kołem przestrachu i śmierci, przez które tylko miłość przyrody i odwaga przekroczyć potrafią; a tymczasem w tej porze najśmielszy, najzapaleńszy miłośnik niebył nie dokazał; pierwszy krok pchnąłby go w przepaść śniegów bez ratunku; długo jeszcze wolno mi tylko się zdala przypatrywać! Dręczące uczucie! dokoła najświetniejsza wiosna; ciepło, pogoda, zieloność, kwiaty, swobodnie wody

rozlewają zewsząd życie u samego nawet podnóża lodowców, zbiegły się do góry umajone puszcami świerków; one tylko, prawdziwe pogromcy zimy, zaległy wszystko niedźwignioną masą lodów, i w wszystkiemu odrętwieniem śmierci grożą.

Tatry jeszcze bieleją śniegiem, który tej nocy spadł na górach; nawet przedgórza, zaślaniające Nowotarską dolinę od północy, na wyższych szczytach śnieg mają, ale dzień nadzwyczaj jasny i ciepły. Z wielkiej góry nad Łopuszną, widziałem oderwaną od Karpat część gór lodowych zwanych Tatry; leżą one nad Wagiem. Z rana byłem na Lisowej skale, która do Węgier już należy. Jej położenie między wsiami Nową-Białą i Gronkowem, wznosi się samotnie wśród pól płaskich jak piramida. Dziwna rzecz, że podobne skały znajdują się przed całym pasmem Tatrów w równoległej prawie od nich linii i niezbyt od siebie daleko. Skały te są wapienne i znacznej wysokości. Zdaje mi się, że autor dzieła o Ziemiorodztwie Karpat, zaślaniając się także nad niemi. Dochodząc do Lisowej skały, miałem widok, który tylko w górach mieć można. Na śnieżystym jej szczycie, kilkunastu pastuszków śpiewało i tańczyło. Ich ruchy tak były ulotne; ich guńki krótkie z rękawów spuszczone i małe kapelusiki, tak odpowiadały lekkim ruchom tańca, że widząc to wszystko w świetle podnoszącego się słońca, jak ja widziałem, mimowolnie wyobrażamy sobie fantastyczne grupy jakichś nadpowietrznych tancerzy.

Okazałe są Tatry patrzącemu na nie z doliny, ale nierównie wspaniałej się wydają z miejsc wyższych. Im bardziej stanowisko się podnosi, tém bardziej zmieniają się ich przedgórza; a same Tatry, jakby chciały groźniejszą przybrać postawę, rosną i zbliżają się. Doświadczyłem tego z jednej góry Łopuszańskiej, którą Groniem zowią. Stając na jej szczycie, ażem się zdumiał tak niespodzianem zjawiskiem. Zdało mi się, że owe góry, pomiędzy którymi najbliższe o mil 5 leżą, są tuż przedemną. W pierwszym rzucie oka o małym nie przyrzekł policzyć ich drzew, powiedzieć kwadratową przestrzeń każdego płatka śniegu; owa szerokość ogromna Nowotarskiej doliny, zwi-

neła się w głęboki wązki rozdół; owe lasy zmieniły się w ciemną plamkę na dnie jego, a Dunajec w cienką nitkę blasku. Złudzenie to powiększa się, im wyżej, jak powiedziałem, wchodzimy. Co za kraina, gdzie tylko zmiana punktu widzenia stawia nam przedmiot pod tysiącem kształtów, a zawsze pięknych, porywających!

Mając przeszkodę w ciągłej niepogodzie i śniegu, głębokie gór zawałającym, rozrywam niezaspokojone żądze przypatrywaniem się im zewnątrz i zbieraniem ustnych powieści, jakie tylko względem ich szczegółów usłyszeć mi się zdarzy. Z tego, co słyszę, co sam widzę, taki jest ogólny obraz Tatrów. Są one częścią Karpat, najwyższą i najpiękniejszą. Leżą one w cyrkule Sandeckim na samym południowym pograniczu Galicyi z Węgrami, tak, że graniczna linia prowadzona rzeką Białką, idzie aż do jej wpływu z Morskiego Oka, okrąża to jezioro szczytami skał, przecina je przez mil kilka, kierując się ku zachodowi, zwraca się potem na północ do Babięj góry, i tej wierzeli przebiegłszy, strąca się znowu na zachód. Przez to ograniczenie okolica pod-tatrzańska jest niejako odnogą Galicyi ze trzech stron Węgrami otoczona. Linia Tatrów ciągnie się od wschodu aż do zachodu z małym od południa nachyleniem. (Potrzeba pamiętać, że właściwymi Tatrami jest tylko pasmo gór nagich i śnieżystych). Długość tej linii nie jest mi dobrze wiadoma, ale zdaje się, że około 15 mil wyniesie, jej szerokość mniej więcej od 6 do 3 mil. Góry składające bok wschodni aż do doliny Kościeliskiej są najwyższe i najdziksze; góruje nad innemi szczyt Łomnicki 8,000 stóp wysoki i Krywań o 1,000 stóp niższy od niego; dla Galicyi widziane tylko z jednej wsi Ząb-Suchy zwanęj, niedalekiej Kościeliska. Cudowny widok całego ich ogromu można mieć jedynie z okolic Kezmarku na Węgrzech, gdzie się z płaszczyzny prawie bez żadnych przedgórzów podnoszą. Północny bok Tatrów czyli Galicyjski, jakkolwiek nagi, okryty śniegami i zdumiewający śmiałością swojego wzrostu, zaśnania jednak najdziwniejsze cuda przyrody Tatrów. Za jego ścianą dopiero, osłonięte ramionami Łomnickiego szczytu i Krywania, spoczywają nie-

dostępne prawie dziedziny wiecznej zimy i wiecznego mroku. Tam jeziora nie odmarzające nigdy, doliny skamieniałym już ze starości lodem uśnane, lasy nieprzebudzone, ciemność kołyszące; tam nad potokami mosty z lodów; tam cisza odpowiadająca z przestrachu echem na plusk każdej kropelki ogrzanego czasem śniegu; tam właściwie poczynają się, rosną i dojrzewają olbrzymie lodowce (gleczery) do wysokości przenoszącej wszystkie góry północnej strony; tam żywe wyobrażenie zniszczenia i grób skośnięty w śmiertelnym łamaniu się przyrody. Gewont dzielący Zakopane od Kościeliska jest ostatnią z owych gór najwyższych i punktem granicznym, od którego zaczyna się pasmo zachodnie, zniżające się stopniami szczytów aż do rzeki Wagu.

38. Wodospad Siklawa w Tatrach.

(Wyjatek.)

Z miejsca, gdzieśmy wkraczali do krainy kozodrzewia, ujrzelśmy nokoniec Siklawę wodę, ów spadek zdumiewający przez swoją gwałtowność, i wysokość, a tak mało komu znany. O godzinę jeszcze drogi byliśmy od niego, a już nas głuchy szum doleciał, i porwał oczy długi kipiący bałwan jak śnieg biały. Im bliżej byliśmy, tym szybciej chęci nasze leciały naprzód, ale nie nogi: bo przeprawa tam trudniejsza. Przeszliśmy po głazach huczący i zapieciony Rostok, przedarliśmy się przez gęsty kozodrzewia, odpoczywając po każdym kilkudziesięciu krokach. Tak przykro i wciąż droga szła pod górę, już się sędzimy u kresu; złudzenie! do spodu Siklawy wody niepodobna dostąpić: brzegi tam Rostoka utworzone ze stromych prostopadłych opok; musimy pść się wyżej; krótko wprawdzie droga ale przykrzejszój dotąd nie było, po uboczach, to skalistych, to omszonych, a zawsze mokrych i śliskich od wilgoci. Przebyliśmy wreszcie wszystko, dosięgliśmy śniegu wiekującego w cieniach skały, po której Siklawa woda szumi; zgrzani i wpółomdleni padliśmy nań dla ochłody. O sto kroków od nas, przewalał się spadek Siklawy wody i rosił nas mgłami swojemi. Przekrojony od sterczącej na

wierzchu opoki, rzuca się on po skale prostopadłej, dwoma kilkołokciowej szerokości pasmami: jedno z nich w połowie pędu trafia na skałę, uderza w jej wyźłobienie, i wytrysnąwszy z niego fontanną, z tymże pędem leci dalej; rzut wody tak gwałtowny, że spadający z nią kamień w to wyźłobienie, wylatuje z niego do góry, jak kropla, na kilkanaście łokci wysoko. Od spodu do wierzchu wodospadu, można liczyć przynajmniej 50 sążni. Lecąca woda, połamana, pokłębiona, wrząca, zdaje się być pianą i brylantami; wieczny się deszczyk z niej rodzi i zlewa poblizsze miejsca. W niektórych położeniach słońca zachwycający widok mają tu tworzyć tysiączne tęczę; nam będącym około godziny drugiej z południa, nie zdarzyło się coś podobnego widzieć. Dziwniejsze jeszcze zjawisko zima wydaje. Jestto przysionek z lodu otaczający Siklawę wodę. Nie podobna wyobrazić sobie ogromu tej budowy, śmiałości kolumn i sklepień, piękności ozdób z lodu rozsianych pod tysiącami kształtami, i zapewne, że dzieło mgły nie dojrzaną prawie, musi być nadzwyczajne. Czas naglił; musieliśmy dziś jeszcze przy Morskiem być Oku; musieliśmy więc gwałt zadać oczom i peźegnać Siklawę wodę.

59. NAD-PRUCIE.

Wyjątek z Opisu Pokucia.

przez

Wł. K. Wojickiego.

Tak się nazywa okolica nad brzegiem rzeki Prut położona, a zaczawszy od miasteczka Delatyna w Karpatach do Czerniowiec na Bukowinie, do 18 mil rozciągnięta i samym tylko okolicom Krakowa ustępująca w piękności. Całe Nad-prucie, odciawszy kawałek Bukowiny, nazywało się w starożytności Pokuciem.

Pokucie jest wyraz ruski miejscowy; kąt znaczy kąt, że zaś to był kąt czyli granica ostateczna od Bukowiny, słusznie go przeto nazwano Pokucie, czyli po naszymu Pokucie, Pokucie.

Cała massa zamieszkująca Nad-prucie składa się z Rusi, której narzecze (dyalekt) najwięcej się do polskiego zbli-

ża, z Ormian, Żydów, a teraz i wielu Niemców. Panowie po dworach, i mała część mieszczan po miasteczkach są ludnością polską.

Za stolicę Nad-prucia, a nawet dawnego Pokucia, uważać należy miasto dziś cyrkułowe Kołomyja; wzięło ono swoją nazwę od śpiewów i tańca Kołomyjek, które tam są u Rusi, czém u nas Krakowiaki. Jestto taniec ze śpiewem połączony, i nie tylko na dolinach znany, ale i u ruskich górali Hucutów.

Kołomyja głośna jest równie w Kołomyjkach, jak Kraków w Krakowiakach; a tę sławę nie winna ani swemu ogromowi, ani wspaniałości, tylko dawności i temu uprzedzeniu Rusi dolin i Rusi góralów, że nie masz jak Kołomyja. Kiedy wojska sprzymierzone weszły do Paryża, było i kilka pułków z Rusi galicyjskiej; ci zapytani, jak się im podoba Paryż, odrzekli jednomyślnie: „lipsze u nas w Kołomyi.“

Jeszcze żyją starzy ludzie, co pamiętają, kiedy miasteczko to lichą było osadą. Teraz zaczyna się wznosić dopiero. Ztąd 12 mil ciągle prowadzi murowana droga do Czerniowiec, nie opodal od Prutu, ale go często widzieć i spotykać można, jakby banderę niebieską wiatrem kołysaną. Te mil dwanaście są ciągłym ogrodem; osada jedna drugiej tak blisko, piękne dwory, czarnoziem rodzajny, nieprzerwanie się ciągną. Od Sniatynia dopiero małą zmianę postrzegamy; osady więcej rzadkie, a miasto plennej pszenicy i wzniosłego żyta ciągną się obszary pastwne i kukurydzy; onato albowiem stanowi główną żywność Rusi dolin i górali. Chleb pieką i placki z kukurydzy; maki z kukurydzy używają na mamałygę (jestto samo, co u nas kulesza, lemieszka, prażucha), krupy są z kukurydzy; jedzą gotowaną i pieczoną na węglach młodą, i w istocie jestto pożywna i sytna potrawa. Nie raz w górach, dwoma lub trzema szulkami pieczoną kukurydzy zaspokajałem głód całodzienny (1). Nieurodzaj jej, a to się często zdarza, jest ciężką klęską dla górali i Rusi

(1) Prócz tego szulkami z omłóconej kukurydzy palą w piecach i gotują przy nich, a łodygi lubi bydło, dopóty wszelako, dopóki nie przemarzają: wtedy albowiem utracają słodycz.

dolin. Wówczas widzieć można, jak z tych gór śniegowych, tysiące fur złata na doliny wyszukiwać i skupować kukurydzę. Drogość jej wtedy dochodzi do trzech czerwonych złotych za kórzec. Speculanci odrazu przychodzą bezpiecznie do majątków, albowiem gatunek ten zboża lat kilka przechowywać się daje. W urodzajnych przeto latach składają obfite plony kukurydzy w kosznice (1), a w czasie nieurodzaju sprzedają tysiącami korcy i tysiącami zbierają dukaty.

Do mieszkańców Nad-prucia policzyć jeszcze należy Ormian, którzy w równi ze szlachtą są dziedzicami dóbr i do najznakomitszych się liczą, bo nie zbytkują i nie marnotrawią jak szlachta, a zbierać i pracować umieją. Jestto jedno z najużyteczniejszych pokoleń, co z dalekiej i obcej ziemi przyswoiło sobie kraje słowiańskie za ojczyznę i stało się godnym ich obywatelstwa. Mimoto lud prosty ich nie lubi, i lubo rzetelność i prawosć Ormian jest znana, używa względem nich wzgardliwej przypowieści. Szlachta mało z nimi żyje, a nosową wymowę nazywa Ormianką. Handlujący Ormianie, mimo poczciwości, niezmiernie są ostróżni; a kiedy dawniej w Karpatach więcej się gnieździło rozbójników, których tu nazywają opryszkami, nieraz zdarzało się, że jeden zuchwały opryszek na kilku kupców śmieie się mógł rzucać. W tych tu okolicach słynie szeroko pomiędzy Rusią imię sławnego rozbójnika Dobosza, co mając główne stanowisko na Czarno-hora (Czarnéj-górze) wysyłał rozkazy, a mieszkańcy dolin, posłuszni silnemu dowódcy opryszków, składali jako daninę wszystko, cokolwiek zażądał.

Ostatniem nadgranicznym miastem Pokucia jest Sniatyn, twierdza dawna i główny punkt wojenny w czasie wypraw na Bukowinę i Wołoszczyznę.

40. Gopło i jego okolice.

Każda część kraju ma swoje charakterystyczne znamię, swoje właściwą fizyonomię; w Krakowskim

(1) Kosznica jestto wysoka a wązka szopa pleciona, długa, w którą sypią szulkami nie młóconą kukurydzę. Takie kosznice nieraz całe otaczają gumna, jak na Bukowinie.

i w Sandomierskim góry, stepy na Ukrainie i na Wołyniu, lasy na Litwie, w Łęczyckim błonie, a błota w Pińszczyźnie. Wielkopolska, jeśli się nie mylę, najbogatsza będzie w jeziora, stawy, kanały i wody. Już sama Obrza, która się wznosi i opada dwa razy do roku, jak morze dwa razy na dzień, nadaje wiele charakteru i piękności okolicom. Dalej przypomnijmy sobie historyczne jeziora Zaniemyśla.

A któż nie zna Dolskiego jeziora, gdzie obok historycznych wspomnień tak cudna okolica, jakich u nas mało. Są tu nawet i góry, rzadkość w Poznańskim; a choć nie wielkie i nie liczne, to przecież pięknym zgrupowaniem, naturalnie rozrzuconemi łaskami silniejsze i miłsze zrobiły na mnie wrażenie, niż góra Chełm najwyższa w Wielkopolsce.

Stawy znowu przygodzkie na Baryczy, jaraczewskie na Obrze, jeziorskie i wiele innych, miały swego czasu sławę niepospolitą z rybitwy.

Pomijając opisanie wszystkich wód w Wielkopolsce, wspomnę nateraz jedynie o okolicach naj sławniejszego ze wszystkich Gopła.

Topograf nic więcej nie zdoła o Gople powiedzieć, tylko, że wielkie, ma 4 mile długości, a przeszło pół mili szerokości; że ma wiele zatok i wiele zakrętów; kilka wysepek, z tych najobszerniejsza Sieganów i Potrzymiechy, bogate w łąki i piękne siano; kilka półwysep, a między nimi największy Ostrowek, na nim wieś tegoż imienia; zresztą brzegi płaskie, równe, nagie, ogołocone całkiem z drzew i lasów, ale za to gęstemi wsiami obsiane. Po jednej stronie leży: Łuszczew, Borowna, Rzeszynek, Słościeszki, Giżewo, Mnich, Łagiewniki; dalej: Kruszwica, Gazanów, Tarnówek, Popowo, przy ujściu Noteci wieś Szarléj; poniżej: Połajew, Miellica, Wywoźna, Wawrzynów, na prost Kruszwicy z drugiego końca Gopła; tu szczątki zamku, który miał pono wieżę podobną Myszéj. Zresztą nic prócz wody mokrej i płynnej, jak każda inna, głębokiej na sążni 16, i chyba w tém osobliwej, że kolor swój zmienia raz poraz, zwłaszcza tam, gdzie strumień Noteci zwolna i poważnie płynie.

Wszakże okolice Gopła przyległe i wody pokrewne, bardziej do siebie przyciągają oko widza i więcej sprzyjają opisom malowniczym. Zaraz np. Noteć w Prusiech, tak jest urocza i tyle pięknych, szczególniej koło Nakli, podaje widoków, że wylewy wód jej nazwali niektórzy Niem polskim, a brzegi polską Szwajcaryą. Dużo ma podobieństwa z Obrą, a nierównie więcej korzyści: bo jest spławną, połączoną z Wisłą trzymilowym kanałem Bydgoskim.

Dalszy ciąg Gopła stanowią następujące jeziora: Przywłoki, Ślesińskie, Mikorzyńskie, Pontnowskie, Gosławskie, które się rozlewa aż ku Warcie pod Konin.

W odległych wiekach zdaje się, że tylko jedno Ślesińskie jezioro istniało, i dopiero przez wielką jakąś rewolucyą Gopła, zasiekami czynionemi na Pomorzu, które wzbraśniały wolnego odpływu wodom tego jeziora, przyspieszoną, wystąpiło z brzegów swoich i rozlało się doliną ku Warcie.

Nim za rządu Pruskiego kanał Morzystawski wybito, odpływało ono do tej rzeki strugą błotnistą Goplenicą, która niegdyś spławną była i łączyła rzekę Wartę z jeziorem Ślesin; dalej Ślesin z Gopłem, a Gopło przez Noteć miało spław do Wisły. Wody jeziora Ślesin stały wtedy daleko wyżej; później opadłszy odkryty te przerwy, przedziały, na których dzisiaj tyle grobli i mostów widzimy, a które rozgraniczywszy wody Ślesina wązkiemi przesmykami, utworzyły pięć rozmaitych jezior.

Dowód na owo pierwsze wezbranie Gopła i rozlanie się jego Ślesińskiem jeziorem ku Warcie, znajdujemy w różnych dokumentach granicznych, równie jak w gminnych podaniach. I tak, jest ślad w Gosławicach, że tam, gdzie się dziś najszerzej woda rozlewa, była wieś i grunta plebańskie. Z zamku wybudowanego przez Bolesława Chrobrego (historyczne), a po wydarzonej pogorzeli zamienionego na browar, widać, że dawniej tylną bramą był wyjazd na drogę, która prosto do Konina prowadziła; dzisiaj podchodzi woda z tej strony pod sam zamek i płucze próg bramy, a z jeziora pokazuje się letnią porą, przy niskiej wodzie, figura ś. Jana, stojąca niezawodnie nad drogą!

Lud utrzymuje, że jakiś szlachcic Kadzidłowski, dziedzic Gosławic, człowiek według jego wyobrażenia złośliwy, jawno-grzeszny, przewrotny, okrutnie i nielitościwie obszedł się z miejscowym proboszczem; za co go Pan Bóg potopem ukarał i deszczem czternasto-dniowym wszystkie jego posiadłości zalał. Doczytać się wszakże można z kościelnego archiwum w Kazimierzu, że ten Kadzidłowski był na swój wiek wielce uczonym i śmiałym. Do dziś dnia biédak pokutować musi i tłuc się po lesie.

Jawniejszy prawie jeszcze dowód owęj powodzi znajdujemy w Mikorzynie. Wieś tę, założoną dopiero około r. 1416 według miejscowego dokumentu przez Klarę Mikorzyńską, oblewa pierwotne jezioro Ślesin, w postaci wielkiej rzeki, ujętej między wysokimi brzegami, które, jeśli się niekiedy pochylają, to tylko dla utworzenia żyznych nizin i łąk. Cały zabrzeg naprzeciw Mikorzyna zaludniony jest licznymi i rozkosznymi osadami; począwszy od miasta Ślesina ciągną się schludne wioski, aż do Wąsosz, gdzie widać na wysokim pagórku kościół ś. Krzyża, cudami słynący. Głębokość powszechna wody dochodzi 16—20 sążni, i tém jest niebezpieczniejsza, że brzegi strome i przykre zaledwie kilka kroków mają mielizny.

Zład wnosić można, że nagły i gwałtowny prąd wody, płynący od strony Gopła, rwał sobie nowe łożysko i drogę tędy torował. Jakoż pokazują w niewielkiej odległości od Ślesina początek grobli, którą się niegdyś jeździło od tego miasta do Lichenia; dzisiaj zaś ginie ona w głębokości jeziora, najwęższego w tém miejscu. Tam, gdzie teraz jezioro Mikorzyńskie, leżała przed rokiem 1416 wieś Lubomyśl z gruntami swemi w dolinie, której punkt najwyższy byłyszczał zamkiem wspaniałym.

Dziś jeszcze sterczy ten punkt ponad wodami i tworzy małą wysepkę, ale zamku, wsi i ludzi, którzy w niej mieszkali, darmobyś szukał.

Z wybrzeża białem zwanego, piękny się rozwija widok na kościołek ś. Barbary, patronki tonących, zbudowany na przyległym pagórku. Czerwony dach jego i białe ściany cudnie odbijają przy sinych i ciemnych wodach jeziora

w różne rozlewy stoczonego, ginących z jednej strony w błękitie widnokregu, z drugiej w zieloności łąk Gostawskich; na prawo rysują się w obłokach zamglone pagórki Brzeźna, gdzie jest łom ciosowego kamienia.

Takie są okolice Mikorzyna; teraz powiem słów kilka o jeziorze Ślesin, którego wody poczynają się o pół mili od miasta Ślesina. Rozlewa się ono w kształcie kotwicy: prawe jej ramię zachodzi pod Bieniszew, gdzie na wysokości górze, Sowią zwaną, jest opuszczony klasztor XX. Kamedułów; lewe zaś kończy się za Licheniem, niedys miasteczkiem, dziś wioską lichą.

Zdaje się, że wody tego jeziora nierównie wyżej stały przedtém, i stanowiły z resztą jezior przyległych jedną całość wielką, wylewając się obficie przez Ślesin ku Warcie; inaczejby też nie można przypuścić spławności Goplenicy, która jest prawdą historyczną.

Przypuściwszy spławność tego odlewu, obok spławności Noteci, strugi ciągnącej się do Brdy, która pod Fordonem do Wisły wpada, można Kruszwicę przyjąć za punkt środkowy handlu Polanów i mieć związek z Gdańskiem, Winetą i t. d.

Musił niegdyś w Polsce być handel znaczny, kiedy widzimy, że za Zygmunta I Szydlowiecki i Kościelecki ułożyli porządne, osobne prawo handlowe; że pamiętna ustawa króla zabraniała wyprawdzania towarów do Szlązka i wypędzania zbyt wielkiej liczby wołów za granicę. Gdańszczanie i Królewszczanie, nawet sami Anglicy, mieli w Kazimierzu, w Kownie i w innych miejscach swoje kantory i spichrze.

Opadnięcie późniejsze Gopła, o którym wspomnieliśmy wyżej, sprawiło niezawodnie upadek Kruszwicy, czego doznała także cała okolica.

Nie masz miast Noci i Lichenia, znikły ludne wsie nad jeziorem Ślesin i nad Goplenicą położone, jako to: Kępa, Kępka, Przeław, Blizno i Blizienko, chociaż dobroć i żyzność gruntu zdawały się trwałość ich zapowiadać.

Przez przekopanie kanału Morzysławskiego, w którym wodę śluzami utrzymują, okolica ta na nowo za-

kwitać zaczyna. Handel drzewa na Warcie już w ruchu.

Pierwszy statek w tym roku pokazał się na jeziorze Ślesin, w celu zakupu kości do fabryki cukru.

Nowa ta gałęź handlu w tych stronach, może da się rozszerzyć tak, jak handel pijawkami, który kwitnie w Ślesinie i znaczne kapitały obraca w okolicy. Ważny spław drzewa do Kujaw byłby tém łatwiejszy i tém większe obiecuje korzyści, że jezioro Ślesin oblewa znaczne bory: zaraz od swego początku ma na lewym brzegu ogromny bór ślesiński, pełen zarośli, gąszczów, wądołów i kryjówek, służących za schronienie czarnemu zwierzowi, a zwłaszcza złoczyńcom wszelkiego rodzaju.

Część jego nazywa się: Czarny bór; kiedy tam wszedł sam jeden, przeraził mię ponurością swoją. Ogromne sosny przedwieczne, jak olbrzymy puszczy strzelające do chmur, zaciemniają niebo czarnymi konarami. Wicher szumi po ich wierzchołkach, ale spodem cisza nieprzerwana i głucha. Żadna paproć, żadna trawka się nie ruszy, chyba, że gad zjadliwy prześliznie się pod niemi. Nie usłyszysz tu nawet śpiewu ptaka żegnającego dzień zachodzący, tylko jastrząb drapieżny, albo sowa tężna przestraszy cię łopotem, kiedy się nagle porwie ponad tobą i siwe skrzydła rozpięży na wiatrach.

Czasem zachrzesną chrusły i zachropocą szuwały; to zwierz dziki pomknął z leżyska i uchodzi na głębsze komysze.

Najgłębsza toń jeziora znajduje się przy kościele Św. Krzyża w Wąsoszach i wynosi przeszło 30 sążni; zwykle też lody najprędzej pękają w tém miejscu, a pękawszy, tak silnie ścierają się z sobą, jakąś tajemniczą siłą przyciągnięte, że formują skały kryształowe, tysiącem promieni błyszczące, najrozmaitszą grą kolorów drgające w słońcu. Cudny to widok!

Latem zaś wody jeziora tak są czyste, zwłaszcza na głębiźnie, że nie ledwo dnaby dojrzeć można; w jesieni, z wiosny służą do picia; w niektórych znowu miejscach naśladowują całkiem kolor wód morskich, również ich wzbu-

rzanie i opadanie. W czasie takiego wzburzania nie radziłbym nikomu puszczać się czółnem na głębią; większe nawet łodzie doświadczonéj tylko ręce kierować się wtedy pozwolą!

I to jezioro ma swoje piękne krajobrazy, które nie ustępują Biało-brzegowi mikorzyńskiemu. Zaraz np. z gaju Krzyżki albo Ostrowa, można się w lecie przypatrzeć kąpielom jeleni. Z wysokich brzegów skaczą one stadami gwałtownie w głębie jeziora, a podniósłszy rogi rosochate, pływają ręczo, podobne do morskich potworów.

To samo jezioro, które jeleniom za ochłodę służy, staje się w zimie ich zgubą; wilki bowiem napędzają je w téj porze na gołe lody, gdzie ślizgając się, padają ofiarą ich podstępów.

Na jeziorze ślesińskim jest także wyspa, która świeżo dostała nazwisko: „Izabella” (Isola bella) od imienia właścicielki.

41. Zorza Północna.

Zorza północna (Aurora borealis) czyli owa czerwoność wielka na niebie, którą czasem nocą w stronie północnej widzujemy, właściwa jest tylko krajom biegunowym, i w długich zimowych nocach często widzianą bywa. Pokazuje się zwykle w dwie lub trzy godziny po zachodzie słońca, rzadko wcześniej; zawsze jednak przed północą.

Żaden malarz nie jest w stanie odmalować świetności i wspaniałości, w którą zorza północna niebo tamtych okolic przybiera. Długie, szerokie smugi białawego światła, z różowymi i purpurowymi promieniami pomieszane, wypadają z żarzącego się półkola na niebie, i całą przestrzeń jego okrywają ognistym blaskiem. Promienie wspomniane znikają w téj chwili, i pokazują się w inném zupełnie miejscu. Zjawisko to nie zawsze jest sobie podobne: niekiedy można widzieć, ile wzrok zasięga, całe niebios sklepienie okryte migającym się światłem w kształcie iskier.

Zorza północna, u nas czasem widywana, nigdy nie jest do zjawiska północnego podobną. Białe i purpurowego koloru światło na naszym widnokręgu w stronie północnej,

pokazujące się na niebie w kształcie chmur przezroczyстых, przez które małe promyki przebiegają, oto jest cały u nas widywany fenomen. Promieni, które niby wystrzały, z jasnego półkola na niebie gwałtownie wybiegają, nigdy u nas nie widać; a tém bardziej owego przeraźliwego świstu, któremu to osobliwsze natury zjawisko w krajach biegunowych towarzyszy.

Zorza północna u nas widywana, jest zaledwie cieniem względem téj, która się w północnej strefie pokazuje. Widok tamtéj tak jest okazały, że trudno go sobie wystawić, a pióro, choćby najwymowniejsze, nie potrafi jęj opisać.

Natura w całej swojej wielkości nie wspanialszego nie potrafi okazać nad ten widok: niebo zdaje się brylantami, rubinami i szmaragdami okryte. Oglądający to widowisko nie posiada się z zadziwienia, a szelest i huk na niebie, podobny do mnogich wystrzałów, w zupełny go przestrasza. Zwierzęta również wielkiej bojaźni doznają w téj chwili. Psy kładą się na ziemi jak nieżywe, a strzelcy, za polowaniem brzegi Lodowatego morza zwiedzający, w chwili zjawienia się zorzy, zatrudnienia swego porzucić muszą, gdyż psy głosowi ich bynajmniej nie chcą być posłuszne.

Blask zorzy w krajach biegunowych tak jest mocny, iż wśród najciemniejszej nocy, pismo wygodnie czytać można.

Cała atmosfera, po zejściu już nawet fenomenu, ogniem jeszcze jaśnieje, i dlatego zorza północna w czasie długich nocy, w krajach biegunowych, wielkiem jest dobrodziejstwem. Im zimniejsze są okolice, tém są pospolitsze podobne zjawiska.

42. Wycieczka do Laponii.

Wzgardziwszy biegunem północnym jak lis winogronami, postanowiłem wynagrodzić sobie tę wstrzemięźliwość, wycieczką w siedziby Lapończyków. Widziałem wprowadzić już i w Bergen kilku Lapończyków przyswojonych i chowanych w domach jako ciekawość, tak jak w Londynie i w Paryżu chowają negrów; ale indywidua te straciły

już znaczną część charakteru narodowego i nie zaspokoiły méj ciekawości. Dr. Dryvson posiadał parę doskonałych koników góralskich i dał się łatwo namówić do téj wycieczki, zaręczając mi, że oddawna pragnął przedsięwziąć coś podobnego. Przygotowania trwały dwa dni. Doktor wystarał się o dostateczną ilość fuzyj, futer i psów; przytém nie zapomniano chleba i wina, a szczególnież wódki, tytoniu i zabawek małej wartości, któremi najłatwiej można okupić sobie względy Lapończyków. Dwóch innych młodych ludzi, oficer strzelców i kupiec, przyłączyli się w osobnych sankach do naszego towarzysztwa.

Wyruszyliśmy w drogę dnia 21 lutego. Dążyliśmy najprzód do Lewanger, miasta leżącego o 10 mil na północ, prawie na końcu golfu, leżącego się pod kątem prostym w porcie Dronthejmskim. Droga prowadzi najprzód przez most drewniany rzucony na rzece Nid, która przegradza miasto od przedmieścia dość znacznego; potem przez pole zabudowane pięknymi willami, dalej ciągnie się wzdłuż skalistych brzegów golfu. Od prawej strony odgraniczały widok krąg ponure góry, z których niektóre wyskakiwały z swego pasma i spuszczały się w wody zatoki. Wdrapywaliśmy się na niektóre z tych gór, ścigając zwierzynę; widok z nich jest prawie przerażający smętnością; skały pokryte grubą warstwą śniegu, drzewa chyląc się pod ciężarem gałęzi wyglądających jak ramiona kościotrupa, mgły wlekące się, ociążałe po dolinach; jedna tylko zatoka lśniła się jak zwierciadło pomiędzy wysokimi brzegami. Mnóstwo mniejszych ramion téj zatoki, wkracza tu i owdzie w skały i formuje mniejsze lub większe jeziora, z których każde ma swego właściciela, swą chatkę i łódkę; tu rybak nie potrzebuje się lękać ani burzy, ani fali; pod zastoną skał łowi sobie ryby, i nie traci z oka dymu chatki swojej.

Szczególne zjawiska owe długie i wąskie ramiona wkraczające w stały ląd Norwegii. Gwałtowność fali morskiej nie mogła utorować im drogi w twardej skale, wszystkie bowiem łamią się pod kątem prostym. Nie mogą także pochodzić z przedarcia się rzek do morza, bo góry Norwęgskie nie mogły nigdy wydać tyle wody i strumieni, ileby

potrzeba było na stworzenie podobnych przerw w skale. Teorya wulkaniczna prędzej wytłumaczyłaby zdołała formacyą tych golfów.

Drugiego dnia rano wyruszyliśmy w dalszą drogę. Tenże sam widok skał nagich i szarego nieba towarzyszył nam jeszcze kilka godzin, ale po południu zmieniły się sceny: skały ustępowały, niebo się rozjaśniało, a porządne gaarddy i budynki gospodarskie, stajnie napełnione bydłem, ogrody, wygodne drogi krzyżujące gościniec, mosty, kościółki, dowodziły, że kraj ten musi być żyznym i dobrze uprawnym. Istotnie znajdowaliśmy się w jednej z najszerzeliwszych okolic Norwegii, obfitującej w wszelkie urodzaje, w tak zwaną spiżarni Dronthejmu. Wieczorem stanęliśmy w Lewanger. Miasto to 700 mieszkańców mające, zabudowane jest nakształt wsi wielkiej; każdy dom stoi w środku swego ogrodu i pola; ulice nie są brukowane; dwa kościółki, jeden z drzewa a drugi murowany, stoją na dwóch końcach miasta. Lewanger leży nad jedną odnogą golfu Dronthejmskiego, i jest miastem dość handlowém, tu bowiem Szwedzi zamieniają własne produkta, to jest: żelazo, miedź, łój, skóry, zwierzynę na towary kolonialne, przychodzące z Dronthejm, i rozwożą je później po całej północnej Szwecyi. Handel i rolnictwo złąły nadto do miasteczka dobry byt i wesołość, nawet pewien rodzaj wykwintności. Spoczęliśmy tu dzień jeden, odwiedzaliśmy znajomych obywateli, którzy nas przyjmowali z tą szczerą radością i gościnnością, o jakiej nawet wyobrażenia nie mają mieszkańcy tak zwanego ucywilizowanego świata. W domach największa czystość i wygoda, salony ciepłe, całe podłogi wyłożone skórą renów a czasem i niedźwiedzi, wszędzie mała biblioteczka, kilka dobrych fuzyj, piękne szkła, porcelany i srebra. I tu znów musieliśmy być na reprezentacyi w teatrze amatorskim; szczęściem, że etykieta dozwala w nim palić tytuń i zmusza do picia ponczu, który tutaj za tak niezbędną potrzebny do zachowania życia jest uważany, że bule nigdy nie znikają ze stołów. Lapończycy przybywają tutaj bardzo często, na owych długich łyżwach, które Skie nazywają. Widziałem ich całą

familią zjeżdżającą w błyskawicy. Ojciec ciągnął za sobą dzieci i towary na małych sankach, a kobiety szorowały po śniegu jak widma jakie; zapytane od nas, po co przybyszą do miasta, odpowiadały z dobroduszną melancholią: „Sprzedać skóry i zmarzłe ćwiartki renów, kupić wódki i tytoniu, zebrać i upić się.”

Towarzystwo nasze powiększyło się w Lewanger dwoma osobami: deputowanym panem Gelson i kapitanem jednym w odstawce. Zabraliśmy z sobą namiot z skór renów, konie wierzchowe, i wyruszyli w dalszą podróż ku góróm. Droga była okropna, sanie jużto taczały się nad przepaściami, jużto darty się na spadziste góry. Zimno, śnieg i wiatr dokuczał nam pomimo futer i psów, któreśmy jako kaloryfery z sobą na nogach wozili, pomimo ponczu ciepłego, który każdy miał z sobą w małej beczulce. Co chwila trzeba było wysiadać, i przytwierdziwszy liny do sanek, przytrzymywać je z tyłu, żeby nie wpadły w przepaść że nareszcie wieczorem stanęliśmy w gaardzie ostatniego górala, mieszkającego na samej granicy kraju wzgardzonego od ludzi, kraju, w którym człowiek żyć nie może, a Laponczyk żyć musi. Zastaliśmy górala z swą familią przy czytaniu Biblii; widząc nas wchodzących, skończył rozdział, wstał i prosił, abyśmy usiedli koło ogniska. Prosililiśmy go, aby nam przewodniczył w wyszukaniu Laponczyków; rzecz ta nie zawsze łatwa, ponieważ koczujący ten ród zbiera swe mizerne szataśy, opuszcza stanowiska, skoro tylko reny spasą mech, a potem idzie sobie szukać innego stanowiska. Gospodarz obiecał nam towarzyszyć, a my tymczasem ogrzawszy się, zajęliśmy się rozbiciem namiotu nad sankami i posiliwszy się pieczenią renu, usnęliśmy w sankach. Psy obudziły nas w nocy; z jęku ich poznaliśmy, że wilki muszą być w bliskości, zrywamy się i bierzemy do broni; wtém wystrzał dał się słyszeć tuż koło nas. Góral przewidywał, że obecność nasza spowodzi w nocy wilków, zaczął się tedy, nie nie mówiąc nikomu, za namiotem, i sprzątnął z świata jednego z nieproszonych gości. Resztę nocy pędziliśmy spokojnie, i zabrawszy namiot, naładowawszy go na dwa konie, posiliw-

szy się gorącym mlekiem renów, puszczamy się konno w dalszą podróż. Woźnice zostali przy sankach w gaardzie. Po niewypowiedzianych trudach, przebiegłszy dwie mile najbrzydszego kraju, spuszczaamy się na renie z grzbietu gór, odgraniczających dwa królestwa, w dolinę całą śniegiem zasypaną. Dochodzi nas gwar daleki wielu głosów, skręcamy na prawo i spostrzegamy w oddaleniu niewielkim mrowisko jakieś, w którym się ruszały reny z rozżystemi rogami, psy spędzające je do kupy i stworzenia jakieś małe, dość do ludzi podobne. Byłto istotnie ród Laponczyków, którzy spostrzegłszy nas, wyruszyli na nasze spotkanie z krzykiem i gwarem. Laponczyk, szef swego trybu, starzec, którego rzadka biała broda dziwnie odbijała od brunatnej brudnej twarzy, zbliżył się ku nam, i nieznanym jakimś językiem i giestami wymownemi, zapraszał do swego szataśu wyniesionego nad inne. Weszliśmy do niego, nie okropniejszego jak owe nory, w których gnieźdzą się te biedne istoty ludzkie. Szataś zbudowany z chrustu, przykryty grubym płótnem i grubą warstwą zmarzłego śniegu, był tak niskim, że tylko siedzący zostać w nim można było. Na kamieniu w środku palił się ogień, nad nim wisiął kocioł żelazny, dym wydierał się przez wejście i dziurę w dachu. Przy ogniu siedziało kilka kobiet kręcących nici z żył renów, w jednym kącie stały naczynia służące do roboty séra i masła, w innym kącie leżała jakaś nieforemna kupa czegoś, co się ruszało. Były to psy, leżące na półtuzinie dzieci różnego wieku, i ogrzewające je swém ciałem. Nagie, trzęsące się od zimna, brudne, brzydkie i wychudłe te dzieci, wyciągały ku nam ręce, nie opuszczając swój pościeli. Okropny widok, ściskający serce i najtwardszego człowieka; potrzebaż Boże! żeby istoty na Twój obraz i podobieństwo stworzone, w takim zostawały poniżeniu? Ale możnaż powiedzieć, że Laponczyk stworzony na obraz Boga? Czoło niskie, oczy małe żółto czarniawe, zaledwie wyglądające z poza powiek przełupanych ukosem i nieporośniętych rzęsami, wysokie kości malaria, szerokie usta, broda i wargi zaledwie kilkunastą pojedynczemi włosami obrosłe, skóra brunatno-śniada, wyzie-

wajęca zapach, półpięty stopy wzrostu, nogi koślawe; oto obraz Lapończyka. Ubiór noszą zastósowany do piękności ciała: skóry renów obrócone siercią do gołego ciała, przepaska z jaskrawej krajki nad biodrami; długie czarne włosy; spadają jak postronki z pod pstrój krymki na barki spodnie z niewyprawnych skór ubierają nogi, a sandały czasem i bóty, stopy. Na piersiach noszą worek płócienny, a w ten worek kładą wszystkie ruchomości, to jest pieniądze, tytuń, tyżkę, igły, nici, krzesiwko, wódkę i żywność. Kobięty ubierają się jak mężczyźni, z tą tylko różnicą, że zamiast krymki, noszą na głowie rodzaj czépka z fontaziem czerwonym, wyglądającym jak grzebień koguci. Pijaństwo i niczem nieprzezyciężone próżniactwo jest charakterem ogólnym Lapończyków koczujących, ale przytém mają cnoty, jakich zazwyczaj pijacy i próżniacy nie posiadają. Lapończyk nigdy nie kłamie i nigdy nie oszuka, zawsze jest łagodnym i usługnym, wdzięcznym za najmniejszą łaskę; przytém są bardzo nabożni, lubo o religii chrześcijańskiej mają jeszcze bardzo niedoskonałe wyobrażenie. Czezą Chrystusa, ale przytém nie odmawiają czci dawnym swym bożkom, a szczególniej bożkowi pioruna i łowów, i bogini śmierci. Lapończyk jednakże nie jest niezdolnym do przyjęcia wyższego stopnia cywilizacyi. Niektórzy porzucili życie koczujące, wzięli się do rzemioł i zostali dobrymi cieślami okrętowemi i majtkami. Ale największa część ma wstręt od dolin i życia stałego, i koczując w nieurodzajnych górach, trudni się chowem renów, i żywi się nimi i ich produktami. Liczba ich ogólna zmniejsza się wprawdzie, ale dochodzi zawsze do 12 tysięcy, z których mniejsza połowa należy do Norwegii, a reszta do Szwecyi i Rossyi. Język Lapończyków różni się zupełnie od norweskiego i szwedzkiego, a nawet bardzo mało ma styczności z językiem Fińczyków, z którymto rodem Lapończycy wcale nie są spokrewnieni. Językiem Lapończyków nie można jeszcze pisać, nie masz bowiem liter oddających pewne głosy im tylko właściwe. Mniemanie jest historyków, że ród ten wzgardzony, jest szczątkiem jednej z tych azyatyckich hord, które przysłyły razem z Attylą

i Hunnami do Europy; podlegają także chorobom noszącym charakter wschodni, a szczególniej zapaleniu oczu egipskiemu i lepsze azyatyckiej. Kretynizm nie zdarza się pomiędzy nimi.

Lapończyk umierający z nędzy w swych górach, mógłby się wyżywić łatwo, gdyby chciał sprzedać swe reny i osiedlić się w dolinie. Każdy ojciec rodziny posiada przynajmniej 300 reniferów, to jest wartość 900 talarów, a familie norweskcie żyjące wygodnie, nie posiadają często tyle. Ale Lapończyk woli ginąć z nędzy i w brudzie swych ukochanych siedzib, niż korzystać z darów cywilizacyi; nie odwiedza dolin, tylko dwa razy do roku, a upiwszy się i wytrzeźwiwszy, wraca znów czém prędzej tém lepiej do swych nagich gór, pędzić w swobodzie swe życie zwierzęce od dnia do dnia. Tylko ubogi Lapończyk, taki, który żadnego nie posiada stada renów, osiada w dolinach, pracuje, póki nie zarobi kilkaset talarów, a zarobiwszy je, najczęściej wraca w góry. Zkąd pochodzi to przywiązanie do gór niepojęte? czy jest ono skutkiem odrazy, jaką Lapończyk wzbudza w ludziach do swego rodu nie należących? Odraza ta wprawdzie istnieje, w wysokim nawet stopniu na nieszczęście; nikt z tym poniżonym ludem nie chce wchodzić w styczności, a jednakże zdaje mi się, że zamiłowanie Lapończyka w nędznym ale swobodnym bycie, pochodzi z innych przyczyn, bo zdarzyły się przypadki, że Lapończycy mieszkający w krajach dalekich, gdzie przesąd ten przeciwko nim nie doszedł, jednakże wrócili do ojczyzny. W r. 1792 pan Vivretto, prezydent parlamentu w Dijon, wziął z sobą młodą Laponkę do Francyi i wydał ją za zamożnego rzemieślnika, z którym bardzo szczęśliwie żyła; po śmierci jednakże tegoż, zamieniwszy majątek na pieniądze, powróciła do Laponii doić renifery i żuć tytuń. Toż samo zrobili z bogaciwszy się młodzi Lapończycy, których pan Bullok wziął z sobą do Anglii. Zwolennicy teoryi przyczyn finalnych utrzymują, że przywiązanie nadzwyczajne Lapończyka do ojczyzny jest koniecznie potrzebne do zadosyćuczynienia woli Opatrzności, która dlatego stworzyła Lapończyka i renifera, żeby szczyty gór

norweskich, któremi inni ludzie gardzą, od nich były zaludnione. Wyjaśnienie podobne nie zadowolni nikogo; człowiek bowiem nie jest stworzony, żeby był owadem ziemi, tylko ziemia jest stworzona, żeby była mieszkaniem ludzi. Deputowany norwesk, będący w naszym towarzystwie, zaręczał mi, że Storthing zajmuje się bardzo często losem tej poniżonej części norweskiego ludu, ale upór Lapończyków niweczy najlepsze zamiary. Posyłano do nich ludzi znanych z światła i poświęcenia, aby ich uczyli stawiać chatki porządniejsze, przyzwyczajali do oszczędności i pracy i nauczali czytać i pisać. Lapończycy, nie mogąc się pozbyć natrętnych reformatorów, zwijali obozy i uciekali w góry należące do Szwecyi. Tym samym manewrem uwalniają się od płacenia podatku. Obdarzyliśmy tak hojnie obóz cały wódką, tytuniem i zabawkami, że Lapończycy, chcąc się pokazać wdzięcznymi, powierzyli nam tajemnicę, która nas największą przejęła radością. Szło tu o nic innego, jak o polowanie na niedźwiedzie. Wiadomo, że niedźwiedź w zimie wpada w odrętwienie, i że wtenczas pozostaje w swej jaskini, nie nie jedząc przez kilka miesięcy. Pomimo przezorności, z jaką niedźwiedzie wybierają swoje kryjówki udało się Lapończykom wysledzić jaskinię, w której leżał niedźwiedź i samica, ale nie mieli jeszcze wypowiedzieć im wojny i czekali końca marca i większego osłabienia tych zwierząt. Góral nasz przewidywał coś podobnego, i upoiwszy kilku Lapończyków wybadał z nich tajemnicę; nareszcie wszyscy wiedząc, ile nam tém robią radości, obiecali na zajutrz rano wskazać nam miejsce i wziąć udział w polowaniu. Góral nasz przygotował wszystko, czego było potrzeba. Noc przepędziliśmy pod namiotem z naszymi psami, pocziwy Boston tulił się do mnie z przyjaźnią i lizał mnie po twarzy, może przeczuwał, że to ostatnia noc jego życia. Nazajutrz rano z świtem wstajemy i każdy z fuzyą i smyczą od psa w rękę, zmierzamy ku jaskini odległej o małą milę, ale w tak niedostępnej dolinie, że tylko za pomocą lin, haków i drabin można się było do niej dobyć. Weszliśmy nareszcie wszyscy i psy spuścili

po smyczach. Jaskinia wydrążona była w jednej z skał najwięcej niedostępnych, otwór znajdował się w szczelinie i był prawie całkowicie przykryty ogromnym głazem, który widać ostrożni mieszkańcy czworonożni sami tam zawlekli, żeby tém lepiej ukryć się przed oczyma niedyskretnych gości. Obstawiono trzy boki doliny strzelcami, czwarty był zagrodzony tak spadzistemi skałami, że ani niedźwiedź nawet wdrapaćby się na nie nie mógł. Góral odwaliwszy za pomocą kilku odważniejszych Lapończyków kamień z otworu jaskini, wprowadził w nią petardę na długiej żerdzi, która weszła w jaskinię na głębokość trzech łokci przynajmniej, a potem odgarnawszy śnieg zapalił końce dwóch nitek siarkowanych, komunikacją mających z petardą. Teraz oddalił się na swe stanowisko, a my czekaliśmy w milczeniu minut kilka. Grzmot okropny, a w krótkce potem ryk przeraźliwy dał się słyszeć; wypada z jaskini czarna jakaś niewyraźna postać, ryczy, trzęsie się, przeciera łapami uszy, pada na ziemię, znów suwa naprzód, zostawiając na śniegu ślady krwi lejącej się ze łba rannego skorupą petardy. Był to niedźwiedzica. Zaszlepioną wściekłością wpada na górala, który ją rani wystrzałem, zaskania się piką; cofa się zwierz i otrzymuje drugą ranę z broni oficera: wtém wysuwa się drugi niedźwiedź i zamiast ratować się ucieczką biegnie bronić swęj połowicy, którą tymczasem mdlejącą psy trzymają w obrotach. Biedne pieski, choć waleczne i zacięte, nie mogą się oprzeć siłom nieprzyjaciela rozjuszonego wystrzałami, wyją i skowyczą pod jego pazurami i martwe padają na śniegu. Wtém nasz deputowany chcąc koniec położyć walce, wypada ze swego stanowiska, zbliża się do zwierza o 80 kroków, strzela do niego i powala go na ziemię, ale niedźwiedź dobywa ostatnich sił, podnosi się i wpada na wroga już tryumfującego; puszczone znów nową sforę psów, żeby wstrzymać grozący impet; góral przypada z piką, niedźwiedź podnosi się i bieży ku wyniesionej broni, podnosi się na tylne łapy i wbija się na pikę, a ja tymczasem z doktorem dobiegamy, przytykamy jeden fuzyą do serca, drugi do łba i leczymy niedźwiedzia z wszyst-

kich chorób, jakie miał i mógł mieć na przyszłość. Samica wkrótce potem legła pod ciosami drugiej partyi. Czterech psów przypląciło życiem naszą krwawą zabawę, a pomiędzy nimi mój Boston. W jaskini, do której posłaliśmy młodego Lapończyka, leżał bez życia młody niedźwiadek, zaduszony prochem; drugi skaleczony nieco skorupą od petardy, dowlóknął się do otworu jaskini i to mu życie uratowało; wziętem go czule w moją opiekę, opatrzyłem ranę, zawiniąłem w futro. Na placu boju święciliśmy nasz tryumf, zrobiono na głazie ogień ogromny, i upieczono przy nim poledwice jednej z naszych ofiar, które, choć nie z największego rodzaju, i nie bardzo już tłuste, ważyły każda do 250 funtów. Nie brakło wesołości naszej uczcie, aleśmy jej nie przeciągali z obawy, żeby konie czekające nas na drodze do gaardu nie zmarzły. Wieczorem stanęliśmy u górala naszego, a nazajutrz po południu w Lewanger, gdzie nam było bardzo przyjemnie, wypaść się w wygodnym łóżku po tylu wycierpianych znojach.

43. PRZEJAŻDŻKA NA MORZU.

Zorza Północna.

(Wyjętek z opisu podróży po Danii i Norwegii).

Na czystym błękitnie nieba błyszcząły wesołe gwiazdy, mróz był silny, ale tak sucho, tak cicho w powietrzu, że nie można się było nasycić jego balsamem. Chcąc dłużej używać przyjemności pogody, wsiedliśmy z kapitanem do łodzi odwożąccej Dra W. do Lashafu; droga prowadzi około języka skalistego, wdzierającego się do zatoki i dzielącego ją na dwa porty. Nie żałowaliśmy swojej wycieczki, natura północna dała nam bezpłatne przedstawienie, jakiego żaden teatr świata, a może i Etna sama nie przedstawiła nigdy śmiertelnym. Któż może sobie wystawić, czém jest zorza północna, jeżeli pod północnym nie widział jej niebem? Jakie pióro dość śmiałe, jakież porównanie dość godne do odmalowania téj boskiej dekoracji wiecznego nieba?

Uderzył nas najprzód obłoczec świecący, białawy, zawieszony w północnej stronie firmamentu. Nie widziałem

nigdy nie podobnego, i z zadziwieniem wpatrywałem się w ową gazę srebrną, pływającą wysoko w powietrzu; ale nie zostawałem długo w zawieszeniu; ognisko światłem rażące ukazało się w środku obłoczka, rzuciło niezmierne promienie na przestrzeń nieba, i od razu całe jego sklepienie pokryło się olbrzymiemi, najrozmaitsze kształty przybierającemi widmami. Ogniste snopy piorunów, długie, palające miecze zabłyśły; wulkany zalewające żarem i lawą świat cały, race szybsze jak myśl, przebijały powietrze. W czystym eterze niebios grały najbogatsze kolory; tu walczy purpura z jaskrawym fioletem, tam szmaragdy igrają z czarnemi dyamentami; w jednej chwili wszystko przybiera postać szerokiej, opasującej niebieską hemisferę tęczy, z której pryska na kulę ziemską deszcz ognisty. Nikt nie zdoła opisać uroku, pod jakim pozostawaliśmy niemi i zaledwie oddychający: „Boże odwieczny, czy Ty nam zstąpienie Swe na ziemi zwiastujesz? myślałem, i czyś otworzył bramy wiecznego raju?”

Nieustające zmiany kształtów i kolorów następowały jedne za drugimi; wszystko znikało w oka mgnieniu, zastawując po sobie najczarniejszą ciemność, nieprzejrzałą dla gwiazd nawet; wszystko się znów zapalało razem nieskończoną łuną, jak gdyby gorzał świat cały, gorzało niebo; woda morska w krew się zamieniła i rubinami toczyła, askały śniegiem pokryte zalała purpura i obsypały brylanty; wszystko żyło, wszystko się poruszało, ale w zupełnej cisłości, zastraszającej kontrastem; zdaje się, że natura własnym dziełem zadziwiona, milczy; a może téż milczy, bo nie wydała jeszcze żadnego głosu, godnego wtórować majestatycznym zjawiskom zorzy północnej.

Trwały te cuda więcej jak dwie godziny; przyciągani pomimowolnie ku nim, jak gdyby magnetyczną siłą, wypłynęliśmy z portu na otwartą morze i w zachwyceniu zapomnieli wszelkiej ostrożności; dopiero kiedy zorza północy przestała oświecać widnokrąg i pograżyła zniknięciem świat cały w grubą ciemność, poznaliśmy, że nie widać ani brzegów, ani portu, i że odpływ morza zaniósł nas za daleko w swe głębie. Szczęściem, że latarnia Fahrsundska wska-

zywała nam kierunek, jakiego się mamy trzymać w odwrocie. Wiostami walczyliśmy prawie dwie godziny z odpływem i powiewem od lądu, stanęliśmy nareszcie znękani pracą w porcie, wylądowali doktora, i sami dalej do miasta popłynęli.

14. Grota Bazaltowa na wyspie Staffa w Szkocyi.

Staffa jest jedna z wysp Hebrydzkich; mieści się pod stopniem 57 szerokości północnej, o 15 mil od wyspy Mull.

Mówią, iż Józef Bank, sławny towarzysz Kooka, był pierwszym, który na tę wyspę się dostał i opis onę r. 1772 ogłosił. Pankaucke ją zwiedził, i w r. 1831 zdał sprawę o swojej podróży, z której ciekawsze umieszczamy szczegóły.

Celtyckie nazwisko wyspy Staffa jest An-Ua Vine albo Fine, co według jednych ma znaczyć grocie harmonijną, według innych, grocie Fingala. Często się zdarza, iż wiatry albo morze wzburzone, dostają się do głębi groty przez bazaltowe słupy, z natury w kształcie piszczałek organowych ułożone, i tym sposobem tony cudownej harmonii wydają.

„Są to arfy Eola cieniów Fingala,“ mówią mieszkańcy, którzy do Fingala, ojca Ossyana, wiele cudownych przywiązuja podań.

Cała wyspa Staffa jest jedną masą lawy i bazaltu. Brzegi jej są urwiste i ze wszech stron niedostępne, wyjąwszy małe bardzo miejsca nad wysepką Boo-Sha-la.

Ze wszystkich stron widać niezmierne kolumny bazaltowe, a na pierwszy rzut oka zdaje się, iż wszystkie z głębi morza nagle powstały.

We wszystkiem, na co oko pogląda, taka regularność panuje, iż podróżny łatwo uwierzyć może, iż wchodzi do wielkich gmachów, ręką człowieka murowanych. Długie sklepienie, w wielkiej proporcji wznoszące się kolumny proste, węgły wciśnięte i wystające, których końce niezmierne są czyste, sądzić każą, iż je dłuto zręcznego artysty wyrabiało; albowiem ta grota nie jest niską, jak podziemia zwyczajne i nie znajdzie się w niej żaden kamień, żaden

odłam, któryby nie był pryzmatycznym; wszystkie mają symetrią i są regularnie ciosane.

Całość zdaje się być wielkim gotyckim kościołem, którego nawa wystawiaćby mogła dwa rzędy słupów potamanych, i że te nierównie wprost przedstawione zostały na prawą i lewą stronę kościoła, który zda się być od pożaru szczerniałym. Tło groty jest ciemne, i zakończy się jakoby chórem kaplicy.

Przystęp jest bardzo posępny, i ma postać czarnych marmurowych wschodów, przez jakowe podziemne wstrząśnienie zrujnowanych. Wielkie słupy rozciągają się jak długi mur, a z jednej strony we środku, skład ich podobny jest do ciemnego konfessyonału. Ta dziwaczna rozpadlina słupów tak dalej się ścieśnia, że w części najgłębszej ma tylko szerokość krzesła, i dlatego nazwano ją krzesłem Fingala. Wierzch tego sklepienia składa się z kolumn złamanych, które dość regularnie sklepiony obłak w gotyckich budowlach wystawiają. Sklepienie składa się z kolumn, które się oddzieliły w równych prawie odstępach a których jedna część została w zawieszeniu, druga zaś spadając, wolną zostawiła obszerną przestrzeń jaskini. Bazalty ściśle są spojone przez materią wapnistą, cytrynowego koloru, który się z kolorem zielonym cieniuje. W wielu miejscach galeryi kamienie mienia się w kolorach żółtych i pomarańczowych. Piękna przezroczystość wody, gdy morze jest spokojne, podwaja skutek tej bogatej różności kolorów.

Wyspa jest własnością rodziny Macdonaldów, która jej rocznego dochodu 300 fr. przynosi, i to raczej z rybołówstwa, niżeli z gruntu. Część zewnętrzna sklepienia jest płaszczyzną, bardzo cienką warstwą ziemi urodzajnej pokrytą, która uprawiona, zaledwie żdziebta owsa wydała. W środku wyspy widać jeszcze szczątki skały. Krowy i konie bardzo drobne i wszystkie czarne pasą się wkoło; pasterze wszyscy mają smutne wejrzenie. Ponieważ burze okropne przez trzy części roku wyspę tę nawiedzają, pasterze nie mogą na niej mieszkać, ale tylko z wyspy Jona, przybywają tamże wśród lata. Całym ich widokiem, nieco samotność ożywia-

jącym, są owady i różne płastwo na wyspie, szczególnie około brzegów krążące.

45. Kopalnie żelaza w Danmora w Szwecyi.

(Z wspomnień jesiennych Alex. Przeddzieckiego).

O pięć mil od Upsali odległa jest sławna kopalnia żelaza w Danmora. Siedliśmy na pocztowe wózki poraz pierwszy od Nordköping.

Nie ładnego nie mogliśmy upatrzeć w ciągu tej pięciomilowej podróży; jednostajność kraju nudziła nas, przedstawiając te same obrazy, co w prowincjach Smoland i Ostgotland; pagórki zielone, jałowcowe krzaki, bzuwe gaje, śpiczaste wieże kościołków wiejskich i drewniane domy włościańskie. Nakoniec zwiastowały nam sąsiedztwo kopalni długie drewniane rury, na pionowych żerdziach oparte, któremi woda, pompami z kopalni czerpana, wypływa. Nakształt wysokiej baryczy ciągną się o ćwierć mili te rury.

Otóż i Danmora! kilka domów fabrycznych około głębokiej jamy. Ale co za jama! Przybliżyliśmy się do brzegu. Wśród kilku gór żelaznych wokoło stojących, otwiera się przepaść, z razu obszerna, ale coraz zwężając się, zakończona jest nakształt wywróconego ostrokręgu, prawdziwy obraz piekła, jaki Dante wystawia. Czterysta dwadzieścia stóp głębokości ma otwór kopalni, niższa połowa zalana jest błękitnawym gęstym dymem, który tajemnice miejsca tego nieprzejrzaną zasłoną pokrywa. Ni schody, ni drabiny do dna nie prowadzą, ale na samym brzegu przepaści wznosi się ogromne rusztowanie. Para koni obraca walec, około którego zakręca się lina, przez kołowrót u góry rusztowania przeprowadzona, rudę żelazną w beczkach ze dna kopalni na powierzchnię ziemi wydobywająca. Jedną z tych beczek wypróżnioną, przybliżono do brzegu i prosiło nas siadać. Dreszcz mimowolny przejął nas wszystkich, gdy jedną nogą na brzegu jeszcze, drugą, zawieszoną nad otchłanią, trzeba było przeważać się na stronę, aby drugą nogę do beczki przyciągnąć; trzech nas wstąpiło do beczki, w której po pas, jak w pokrowcu stojąc,

trzymaliśmy się oburącz łańcuchów, które beczkę do ogromnej liny przytwierdzały. Jeden z robotników stanął nogami na brzegach beczki trzymając się tylko liny; dano znak, konie zaczęły stąpać i już dym błękitny rozstępował się przed nami. Nie było wprawdzie ani powóz, ani podróż po temu, aby rozmowę bardzo żwawą prowadzić, jednak obiecywaliśmy sobie, współpodróżni beczkowi, w razie, gdyby dno karęty naszej od ciężaru runęło, jąć się mocno, każdy swego łańcucha i końca podróży doczekać.

Innego niebezpieczeństwa nie przewidywaliśmy. Wprawdzie życie nas trzech na nitce zawieszone było, ale na tej nitce i Parkaby nożyce stępiła. Widzieliśmy pod nami sterzące skały jak igły żelazne, o które się nie trudno było roztrącić, ale mieliśmy zaufanie w biegłości naszego sternika, który beczkę od miejsc niebezpiecznych za pomocą żerdzi odpychał. Powoli spuszczano nas na dno zupełnie, jak wiadro do studni, sześć minut i pół upłynęło, nim beczka na dnie stanęła. Wysiedliśmy skwapliwie, gdyż potrzebny był powóz pozostałym towarzyszom na ziemi. Kopalnia w Danmorze szczególnie przedstawia widok, nie ma w niej jeszcze tych galeryj podziemnych, jak w Wieliczce, Bochni i innych. Tu robotnicy powiększają codziennie ogromną jamę, dno jej coraz rozszerzając. Danmora otaczała nas stojących na dnie, jak majestatyczna świątynia, której ściany i podłoga żelazna, a niebo sklepieniem. Nazbieraliśmy na pamiątkę kruszców, a naładowawszy nimi kieszenie, wstąpiliśmy na nowo w beczkę, która się w górę podniosła. Teraz większe było niebezpieczeństwo: bo za cofnięciem się koni na górę, mogliśmy spaść gwałtownie na skały, lub na dno kopalni. Ale obeszło się bez przypadku; dostaliśmy się na otwarte powietrze, niezmiernie zadowolnieni z nowego rodzaju podróżowania.

46. Wspomnienie z Wędrówki przez Góry Olbrzymie.

(*Riesengebirge*) w roku 1837.

I. Adersbach.

Fryderyk Wielki zwykł mawiać: „Kto nie widział skał Adersbachskich, kaplicy w Siedlic i grobów książęcych

w Grösau, ten nie wie, co jest natura, sztuka i przepych.” A John Quincy Adams, poseł pełnomocny Zjednoczonych Stanów Ameryki północnej, w listach o Szląsku, o skałach Adersbachskich tak się wyraża: „Adersbach, miejsce podziwienia godnymi skałami wstawione, które przestrzeń trzech mil zabierają w tak czarodziejskich kształtach, iż nie podobnego w licznych moich podróżach widzieć mi się nie wydarzyło.” W samej istocie, w podobnych utworach, natura tylko raz w Torkal w Hiszpanii powtórzyła się. Wędrując przez góry Olbrzymie Szląska pruskiego, przejechałem granicę, Szląsk od Czech dzielącą, aby to sławne odwiedzić miejsce. Było piękny poranek miesiąca lipca, gdyśmy schludną, półtoręj mili od Adersbach odległą wioskę Weckersdorf opuścili. Niebo błękitne, lub czarnymi chmurami osłonię, światło wschodzącego słońca, gwiazd lub księżyca, czas ponury lub pogodny i tysiączne inne odcienia natury, mistyczny wpływ na nasze uczucia, myśli, a nawet zmysły wywierają. Obraz czarodziejskiej okolicy, nie oko duszy, ale dusza oku podaje, ona go ożywia, wykształca, uszlachetnia. Trzebaby się starać schwycić chwilę, w którejby obraz rozwijający się przed oczyma naszymi w prawdziwym i korzystnym świetle się okazał. Rozwaliny zamku gotyckiego potrzebują nocy ciemnej, blade światła księżyca, burzy, która żółte liście zmiata; willa zaś włoska potrzebuje słońca, błękitu nieba południowego, kwiatów, zefirów, wodotrysków, poezji natury, sztuki i poezji serca... Wspaniałe lasy jodłowe ocieniały po obu stronach drogę, która się ponad brzegiem strumyka jakby wąż wykręcała. Wschodzące słońce przebijało się przez gęste gałęzie, na których rzadko gdzie jaka mała ptaszyna modlitwę poranną swiergotała. W milczeniu jechaliśmy tą czarującą okolicą, gdy niespodzianie na skrócie drogi ujrzelśmy olbrzymie skały Adersbachskie, jak rozciągnięte miasto na pięknej płaszczyźnie rozłożone. Zajechaliliśmy do oberży bardzo eleganckiej: „Kamieni Adersbachskich.” Kilka już powozów stało na obszernej, obmurowanej dziedzińcu, a w sali zastaliśmy liczne grono podróżnych z pobliskich i odległych okolic, równie jak my,

dla oglądania tych skał przybytych. Nim nam dano śniadanie, stanąłem w oknie w milejącym zachwyceniu, przypatrując się tym zakamieniałym olbrzymom. Wpatrując się długo w te fantastyczne kształty i figury jakieś niezrozumiałe, ciemne uczucie duszę przeraża; te skały zdają się zostawać pod zaklęciem jakiegoś złego ducha, który je szyderczym i tajemniczym napiętnował wyrazem. Jak dłuto rzeźbiarza, ogień i życie z zimnego, martwego wydobywa marmuru, tak i tu dłuto natury olbrzymie wykuło posągi, a duchy gór olbrzymich, na ich czele Rübezahl, tu siedzibę założyli, których przygody, poetyczne sagi, w pamięci mieszkańców się przechowują. Ciemne ulice różnostronnie przerzynają to miasto zaczarowane; nie oko poety, ale oko zwyczajnego dostrzegacza rozezna wyraźnie odznaczane place, posągi, słupy, sklepienia, błędniki, wieże, łuki, mosty, kościoły, zamki tej stolicy Rübezahla, pana gór olbrzymich, a dziś jeszcze zakamieniałe ludzkie postacie groźnie i szyderczo na nią spoglądają! Żadna burza ich nie wzruszy, grom o twarde ich czoła się rozbija, a u stóp ich zielony ścięły się trawnik, na którym motylki i Nimfy wodne igrają. Ptak stroni od tego lasu cedrów zakamieniałych, człowiek tylko w zuchwałą zbrojny odwagę, im groźniej mu się natura objawia, tym groźniej i śmieliej wdziera się w najskrytsze jej tajniki, mocą ducha chce zgłębić, zrozumieć i ujarzmić. Głos gospodarza przywołał mnie do sali, gdzie już wszystkich zastałem przy śniadaniu, koło stolika siedzących. W przyjemnych rozmowach chwilkę po chwilkę mijają, a spóźnienie przewodnika podało mi czas przelecieć książkę, gdzie podróżni imię i chwilowe uczucia na pamiątkę wpisują. Z niewymowną radością znalazłem tu wpisane imiona kilku drogiej mi osób, z którymi w licznych wędrownkach, niestety! często tylko na kilka chwilek się poznałem; znalazłem i twoje imię Ch*, a duszę twą poznałem z ognistych wyrazów, którymi opisałeś te skały. Ach! dla ciebie jest świat zimną skałą, a jego echo jest uśmiechem szyderczym! Przewodnik nadszedł. Idąc miękkim trawnikiem, który rzędami sadzone topole różnostronnie przecinają, stanęliśmy przy pierwszych skałach, tak zwa-

nych kamienie kartów. Odjęte od innych skał, stoją te dwa posągi, dwadzieścia sążni wysokie, jako stróże miasta zaczarowanego. Kamień przesłaje być martwym kolosem dla wędrownika, który z duszą, upojoną poezijnem marzeniem, tu wstępuje. Piosnka gminna opiewa przygody rodziny kartów, która niegdyś szczeliny tych skał zamieszkała, różne psoty podróżnym i okolicznym mieszkańcom wyrabiała. O kilka kroków dalej prostopadła ściana kamienna, parawanem przezwana, zieloną murawę ośłania. Tu się przedmieście miasta kamiennego zaczyna. Tysięczne obeliski, jakby cedry zakamieniałe, cisną się jeden na drugiego, jedne tak blisko siebie, iż ciężko się przez nie przecisnąć, drugie wolny i szeroki zostawiają przechód. Skały w kształtach odmienne, zadziwiające, patrzą z pogardą na ciekawych i zuchwałych Pigmejczyków, którzy jak muszki u stóp ich brzęczą! Tu usiadłszy trochę dla odpoczynku, jedni z towarzystwa, wyjąwszy otówek, chcieli na kartce papieru choć słaby odcień tej gigantycznej schwyć natury, drudzy wyrazy zachwytu, które pomimowolnie z ich piersi się wydierały, słowami uwięzić usiłowali, ci geologiczne postrzeżenia nad początkiem i formacją tych skał podawali sobie. Najlicniejsza atoli część towarzystwa, do której i ja się przyłączyłem, zebrała się wkoło przewodnika, przysłuchując się ciekawym opowiadaniom jego o dawnych rycerzach, którzy przeciw prześladowaniom, napaści i zdradzie, w tych skałach schronienia szukali i znaleźli; o Polaku Niestawie, sławnym rozbójniku za czasów Bolesława III, którego pamięć do dziś dnia utrzymuje się w podaniach ludu, jakoteż o innych sławnych rozbójnikach czeskich i szląskich. Idąc dalej, zachwycające zjawisko przyrody nas zatrzymało, zjawisko to bezpiecznie do najciekawszych utworów natury policzyć można. Jestto skała głową cukru nazwana, ośmnaście sążni wysoka, u dołu półtora, a u góry pięć sążni w przecięciu, mająca, jakby zakamieniały promień wody, wytryska z małego jeziora, którego ciemną powierzchnię wodne rośliny pokrywają. Jestto sumienna poezya, zuchwała myśl natury! Obeliski coraz gestsze, tém w dziwniejszych okazują się kształ-

tach, im bardziej ku właściwemu zbliżamy się miastu. Tu organy czekają na uderzenie niewidzialnej ręki, aby czarodziejskimi głosami przerwać ciszę tych skał. Komin Rübezahla kuchni wysoko się wzbija w powietrze, ale dym z niego nie bucha; zapewne pana w domu nie ma. Ta urna zapewne drogie popioły zamyka. Zwróć oko na prawo, a okropny widok duszę przeraża: rusztowanie, głowa ścięta! obok mumii egipskiej; rękawica rycerska czeka na kościstą rękę olbrzyma. Bajka i prawda, przeszłość, odległość, nie w rozwlekłych opisaniach, ale w treściwych odciskach natury, dla duszy tylko poezją upojonej zrozumiałych, nam się objawia. Lecz czas nie dozwala pojedynczych skreślać obrazów na tej nieruchomej wielkiej wystawie natury, zadziwiających nas i zachwycających. Jeszcześmy do miasta nie weszli. Lecz nim w zaczarowane jego wstąpimy progi, wypada powitać pana Burmistrza, który z sutą a llonge peruką, wypukłe oceniającą czoło, czeka na nas przy wchodzie do powierzonego mu przez Rübezahla miasta. Może on też i nie na nas czeka, bo oko w przeciwną zwrócił stronę, gdzie zakwefiona mniszka o kamienny słup się opiera. Małe drzwiczki drewniane zamykają wchód do miasta zaczarowanego. Jestto wchód dla kartów w miasto olbrzymów. Tylko dłużej Dantego, które owe sławne: *Per me si entra i t. d.* wykuło nad bramami piekła, i tu odpowiedni wypadłoby wyrzeć napis! Zimne powietrze owionęło nas, niebotyczne ściany zasłaniały nam horyzont, a słabe światło dniowe przebijało się ich szczelinami. To powietrze, ta półciemność, ta cisza grobowa, tylko szmerem krętego strumyka przzerwana, gdyż tupot naszych kroków gubił się w miękkim piasku, dziwne uczucia w nas wzbudzały. W milczeniu szliśmy ulicą Jezuicką, a przewodnik robił nas uważnymi na dziwne skał utwory, których nazwy wyliczał. Obok tablic Mojżeszowych stały pogańskie posągi, gruzy zamku rozwalonego, na których szczycie jodła, jakby czarny sztandar, powiewała. Obok olbrzymiego grzybu, sterczał ząb Rübezahla, który sobie wybił o wieżę kościoła Świętej Elżbiety, w oddaleniu widzialnego. Przez wielki rynek ponad

mostem diabelskim weszliśmy ponad długą ulicę; Św. Jan w puszczy, misterne dzieło największego mistrza natury, zadziwia i zachwyca wszystkich znawców sztuki. Bryła kamienna, rzucona w pośrodku drogi, zdawała się nam wzbraniać dalszego przechodu. Z wykutego na niej napisu tylko te słowa wyczytać można było: *J'ai brave... sacrilege*. Podróżujący Anglik, chcąc się przypatrzeć i przysłuchać grzmotom i gromom w całej strasznej okazałości, zjechał w tym celu do Adersbach. Długi w oberży czas przesiedział; niebo ciągle pogodne zdawało się opierać jego zuchwałym zamysłom. Przyszedł nakoniec dzień pożądany, Anglik nie mogąc znaleźć przewodnika, sam udaje się w pośrodek śmiertelnie groźnych skał. Grzmoty się wzmagają, a z niemi rozkosz odważnego i zuchwałego Anglika; lecz wtem skały okropnie zawyły echem, a piorun wali bryłę skalistą do nóg jego. Anglik wylatuje przestraszony, każe czém prędzej pomimo burzy zaprzęgać konie pocztowe, i zleciwszy podany napis, dla przestrogi równie jemu ciekawo-zuchwałych, na tejże skale wykuć, w dalszą puścić się drogę. Na małym rynku przeznaczonym dla odpoczynku podróżnych, gdzie srebrne źródło bujnymi ocienione roślinami, z twardego wytryskuje kamienia, znużeni usiedliśmy na ławkach. W miłych i wesołych rozmowach, strawiwszy kilka chwilek i napiwszy się z zimnego źródła, szliśmy dalej, gdzie u kresu naszej wędrówki najwspanialszy zachwycił nas widok. W ciemnej grocie, do której promień słoneczny jakby otwartą tylko wkładał się kopułą, wódospad po tysiącznych łamiący się kamieniach, z hukiem i grzmotem pieniał się u stóp naszych. Pyłek kropli, jakby rozprysnięte gwiazdeczki brylantowe, całą grocie wypełniał. Tu był koniec naszej czterogodzinnej wędrówki. Wyszedszy tą samą drogą, poprowadził nas przewodnik do gloriетки, o kilkaset kroków od skał oddaloną. Tu jeden z towarzyszy naszych wzięwszy flet, melodyjne wywabił z niego tony. Zamilkł, a w kilka sekund, jakby w coraz dalszym oddaleniu, echo tęskne skał, trzy razy całą melodię jak najdokładniej i najwyraźniej powtórzyło. Na kilka wystrzałów skały groźnie odpowie-

działy, a wesołe tony pocztylionki, gubiąc się w skał błędniku, do dalszej podróży nas zachęcały. Miłe z sobą biorąc wspomnienie, opuściliśmy to miejsce i udaliśmy się w dalszą podróż do Landshutu.

47. Noc w Alpach.

Niechaj was Bóg ochroni od błakania się pośród nocy w Alpejskich górach, kiedy na niebie nie ma ani jednej gwiazdy, kiedy wichur huczy wpadając między drzewa i miesza się z wyciem wilków i odgłosem strumieni. Niechaj was niebo ochroni, gdyż nieznośne zimno ściska członki, i aż do kości przeszływa bolem, którego opowiedzieć niepodobna. Pierś schnie pod ciężarem wzmagającym się co chwila. Głowa pali, mieszają się wyobrażenia; para z ust wychodząca marznie na nich. A do tego strach przejmujący w tej niezmierniej samotni; strach, chociażby kto nie zadrżał znajdując się na pół rozbitym okręcie; strach, gdyż tu pod nogami twojemi przepaść, która pochłonie cię, jeżeli jeszcze jeden krok postąpisz. A jednakże nie zatrzymuj się, albowiem śnieg zwolna cię zagrzebie w swoim lodowatym całunie; śmiertelny ten całun oziębiłby krew twoją; czułbyś, jak twoje istnienie zawiesza się, zatrzymuje i kończy. Ani jedno przesilenie, ani jeden postęp słabości nie uszedłby uwagi twojej; straciłbyś przytomność i uwolnił się od rozpaczyny wtedy dopiero, kiedyby zupełnie spełniło się dzieło śmierci.

Takie były udręczenia i męczarnie zabłąkanego w roku 1793, w niezmierzonych pustyniach Alp niższych. Od rana błądził bez przewodnika i nie natrafił na żadne pomieszkowanie.

Za nadejściem nocy zatrzymał się wycieńczony utrudzeniem i głodem; bez nadziei, gotowy na śmierć. Nagle zebrał resztę sił, wstał i iść zaczął. Po godzinie drogi, podczas której byłby kilkanaście razy wpadł w przepaść, gdyby cudem prawie nie uchwycił był gątezi krzaków; lecz postradawszy tę sztuczną energią, umierając prawie, położył się na skałę. O szczęście! daleki dźwięk dzwonu

dochodzi do jego ucha, zbliża się, powiększa! Pies nadbiega, a za nim idzie zakonnik. Opatrzność nie opuściła nieszczęśliwego. Zakonnik ocalił go od nieuchronnej śmierci i zaprowadził do klasztoru.

Wieczera i dobry ogień powróciły mu zdrowie; zapominał o swoich niebezpieczeństwach i zaczął rozmawiać z pustelnikami; dziwił się, że w takim miejscu znajduje się klasztor, gdzie nawet nie byłoby można spodziewać się chatki.

Zakonnicy bojąc się, aby ich gość nie dostał gorączki, przyrzekli mu, iż nazajutrz uczynią zadość jego ciekawości, i zaprowadzili go do wygodnej celi na spoczynek. Nazajutrz, gdy nasz podróżny obudził się i odetchnął świeżym powietrzem Alp, zachwycający obraz rozwinął się przed jego oczyma. Słońce weszło i rzucało światłość swoją na kilka domów w kształcie włoskim zbudowanych, które białe i wdzięczne odbijały się od ogromnych skał wapiennych.

Pomiędzy skałami w niezmierniej rozpadlinie widać było małe drzwi i kamienne schody prowadzące do klasztoru; dwa wierzchołki panowały nad tym widokiem, połączone żelaznym łańcuchem, długim na 250 stóp, w środku którego wisiła gwiazda z pięciu punktów złożona. Cudzoziemiec ciekawie się przypatrywał temu łańcuchowi, gdy przyszedł do niego zakonnik, który mu dnia wczorajszego życie ocalił.—„To miejsce, rzekł uprzedzając, nazywa się Moustier, gwiazda zawieszona pośród łańcucha, jestto herb domu Blacas. W r. 1215, hrabia Blacas wzięty do niewoli w Palestynie podczas krucjaty, ślubował, że jeśli wydobędzie się z rąk niewiernych, poświęci wtedy patronce swojej Najświętszej Pannie z Beausses łańcuch złoty, na pamiątkę swego pobytu w mocy niewiernych. Wróciwszy do Europy chciał zadość uczynić temu ślubowi, lecz zakonnicy przełożyli mu, że tak bogata ofiara, umieszczona w nieprzystępnym miejscu, mogłaby stać się zgubną dla wielu z ludzi, którychby chciwość podniecała, i że lepiej uczyni, jeżeli na dobre uczynki, to jest na wybudowanie szpitala obróci cenę ślubu swego. Zaczny rycerz usłuchał

tęj rady, a na pamiątkę kazał na górach żelazny łańcuch zawiesić.”

Zakonnik mówił jeszcze, kiedy cudzoziemiec ukląkł i modlił się gorąco.

Tajemnicze zrządzenie Opatrzności! Właśnie to potomek hrabiego Blacas znalazł schronienie w domu przytułku, założonym przez swojego naddziada.

48. KASKADA TERNI.

(Wyjątek z dzieła: „W Alpach i za Alpami“ przez E. z G. R.).

Kaskada Terni, czasem Marmora zwana (bo przez górę tego nazwiska się toczy), zupełnie swęj stawie odpowiada i wszelkie oczekiwanie, wszelkie wyobrażenie przechodzi. Nie jestto jednak natury dziełem: tradycja mówi, że w r. 671 po założeniu Rzymu, Curius Dentatus, postanowiwszy oswobodzić rodzinne swe miasteczko Rioti, od corocznych wylewów rzeki Vellino, która pod jego bramami do jeziora Luco wpadając wzdymała je, i niestychane zrzadzała szkody, kazał w górze Marmora wykopać szeroki kanał, i tym sposobem Velliny koryto do rzeki Nery zwrócił. Ale nieprzewidział zapewne, co ta ogromna masa wody, te dwie połączone rzeki: Vellino i Nera dokazywać będą. Teraz one jak szalone przez całą lecają górę, wody jeziora Luco z sobą porywają, i tą potrójną siłą z ogromnej wysokości spadając w przepaść, której dna nikt nie dojrzy, nikt się nie domyśla, tysiące skoków, tysiące zachwycających tworzą obrazów. Szum tak jest wielki, iż nic prócz niego nie słychać; a co kilka sekund, przeraźliwy jakby grzmotu odgłos w powietrzu się rozlega. Sprawiają go bałwany wody, w zbyt szerokim swem jeszcze ciśnieniu korycie i jedne przez drugie trącające i łamiące się o skały.

Domyślasz się, że siła tak potężna, tak wściekła, iż jej nie wstrzymać nie może, nie tylko wszystko obala, ale głąz nawet pod swemi dziwactwami ugina i kruszy. Ile tylko widziałam rycin lub olejnych obrazów, ile czytałam opisów tej kaskady, żadnego nie znalazłam do oryginału podobnym. Lecz, zastanowiwszy się, nie śmiałam artysty obwi-

niać; jestto konieczny skutek tych corocznych zmian, jakim cała postać, wszystkie rysy tej ostrzej natury pod kapryśną władzą ulegać muszą. Przepaść, w którą ta masa wody spada, musi koniecznie co dzień być głębszą. Przed kilką laty sto metrów jej dawano, teraz już można śmiało drugie tyle głębi jej liczyć; a potok, im głębiej spada, tym dalej wylryska, wyżej, srożej leci, szumi, ryczy. Ten, o którym mówimy, co dzień sobie otwiera pieczary, wpada w nie i znów wylatuje, gdzieindziej swe szalone śląc fale; jedną bryłę skały obaliwszy, o inną z większym jeszcze impetem się roztrąca, a na proch rozbitą szerokim otacza się tumanem. Kłęby tego wilgotnego kurzu w niebo, jakby fantastyeczne unoszą się chmury, a łamiąc słońca promienie, tyśnięciem ruchomych łęczy na wszystkie opasują się strony. Czasem, gdy niebo bez słońca, a wiatr tę parę do skały przycisnie, tworzy się z niej przezroczysta firanka, przez którą cały wodospad w nowym okazuje się świetle, nowym otacza się wdziękiem. Wszystko to razem cudnej jest piękności, niewypowiedzianie wspaniałe i malownicze; lecz wzrokiem tylko, a nie piórem, ani nawet pędzlem do duszy przelać się może; nim tylko mniej dokładny obraz swój odbić zdoła.

Mówiono mi, że ta mgła daleko na okoliczne rozniesiona pola, zwilżając bezustannie suchy z natury grunt, bardzo go użyźnia; a wody jeziora Luca mają własność skamienia roślin, korzeni i drzew na swych brzegach porośłych. Nie widziałam tych petryfikacyj, ale z opisu zdaje się, że to musi być w rodzaju tych, co Karlsbadzkie tworzą źródła; to jest, że otaczają każdy w nie rzucony przedmiot gęstym osadem, twardą pokrywają go skorupką, od powietrza chronią, i skamieniałości nadają doskonały pozór.

49. REN POD LAUFENBURGIEM.

Na śnieżystych wierzchołkach Alp, w tym wspólnym wodzborze Francyi, Włoch i Niemiec, znajdują się źródła Renu. Trzy wielkie potoki wypływające z okolicy, gdzie także bierze początek Rodan, Tesin, Reuss i Aar, są głównymi żywiołami tej rzeki potężnej. Pierwszy zowie się Renem

przednim, drugi Renem środkowym, trzeci Renem tylnym czyli wyższym. Pod miasteczkiem Reichenau, o mil kilkanaście od źródeł swoich łączą się te trzy potoki i tracąc oddzielne nazwisko, tworzą jedną rzekę. Ren szeroki jest w tym miejscu na 230 stóp i już zaczyna być spławnym dla mnóstwa łodzi. Ułagadzają się dzikie i ostre rysy jego krajobrazów; nie są już tak wspaniałe, ale wdzięczniejsze i miłsze. Po gęstych i ciemnych lasach północnych, po obnażonych skałach, po złowróżbnych lodowiskach następują kwieciami ubarwione łąki, bogate żniwa, sady, winnice.

Kraina, którą ta rzeka ożywia, od miasta Coire aż do Meyenfeld, jest tak piękna, iż ją zowią doliną Tempe Szwajcaryi. Od Meyenfeld aż do jeziora Konstancyńskiego, Ren odgranicza Szwajcaryą od państw Austriackich. W tej części biegu znowu dzikszą postać przybiera. Płynie bardzo bystro, toczy odłamy skał i drzew, a przez to nie można po nim żeglować czółnami, lecz tylko na tratwach. Wezbrany roztopami śniegów, wzbiera niezmiernie i pustoszy nadbrzeżne okolice. Przy upływie od jeziora Konstancyńskiego, wody Renu już spokojniejsze, znowu służyć mogą do żeglugi. Wpadając do jeziora Konstancyńskiego, przy jego wschodniej stronie, rzeka przepływa je wzdłuż, idzie pod murami miasta Konstancyi, a wyszedłszy z głównej części jeziora, wpada w część zwaną Untersee i ją także w całej długości przecina. Gdy porzuci jezioro i ku zachodowi weźmie kierunek, Ren już wówczas na 750 stóp szeroki, niesie łodzi obciążone towarami Niemiec, Włoch i Szwajcaryi; lecz wkrótce zmiana gruntu znowu żeglugę przerywa i tworzy jeden z najwspanialszych obrazów na całym świecie. Za miastem Szafluzą rzeka skręca się nagle ku południowi, jak gdyby chciała powrócić do Szwajcaryi. Lecz zaledwie w tym kierunku pół mili ubiegła, zaczyna bystrzej płynąć; łożo się zwęża, głazy wystają ze wszech stron i rozbijają fale płynące w skalistym kołycie. Wody tym bystrzej i burzliwiej płyną, im bardziej się zbliżają do ogromnej skały, na której wierzchołku stoi zamek Laufen; tam urywa się nagle pokład skał, po którym toczyły się fale, a cała masa rzeki spada z wysokości stóp 70. Na samym

krańcu przepaści tawa skalista wystawia u góry trzy stupy pośród rzeki. Niepodobna odmalować z jak wściekłą gwałtownością, wody zatrzymane w najbystrzejszym pędzie biją o te zapory, z jak przerażającą szybkością przesuwały się po obudwu stronach tych grobel, których przez tyle wieków jeszcze wzruszyć nie zdołały. Rozbite wody zamieniają się w kurzawę, w pianę i krople deszczu i skrapiają okoliczne skały; ale ta kurzawa, ta piana, te krople spadają naostatek w otchłań, w której massa rzeki, burzy się z przerażającą mocą. O dwie mile od Laufen huk głuchy już zapowiada wodospad. Wodospad ten najpiękniejszy i największy w całej Europie ściąga licznych miłośników natury i przez to jest źródłem znacznego dochodu dla mieszkańców Szaffhuzy. Zmienia się jego widok stosownie do pory, dnia i roku. Najwspanialszym jest w porze roztopu śniegów; wówczas bowiem wody znacznie wezbrane odbijają się jak najświetniej. W porze, gdy słońce wzbiwszy się w górę, rzuca promienie swoje na kataraktę, połyski światła przecinając się na wszystkie strony z kroplami deszczu, tworzą zachwycający widok, a przepaść okazuje się oświecona tysiącem kolorów tęczy. Obraz zmienia się i większej nabiera uroczystości, gdy noc zapadła, gdy już z trudnością dojrzeć można pęd wód, a huk zdaje się być poważniejszym i straszliwszym.

Niektórzy lubią oglądać wodospad przy świetle księżyca, sprzeczność między ciszą przyrodzenia a rykiem fali ma wówczas niewymowny powab.

Żegluga na Renie przerywa się o pół mili przed kaskadą i dopiero przy zamku Warth, poniżej wodospadu, znowu się zaczyna. Liczne strumienie i rzeki, między niemi najznaczniejsza rzeka Aar powiększają masę wód jego. Pod Lauffenburiem Ren nowo stawia zapory i niebezpieczeństwa. Znowu zwęża się w korycie, a skały granitowe tworzą drugą, chociaż nie tak wielką kaskadę. W tym miejscu trzeba także towaru na ląd wykładać. Ren płynie dalej ku zachodowi, między księstwem Badeńskim a Szwajcaryą; lecz znowu zwraca się w głąb tej ostatniej krainy, skrapia miasto i część Bazylejskiego kantonu. Dopiero pod murami

tego miasta, ostatecznie biorąc kierunek ku północy, opuszcza ziemię Helwetów. Szeroki jest wówczas na stóp 600, głęboki na 10 do 12.

Porzuciwszy Szwajcaryą, Ren staje się rzeką Francyi i Niemiec i płynie przez kraje, zupełną i starodawną szczytującą się cywilizacją; przez okolice, których doliny nie są tak zapadłe, a góry nie tak wysokie; pozbywa się powoli swoich tak uderzających i malowniczych krajobrazów, i przerywa nie tak szczytne, ale ładniejsze i miłsze okolice. Sztuka go hojnie uposaża, starożytne i sławne miasta stoją nad brzegami jego, a chociaż nie ma już wodospadów, pyszni się ze swoich mostów. Zaczawszy od Bazylei, płynie przez 46 mil francuzkich między Francją a Wielkim Księstwem Badeńskim. Posiany na tej przestrzeni niezliczonemi wyspami, rozlewa się na 1100 stóp szerokości; lecz zmienia się jego głębokość, a żegluga dosyć jest trudna. Zaczawszy od Lauterburga, oddala się od granicy Francyi, a wspaniałe miasta Niemiec ozdabiają obadwa brzegi Renu.

Na jego powierzchni unoszą się niezliczone statki i tratwy, a szerokość przenosi stóp 1200. Zastosowane do wielkości rzeki tratwy te są zbudowane w olbrzymiej proporcji i wyglądają jak pływające miasta, na których żyją liczne rodziny, razem z bytłem domowem. Podróż trwa tak długo, jak statek, który przedawany częściami co raz się zmniejsza; osada zaś wówczas dopiero wysiada na ląd, gdy ostatni pas środkowy będzie sprzedany. Od miasta Bingen na granicy wielkiego księstwa niższego Renu, zaczyna się sławna kraina zwana Rhingau; tam Ren rozwija całą wspaniałość; w otwartej płynącej dolinie, ma 1800 stóp szerokości. Już w Szwajcaryi brzegi jego uwieńczone były winnicami, lecz wina z doliny Rhingau dochodzą do największego stopnia wartości; tam znajduje się sławne Johannisberg. Krajobraz jest wspaniały i okazuje pomysłny stan mieszkańców. Nad brzegami wszędzie leżą piękne wioski, domy, winnice i sady.

Za doliną Rhingau zmienia się scena. Ren ma tylko 1200 stóp szerokości, ściskają go dwa pasma gór, między którymi płynie. Na wierzchołkach skał stoją stare kaplice,

albo ruiny zamków. Pod miastem Kolonią kraj staje się płaskim, a rzeka płynie ku Hollandyi, przez prowincye Kliwii i Bergu. Brzegi niczem już nie zajmują oka.

Tylko co wpłynię na ziemię Hollandyi, rzeka rozdziela się na kilkanaście odnóg, z których jedne wpadają do morza Północnego, drugie do jeziora Zuydersee i tworzą nieprzebyty labirynt wysp i kanałów.

Ren od wieków użytecznym jest dla handlu, gdyż rzeki wpadające do niego i kanały ułatwiają związki kupieckie. Wody Renu są bardzo czyste, jak to wskazuje jego nazwisko, z dawnego Germanów języka powzięte. Ludy bałwochwalcze, mieszkając niegdyś nad jego brzegami, oddawały mu cześć religijną.

50. Pustynia Sahara.

Ogromna pustynia Sahara w Afryce rozciąga się na 50,000 mil kwadratowych. Tę rozległą, suchą, gorącą i piaskiem lub krzemieniem okrytą płaszczynę, na której wiatry od tysiąca lat góry z piasku wznoszą, zwalają albo przenoszą, zowią Arabowie Bahar bel a ma, to jest, morze bez wody. Niezmierne przestrzenie są tam zupełnie bez życia; nie tam nie widać, jak tylko piasek ruchomy i biały krzemień, przykry równie dla oka, jak i dla nogi. Promienie słońca prawie prostopadle na ziemię padając, sprawiają nieznośne gorąco. Rzadko bardzo, to jest, po sześciu lub siedmiu dniach podróży, można studnią napotkać, a w tych woda jest słona, gorzka i zgniła; jednakże niecierpliwie zdążają do niej podróżni, gdy zapas wody w skórzanych worach się kończy. Niektóre studnie są wyłożone wewnątrz skórą wielbłądów i oznaczone kośćmi, aby lepiej utrzymać i łatwiej dostrzeżone być mogły; ale i te, albo piasek zasypuje, albo w czasie wojny zniszczone bywają, aby szkodzić nieprzyjaciółom.

Tak w r. 1805 dla braku wody cała karawana, złożona z 2,000 ludzi i 1,800 wielbłądów, podróżujących do Tombuktu w tej pustyni zginęła. Ogromna mogiła z kości wskazuje dotąd miejsce jej cierpień i zgonu.

W czasie burzy chmury piasku zastępują podróżnym, bijąc bezprzestannie kamykami ludzi i konie tak, że wszystko bez różnicy wieku, osłabione gorącem i pragnieniem pada na ziemię. Drogę, równie jak na morzu, tylko za pomocą gwiazd i słońca tu można znaleźć. Tu równie jak na morzu formują się trąby piaszczyste, które się spieszniej lub wolniej poruszają, zawsze jednak spodnią częścią łączą się z ziemią; podobne wiry często całe karawany zagrzebuja.

Godną jest uwagi w tej pustyni góra brzmiaca, zwana El-Nakus, złożoną całą z piaskowego kamienia. Leżący na niej biały piasek za najmniejszym poruszeniem, a nawet gdy go słońce mocno rozpali, osuwa się 150 stóp na dół i wydaje odgłos taki, jak kiedy smyczkiem skrzypcowym pociągamy po szybie piaskiem narzuconej.

Często przez całe lato nie ma deszczu w tych stronach, gdzie wtedy wysychają nawet małe place, na których jakkolwiek była zieloność. Podług rozmaitych okolic, deszcz pada w różnych czasach. W bliskości Senegalu, gdzie są lasy drzew gummowych, pada między lipcem a październikiem. Jeżeli potrwa do listopada, wtedy wszystko się weseli, bo jeszcze jako tako będzie można nędzne życie opędzić. Mleko, główne pożywienie tak wielu hord, jest wtedy tańsze, wykopują dla niego głębokie lochy około mieszkań; wtedy także zbierają deszczówkę dla trzody. Gdzie indziej z tego morza piaszczystego wznoszą się jak wyspy pojedyncze, pełne źródeł, daktylami i palmami okryte miejsca, ale tego większej części są mieszkaniem tygrysów, lampartów, strusiów i węzów. Koni, które często w braku wody mlekiem poić potrzeba, bardzo jest mało; lecz za to są rasy wyborniej, łagodne i od Arabów szczególnie wypieszczone.

Wielbłąd jest w tych stronach najużyteczniejszym zwierzem; bez nich nie możnaby odbywać podróży po suchych i gorących piaskach, a największa część Arabii została by niezamieszkaną.

Arabowie krążą po tej pustyni na wszystkie strony, prowadzą handel piaskiem złotym, gummą, solą i strusiami piórami. Ich kolor jest mocno brudno-żółtawy, oczy duże i zęby białe, włosy na głowie kędzierzawe, nie tak prze-

cież jak u murzynów. Kobiety mniej na słońce wystawione mają kolor jaśniejszy i piękniejszą budowę ciała. Lecz, aby były piękne, muszą się starać utyc, i dlatego jeść dużo. Która do tego doszła, że chodzić nie może, i ledwo na wielbłądzie utrzymać się zdoła, ta jest cudem piękności. Tego szczęścia dostępują tylko bogate, mogące trzymać niewolnice.

Arabowie sporządzają sobie namioty ze skór garbowanych albo z włosów wielbłądów, które tkają bez warsztatów tak, iż są pewną zastoną od deszczu.

W namiotach i wkoło tychże żyje cała rodzina i trzoda, wszystko w największym spoufaleniu. Konie przechodzą się między małemi dziećmi z największą ostrożnością, a nawet bawić je usiłują. Ojciec domu leży cały dzień na macie; śpi lub pali tytuń.

Kobiety lubią się stroić. Włosy masłem smarowane splatają w warkocze spływające na piersi, u których wiszą muszle, pierścienie, guziki i inne ozdóbki. Paznokcie u rąk i nóg malują czerwono, na palcach u rąk i nóg pełno pierścieni. Gościnność Arabów znana jest wszędzie. Większą liczbę gości na raz podejmują na wspólne koszta; a jeżeli nie ma pomiędzy nimi bogatego, dla którego kosztu zabić należy, to służą wszystkim o godzinie wieczornej mlékem i potrawą z jęczmienia, przyczem sam gospodarz zawsze usługuje.

51. SPADEK NIAGARY.

Ameryka północna obfituje w tak wielkie jeziora, iż to są prawdziwe morza słodkiej wody. Wiatry sprawiają na nich takie burze i takie wznoszą bałwany, jak na morzu Śródziemnym; w niektórych miejscach tyle są głębokie, iż dotąd jeszcze ich dna nie zbadano.

Te morza mają także swoje marynarkę. Anglia i Stany Zjednoczone utrzymują na nich okręty wojenne; wiele krąży po nich okrętów kupieckich, szczególnie z futrzanemi towarami.

Rzeka Niagara, która później formuje ogromną rzekę św. Wawrzyńca, ma źródło swoje we wschodniej stronie

jeziora Erie, albo raczej jestto tylko kanał wodę z jeziora prowadzący, ponieważ tak szeroka i głęboka z niego wychodzi, iż zaraz wielkie statki nieść może. Bieg ma bystry i nieregularny; doznając przeszkody wśród krętych skał, przez znaczną część swęj drogi pieni się i szumi gwałtownie; później rozszerza się i wspaniale na równinie i przy pozornej spokojności, z zadziwiającą płynnie szybkością, dopóki się z jeziora Ontario nie rzuci, które równie jak pierwsze morzu w wielkości jest równe.

Ale między temi jeziorami, różnica poziomu więcej niż 200 stóp wynosi, a tę różnicę rzeka jednym rzutem przebywa; i to jest spadek Niagary.

O trzy mile od tej ogromnej katarakty, która do cudów natury się liczy, jest u brzegów rzeki mała warownia Chipewaj, gdzie się żegluga zatrzymuje. Biada statkowi, któryby się od niej o kilka poruszeń wiosłami oddalił; porwany nurtem rozbiłby się o skały nadbrzeżne, których inaczej uniknąć nie można, jak porwaniem siłą niewstrzymaną ku przepaści wszystko w siebie chłonącej.

Rzeka w miarę zbliżania się do przepaści, w którą się ma rzucić, jest bystrzejszą; wzdęte i gniewne wały rzucają się z wyraźną wściekłością przeciwko skałom tamującym ich przejście, aż nagle, gdy ich uniesieniu już nie się nie opiera, w massie spadają.

Znaczny i nagły ruch tej masy na prawo nadaje całosci kierunek skośny, co na oko jej szerokość powiększa.

Wtedy oku wędrowca okazuje się widok najwspanialszy, jaki w tej strasnej samotności natura od stworzenia świata wystawia.

Daleko jeszcze od miejsca widać białawą i przezroczystą kolumnę, która w pośrodku w powietrze się wznosi, albo się łączy ze mgłą, co zwykle burzę przepowiada. Łoskot okropny podobny do strzelania z dział, czasem na kilkanaście mil się rozlega, a para rosąca i przenikliwa wkoło powietrze obciąża. Ta cała masa wody na trzy płaty się dzieli; największy wystawiający półkole ma nazwisko Podkowy; szeroki jest na stóp 600, i opiera się jedną stroną

o brzeg spadzisty, a drugą o wyspę, która nad spadek się wznosi.

Ta wyspa mająca 350 stóp obwodu, daje massie spadek gwałtowny, ale tylko na 5 stóp szeroki; potem ze skały mającej 20 stóp następuje trzeci spadek, który tworzy płat do 350 stóp mający.

Massa w ogóle wzięta rozwija się na 1350, ma wysokości stóp 160, a na minutę zrzuca wody 672,000 beczek; jest to ilość niezliczona, której siła ciągle działająca niezgłębioną przepaść w skale już wydrążyła. Woda lecąc jest białawą, połykującą, a w massie pianistej do znacznej wysokości odtryska. W zimie pożera w przepaści swęj niezliczone kry lodu, które rzeka od jeziora unosi, a gromadząc je u podnóża spadku, tworzy ogromne góry.

Wszyscy podróżni zgadzają się, że na ten widok majestatyczny tak nadzwyczajnym podziwem przejęci byli, że przez czas niejaki myślenia pozbawionemi się czuli; patrzyli na niezmierny ruch massy, który coraz gwałtowniej-szym się zdawał, i słyszeli mieszające się razem odgłosy szumu, grzmotu i trzasku. Wielu przez kilka dni zostało w Chippewaj, aby tam nasycić się mogli widokiem, który coraz wznioślejszym się zdawał. Jednakże nie można bez trudów i niebezpieczeństwa w to miejsce się przybliżyć.

Brzegi rzeki otoczone są z obu stron przepaściami skałami i olbrzymiemi drzewy, które tamże od wieków rosną. Niepodobnaby było dojść brzegów, gdyby massy rozdzielające się w dwóch miejscach, nie były utworzyły rozpadliny. Na jednej z nich utworzono przejście, które się drabiną dzikich nazywa. Są to długie i wielkie sosny, na których porobiono zaciosy, aby w nich noga utrzymać się mogła. Drugie jest nieco bezpieczniejsze: jest to istotnie bardzo prosta drabina, którą jeden rządca kraju dla swojej żony zrobić rozkazał, ponieważ i kobiety chciwe zwykle wielkich wzruszeń, ośmielają się także na tę wyprawę. Tędy podróżni dostają się na dół. Ażeby dojść do spadku, idzie się wzdłuż rzeki po ślizkich, wilgotnych skałach, czołgając się po ciasnych przejściach, gdzie w każdej chwili można się na śmierć narazić.

W niejakięj odległości od spadku, widać na brzegu niezmiernie mnóstwo szczątków ryb, wiewiórek, lisów, niedźwiedzi i innych zwierząt, które pędem wody porwane, w przepaść pogrążone, i z tejże na brzeg wyparte zostały. Zgnilizna tych zwierząt daleko się rozchodzi, zwabiając mnóstwo ptaków drapieżnych, których wrzask przeraźliwy z szumem katarakty się miesza. Przebywszy to przykre miejsce, zbliża się do stóp samego spadku. Woda tak gwałtownie się rzuca z góry massy wapiennej naprzód wystającej, iż możnaby stanąć pod wodą lecącą, gdyby nie wiatr bardzo mocny, który w tém ciasnym zamknięciu wkoło się kręci.

Niktby nie uwierzył, iż pomimo okropności tego miejsca i mimo niebezpieczeństwa, jakim grozi rzeka niewstrzymanie od punktu spadku lecąca, są ludzie nieroztropni albo szaleni, którzy usiłują dostać się do wyspy wyżej wspomnianej, która pierwszy wąż spadku od drugiego oddziela; odbijają oni od warowni Chippewaj, będącej trzy mile od spadku i ciągną wodą, bacząc, aby się zawsze środka rzeki trzymali. Najmniejsze zboczenie na prawo lub na lewo pewną śmiercią zagraża.

Dnia jednego postrzeżono czółno krążące po rzece. Dzik pasował się usilnie z wałami, i zdołał im przez czas niejaki się oprzeć; ale wnet opadł na siłach; słaba jego łódź raptownie uniesioną została; nieszczęśliwy zaś, jakoby gardził dalszą walką z żywiołem niewstrzymanym w swęj gwałtowności, rzucił spokojnie wiosło na stronę, a nakrywszy się swoim odzieniem, położył się w łodzi: w parę chwil z szybkością strzały porwanym został i zniknął na zawsze.

52. Wulkany.

Pierwiastkowa postać wulkanów jest ostrokregową czyli stożkową, najczęściej spiczastszą od góry zwyczajnej, jeżeli ta także ma postać ostrokregową. Lecz gwałtowny żywioł, który górę otwiera, i powierzchnią ziemi drogę sobie toruje, niszczy pierwiastkową postać i otacza ognisko dziko-romantycznemi kształtami. W głównym stożku two-

rzą się otwory, któremi lava upływa. Często nawet tworzą się nowe poboczne stożki. Ich powierzchnie i okolice składają się z lawy wulkanicznych popiołów, z większych i mniejszych kamieni, z masy błotnistej, które duszące wydają powietrze. Czasem stoją na wielkiej płaszczyźnie zupełnie od siebie oddzielone, jak w południowej Francji.

W dawniej prowincyi Velaj, naturalista Serope liczył 150 stożków. We Włoszech atoli najliczniejsze są wypalone wulkany. Na powierzchni naszej ziemi jest jeszcze 205 wulkanów, z których 107 na wyspach, a 98 na stałym lądzie. Wulkany amerykańskie leżą najdalej od morza; w Peru są około 70 mil od brzegów. Europa ma jeszcze tylko 3 wybuchające wulkany: Wezuwiusza, Etnę i Hekłę. Etna na wyspie Sycylii, od najdawniejszych pisarzy starożytności jest wspominana. Diodor Sycylijski mówi, że na 510 lat przed wojną Trojańską, zatem na 1693 lat przed Chrystusem, wielkie czynił wybuchy. Tucydides mówi w trzeciej księdze wojny Peloponeskiej: „W początku tego roku (425 lat przed Chrystusem) spłynął ognisty strumień z góry Etny, który krainę Katanów, też górę otaczającą, zupełnie zniszczył.”

Do szczególnych znamion Hekli należy to, iż ją naokoło otaczają warstwy lawy jak wały, które do wysokości 70 stóp jedne nad drugimi się piętrzą. Widok spajania się tych wałów i szkląca onych powierzchnia na każdym zwiedzającym czyni wrażenie.

Przyczyną tej gładkiej, połyskującej powierzchni, jest prędkie ostudzenie lawy w zimnej temperaturze. Te masy skaliste mają wielkie podobieństwo do cegły polewanej. Teraz zdaje się, iż Hekla zasnęła, to jest przestała wybuchać. Ostatni jej wybuch w r. 1766 trwał ciągle od 15 kwietnia do 7 września i ogromne spustoszenia poczynił. Na ten widok konie jak szalone biegały po polach, dopóki nie padły. Atoli skutki tego wybuchu ledwo porównane mogą być z temi, jakie mało znany wulkan islandzki Skaptar-Joekul w r. 1783 wybuchem swoim spowodził. Zniszczył on nie tylko zniwa, ale całą prawie wegetacyą, i pozbawił ludzi i bydło wszelkiej żywności; 9,000 ludzi padło ofiarą

ognistej lawy, popiołu lub głodu. Ryby uciekały na otwarte morze, i bardzo późno u brzegów widzieć się dały. Krwawy dym ciągle jak posępna zasłona słońce okrywał. Okręły między Norwegią i Kopenhagą płynące, popiołem zasypiane zostały. W wielu okolicach Holandyi postrzegano, że powietrze atmosferyczne przeniknione było grubym dymem, wyziewami siarki i bardzo delikatnym popiołem.

Najciekawszym, wzniosłym i okropnym widokiem jest bezwątpienia wielki wulkan Monua Roa na wyspie Owaihi. Najśmielsza wyobraźnia nie zdoła odmalować ogromnego amfiteatru otwierającego się na brzegach jego krateru, który blisko dwie mil obwodu wynosi. Krater zamiast zajmować wewnątrz spłaszczonego stożka, jest ogromną kotliną na płaszczyźnie góry, do którego nie przychodzi się idąc w górę, ale przeciwnie z dwóch wysokich tarasów zstępując.

Cały wierzchołek starego stożka zdaje się być zapadłym, bo brzegi jego aż do odległości pięciu mil najostrzejszymi odłamami skał są najeżone. Spód kotliny ma wewnątrz 1½ mili obwodu, a głębokość onejże wynosi stóp 1,500.

Ślawny podróżnik Goodrich, zwiedzając poraz pierwszy w roku 1824 wewnątrz krateru, z łatwością do niego się dostał. Miał on przed oczyma ciekawy widok. Dwanaście pojedynczych miejsc ognista lava okrywała; a na trzech lub czterech punktach, na 29—30 stóp w górę tryskała. Z wielu śladów, osobliwie z czarnego brzegu, który wkoło wewnątrz krateru otaczał, uczynił wniosek, że lava nie miała nigdy odchodu, a do skalistej kotliny ograniczona, aż do tej wysokości się dostawała. Żadna ludzka wyobraźnia nie zdoła sobie wystawić takiego morza ognistej lawy, blisko na dwie mile rozciągniętego, którego okropnie burzące się żary, wewnątrz olbrzymiej, stromemi skałami otoczonej kotliny, żadnego wyjścia znaleźć nie mogły, aż nakoniec potęga podziemnego żywiołu wyłom sprawiła. Siarczyste wyziewy rozlicznego koloru i gęstości, występowały ze szpar lawy. Całe jezioro lawy, mówi Goodrich, otworzyło się w nieznacznej odległości. To jezioro dwie mile

angielskie obwodu mieć mogło. Powierzchnia jego miała zupełnie ruch morza. Wały piętrzyły się nad wały w powietrzu, a czasem batwany z przeciwnych stron tak się gwałtownie uderzały, że piana ognista na 40—50 stóp w górę przyskała.

Ale wróćmy do ogólnego charakteru wulkanów.

Kratery, ujścia wulkanów, albo okryte są masą lawy, albo zostają otwarte i próżne. W pierwszym razie brzegi krateru zwykle nad lawę wystają. Mają one rozpadliny i rysy, z których gdy wulkan zupełnie już utęchł, kwaśne wyziewy wychodzą, co dowodzi, że lawa nie całe wewnątrz ognistej góry wypełnia, ale że ta pokrywa tworzy tylko sklepienie nad wewnętrznym wydrążeniem ziemi. Najpewniejszym znakiem, czyli wulkan jeszcze do czynnych się liczy, jest większe ciepło w kraterze w porównaniu z temperaturą powietrza atmosferycznego. Często występuje z wulkanu wielkie gorąco bez ognia i dymu, chociaż zewnętrzna jego powierzchnia nad linią śnieżną przypadając, w wieczystym zostaje zimnie.

53. Archipelag Jana Potockiego na morzu Żółtém.

przez P. K.

Chiny, ten kraj tak nam niegdyś obcy, już dzięki uczonym i badającym ludziom, stał się tak przystępnym i znajomym, że nie tylko główne miasta i rzeki, lecz nawet drobniejsze osady, obyczaje, sposób życia i ubierania się jego mieszkańców, wiadomym jest każdemu uczącemu się geografii. Morze Żółte, leżące między Chinami i Koreą, pomimo kilku wypraw, które się nieudały, pozostało nieznanem Europejczykom aż do roku 1816, w którym dwa angielskie okręta po pierwszy raz zwiedziły część jego południową, gdzie odkrywając wysp kilka, nie posunęły się ku północy. Właśnie ku północy na morzu Żółtém istnieje ośmnaście wysepek. Chińczycy je znają, bo tu urządzają sobie składy towarów żeglarze prowadzący handel między Chinami i Koreą, każda wysepka ma swoje imię; lecz cały archipelag nie tylko że w żadnym chińskim

dziele nie jest wspomnianym, ale nadto nie było go na żadnej mapie do r. 1824.

W tym czasie pan M. Klaproth, uczony członek towarzystwa azyatyckiego w Paryżu, autor wielu dzieł ważnych w przedmiocie geografii, historii i języków dawnych, podróżnik znający dokładnie większą część Azji, porównując mapy Chin przez Europejczyków wydane, z mapami tegoż kraju, które z rozkazu Cesarza Khanghi, Jezuicy misjonarze sporządzili w r. 1704, przekonał się dokładnie, że zbiór wysp leżących na morzu Żółtém, w bliskości południowego brzegu prowincyi Liao-tung, wszystkim dotychczasowym geografom był nieznanym. Pierwszy zatem mieszcząc je na mapie pan Klaproth, nadał im nazwę Archipelagu Jana Potockiego, przez wdzięczność dla uczonego ziomka naszego, który tak w Europie jak w Afryce i Azji, nie tylko że sam się zajmował badaniem dziejów i obyczajów rozmaitych ludów, lecz i innych w tymże celu badających wspierał, i przyjaźnią swoją zachęcał. Tak więc ogromne naukowe prace, niezliczone podróże, całe życie w mozolnych badaniach spędzone, przekazało imię Jana Potockiego uczonej tylko potomności; uprzejmość zaś jego, dobroć serca, szczerą chęć wspomagania uboższych uniemożliwiła go, przenieśli jego nazwisko do innej części świata na mało znané morze, i w długie lata świadcząc ono jeszcze będzie: że hrabia Jan Potocki nie tylko że sam był światłym, lecz na przyjaźń i wdzięczność światłych i uczonych ludzi zasłużyć umiał.

(Z Zorzy).

54. Okręt w promieniach słońca.

Dzień był pogodny, niebo bez chmur, słońce jaśniało wspaniale; promienie jego padając na płaszczyznę morza lekko kołysaną falami, sprawiały skutek nadzwyczajny: ich blask bowiem odbijając się od wód powierzchni i rozprzechając w powietrzu, uścielał szeroką między okrętem a słońcem przestrzeń, na której rozlewał się rażący płyn światła. Cudne było omamienie, kiedy okręt jeden, których wiele w różnych kierunkach i oddaleniu się snuło, wpłynął

w tę jasną przestrzeń. Maszty i żagle jego zdrobniały, sam miał bardziej postać mdławego cienia, niż rzeczywistości, zdawał się nie tykać ciemnych fal oceanu, ale się wolno unosić i pławić w powietrznym płynie jasności. Złudzenie to długo trwało, gdyż właśnie ku stronie, gdzie słońce było nad poziomem, żeglował; a że się ku zachodowi nachylało, zdawał się na podziw ku niemu zbliżać jakby tam był port jego i tam miał do niego zawinąć. Cudowny byłto widok.

55. O nurkach i żegludze podwodnej.

Znajdują się, chociaż bardzo rzadko, ludzie tak ukształtowani od natury, iż mogą długi czas zostawać pod wodą. Anatomia wyjaśnia to zjawisko, właściwe w ogólności wszystkim zwierzętom ziemio-wodnym.

Prócz tych wyjątków, niepodobna człowiekowi bez zaduszenia się zostawać pod wodą dłużej, jak dwie minuty. Trzeba więc było szukać sposobów, aby przedłużyć jego pobyt na dnie morza lub rzeki, dla skutecznego poszukiwań i prac, których bez tego byłoby niepodobna wykonać. Starożytni mieli nurków. Z tego powodu Pliniusz opowiada następującą okoliczność.

„Antoniusz i Kleopatra czasem bawili się łowieniem ryb na wędę, i wódz rzymski gniewał się mocno, kiedy nie schwytać nie mógł. Pewnego dnia rozkazał tajemnie nurkom swoim, ażeby do jego wędry przyczepiali ryby, które z sobą przyniosą. Udało się to podejsie, ale Kleopatra poznała się na niem. Kazała zawołać jeszcze zręczniejszego nurka i poleciła mu, aby przyczepił do wędki Antoniusza rybę soloną. Antoniusz poczuł, że węda już jest obciążona i wyciągnął ją z pośpiechem. Można sobie wyobrazić, jak się zmieszał, widząc zdobycz swoje.”

Wiadomo, że od niepamiętnych czasów połów pereł odbywa się za pomocą nurków, nazwyczajonych od dzieciństwa do tej pracy. Chociaż nie mogą zostawać w wodzie dłużej nad dwie minuty, przez ten czas zbiorą jednakże znaczną ilość muszli perłowych. Łowią pereły w morzu

Śródziemném, przy brzegach Szkocji, Norwegii, ale najdoskonalsze znajdują się przy wyspie Cejlan.

Na kilka dni przed połowem nurki przysposabiają się do tej pracy, kilkakrotnie smarują ciało oliwą, biorą posilniejszą żywność, wykonywają zabobonne obrządki, które podług ich zdania chronią ich od napaści morskich potworów. Nurki narażają się na wielkie niebezpieczeństwa: jedni kalczą się o skały, drugich pożerają ludojady.

Od dawna doradzano, dla zmniejszenia tych niebezpieczeństw, rozmaite wynalazki mniej lub więcej trafne. Te wynalazki zasięgają najdawniejszej starożytności.

Arystoteles mówi, że za jego czasów używano dzwonu nurkowego. W dziełach ojca Marsenne, drukowanych w r. 1634 znajduje się opisanie aparatów używanych w tym celu. Cokolwiek bądź, dopiero od lat kilku liczne ulepszenia przyprowadziły te maszyny do tego stopnia doskonałości, iż się stały rzeczywiście użytecznymi.

Pomiędzy tegoczesnymi machinami zwraca uwagę Spemer, wynalazek pewnego Anglika, i Triton przez pana Fryderyka Deberry. Maszyny te pozwalają wolnego ruchu nurkom i za ich pomocą mogą zostawać w wodzie tak długo, jak się im podoba. Triton składa się z aparatu do oddychania, złożonego z dwóch mieszkań. Te mieszki zamknięte są w pudełka, przez które woda nie przesiąknie i przymocowane na plecach nurka. Powietrze rurkami prowadzone do pudełka, dochodzi do płuc za pomocą mieszków poruszanych lekkim kołysaniem głowy; powietrze zużyte wychodzi inną rurką.

Te wynalazki są bardzo jeszcze niedokładne i trudne do użycia, i dlatego przenosim nad nie dzwon nurkowy mimo jego niezmiernej ceny.

Ta maszyna od lat kilku ważnym zmianom uległa. Karol Dupin tak opisuje tę, której używali Anglicy podczas jego bytności w Wielkiej Brytanii. Dzwon jest z żelaza ulany odrazu i podobny do wierzchołka czworobocznej piramidy; dolna jego podstawa ma dwa metry długości, a metr i ćwierć szerokości, wysokość wewnętrzna wynosi półtora metra. Dwanaście dziur okrągłych znajduje się w jego wyższej

powierzchni, w dziurach tych osadzone są szkła wypukłe. Za ich pomocą o ośm metrów pod wodą można tyle widzieć, ile potrzeba dla uskutecznienia prac, wymagających pewnej doskonałości. Są wewnątrz dzwonu 1° dwie ławki, na których siadają robotnicy; 2° pierścienie, przez które przewleczone są sznury od narzędzi potrzebnych do roboty; 3° sznury przywiązane do dwóch pierścieni, będących na zewnętrznej powierzchni dzwonu, dla przywiązania ciężarów, które chcą wyciągnąć z wody. Dzwon urządzony tym sposobem można zawiesić u rafy statku, który go przenosi tam, gdzie jest potrzebny; spuszcza go zwolna za pomocą klubów, a powietrze, które się w nim znajduje, nie dopuszcza wody. Robotnicy mogą zatem siedzieć pod nim tak długo, dopóki nie zużyją wewnętrznego powietrza, co by wkrótce nastąpić mogło, gdyby za pomocą pompy naciskającej, poruszanej na powierzchni wody, rurka przyskrubowana do wyższej części dzwonu bezustannie nie odmieniała powietrza. Budując tę maszynę poczyniono nowe ulepszenia: i tak naprzykład, pompę cisnącą, i rury do prowadzenia powietrza zastąpiono mniejszemi dzwonami zupełnie podobnemi do pierwszego, które spuszcza się z nim razem i służą za rezerwoar powietrza. Gdy robotnik potrzebuje powietrza, wciąga je z tego dzwonu za pomocą bardzo krótkiej rurki, a powietrze zużyte wierzchem dzwonu wypuszcza. Tym samym sposobem mogą przysyłać robotnikowi potrzebne materiały. Za pomocą takiej maszyny postawiono na rzece Gironde, mimo bardzo mocnego pędu wodu, filary przepysznego mostu w Bordeaux.

Po odkryciu Ameryki, Montezuma, cesarz Meksyku, wrzucił w jezioro wszystkie swoje skarby i naczynia złote i srebrne, aby ich nie dostali cheimi Hiszpanie. Miał się utworzyć w Anglii towarzystwo, które za pomocą dzwonu nurkowego, szukać będzie tych skarbów na dnie meksykańskiego jeziora. Nie wiemy, czy ten zamysł przyszedł do skutku, ale niedawno dzwon nurkowy posłużył do wydobywania z morza ładunku fregaty angielskiej *Thetys*, która się rozbiła przy brzegach Brazylii i znajdowało się na niej kilkanaście milionów piastrow. Prawie całą tę kwotę wy-

dostano, chociaż rozproszone szczątki zagrzebane były prawie o trzydzieści stóp głębokości.

Użyto takiego samego dzwonu w porcie Cherbourg do rozmaitych budowli podwodnych, a nawet wysadzano prochem skały podwodne i niebezpieczne dla żeglugi; ale te wynalazki są niczem w porównaniu tych, które mają na celu żeglugę podwodną. Pierwsze doświadczenia, czynione w tym względzie, sięgają bardzo dawnego czasu. Przypomnimy tylko prace ojca Marsenne, który w 1634 radził używać miedzi do budowania okrętów zanurzających się w wodzie. Wymyślił także armaty i inne maszyny wojenne, dla rozbijania okrętów nieprzyjacielskich.

Jego pomysły i innych autorów nie przyniosły żadnego skutku. W owym czasie Fulton Amerykanin, który czynił w tym względzie rozmaite doświadczenia, zbudował z rozkazu pierwszego konsula okręt podwodny, który podał pod roztrząśnienie kommisji i uczynił pomyślne doświadczenia w portach Havre i Brest. Opowiadają, że płynąc od jednego portu do drugiego Fulton dawał znak trwogi nadbrzeżnym warowniom i zwodził statki kanonierskie, zanurzając się nagle, aby znowu pokazał się w innym kierunku. Jednakże jego statek potrzebował wiele ulepszeń; ale rząd odmówił mu funduszy do czynienia dalszych doświadczeń i było to wielką pomyłką. Napoleon z początku przyjął plany Fultona, ale potem nazwał go szarlatanem i oszustem. Mimo takiej niesprawiedliwości Fulton nie zaniedbał prac swoich. On pierwszy zbudował statki parowe, powszechnie teraz przyjęte, czynił nowe doświadczenia względem żeglugi podwodnej i dokazał tego, iż zanurzwszy się na jednym ze swoich statków, zachaczył do dna wielu starych okrętów petardy, których zapalenie uskuteczniło się za pomocą maszyny zegarowej i zamku, jak u pistoletu.

Śmierć zaskoczyła go w roku 1815, pracował wtedy nad budową okrętu zwanego *Niemy*, który miał zanurzyć się równo z powierzchnią wody. Człowiek jeden wychylając głowę nad pokład, byłby wskazywał drogę. Można było w cichości zbliżać się do okrętów nieprzyjacielskich

i roztrzaskać je za pomocą kolombiad, podwodnych krótkich armat, których kula waży sto funtów. Nigdy nie doświadczano tego wynalazku ojca Marsenne.

W r. 1814 Fulton spróbował go i skruszył pod wodą wodłęgłości dwunastu do dziesięciu stóp sztukę drzewa tak grubą, jak ściana największego okrętu.

Od owego czasu kapitan Johnson powtórzył w Anglii kosztem admiralicyi doświadczenia Fultona i udały się doskonale. Pewnego dnia zanurzył się pod wodę Tamizy, aby przyczepić petardę do dna starego nieużytecznego okrętu. Nie mógł oddalić się od niego: kotwica jego statku zaplątała się z liną okrętu wystawionego na te doświadczenia. Johnson rzekł spokojnie do człowieka, który mu towarzyszył: „Mamy tylko dwie minuty do śmierci, jeśli się nie zdołamy odplątać.“ Ten człowiek niedawno ożeniony tkął i rozpaczał, ale Johnson rzekł do niego: „Zdęjm twój kaptan i zatkać nim dziurę, przez którą lina przechodzi.“ Wtedy porwawszy topór, odcinał linę, zostawił swoją kotwicę i odpłynął. Natychmiast potem petarda wybuchła, stary statek się roztrzaskał na tysiące kawałków.

Różne próby czynione dotąd ograniczały się na budowaniu małych statków zanurzających się, które nie mogły odbywać długiej podróży i zanurzały się tylko równo z powierzchnią wody.

Ale otoż pan Montgiry, kapitan fregaty z marynarki francuskiej, podaje projekt wybudowania nowego podwodnego okrętu, który nazywa niewidzialnym, ponieważ może zupełnie zniknąć w obecności nieprzyjaciela. Taki okręt zniszczyłby jakiegokolwiek okrętu. Wynalazek swój następującym sposobem opisuje ten oficer. Długość statku wynosi ośmdziesiąt sześć stóp, szerokość dwadzieścia trzy, głębokość czternaście; część wyższa podobna do tej części okrętów zwyczajnych, która zanurzona w wodzie, opatrzona jest szklanymi wypukłemi; na tyle są dwa maszty, na przodzie maszt wielki i maszt leżący na szlabie. Ten maszt wciągany jest wewnątrz okrętu, a maszty prostopadłe są na zawiasach i kładą się w rowie na środku pokładu. Wnętrze statku rozdziela horyzontalna posadzka. W dolnej czę-

ści są przedziały, jedno do umieszczenia zapasów, drugie do przyjmowania wody albo powietrza, gdy chcą zanurzyć się albo wypłynąć na wierzch. Koła podobne do tych, jakie są przy statkach parowych i dwa wiosła służą do nadawania kierunku okrętowi. Cztery kolombiady, pompa naciskająca, ze sto rac podmorskich, tyleż petard pękających w wodzie, składać mają broń zaczepną tego okrętu. Dwie rury żelazne stoją prostopadle na pokładzie, i tylko o kilka stóp go przewyższają; wysuwają się tak, jak perspektywa i są zakończone sferycznym kapturkiem, w którym są cztery dziury, wielkie na kwadratową stopę. Dziury te zamknięte są kłapami, które otwierają się, skoro woda nie naciska na nie; niżej znajdują się inne dziury, przez które człowiek może patrzeć na widnokrąg, chociaż okręt jest zanurzonym. Te rury wystają, jeśli tego potrzeba, aż do pięciu stóp nad pokład. Rezerwoary zgęszczonego powietrza zastępują miejsce rur, w tym przypadku, gdyby obie niezdolne były do użycia.

Kolombiady stoją naprzeciw dziury czyli strzelnicy mającej zamkniętą kłapę, która nie przypuszcza wody. Przypuścmy teraz, że kolombiada nabitą będzie prochem i kulą, na wierzch którego kładą zatyczkę ciasną i dobrze stłuszczoną; wprowadzają paszczę armaty w strzelnicę tak, aby ją zupełnie zatkać, a w chwili wystrzelenia wznoszą kłapę, która po cofnięciu się armaty, natychmiast opada tak, iż bardzo mała ilość wody wpaść może do okrętu, z kąd wypompuje się naciskającą pompą. Chcąc zanurzyć okręt, wpuszczają dostateczną ilość wody na dno okrętu, chcąc wypłynąć wyrzucają wodę pompami, a wpuszczają powietrze. W rezerwoarze znajduje się tyle powietrza, iż okręt może przez piętnaście godzin zostawać pod wodą.

56. ODKRYCIE AMERYKI

przez

Polaka Jana z Kolna.

(Z Jutrzenki Dubrowskiego).

Jerzy Horn w dziele: *Ulysses Lugd. batav. 1671, 12°*
przytacza: Jan Skolny (Scolnus) Polak, pod Krystyanem kró-

lem Duńskim 1476 r. odkrył cieśninę Anian i ziemię Laboratoris (Labrador); a zatem ten Jan Scolnus był trzecim z Europejczyków, co Amerykę odkryli przed Kolumbem, w 100 lat blisko po braciach Zenach, na 16 jeszcze przed Kolumbem. R. 1836 w dziele mém francuzkiem, Pytheas de Marseille, powtarzając to spostrzeżenie moje, sprostowałem je w tém, że odkrycie 1476 r. Jana Scolnus, przyznaje Janowi z Kolna czyli de Colno, Polakowi z małego miasta mazowieckiego Prusom pogranicznego. Poprawa ta zdaje się być trafna, familia mazowiecka z Kolna była familią marynarzy, w marynarce gdańskiej dobrze znaną.

To postrzeżenie moje pobudziło znamenitego Humboldta do objaśnienia, jak to odkrycie oceniać. Dzieło Pytheas de Marseille 1838 zostało przełożone na niemiecki język przez S. T. Hoffmann.

Z uwag Humboldta jasno jest: 1) że Jan z Kolna Polak, 1476 przewodził marynarzom norweskim, i z Norwegii wyprawiwszy się, zwiedził brzeg lądu i cieśniny, dalszych od Grönlandyi krajów; 2) że w lat 20 później bracia Cabot, r. 1497, przedarłszy się w te strony rozeznawali brzegi, które w lat 3 potem, roku 1500 Cortereal ziemią Labrador nazwał; 3) że w 50 lat potem r. 1553 Gomara, hiszpański pisarz, rozciągał nazwisko Labrador aż do ziemi, gdzie chętnie osiadali Anglicy dla jednostajności klimatu z ich własną ziemią; że oraz, lubo nie liczył Jana z Kolna do tych, co Amerykę przed Kolumbem odkryli, jednak wiedział, że Norwegowie z tym Janem z Kolna, jak Anglicy z Cabotem tę ziemię znaleźli; 4) że r. 1553 odkrycie Jana z Kolna nie było ani stracone, ani zapomniane; wiadomo Norwegom, Hiszpanom, Flamandom, Batawom i Anglikom wtedy pewno było, iż to odkrycie nie co innego poznać dało, tylko ziemię Labrador, to jest część północnej Ameryki; naostatek, że powieść Wyllieta (1599), Pontanusa i Horna 1671 r. twierdząca, iż Jan z Kolna odkrył 1476 roku ziemię Labrador i przylądek Anian, jest rzetelną.

Zostają tedy do poszukiwania w dziejach i archiwach gdańskich wiadomości o marynarzach z Kolna, tudzież w archiwach norweskich i duńskich o Janie z Kolna, któ-

re wskazać mogą o rozległości odkrycia i nazwach, jakie im odkrywca nadał.

57. Morze Baltyckie.

Baltyckie morze rozciąga się od północy na południe, zaczawszy od końca odnogi Botnickiej czyli od rzeki Torneo aż do Lubeki, Szczecina i Elbląga; oblewa brzegi Szwecyi, Rossyi i Finlandyi, Ingryi, Estonii, Inflant, Kurlandyi, Pruss, Pomeranii, Meklenburga, Szleswigu, Holsztynu, wysp Duńskich i Jutlandyi; zajmuje wzdłuż 214½ mili; głębokość nie jest jednostajną, w samym środku wynosi 1043 stopy; całej obszerności ma blisko 58,142 mil $\square$. Morze to zawiera 3 wielkie odnogi, a te są:

1) Botnicka między Szwecyą a Finlandyą; rozciąga się od rzeki Torneo do wysp Alandskich.

2) Fińska rozciąga się do Petersburga, na południe do Pakerortu w Estonii i na północ do Gangut w Finlandyi.

3) Rygska między Parnawą i Domenesem.

Z mniejszych Kurysz-haf między Labiawą i Memlem w Prusiech; Fryszhaf między Królewcem i Elblągiem; Gdańska obszerniejsza i głębsza od tamtych, i nakoniec Kilska pomiędzy stałym lądem i wyspami Femern, Laland i Langeland w Danii. Prócz tych wymienionych, jest jeszcze wiele odnóg innych mniejszych. Za najbezpieczniejsze miejsca na całym Baltyckim morzu do żeglugi poczytywać można odnogę Fińską i oba Bełty. Nigdy na tém morzu nie przytrafia się wezbranie i opadanie, czyli przyptyw i odpływ; mała bowiem jego powierzchnia nie jest dostateczną, ażeby siła atrakcyi księżycy mogła na nie wpływ swój wywierać; z morza zaś Niemieckiego oscylacya ta udzielać się nie może z przyczyny, że cieśnina Zundska zbyt jest wązka, a przyptyw wody wiele znajduje przeszkód od wysp blisko téj cieśniny leżących. Przyptyw wody przytrafiający się niekiedy w odnodze Botnickiej i Fińskiej zdaje się zależeć od siły i kierunku wiatrów. Ich to skutkiem woda w rzece Newie napędzona z odnogi Fińskiej w r. 1824 podniosła się nad zwykłą swoją wysokość do 17 stóp i groziła Petersburgowi wielkim nieszczęściem. Bieg morza Baltyckiego nie jest

jednostajny i częstym ulega zmianom, główniejszy jednakże jest od północy na południe i zachód. Temperatura wody jest niższą aniżeli wszystkich mórz Europy, mianowicie na głębi znacznie zimniejsza. Helant uważał, iż po burzach, zwykle woda na powierzchni morza jest zimniejszą, aniżeli w samej głębini.

Z historyi widzieć można, że całe morze Bałtyckie zaledwo 5, a podług niektórych 8 razy zupełnie było zamrożło; zwyczajnie zaś, to jest każdego prawie roku, zaledwo na kilka wiorst od brzegu pokrywa się lodem, a środek czysty zostaje.

Cieśnina Zundska, oraz Bełt wielki i mały, każdego roku prawie całkiem zamarzają; i tak w r. 1809 wojsko rosyjskie przeszło z Finlandyi przez odnogę Botnicką do Szwecyi. Równymże sposobem w r. 1658 Karól X król Szwedzki z wojskiem ze Skanii dostał się do Zelandyi. Zjawiające się niekiedy na tém morzu meteory powietrzne w niektórych tylko miejscach postrzegać się dają; często bardzo (mianowicie między wyspami) okazuje się nad falami dosyć znaczne światło fosforyczne. Na pełnym morzu szczególnie w miesiącu lipcu bywa sucha-mgła, po Szwedzku zwana sol-rek (Solroeck) dym słoneczny. Oprócz tego kilkakrotnie postrzegane były tak nazwane Fata-Morgana, czyli odbicie w powietrzu oddalonych przedmiotów, np. brzegów morskich, miast, gór, wież i t. d. skutkiem łamania się światła.

Zdarzają się także trąby wodne, jak się to przytrafiło blisko Kopenhagi w r. 1812 i inne pomniejsze fenomena, wszystkim morzom w ogólności właściwie. Pomiedzy wielą płodami morza Bałtyckiego szczególniej zasługuje na wspomnienie bursztyn. Znowszych odkryć wiadomo, iż znajduje się także w drobnych kawałkach na brzegach oceanu Północnego i morza Lodowatego oraz na górach Uralskich; także wykopują go z ziemi w obwodzie Białostockim, jednakże bez porównania piękniejszy, czystszy i w większych kawałkach jest ten, który morze Bałtyckie wyrzuca. W znacznej ilości zbierają go na brzegach Pomeranii, a szczególnie przy wsiach Kliszków, Hesków i Langenau.

Żadne morze w Europie nie jest tak niebezpieczne dla żeglarzy, jak morze Bałtyckie z powodu zmienności wiatrów, ciasnych przejść i wielu skał ukrytych pod wodą; żadne jednakże tyle uczęszczanem nie jest; gdyż uważane jako morze handlowe, najważniejszem jest dla państw zachodniej Europy, które dostają przez nie najznaczniejsze i najpotrzebniejsze dla siebie płody surowe.

Szwecya, zwłaszcza z portów Stokholmskiego i Gesskiego, wywozi żelazo, miedź, deski sosnowe do budowy okrętów, smołę, etc.

Rossya, najwięcej z portów Petersburgskiego i Rygskiego, wysyła żelazo, drzewo masztowe, len, konopie, skóry i t. d. Prussy, mianowicie z portów Memla, Królewea, Gdańska, Elbląga i Szczecina, wysyłają drzewo dębowe, konopie, len i zboże, które w znacznej części same zakupują w Polsce. Cło, które przy wprowadzeniu i wyprowadzeniu towarów, przechodzące przez Zund okręty królowi duńskiemu opłacać muszą, wynosi teraz rocznie około 600,000 zł. reńs.; niegdyś było daleko znaczniejsze. Okręty zwiedzające morze Bałtyckie, są po większej części okręty angielskie albo przynajmniej handlujące z Anglią, a szczególnie z dwoma jej portami Liwerpool i Hull. Można sądzić o ważności tego handlu, zwłaszcza podczas wojny zład, iż wartość jednej tylko floty kupieckiej, wchodzącej do portu Hull w miesiącu grudniu 1799 r., wynosiła 700,000 funt. szter., co znaczy 28,000,000 złp. Francya i Hiszpania sprowadzają także z morza Bałtyckiego drzewo na budowę i maszty, oraz konopie i smołę na liny i sznury okrętowe.

Zaprowadzenie statków parowych ułatwiło niezmiernie handlowe stosunki na tém morzu; a wydoskonalenie latarni morskich, i pomnożona ich liczba, zwłaszcza przy brzegach rosyjskich, zmniejszyła znacznie niebezpieczeństwo żeglugi. Dwieście pięćdziesiąt rzek różnej wielkości wpada do morza Bałtyckiego, najznaczniejsze z nich są: Newa, Dźwina, Wisła, Niemen i Odra. Morze to liczy cztery porty wojenne, należące do Rossyi, a te są: 1) Sweaborgski, w którym liniowe okręty mają swoje stanowiska; 2) Kron-

sztadzki o $3\frac{1}{2}$ mil od Petersburga, równie jak poprzedzający, jest stanowiskiem okrętów liniowych; 3) St. Petersburgski, w którym budują się wojenne statki pierwszego rzędu, a uzbrojone niewielkie tylko do tego portu zawijać mogą; 4) Rewelski w późniejszych czasach dobrze wzmocony.

Z portów handlowych znaczniejsze są w Rossyi: Ryga, Lipawa; w Prusiech: Memel, Królewiec, Gdańsk, Elbląg, Szczecin; w Szwecyi: Stockholm, Gefle, Gottenburg; w Danii: Kopenhaga, Helsingoer i Flensburg. Rossyja zawojowaniem W. Księstwa Finlandyi, dokonała olbrzymich przedsięwzięć Piotra W., najpierwszego założyciela wielkości tego Państwa, a stawszy się panią wschodnich brzegów Baltyku, ustaliła na nim flotę, dziś za najpierwszą na wodach tego morza uważać się mogącą.

Za dawnych czasów Polski, kiedy granice jęj opierały się o morze Baltyckie, dla bezpieczeństwa handlu i odparcia nieprzyjaznych sąsiadów, utrzymywano flotę narodową. Pierwszy z królów Zygmunt August uzbroił flotyllę Kaprów, pod dowództwem kapitana Szerpinka, który dzielnie gromił wszelkie obce okręty, zwłaszcza proch, działa, broń i żywność z Niemiec dla innych mocarstw wiozące. Po zejściu Zygmunta Augusta, Polacy wybierając na tron Henryka Walezyusza, w paktach konwentach zastrzegli wystawienie i utrzymanie floty na morzu Baltyckim. Krótkie rządy tego króla jak nie dla kraju nie działy, tak też i ten warunek niewykonany zostawiły.

58. Morze świecące, krwawe, białe; morze mleczne peryodyczne przy wyspach Moluckich.

Morze ledwo nie wszędzie, często przy Anglii, a najczęściej w pasie gorącym pokazuje się błyszczące światłem, raz na całej swęj powierzchni rozlaném, podobném do światła elektrycznego albo do gorejącego fosforu, z którego jaskrawe tu i owdzie massy jak błyskawice podnoszą się i spadają. Czasem znowu dają się widzieć szerokie łuny i smugi długo się ciągnącego światła; częstokroć

pokazują się punkta świecące tu i owdzie rozrzucone, i wystawiające morze, jak gwiazdami świetnemi utkane. Zdarza się jeszcze morze światłem czerwonym okryte, i jakby krwią zafarbowane, a osobiwie przy brzegach wschodnich Ameryki południowej w bliskości rzeki Plata i przy Kalifornii. Powiadają nawet, że morze Kalifornii, nazwane morzem purpurowém, wzięło to nazwisko od tego koloru, w którym się często pokazuje. Na brzegach zachodnich Indyj i na drodze okrętom płynącym z Nowej Hollandyi do Chin, pokazuje się czasem morze białe jak mlekiem zafarbowane, a niekiedy jak śniegiem okryte, co żeglujących, do takiego widowiska nie przywykłych, strachem przeraża. Wszystko to jest skutkiem owadów i robaków morskich, światło z siebie wydających, w niezmiernych rojach na powierzchni morza nagromadzonych. To światło w różnych porach życia zwierzęcego bierze różne stopnie świetności i różne farby, a czasem jest wyziewem różnego gatunku zwierząt. Te zwierzęta kryją się przed światłem słońca i księżyca; i fenomen ten przy wschodzie księżyca i przy zbliżającym się dniu niknie i ustaje. Tak nas o tém przekonywają obserwacye i doświadczenia naturalistów w swęj około ziemi żegludze. Wiele jest uczonych pism o tém widowisku.

Podobne ale inszego rodzaju zjawisko wystawia nam morze przy wyspach Moluckich. Tam peryodycznie w miesiącach Czerwcu, Sierpniu i Wrześniu, od północnych brzegów Nowej Hollandyi i od Nowej Gwinei, przychodzi prąd wody białej jak mleko, warem się gotującej i rozlewającej aż do wysp Amboine i Ceram dla okrętów niebezpiecznej. Ryby podówczas oddalają się i uchodzą z tamtych okolic morza, co zdaje się pochodzić od wybuchającego wulkanu morskiego.

III. ŻYWOTY.

1. JAN KOCHANOWSKI.

Jan Kochanowski, wojski Sandomierski, herbu Korwin, urodził się w Sycynie, wsi dziedzicznej domu swojego, roku Pańskiego 1532, z ojca Piotra Kochanowskiego, sędziego ziemskiego Sandomierskiego, i matki Anny z Białaczowa Odrowążówny, niewiasty wielce cnotliwej i osobliwemi zaszczyconej przymiotami.

W dziecinnym jeszcze wieku będąc, utracił ojca, i odłączył się z bracią swoimi, których miał pięciu, zostawał pod czułym dozorem matki.

Początki nauk wzięwszy w ojczyźnie, dla większego w tychże wydoskonalenia się, zwiedził Niemcy, południową Francję, a potem udał się do Paryża, gdzie przez lat kilka oprócz języków, filozofii i innych nauk, szczególnie ćwiczył się w rymotwórstwie, do którego od dzieciństwa niepospolitą zdolność i ochotę okazywał. Tamto zabrał znajomość z Ronsardem, najstawniejszym owego czasu poetą francuzkim. Z Paryża udał się do Włoch, gdzie zwiedziwszy różne akademie, nakoniec w Rzymie i Padwie przez lat kilka przemieszkał. Wielka podówczas była tam liczba uczonych, z którymi poufale przestając, wielki w naukach pożytek odnosił. Osobliwszą jednak zaszczycał się przyjaźnią Robertella i Manuciusza, mężów, wielą mądrymi dziełami w Europie wstawionych.

Znajdowało się naówczas w Padwie wielu zimbków jego, później sławnych mężów w Polsce, jakoto: Jan Zamojski, Jędrzej Patrycy, Stanisław Fogelwerk, Łukasz Górnicki, z którymi wkrótce do najściślejszej przyszedł poufałości.

Z niemałym zbiorem nauk i wiadomości wrócił Kochanowski do ojczyzny.

Sława, która powrót jego do ojczyzny wyprzedziła, zwróciła uwagę Filipa Padniewskiego, naówczas kancleza wielkiego koronnego, później biskupa Krakowskiego, i za przybyciem tegoż wezwał go do siebie. Wszystkie

naówczas tak publiczne jako i prywatne sprawy łacińskim językiem u dworu traktowane były. Szczególniejsza Kochanowskiego w tym języku biegłość sprawiła, iż go Padniewski królowi Zygmuntowi Augustowi przedstawił, po czém wkrótce w poczet sekretarzy królewskich policzonym został. Na tym stopniu osadzony, wkrótce do takiej doskonałości przyszedł, iż go nie tylko do zjazdów stanu rycerskiego, ale też i do postronnych dworów w różnych poselstwach wysyłało.

Poznając coraz bardziej piękne serca i umysłu jego przymioty, Padniewski zaczął go namawiać do stanu duchownego, czyniąc mu w tym stanie prędkiego wywyższenia nadzieję; lecz Kochanowski, który mierność nad wszelkie godności przynosił, dalekim od tego okazał się; znał on doskonale, jak wielkiego powołania kapłańska dostojność wymaga; przetoż nie czując się być do niej zdolnym, wolał uniknąć tych obowiązków, do których wypełnienia siły swoje za niewystarczające być sądził.

Po Padniewskim dostała się pieczęć koronna Myszkowskiemu; ten niemniej od poprzednika swojego szacując Kochanowskiego, tém mocniej zaczął go do stanu duchownego zachęcać, i dla tém lepszego zamysłów swoich poparcia, dostatnie w intraty probostwo katedry poznańskiej dla niego u króla wyjednał. Przyjął je wprawdzie Kochanowski, bardziej w tym dobroczyńcy swojego niż woli swojej dogadzając, żadną jednak miarą na przyjęcie poświęcenia kapłańskiego nakłonić się nie dał.

Wkrótce potem Myszkowski, syt życia dworskiego i pragnąc nadal spokojne życie w dobrach biskupstwa swojego prowadzić, oddalił się od dworu. Następca jego Jan Zamojski, niegdyś współuczeń Kochanowskiego, nie zaniechał, podobnie jak i dwaj jego poprzednicy, wszelkich sposobów używać do zatrzymania Kochanowskiego, który równie sprzykrzywszy sobie życie dworskie i spokojności pragnąc, umyślił prywatne życie prowadzić. Utrzymywał go i król przy sobie różnemi sposobami: wyznaczył mu ze swego skarbu płacę pod tamte czasy dość znaczną 1200

Złot. pol., ofiarował mu wiele znacznych prelatur; nadto postarał się, iż go sieciechowskim opatem obrano; lecz on nieporuszony w swym przedsięwzięciu, i tych, które już miał, dochodów duchownych pozbywszy się, wrócił do wsi swojej Czarnolesia, gdzie po niedługim zamieszkaniu pojął w małżeństwo Dorotę Podlodowską.

Dowiedziawszy się o tym Kochanowskiego postępkach Jan Zamojski, nie mógł znieść na sobie, aby człowiek tak wielki, miał w prywatnym kątku zagrześć swoje rzadkie przymioty; wyrobił przeto dla niego u króla kasztelanią połaniecką i przywilej mu na nią odesłał. Podziękował obudwom Kochanowski za łaskę, ale jej nie przyjął, oświadczając, iż przestając na miernych dochodach, nie chce do domu swego wpuścić dumnego kasztelana, który przez zbytki swoje prędkoby to wszystko przemarnował, co zebrał Kochanowski.

Że nie te miał powody do nieprzyjęcia ofiarowanej mu godności, lecz raczej iż spokojność nad wszystko przeniósł, dowodzi tego, iż, gdy wkrótce potem urząd wojskiego sandomierskiego przyjął, tę dawał przyczynę, iż urząd wojskiego uwalnia go od wszelkich innych wypraw i ciężarów wojennych, i pozwala mu w domu spokojnie siedzieć. Upewniwszy więc sobie od wszelkich przeszkód wolne życie, cały się w rymotworstwie zanurzył.

Prócz tej sposobności, którą z natury miał do niego, tak się w języku polskim wydoskonalił, iż ani przedtem, ani potem równego mu w tej mierze nie mieliśmy. Pierwszy on ułorowawszy sobie drogę, żadnemu dotąd nieznaną, pokazał światu, iż i naszemu językowi nie zbywa na tej żywości i wdziękach, któremi się inne popisują. Jakoż szczęśliwa owa opisaniu w każdej rzeczy jasność, i miła prostota z gładkością złączona, ten skutek sprawuje, iż taż sama rzecz, choć kilka razy w nim przeczytana, zawsze się podoba. Nie mniejszą i łacińskie wiersze, których on dość wiele nam zostawił, mają zaletę. Jeszcze za życia jego cudzoziemscy autorowie to mu przyznawali, iż żadnego owych czasów nie było poety, któryby go przewyższał. To jednak wyznać trzeba, iż styl jego, którego w prozie

używał, nie zda się nam do naśladowania, ponieważ wiele fragmentów łacińskich z polszczyzną mieszał.

Z polskich dzieł wiele jest jego własnych, jakoteż tłumaczeń i naśladowań z rozmaitych poetów greckich i łacińskich. Dzieła jego które na polski język przełożył, są następujące:

Psałterz Dawidowy.

Phenomena Arata, rymotwórcy i astronoma greckiego.

Monomachia Parysa z Menelausem; jestto tłumaczenie z greckiego trzeciej pieśni Iliady Homera. Zdaje się, iż miał zamiar całe to dzieło na ojczysty język przełożyć.

Szachy, poema żartobliwe, naśladowanie więcej niż tłumaczenie, toż samo nazwisko noszącego poematu Marka Widy Włocha.

Pieśni ksiąg 4, w których wiele naśladowanych z Horacyusza, Anakreonta i Antologii greckiej.

Własne dzieła Jana Kochanowskiego w polskim języku, są następujące:

Satyr, rytm satyryczny, pierwszy w języku polskim, przypisany Zygmuntovi Augustowi królowi.

Proporzec albo Hołd pruski.

Odprawa posłów greckich. Pierwsza dramatyczna sztuka w Polsce, grana w Ujazdowie dnia 12 stycznia 1578 r.

Zuzanna, historia z Pisma świętego.

Dryas Zamechska, przywitanie króla, na łowy w tamte puszcze przybywającego.

Broda, wiersz żartobliwy.

Zgoda, rytm po części satyryczny.

Pamiętka Janowi Tenczyńskiemu, wojewodzie bełzkiemu.

O śmierci Jana Tarnowskiego hetmana, do jego syna Krzysztofa Kasztelana Wojnickiego.

Treny na śmierć Urszuli swjej córki.

Fraszki, jest ich ksiąg trzy; — prócz tego napisał kilka innych pomniejszych poezyj.

Dzieła Kochanowskiego prozą są następujące:

Wróżki albo rozmowa Ziemianina z Plebanem. — Wzór pań. — O Czechu i Lechu, historia naganiona. — O pijaństwie. Apophtegmaty.

Dzieła jego łacińskie są: Elegie, na trzy części czyli księgi podzielone, do najznakomitszych naówczas w Polsce osób są stosowane. — Foricenia albo Epigrammata, w tymże sposobie co i Fraszki pisane.

Ody.

Taki rodzaj życia w swoim Czarnolesiu prowadząc Kochanowski, miał sześć córek i syna, który wkrótce po śmierci jego urodził się. Od wszystkich szanowany, a szczególnie od sąsiadów, szczycił się równie największych panów przyjaźnią, za którą nieśmiertelną pamięć w jego wierszach sobie zjednali.

Gdy miał popierać w Lublinie przed królem Stefanem sprawę o zabicie Podlódowskiego, brata żony swojej, niezmiernym wszystkim żalem, w dniu 22 sierpnia 1584 roku, apopleksją ruszony żyć przestał, mając lat 52. Pochowany w Zwoleniu, ojcystym Kochanowskich grobie.

2. ADAM NARUSZEWICZ.

Adam Stanisław Naruszewicz urodził się dnia 20 października 1733 r., z Jerzego i Pauliny Abrahamowiczówny Naruszewiczów, Łowczych Pińskich. Pochodził z rodziny niebardzo majątnej lecz starożytny. Odbывszy początkowe nauki w szkołach publicznych Pińskich, w roku 1748, wstąpił do zakonu niegdyś Jezuitów. Zdarność i chęć do nauk, któremi się nad innych rówieśników odznaczał, zwróciły na niego baczność przełożonych, i wkrótce wysłany został do Lugdunu we Francyi, gdzie było znakomite Jezuitów Kollegium, a później wsparty hojnością Kanclerza Litewskiego, zwiedził Włochy, Francją i Niemcy. Tam przez lat kilka wydoskonaliwszy się w rozmaitych umiejętnościach powrócił do ojczyzny, i wkrótce mianowany został professorem poetyki w Uniwersytecie Wileńskim. Po krótkim piastowaniu tej godności, przeniesiony został do Warszawy, gdzie w kollegium szlacheckiej młodzieży tak szczęśliwem kształceniem tej młodzieży, jak przyjemnością dowcipu wstawiać się począł.

Wielki szacownik nauk Stanisław August, król polski, poznawszy wartość przymiotów Naruszewicza, zbliżył go

do swojej osoby, a gdy w r. 1773 zakon Jezuitów zniesiony został, mianował go Koadjutorem Biskupstwa Smoleńskiego, później pisarzem Wielkiego Księstwa Litewskiego, Sekretarzem Rady Nieustającej, Biskupem Smoleńskim, a na koniec w r. 1790 Biskupem Łuckim; jako też orderami polskimi obdarzył i medal z twarzą Naruszewicza i Sarbiewskiego wybić kazał. Oprócz tych ze strony króla dowodów szacunku dla Naruszewicza, jeszcze i popiersie jego ze spitu lane umieścić w sali zamku Warszawskiego w dziedzi Polaków, którzy w rozmaitych czasach stali się sławą narodu swojego.

Ile mu tylko obowiązki stanu jego wolnego czasu zostawiały, poświęcał go pracom literackim; jakoż mało podobnych mu znaleźć można, którzyby taką ilością tak użytecznych, i tak powszechnie, nie tylko od swoich ale i od obcych szacowanych dzieł, pochlubić się mogli.

Dzieła te są następujące:

1° Historia Narodu Polskiego w sześciu tomach, wyszczególniająca panowanie Piastów, królów polskich (1) z obszernymi notami i wzmiankowaniem wielkiej liczby autorów, którzy o Polsce pisali.

2° Przełożenie na język polski w czterech tomach wszystkich dzieł pozostałych Tacyty.

3° Życie Jana Karola Chodkiewicza, Hetmana Litewskiego, w dwóch tomach.

4° Opisanie Tauryki, czyli Historja o Tatarach Krymskich.

5° Cztery tomy rozmaitych poezyj własnych, w których znakomite piękności i duch rymotwórczy okazują się.

6° Tłumaczenie na język polski wszystkich Od Horacyusza.

7° Opisanie podróży Stanisława Augusta w r. 1786 do Kaniowa, w którym znaczna część Historji polskiej, a szczególnie wiadomość o początkach Kozaków znajduje się.

(1) Od r. 962 aż do r. 1386 czyli wstąpienia na tron Władysława Jagielly. W roku 1824 staraniem i nakładem byłego Towarzystwa królewskiego Warszawskiego Przyjaciół Nauk, ogłoszone zostały drukiem początkowe Dzieje Narodu Polskiego, z rękopismów Naruszewicza, po śmierci jego pozostałych, zebrane, i te służą jako tom I do Historji Narodu Polskiego przez A. Naruszewicza.

Oprócz tego zebrał z Metryk Koronnych i Litewskich, z różnych przywilejów, miastom i magistraturom nadanych, z korespondencyj posłów za granicą będących, z traktatów z różnemi mocarstwami zawieranych, z wielorakich publicznych tranzakcyj, i z archiwów obywatelskich, rękopisma ściągające się do Historii polskiej pod panowaniem każdego w szczególności króla ułożone, i z wyrażeniem roku; tych zbiór szacowny i obszerny zawierał w sobie tomów grubych in folio 360.

Będąc Biskupem Łuckim lat sześć niespełna, umarł w Janowie dnia 6 lipca 1796 r. w wieku życia swojego 63. Pochowany w Kolegiacie Dyecezyi swojej.

3. STANISŁAW TREMBECKI.

Wiele nas obchodzi to wszystko, co tylko ma związek ze sławnymi ludźmi; chcemy wiedzieć najdrobniejsze szczegóły ich życia i w tych upatrywać wpływ na dzieła, zapewniające im nieśmiertelność.

Każdemu posiadającemu jakąkolwiek wiadomość literatury polskiej, nie jest obcym imię Trembeckiego. Lecz z życia jego mało wiemy szczegółów. Urodził się w Województwie Krakowskim z dość majątnych rodziców. Większą część młodości strawił na podróżach, a szczególnie na dworze Ludwika XV. Zdaniem znawców naszej literatury, Trembecki był jednym z najpiérwszych rymotwórców wieku Stanisława Augusta, a dzieła jego zostaną na zawsze ozdobą języka polskiego i wzorem doskonałości wrodzaju wyniosłej poezyi. Żywa i mocna wyobraźnia, mistrzowskie władanie mową, której dał mnóstwo nowych, śmiałych i szczęśliwych zwrotów, nakoniec znajomość klassycznej starożytności, wydająca się w jego niezrównanych twórcach, główną pism jego cechę stanowią.

Żył długo i pisał wiele, lecz mało i obcowania i pism swoich innym udzielał. W podeszłym wieku i w starości z niewielką przestawał osobami, rzadko w większych znajdował się zgromadzeniach, a pisma jego przypadkowo lub z okoliczności i to zazwyczaj w rękopismach i pod cudzym

częstokroć imieniem, ledwo się przedzierały do powszechniejszej wiadomości. Trembecki wiele pisał prozą i ciągle pracował nad historią krajową. Te dzieła ze szkoda ojczystej literatury dotychczas leżą w ukryciu.

Znaczny przeciąg czasu przepędził na dworze Stanisława Augusta, którego był Szambelanem, a ostatnie lata w Tulczynie w domu Szczęsnego Potockiego. Na półtora roku przed śmiercią ciężko zachorował, i testamentem rękopisma swoje pani generałowej Potockiej darował, która rozkazała przenieść je do siebie. Przyszedł potem do zdrowia, ale już rękopismów nie odbierał. Nikt u niego nie bywał, bo nikogo nie przyjmował, oprócz Jana Potockiego i generała Chodkiewicza. Przed śmiercią bardzo wiele pamięci utracił, tak, że gdy mu pokazano tomik jego wierszy, wydrukowany w r. 1806 oprócz Syna marnotrawnego, co do reszty nie wiedział, że to były jego pisma.

Zapytany, co się znajduje w rękopismach, które pani generałowej Potockiej zapisał, odpowiedział, że nic nie pamięta.

Wiadomo, iż napisał Historią Polską czasów pierwotnych, dzieło do dwóchset arkuszy, i chciał, żeby dopiero po jego śmierci wydana była, i pod tym warunkiem podobno Czackiemu ją powierzył.

Ostatnich lat pracować już nie mógł i nie chciał; bo też był dość całe życie leniwy. Latem miewał otwarte okna i wróbli pełno. Zapewniał, że regularnie przylatywało ich 200, to jest cała familia, którą on wychował i każdego z nich znał lata i rodziców. Służących miał kilku, którym nie pozwalał do siebie przychodzić, tylko po zapłatę, wyjąwszy jednego chłopca, z którym grał w szachy. Ubogim dawał co tydzień. Taki był sposób ostatnich dni jego życia. Uprzejmość i politykę, do której się na dworze Ludwika XV przyzwyczaił, zachował do ostatka. Lat trzydzieści mięsa nie jadał i wina nie pił; wszelako na rok przed śmiercią ten sposób życia odmienił. Ulubioną jednak zawsze jego potrawą były raki, nad temi codzień kilka godzin się bawił. Żył lat blisko dziewięćdziesiąt. Całą prawie Europę objechał, a we Francyi żył w przyjaźni ze wszystkimi ówczes-

snymi literatami. Siedmdziesiąt kilka lat miał, kiedy pisał Zofijówkę.

Dnia 12 grudnia 1812 r. bez żadnej choroby i dolegliwości, oprócz ośmdziesiąt kilkuletniego wieku, dokonał życia Trembecki, do ostatniej chwili zachowując jednostajną przytomność, tak jak sam wyraża w Zofijówce:

... obciążony wiekiem
Poznał, że już przychodzi przestać być człowiekiem;
Tak się spokojnie złożył z przodkami pospołu,
Jak gdy po walnej uczcie wstawiałby od stołu.

4. O ŻYCIU I PISMACH

FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO.

przez

Kazimierza Brodzińskiego.

Gdy mi o Karpińskim mówić przychodzi, stają mi w myśli własne jego wyrazy, do jednego z znakomitych mężów rzeczone: „Ty wzięłeś od fortuny sposobność pokazania się na wysokich urzędach, a w duszy twojej znalazłeś hart cnoty, że ze wszystkich z chwałą wyszedłeś; mnie dał tylko los serce tklive i pióro wrękę”. Te wyrazy obejmują całą Karpińskiego pochwałę.

Jakże więc zdołam serca zwrócić ku skromnym zasługom poety, którego jedyną zaletą to czuć i opiewać, co inni działają.

Wiem jednak, iż wszyscy względnie przyjmują każdy listek do wienca chwały naszej poetyckiej. Słusznie Karpiński na ten wieniec zasłużył. Sam on jeden z poetów naszych tę rzadką pozyskał chwałę, iż pienia jego w świątyni Boga, w pałacach, przy warsztatach ludu pracowitego, i po wiejskich zagrodach śpiewane słyszymy.

Gdy go w porównaniu z innymi, ani dowcip wylworny, ani śmiałość geniuszu nie zaszczyca, czemuż przypisać to powszechne w skromnej jego muzie zamiłowanie?

Oto smakowi i uczuciom; oto cnoty łagodne, uczucia szlachetne, z prawdą i prostotą śpiewane; oto, że serdeczna religia, cnoty rodzinne i błogie prace rolnicze są w pieśniach Karpińskiego szczerem narodu zwierciadłem; oto,

że pieśni jego nad Prutem śpiewane, odpowiadają tym wszystkim, jakie nuć córy Słowiańskie nad Dnieprem, Donem, Muldą i Dunajem, nie wzniosłe ani namiętne, ale jak całe dzieje Słowian sielskie i ujmujące. Ten duch poezji, równie jak język, wszędzie Słowian piętnem braterstwa oznacza, zawiera coś w sobie, co ich zajmuje, co prawie tajemnicą jest dla obcych ludów. Jeżeli słusznie sądzić można o charakterze narodu, według tego, jakich poetów najwięcej ceni, powszechną wziętość Karpińskiego można uważać za dowód, że mimo tylu obcych wpływów, dziedziczny smak prostoty i zdrowych uczuć jeszcze w narodzie panuje. Przeto dzieła tego poety wskazówką być zawsze powinny dla tych, których natura powołała być tłumaczami uczuć narodowych. Z tego przynajmniej względu obraz Karpińskiego, jakkolwiek słabym pędzłem oddany, być obojętny nie może.

Franciszek Karpiński urodził się dnia 4 października 1741 r., we wsi Hołoskowie, w powiecie Kołomyjskim dawnego województwa Ruskiego; w owąto ziemi, która przed dwoma wiekami wydała dwóch poprzedników Karpińskiego w Sielskiej poezji: Szymonowicza i Zimorowicza. Piękna ziemia i słodkie obyczaje ludu natchnęły go poezją, która w dzieciennym już wieku w nim się zdradzała. W ósmym roku oddany był do szkół Jezuickich w Stanisławowie, jako najbliższych ojców jego zagrody. Matkę pełną dobroci i wrodzonego rozsądku wcześniej utracił. Ojciec Karpińskiego wpływał więcej na jego charakter, niżeli wszystkie późniejsze stosunki. Miłość synowska połączone z najwyższym uszanowaniem i bojaźnią, miała w sobie coś szczególniejszego i patryarchalnego. Najmniej-sza poufałość, zabranie miejsca przy ojcu, lub wdanie się w rozmowę nawet w dorosłym wieku, było wtenczas przewinieniem przeciw powadze ojcowskiej. Sam Karpiński opowiadał następujące zdarzenie.

Gdy nauki filozoficzne ukończywszy, do domu przybył, i gdy zaraz miał sposobność zwrócić na siebie uwagę mową na pogrzebie Roszczyna, porucznika pancernego wyrzeczoną; ucieszony ojciec zaprosił na biesiadę sąsiadów,

z powodu szczęśliwego ukończenia nauk syna. Zrana, nim się goście zjechali, chodził po pokoju szerokim krokiem, zadając pytania pokornie stojącemu synowi. Między innemi rzekł: czy jako nowy filozof nie zapomniałeś czci dla wia-ry i ojca? Syn odpowiedział: iż ucałuje rękę, gdyby go kiedyś za podobny występki ukarać miała. Ucieszył się ojciec tą odpowiedzią, jednakże, jakby nie mogąc w oczach syna prawdy wyczytać, wpatrując się w niego, dał mu po-liczek: łzami zalany stał syn milczący. Po tej probie we-zbrało się uczucie ojcowskie, przycisnął syna do piersi, i łzami go oblewając mówił: „doświadczyć cię chciałem, będziesz dobrym obywatelem, gdyś nie zapomniał synow-skiej pokory.”

Ojcu, acz tyle surowemu dziękował Karpiński przez całe życie za religijne i moralne uczucia swoje. Nauk i za-sad jego pilnował aż do późnej starości. Otwartość i praw-dę kochał aż do ściągnięcia wielu przykrości sobie i dru-gim.

Do tego stoickiego wychowania dołączył wrodzoną ta-godność serca, co razem uczyniło go niewinnym i czystym we wszelkich pomysłach i czynach. Pobożność ojca, sam powiadał, obudziła w nim razem nierozdzielne uczucia re-ligii i poezji; szczęściem, że obiedwie więcej jego serce niż imaginacją zajęły.

Ukończywszy nauki we Lwowie Karpiński, zgodnie z wo-lą ojca, szukał szczęścia w palestrze; lecz wnet przekonał się, jak mało prawnictwo jego powołaniem być mogło. Postanowiwszy swój zawód porzucić, znany już nieco z ta-lentu, otrzymał od N. Augusta patent na kapitana, którego tytułu potrzebował do podróży za granicę przedsięwziętej. Półtora roku pobytu za granicą, szczególnie w Wiedniu, poświęcił swobodnemu rozpatrywaniu się w świecie i dzie-łach szczególnie klasycznych.

Wabiły go jednak do zagród domowych wszystkie uro-ki, jakimi młodzieńcza imaginacja przyszłość naszą upię-knia. Nęcił go do powrotu dom rodzicielski, przyjacielski i rolnictwo. Na łonie tych przyjemności wyobrażał sobie skromne, ale najprawdziwsze szczęście człowieka. Atoli,

jak najczęściej bywa, los wszystkie te piękne nadzieje zbu-rzył. Z powrotem do kraju utracił ojca, który przy bardzo szczupłym majątku nakazał mu na łożu śmiertelném świe-cie się prawdy trzymać. Zbieg takich wypadków w wieku zajęтым najmiłszymi nadziejami, sprawił mocne na umyśle Karpińskiego wrażenie; pozostała mu jedyna pocieszyciel-ka poezya, która istotnie jego nieszczęścia tklivemi ma-rzeniami kołta. Obudziły się w nim zarazem wyższe uczu-cia i czynności władz umysłowych.

Skromne imię Karpińskiego głośne być zaczęło między sąsiadami, stawili go wszyscy jako poetę.

Zapraǳiał Karpiński szukać wyższej sławy i losu na wielkim świecie. Wydał pierwszy zbiór pism swoich we Lwowie.

Wkrótce powołany był do Warszawy Karpiński, jako sekretarz do czynności zagranicznych.

Naruszewicz, najbliższy wstęp do króla mający, przed-stawił mu Karpińskiego. Odtąd miał wstęp do dworu, i był uczestnikiem znanych czwartkowych obiadów. Najściślejsza atoli przyjaźń łączyła Karpińskiego z Książninem i Za-błockim, których smak i czucie więcej do siebie zbliżały.

Karpiński postępując zawsze drogą prawdy i pracy, zajmował się po domach znakomitych kształceniem mło-dzieży; lecz nie umiając nigdy swojego sposobu myślenia do obcej woli stosować, nie był w tym zawodzie szczęśli-wym, zbyt surowy w sądzeniu o życiu dworskim, do któ-rego z młodości nie przywykł. Zająwszy się kształceniem księcia Romana Sanguszki, mimo wdania się króla, w rok swój zawód porzucił; omylony w nadziejach, z jakimi do stolicy pospieszał, wrócił do szczupłej rodzinnej zagrody w myśli, że w roli wygrzebie pewniejsze wyżywienie dla siebie i cierpiącej rodziny. To pożegnanie wielkiego świata i zmiana życia, dało powód do znaniej elegii: Powrót z War-szawy na wieś; tkliva ta poezya zwróciła szczególnie uwagę przyjaciół Karpińskiego: Joachima Chreptowicza i Marcina Badeniego. Otrzymałszy od ostatniego sześcio-letnią dzierżawę Suchodolin w Grodzieńskim, sprzedał dość znaczną swą bibliotekę domowi Potockich, i ten

sprzęt nieużyteczny, jak ją nazywał, zamienił w rolnicze narzędzia.

Atoli król Stanisław August na nowo Karpińskiego do Warszawy powołał. Umówiwszy się z księciem Maciejem Radziwiłłem, polecił mu wychowanie osieroconego księcia Dominika, kilkudziesięciu milionów dziedzica. Postuszeństwo monarsze i bardzo korzystne warunki, skłoniły Karpińskiego do porzucenia wiejskiej zagrody. Przyjął na nowo obowiązki nauczyciela, przewidując, iż niedługo pełnić je będzie; przylém lat 50 już licząc, wzdychał do skromniejszego byleby prędszego schronienia na starość; rok tylko przymłodym Radziwiłł przebywszy, zdołał nakłonić króla, iż mu pozwoili wrócić do pożądanej swobody.

Nakoniec za wdaniem się znakomitych przyjaciół, otrzymał Karpiński przywilej na 50-letnie trzymanie dzierżawy Kraśnik, w powiecie Prużańskim. Wprawdzie było to tylko puste pole, i miejsca podobne z łatwością na tyleż lat otrzymywał każdy, kto o to się podał. Atoli dla Karpińskiego znudzonego światem, byłoto prawdziwe dobrodziejstwo. Skromne życie zapewniało mu jeszcze długą starość, doświadczenie nauczyło go w ustroniu szczęście znajdować; wrodzona poetom tęsknota do wiejskich czasów, chęć na końcu dobrze czynienia kochanym zawsze od niego wieśniakom, oto były pobudki, dla których ten wiejski zakątek uważał jakby za port rodzinny po długiej i przykrzej żegludze.

Odtąd blisko druga połowa życia Karpińskiego poświęconą była jedynie rolnictwu i cnotom sąsiedzkim, które wprzód tyle w poezjach swoich uwielbiał. Zapomniał odwrze i świetnej wówczas stolicy, o gościnnych domach; połączony z wieśniakami, własnymi rękoma jął się do ciężkich prac uprawy ziemi. Na ziemi pustej nową założył osadę, i jak za czasów patryarchalnych był jej rządcą, ojcem i prawodawcą, osadę tę nazwał po swoim imieniu. Cisnącym się do niego rolnikom z kluczów sąsiedzkich, nadawał grunta czynszowe i pomoc do budowl i gospodarstwa. Przepisał dla nich ustawę dążącą do porządku, pracy i moralności, i coraz więcej przekonywał się z cnotliwym przy-

jacielem wieśniaków Chreptowiczem, że ludzkie obchodzenie się z nimi, ani ich psuje, ani panu rządmemu uszczerbku przynosi.

Mimo wielu dla wieśniaków dobrodziejstw skrzętną oszczędnością tyle zebrał, iż po kilkunastu latach przykupił piękną majątność Chorowszczyznę, dokąd w wieku już podeszłym zupełnie się przeniósł. Tam równie błogostawili wieśniacy nowego pana. Założył szkołę, której najczęściej sam był nauczycielem, a do której o własnej pomocy przyjmował synów ubogich rodziców i podupadłej szlachty.

Odtąd z wieśniakami tylko dzielił zabawy i znoje, lubił ich pieśni i sam z nimi je śpiewał, a chwile samotne poświęcał dziejom starożytnym i filozofii Platona. Zawsze czuł najżywsze przywiązanie do wiekopomnej pamięci Cesarza Aleksandra I, któremu rozmowy Platona poświęcił, i od którego najdroższą dla niego pamiątkę, złotą tabakierę otrzymał.

Wiek późnej starości tak przepędził, jak sobie życzyć może każdy cnotliwy.

Spoglądał na pola pracą jego w żyzne łany zmienione, na chatki obdarzonych wieśniaków, którzy się z nim razem starzeli; bezzenny ołoczył się rodzeństwem, które mu winno było swą pomoc i przykrą mu starość stodziło. Szacowany od osób najznakomitszych, orzeźwiał się i cieczył, słysząc młodzież dawne pieśni jego wyspiewującą. W pociechach religijnych tę niepospolitą czuł stodycz, że tkliwe pienia jego pobożne, lud prosty w kościołkach i przy pracy rolniczej powtarzał. Sam rano i wieczór z gitarą w rękę, do kościołka odwrócony starzec, niknącym śpiewał już głosem z pod cienistego podwórza psalmy i pieśni swoje. Zapewniwszy na łożu śmiertelném los rodzinie swojej, znaczne ulgi włościanom, zakończył cnotliwe życie dnia 4 września 1825 r. Pochowany na cmentarzu w Łystkowicach pomiędzy grobami kochanych swoich wieśniaków, gdzie lud pobożny błogostawi pamięci jego, i w uroczystych obchodach grób jego tłocząc, jego sercem i jego słowami pieśni do Boga wznosi. Otóż kilkadziesiąt lat ży-

cia prawie zwyczajnego na świecie. Piękne młodości nadzieje, w samej wiosnie zniszczone, wystugi dla sławy zgryźliwe i płonne, najczystsze życzenia szalonem kołem fortuny zniweczone; w starości dopiero tak żyć pragniemy, jakieśmy byli zacząć powinni. Z własnej ziemi wydobyty posiłek, swobodne zacisze, dobre imię u sąsiadów, oto szczęście prawdziwe i łatwe, a po doświadczeniu tylko cenione.

Karpiński był wzrostu miernego, twarz oznaczała raczej uczciwego i pracowitego wieśniaka, niżeli czułego poetę i męża z wielkim światem obeznanego. Wobcowaniu więcej wesoły niż dowcipny, pożądany był w gronie przyjaciół, mniej odznaczający się w salonach. Wśród zaufanych miał tę serdeczną wesołość, dla której każdy więcej go kochał, niżeli chwalił z dowcipu.

Wstrzemięźliwy przez całe życie, w starości aż do przesady skromne i regularne życie polubił. Poznawszy świat wielki oddalił się od niego, nie przez to, żeby go znienawidził, lecz że nie był do niego zdalny.

Tkliwych uczuć nabył raczej przez czynne udzielające się życie, niżeli przez samotne dumanie. Ztąd pienia jego pełne rzewnego uczucia, dalekie są od melancholii i pieściwości. Prawdę, mającą za cel cnotę, kochał do tego stopnia, iż nawet na wielkim świecie nie mógł się nauczyć niezbędnej sztuki pokrywania swych myśli. W jednym zamownym domu znaczną mu ofiarowano pensję, której nie przyjął. Gdy raz w tymże domu uporczywie zdania swojego bronił, i gdy tę nieprzyzwoitość dano mu uczuć, odpowiedział: „Zapewne, tak nie mógłbym mówić, gdybym był przyjął pieniądze.” Stanisława Augusta raz się o łaskę ośmielił prosić. Monarcha ten nie zawsze był w możności działać według dobrych swych chęci, nawet w małych zdarzeniach. „Zawstydzasz mię, rzekł król, przypominając mi mój obowiązek, ja o tobie nigdy nie zapomnę.” Karpiński mówił, iż dotrzymał słowa, nie przypominając się odłud nigdy królowi, który o nim pamiętać obiecał. W późnym już wieku, gdy prace swe poetyczne już prawie za rzecz obcą uważał, lubił je słyszeć śpiewane, i wtenczas sam je

odmawiał z pamięci. Nieprzyjaciel wszelkiego zbytku lubił gry, tańce i przyjacielskie biesiady. Od samej młodości był najwyższym czcicielem religii.

Wiemy wszyscy, że naród przyznał Karpińskiemu tytuł poety serca, nie łatwy zatem jest rozbiór dzieł jego, przy których więcej czuć, niż rozumować potrzeba. Są w nich piękności do każdego uczucia mówiące, lecz większa część jest takich, które tylko ziomek prawdziwie pojmie. Ta tajemnica polega na dziwnej szczerocie języka, na uczuciach wyłącznie narodowi właściwych, na obrazach, wszędzie jego obyczaje i ziemię wystawiających.

Obok tych z narodu wyczerpanych własności, ma Karpiński wyłączny dar ich malowania. Najistotniejszą jego cechą, jak się trafnie jedna z znakomitych autorek wyraża, jest dowcip serdeczny, trafiający razem do smaku i uczucia, a do naśladowania niepodobny. Między Krasickim i Karpińskim miała Polska kilku wyborniejszych poetów, atoli po Krasickim jego najwięcej ceniła. Czem bowiem był pierwszy dla umysłu, tém był drugi dla serca. Tamten miał dowcip prawdziwie narodowy, ten uczucie. Obadwaj w swoim zawodzie okazali jednaką łatwość i prawdę, ztąd każdy Krasickiego pojmował, każdy czuć umiał z Karpińskim. Nigdy pierwszy nie rozśmieszył bez skutku, ani drugi bez wrażenia cnoty rozrzewnił. Zdrowy i pogodny umysł jednego, czyste i łagodne uczucia drugiego, wystawiają obraz i smaku i charakteru narodu.

Poezye Karpińskiego trudne do rozgatkowania według przepisów. Wszystkie tchną duchem elegicznym i sielskim.

Tchną pienia jego smutkiem, lecz tak łagodnym i pociągającym, jaki nas często zajmuje w oczach tchnących dobrocią i niewinnością. Dalekim jest od pieściwości, od owych obłudnych uczuć i marzeń próżniaczych, od owego tak dziś modnego rozbratu z sobą samym i ludźmi. Owa pieściwość i nadzwyczajność uczuć nie jest to owoc czerstwój natury i łagodnej chrześcijaństwa pogody. Szukane i przesadzone uczucie tak jest sercu przeciwne, jak fałszywy dowcip smakowi, jak rozumowi sofizmata, albo marze-

nia obłudne. Zewnętrzna postać poezyi Karpińskiego odpowiada jęj duszy. Szczerość i pełne życie widać w jęj oczach. Ujmująca bez sztuki i samém zaniedbaniem powabna. Uczucie władało jego imaginacją, która mu zawsze w porę stosownych dostarcza obrazów. Zład to owa rzadka, obca prawie innym poetom sztuka nadawania pomysłom i uczuciom żywych postaci; a co w innym poecie wyszukałoby się, w nim naturalne się znajduje.

Sielanki Karpińskiego najwięcej chwalone były; one zjednały mu tytuł poety serea. Jednakże ośmielać się wyznać, że według mnie, mało odpowiadają własnościom Idylli; wystawiać pasterzy, nadawać im rozpieszczone i często nudno-słodkie sentymenta, nie jest to malować ludzi szczęśliwych według stanu natury. Dlatego Sielanki Karpińskiego prędzej mogą nosić imię sielskich elegij, tak jak we francuzkim języku Idylle pani Deshoulièr. Większa część Sielanek jego przypomina dawny smak poetyczny we Francyi, gdy w poezyi ministrowie i księżne pod postaciami pasterzów występowali.

Tę wadę wyjąwszy, która jest owocem zbyt młodych lat Karpińskiego, gdyż od Sielanek zaczął poetyczny swój zawód, ileż znajdziemy w nich prawdziwie serdecznych uczuć! Któż nie umie na pamięć pożegnania Lindory w górach, i najpiękniejszej z jego Sielanek Laura i Filon, która mimo swojej długości, dawniej w każdym niemal domu śpiewaną była.

W poezyach w lekkim rodzaju, żaden mu jeszcze z poetów naszych nie wyrównał. Każde składa porządną całość, wystawienie łagodne i proste, tudzież wylanie jednego uczucia, co też właśnie powinno być cechą wszystkich do śpiewu przeznaczonych poezyj. W tym rodzaju poezyj wyrównał Karpiński Goethemu, który w lekkich swych pieśniach okazuje coś prawdziwie słowiańskiego, tak że i w późniejszym wieku poznawszy poezye ludów Słowiańskich, po Herderze najwięcej cenić je umiał.

W pieśniach wyższego rzędu mniej jest Karpiński szczęśliwy, gdyż zawsze uczucie przewyższa w nim imaginacja. Muza jego jest mieszkanką dolin, gajów słowiczych, du-

mającą nad strumykiem spokojnie płynącym, nie dla niej są wzniosłe siedliska orłów, i głos jęj słabiej przy gór huczającym potoku. To okazuje szczególnie jęgo przekład Psalmów Dawida, i własne jęgo pieśni pobożne. Przerobił on tylko psalmy przez Kochanowskiego przełożone, i więcej je do śpiewu zastosował; atoli mniej daleko niż Kochanowski przejąc się zdołał Dawidem tam, gdzie tenże wzniosłe wystawia obrazy; tam tylko, gdzie łagodne obrazy i spokojne psalmista uczucia maluje, oddał go należycie, i często Kochanowskiemu wyrównał.

W własnych pieśniach pobożnych, odstąpił zupełnie Karpiński od wzorów psalmisty, i poszedł drogą dla siebie właściwszą. Dawid śpiewał jako król, łączący w sobie razem najwyższą władzę kapłańską, miotany uczuciami, jako ten, który z prostego pasterza królem zostawszy, na tronie dziwnych wyroków Opatrzności doświadczał. Psalmi jęgo są zupełnie indywidualne, śpiewał sam od siebie, lub tylko w imieniu swojego ludu.

Karpiński miesza się z prostymi pasterzami i rolnikami, z nimi razem jak z dziećmi rzewne do Boga modły zanosi.

Poema Ogrody, przełożone z Delilla, mniej może właściwe było smakowi Karpińskiego, i pracę tę wykonał nie z własnego natchnienia. Tłumaczenie prozą miejsce tych, w których Delill prawidła sztuki ogrodniczej podaje, lubo jak sądzono, dowodzi smaku pisarza w ocenianiu miejsc piękniejszych, jednakże nie zdaje mi się stosowne, gdy właśnie nauka wierszem oddana, jest głównym celem tego rodzaju poezyi, ażeby prawidła za pomocą wiersza przyjemniejszymi i łatwiejszemi uczynić. W ogólności wiersze przeplatane prozą są według mnie nadużyciem sztuki, i dzieła podobnie pisane nigdy stałej wziętości nie miały. Listy Krasickiego w ten sposób pisane, należą do najstarszych płodów tego poety, i do nieszczęśliwych zabytków naśladowania francuzczyzny.

Mniej pomyślnie doświadczał Karpiński sił swoich w zawodzie dramatycznym. Tragedya Bolesław III nie może wytrzymać sądu krytyki i nigdy na scenie wystawioną nie była.

Są jednak i tu miejsca, zdradzające smak i uczucia Karpińskiego.

W pismach prozą pisanych maluje się cnotliwe serce Karpińskiego, polszczyzna czysta, lubo nie wszędzie wygładzona, wszędzie czucie pióra jego przewodniczy. Z tych pism najcelniejsze są Rozmowy Platona z uczniami, i godne powszechnego czytania, zwłaszcza, gdy literatura nasza jest ubogą w pisma, należące do moralnej filozofii.

W ogólności poezye Karpińskiego są tylko owocem jego serca, dalekie od genialnych pomysłów i wydoskonalenia sztuki. Tylko pieśni jego i niektóre sielanki zjednały mu powszechne zamiłowanie w narodzie i przez nie żyć będzie. To zamiłowanie w prostych i serdecznych pieśniach Karpińskiego jest skazówką smaku narodowego, który kiedyś przez sztukę wydoskonalszy, genialnymi utworami wzniesiony, zdolny będzie osiągnąć najwyższy szczyt i cel ostateczny poezyi, to jest wpajanie czystych i łagodnych uczuć.

Jak rolnictwo jest zasadą cywilizacyi, tak poezya idylliczna w prawdziwym tego słowa znaczeniu, to jest malującą uczucia ludzi, blisko natury żyjących, jest podstawą prawdziwego smaku wszelkiej poezyi. Na tej zasadzie posunęli się Grecy w sztukach do nadzwyczajnego stopnia sztuki. Patryarchalne, rolnicze życie ich rycerzy i mędrców przelało nawet na wieki najświetniejsze ową prostotę i skromność, której terazniejsze cywilizowane ludy prawie tajemnicę straciły.

Dziwić się należy, że wielu średnie wieki z czasami bohaterskimi Greków chce równać. Mogły sobie być podobne, co do uczuć bohaterskich, co do wyobrażeń ciemnym wiekom właściwych, lecz bynajmniej w tém, w czém zwykle brak nagradzany bywa uczuciem i obyczajami do natury zbliżonemi. W średnich wiekach równie znieważone było rolnictwo, jak pogardzone cnoty. Wśród zepsucia miast, szafu możnych, był to stan wynaturzonego społeczeństwa; uderzający heroizm był raczej owocem imaginacyi, niżeli czerstwych uczuć, tej samej imaginacyi, która tak często i zdrowy rozum i święte uczucia deptać kazała.

Napróżno więc szukać w tych czasach poezyi żywiołów; mogą one dostarczać obrazów rzadkich i zadziwiających, ale z czystym, zdrowym uczuciem nic nie mają wspólnego. Ztąd bezład imaginacyi, przesadzone uczucia, popęd ku dziwaczności jak poetami, wielbiącymi te czasy, jak niegdyś ich bohaterami zawładnęła. Pomimo wielu swych błędów daleką była Polska od tego stanu. Była zawsze narodem rolniczym, umiarkowanym i pogodnym, zawsze więcej do prostoty obyczajów zbliżonym. Śmiało powiedzieć można, że ludy Słowiańskie tyle w pierwiastkach swoich do Greków zbliżone i dotąd bliżej natury żyjące najłatwiej powtórzyć mogą dawny, prosty i szlachetny smak grecki zasadami Chrześcijańskimi wzniesiony. Może mniej wydadzą geniuszów, na chwilę zadziwiających, które, jak wulkan krótko ognistemi wybuchy jaśniejąc, wnet dym tylko wydają; lecz za to ich muzy dążyć będą do wpajania łagodnych uczuć rolniczemu ludowi właściwych, a które cywilizacyi ostatecznym są celem.

Dlatego, chociaż może mniej świetne płody Kochanowskich, Karpińskich, niech będą skazówką dążeń smaku narodowego; Karpiński przeto najwięcej na pamięć zaślizy, że pierwszy przez wiek cały od natury oddalonych rodaków, do niej powrócił i oby na zawsze przywiązał.

5. O IGNACYM KRASIICKIM.

przez

Franciszka Dmochowskiego.

Jeżeli z rzeczy ludzkich może co sobie rościć prawo do nieśmiertelności, to zapewne geniusz. Inne zalety, bądź władzy, bądź bogactw, bądź urodzenia, przemijającą mają trwałość. Rażą niekiedy pozornym blaskiem mniej uważane oczy; ale zgon wraca je do nieczemności, z której się niestusznie wydobyć usiłowały. Sama nawet cnota, najpierwsze i największe między ludźmi dobro, wkrótce nieznana gaśnie, jeżeli pióro geniuszu nie wydrze jej zapomnieniu, i nie zapisze w księgę nieśmiertelności. Sam tylko geniusz żyje z siebie; on jest i przedmiotem i sprawcą

swój chwały; on sam tworzy dzieła godne wieków; a te same dzieła stają się dla niego niezatartą pamiątką.

Któż ze współczesnych nad Krasickiego może być pewniejszym tego gatunku chwały? Kto nad niego może sobie obiecywać dłuższe życie w pamięci potomności?

Zaiste mąż tak wysokich talentów wyższy jest nad wszystkie pochwały. Żyje on i żyć będzie z siebie, i ten wieciec, który sam swoją ręką upiół, nie potrzebuje żadnej ozdoby z przydanych obcą ręką kwiatów.

Urodził się Krasicki r. 1734. W dzieciństwie zaraz wieku okazywał bystrość w pojęciu, dowcip w zapytaniach, żywość i trafność w odpowiedziach. Troskliwi rodzice widząc w dziecku szczęśliwy zaród talentów, starali się przez najlepszą, jaka natenczas być mogła, edukacją zasilać je i rozwijać. Jakkolwiek zdanie to prawdziwe, że natura daje nam przymioty, które się w dalszym życiu odkrywają, zaprzeczyć nie można, że ich umocnienie i wzrost od edukacji zależy. Ona je uprawia, ożywia, krzepi; albo przydusza, umarza i niszczy. A lubo zdarza się niekiedy, że moc natury przełamie wszystkie zawady, starga wszystkie więzy, któremi ją kępować usiłowano; częściej atoli złe prowadzenie przytłumia jej dzielność; wstrzymuje, lub zwraca jej pęd, i robi dzieło nieczemne, z tego, co pod zręczniejszym kierunkiem stałoby się przedmiotem podziwiania ludzi.

We Lwowie odbył bieg nauk szkolnych. Przeznaczony do stanu duchownego, posłany był do Włoch, dla doskonalenia się w naukach stosownych do swego powołania. Lecz geniusz Krasickiego nie ograniczył się tego gatunku pracą. Zdolność jego rozciągała się do wszystkiego, i że tak powiem, pożerała wszystko. W tym to siedlisku nauk i kunsztów, wykształcił swój gust, który w kraju, gdzie dopiero zreformowane zaczęły powstawać nauki, żadnego nie znalazł zasilenia. Tam z szanownych grobów wywoływał cienie Fedrów, Horacyuszów, Maronów, Tassów, Aryostów; tam z bogacił umysł prawdziwymi wzorami piękności, i na klasycznych brzegach Tybru usposobił się do odżywienia w swoim narodzie i języku, owych dowcipów

nieśmiertelnych, na których wzór formowały się i formować będą dowcipy wszystkich narodów.

Powróciwszy do ojczyzny, wszedł zaraz na wysokie swojego stanu stopnie: przeznaczony, aby wnet stanął na najwyższych. Pomagało do tego zacne pokrewieństwo, lecz nadewszystko jego własne talenta.

Obrany z arcykapituły Lwowskiej na trybunał Małopolski, prezydował tej magistraturze, i tam miał sposobność poznać wszystkie obroty prawnicze, które potem tak dowcipnie i trafnie w Doświadczyńskim opisał. Jeżeli z jednej strony to urzędowanie pożyteczne było do poznania licznych wad i bezprawioń, które się u nas w administracyi sprawiedliwości popełniały, z drugiej chwalebne dla urzędnika, bo na niem dał dowód wysokości enoty, bezinteresowności, bezstronności i wszystkich przymiotów, które prawy sędzia mieć powinien.

Gdy się pokazał w stolicy, zadziwił wszystkich swoim dowcipem, który jaśniejący w pięknej ciała postaci, stał się duszą i rozkoszą najświetniejszych towarzystw, jakie wtenczas liczyła Warszawa. Wszystkie posiedzenia brzmiały jego pochwałami. Zapewne kształtna postać nie jest jedną z pierwszych zalet człowieka, ale połączona z innymi rzeczywistymi talentami, nie mało się do jego wziętości przyczynia, i sprawia za pierwszym wejrzeniem, przychylne, lubo niekiedy zawodne, dla niego uprzedzenie.

Tak świetne Krasickiego talenta ściągnęły uwagę króla. Stanisław August umiał je czuć i szanować. Starał się więc pozyskać go dla siebie, a razem zachęcić. Wyrobił mu indygenat w prowincyi Pruss Zachodnich, dał kanonią Warmińską, a wkrótce otrzymał koadjutoryą Warmińskiego biskupstwa. Jemu był winien Krasicki swoje prędkie wyniesienie na dostojęństwo kościelne, i sam to nieraz z uczuciem powtarzał. Jakoż w pismach swoich nieśmiertelną pamiątkę swojej wdzięczności zostawił.

Wychodziło naówczas pismo peryodyczne, pod tytułem Monitor, na wzór Spektatora Angielskiego, którego w znacznej części było tłumaczeniem. Pismo to moralne, bardzo dobrze układane, osobliwie w pierwszych latach, przy-

czyniało się wiele do oświecenia narodu i prostowania jego opinii. W niém składał Krasicki pierwsze płody dowcipu swego. Chociaż wiele piór około tego pisma pracowało, i wszystkie artykuły są bezimiennie umieszczone, po tonie lekkim, wesołym, zabawnym, nie trudno jest poznać Krasickiego pracę. Takto prawdziwy dowcip ma swoje cechy: wszędzie on wyrzyskuje swoje piętno, wszędzie jest do siebie podobnym.

Śmierć Grabowskiego w r. 1766 przyspieszyła Krasickiemu objęcie Warmińskiego Biskupstwa. Żadna katedra w Polsce nie miała tylu ludzi z wielkimi talentami, co Warmińska. W niej słynął Dantiscus, szacowany poeta w łacińskim języku. W niej jaśniał Hozyusz, jeden z najślawniejszych ludzi swojego wieku, który był legatem papieżkim na soborze Trydentskim, a którego dzieła na wszystkie Europejskie języki przełożono. W niej siedział Kromer, dziejopis, geograf, mówca i statysta, godzien stanąć w swoim rodzaju obok pierwszych autorów Rzymu. Ją zaszczycił Tideman, że był przyjacielem i dobroczyńcą Kopernika, i usposobił go, aby został zaszczytem swego narodu, a nauczycielem wszystkich. Ję był głową Załuski, którego listy są szacowną dzieł owoczesnych pamiątką. Ję chwale utrzymał Grabowski, mąż oświecony i gorliwy o rozkrzewienie nauk. Szereg tak znakomitych ludzi godnie Krasicki zakończył.

Roku 1773 z Prusami zachodnimi przeszło księstwo biskupstwo Warmińskie pod panowanie królów Pruskich. Siedział wtenczas na tronie ów wielki monarcha, jakich ledwie wydają wieki, rządcą, filozof, bohater i literat, jaśniał wszystkimi promieniami chwały. Okryty laurami zwycięztwa, głosem całej Europy postawiony obok najślawniejszych wodzów; nie przestając na wysokości tronu, szukał téj, do której dowcip i nauki wynoszą. Utrzymywał ściśle związki z najpierwszemi ośmnastego wieku geniuszami. Wolter, Dalember, Diderot, Helwecyusz byli jego przyjaciółmi. Podobnej przyjaźni godnym osądził Krasickiego; poznał jego dowcip, powziął wysoki dla niego szacunek i szczególnymi względami zaszczycał. Wiadome

wszystkim ściśle i poufale obcowanie Krasickiego z Fryderykiem. W jego wesołym i miłym dowcipie szukał wytchnienia w swych pracach, szukał przyjemnej, dla swéj starości rozrywki (*).

Krasicki zatopił się cały w naukach. Zaczął wydawać jedne po drugich pisma, które obróciły na niego oczy powszechności, zjednały mu chwałę szczęśliwego dowcipu, i stały się najpiękniejszą literatury polskiej ozdobą.

„A cneń pisanja sztuki z dowcipem i gustem,

„Tyś dał pierwsze przykłady pod naszym Augustem“

napisał sławny poeta Trembecki w wierszu Gość w Heilsbergu, a napisał szczerą prawdę, i był tylko powszechnego czucia tłumaczem. Rzućmy okiem na liczne dzieła Krasickiego: są one najdroższym upominkiem, zostawionym powszechności, i składają najznaczniejszą część historii jego życia. We wszystkich prawie rodzajach literatury doświadczał sił swoich Krasicki. Jeżeli nie we wszystkich jednak wygórował, wszędzie atoli dowcip niepospolity okazał. Najwyższe jego zasługi są w poezji. Te żebyśmy lepiej ocenić mogli, rzućmy okiem na stan rymotwórstwa polskiego, nim je swojemi dziełami wzbogacił Krasicki.

Poezja Polska ma to szczególnego, że prawie naznaczyć nie można epoki, kiedy się zaczęła, kiedy wzrosła i zbliżyła się do doskonałości. Znamy początki poezji łacińskiej: stworzył ją Ennius, Pakuwiusz, Liwiusz Andronik; wykształcił Terencyusz i Plautus; Lukrecyusz ją posunął wyżej; a Wirgiliusz i Horacyusz do tego stopnia wynieśli, że doskonałość i dzieła ich za jedno są poczytane. Francuzka poezja liczy Marotą, Ronsarda, Mejnarda i wielu innych, nim ją Kornel, Rasyń, Boileau wykształcili i wydoskonali. Polska poezja w samych zaraz początkach nosi cechę kształtu, poprawy i gustu. Dzieła Jana Kochanowskiego (że pominiemy Reja z Nagłowic spółczesnego), są razem i najdawniejszym zabytkiem poezji polskiej i najlep-

(*) Nie zawadzi tu przytoczyć anegdoty wiadomej, żeby zezasem wiadomą być nie przestała. Fryderyk żartując z Krasickiego mówił mu, aby jako Biskup ułatwił mu w czasie wejście do nieba i ukrywszy pod swój płaszcz wprowadził. „Radbym to uczynić, odpowiedział Biskup, ale trudno, żebym mógł ukryć W. K. Mość pod moim płaszczem, boś go bardzo podciął.“ stosowało się to do zmniejszenia intraty. Rozmiał się król na tę dowcipną odpowiedź i Biskupa znacznym podarunkiem obdarzył.

szym. Można nawet powiedzieć, że aż do dni naszych Jan Kochanowski pierwsze miejsce słusznie posiadał. Ale oddając mu sprawiedliwość, co do czystości języka, powagi stylu, dobrego toku wiersza, Jan Kochanowski nie prawie z siebie nie utworzył. Wykład psalmów Dawida jest tylko dobrém tłumaczeniem; Szachy są naśladowaniem, i ledwie Kochanowski przy Trenach, kilku Pieśniach i Fraszkach zostaje. Bracia jego wstawili się samém przekładaniem, Jędrzej Eneidę, Piotr Jerozolimę wyzwoloną na język ojczysty przerabiając. Prawda, że Piotr jest jednym z najlepszych naszych tłumaczy, lecz Jędrzej bardzo słaby i ledwie kiedy sobie przypomni, że Wirgiliusza tłumaczy. Domagało się to bozkie dzieło lepszego pióra, a wydane próby dowodzą, że oczekiwanie publiczności zawiedzioném nie będzie. W starości Kochanowskiego zaczął stępnąć Szymonowicz. Przyznać należy, iż ten poeta jest najlepszym w poezji pasterskiej pisarzem. Zimorowicz i Gawiński są od niego niżsi. Kochanowski z liryków swoich z wielu względów ma słuszną zaletę, lubo mu nie zawsze gust towarzyszy. Twardowski, pełen ognia, grzeszy nadętością. W téjże epoce Otwinowski i Żebrowski Przeobrażeniami Owidyusza, później Bardziński i Chrościński Farsalią Lukana, Trajedyami Seneki, Listami Heroidów, i niektórymi własnymi dziełami, język nasz pomnożyli. Ale uwielbiając ich prace, nie można ich w rzędzie doskonałych tłumaczy umieścić. Potockiego Argenida i inne pisma przy szczęśliwych wyrażeniach mają liczne wady. W tym właśnie czasie zepsuł się gust dobry w Polsce. Co wtedy wyszło, nie warte wspomnienia. Wacław Rzewuski w swoich tragediach, wierszem gładkim, choć nieco prozaicznym pisanych, od początku reformy nauk, zaczął lepszy gust w poezji ożywiać. Niemniej przyłożyła się do tego Drużbacka, rzadka naówczas kobieta, i choć materye od niej traktowane, po większej części nie są poetyckie, znajdują się przecie w jej wierszach, stylem gładkim i rymowaniem niepospolitým układanych, wyrazy prawdziwie piękne. Minasowicz tę ma zaletę, że pisarzy łacińskich z wiernością i dokładnością, lubo bez mocy i delikatności przele-

wał. Wszystkie więc bogactwa poezji polskiej zamykały się w pieśniach Kochanowskiego, Kochowskiego i Twardowskiego; w Sielankach Szymonowicza, Zimorowicza i Gawińskiego, nareszcie w licznych autorów dawnych i niektórych późniejszych z mniejszém lub większém powodzeniem dokonanych przekładach. Szacowne to są skarby, drogie dowcipu ojczystego płody, godne zachowania języka rodowitego zabytki. Lecz jak je obficie zbogacił, jak wysoko pomnożył Krasicki! Wnijdę w obszerniejszy dzieł jego rozbiór, bo rzetelna pochwała autora najwięcej w jego dziełach zamknięta.

Najpowszechniej znane i szacowane są Bajki i przypowieści Krasickiego. Od najdawniejszych czasów smakowali sobie ludzie w tym rodzaju zmyślenia. Rodzaj ten poezji zdaje się na pozór lekki i drobny: potrzebuje atoli zbiegu rzadkich talentów, rozsądku w obraniu, trafności w przystosowaniu, lekkości, żywości i delikatności w odmalowaniu. Stworzył go Ezop, wykształcił Fedr, a la Fontaine przez wdzięki prostoty i szczerości w rzędzie najpiękniejszych literatury płodów postawił. Powiedziano o nim, że malował naturę, a pędzel zatrzymał. Zdaje się jednak, że pozwolił tego pędzla Krasickiemu. Te dwa dowcipy godne były udzielać się sobie, i poeta polski zaufania bajkopisa Sekwany nie zawiódł. Jakie wdzięki są w jego bajkach rozlane, jak myśl szczęśliwa! jak wyraz jego technie szczerością i niewinną prostotą! Trudno jest w rozbieraniu okazywać to, czego samo uczucie jest jedynym sędzią. Już wartość tego dzieła zostaje pod pieczęcią czasu, i Bajki Krasickiego od dwudziestu lat w ręku wszystkich będące, z ukontentowaniem czytane i odczytywane, zgodném zdaniem za dzieło najwyborniejsze uznane zostały. Pracowali u nas różni w tym rodzaju. Mijam sto i oko Bajek Jabłonskiego. Minasowicz przekładał Fedra, Jakubowski La Fontaina; inni tych pisarzy naśladowali. Mają oni swoje zalety; lecz żaden nie doszedł Krasickiego.

Niemniejszej są godne chwały Satyry Krasickiego. Rodzaj ten nienawistny, gdy z granic swoich występuje i wpa-
szkwil się zamienia, zamknięty w prawidłach przystojno-

ści, jakie mu sam Krasicki określił: „Satyra prawdę mówi, względów się wyrzeka: wielbi urząd, czci króla, lecz sądzi człowieka,” w tych, mówię, prawidłach zamknięty, bardzo jest pożyteczny.

Dawni i niektórzy z późniejszych umieszczali śmiało imiona osób, których wady lub głupstwa wytykali. Tak czynili z starożytnych Horacyusz, Juwenalis, z późniejszych Boileau i Pope. Krasicki naśladując tych wielkich mistrzów, trzymał się własnego prawidła. Gromił złe obyczaje, wytykał nieuwagi, żartował z śmieszności, lecz nigdy nie ranił osoby. Połączył on trafność Horacyusza z mocą Juwenalisa. Możnaż silniej powstać na hańbę wieku swego, jak w pierwszej Satyrze Wiek zepsuty? albo z większym gniewem wybuchnąć na bezezelość i zbrodnię, jak w drugiej pod napisem: Wziętość? Chcemy-li znowu co czytać w lekkim, zabawnym, żartobliwym sposobie, czytamy Satyrę przeciw pijaństwu, czytamy drugą o oszczędności, a nadewszystko Żonę modną. Jan Kochanowski w swoim Satyrze jest tylko rozsądny. Opaliński, który chciał być polskim Juwenalisem, ma zapęd i ogień, ale jest rozwlekły, a pisząc bezrymowym wierszem, wcale niesmaczny. Naruszewicz jeden mógłby walczyć o palmę satyrycznej poezji z Krasickim. Pisze mocno, łaje, gromi; lecz w tym tylko celuje gatunku satyry; nie ma nic z tej szczypiącej żartobliwie złośliwości, która jest tak przyjemną zaprawą satyr Horacyusza. Sam Krasicki posiadał ten rzadki przymiot i można powiedzieć, że Satyry jego nie ustępują niczemu, co najlepszego w tym rodzaju dawna i teraźniejsza literatura mieć może.

Jeszcze co do mniejszej poezji, wiele winien nasz język Krasickiemu. On zostawił wzory listów wierszopiskich, on w drobnych wierszach dał językowi naszemu lekkość i zwrotność, do której zdawał się być nieposobny. Jego podróż do Biłgoraju, jego listy wierszami przeplatane, pisane z dowcipem, z żywością, naturalnością, stały się dla nas tém, czém dla Francuzów La Chapelle i lekkie poezje Woltera. Gdyby Krasicki nic więcej nie pisał nad satyry i bajki, jużby stanął na czele poetów polskich. Ale co wię-

ksza jeszcze, a jemu tylko właściwą stanowi chwałę, on sam ubogacił ją poematami w ściślejszym znaczeniu wziętemi, których dotąd wcale poezja nasza nie miała.

Pierwsze poema Krasickiego i najpierw w porządku dzieł jego wydane, jest Myszeis. Zdaje się, że Batrachomachia, czyli wojna myszy z żabami pospolicie przyznawana Homerowi, była wzorem tego poematu. Nie wiemy, czy krótkie poema Homera jest tylko igraszką wesołej myśli, czy też miał ukryty zamiar poeta wyśmiać kłótnie jakiego miasta. W Myszeidzie widoczniejsze są stosunki do przywar narodowych. Spór szczurów i myszy o pierwszeństwo wystawia kłótnie między naszym senatem i stanem rycerskim. Rada ministrów na dworze Popiela, osobiwie jej konkluzum, wyraża pospolite obrady polskie przed sejmem 1788. W charakterach myszy różnych krain odrysowane są charaktery różnych narodów. Biblioteka, zamieniona w spiżarnią, jest szczęśliwą i stosowną fikcją. W całym poemacie myśl trafna i zabawna. Wstępy na wzór Aryosta z myśli moralnych. Rzucane uwagi wysokie z zastanowienia się nad rzeczami drobnymi czynią skutek przedziwny; obraz Filusia kotka, faworyta księżniczki Duchny, bardzo piękny, niemniej dobrze zrobiony opis lichwiarza. Niektórzy mniemali, że Myszeis jest poematem zupełnie allegorycznym, że pod imionami Gryzomira, Gryzandra, Rominogrobisa, Mruczystawa, Filusia, Syrowinda, ukryte były pewne osoby; ale próżne ich były usiłowania w znalezieniu klucza do tej allegoryi. Atoli podobna do prawdy, że poema to było w początku pisane w celu satyrycznym; potem odmienił myśl autor, i zrobił je czystą igraszką wesołego dowcipu. Jakoż niepodobna rozumieć, aby geniusz tak trafny i szczęśliwy pisał rzecz bez celu. Mimo że chciał zatrzeć wszystkie ślady pierwiastkowego zamiaru, zostało się jednak kilka, po których można dociec myśli autora.

Monomachia czyli Wojna mnichów od wszystkich z przyjemnością jest czytana.

Okazawszy w Myszeidzie i Monomachii talent do poematów komicznych, chciał go autor pokazać w materii poważnej; z bogacić język polski Epopeą, której on nie miał,

i napisał Wojnę chocimską. Nie przeczę, iż dzieło to wspaniałego eposu nazwiska nosić nie może; zgadzam się na liczne w niem uchybienia; wyznaję, że materya sama nie jest do tego gatunku poematu, że to jest raczej historia wierszem napisana, niektórymi fikcyami ozdobiona. Ale można odmówić sprawiedliwej chwały autorowi, że się na eposę odważył? Od trzech tysięcy lat geniusz człowieka wysilał całą swoją dzielność na utworzenie tego boskiego dzieła. Cztery tylko dowcipy ten nieśmiertelny wieniec zyskały: Homer, Wirgili, Tasso i Klopstock stoją na wysokości góry, na której wierzchołek tylu pisarzy próżno kusito się o wstęp, a którzy za same tylko usiłowania znakomitą chwałę odnieśli.

W takim względzie uważana być powinna Wojna chocimska; ci, którzy z pogardą o tém dziele mówią, nie znają, że i upadek w wielkim zamiarze nie jest bez chwały. Jeżeli Wojna chocimska nie jest dobrą eposą, jest zawsze dziełem szacowném. Nie samę Enejdę ale i Farsalię czytamy; znajdują się w niej miejsca przedziwne, obrazy wielkie, uczucia wzniosłe. Wyraz zaś o pysze Osmana nadętego widokiem wojsk nieprzeliczonych:

„A dumny mocą swego majestatu,
Wzniósł się nad człeka i pogroził światu,”

godzien jest być umieszczony w liczbie tych, które Longin za przykład najwyższego wygórzenia wystawia.

Prócz tych licznych dzieł oryginalnych, winniśmy Krasickiemu przełożenie znaczniejszej liczby pieśni Ossyana, szkockiego barda. Na samo wspomnienie tłumaczenia przywołując sobie, choć zapewne nie bardzo słusznie, prawo do oryginalności, okrzykną mnie, że i o tym rodzaju pracy Krasickiego wspominam. Ale wiedziećby powinni, że i najwyższe dowcipy takowej zabawy za niegodną siebie nie miały. Tę tylko chwałę tłumacz względem oryginalnego pisarza nie ma, że tłumaczony nie będzie; bo sztukę pisania w równym stopniu posiadać powinien. Jeszcze piszący rzecz swoją, tę ma korzyść nad tłumaczem, że, byle z prawideł rozsądku i gustu nie wystąpił, nikomu się ze swoich myśli i wyrazów nie sprawia: gdy przeciwnie tłu-

macz ustawnie jest ważony z oryginalnym autorem. Każdy jego obrót, każdy wyraz porównywa czytający, i wyrok surowy za każdym wierszem wydaje. Ale co najlepiej oznacza prawdziwą cenę téj pracy, jest to, że tak trudno jest zrobić dobre tłumaczenie, jak dobry oryginał utworzyć, i ci tylko dobrze przekładać umieli, którzy z siebie napisać byli zdolni. Dlatego Pope niemniejszą ma sławę z tłumaczenia Homera, jak z wiersza o człowieku. Delille równie się szczyci poematem ogrodów, jak przekładem Georgików Wirgiliusza; nie tu jest rzecz mówić o pieśniach Ossyana, dzieło to zupełnie jest innego toku od greckiej i łacińskiej poezji; ani rozsądzać twierdzenie jednej uczonéj i myślącej kobiety (1); to pewne, że, jak Homer jest ojcem literatury południowej, tak Ossyana pienia pełne są żywych opisów, tkliwych uczuć, silnych wyrazów, osobliwie rozlany w nich ton słodkiej melancholii, który rozrzewnia czytającego i miłym zasmuceniem serce napełnia. Takiego poety dał poznać Krasicki w ojczystym języku, i chociaż dzieło to robił z pośpiechem, chociaż był szczęśliwszy w oryginalnem napisaniu, niż w tłumaczeniu, w wielu miejscach jego przedziwny talent w całej świetności widzieć się daje.

Pióro Krasickiego obfite w wierszu, nie mniej było obfite w prozie. W r. 1775, wydał przypadki Mikołaja Doświadczyńskiego; w tém dziele autor wytyka pospolite wady dawnéj edukacji; wystawia autor wadę brania nieznanymi cudzoziemców do prowadzenia młodzieży. JP. Damon, kamerdyner w swoim kraju, u nas udający się i uważany za hrabiego, nie mający żadnej nauki, przepisuje prawidła edukacji, daje ton całej okolicy, kończy całą rolę haniebném oszukaństwem. Iluż takich damonów znajdowało się w kraju! Kabały trybunalskie, przekupstwa, wymowa mecenasów, przedziwnie wydane: jest to miejsce najlepsze w Doświadczyńskim. Dalsze jego przypadki są nadto romantyczne, osobliwie rozbiecie się na morzu, i zapłynienie na wyspę Nipuanów. Prawda, że tam wzięł nauki bardzo pożyteczne od Xaoo, ale czyż trzeba było ich tak daleko

(1) Madame de Staël.

szukać? Cały ten kawałek nienaturalnie wprowadzony, i podobno też z obcego dzieła przeniesiony.

Znalezienie pieniędzy, zdarzenia Doświadczyńskiego w Ameryce, poznanie się z Kwakrem, dary od niego, osadzenie wędrownika w domu szalonych, wszystko wychodzi z granic powieści. Nic łatwiejszego, jak przez wymyślenie rozmaitych przypadków przeciągnąć powieść; ale zamknąć ją w małej liczbie osób, ograniczyć scenę rzeczy, a zrobić ją interessującą, to jest prawdziwie dzieło dowcipu. Mógł Doświadczyński i te same nauki odebrać od którego Polaka, i nadwreżony majątek sukcesyą jaką naprawić. Reszta powieści Doświadczyńskiego jest w tymże samym sposobie, co jej początek. Roboty sejmikowe, wymowa JPana Podkomorzego, kabały sejmowe wybornie opisane. W panu Podstolim zamierzył sobie autor wystawić dobrego gospodarza, cnotliwego i rozsądnego człowieka, a razem wytknąć wady i przywary naszemu narodowi właściwe. We wszystkiem, co mówi i czyni pan Podstoli, widać znajomość gospodarstwa, zdania zdrowe, sentymenta obywatelskie. Osobliwie ton tak zręcznie jest uchwycony, tak doskonale do obyczajów narodowych przystosowany, że trudno jest lepiej Polaka wystawić. Druga część pana Podstolego, później od autora wydana, nie bardzo ściśle związana z pierwszą, ale co do tonu i stylu te same ma zalety. Zrobił autor część trzecią, którą czytałem w rękopismie. Widać w niej to samo pióro, lubo materya téj części mniej jest ważna. Miał jeszcze Krasicki wygotować część czwartą. W niej zamyslał wprowadzić na scenę wuja pani Podstoliny, człowieka z wielkim charakterem ale mizantropa, bo go długie życie i różne przypadki nauczyły, jak mało można polegać na ludziach. Śmierć autora dokonaniu jego myśli przeszkodziła.

W powieści pod tytułem: *Historja dowcipna* zamyka się krytyka na tego gatunku pisma. Wystawia w niej człowieka, który nie mogąc umrzeć, znalazł sposób odmładzania się za pomocą pewnego balsamu. Ten człowiek, jako przytomny świadek, spisuje dzieje, wytyka błędy historyków, czyni uwagi nad charakterami ludzi. Myśl bardzo szczęśli-

wa, ale razem niezmierniej wiadomości historyi i głębokiej krytyki wymagająca, jak to oboje Barthelemy w podróży młodego Anacharsysa połączył. Dowcip autora okazuje się w tém dziele bardzo świetnie; uwagi jego są zdrowe, epoki historyi, nad którymi się zastanawia, z rozważą wybrane. Daleko jest jednak, aby z tak szczęśliwego planu wyciągnął wszystko.

Powieść, o której tu mowa, nie była przyjęta w publiczności, jak inne dzieła autora. Znać że mało się jeszcze znajdowało umysłów, do czytania takiego dzieła usposobionych. Opuszczam zbiór potrzebnych wiadomości. Jestto dykcyonarz nakształt Encyklopedyi. Trudno wyciągać, aby dzieło tak obszerne mogło być dziełem jednego człowieka. Chwalić należy gorliwość autora, który z siebie, co mógł, uczynił dla rozszerzenia światła. Pomijam inne drobniejsze roboty, a spieszę się do dzieł Krasickiego wygotowanych w rękopiśmie. Zdaje się, iż po tylu i tak chwalebnych pracach uczonych, powinienby był sobie spocząć Krasicki. Ale żywość jego dowcipu nie mogła być na moment beczynną. Zostawił on nam jeszcze rozmaite dzieła w rękopismach.

Tak ten żywy i płodny dowcip pracował do ostatniego kresu życia. Naukami słodził swoje starość, i umarł na łonie nauk, a można powiedzieć z piórem w ręku, bo na kilka dni przed śmiercią ukończył Listy o ogrodach, w których jego dowcip, a szczególnie w ostatnim, miłym blaskiem jaśnieje. Wielu zacząwszy świetnie zawód nauk, przerywają go w półbiegu: Krasicki szedł nim przez całe życie. Nauczał i bawił naród przez lat czterdzieści, konający prawie jeszcze się jego nauce i zabawie poświęcał (1).

6. RODZINA HERSCHLÓW.

Pomiędzy badaczami, których prace przyczyniły się najwięcej do obznajmienia współczesnych i potomnych z ciałami niebieskimi, znakomite bezwątpienia miejsce należy się dwom Herschlóm, ojcu i synowi, a obok nich siostrze

(1) Umarł w Berlinie dnia 14 marca 1801 r.

pierwszego Karolinie, jednej z tych kobiet wyjątkowych, łączących z głęboką nauką wytrwałość, rzadko bardzo w ich płci spotykana. Wilhelm Herschel, ojciec, urodzony i wychowany w warunkach rozwojowi wysokich jego zdolności bynajmniej niewłaściwych, sam się wykształcił na astronoma; sam stworzył instrumenta nieznaną przed nim doskonałości, za pomocą których poczynił wspólnie z siostrą szereg najważniejszych odkryć. Syn jego, Jan Herschel, stał się dziedzicem sławy ojcowskiej, i dziś jeszcze z czynnością niezmordowaną pracuje na polu astronomii.

Fryderyk Wilhelm Herschel, urodzony 15 listopada 1738 roku w Hanowerze, był drugim synem tamecznego nauczyciela muzyki. Ojciec jego, upatruwszy w nim zdolność do sztuki, której się sam poświęcał, udzielił mu pierwszych jej początków, i młody Wilhelm w czternastym już roku życia wszedł jako oboista do pułku gwardyi hanowerskiej. Z pułkiem tym w r. 1757 wysłany do Londynu, otrzymał przez pośrednictwo hrabiego Darlington urząd nauczyciela kapeli wojskowej w hrabstwie Durham.

Opuściwszy później służbę wojskową został organistą w Halifax, a następnie (r. 1766) w Bath, gdzie znaczną pobierał płacę. Tu pośród nawału zatrudnień chlebowych, wpadły mu w ręce dzieła astronomiczne Fergusona. Czytanie ich rozbudziło w nim żądzę namiętą, niestłumioną, obeznania się z wyższą matematyką i przeniknięcia rozumem owych cudnych hieroglifów gwiazdzistych, których kształty nęcące, tajemniczym doń przemawiały językiem. Odtąd już każdą chwilę swobodną młody badacz poświęcał matematyce; zgłębiał ją w całej rozciągłości, nie mając innego ku temu przewodnika, prócz kilku dzieł podręcznych, a wątpliwości napotymane siłą własnego rozwiązywać geniuszu.

Ale chwil wolnych, przy obowiązkach zajmowanej przezeń posady, było niewiele. Jako organista, Herschel z urzędu musiał przewodzić koncertom, i sam brać w nich udział; musiał wykładać sztukę, dla której duchem był obcy. Hezto udręczeń doznać musiał ten umysł silny, wzniosły, rozpatrujący się z uwielbieniem dziecięcia, i namię-

tnym zapałem w cudach wszechświata, będąc przykutym do ziemi pętami powszedniości; czując, iż zasoby otrzymane od Boga, w zwieczniych marnuje usiłowaniach. Nie raz też w podeszłym już wieku Herschel żałował gorzko, że się od pierwszej młodości poświęcić nie mógł grunto-wnie ulubionej swęj nauce.

Jakbądź sięgające coraz dalej studia astronomiczne Herschla dały mu uczuć potrzebę dokładnego teleskopu; jedyne bowiem narzędzie tego rodzaju, jakie miał pod ręką, wiele bardzo zostawiało do życzenia. Szcześciem na ten raz dla nauki, ograniczone środki pieniężne dość dobrze płatnego, ale zawsze niebogatego organisty, nie wystarczały na zakupienie dobrego teleskopu.

Niezmordowany nasz badacz, z uporczywą wytrwałością i ufnością właściwą wielkim tylko ludziom, rzuca się do prób coraz nowych, tém mozolniejszych, że niepopartych technicznem doświadczeniem; i nareszcie roku 1774, przełamawszy tysiączne trudności, wystawia pięciostopowy teleskop, podług zasad Newtona.

Zachęcony powodzeniem, Herschel powiększał stopniowo rozmiary swych narzędzi optycznych, które nieznaną przed nim dochodziły wielkości. Zupełnie już prawie zarzucawszy muzykę, wstąpił teraz na pole astronomii jako badacz samodzielny. Od roku 1779 zaczyna się szereg prac jego systematycznych, które gwiazda za gwiazdą, obejmując przestrzenie niebieskie do najważniejszych doprowadziły wypadków. W r. 1780 ogłosił obliczenie wysokości gór księżycowych, a 13 Marca 1781 r. odkrył nową planetę (przez późniejszych astronomów nazwaną Uranem), której na cześć króla angielskiego nadał imię Georgium Sidus.

Odkrycie to sławę imienia Herschla rozniosło po całym świecie uczonym. Wyniesiony przez Jerzego III do godności nadwornego astronoma, z pensją 400 f. st., mógł odtąd wyłącznie poświęcać się zawodowi, ku któremu oddawna wrodzone pociągały go zdolności. Osiadł więc na wsi w Datchet, a później w Slough pod Windsorem, i wsparty hojnością króla, założył tam obserwatorium, nie zaprzesta-

jąc przy tém wyrabiania coraz lepszych i większych teleskopów.

Narzędzia te, przedmiot podziwu i uwielbienia ludzi naukowych, pomimo swęj ceny wysokiej, rozeszły się szybko po Europie, bo wszyscy monarchowie dobijali się o zaszczyt posiadania arcydzieł mistrzowskiej ręki Herschla. Roku 1787 stanął olbrzymi jego teleskop 40 stopowy, którego zwierciadło metalowe miało $4\frac{1}{2}$ stóp średnicy i powiększało przedmioty 7000 razy. Ale wspaniały ten pomnik rozumu i pracy ludzkiej wkrótce niestety, skutkiem zniepokwaszenia się powierzchni zwierciadlanej na wilgotném powietrzu nocném, znacznego doznał uszczerbku. Najważniejsze téż odkrycia poczynił Herschel za pomocą dwunasto i dwudziesto-cztero stopowych teleskopów.

Już w latach 1783 i 1787 udowodnił on istnienie wulkanów na księżycu. Tegoż roku 1787, odkrył dwa księżyce uranowe, a następnie (od 1790—1794) dostrzegł cztery inne. Daléj wzbogacił astronomią odkryciem rotacyi pierścienia saturnowego (któremu to obrotowi naznaczył trwanie 10 godzin 32 minut) i dwóch należących do téj planety księżyców. On pierwszy przez udoskonalone teleskopy badał drogę mleczną, mianowicie gromady tak zwanych gwiazd mglistych, i obliczył, że niektóre z tych gromad przeszło 50000 gwiazd zawierają. Odkryte przez Piazziego, Olbersa i Hardinga cztery nowe planety: Cererę, Palladę, Vestę i Junonę, obserwował z największą dokładnością, i zmierzył ich średnicę, stawiając genialne hipotezy o naturze tych ciał niebieskich.

I w fizyce także nie jedno ważne spostrzeżenie zawdzięczamy Herschlowi. Między innemi zauważył on pierwszy, że różne kolory, na które pryzmat rozkłada światło słoneczne, różną téż posiadają siłę ogrzewania; że same promienie czerwone tyle dają ciepła, co inne sześć razem wzięte. Te i tym podobne obserwacye nad promieniami słonecznymi doprowadziły go do wniosku, iż światło dzienne nie wychodzi z tarczy samego słońca, ale ze świetnych obłoków fosforycznych jądro jego otaczających.

Już r. 1802 Herschel przedłożył mógł uczonemu światu, jako owoc kilkunastoletnich badań, katalog obejmujący do 5000 gromad gwiazd mglistych. Była to praca, o której przed nim ani zamarzyć mogli astronomowie; bo tylko wysokie wydoskonalenie teleskopów przez Herschla, zapuszczanie się w odmet téj części nieba czyniło możliwém.

Wszystko téż niemal co wiemy dotąd we względzie tajemniczych drogi mlecznej przestrzeni, zawdzięczamy starszemu Herschlowi.

Do roku jeszcze 1818, mając już lat 80, udzielał regularnie wypadki prac swoich królewsko-angielskiemu towarzystwu przyjaciół nauk. W ocenieniu nieśmiertelnych jego zasług, uniwersytet oxfordzki jeszcze r. 1786, udzielił mu stopień doktora (doctor of laws), jeden z największych zaszczytów naukowych, którego nie wielu dostąpiło cudzoziemców; a wszystkie prawie uczone towarzystwa zagraniczne mianowały go swoim członkiem. Ozdobiony przez królewskiego opiekuna swojego Jerzego III w r. 1816 orderem Gwelfów, Wilhem Herschel umarł 25 sierpnia 1822 r. w dobrach swoich Slough pod Windsorem; pochowany w Upton w hrabstwie Berkshire. Do śmierci siły jego fizyczne i umysłowe pozostały w pełném działaniu. Znaczną część rozpraw piśmiennych genialnego astronoma wydrukowano w „Philosophical transactions“ i innych czasopiśmiech angielskich; wiele jednak pozostało w rękopisie. Ostatnią jego pracą, ogłoszoną roku 1821 w wymienioném piśmie, było podanie najdogodniejszego sposobu obliczenia odległości gwiazd stałych od ziemi. Z rodziny Wilhelma Herschla, siostra jego Karolina (ur. w Hanowerze 1743 r.), niezmordowana uczestniczka jego badań naukowych, upamiętniła swoje imię w dziejach astronomii odkryciem kilku komet.

Jedyny syn jego z Maryi Pitt, John Frederyk William Herschel (ur. w Slough r. 1790), został dziedzicem sławy i talentu ojcowskiego.

Skończywszy uniwersytet w Cambridge, którego obecnie jest professorem, w młodzieńczym już wieku odznaczył się pracami matematycznymi, mianowicie przerobie-

niem dzieła Sylwestra Franciszka Laëroix o rachunku różniczkowym. Należy on dziś do najznakomitszych matematyków angielskich, a w nowszym czasie na polu szczególnie astronomii i fizyki wielkie położył zasługi.

W r. 1834 udał się na przykład Dobrą Nadzieję, i tam przez lat cztery zajęty był badaniem południowego półsfery firmamentu. W fizyce młodszy Herschel znany jest z ważnych spostrzeżeń nad teorią galwanizmu, głosu i światła.

IV. LISTY, WEKSLE I KONTRAKTY.

1. LISTY

IGNACEGO KRASICKIEGO.

Do M. H. K. K. W.

Wyobrażenie życia ludzkiego takby można uczynić:

Nieznacznie szczep mały wschodzi,
I nim starania nagrodzi,
Pielęgnujących troskliwość,
Wznawia smutek i dotkliwość:
W skutkach często się zawodzi,
Kwiat spada, owoc nie wschodzi.

Gdy zejdzie:

Ludzi strzeżących nadzieje,
Czyli strzeżony dojrzeje,
Czy dojrzeje w własnej porze.
Więc w trwogi, w nadziei sporze,
Gdy czekają na przyjście,
Wzrasta bujny, ale w liście.

A choć i w owoc:

Zimno słabi, wiatr go wzrusza,
Słota niszczy, wędzi susza,
I trzymany choć w rezerwie,
Przyjdzie chciwy, niewczas zerwie.

Jeżeli go i to nie spotka,

Dojdzie, lecz bujność uwiezi,
Spełźnie czasem na gałęzi,
Dojrzałego w smaku snadnie
Zniszczy robak, gdy się wkradnie.

Trafia się to często owocom i drzewom, ale częściej tym, których owoce i drzewa są podobieństwem.

Do X. S. P.

Zagrzebanie się w domu jest czasem skutkiem uwagi, czasem melancholii, najczęściej okoliczności, w których zostajemy:

Wielu się w swoich domach zagrzebało
Nie bez przyczyny. Ow, co zyskał, zgubił,
Temu się w dworskim życiu nie udało,
Ten chciał znać ludzi, poznał i nie lubił.
Złe i otwarcie, złe i pokryjomu,
Rozum po szkodzie. Najlepiej żyć w domu.

Zabawnie patrzeć na fortuny losy,
Jak jednych wznosi, drugich upokarza,
Jednakże martwią ją dotkliwie ciosy,
A widok, który codziennie się zdarza,
Uczy, jak źle być w polu podczas gromu,
Cóż zysk z bojaźnią? najlepiej żyć w domu.

Dobry dostatek, gdy się coraz mnoży,
A pora sprzyja, ażeby się mnożył;
I ten stan przecie nie raz możność trwoży.
Dzień jeden wspomógł, dzień drugi zubożył.
Bodaj żyć, złego nie życząc nikomu,
Sobie wystarczyć i skończyć los w domu.

Do S. P. W. R.

Przy Nowym Roku każe grzeczność winszować, a przyjaźń i szacunek częściej oświadczenia w istotne życzenia przeistacza.

Coraz gorsze chwile następują, trzeba się uzbrajać przeciw temu, co nastąpić może.

Im się bardziej idzie w lata,
Tém powszechniej to się łączy,
Iż się dobro złem przeplata,
Więcej szkody niż korzyści,

Choćby innych strat i szkód nie było, ta bolesna, iż czas przeszedł, a im go więcej przeszło, tém czuliej się postrzega, iż śpieszno uchodzi; jednakże:

Choć chwil przeszłych czuła strata,
Te uczucia są odmienne,
Nie żałuje rolnik lata,
Kiedy widzi snopki pełne.

Do P. B.

Muszę się przyznać, iż nie wiem, z kąd zacząć i na czym kończyć, gdy powinszowania czynić należy. Rocznicą Wmę Pana nadchodzi, a ta rocznica czułości mojej i pożądana i miła. Ale wyrażenie tej czułości, czyli raczej zmyślania onej, tak są powszechne, tyle razy coraz inaczej obrócone, iż, jeżeli o czym, o tém najlepiej mówić można, że, cokolwiek się powiedzieć mogło, już to było powiedziane.

Bądź więc, niż sławnym, więc, niż bogatym,
Bądź więc, niż szczęśliwym, a cóż przyjdzie zatym?
Oto iżbyś przesadził i nie był szczęśliwym,

Miej, co masz, a miej kontent, to szczęściem prawdziwem.

A jeżeliby jeszcze co więc los zdarzył, nie miałbyś się o co gniewać i ja bym się nie gniewał na nowo powinnować, i dać to Panie Boże.

Do A. H. K. M. B.

Zakazane są w kraju naszym polowania do Św. Bartłomeja, więc jak Św. Bartłomiej minie, chcę powszechna polować. Przetrzymałem ja tę chęć, ile nie wielki myśliwiec, że jednak nie trzeba się szczególnością różnić, wyjeżdżam na polowanie.

I zadziwisz się, mój bracie,
Iż myślę o zwierząt stracie.
Niby na zyski gotowy,
Bez strzelby jadę na łowy,
Świadek tego co się stanie,
Tak odprawię polowanie.

Przecież kto to wie, może też i my coś zabijemy.

Ale jakież to coś będzie?
Czy podskoczy, czy usiedzie,
Czy zabijem, czy spudłujem,
Czy radość, czy żal uczujem?

Wszystko to zawisło od moich myśliwych współtowarzyszów.

Oni mówią, a ja wierzę,
Iż zdarzy się czasem zwierzę;
Zwierzę, co my zabijamy,
Ale choć go i nie mamy.

Mnie to nie bardzo smuci, naówczas albowiem:

W niewielkim potraw wyborze
Mam ja zwierza, co to orze.

Przychodzą i inne na stół.

A wiesz, zwierzęta te jakie?

Ja opowiem, oto takie:

Czasem ten, co w północ krzyczy,
Czasem, co w południe ryczy,
Czasem, co przed wieczór skacze,
Czasem, co gęga, co gdaćce;
Zgoła nieźle używamy,
A zwierzyne zawsze mamy.

Pliniusz opisując polowanie swoje, wyraża: iż, choć w torbach myśliwskich bywały niekiedy pustki, w jego pugilaresie zawsze pełno.

Różne różnych interesa,
On miał swego pugilaresa:
Ja bez niego idę w puszcę,
I choć pisać czas opuszczę,
Nie żałuję i bez niego
Tęgość uczenia zbytniego,
Nie do rzeczy czasem roi,
Przynuki się umysł boi.
Więc ja idę, nie nie myślę,
A wróciwszy, choć co kręślę,
Rzucam pióro i tam śpieszę,
Gdzie się bawię, gdzie się cieszę.

To jest tak, jak przystoi, w tém życiu. W tém zaś polowaniu: ażeby się opatrzyć w strzelbę i psy; jakiegokolwiek nasze są, przecież:

I one też będą grały,
(Bo tak się zwie, gdy szczekają),
A ja myśliwiec zuchwały,
Pójdę w knieję za tą zgrają,

Na grzyby;

Bo flinty nosić nie umiem,
Chociaż siedzę w flintów kraju;
Choć rzemiosła nie rozumiem,
Pójdę jednak dla zwyczaju;

Nie zabiję, tak jak oni,
Co zwierza w lasach ścigają,
Nie będę w szczwaczów pogoni,
Niechaj inni zabijają.

Lubo skutek takowego zabójstwa lubię i nie chcę być zabójcą, z tém wszystkiem sprawdzam owo: Video meliora etc. wybieram się, a co gorsza z zupełnym rozmysłem na morderstwo niewinnych.

Przyszedł dzień polowania, obudziłem się, albo raczej obudzono mię bardzo rano.

Pierwsze słońca promienie szły na świat ukosem, gdy trąby przeraźliwie chrapowały głośnie dąty hasło wyjazdu. Więc każdy żywo, czy chęć mając zmyśloną, czyli też prawdziwą, wybierał się na łowy.

I ja też:

A lubo mnie sen męczył, zmyślałem chęć wielką,
Więc broniał na bój srogi opatrzeni wszelką,
Wyszlismy ziewający, jednakże ochotni,
Kareciani, wózkowi, konni i piechotni;
Ten z rusznicą, ten z trąbą, ów z torbą, ten z pałą,
Z pieczenią, z chlebem, z serem, piernikiem, z gorzałką;
Zgoła piękny był wyjazd, ale...

Nieszczęściem życia ludzkiego jest to ale. Zawsze się tam wmiesza, gdzie go nie potrzeba.

To więc *ale* sprawiło, iż czas, co nas cieszył,
Co sprawiał dobre myśli, co wzmacniał, co śmieszył,
Ów początek pogodny nie trwał. Deszcz się spuścił,
Ów rusznicę, ów trąbę, ów piernik upuścił;
Ów, co wspaniałe smycze lotnych chartów trzymał,
Przypomniał miękką pościel i znowu zadrzymał.

Zgoła byłoby zupełnie spełzło polowanie, bo się wszyscy coraz ku domowi obracali, psom zmoczonym iść się nie chciało, a ci, którzy gorzałkę wypili i pierniki zjedli, już kontenci byli z polowania i zaczęli próbować, jak wielkie jest niebezpieczeństwo, zwłaszcza podczas jesieni, kaszlu i kataru.

Jednak poszliśmy i przywędrowaliśmy do lasu, a gdyśmy w nim stanęli, iżby polowanie szło swoim właściwym trybem:

Każdy się o miejsce badał,
A deszcz jak padał, tak padał.

Według rozporządzenia więc biegłych w rzemiośle, każdy stanął na wyznaczonym sobie miejscu; puszczone psy, poszły;

Po tém pójściu, jak na licho,
Przez dwie godzin było cicho.

Dopiero o godzinie trzeciej polowania naszego, gdy ów deszcz fatalny przestał, zajaśniało słońce, a dopiero naówczas:

Już każdy rozweselony
Czekał rychło, co usłyszysz,
Obzierał się w każde strony,
Wszystko jednak było w ciszy.

I trwało to przez godzin dwie:

Więc my w radę, co tu czynić?
A że los nie trzeba winić,
Na tośmy się ugodzili,
Iżeśmy się uciszyli.

Więc zmokli, głodni, kontenci jednak, powróciliśmy się do domu i postanowiliśmy jak najczęściej lasy odwiedzać, ponieważ nie masz nic w życiu zabawniejszego nad polowanie.

Do . . .

To prawda, że zima jest przykra, a i to druga prawda, iż musimy tam mieszkać, gdzie przykrość zimna, jeżeli nie największa, przecież dość czuła. Ale ten, co dał, co mrozi, dał i to, co grzeje:

Gdy więc drzewka do komina
Służne ręce rażno niosą,
A smacznego puhar wina
Słodkotłoczną jądrzy rosą,
Niech kto o nas, jak chce, trzyma,
Ma wdzięk lato, ma i zima.

A czyżbyto północni dlatego, że północni, mieli być mniej szczęśliwi nad tych, co południowi, zachodni lub wschodni?

Jeden sprawca, co je tworzył,
Równe dziełom dał podziały,
Mróz i upał równie morzył;
Niesyt niczem człek zuchwały,
Chcąc mądrością chrzcić niewierność,
Chciałby dawcy wiaść niezmierność.

Jakoż zachciało nam się i po powietrzu latać.

I spadliśmy wśród igraszek;
Ziemia dla nas, co nas zetrze.
Niech latają sobie ptaszki,
Nie nasz żywioł jest powietrze.
Płonny zapęd czuje szkoda,
Miedzioserczny pierwszy płynął,
Nie dla człeka była woda,
Chciał rwać tamę i rwać zginał.

Przecież i floty i wojowniki i bitwy na morzu:

Jakby w tym oplakany zdań naszych przesądzie,
Nie dosyć było głupstwa jeszcze i na łądzie.

Do

Czy jeździć do cudzych krajów, czy nie, czy naśladować innych, czyli się swego trzymać, różne są w tej mierze zdania. Na zapytanie się w tej mierze, ja tak odpowiadam:

W moim sadzie gdy drzew mało,

Biorę je z sadu cudzego,

Ażebym się zdadne zdało,

I jam korzystał z swojego.

Ale, kiedy ja ogrodnik, czy ziółka, czy kwiatki, czy drzewka z cudzego sadu w mój przesadzam:

Nim przesadzę, patrzę pilnie,

Jak drzewko, ziółko przesadzić;

Grunt uprawiam i usilnie,

Wtenczas prace nie zwykły zdradzić;

Więc mając takie zadatki,

Kwitną drzewka, ziółka, kwiatki.

Do

List pożalowania tak, jak i mowy i pisma bardzo są trudne nie do napisania lub mówienia, lecz do przyniesienia skutku, do którego zmierzają.

Mówmy: co chcemy,

Sercem nie stałem,

Nie uśmierzymy;

Żal zawsze żalem:

Jedyna pociecha w tej porze przestanie na woli Bożej.

Z przedwiecznych sądów wymiaru

Daje, bierze, bo Pan daru,

I wie lepiej niż my:

Czy odjęcie, czém się straszym,

Czy dar trwały, szczęściem naszym.

Do

Gdyś raczył W. M. Pan być u mnie, nie zdobyłem się na owe wspaniałe przyjęcia, któreto wspaniałe na moment, po owym przeszłym momencie, dają niekiedy wspaniałość przeklinać. Nie nudziłeś się jednak, a ja teraz po rozstaniu, mam czułość smutną. I w tej czułości rozważam, gdybyśmy mieli na pogotowiu śpiewaków, możeby nam to za-

śpiewać mogli, wśród zabaw, cośmy dobrze użyli, co ja tu kładę na ulgę żałości mojej.

Niech co chce będzie,

Choć już i złego,

I w tym zapędzie

Losu przykrego,

Czuli, a cnotni,

Bądźmy ochotni.

Przegra kto, wygra,

Z torbą lub trzosem,

Los z nami igra,

Igrajmy z losem;

Czuli a cnotni,

Bądźmy ochotni.

Trosk nie wystraszym

Przez płacze rzewne,

Dzisiaj jest naszym,

Jutro niepewne;

Czuli, a cnotni

Bądźmy ochotni.

List pisany do Antoniego Krasickiego, brata rodzonego.

w Heilsbergu, 2 września 1780 r.

Jedną odpowiedź na trzy moje listy odebrałem, byłoto półtory ćwiartki, a miało być podług umowy, rachując każdy list pół arkusza, arkusz jeden cały i pół, więc kwita, za owe wymówki, gdym z Łazienek lakonicznie pisał.

Ks. Karol (brat) wybiera się na Ruś i do Warszawy, z nim się wybierać myśli Kalnasy (1), a ja ich do tego dobrego dzieła pobudzam, ażebym dogodził żądaniom WM. Państwa i razem przesłał przewodników do Warmii, boście już podobno i zapomnieli, którądy do mnie droga; a ja siedzę jako jaki pustelnik za światem, między morzem na piasku etc.

Nie wiem, czy już doszła WM. Pana moja Wojna Chocimska? Jeżeli nie, każ ją od Groella (2) sprowadzić, ale rozumiem, że i we Lwowie tej księgi dostanie, ponieważ i tam ma Groell swoje księgarnię. Insze pisma kawałkowe

(1) Ks. Kalnasy, kanonik warm. sekretarz ks. biskupa; do niego adresował satyrę: Do Joachima o życiu dworskim.

(2) Wydawca częściowo wychodzących dzieł Ignacego Krasickiego: Michał Gröll, księgarz nadworny Stanisława Augusta.

wyjdą potem z druku razem, ale jeszcze trzeba będzie trochę poczekać, aż się tego dobra liczba nazbiera. Postąłem był w liście wiersze do Mniszcha, sekretarza lit. a nie wyrażasz Wpan, czyś je odebrał.

Król przystał mi na wiązanie mój medal wybity, możesz go WMP. kazać z Warszawy sprowadzić. Złoty konserwuję do kolekcyi Jejmość pani bratowej.

Byłem przez dni dwanaście w Królewcu u księcia pruskiego, przejeżdżającego tamtędy do P. Bardzo mile grzecznie i poufale, tak jak zwykł od dawna, przyjął mnie i ze mną się bawił przez ten cały czas, a co największa, byliśmy razem na polowaniu w puszczy nad Hafem, i zabiliśmy łosiów wielkich 12, małych 2.

Pan Jan (1) bardzo się dobrze aplikuje, i z niego będziesz WM. Pan kontent, już czas wydobyć go od Pijarów, resztę na siebie biorę.

Do tegoż.

w Potsdamie, 27 marca 1781 r.

Przed kilką dniami pisałem, nie odebrawszy listu, teraz na świeżo odebrany odpisuję. Dziękuję za wiaty.

Odwleka się podróż WM. Pana! z tém wszystkiém do lipca będę czekał z niecierpliwością, lubom się prędzej ich przybycia wielce pożądanego spodziewał.

Mój projekt zawdy trwały, i tak będę rzeczy dyrygował, iż spodziewam się przy łasce Bożej być w domu na końcu przyszłego miesiąca, albo przy początkach maja. Nie będzie lmość widzieć moich narcysów, aurykułów, hyacynków, bo w lipcu już ich nie bywa; albo jeżeli niektóre przedłużą się, nie mają téj zalety, jak w czasie należytych. Z gwoździkami więc i cudzoziemskimi produkcjami będę się popisywać, nim owoce wyborne, jakoto brzoskwinie, tu nastąpią.

Przerwałem pisanie, — a wiesz WM. Pan dla czego? oto pod mojem oknem zaczyna się parada gwardyi, — ach! cóż to za piękny lud, jakaż to sprawność, jakbyś to Wpan na to z gustem patrzył.

(1) Jan Krasicki, synowiec ks. biskupa.

Do tegoż.

w Heilsbergu, 22 sierpnia 1783 r.

Kreślę ten list z podziękowaniem za obszerne wiadomości.

Czasy u nas dotąd pełne burz: onegdajszego dnia w nocy okropny mieliśmy widok trzech wsi palących się koło Heilsberga; przecież teraz zaczynają już upały zmniejszać się, a więc i burze ustaną.

Lehndorfowie już przyjechali z Berlina, jeszcze jednak u mnie nie byli; dobre będzie sąsiedztwo na zimę, ile że księstwo Holsztyńscy u nich przesiadujący do mnie się obiecują. Hohenzollern, opat oliwski, zapraszał do Oliwy, ale mi się od mego ogrodu wyjechać nie chce. W moim ogrodzie wiele odmian tego roku: zamiast jednej, trzy kaskady, promenady przedziwne, a kwiatów bez liku. W ogrodach pod mostem fontanny za kilkanaście dni już grać będą półtora razy wyższe niż w ogrodzie. — Oj! jakże to będzie pięknie, a chcecie widzieć? — przyjeżdżajcie do Heilsberga.

Święty Bartłomiej nadchodzi, czas rozpoczęcia u nas polowań, pojedę więc na kilka dni do Smolan (1) na końcu tego lub na początku przyszłego miesiąca, a jaki plon odniosę, rzetelnie (mimo przywilej myśliwski) wyrazić nie omieszkać.

Pan Ignacy bierze od księdza Fug a mego kapelana lekcją francuską, i z Pużetem książkę czyta, lekcją niemiecką daje Kremer, a Hag początków prawa. Aplikuje się dobrze, czasu marnie nie trawi, i już zaczyna kapitaliki zbierać, jeszcze jednak nie rezolwowany, czy sumę w handel puścić, czy dać na procent.

Śmierć dobrego naszego przyjaciela księcia marszałka, o której odbieram właśnie teraz wiadomość, niezmiernie zmartwiła mnie, proszę się poinformować, jakie dyspozycje testamentowe uczynił.

(1) Dobra biskupstwa Warmińsk., gdzie Ignacy Krasicki prześlizny ogród założył.

2. LISTY

W PRZEDMIOTACH HANDLOWYCH, PRZEMYSŁOWYCH I INNYCH

1.

Doniesienie kupca, że handel synowi odstąpił.

Wielmożny Panie Dobr.!

Wiek mój podeszły i chęć przepędzenia w spokojności pozostających mi jeszcze kilku lat życia, skłoniły mnie do zupełnego zaniechania handlu i do oddania go memu najstarszemu synowi Wincentemu. Upraszam więc i syna mojego zaszczycać tęp zaufaniem, jakiegom ja od W. P. Dobr. zawsze doznawał. Zostaję w tęp pochlebiającej nadziei z wysokim szacunkiem W. P. Dobr.

Uniżony.

W.

2.

Doniesienie przyjacielowi o bankructwie pewnego kupca.

Kochany przyjacielu!

Z największym pospiechem donoszę ci sztafetą tę smutną wiadomość, że wielki dom handlowy N. dziś wypląty zawiesił. Niestety to wiele innych domów handlowych do upadku przywiedzie, mianowicie bankiera P. w mieście O., który z wspomnianym domem w najściślejszych zostawał związkach. Drzę cały na myśl samę, jak wielkie straty przez to i ty ponieść możesz. Jednakowoż mam nadzieję, że odebrawszy tę wiadomość, zdołasz przynajmniej znaczną część swojego majątku ocalić, podejmując stosowne środki. Gdyż sądząc po miejscu oddalenia, prędzej otrzymasz wiadomość o tęp bankructwie, niż sam P. Nim on przeto także ogłosi niemożność płacenia, będziesz już mógł podsiębrać środki dla ocalenia swojego majątku. Pośpieszaj się tylko z tęp ile możności, a nade wszystko zachowaj tajemnicę. Dla niewstrzymania dłużej sztafety kończę list, zostając

Twoim szczerym przyjacielem.

3.

Udzielając rady przyjacielowi, aby nie nabywał więcej gruntów, lecz starał się swoje ulepszyć.

Kochany przyjacielu!

Odebrałem list Twój, w którym mnie prosisz o pożyczkę Ci 9000 złp. na kupno małej wioski. Chętnie Ci służę, jeżeli będziesz mógł mi je zapewnić. Nim atoli to uczynię, postanowiłem wprzód udzielić Ci swoich uwag względem Twojego zamiaru, a jeżeli je uznasz za słuszne, nie omieszkam dostarczyć Ci żądanych odemnie 9000 złp. Ile mi wiadomo, posiadłość Twoja zawiera przeszło 100 morgów gruntu, po cóż więc chcesz jeszcze więcej nabywać. Zda się mi się, iż, gdybyś chciał rolę swoje dokładnie uprawiać, nie zbywałoby Ci ani na zatrudnieniu, ani na dochodach. Posiadając zaś więcej gruntów, nie będziesz mógł ani dobrze ich uprawić, ani wczas zasiać. Dlatego nie radziłbym Ci wcale pomnażać rozległości swoich gruntów, chociażbyś miał potrzebne na to pieniądze; według mego bowiem zdania ulepszenie uprawy roli byłoby daleko korzystniejsze, bo zaprzeczyć nie można, że 100 morgów dobrze uprawnych równe przynosi zyski co 200 źle uprawianych. Wyniknie stąd jeszcze i ta korzyść, że nie będziesz potrzebował trzymać tyle czeladzi, zaprzęgu, najemników, tyle ponosić wydatków na wozy i inne gospodarskie sprzęty. Zda się mi się, że się nie mylę twierdząc, że więcej przez polepszenie uprawy roli skorzystasz, niż gdybyś obszerność jej powiększył. Gdy bowiem obliczą się procenta od włożonego na kupno kapitału, większe podatki, które nie z polepszenia, lecz z powiększenia roli wypływają, dalej zważając na niezmiernie wysoką cenę gruntów w Twojej okolicy, nieurodzaj albo inne nieprzewidziane straty, łatwo się przekonać, jak rzeczą byłoby niepotrzebną powiększenie Twojej posiadłości.

Sąto rady starego gospodarza, który nieraz drogo opłacił doświadczenie, a któryby innych, a szczególnie przyjaciół pragnął ustrzedz od podobnych przypadków. Przyjmij więc moje rady jako dobrze Ci życzącego przyjaciela. Prawda, że mogę się mylić, skoro Cię więc kto o mylno-

ści mego zdania przekona, zaniechaj moich rad, a ja bez zwłoki przysię Ci żądane 9000 złp., zostając Twoim prawdziwym przyjacielem.

L.

4.

Z powodu zamiaru młodzieńca, chcącego się uczyć gospodarstwa wiejskiego.

Bardzo wdzięczny jestem W. M. P. Dobr. za podaną mi sposobność wyświadczenia przysługi uczciwej a nieszczęśliwej rodzinie. Powierzchność zaleconego mi młodzieńca bardzo mi się podobała i byłbym go zaraz u siebie zatrzymał, gdyby sobie sam nie był życzył, dla załatwienia interesów jeszcze na kilka dni się oddalić. Tego się tylko obawiam, aby ten młody człowiek nie miał przesadzonego wyobrażenia o przyjemnościach gospodarstwa, jak mi się to z jego mowy wydawało. Dlatego starałem się dowieść mu, że przyjemności wiejskie są zbyt różne od istotnego zatrudnienia się gospodarstwem. O najważniejszej rzeczy, a do gospodarstwa koniecznie potrzebnej, przez delikatność nie zrobiłem mu żadnej uwagi. Albowiem kto chce na wsi żyć swobodnie, potrzebuje znacznego majątku, ubogiemu zaś gospodarzowi nie pozostaje nic innego, jak tylko służyć u panów, albo jeżeli do tego niezdolny, musi nieszczęśliwe życie prowadzić, aby się mógł wyżywić.

Jeżeli młodzieniec ten trwa w swoim przedsięwzięciu, niech, ile być może, jak najprędzej do mnie przybywa.

Zostaje z najgłębszym uszanowaniem

Najniższym sługą.

5.

Zdanie względem kupna domu.

Stosownie do życzenia Twojego obejrzałem dom wystawiony na sprzedaż wraz z należącym do niego ogrodem, gruntem i łąką, i przekonałem się, że wszystko znajduje się w dobrym stanie, i że cena niezbyt jest wysoka. Winienem jednak zwrócić Twoją uwagę na jedną okoliczność, która ma wielki wpływ na wartość i użytek tego domu. Przy pomieszkaniu wspomnianym znajduje się obszerne podwórze, w którym stoją wszelkie do gospodarstwa po-

trzebne budynki, lecz nie ma żadnego wjazdu, tylko wejście z ulicy wąskie; jest przeto rzeczą niepodobną, aby można tym wchodem zboże, drzewo lub bydło przeprowadzić, i dotychczas czyniono to przez bramę sąsiada. Pan R. twierdzi wprawdzie, że to już od bardzo dawnego czasu się działo, lecz sąsiad utrzymuje, jakoby jedynie z przyjaźni dla dzisiejszego posiadacza na to zezwalał, bynajmniej zaś do tego nie był obowiązany i mocen każdego czasu zabronić przejazdu. Obawiać się więc trzeba, że z powodu najmniejszego poróżnienia wątpliwy proces wyniknąć może, albo też, że już przy sprzedaży ta droga będzie zakazana.

Możnaby wprawdzie przez dom przejazd zrobić, lecz tym sposobem pomieszkanie bardzoby się zmniejszyło. Radziłbym przeto, abyś przy kupnie sądownie wspomniany przejazd przez bramę sąsiada zastrzegł sobie, a to, jak mi się zdaje, nie nastąpi bez wynagrodzenia.

Jeżeli więc chcesz ten dom nabyć, chętnie się przyłożę do owęj sądowej z sąsiadem ugody, który obawiając się kosztów z procesu wyniknąć mogących, da się nakłonić. Co jeżeli nastąpi, bardzo Ci radzę ten dom nabyć; bo cena jest niska. O czém wszystkiém najlepiej możesz się sam naocznie przekonać. Oczekując więc Twego prędkiego przybycia

Zostaje Twoim prawdziwym przyjacielem.

6.

Z prośbą o zboże do siewu.

Sprząt mój przeszłoroczny jarzyny był bardzo nędzny; z téj przyczyny chciałbym w tym roku zupełnie zmienić ziarno do siewu, spodziewając się lepszego i bujniejszego zboża na przyszłość. Wiadomo mi, że jęczmień W. P. Dobr. udał się bardzo dobrze, ośmielałem się przeto zapytać go, czybyś nie chciał ustąpić mi kilkadziesiąt korcy. Jeżeli Pan Dobr. przychylił się do mojej prośby, zostawiam do woli W. Pana Dobr., czyli będziesz żądał zapłaty za jęczmień, czy też ziarna po żniwach. Tą taską bardzobyś W. P. Dobr. mnie zobowiązał i nowy dowód przyjaźni sąsiedzkiej oka-

zał, za który starałbym się wywdziżyć. Zasyłając W. Panu Dobr. moje najniższe ukłony, zostaje.

7.

Zapytując się przyjaciela o wieś na licytacyę wystawioną.

Przed kilką tygodniami dowiedziałem się iż wieś Wolkowo ma być sprzedaną, którą chętniebym kupił, gdybym wiedział, że mógłbym z niej pewne mieć dochody. Upraszam przeto W. Pana D., który jako najbliższy sąsiad będziesz mi najlepiej mógł donieść, ile morgów gruntu ta wieś posiada, ile łąk do niej należy, czy ma lasy, stawy i jakie podatki na niej ciąży. Donosząc mi bliższe szczegóły tej wioski dotyczące, wielce mnie W. Pan Dobr. zobowiąziesz. Wiesz bardzo dobrze, że ja zawsze gotów jestem do wzajemnych przysług.

Zostaje.

8.

Jan udziela przyjacielowi wiadomości o teleskopie kupionym przez jego ojca.

Kochany Przyjacielu!

Jedno z moich najgorętszych życzeń zostało w tych dniach spełnione i nie mogę się wstrzymać od udzielenia Ci tej radości, jaką sam miałem. Mój ojciec kupił teleskop, który może zaraz być użyty do uważania gwiazd i kilkakrotnie używaliśmy go tak podczas dnia jako i w nocy. Wiesz, jak rozległy mamy widok z okien naszego ogrodowego mieszkania. Tu się nam zaraz przedstawiała doskonała sposobność doświadczenia mocy teleskopu. Przy jego pomocy zdołaliśmy jasno zobaczyć godzinę na zegarze wieżowym znajdującym się we wsi L., odległej o 1½ mili od nas. Mogliśmy rozróżnić zatrudnienia ludzi na rynku tej wsi; widzieliśmy dokładnie przejeżdżające powozy i osoby w nich się znajdujące na tracie odległym o milę i wiele innych rzeczy. Ledwo ci mogę opisać, jaką to rozkosz sprawiało mnie i moim krewnym. Ale o ileż wzrosło nasze podziwienie, gdy w czasie pogodnej nocy, ojciec kierował teleskop ku gwiazdzistemu niebu. Miejsca na które patrząc gołym okiem widzimy tylko lekkie chmurki, przedstawily się nam obfitujące w tysiące wesołych gwiazd;

niektóre z nich, (ojciec zowie je planetami), zwykle wydające się, jak punkta świecące, stały się tak wielkimi jak księżyc, a ten po wejściu, jakież nam uroczy przedstawił widok. Rozumieliśmy, że rozróżniamy góry i doliny, które przyjmowały najrozmaitsze postacie; wszystko, com widział tego wieczora, tak mnie głęboko przejęło, że całą noc o tém marzyłem.

Czy masz także ochotę patrzeć na tę wspaniałość nieba? Myślałem, że to memu ciekawemu Karolowi sprawi także przyjemność. Dlatego proszę cię podczas pierwszej gwiazdzistej nocy mnie odwiedzić. Zapewne osłupiejesz i będziesz podziwiał Tego, który na tym świecie wszystko tak wspaniale stworzył.

Życząc ci prędkiego udziału w mej radości, pozostaje twym,

Janem L. ...

9.

Nauka o zaćmieniu księżyca.

Kochany Bolesiu!

Zapewne wiesz, żeśmy wczoraj wieczór mieli zaćmienie księżyca. Ta okoliczność sprawiła mi nieopisaną radość. Oto, com uczynił. Poszedłem w pole, ażeby wszystkiemu dokładnie się przypatrzeć. Tu znalazłem, co mnie wielce uradowało, mnóstwo ludzi, a pomiędzy nimi i naszego pocziwego nauczyciela. Dobry człowiek zadawał sobie wiele pracy, ażeby nam objaśnić to zjawisko. Zapewne zgadujesz, że się jak najbliżej przysunąłem, ażeby ani słowa nie stracić i czegoś pożytecznego się nauczyć. Jak bardzo żałowałem, że ciebie tam nie było. Tymczasem opowiem ci, com z tego skorzystał.

Gwiazdy, które nazywamy planetami, nigdy nie stoją w miejscu, lecz wszystkie poruszają się po wielkich okręgach naokoło. Ale w swym biegu w takim się znajdują położeniu, że kilka z nich w linii prostej zostaje; zatem stojące naostatku nie mogą otrzymać światła od słońca, ponieważ ciała w środku będące je zasłaniają. Jeżeli zdarzy się, że księżyc będąc w pełni takie ma położenie, że ziemia znajduje się między nim a słońcem, to również nie

może otrzymać światła, ponieważ ziemia załania i rzuca swój cień na księżyc.

Tym sposobem, mówił nasz nauczyciel, powstaje zaćmienie księżycy. Pomyśl nad tem, a przekonasz się, że tak być musi. Jeżeliby jeszcze co było niezrozumiałem, to będę się starał ci to objaśnić, gdy do mnie przyjdiesz.

Bądź zdrow, pozostaję twym dobrym przyjacielem

Ksawery.

dnia 10 kwietnia 1846 r.

3. WEKSLE.

1.

Dobry na 100 Rub. sr.

Warszawa dnia.... Mca.... r.

'Za miesiąc od daty zapłacisz Pan za tym moim solą wekslem Panu Józefowi albo na jego zlecenie summe sto Rub. sr. Walutę odebrałem w gotówce, co Pan zaciągniesz do ksiąg swoich, podług (lub bez) mego zawiadomienia.

Do Pana Jakóba, Bankjera w Krakowie.

Jan.

2.

Weksle płatny w miejscu trzeciej osoby.

Dnia... zapłacisz pan za tym prima wekslem, na nasze zlecenie summe... Wartość w nas samych, co pan zaciągniesz na rachunek pana M. podług zawiadomienia.

3.

Weksle zwrotowy.

Warszawa dnia...

Dobry na...

A vista zapłacisz pan za tym solą wekslem panu... albo na jego zlecenie... Wartość w wekslu pana na... (albo wartość w wekslu zaindosowanym przez pana), nieopłaconym, z rachunkiem zwrotu, co wszystko tu załączone oddane mu będzie za opłatę tego wekslu.

(podpis)

Do pana...

(Nazwisko wystawionego)

Weksle suchy.

Warszawa d....

Dobry na 1,000 Rub. sr.

Dnia 18 lutego następnego zapłacę panu.... albo na jego zlecenie summe tysiąc Rsr., walutę w gotowiźnie odebrałem, i przyrzekam na terminie zapłacić podług prawa wekslowego.

(podpis)

Dobry na mnie samego.

Tu lub gdzie się znajduje.

(Wyjęte z Rachunkowości handlowej prof. Zubelewicza).

4. KONTRAKTY.

1. Kontrakt

Na postawienie sztachet żelaznych, lanych przed gmachem Gimnazjum w mieście S.

Miedzy budowniczym O. w imieniu Rządu na mocy upoważnienia Wyższej Władzy działającym, a W^{ym} W. R. Administratorem fabryki machin pod Nr. N. zamieszkałym, stosownie do poprzednio przez W. R. złożonej, a przez Wyższą władzę pod d. N. b. r. zatwierdzonej deklaracji, z drugiej strony, zawartym został kontrakt osnowy następującej:

§ 1.

W. R. obowiązuję się wykonać odlanie i dostawienie na miejsce S. powyższych sztachet z dopasowaniem, umocowaniem i pomalowaniem, za ceny wspomnioną na wstępie deklaracją oznaczone, a mianowicie:

- a) Za każdy centnar żelaza lanego Rsr. 3 k. 60.
- b) Za każdy funt żelaza w kolejach bramowych po Kopiejek 15.
- c) Za każdy funt w sztabach bramowych po Kop. 25.
- d) Za dopasowanie każdej bramy po Rsr. 15.
- e) Za każdą rólkę mosiężną do kolei po Rsr. 1 k. 20.
- f) Za każdy zamek po Rsr. 10.
- g) Za pomalowanie 1 łokcia bież. krat po Kop. 20.

h) Za pozłocenie górnej części każdej lancy po Kop. 20.

i) Za funt ołowiu Kop. 6.

k) Za wstawienie każdego łożka bież. krat z bramami po Rsr. 2.

l) Za przewiezienie każdego centnara z W. do S. po Kop. 30.

1) Za dopasowanie każdego łożka sztachet, czyli za każdą sekcją 44"le długą, po Rsr. 1 k. 15.

A zatem po obliczeniu stosownie do rzeczywiście potrzebnej długości sztachet, summa kontraktowa wynosi Rsr. 1614 Kop. 49, wyraźnie Rubli srebrem tysiąc sześćset czternaście, kopiejek czterdzieści dziewięć.

§ 2.

Wykonanie wszelkiej roboty odlewowej, przy postawieniu sztachet przedmiotem niniejszego kontraktu będących, W. R. obowiązuje się dopełnić pod odpowiedzialnością z całego majątku swego jak najdokładniej przy ścisłym zastosowaniu się do zatwierdzonego kontraktu w tym celu przez Wyższą Władzę pod Nr.

§ 3.

Nie wolno jest W. R. odstępować roboty odlewowej, przedmiotem niniejszego kontraktu będącej, na rzecz innej osoby, chyba w razie pozyskania szczególnego na to od J. K. zezwolenia.

§ 4.

Kontrakt niniejszy obowiązuje W. R. zaraz po podpisaniu go, Rząd zaś dopiero po zatwierdzeniu takowego przez J. K.

§ 5.

Gdyby W. R. w czémkolwiek nie dotrzymał warunków niniejszego kontraktu, wystawia się na wszelkie skutki i koszta, wynikłe z poruczenia wykonania roboty innej fabryce; wszelkie zaś spory, z niniejszego kontraktu wyniknąć mogące, nie w drodze Sądowej Cywilnej, ani Sądowej Administracyjnej, lecz prosto Administracyjnie rozstrzygane będą. W końcu W. R. poddaje się wyraźnie prostej egzekucji Administracyjnej.

§ 6.

Koszta spisane kontraktu i opłata wszelkich stempli do W. R. regulują się, i takowe przy podpisaniu kontraktu uiścić winien.

§ 7.

Początek, gdy nic do nadmienienia nie pozostało, kontrakt niniejszy w trzech jedno-brzmiących egzemplarzach spisany, po przeczytaniu i zrozumieniu go przez strony kontraktujące przyjętym i podpisanym został.

2. Kontrakt.

Miedzy Naczelnikiem zakładu Warzelni Soli, w imieniu i na rzecz Banku Polskiego, na mocy upoważnienia z d..... działającym z jednej, a E. zamieszkałym w mieście R. utrzymującym się przy licytacji w Biurze zakładu Warzelni Soli C. w dniu odbytej, stanęła dobrowolna umowa o dostawę łożu topionego w ośnowie następującej:

1. Eliasz T. podejmuje się dostawić na potrzebę Warzelni Soli C., i dowieźć własnym kosztem do Magazynu zakładu 825 funtów łożu topionego, czystego w dwóch partjach, to jest: połowę do końca stycznia r. b., drugą zaś połowę do dnia 3 (15) maja b. r.

2. Wypłata należności za dostawę łożu następować będzie z Kasy warzelnianej, licząc za funt jeden łożu topionego po Kop. sr. 11, a to po podaniu likwidacyi i poświadczeniu właściwych urzędników, że materia dostawiony został czysty i zdalny do użycia.

3. Gdyby entrepreneur nie uczynił zadosyć podjętemu zobowiązaniu, gdyby się opóźniał z dostawą, lub też łoż w gatunku złym i nieprzydatnym do zamierzonego użycia dostarczył, w takim wypadku zakład mocen będzie materia ten od kogo innego z wolnej ręki zakupić, po cenie wedle możliwości, a wszelkich złąd wyniknąć mogących szkód i straconych korzyści z majątku przedsiębiorcy poszukiwać.

4. Na pewność wywiązania się z podjętej dostawy, Eliasz T. przy podpisaniu niniejszej umowy, wnosi do Kasy

warzyelni Rsr. 23—71½, jako kaucya wymagana do téj dostawy, która nie przedzój zwróconą mu będzie, aż w zupełności tój dostawi i przez zakład zakwitowanym zostanie.

5. Przy wypłacie należności za dostawę łożu potrącony będzie jeden procent na fundusz stowarzyszenia braterskiego Górniczego.

6. Zastrzega się przytém, aby przy dostawie łożu złożył T. pokwitowanie z urzędu Konsumcyjnego Raciążek, że opłatę od wspomnionego łożu dopełnił, że tój nie jest defraudowany.

7. Kontrakt niniejszy w trzech jedno-brzmiących egzemplarzach spisany, obowiązuje od chwili podpisu, zakład zaś od daty potwierdzenia przez Bank Polski.

8. Kontrakt.

*Działo się w mieście Warszawie w Kancelaryi
Ziemiańskiej, dnia... roku...*

Przed M. C. pisarzem aktowym królestwa Polskiego i regentem Kancellaryi Ziemiańskiej gubernii Warszawskiej, w Warszawie, pod Nr. 545 mieszkającym, w obecności świadków niżej wymienionych, żadnemu wyłączeniu prawnemu niepodległych—osobiście stawający:

1. N. N. dziedzic dóbr N. N., w okręgu N. N. sytuowanych, w imieniu własném i w imieniu żony swéj Teressy z N. N., z mocy plenipotencji z dnia roku przed regentem N. N. okręgu N. N. zeznanéj i tu składającéj się czyniący, w dobrach rzeczonych N. N. mieszkający i zamieszkanie prawne obierający z jednéj, a

2. N. N. urzędnik B. P. w jego imieniu z mocy upoważnienia z d.... r.... wydanego i tu składającego się czyniący, oraz w biurze tegoż B. P. zamieszkanie prawne do wykonania tego aktu obierający, z drugiejj strony stawający, pisarzowi aktowemu znani, do czynności prawomocnych zdolni, zeznali, iż zawarli kontrakt o dostawę drzewa opałowego do zakładu rządowego Warzelni Soli w Ciechocinku, w osnowie następującej:

Art. 1.

N. N. dziedzic zobowiązuje się dostawić trzydzieści tysięcy sążni kubicz. drzewa opałowego, a mianowicie: 25,000 sążni kub. drzewa garnowego, a 5,000 sążni kub. drzewa twardego do zakładu Rząd. Warz. Soli w N.

Art. 2.

Drzewo to powinno być w lesie piłą porżnięte i łupane na szczapy, a to z drzewa stanów rębnych, a nie z młodzieży na pniu stojących, tojest: powinno być rżnięte ze staro-drzewa zdrowego, i nie murszywego; — cięcie drzewa; rżnięcie piłą i łupanie dokonywać się będzie stosownie do przepisów gospodarstwa leśnego przez rząd postanowionych, w późnéj jesieni i zimie, tojest w czasie od 1 (13) listopada do ostatniego marca każdego roku, sprawdzenie czego w lesie na miejscu Zawd. Zakł. Cud. jeżeli tego uzna potrzebę, zarządzić może.

Art. 3.

Aby warzelnia zapewnione miała zawsze drzewo należycie suche, Wincenty Woz. zobowiązuje się tak urządzić cięcie i łupanie drzewa, aby ciągle był zapas sążni, dwuletniejj potrzeby zakładu odpowiadający, aby ciągle stało w lesie urąbanych i ustawionych gotowych do brania na fury około 12,000 sążni kubicznych, a to poczynając już od jesieni i zimy r. b. Zarząd warzelni mieć będzie prawo przekonywać się, czyli oznaczony zapas drzewa jest przysposobiony.

Art. 4.

Szczapy drzewa dostawiać się mającego, jak już wyżej w Art. 2 powiedziano, zdrowe i proste, trzymać powinny na łuku czyli części obwodowejj, najmniej 9 cali, a strzały czyli przecięcia szczapy cali 6. Mogą także być przyjęte po części sążnie cięte z drzewa okrąglakowego, a to w stosunku niżej w Art. 6 opisanym.

Art. 5.

Za drzewo okrąglakowe uważane będą szczapy mniejszego jak w Art. 4 opisano wymiaru, nie mniejsze jednak jak trzymające na łuku cali 7, a strzały cali 4; przyjęte bę-

dą także okraglaki proste, zdrowe z wierzchołków, gałęzi od ściętego karodrzewa oraz z drzewo-stanów młodych, okraglaki atoli takowe trzymać powinny średnicy od 3 do 6 cali, cieńsze drzewo gałęziowe nietrzymające średnicy cali 3 nie będzie przyjęte.

Art. 6.

Gdy jednak drzewo okraglakowe wyżej opisane, jako pochodzące z gałęzi lub drzewa młodego, mniej ma siły palnej jak ze starodrzewu, sążnie przeto okraglakowe liczone będą proporcjonalnie, to jest 6 sążni kub. drzewa okraglakowego, za 5 sążni kub. drzewa szczapowego ze starodrzewu. Drzewo atoli okraglakowe powinno być proste i bez wystających sęków, w ogólnej zaś dostawie tylko $\frac{1}{4}$ część drzewa okraglakowego będzie przyjęta.

Art. 7.

Drzewo twarde w $\frac{1}{6}$ części ogólnej zakontraktowanej ilości dostawić się mające, N. N., może dostawić z korą lub bez kory.

Art. 8.

Z całej partii drzewa, niniejszą umową skontraktowanego, każdo-roczna ilość ma być dostawioną do zakładu w Ciech. w sążniach kubicznych i pół-kubicznych, a mianowicie: $\frac{2}{3}$ części ogólnej ilości w sążniach kub. całych, a $\frac{1}{3}$ część w pół sążniach, czyli sąż. kub. 4000; drzewa twardego sąż. kub. 1000, czyli sążni półkub. 2000 i tyleż, to jest drzewa miękkiego sążni półkub. 2000. — Jeżeliby w którym roku warzelnia potrzebowała mniej sążni ilości drzewa miękkiego w sążniach półkubicznych, N. N. o tém wcześniej przez zarząd uwiadomiony zostanie.

Stosunek ten sążni półkubicznych do kubicznych zachowany będzie każdego roku w dostawach na potrzeby zakładu, które się oznaczają na sześć tysięcy sążni kubicznych łącznie, tak, aby dostawa nie odhywała się w pierwszych latach w sążniach tylko kubicznych, a następnie półkubicznych lub odwrotnie, lecz aby w każdym roku skuteczniona była, jak wyżej wyrażono.

Art. 9.

Sążeń kubiczny drzewa już suchego trzymać powinien na miarę nowopolską długości stóp 6, szerokości stóp 6 i wysokości stóp 6, czyli objętości stóp 216; wszystkie szczapy i okraglaki nie mogą być krótsze od 6 stóp, sążeń półkubiczny trzymać powinien na miarę nowopolską długości stóp 6, szerokości stóp 3, wysokości stóp 6, czyli objętości stóp 108. Dwa sążnie półkubiczne płacone będą tak, jak jeden sążeń kubiczny.

Art. 10.

Dostawa tego drzewa trwać ma lat pięć w równych corocznie ilościach i w stosunku co do drzewa twardego i miękkiego w Art. 7 wskazanym, rachując od daty rozpoczęcia dostawy. Dostawa zaś rozpocznie się od terminu wskazać się mającego przez zarząd zakładu na piśmie sześć miesięcy naprzód, nie później jednak jak w lat $2\frac{1}{2}$ od daty niniejszego kontraktu; chociażby takowy termin rozpoczęcia dostawy drzewa, miał być odłożony do lat 2 lub 3 od daty niniejszej umowy, N. N. nie będzie miał nic przeciw temu, i żadnej zatem pretensyi rościć nie może; zastrzeżenie obecne nie zwalnia go nawet od przyjętego wyżej Art. 3 obowiązku, rozpoczęcia w pierwszej nadchodzącej stosownej porze cięcia i łupania drzewa, aby w lesie był zapas sążni dwuletniej potrzeby zakładu odpowiadający. Coroczna potrzeba warzelni oznacza się na sążni kub. 6000, w stosunkach Art. 7 i 8 wskazanych. Gdyby jednak w którymkolwiek roku okazała się potrzeba mniejszej ilości drzewa, o której wcześniej zakład powinien uwiadomić, N. N. przyjmuje obowiązek zastosowania się w dostawach do żądań zarządu uczynionych na piśmie, i żadnych złąd pretensyj rościć nie może, chociażby dostawa nie w pięciu latach od czasu jej rozpoczęcia, lecz w czasie dłuższym nastąpiła.

Art. 11.

Dopóki cała niniejszą umową zakontraktowana ilość drzewa do warzelni dostawioną nie będzie, dopóty N. N. obowiązuje się nikomu drzewa z lasów swoich, do dóbr N.

z przyległościami należących, nie sprzedawać, bez poprzedniego porozumienia się i zezwolenia Banku; a za pewność podjętej przez siebie dostawy, całym swym majątkiem w szczególności rzeczonymi dobrami N. Bankowi zaręcza; wolno tylko będzie N. sprzedać około 500 sążni w lesie, za granicą pruską położonym, już dawno wyrabane. Na potrzebę gruntową opału, mocen będzie N. N. używać drzewa okrąglakowego i gałęziowego; spuszczać zaś na ten cel starodrzew ze pnia, drzewo szczapowe na rzecz warzelni ma być odkładane; drzewo na potrzebę gruntowej budowli nie inaczey może być używane, jak za poprzedniem zniesieniem się z zarządem zakładu warzelni, któremu również dozór nad całością lasów przez ciąg trwania kontraktu jest poruczony.

Art. 12.

Za całość drzewa dostawiać się mającego, do ułożenia go w sążnie na placach warzelnianych i oddania zakładowi, sam tylko N. bierze na siebie odpowiedzialność, i przed oddaniem zakładowi drzewa, wszelka strata w niem z jakiegobądź powodu wyniknąć mogąca, samego tylko N. N. dotyczyć może.

Art. 13.

Za drzewo warunkom powyższymi artykułami opisanym odpowiadające, do warzelni Ciechocińskiej dostawione i przez zarząd zakładu za dobre przyjęte, zapłaci Bank N. N. po Rsr. 3 k. 30 za każdy sążeń kub. lub 2 sążnie półkubiczne drzewa miękkiego, a po Rsr. 4 k. 20 za każdy sążeń kubiczny lub 2 sążnie półkubiczne twardego. W tej cenie mieści się wartość drzewa i kosztu jego cięcia, tupań, przewózki do warzelni i porządne na placach warzelni w miejscach przez zarząd zakładu wskazanych ułożenie. Dopóki bowiem drzewo w sążnie porządnie w zakładzie ułożone nie będzie, przyjmowane i kwitowane z odbioru być nie może. Gdyby zaś takowe ułożenie sążni ze strony dostawcy było odwlekane, zarząd zakładu ze względu na potrzebę utrzymania porządku na placu, mocen będzie na koszt N. to ułożenie zarządzić, a w tym razie

protokół takiego uporządkowania jednostronnie przez zarząd spisany, stanowić będzie dowód zupełny ilości sążni odebranego drzewa.

Art. 14.

Z ceny za drzewo powyższym artykułem umówionej, potrącony będzie N. N. stosownie do obowiązujących przepisów 1 od sta na fundusz stowarzyszenia braterskiego górniczego, reszta wartości drzewa zapłacona będzie w sposobie opisanym artykułami poniższymi.

Art. 15.

Dla ułatwienia zwózki drzewa Bank zapewnia, iż obowiązkiem będzie zarządu warzelni utrzymać drogi w terytoryum zakładu, a mianowicie groble przy warzelni w dobrym stanie.

Art. 16.

Dopóki dowóz drzewa z lasów Grabskich dla warzelni zakupionego trwać będzie, luka Wygoda dla fur przewożących toż drzewo ustanowiona, służyć także będzie dla fur przybywających z zagranicy Pruskiej po drzewo z lasów Służewskich. Skoro zaś układ o kupno drzewa Grabskiego, stanowczo rozwiązany zostanie, N. N. chcąc w sposobie pomienionym korzystać z rzeczonej luki Wygoda, obowiązany będzie opłacać rocznie na strażnika Rsr. 225 i na jego mieszkanie rocznie Rsr. 16 k. 20.

Art. 17.

Na rachunek należytości za drzewo niniejszą umową skontraktowane, otrzymuje N. N. zaliczenie od Banku w sumie Rsr. 45,000 w monecie srebrnej, kurs w kraju mającej, która, wypłaconą będzie w ratach przez N. wskazać się mających. Zaliczenie takowe wraz z procentem 5% od daty podniesienia rocznie N. obowiązuje się zwrócić Bankowi drzewem opałowym dla zakładu Ciech. podług warunków niniejszej umowy, dozwalając, aby summa ta z mocy niniejszego aktu zainstabulowaną była na rzecz Banku, jako dług prosty w dziale IV wykazu hipot. dóbr jego N. z przyległościami zaraz po długi Tow. kred. ziem. z pierwszeństwem przed summa posagową żony N. w dziale IV wykazu hip.

pod Nr. 10 w ilości Złp. N. ubezpieczoną, w skutku czego N. N. w imieniu swój żony z tą sumą posagową ustępuje pierwszeństwa hipotecznego Bankowi Pol., i zezwala, aby o tym ustąpieniu pierwszeństwa stosowna wzmianka w wykazie hipot. uczyniona była, a to tak obok summy posagowej, jakoteż przy wpisie summy Bankowej Rsr. 45,000, jak niemniej zezwala także N. na zabezpieczenie w dziale III wykazu hipotecznego tak przyjętego względem Banku obowiązku dostawy 30,000 sążni kub. drzewa, pod warunkami i zastrzeżeniami niniejszym kontraktem oznaczonymi, jakoteż obowiązku niesprzedawania drzewa z lasów N. komubądźkolwiek dopóty, póki kontrakt z Bankiem zawarty trwać będzie, który to obowiązek przyjął na siebie artykułem 11 tegoż kontraktu. Tak summa 45,000 Rsr. w dziale IV, jakoteż wpisy w dziale III hipoteki dóbr N. uczynione, pozostaną tam aż do zupełnego ukończenia tegoż interesu, i wtedy dopiero wykreślone zostaną, gdy NN. z obowiązków niniejszą umową przyjętych w zupełności się wywiąże.

Art. 18.

Dopóki powyższe zaliczenie w summie Rsr. 45,000 wraz z procentem po 5% rocznie od daty wypłaty liczyć się mającym, nie będzie Bankowi zwrócone w wartości drzewa dostawionego do warzelni soli w Ciechocinku przez N. N., licząc każdy sążeń po cenie w Art. 13 umówionej i po potrąceniu procentu na fundusz braterski górniczy według Art. 14, dopóty za dostawione do Ciechocinka drzewo, Bank płacić nie będzie. Corocznie w miesiącu czerwcu udzielany będzie N. N. z Banku rachunek, tak wartość dostawionego drzewa, jako i pozostającą dla Banku w kapitale i procencie należność wykazujący, który to rachunek N. N. sprawdzić i poświadczenie onego Bankowi przysłać będzie obowiązany. Przy zastrzeżeniu takiej formalności zrzeka się N. N. formowania pretensyi i wszelkich procesów obrachunkowych, i wyraźnie deklaruje, że księgi Banku Polskiego i uformowane na ich zasadzie rachunki stanowią będą przeciw W. N. dowód zupełny, ustanawiający wysokość tak części zaliczenia zamortyzowanej dostawionem do warzelni drzewem, jakoteż tej części zaliczenia, jaka

jeszcze do zaspokojenia Bankowi pozostawać będzie, oraz procentów od niej przypadających. Przeciwno tym księgom i rachunkom będzie mógł jedynie W. N. czynić przedstawienia Bankowi, którego decyzje, w drodze ekonomicznej wydane, za ostatecznie rzecz załatwiające uważać będzie, bez możności udawania się do drogi sądowej.

Art. 19.

Po zaspokojeniu całej należności Bankowej wraz z procentami, przypadająca należność za dostawione drzewo, po potrąceniu procentów na fundusz górniczy braterski P. N. płacona będzie stosownie do żądania jego, bądźto z kasy warzelni za formalnem pokwitowaniem z odbioru drzewa, bądź z kasy Banku w Warszawie, za złożeniem formalnej assygnacyi przez zarząd warzelni wydanej. Wypłata atoli za drzewo następować będzie dopiero po dostawie partyi najmniej 500 sąż. kub. wynoszącej i dokładnem onego na placu ułożeniu.

Art. 20.

Gdyby NN. podjętej dostawy drzewa nie uskutecznił ściśle podług zasad niniejszej umowy, lub dostawił drzewo dla warzelni nieprzydatne, wtedy Bank, bez udawania się do drogi sądowej o rozwiązanie kontraktu, mocen będzie dla zastąpienia warzelni od wstrzymania w biegu, drzewo zkadinać zakupić, a odmówić przyjęcie nieprzydatnego i nieodpowiadającego warunkom kontraktu, chociażby już do zakładu było zwiezione. N. N. bez roszczenia jakichbądź pretensyi, obowiązany będzie dopłacić Bankowi przewyżkę, gdyby drzewo zkadinać było kupione po wyższych cenach, niż są w niniejszym kontrakcie oznaczone; do ustanowienia zaś tej przewyżki, służyć będą za zasadę kontrakty z sprzedawającymi przez Bank zawrzeć się mające podług jego uznania, bądź z wolnej ręki, bądź w drodze licytacji. Nadto obowiązany będzie N. N. wynagrodzić Bankowi wszelkie szkody i straty wynikłe z niedostawienia przezeń drzewa w swoim czasie w dostatecznej ilości, lub w dobrym gatunku, umową zastrzeżonym.

Dla pewności ścisłego wykonania niniejszej umowy we wszystkich punktach i zastrzeżeniach, N. N. poddaje się rygorowi egzekucyi sądowej lub administracyjnjej wedle wyboru Banku, i na umieszczenie tego rygoru w wykazie hipotecznym zezwala. Koszta tak niniejszego kontraktu jako téż w swoim czasie wykreślenia z hipoteki oprócz opłaty stępla, od której układy z Bankiem na mocy § 39 ukazu z dnia 17 (29) stycznia 1828 r. są wolne, N. N. poniesie.

Wreszcie kontraktujące strony oświadczyły, iż zrzekają się wszelkich ewekscypcyj prawnych na oślabienie aktu tego w czémkolwiek posłużyłby mogących.

Poczem Akt niniejszy w obecności świadków N. N. w Warszawie mieszkających obywateli, stawajacym przeczytany, i przez nich we wszystkiem przyjęty i podpisany został.

(podpisy)

Stron stawajacych,
Świadków i Pisarza aktowego.

dalej

Nakazujemy i zalecamy wszystkim Komornikom sądowym, od którychby się tego domagano, aby akt niniejszy wyegzekwowali. Naszym Prokuratorom królewskim, aby tego dopilnowali, Komendantom i Urzędnikom siły zbrojnej, aby dodali pomocy wojskowej, gdy o to do nich prawna zajdzie rekwizycja.

Warszawa, dnia

Podpis Pisarza aktowego.

V. HISTORIA NATURALNA.

1. Myśli Okena względem usposobienia umysłowego zwierząt.

Wymoczki i polipy nie mają nigdy pamięci, czują rzeczy zewnętrzne, lecz czucia tego nie pojmują. Życie ich umysłowe w pewnym względzie jestto stan magnetyczny, w którym widzą, wachają, smakują, czują, mimo braku odpowie-

dnich zmysłów. Uwaga i przezorność zdają się być pomyślnymi małżów i ślimaków. Patrząc na ślimaka, mniemamy, iż mamy przed sobą wieszczą boginię na trójnogu. Jaka okazałość w czołgającym się ślimaku, jaka rozwaga i powaga, jaka lekliwość, a zarazem jaka stała otucha. Zaprawdę ślimak jest wzniosłym godłem głęboko w swym wnętrzu drzymiącego umysłu. Owad jest głównie organem powietrza i ruchu, czemu równie umysł jego odpowiada. Oddychanie sprawia moc, za tą idzie odwaga, z których każda tak wybitną jest cechą owadu; nad owad nie ma ziemia mocniejszego, nie ma waleczniejszego zwierzęcia. Gdy z oddechem jednoczy się powonienie, mają przeto owady węch doskonały, w którego duchu mieści się chytróść i obłuda, przymioty, jakimi niełatwo które zwierzę przewyższy owady. Z ruchu wykwiła popęd do dzieł sztucznych. Ryby są to przeczuwające, sztuczne zwierzęta, które tajną siłą przynęcone, największe odbywają podróże, zdobyć swoje w milowej odległości wyszukać umieją, sąto flegmatyczki. Ziemniowody pojętniejsze są niż ryby; wiele wspomnień mogą one porównywać, a zatem rozważać; odwaga, jaką posiadają jako zwierzęta piersiowe, przechodzi u nich w beczelność, sąto tylko zgłodniałe zwierzęta, właściwa im jest melancholia. Ptaki mają władzę tworzenia wyobrażeń, to jest mogą poznać rzeczy z ich obrazów; mają prócz tego mowę, to jest: znaki, godła, które same nie są rzeczami, lecz je tylko oznaczają; poznają one stosunek objawienia umysłowego do organu lub materji, postrzegają związek tam nawet, gdy ten pochodzi czysto z wyobrażenia i nie ma w sobie nic materalnego. Wyobraźnie (sny), rozwagę, chęć naśladowania, władzę porównawczą posiadają w zupełności, są one temperamentu krwiślego. U zwierząt ssących do innych usposobień zmysłowych dołącza się dusza oka, z tą właściwe poznanie i pojmowanie; dlatego spostrzegamy u zwierząt tych pojętność, wstyd, dumę, wierność, nienawiść, mściwość i t. p. sąto choleryki. Wszelako ich pojętność jest jeszcze bez wiedzy własnej, jestto pojmowanie niektórych znaków bez ich łączenia i rozdzielania, bez sądu. Jeżeli zresztą dla zwie-

rzęcia wszystkie jego organa stają się przymiotami, przez wglądanie się na wszechświat i przysłuchiwanie zwierzęciu, w godła i znaki rozptylnionemu, wtenczas wpatruje się samo w siebie, spostrzega się i jest o sobie zupełnie przeświadczone. Wtenczas zwierzę równe jest całemu ogółowi zwierząt, równe jest światu. Tym powszechnym duchem jest człowiek. W jego rodzie powstała indywidualność świata. Człowiek jest obrazem świata. Jego mowa jest duchem świata. W człowieku jednoczą się wszystkie czynności zwierzęce.

2. ZOOLOGIA AZYI.

Obszerność Azji i rozmaitość położeń, klimatów, gruntu i płodów, każe domyślać się wielkiej liczby zwierząt i wielkiej ich rozmaitości. Rzeczywiście jest ona bogatszą w nie nad inne części świata. Zwierzęta Azji są w większej części pierwotnymi jej mieszkańcami, i dlatego zachowały tu więcej niż gdzieindziej, czystość rodu, piękność i przymioty fizyczne jakoteż moralne. Z 1346 znanych czworonożnych gatunków cała trzecia część czyli 423 gatunków utrzymuje się w Azji; lecz z nich tylko 288 wyłącznie są jej właściwe; reszta zaś bez różnicy mieszka w Europie i Ameryce. Przyczyną tego musi być sąsiedztwo i podobieństwo mianowicie północnej strefy Azji z temi częściami świata. Godna uwagi jest, że pokrewieństwo przeżuwających jest tu najliczniejsze, a szczerbatych i workowatych najszczuplejsze; gdy tymczasem w Ameryce jest wbrew temu przeciwnie. Słoń, chociaż rodzi się zawsze w stanie wolności, jest wszakże, celniejszym z domowych zwierząt azyatyckich. Od czasów Aleksandra W. wiadomo, że go używano tak do wojny jako i posług zwyczajnych; całe trzody słońców utrzymują się na stałym lądzie i na wyspach Indyjskich. Gatunki zwyczajnych domowych zwierząt rozmaitsze i lepsze są tu niżeli w innych częściach świata. Koń, osieł, wielbłąd i zapewne wiele innych rodzajów są właściwie mieszkańcy Azji średniej. Z koni nad wszystkie słyną arabskie. Ich piękność, okazałość, lekkość, siła, zwinność i pojętność czyni je celem

szczególnych starań ich właścicieli. Plemiona pasterskie zaludniające stepy Azji wyższej, także utrzymują wielkie stada koni, i używają ich nietylko do jazdy, lecz też karmią się ich mlekiem i mięsem. Powiadają niektórzy, że we wnętrzu Tartaryi znajdują się dzikie konie i osły; lecz zdaje się, że dżagataj (albo kułan), środkujący między osłem i koniem, a rzeczywiście mieszkający tam w zupełnej dzikości, był przez nich wzięty za jedno z tych zwierząt. Osły azyatyckie różnią się od europejskich większym wzrostem i piękniejszą powierzchownością. W Persyi, Syryi i Lewancie zwierzę to nie wiele ustępuje nawet koniowi w piękności i kształtności członków swoich, w szlachetności postawy i w rączności. W Azji są 2 gatunki wielbłądów. Dwugarbowe znajome tylko w Azji wyższej, a jednogarbowe dromedary właściwe są: Arabii, Syryi, Mezopotamii, Persyi, Indyom, a nawet Chinom. Z pokrewieństwa byłaby rogatego 4 gatunki znajome tu są od czasów niepamiętnych w stanie domowym. Wół indyjski (*bos indicus*) różni się od zwyczajnego europejskiego wołu wysokością nóg, wielkim garbem między łopatkami, głosem i nieco składem wewnętrznym.

Szykowność i szlachetna postać tego zwierzęcia zjednała mu szczególny szacunek między Indyanami. Niektóre nawet z tego gatunku odbierają cześć boską, jak wcielone bóstwa Wisznu; to mimowolnie przypomina cześć odawaną w Egipcie Apisowi. Woły te używają się do przewożenia ciężarów a nawet pod siodło. Z Indyj rozeszły się po Persyi, Syryi a nawet i do Afryki. Wół mrućzak albo grzywiasty (*bos gruniens*) jest drugim gatunkiem wołu, znajomego w Azji środkowej od dawnych czasów. Starożytni nazywali woły tego rodzaju Poephagos. Odróżnia się od innych białemi, długimi z jedwabnistym włosem ogonami, z których robią buńczuki tureckie i wachlarze używane na wschodzie. Woły te są przedmiotem znacznego handlu i niekiedy przedawane bywają po cenie bardzo wysokiej. Trzecim gatunkiem jest bawół (*bos bubalus*) utrzymujący się dotąd w stanie dzikości, w lasach Chin i Indyj. Dzikie bawoły nazywany u Indyan Arni, we wzroście

i sile ustępuje tylko słoniowi. Walka jego z tygrysem była niegdyś upodobanym widowiskiem indyjskich władców, i podług świadectwa wiarogodnych widzów, bawół zawsze zwyciężca. Wielkie trzody swojskich bawołów pasą się po całym półwyspie indyjskim; dziwna jest tych zwierząt uległość pasterzom swoim i nieustraszonosc, z jaką ich bronią od panter i tygrysów. Używane są do przewożenia ciężarów, a mleko służy za pokarm Indyanom. W Azji zachodniej zaprowadzono także bawoły swojskie. Nakoniec czwarty i ostatni gatunek wołów azjatyckich jest zwany: *bos gavaeus*. W państwie Birmańskim i we wszystkich górnych powiatach ku północo-wschodowi względem posiadłości Brytańskich znany jest jako zwierzę domowe. W stanie dzikości mieszka on w górzystych częściach Indyj, gdzie nazywa się gaur. Ogromny jego tułów zwyczajnie bywa ciemno-burego koloru; nogi krótkie i od kolan białe. Niezwyczajna wypukłość czołowej kości jest właściwą cechą tego gatunku. Rogi krótkie, ślimakowato niekształtnie są zakręcone. Gatunki kóz i owiec w Azji są rozliczne i mnogie. Owce tłustoogonowe, z ojczyzny swojej Arabii rozeszły się po całej stepowej połaci. Na wyniosłych płaszczynach utrzymują się z cienką wełną owce; lecz te daleko ustępują w dobroci runa kaszemirskiemu albo tybetańskiemu kozom, z których sierci wyrabiają się najlepsze szale.

Kozy te co do postaci i wzrostu mało się różnią od zwyczajnych; znajdują się w Kaszemirze, Tybecie, Butanie i w ogólności wzdłuż północnej pochyłości gór Himalajskich; lecz z nich wyprowadzone gdzieindziej rozmnażać się nie mogą; nawet i w Neapolu nie udało się ich upowszechnić. Koza angorska, podlejsza odmiana tegoż gatunku, różni się obwisłymi uszami i siercią nadzwyczajnej długości, lecz nie tak cienką, która dlatego nie może być używaną na szale w najlepszym gatunku. Zwyczajny gatunek kóz azjatyckich ma nogi wysokie, uszy zwiste, sierć bardzo krótką i małe szrubowate rogi. Mięso ich w niektórych okolicach przenoszą nad baranie, a obfitosc mleka czyni je przedmiotem szczególnej pieczołowitości. Świnie

w stanie dzikości znajdują się w większej połowie Azji, lecz domowe tylko w Chinach; gdyż Chińczycy tyle cenią ich mięso, ile się niemi brzydzą Mahometanie i Budaiści. W Indjach trzody pół dzikich świń błakają się około wiosek; lecz, że religia Bramańska zabrania używania mięsnego pokarmu, to mieszkańcy nie zwracają na nie żadnej uwagi i nie jadają wieprzowiny nie przez jakiś wstręt szczególny, tylko dlatego, że nie jadają żadnego mięsa; lecz Mahometanie i Izraelici mają sobie wzbroniony ten pokarm; Chińczycy zaś przeciwnie to mięso nad inne przenoszą. Z rodu kotów, mieszkającego w całej Azji, najznakomitszy gatunek kot angorski; zaleca się długością, miękkością i pięknocią sierści, która drogo bywa przedawana w Europie. Z rzędu czterorękich właściwe są Azji małpy rozlicznych gatunków, jakoto: orangutany i długorękie, mające najwięcej podobieństwa z człowiekiem, także pawiany (*papiones*) w liczbie których najcenniejszy jest *Pavian perukowaty* (*Papio hamadryas*), obrzydliwe i złośliwe małpy ogoniaste, a z rodzaju małp zwierzów (*lemur*) gatunki *Stenops* i *Tarsius*; wszystkie te zwierzęta właściwe są Indjom, Chinom i wyspom. Z rękoskrzydłych, upiory (*Vampyrus*) i rozmaite inne gatunki nietoperzów obficie tamże się znajdują. Z drapieżnych są następne: kilka gatunków niedźwiedzi, mianowicie: *ursus soriacus*, mieszkający w górach Libańskich, *ursus labiatus* w Indjach, i biały czyli polarny, na brzegach morza Lodowatego; prócz tych są inne gatunki w górach Himalajskich i innych miejscach. Syberya obfituje w lisy, bobry, sobole, kuny, gronostaje i wiele innych. Tygrys jest właściwym Azji tylko; szczególnież duży gatunek *Ryma Dagan* (*felis macrocelis*) znajomy jest w Syamie i na wyspie Sumatrze. Pantery mieszkają w lasach Indyj, lwy na wyspie Guzeracie. Lew tutejszy nie ma grzywy i nietylko jest srogi co afrykański. Chociaż pokrewieństwo workowatych właściwe jest Australii, lecz niektóre gatunki znajdują się i na wyspach azjatyckich, wiążących niejako te dwie części świata. Tutejszy Kanguru (*Macropus Bruynii*) był najpierw opisany przez Europejczyków. Z wielkiej liczby gryzących, niewiele zasłu-

guje na uwagę ani pod względem swojego przemysłu, ani pod względem handlu lub gospodarstwa wiejskiego. Znane są 3 albo 4 gatunki zajęcy, bobaki, świszczce, wiewiórki pospolite i palatuchy (pteromys), oraz jeżozwierza 2 albo 3 gatunki. Z rzędu bezzębnych, są tylko 2 gatunki pancerników (manis), inaczej nazywane łuskowatemi mrówkojadami; istotnie podobne do amerykańskich mrówkojadów, z tą różnicą, że miasto sierci, pokryte są równoległymi, zachodzącymi na siebie, szerokimi łuskami, które podług woli zwierzęcia podnoszą się i przylegają. Z liczby gruboskórych prócz słonia, o którym wyżej się mówiło, są trzy gatunki nosorożców (*R. Indicus* i *R. Javanicus*) jednorożne i jeden (*R. Sumatrensis*) dwurożny. Dwa gatunki świń: wieprz zwyczajny (*Sus scrofa*) i babirusa (*Sus babrussa*) wyłącznie właściwe są archipelagowi Indyjskiemu i odznaczają się swojemi kłami łękwato w górę zagiętymi. Tapiry malajskie, które znajdują się także i w lasach południowej Ameryki. Między przeżuwającymi, prócz różnych rodzajów jeleni i antylop, zasługuje na szczególną uwagę piżmowiec tybetański (*Moschus moschiferus*); nie jest on większy od zwyczajnej kozy i nie ma rogów. Piżmo, tak wysoko cenione na Wschodzie, zawiera się w małym woreczku blisko pośladków u samca. Najlepszy gatunek piżmowca mieszka zwyczajnie na najwyższych górach Tybetu, rzadko poniżej pasa śnieżnego; lecz 4 albo 5 jest drobniejszych gatunków, nieco większych od zająca, i podobno najmniesze z dwukopytkowych napotykają się i na nizinach Indyj, jakoteż na wyspach. Brzegów Azji trzymają się różnego gatunku wieloryby wspólne Północnemu i Wschodniemu oceanowi. Kilka gatunków delfinów znajduje się w morzach podzwrotnikowych; księżycogon czyli morska dziewczica (*Halicore*) w wodach archipelagu indyjskiego; a gruboskóry suchogrzbiet około Kameczatki i wysp Kurylskich. Ptaki azyatyckie odznaczają się żywością i blaskiem kolorów. Szczególniej wielce jest rozmaity i piękny ród kurzy. Z Azji, jak się zdaje, pochodzą nasze kury, równie jak i domowe zwierzęta czworonożne. W górach Himalajskich znajdują się 3 albo 4 gatunki z rodzaju kury

i bażantów, pomiędzy któremi bażant impajański, odznacza się metalicznym blaskiem i połyskiem pierza. Chiny są ojczyzną złotego i srebrnego bażanta (*phasianus pictus* et *nyctemerus*), bażanta z kołnierzem (*ph. torquatus*) i nowo odkrytego (*ph. reevesii*) z ogonem od 3—4 stóp długim; bażant ognisty (*ph. ignitus*), i bażant argus (*ph. argus*) właściwe są wyspom Borneo i Sumatrze. Dawniej mieszkające w Mezopotamii strusie, teraz podobno nie znajdują się w Azji. Wreszcie Herbert widział je w r. 1627 w Persyi, między Larem i Szyrazem, a Rzewuski 1819 r. w pustyni Syryjskiej około Palmiry. Kazuar (*casuarius*), ptak bardzo podobny do strusia ze wzrostu i składu, mieszka na wyspach Indyjskich. Reszta ptaków azyatyckich nie zasługuje na szczególną uwagę. Liczne i rozmaite gatunki płazów, ryb, owadów i innych klas zwierząt, nie mogą tu być wyszczególnione.

3. O WOLE I W OGÓLNOŚCI O BYDLE ROGATÉM.

przez

Antoniego Waga.

Budowa karku u wołu wskazała przemysłowi ludzkiemu tę pomoc, której wymagał konieczny a trudny życia społecznego warunek, to jest coroczna walka ze skłonnością do zadziczenia powierzchnią ziemi. Nachylił więc silną i żyłastą szyję pod jarzmo, nie tylko żeby dla rolnika był pomocą, lecz żeby u żywicieli swoich na szacunek i wdzięczność zasłużył. Cierpliwy, posłuszny, więcej nawyknięciem niżeli wrodzonymi zdolnościami dowodzi; pracowitością i wytrwałością w trudach wywyższa się nad wszystkie zwierzęta. Od tej ziemi, którą użyznił i w skiby pokrajał, dostateczne są dla niego dary: chwast, słoma, plewy; w całości ziarno nam oddaje. W jego to rodzie mieści się źródło zdrowiodawczego pokarmu, mleka, które przemysł ludzki w nabiału przekształca. Tak, gdy od czwartego roku zacznie być zdolnym do pracy, przez sześć lat potem tylko dla człowieka żyje. I jakąż mu wdzięczność mamy, jaką za to poświęcenie się zupełne, cześć mu oddajemy? Ze drżeniem wstępować musi w progi domu, ażeby upadł

pod zgubnym ciosem rzeźnickiego narzędzia. Grzebiemy go we wnętrznościach naszych, ażeby zepsulój żądry apetytu naszego dogodzić. Uwija się chciwość nasza z pozbięciem najdrobniejszych szczątków jego. O jego rogi i kości walczy grzebieniarz, tokarz, nożownik. Jeszcze i krew jego ogrodnik lub rolnik na użyźnianie gruntu poświęca; ona także zamorską słodycz w bryły cukrowe przeistacza, lub téjże sztuki czarem, swoją czerwoność w błękit przemienia. Ten złoty, ten pęcherz, ten sierć jego zagarnął, i jedną tylko jego zasług pamiętkę nosimy przy sobie, na podeptanie skazane obuwie, które równie rzadko wspomnienie wołu pamięci naszej przywodzi, jak to dobroczynne w naszych pomieszkaniach światło, które tłustością jego utrzymujemy.

Ileż więc ważnych życia naszego potrzeb wół załatwia? Choć przeto postać jego żadnym nieubogacona wdziękiem, przedstawia tylko znamię pokory i sił na korzyść człowieka oddanych, miło jest jednak poglądać na te obwisłe podgardla, na te wypełnione mlekiem wymiona powracającą do domu trzody; miło jęć ryk usłyszeć zdaleka, a wodząc uradowany wzrok po błoniu rozległém, ujrzeć pod lasem tę różnowzorą trzodę, obraz, który nam zawsze niewinność pierwiastkowego życia naszego przypominać będzie.

Podzielonóm jest zdanie naturalistów o pierwotnym rodzie wołu. Jedni mienia nim żubra, drudzy bawołu. Najbliższymi jednak prawdy ci się być zdają, którzy gatunek domowego wołu za zupełnie osobny poczytują. To zwierzę, które się dziś po całym okręgu ziemskim rozeszło, należy do zwierząt, które najdawniej człowiek oswoił. Ciepłsze stępy środkowej Azji zdają się być pierwiastkową ojczyzną jego. Trzody bydła, które prawie bez żadnego przymusu hodowane, okrywają dotąd rozległe błonia Podola, są bezwątpienia odmianą najbliższą pierwotnej. — Przyrodzenie bydła rogatego powołuje je więc do nizin, niżeli do wysokich i suchych położów; więc do bujnych, niżli do chudych pastwisk. Grunt wzgórzysty, suchy i chudy, krótką i rzadką trawą zarastający, jest najmniej zda-

tnym dla rogatego bydła, które je powoli, niebardzo krótko ugryza i znacznej masy pokarmu do wyżywienia się potrzebuje. Miejsca takie właściwsze są dla owiec. Bydło w ich okolicach na stajni tylko, sztucznie utrzymywaną łąką z korzyścią hodować można. Jednakowoż trzęsawy i zupełne bagniska nie są dla rogatego bydła pomyslnemi, jakkolwiek lepiej się na nich hoduje, niżeli koń lub owca.

Chociaż bydło rogate utrzymuje się dziś na całym okręgu ziemskim, tam jednak najpiękniejsze trzody jego widzimy, gdzie przyrodzeniu jego klima odpowiada. Im zimniejsze klima, im chudszy i suchszy pastewnik, tém niedoskonalszą i drobniejszą jest rasa. Nie sprzyja doskonałości rasy i zbyt gorące klima, jeżeli okoliczności miejscowe, jako to: położenie pastwiska, sąsiedztwo morza i t. p. wpływu nie zamieniają. W gorącym klimacie nierównie mniej wyłącza się mleka, niżeli w umiarkowanym. Klima wilgotne dostarcza jeszcze większej obfitości mleka, które jednak jest wodnistém. Również tworzeniu się łożu największej sprzyja klima umiarkowane, ztąd najlepszego łożu południowa Rosya dostarcza. W klimacie gorącym więc się zbiera tłustości w komórkowatej tkance pod skórą. Naostatek w zimnym a bardzo wilgotnym klimacie do chórób bydło skłonném się staje.

Przymuszone więc bydło do życia pod każdym klimatem, na różnych zalet rasy przetworzyć się musiało. Dwa są główne tych rass rozgałęzienia: bydło z nizin i bydło z gór. „Bydło na nizinach, mówi jeden pisarz, szuka pokarmu nisko, szyję pasąc się wyciąga: szyja ta przeto ukształca się długą, głowa ta staje się dłuższą i kończą, a rogi naprzód się zwracają. Nawet wysokie nogi są téj miejscowości wypadkiem. Ale bydło z gór, szukając pożywienia, wstępuje na górę; a więc ciężar ciała w tym przypadku spada na jego tył, który przeto jest silniejszy i stosunkowo przód przemaga; głowa jego krótsza, rogi zakrzywiają się na strony, szyja zaś krótsza i grubsza, jest oczywistym wypadkiem małego wyciągania głowy jako nieużytecznego bydłociu, które dla paszy na górę postępuje. Znaczniejsze rody bydła z nizin są: holenderski,

fryzyjski, jutlandzki, podoiski, wiele udoskonalonych rodów francuzkich i angielskich. Znakomitsze zaś rody bytła z gór, są znane nam, szwajcarski i tyrolski.

Pojętność, którą podziwiamy w psach i koniach, u bydła rogatego ma niski stopień. Trzyma ono z tego względu środek pomiędzy koniem a owcą. Zaciekłość i srogość jego, przymioty, które ich broniły w stanie dzikości, odnawia niekiedy w domowym bydłciu widok czerwonego koloru, albo gwałtowne rzeźnika uderzenie w głowę. Gdy więc wygórują, wtedy wrodzona bydłcia głupota niezdolna jest hamulca na nie założyć. Wpada bydło w stan wściekłości, która na owych ulubionych Hiszpanom widowiskach, o wstydzie! ten prawie co bohaterska odwaga, interes obudza. Podobnejże niedorzeczności przykład znajdujemy w zwyczajach państwa Siam, gdzie w obliczu tysiąca widzów, pod surowym okiem zgromadzonych na rusztowaniu sędziów, odbywają się o wielki zakład ujarzmionych wołów gonitwy.

4. TUR (Żubr).

przez

K. W. Wójcickiego.

Tur był godłem nadzwyczajnej siły. Starożytni piewcy słowiańscy przydają mu prawie zawsze ulubiony epitet jary (1).

Wielka była siła turów, ale większa tych praojców naszych żylastej dłoni, co za rogi schwyławszy w szalonych skokach rozjuszonego olbrzyma puszczy, do razu powalali na kolana, i tak kornego wyciągali z kniei.

Co Litwini Żubrem, w Mazowszu turem (Thurem) nazywano. Liczne stada turów przebywały w lasach Mazowsza, Szlaska i Pomeranii, w Galicyi między Sanem i Wisłą, na Polesiu, Wołyniu i Podolu.

Nazwa przecież tura była powszechniejszą. Lud nasz i ruski żadnych wspomnień nie zachował o żubrach, a wiele o turach, i pod inném imieniem nie znał ich wcale. Falibogowski tylko jedno przysłowie z czasów Zygmunta III przy-

(1) Jary, silny; stąd nasze przysłowie: „Stary ale jary.”

tacza: „strzelać, by w żubra” było to strzelać prosto w serce, niechybnie. Używano mięsa żubrzego na stoły znakomitszych panów, prałatów i akademików krakowskich, którym Władysław Jagiełło w darze je przysyłał, mięsem tęp żywiło się i wojsko.

W Mazowszu blisko Rawy trzody turów były liczne, których strzelać za Zygmunta Augusta pod karą śmierci zabroniono. Król i panowie polscy jedli ich mięso, wysła wiwszy je wprzód na mróz, a ze skóry ich z nad czoła robiono pasy.

5. O KONIU.

przez

Stanisława Tadeusza Łyszkowskiego.

Koń łagodny, odważny i silny, zarówno bawiący składną postawą oko, jako i rzeczywiste przynoszący korzyści, od najdawniejszych bezwątpienia czasów, stać się musiał towarzyszem człowieka, i z nim stopniowo rozmaite okolice ziemi zasiedlać. Niebó coraż odmienne, pod jakie tym sposobem przechodził, i gatunek karmi, którą w nowej ziemi napotykał, działały nań zawsze przeważnie, a odciągając wpływ swój nietylko do powierzchownych kształtów ciała, ale i na wewnętrzne przymioty, tworzyły same przez się liczne rasy, które potem staranność ludzka więcej jeszcze urozmaicić miała. Dla tego powodu trudno, a nawet niepodobna oznaczyć ani pierwotnej ojczyzny konia, ani gatunku, z którego się przerodził. Domyślamy się tylko, iż miejscem jego rodzinném były stepy środkowej Azji, lub żyzne pola Egiptu (1), opierając się na piękności i czystości rasy arabskiej, tudzież na istnieniu koni, w prawdziwej dzikości dotąd żyjących w pustyniach Kobi (2).

(1) Najdawniejsza wzmianka piśmienna o koniu znajduje się w Piśmie Świętém. Był on już wtedy do posług wojennych w Egipcie używanym.

(2) Konie żyją także i w pustyniach Ameryki w stanie dzikości, lecz te z sprowadzonych z Europy tam się rozmnożyły. Mamy także dosyć autentyczne podania i o koniach dzikich w Polsce żyjących, które za Zygmunta I w młodym wieku chwytały, trzymały się stad swojskich i do drugiego pokolenia rasy nie zmieniały. Konie te podług świadectwa Czackiego, do roku 1770 po lasach litewskich i później jeszcze w zwierzyńcu Zamojskim się chowały. Miały być nierosłe, grubo kościste, łęgowe, z długą siercią i łbem wielkim, a całą postaćią do osta nieco zbliżały się. Byłyby więc najpodobniejsze do dzisiejszych mierzynów, lecz sama łatwość przyswojenia zdaje się pokazywać, iż jak amerykańskie przypadkowo tylko zdziczały, i że początek swój stąd, z kąd i wszystkie inne rasy, musiały wywodzić.

Ponieważ koń głównie przeznaczonym był do wojny, do nowszych więc czasów przymioty uzdalniające pod jazdę wierzchową, a zatem raczość i wytrwałość w biegu najwięcej w nim ceniono. Lecz oprócz Greków, którzy do igrzysk olimpijskich pewien rodzaj wyścigów wprowadzili, zdaje się, iż znać musieli jakkolwiek sztukę hodowania i obuczania koni; żaden z nowych narodów europejskich o ulepszenie gatunku tych zwierząt się nie starał. Zostawiona też sama sobie rasa koni, o wiele wyrodziła się i znikczemniała, kiedy tak chętnie w wiekach średnich rzucono się do poprawy jej przez łączenie z końmi afrykańskiego pochodzenia, które Maurowie do Hiszpanii i Włoch niższych z sobą przyprowadzili, i kiedy w skutek tego rasy: hiszpańska i włoska wkrótce tak głośnej nabyły sławy.

Ani Włosi jednak, ani Hiszpanie, nie mieli dosyć wytrwałości w swoim przedsięwzięciu, i sława mądrego wypielegnowania koni za najlepsze w Europie uważanych do stała się Anglii.

Przebiegnę tu historią wyścigów i ulepszenia angielskiej rasy w ogólności, ze względu na to, iż zamiętowanie różnych czasów do wyścigów, podaje nam sprawiedliwą miarę troskliwości w ulepszeniu koni przez Anglików okazywanej, a naśladowania godnej. Pod panowaniem Henryka I, to jest około 1121 r., pojawia się pierwszy koń arabski, a w 40 lat potem Smietfield staje się już sławnym jarmarkami na konie.

Około tego samego czasu żyjący kronikarz Fitz-Stephen podaje następny opis ówczesnych wyścigów: „Gdy się rozniesie, iż konie szybkie i silne biedz mają z sobą w zawody, powstaje natychmiast wrzawa radośna i lud woła o zrobienie w tym celu miejsca. Trzech lub nawet dwóch częstokroć żokiejów, kiedy o zakład już się umówiono, gotują się do wyjechania. Konie tymczasem pełne ognia, drżą, niecierpliwia się, i w ciągłym zostają ruchu. Nareszcie dano znak: ruszają z miejsca, konie i jeźdźcy zarówno kuszają się o wygraną, i pędzą z niewypowiedzianą szybkością. Żokieje chciwi poklasku i zwycięztwa, chętnych i tak rumaków bodą ostrogami, gwizdzą w powietrzu biczem,

i zachęcają wołaniem.” Obraz taki i dziś się w niczem nie zmienił.

Pod królem Janem dano początek rasie koni powozowych angielskich. Za Edwarda II i III sprowadzone zostały szlachetne konie z Włoch, Hiszpanii, i niemało do ulepszenia angielskich się przyczyniły. Od czasów Edwarda III zaczęto odróżniać konie wyścigowe, lecz zdaje się, iż pod to nazwanie konie tylko lekkie i niezdatne pod jazdę podciągano. Ryszard II zmuszonym był nadzwyczajne summy, jakie szlachta nawzajem sobie za konie płaciła, pozniżyć i stała najwyższą cenę naznaczyć, tudzież wyprowadzania za granicę kraju tych zwierząt surowo zakazać.

Elżbieta w kilku miejscach nakazała wyścigi, a najpierw w Chester.

Jakób I napisał prawa wyścigowe. Lubił namiętnie wyścigi i zajmował się mocno końmi do tego przeznaczonemi. Monarcha ten nabył arabskiego rumaka za cenę ogromną w owych czasach, bo za 500 f. st.; który jednak w potomstwie zawiódł oczekiwane nadzieje, i stał się przyczyną, iż rasa arabska w oczach Anglików wiele na wartości straciła. Sprowadzono także w tym czasie wiele ogierów z Afryki i Lewantu, i tyle już w ulepszeniu rasy krajowej postąpiono, iż konie pierwotne stały się rzadkością. Karol I ustanowił wyścigi w Hyde-Park i New-Market. Właściwie jednak początek konia pełnej krwi sięga czasów Restauracyi. Lubiący rozkosze i okazałość Karol II, zrobił New-Market głównym placem wyścigowym, powyznaczał wszędzie dla zwyciężających koni stałe królewskie nagrody, i wielkiego koniuszego swego do Lewantu po klacze i ogiery stadne wyprawił.

Od tego czasu ulepszenie rasy angielskiej, przez krzyżowanie jej z wschodnią, odbywało się systematycznie, podług raz przyjętych zasad, a wyścigi, jako podnieca dla współubiegania się hodowników, i miara sił i zdolności indywiduów, podwójnie na szybki postęp w otrzymaniu założonego celu wpływały. Najwięcej cenione są konie krwawe z trzech ogierów zagranicznych: Byerláj-Turk, Darláj-Arabian i Godolphin pochodzące.

Dobroć koni angielskich i wysoka za nie cena, w najnowszych dopiero czasach zrodziła na lądzie stałym powszechną chęć naśladowania. Poustanawiano zatem wszędzie wyścigi, przyjęto sposób hodowli i samego ulepszania, a po rozwinięciu dokładniejszém anatomii zwierzęcej, zaczęto więcej naukowo traktować i sztukę leczenia koni. Lubo bowiem i przedtém na dziełach w tym względzie nie zbywało, te jednakże, jako na własném niby doświadczeniu, a zatem najczęściej na prostém widzieli się oparte, w których i przesady i astrologią nawet ten zabytek końca wieków średnich, z istotnie ważnemi spostrzeżeniami mieszano, za pewnego przewodnika w hodowaniu, a bardziej jeszcze w sztuce leczenia żadną miarą posługiwać nie mogły (1).

6. WYDRA.

Zwierzę to postacią swoją ma wielkie podobieństwo do kuny z tym tylko wyjątkiem, iż palce nóg ma błoną porośnięte do pływania, gdyż często w wodzie przebywa. Wydry znajdują się u nas, ale już bardzo rzadko. Długości ma do 2½ stopy, włos siwo-popielaty, skłniony, który nie przyjmuje wody za życia zwierzęcia. Futro z wydry w znacznej jest cenie. Wydra utrzymuje się w wysokich brzegach rzek, jezior i sadzawek, w norach głębokich na 45 stóp, z kądem wychodzi do wody na połów ryb, żab i raków. Nie może długo wytrwać bez powietrza i często z wody na wierzch wypływa. Wydra z przyrodzenia jest zapalczywem stworzeniem. Tam, gdzie ludzi przeczuwają, siedzi spokojnie w dziurze aż do nocy, i wówczas dopiero na zdobycz wychodzi; w miejscach samotnych wychodzi także i we dnie.

(1) U nas w XVIII wieku, w samym Jarosławiu sprzedawano do 20,000 koni prócz tych, które z wielkich jarmarków w Łowiczu, Łęcznie, Gnieźnie i w Jastrowiu wykupywano za granicę. Najdawniejszy zaś statut litewski już konia ze stajni pańskiej na 133 Złp., chłopskiego na 14 Złp. monetą dzisiejszą średnio szacuje; można więc wnioskować, jakie summy corocznie za konie do kraju niegdyś wpływały, zwłaszcza, iż w swoim czasie hodowla koni stała u nas, kto wie, czy nie na wyższym stopniu jak u innych ościennych narodów. Świadczą o tem dzieła społeczne, lepsze od zagranicznych i dzielność jazdy Polaków. Polacy od czasów Kazimierza W. mieli stadniny rządowe, stadnikami azyatyckiego pochodzenia napolnionie, a i oprócz tego gospodarującą i walczącą razem szlachtę nie trudno było o tureckie i perskie ogiery przy ustawicznych walkach z muzułmanami.

Jedna wydra może bardzo wyniszczyć ryby w stawie, co dopiero, gdy się ich więcej znajduje? Młode schwytane bardzo wczesnie dadzą się obłaskawić, ale z niemałym trudem. Na dowód czego przytaczamy ciekawy artykuł o wydrze króla Jana Sobieskiego, wyjęty z ówczesnych pamiętników pewnego szlachcica: „Niezmiernie lubiłem oswajać zwierzęta najsprzecznieszych nałogów i charakterów i spoufalać je z sobą. Na moim dziedzińcu widzieć było można lisa igrającego z psami, a w izbie zając sypiał bezpiecznie na jednym postaniu z pudłem. Łowy moje były celem podziwiania dla wszystkich. Gdym na nie wyjeżdżał z mego dworu, można było poczytać mnie za Noego, otoczonego wszystkimi zwierzętami z arki. Między moją psiarnią znajdowała się kuna, borsuk, lis i zając, mający na szyi obrózkę z dzwoneczkami, sokół siedział na mojem ramieniu, a kruk tak wprawiony do chwytania kuropatek i zając jak sokół, ulatywał nad nami albo siedział na grzbiecie charta, który rzucał się, chcąc się pozbyć tak natrętnego towarzysza. Prości ludzie mieli mię za czarownika, niech im tego Bóg nie pamięta. Skoro tylko wypłoszono zająca, całe towarzystwo leciało za nim, i jego obłaskawiony towarzysz czynił toż samo, jednakże gdy zając dościgniony skwiercząc zaczął, oswojony jego kolega uciekał do domu i przez cały dzień siedział w kacie. Najciekawszém zwierzęciem mojem była wydra, lubiłem ją bardzo. Sypiała zawsze w mojem łóżku, była zresztą niezmiernie zła. Gdy kto zbliżał się do mojej izby, obudzała mię przytłumionem warczeniem, i zdarzyło się, że gdym poszedł spać nieco podehmielony i spał mocniej jak za zwyczaj, siadała mi na piersiach, rzucała się, i tak hałasowała, iż się musiałem obudzić. Nigdy nie jadła surowych ryb i mięsa, w piątek i sobotę musiano dla niej gotować kurczę albo gołębia, i to jeszcze nie chciała jeść, jeżeli nie były zaprawione pietruszką, gdyż bardzo lubiła to ziele.

„Ze wszystkich psów lubiła tylko jednego, chętnie się z nim bawiła; lecz wypędzała innych, a żaden nie śmiał jej zaczepić. Najszacowniejszym jej przymiotem było to, iż dostarczała mi wiele ryb, ile tylko potrzebowałem na ku-

chnią. Skoro tylko rzekłem do niej:—Moja kochanko! mam gości, trzeba mi ryb na obiad, — zanurzała się w stawie i wynosiła sztukę po sztuce. W post wielki była niespracowana. W owój porze roku, zawsze miewałem wielu gości. Ona dostarczała ryb dla wszystkich. Zawsze brałem ją w drogę, a gdy przejeżdżał koło stawu lub rzeki, pewien byłem, iż mieć będę ryby na objad i na wieczerzę. Lecz zdarzyło się, że król Jan III, nasłuchawszy się tyle o mojej osobliwej wydrze, zażądał, ażeby mu jęj ustąpił, ofiarował mi w zamianę dwa piękne arabskie konie, i tyle pieniędzy, ile sam zechcę. Żal ścisnął mi serce, opierałem się długo, lecz nareszcie widząc, iż nie odstępuję od swego, umyśliłem podarować ją królowi. Gdy wsa-
dził moje kochaną wydrę do klatki, aby ją postać jęj nowemu panu, biedaczka zaczęła krzyczeć i wyć tak boleśnie, żem uciec musiał zatkawszy sobie uszy, nigdy tyle nie ucierpiałem. Przywieziono do króla wychudłą i smutną. Skoro tylko kto chciał się z nią pieścić, wyszczerzała zęby ze złością. Pewnego razu król rzekł do królowej:—Marysiu cóż ci się zdaje, gdybym też ją pogłaskał?—Królowa krzyknęła, prosząc męża, aby tego nie czynił, jednaże król posunął rękę mówiąc:—Jeżeli mię nie ugryzie, będzie to dobry znak.—Pogłaskał ją, a zamiast ugryzienia zaczęła się łasić, co tak bardzo zabawiło króla, iż od tej chwili bez ustanku bawił się z nią i wywieźć kazał ulubionego bobra i ostrowidza, których miał w zwierzyńcu. Posyłając wydrę, napisałem cały arkusz instrukcyi, jak się z nią trzeba obchodzić, i jak żywić, zastosowano się do mojej rady, i wydra powoli przyzwyczaiła się do nowego pomieszkania. Lecz pewnego dnia, gdy biegła po łąkach, i gajach zamku willanowskiego, postrzegł ją żołnierz od pociągu, zabił ją kijem i za złotówkę sprzedał jęj skórę żydowi. Skoro postrzeżono, że nie ma wydry, okropny hałas zrobił się w zamku. Zaczęto szukać i wkrótce wysledzono prawdę. Gdy skórę pokazano królowi, uniósł się wielkim gniewem, i kto wie, co by się stało z owym żołnierzem, gdyby Ks. biskup, spowiednik królewski, nie był wstawił się za nim i nie pohamował króla.

7. WIEWIÓRKI AMERYKAŃSKIE.

(Czarna i popielata).

Obeeny czas, w którym tyle postąpiono w naukach, i tyle nowych porobiono odkryć, wydał także mężów, co się do najskrytszych prawie tajników przyrodzenia wdarli, wszędzie cuda nowe dotąd niepostrzeżone, wszędzie nowe wprowadzając na jaw bogactwa. W nowym świecie, w nieprzejrzanych lasach Ameryki, znalazło pilne badaczy oko niezliczone mnóstwo zwierząt, o których nikt dotąd nie wspomniął; samych wiewiórek kilka poznano gatunków. Dwa z tych są: wiewiórka popielata (*Sciurus cinereus*) i wiewiórka czarna (*Sciurus niger*), obadwa gatunki mieszkające w północnej Ameryce.

Popielica ściele sobie gniazdo w wydrążeniu drzew, z mchu i liści suchych, żywi się żołądźmi, orzechami i kilka gatunkami zboża. W lecie zbiera sobie zapasy na zimę, i zachowuje je nietylko w gniaździe, ale i po innych miejscach bezpiecznych. Z początkiem mrozów uchodzą popielice do gniazd swych, i tam przez całą zimę zwykle mieszkają, wychodzą wtedy tylko, gdy im na pokarmie zbywa. Pan Kalm powiada w Podróży swojej po Ameryce, iż uważał nieraz, jak te wiewiórki zwykle przed tęgiemi mrozami po lasach w wielkiej się okazały liczbie, troskliwie znosząc sobie do gniazdek pokarmy, tak, iż mieszkańcy Ameryki widząc ich skrzętność, dłużej i tegiej się zimy spodzielali. Orzechy znajduwane po gniazdach popielic, bardzo są dojrzałe i zdrowe, nigdy jeszcze zepsutego w nich nie spostrzeżono. Podziwienią godną jest także ich ostrożność i po części nawet odwaga; widząc się bowiem w niebezpieczeństwie, uciekają na drzewa, i tam wybrawszy sobie w miejscu, gdzie się kilka zrasza gałęzi, schronienie, nie opuszczają go, choćby tam kamieniami rzucał, a nawet i strzelał do nich. Scheffer widział je nieraz przeprawiające się gromadami przez rzeki w Laponii, gdy im w jednym miejscu na żywności zabrakło. Kilka dni przed przeprawą taką, znosiły już popielice na brzeg rzeki kawałki kory z drzew; w oznaczonym dniu zebrały się, a każda z nich wzięwszy w łapki kawał kory zaniósła go na wodę, i sia-

dała na niego tak, iż podniesiony ogon za żagiel statku jój służył. Piękny to był widok, mówi tenże podróżnik, gdy flota taka odbijała przy spokojnej wodzie w porządku od brzegu; lecz, jeśli wiatr powstanie w czasie podróży, rzadko która dostaje się wtedy na brzeg drugi. W Zjednoczonych krajach Ameryki, a mianowicie w Pensylwanii, uważają popielice za plagę kraju: niszczą bowiem zboża, a szczególnie maisowe pola, gdzie w jednej często nocy o stratę całego żniwa przyprowadzają rolników. Rząd krajów Zjednoczonych widział się zniewolonym wyznaczyć nagrodę na ich głowy, płacąc za jedną 2 pence (8 groszy). Rzucili się tedy wszyscy na wytopienie szkodliwego zwierza, a w przeciągu jednego roku (od stycznia 1749—1750) zapłacił rząd Pensylwanii 48,000 talarów nagrody tym, którzy na dowód swój gorliwości główki popielic w biurach na to przeznaczonych oddali. Skórki popielic niebardzo są cenione w Ameryce; mięso ich za przysmaczek uważają. Równie szkodliwą dla pól zasianych maisem jest czarna wiewiórka, większa od popielicy i śmielsza od niej. Odprawia ona znaczne podróże z jednej części kraju do drugiej, zmuszona niedostatkiem żywności, zawsze gromadami znacznymi. Wędrowniki ich w cieplejsze strony na zimę, są oznaką tegich mrozów. Przez rzeki przepływają się śmiało, nie używając takich sposobów, jak popielice, ale ufają w własne siły. Weld widział je przepływające przez Nijagare, w miejscu znacznej szerokości; przy przeprawie téj, podniesiony ogon służył im za żagiel, który raz w tę, drugi raz w drugą sztucznie obracały stronę. Skórki ich piękne i kosztowne dają futra.

8. PAW.

Gdyby panowanie należało się piękności, a nie mocy, paw' byłby bezwątpienia królem ptaków; nie masz żadnego, na którego natura obficie wylała dary swoje. Wzrost wyniosły, postać okazała, chód wspaniały, skład ciała sztywny: wszystko to oznacza jestestwo niepospolite. Kitka ruchawa i lekka, najbogatszymi ubarwiona kolorami, zdobi jego głowę, i wznosi ją nie ciężąc; nieporównane

pierze jego zdaje się łączyć to wszystko, co pochlebia oczom naszym w kolorach przyjemnych i świeżych najpiękniejszych kwiatów, to wszystko, co omamia w odbiciach iskrzących kamieni, to wszystko, co zadziwia w poważnym blasku tęczy. Nietylko natura połączyła na pierze pawia wszystkie kolory nieba i ziemi, by z nich złożyła naczelną dzieło wspaniałości swojej, pomieszała je jeszcze, dobrała, ucieniowała, stopiła swoim nieporównanym pędzlem i zdziałała z nich obraz jedyny, w którym z pomieszania swego z mocniejszymi woniami, z przeciwności między sobą ciągną nowy blask i skutki światła tak szczytne, że sztuka nasza nie może ich ani naśladować, ani opisać.

Takiem wydaje się w oczach naszych pierze pawia, kiedy sam spokojnie chodzi w pięknym dniu wiosny; lecz jeżeli z nienacka co przerywając spokojność jego, zapala w nim ogień, wtedy wznoszą się te wszystkie piękności; oczy jego ożywiają się i nabierają wyrazu, drży kitka na głowie i poruszenie wewnętrzne oznacza, rozłaczają się długie pióra ogona, jego omamiające bogactwa, głowa i szyja szlachetnie się w tył chylą, rysują się z wdziękiem na tém czole jaśniejącem, na którym światło słońca odbija się tysiącnie, ginie i ustawnie odradza, i zdaje się nabywać nowego, słodkiego i przyjemniejszego blasku od nowych kolorów, rozmaitszych i świetniej dobranych; każde poruszenie płaka tworzy tysiące nowych cieniowań. Promienie odbić płynnych i znikomych, są nieustannie innemi zastąpione odbiciami, i innemi cieniowaniami, zawsze różnemi i zawsze zadziwiającemi.

Lecz te pióra świetne, co blaskiem najpiękniejsze przechodzą kwiaty, jak one także więdną i co rok opadają. Paw', jak gdyby czuł wstyd ze straty swojej, obawia się być widzianym w tym upokorzącym go stanie, i szuka najciemniejszych schronień, by się tam ukrył wszystkim oczom, dopóki nowa wiosna oddając mu zwykły strój jego, nie wróci go widokowi godnym hołdu winnego jego piękności: bo mniemają, że się nim chełpi, że jest czułym na zadziwienie, i że prawdziwy sposób pobudzenia go do okazania pięknych piór swoich, są chlubne i pilne wejrzenia;

że przeciwnie, kiedy się zdajemy patrzeć na niego zimno i bez wielkiej uwagi, chowa skarby swoje i kryje je przed tym, co się im dziwić nie umie.

Pawie przy zbytkowych stołach zastawiano jak bażanty i strusie. Zwykle na uczcie w XVI wieku dawano go u nas, ozdobnego we własne pióra. Pióra te są ulubione u Krakowiaków, którzy nimi zdobią czapki swoje. W pieśniach ludu rzadko gdzie go napotykamy, a częściej w ruskich.

9. BAZANT.

przez
Hrabiego K. Tyzenhauza.

Bazant nazwisko rodzajowe ptaków, w rzędzie kurzym (Gallinae) Lineusza umieszczonych.

Z tego rodzaju terazniejsi ornitologowie wyłączyli dla różności cech charakterystycznych kura domowego i kilka innych gatunków; teraz dostatecznie rozpoznanych liczymy około czterech, a te wszystkie odznaczają się ozdobnym upierzeniem.

1. Bazant właściwy. Rzącz. (*Phasianus colchicus*, Linn). „Bazant bierze swe imię, powiada professor Jundzitt, od rzeki Phasis w Mingrelji.” Dziś we wszystkich prawie krajach południowo-europejskich, jako to: w Grecyi, w Węgrzech, Austrii, nad Renem we Francyi, a nawet i Anglii, w lasach cienistych wilgotnych, w stanie dziczyałym przebywa; z przyrodzenia bojaźliwy i dziki, z klimatem nie zupełnie oswojony, jeszcze się nigdzie bardzo nie rozmnożył. Dla wybornego smaku mięsa utrzymywanym bywa w tak nazwanych bażantarniach, gdzie pomimo szczodrego pokarmu i wygod, dzikości swój i wrodzonego zamiłowania wolności wyrzec się nie chce. Właściwą ojczyznę bażantów jest Azja; w znacznej liczbie znajdują się około morza Kaspijskiego, mianowicie nad rzekami Terek i Kubań, i na całym pasmie gór Kaukazkich, niemniej pospolitemi są w stepach Kirgizkich, szczególnie przy ujściu rzek do jeziora Aral wpadających. Mieszkańcy tameczni łowią je, zastawiając sidła w sitowiaach, na ciekach czyli ścieżkach, przez nichże samych wydeptanych. Wielkość bażanta wy-

równywa prawie kogutowi domowemu; obwody oczu i policzki ma nagie, brodawkowate, czerwone; głowę i szyję złociste, zielone z szafirowym połyskiem; takiejże barwy dwa czuby w porze tokowania tył głowy mu zdobią; pióra na piersiach i brzuchu są purpurowo-kasztanowate z lśnięciem fioletowem w brzegach zakończeniem, grzbietne téjże samej barwy z białemi obwódkami; w długim łukowato-klinowatym ogonie sterówek 18 szaro-oliwkowego koloru z czarnymi prążkami, z purpurowym po brzegach połyskiem. Samica od samca mniejsza, zupełnie barwą się różni; ogólnie jej upierzenie jest mieszaniną rudą, szarą i czarną, a więc farby. Młode samce do pierwszego wypierzenia się nie okazują świetnej barwy starych, lecz całkiem do samicy są podobne. Bażancica niesie raz w roku jaj 12 do 24 koloru jasno-oliwkowego, które w gęstych trawiastych zaroślach, przed samcem pilnie ukrywa i wysiaduje. Ulubionym pokarmem bażantów są ślimaki, żuki, wszelkie robactwo, rozmaite ziarno, młode trawy, drzew pąki i jagody. Odmiana a może i oddzielny gatunek z białą na szyi obwódką, z dłuższymi nogami a ogonem krótszym, mieszka w cieplejszych stepach mongolskich ku stronie wielkiego chińskiego morza, mianowicie nad brzegami rzeki Czarnéj (kowa morrin); tychto chińscy handlarze często zamrożonych do Kiachty przywożą, lecz ich mięso ma być mniej smaczne od bażanta właściwego. W ogólności głos bażantów jest nieprzyjemny, wrzaskliwy, samiec zaś kwocze jak kura, zwołując swe potomstwo. Ptaki drapieżne, wrony, sroki, oraz lisy, tchórze łasice, całemu rodzajowi szkodziwe.

2. B. złocisty, (*Ph. pictus*, Linn). Ojczyzną pierwiastkową gatunku tego są Chiny, południowa Daurya i mongolskie wschodnie stepy aż po rzekę Amur. Mniejszy i szczuplejszy od poprzedzającego, na wyższych nogach, z dłuższym ogonem, kształtną kibicią i niewymownie świetniejszym ubarwieniem go przewyższa. Czub żółto-złocisty, ruchomy, zdobiący jego głowę, złożony jest z włosiankowatych piórek, które z wierzchołka głowy na tył karku spadają; od wierzchołka szyi pióra długie aż do barków się-

gające w stanie spokojności ptaka, zamieniają się w przepyszny kołnierz, gdy namiętnością ruszony rozłoczy tę złoto-pomarańczową, szafirem symetrycznie przegowaną pelerynę. Ogon do 2 stóp długi w dół nachylony; sterówki stopniowo klinowate, czarne, rześisto-żółto nakrapiane, a ciemny błękit skrzydeł przedziwnie odbija od jaskrawego pasu całego spodu ciała. Wychwalając piękność ptaka tego z uniesieniem mówi Cuvier: iż Pliniusz w księdze X rozdz. 2 opisując swego Fenixa patrzył na złocistego bażanta. Samica tych ozdób nie dzieli. Niesie około 12 jaj ceglastego koloru, które przez trzy tygodnie pilnie wysiaduje. Bażant złocisty z cieplejszego pochodzący klimatu, trudniej się hoduje od pospolitego bażanta, jakoż tylko w oddzielnych ptaszarniach (volieres) latem, a w ogrzanych zimą izbach może być chowanym i rozmnażanym. Za parę dorosłych żywych tego gatunku bażantów nie mniej jak 140 franków zwykle w Paryżu amatorowie płać.

3. B. srebrzysty (Ph. nycthemerus, Linn.). I ten Chin mieszkańiec razem z poprzedzającym do Europy przywieziony, równie dobrze w ptaszarniach hodować się daje, jest cokolwiek większy od bażanta właściwego; czub na głowie i cały spód ciała ma koloru czarno-fioletowego, z wierzchu całkiem srebrzysto biały, z bardzo cienkimi na każdym piórku czarnymi prążkami, na skroniach plama brodawkowata czerwona po nad oczyma się rozciąga, nogi czerwono-białymi ostrogami są uzbrojone. Samica jak wszystkie w tym rodzaju mniejsza, bez ostróg, różni się od samca barwą ciemną.

4. B. Argus (Ph. Argus, Linn.). Lubo ten ptak od Teminka za osobny rodzaj uznany, i przez dzisiejszych ornitologów przyjętym został, jednakże opisanie jego, choć według dawnego trybu, przy bażantach miejsce mieć może. Ojczyzną Argusa są wyspy Sumatra, Malakka, i inne południowej Azji kraje. Wielkością równa się z pawiem zwyczajnym; część naga głowy i szyi brodawkowata, koloru jest czerwonego; jasny błękit zdobi tył głowy dwuczubny i szyję aż do piersi; reszta ogólnej barwy jest pięknie kasztanowatego koloru; długie i szerokie w skrzy-

dłach lotki ozdobione są rzędami plam oczkowatych błękitem mieniących, od których nazwisko szlucznego, mitologicznego Argusa mu nadano. Przylém średnie dwie sterówki trzy razy od ogona dłuższe, nadają całej argusa postawie niepospolite wejście. Delikatny, bojaźliwy, światła nie lubiący, pomimo najusilniejszego starania domowej hodowli nie znosi.

10. BAŻANTARNIA.

(przez tegoż).

Bażantarnia, nazwanie miejsca do pielęgnowania bażantów przeznaczonego, jestto pospolicie przestrzeń kilku morgów murem wysokim opasana, zawierająca w obrębie swoim trawniki, gaje, w których bażanty chronią się od deszczu jakoteż od zbytelnego upału, tudzież od napaści drapieżnych ptaków. Tam wpuszczają się samce mniej dzikie, ze stosowną liczbą samic, po uprzedniem onych zbarczeniu, to jest ucięciu pierwszego stawu lewego skrzydła; lub téż żeby nie kaleczyć bażantów, zamykają się do osobnych przegródek, siecią drucianą okrytych. Skoro samice nieść się poczynają, samców na wolność wypuścić trzeba. Popędliwość ich bowiem byłaby samicom w wysiadaniu na przeszkodzie. Bażancice ścielą na ziemi gniazda niekształtne ze słomy lub suchej trawy w najciemniejszym zakątku swego schronienia, każda znosi jaj około 20 a nawet i do 40, jeżeli te ciągle odbieranemi będą w miarę codziennego niesienia. Nie zostawując więcej jak 15 lub 20 do wysiadywania każdej z bażancic, zbywające podkładają się pod kury domowe. Matki czyli kwoki nie powinny być starsze nad lat 4; czas wysiadowania trwa od 23 do 25 dni. Nowo wyklute bażancięta razem z matką zamykają się do osobnej daszkiem opatrzonej klatki, którą codzien trzeba wynosić w pole, umyślnie zbożem zasiane; klatka tak się urządza, aby młode potomstwo pomiędzy szczeble przechodzić mogło; matka zaś zamknięta ciągłym kwakaniem ogrzewa je tuląc pod skrzydła. Częstokroć jednej dobrej kwoce powierzają do 60 i więcej z obcych gniazd bażancięta. Dla przyspieszenia wzrostu daje się im codziennie obfity po-

karm z miększa od chleba, jaj kurzych na twardo zgotowanych, poczwerek mrówczych z cała razem zmieszanych i drobno usiekanych. Po dwunastu tygodniach, gdy wyrosnie długi bażancikom ogon, już więcej nie potrzebują troskliwej pilności matki i usposobionego pokarmu; puszczają się więc na wolność, lecz zawsze, aby od miejsca nie odwykały, posypują im pszenicę i inne ziarna; wszakże pomimo te wszystkie zabiegi, znaczna ich liczba dziecize i oddala się od pierwiastkowego pielegnowania pobytu. Z takichto zbiegów powstały dzikie europejskie bażanty; tam albowiem, gdzie w bliskości nie znajdują się bażantarnie, o dzikich bażantach nie słyhać.

Zakładanie bażantarni w wiekach średnich należało do największych przywilejów myśliwstwa; w niektórych krajach samym tylko panującym było właściwe.

II. NUREK.

Nurek (Colymbus) w systemacie Lineusza do rzędu ptaków pływających policzony, zaś podług Zoologii Jarockiego, do płatkonogich należący, ma dziób mierny, szczupły, prosty, słabo ściśniony, klinowaty, ostrokończysty. Brodę cokolwiek w górę zadartą, nozdrza w osadzie dzioba wklęsłe, na przelot przebite, z otworami wązkiemi. Skrzydła krótkie, lotne, nogi krótkie, bardzo w tył posunięte z goleniami mocno ściśnionemi. Błone między palcami poprzecinaną, paznokcie płaskie i cienkie. Rodzaj ten (podług Jarockiego) mieści w sobie przeszło dziesięć gatunków, z których w samej Europie żyją cztery. Wszystkie przebywają na wielkich stawach i na jeziorach zarostłych trzciną i innemi ziołami wodnemi. Gnieźdzą się w trzcinie, budując sobie z niej gniazda pływające. Na ląd wychodzą bardzo rzadko, gdyż z przyczyny nader krótkich i ku tyłowi posuniętych nóg, mają chód zbyt niedołężny. Wyszedszy na brzeg, pętlają piersiami po ziemi, albo podskakują pionowo. Pożywieniem ich są ruby drobne, gady, płazy i robaki. Pierze na nich gęste i wielkie ma piękny połysk, a ten stał się powodem, że skóry niektórych nurków, wygarbowane przyzwoicie, bywają używane od

majętnych pań naszych na wyłogi do sukien zimowych. W krajach północnych skóry ich należą do liczby pospolitych zimowych ubiorów. Mięso ich ma zapach rybi i traniem trąci. Kameduli i Kartuzi, którym twarde zakonu przepisy nie pozwalają jeść mięsa zwierząt ciepłą krew mających, jadają przecież mięso nurków nawet w najcięższe posty. Pływają ptaki te i nurzają się wybornie, a zanurzwszy się, dopiero o kilkadziesiąt kroków wypływają na powierzchnię. Mimo krótkości skrzydeł latają dosyć szybko. Są bardzo pierzchliwe, ostrożne i do ubicia trudne. Naturaliści wspominają, iż nurki na brzegach północnego morza, w norach przez króliki opuszczonych gnieźdzące się, niezmiernie do swych młodych są przywiązane, i raczej się schwytać pozwolą, aniżeli od nich odstąpią. Przed dwoma laty byliśmy świadkami podobnego przywiązania tutejszych nurków. Żeglując po jeziorze Zaniemyskim szalupą w żagle opatrzoną, ścigaliśmy nurka samiec z dwójm młodych; a że wiatr był mocny i nam pomyślny, wkrótce zaczęliśmy go doganiać. Ptak nie chcąc podobno daniem nurka, jak zazwyczaj, ratować się, i tym samym słabe jeszcze i dlatego długo pod wodą utrzymać się niezdolne pisklęta opuścić, bierze je na siebie, z niemi uchodzi, i pomimo kilku wystrzałów z fuzyi, w nadbrzeżnej trzcinie swoje i płodu swego ocalenie znajduje.

12. O OGRODACH ANGIELSKICH.

(Wyjątek z dzieła: „Ogrody północne”).

przez

Józefa Strumillę.

Ogrody angielskie od chińskich początek wzięły. Opisy a później podróże rozmaite w kraju tym, swoją starożytnością, rzędem, i wielkością sławnym, dały poznać Anglikom sposoby, jakimi Chińczycy ogrodnictwo swoje wydoskonalili. Naśladowcy wszakże, nie trzymając się ściśle danego wzoru, lecz kierowani właściwym narodzi smakiem, a może też zmuszeni kraju swego położeniem, nieco odmienną ogrodom postać nadali. Gdy bowiem pier-

wsi wynalazcy, bardzo rozległą przestrzeń ziemi zajmując, pola, łąki, jeziora, rzeki, a nawet domy i całe wsie w obrębie ogrodu zawarli; ci przeciwnie, na niewielkiej obszerności ziemi przestając, różnaitością widoków, szykownym ich ułożeniem, zastosowaniem się do położenia miejsca i troskliwym naśladowaniem przyrodzenia użytek ogrodów z pięknoscią połączyli. Szerzące się z wiekiem światło i oczyszczony smak dobry w sztukach pięknych pociągnął prawie wszystkie oświeczone narody Europy do naśladowania Anglików w ogrodnictwie. Tak więc gotyckie owe ogrody, dziś jeszcze u nas widzieć się dające, w których ocięte drzewa lub w dziwaczne wystrzyżone postaci, smutny obraz kalectwa przedstawiają; równie też zostawione od Rzymian Włochom, od tych do nas wprowadzone, a tak zwane ogrody włoskie, gdzie pod wymierzonymi liniami, w oznaczonych kwadratach osadzone drzewa, ponury i jednostajny czynią widok, słusznie w zaniedbanie poszły.

Ogrody angielskie, jak wszelkie inne sztuki piękne, przemysłem człowieka utworzone, początek, wzrost i doskonałość swoją, z naśladowania przyrodzenia wzięły, a ztąd bardzo sprawiedliwie do naturalnych policzone zostały. Miłe położenie okolicy, zieloność łąki, rozrzucone po polach gaje i dąbrowy, bieg krętego strumyka, uroczysta wspaniałość gór, cienistych lasów i tym podobne rzeczy są piękności przyrodzenia, które pojedynczo tu i owdzie rozrzucone po ziemi, miłe na duszy naszej wrażenie sprawiają. Przedmioty takie są wzorami dla sztuki. Uczucie przyjemności, z rozmaitych tego rodzaju widoków powzięte, mocną chęć zbliżenia ich do nas i otoczenia się niemi wzbudza; sztuka chęci tej dogadza.

Ale sztuka naśladowania wymaga po mistrzu swym umysłu twórczego. Nie dosyć jest zgromadzić w jednym obrębie rozmaite widoki z przyrodzenia wybrane; trzeba oprócz zastosowania się do położenia danego miejsca, umieć jeszcze zachować szykowność w urządzeniu pojedynczych ogrodu widoków, nadać im pewne jednostajne znamię, czyli, jak mówią, charakter, a stawiać liczne lecz odmien-

nęj zawsze postaci obrazy, utrzymywać potrzeba koniecznie ich różnaitość, a w ogólności zgodność; słowem, każdą część we właściwym dla niej miejscu osadzić i zawrzeć, z jednej do drugiej, stosownie do ich przyrodzenia i własności przechodzić, a wszystko w ogóle tak wzajem pogodzić i związać, aby tym sposobem patrzący, malowniczym rzeczy wystawieniem zachwycony, zapomniał o sztuce, a dziwił się pięknemu przyrodzeniu. Najwyższa bowiem wszelkich sztuk doskonałość zasadza się na zatajeniu pracy i na nadaniu jej przez łube wyobraźni złudzenie, piętna rzeczywistości.

Ogólny rys angielskich ogrodów pokazuje sam przez się przyczynę, dla której i tak prędko, i tak powszechnie, w całej niemal Europie wprowadzone zostały. Nie ma bowiem klimatu, kraju, ani miejsca, gdzieby się korzystnie użyć nie mogły. Niech mi tu wolno będzie uczynić współrodakom uwagę. Jesteśmy z posady kraju naszego, urodzajności ziemi i z zamiłowania nam wrodzonego, rolnictwa miłośnikami; wieś najulubieńszem dla nas siedliskiem. Jakże jednak na upiększenie siedliska własnego obojętni, owszem zupełnie niedbali! Wyteżeni na korzyść plonów ziemi, naglimy pracę kmięcia; a niepowściągnięta chęć zysku wycięła już nietylko potrzebne lasy, ale nadto, w żyzniejszych okolicach, gaje i zarośle. Rozciągnięte łąny wyrobnej roli, ani przedziału, ani granic nie mające, gdzie żadną dąbrową, żadnem nawet drzewem, rażąca jednostajność nie jest przerywana; rozrzucone posady wiosek bez zagród i cienia, sterczące w ohydnej postaci, lub walące się brudne chałupy mieszkańców; liczniejsze nad potrzebę, a również nędzne karczmy, te narzędzia wyniszczenia włościan; same nakoniec dwory, jedne w niczem od swoich nie różniące się wiosek, drugie porządniejsze w zabudowaniu mieszkalnem i gospodarskiem, ale zawsze nagie, bez drzew i życia, smutny nader widok na pół zdziczałej pustyni oku przedstawiają. Prawda, że okropną tę jednostajność przerywają nierzadkie, miłe i malownicze obrazy, ale to samego przyrodzenia dzieła, a ręka nasza zgoła w nich nie przyłożyła. Takąto właśnie puściznę naddzia-

dowie nam, a my dalszym następcem zostawujem. Zaiste! każdej posady wiejskiej treścią jest rola i przyzwoite dla niej budowlę; ale potrzeba ta nie zawadza upięknieniu ich drzewami, owszem wymaga.

Drzewa koło domu osadzone, w zimie cieplejszym go czynią, bronią ściany od prędkiego psucia się, wstrzymując gwałtowne działanie ostrych wiatrów i śloty; latem w skwarne czasy, chłód i orzeźwienie sprawują; w przypadku pożaru są nieprzebytą tamą dla ognia. Gdy między oddalonym zabudowaniem dwornym, rozrzucimy w szkodnym porządku drzewa i krzewy; gdy otoczymy posadę gajem, chłodnikiem i cienistą zarośłą; gdy urządzimy wygodne dróżki; gdy to wszystko utrzymane będzie w czystości i ochędostwie, zrobimy z mieszkania naszego prawdziwy ogród angielski, który nie zawadzając w niczem pracom gospodarskim, miły widok życia i wesołości czynić będzie.

Nie mało w kraju postrzegamy dworów zamożnych, gdzie dom i inne budowle chociaż najporządniejsze, dla braku jednak drzew i ogrodu, jałowy i ponury obraz przedstawiają. Są to niedogodności, które każdy z właścicieli czuje i na nie narzeka, a rzadki, co by przyłożył cokolwiek usiłowania dla zaradzenia złemu. Bardzo często słyszeć można powtarzających; „że panom to tylko wielkim ogrodem mieć należy, a nie prostemu ziemianinowi.” Zdanie to więcej dowodzi lenistwa i niewiadomości, niż kosztu i trudności przedsięwzięcia. Że panom możliwym ogrody mieć przystoi, nie idzie, żeby ich mniej bogatym mieć nie należało. Łacniej bym się zgodził, iż pierwszym większe, ozdobniejsze, a załem więcej nakładu wymagające właściwe. Każdy według stanu i zamożności swój działać może i powinien: choć więc niemający, może się ogrodem zatrudniać, zwłaszcza, gdy przy widoku dla miłego wejrzenia, znajduje się użytek. Dla zaprowadzenia ogrodu, nie tyle kosztu, ile pracy i usiłowania z dobrym smakiem połączonego potrzeba.

(Uwagi wstępne).

13. D A B.

przez

Antoniego Waga.

Gdyby szło o wybór najpiękniejszego z drzew naszych, dąb bez różnicy w zdaniach otrzymałby pierwszeństwo. Co tu uwag dla zastanawiającego się umysłu! Gdy lat dwudziestu dochodzi, jest już uznanym właścicielem miejsca swojego. Potem do trzystu lat i dłużej czerstwości wieku używa; co wiosna, nowa młodość rozzielenia koronę jego, i ledwie można przypuścić dla bytu jego naturalny koniec. Jaśniały w jego życiu pogody, i srogie burze ciągle ich przerywały. Z uśmiechem patrzył na tę niestałość ziemskich kolei, a kiedy tyle równiennic jego z mokrej gęstwiny olszyn, ponikło z dymem okolicznych wiosek, poschły wyniosłe topole, nikczemne wierzby pogniły: on ku obłokom wznosząc swój osiwiasty wierzchołek, nie przestał być dębem.

Do stu gatunków tych stworzeń, które naturalisci owadami zowią, różnemi częściami dębu życie swe utrzymują. Nie ma lasu, gdzie nie ma niskich przynajmniej krzaczków dębiny, które go opasują dokoła. W takichto miejscach powietrze jest zdrowe, a te suche niziny, które on strói, te górzystości, które ubiera, są niewyczerpnym źródłem rozkoszy dla naturalisty, przyrodzenia skarbów szukającego. Gdzie południowe słońce ten wieniec lasu oświeca, ujrzymy, jak nieprzeliczone mnóstwo i nieskończona rozmaitość chrząszczy z smaragdu i much z opalu, uwija się po skórkowatych liściach, któremi niegdyś sława nieśmiertelna zdumiewające czyny nagradzała. Ale postąpmy ku olbrzymowi lasu: onto tym niskim wieniec obsiał go dokoła. Na rozłożystych konarach jego, ileżto ptaków i innych zwierząt gospodaruje. Zład głos kukułki rozlega się w puszczy, tu seledynowa kraska odpocznie, tu po gałęzi dzieciół przebiegła, tu wiewiórka i gołąb spłoszyły się nawzajem, tu przybywają sójki po żywność, tu koszatki zimowego schronienia szukają. Poniżej ptastwo gniazda ukrywa, a na wierzchołku drozd, z swym talentem igrając, nowe pieśni na cały las rozsyła.

Usługa jego dla potrzeb naszych jest wielkiej ceny; trudno i pod tym względem wynaleźć drzewo mu równe. Professor Szubert w swoim opisanu drzew i krzewów naszych, na czele dąb mieści; powiedział on wszystko, co o tym drzewie powiedzieć można. Miło z nim cechy rośliny poznawać, użytki dębu oceniać, jego trwałości w ziemnych i wodnych budowlach doświadczać, mieć w nim i zapas opału i wiele rzemiosł częściami jego obdzielić, a naostatek te szacowne lasy swoim następcą zostawić.

Przodkowie nasi mieli uszanowanie dla dębu. Widzimy drzewa odwieczne na podwórzach wsi wielu: często i na między ogrodu, ustronia dąb strzeże. Nie zazdroszczono kawałka ziemi dla cienia jego. Bo gdzież spoczynek milszy być może? Wśród skwaru letniej pogody pod nim swawolą dzieci, a ja samotnie czynny rozmawiam z żyjącym drzewem przeszłości. Dowiedzie on dawnych gospodarstw prostszego celu, lecz czulszej nadal rachuby, a pamiętając rękę, która je sadziła, spojrzy posępnie okiem na tegożczesną postać, na te pokrzywione karły, które niechętną owoców danią, ledwie zdołają łakomstwo naszych składow nasycić: które obcemu niebu wydarte, tworzą te sady nasze, domom kalek podobne.

Ktokolwiek blisko domowej zagrody dąb taki posiadasz, przy rozwinięciu swych planów nowych, miej wzgląd na wielowieczne zasługi jego i daruj mu życie. Pomyśl, jak długo cienia tu udzielał, jak wiele liści i owocu przez ciąg długiego życia tu dostarczył, ile lat gniazdo bocianów podpierał, ilekroć pożar szerzący się wstrzymał. Jest on nietykalnym przedmiotem i wszedł oddawna w twych posiadłości inwentarz. W odległych stronach z tej wsi wędrownik ma go wrytym w pamięci. Ty się nie uczyn sprawcą żalu po nim. Już go uszanowało wielu dziedziców, których przeżył; nie zakończ płamą ich szeregu. Porównaj chwilę zniszczenia drzewa z tym niepamiętnym istnieniem jego, a niech zawzięta siekiera z rąk ci wypadnie.

I uważ wreszcie, jak sprawiedliwe warunki istnieniu rzeczy natura podała. Co długo młodość uwdzięcza, jak długo potem obarcza brzemie dolegliwej starości! W są-

siedzkich puszczech pokażą nam dęby, które pogaństwa jeszcze ofiarzami były, a według podań już wtedy stare. I w naszym kraju znajdują się może bliższe równienniki tamtych, dęby, których olbrzymie wymiary umysł zdumiewają. Upadek sędziwego drzewa był nieraz zdarzeniem, które świadkowie jego pamiętnym uznali. Tak, przed dwudziestu laty w pewnej majątności, w powiecie Rosieńskim na Żmudzi, dąb, który starość zwałiliła, dwadzieścia łokci i dwa naście cali obwodu pnia mający, ścięto i pracowitem usiłowaniem między rosnącymi drzewami w ogrodzie postawiono. Kto stanął wówczas pod nieżywymi konary jego, mniemał, że ma nad sobą dach wielkiej budowli ogołoczonego z pokrycia. Z pnia spróchniałego zrobiono altanę, drzwi mu i dwoje okien przydawszy. W tej samorodnej altanie zmieścił się stolik okrągły, krzesło, kanapa i szafka z dwustu książkami, a dziewięć osób bawić się w niej mogło. W tym także czasie ściągali podziwienie dąb starożytny w powiecie Rakonickim w Czechach, który dnia 18 lipca 1815 r. z wielkim łoskotem upadł. Miał on 45 stóp obwodu, a tylko starość i własny ciężar upadku jego były powodem. Wiekowi jego tysiąc lat liczono.

14. MODRZEWE.

przez

K. W. Wójcickiego.

Drzewo, olbrzym naszych lasów, zakupywane było drogo na maszły okrętowe. Modrzew na zimę traci liście, ale kiedy wiosna nastanie, z każdego drobnego listka rozchodzi woń po lesie miłego kadzidła.

Kościół i dwory szlachta budowała z modrzewiu. Wiedziałem dwór w bliskości Święto Krzyskiej góry, dom modrzewiowy, a na belce rok 1504, w którym go zbudowano.

Żywiec z modrzewiu używano u nas za kadzidło. Górale mają przysłowie: „Na modrzewiu zima niedługo trzyma;” to jest, że, gdy przed rzuceniem liści śnieg padnie, zniknie prędko, bo długo nigdy nie leży na jego liściach.

Wyrosłemi gąbkami na modrzewiu prowadzono u nas handel z Wenecją w XVI wieku. Używano tej gąbki jako

lekarstwa na niestrawność, w wielkiej chorobie, na chorobę wątroby i na żółtaczkę.

Sandomińskie dotąd najbogatsze w modrzewie, znajduje się i w Krakowskim, ale rzadziej; w innych okolicach już tego pięknego drzewa nie ma ziemia nasza.

15. LIPA.

Kiedy stały niewyniszczone toporem puszcze i bory, lipowe lasy roznosiły woń i pożywienie rojom pszczół dzikich. Do dworów szlachty droga była zdobiona gęsto z obu stron lipami, w ogrodach stanowiły one najpiękniejsze szpalery. Prawie nie było wsi, dworu, gdzieby nie wznosiły cienistych konarów lipy. Każda wieś, jak w Krakowskim, Sandomińskim i u Mazurów, na ustroniu miała swoje lipę, gdzie starsi schodzili z gromadą na sądy, a młódź do zabawy i skoków. Jeszcze za Zygmunta III ślad tego został, Krzysztof Falibogowski wspomina o nim: „Wójt albo szottis, tam pod ową lipką, rad z gromadą siadał.” Ztąd w przysłowia ludu i pieśniach polskich i ruskich tyle wspomnień znalazła, ztąd w nich widzimy tyle mostów lipowych, kołysek, a nad każdą wodą, na każdym podwórzu stoi zawsze lipa.

W pieśniach i przysłowia ludów słowiańskich, lipa równie jak u nas ma miejsce. I nie dziw, może więcéj żadne drzewo tyle użytków nie przynosiło w dawnych wiekach. Kwiat żywił tysiące rojów pszczół dzikich i pasiecznych; służył za lekarstwo, równie jak młode gałązki, które rozgniecione i przyłożone do rany, zapalenia wszelkie wyciągały i goiły.

Z tyka czyli kory tak Ruś jak Polacy pletli sobie chodaki, w nich chodził on nasz Piast rolnik, równie jak Przemysław Czeski.

Samo drzewo lipy używano nietylko do opatu, ale do naczyni rozmaitych gospodarskich i domowych: jako na drzwi, stoły, ławki, łyżki i warzachwie. Sanki lipowe dla lekkości miały swoje cenę w XVI wieku.

Wizerunkiem lipy oznaczono u nas, jak mówi Mikołaj Rej: „Cne obyczaje,”

Wej! jako po tej lipce pszczołeczki latają,
Brzęcząc sobie w rozkoszy, miód z kwiatków zbierają:

tak i ty się staraj przyjaciołom służyć, a jako pszczoły do lipy, tak do ciebie by się zbiegali po radę, pomoc i pociechę.

Szpalery lipowe w ogrodach przodków naszych, były szczególniej lubione; wysadzano niemi i drogi, a ten chów pięknego drzewa pomagał do krzewienia się licznych pasiek.

Miał sławną lipę Jan Kochanowski w swoim Czarnolesiu, pod którą używał chłodu, spoczynku, i wiersze swoje pisał. Tę lipę wystawia Kochanowski mówiącą do gościa:

Gościu! siadź pod mym liściem, a odpocznij sobie,
Nie dojdzie cię tu słońce, przyrzekam ja tobie,
Choć się najwyżej wzbije, a proste promienie
Ściągną pod swoje drzewa rozstrzelone cienie,
Tu zawsze chłodne wiatry z pola zawiewają,
Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają;
Z mego wonnego kwiatu pracowite pszczoły
Biorą miód, który potem szlachci pańskie stoły.
A ja swym cichym szeptem sprawić umiem snadnie,
Że człowiekowi łatwo słodki sen przypadnie,
Jabłkę wprowadzić nie rodzę, lecz mię pan tak kładzie,
Jako szczep najpłodniejszy w hesperyjskim sadzie.

Nie dziwota, że tyle wspomnień o lipie zachowano, bo jak dobrze J. Szafarzyk uważa, lipa była świętą u Słowian drzewem w przedchrześcijańskich czasach. Ztąd nie tylko jak u nas przybrał nazwę siódmy miesiąc lipiec i miód lipcowy, ale w całej Słowiańszczyźnie mnóstwo wsi, miast i grodów od lipy przybrało nazwanie. W obrębie dzisiejszego królestwa Polskiego, 117 miast i wsi od lipy ma swoje nazwę. Słowaki w Węgrzech i teraz szczególniej lipę miłują. W każdej osadzie czy w środku miasta, siola, albo w pobliżu wioski, widać stare, odwieczne, rosłe, wysokie lipy. Przy kościołach najwięcej je sadzą, tak, że przy każdym zwłaszcza wiejskim, kędy Słowaki zamieszkują, widać lipy, rzadka gdzie inne drzewa. Obyczaj (mówi Szafarzyk) bez pochyby jeszcze z pogańskich wieków, odziedziczony z pokolenia do pokolenia.

16. CZULEK (*Mimosa Sensitiva*).

przez P. K.

Powinnością jest myślącego człowieka uważać wszystko, co pod zmysły jego podpada, i zastanawiać się nad tem, co je mocniej uderza. Skoro wiosna rozgrzeje ziemię i wywoła z jej łona drobne kwiatki i ziółka, z jakąż rozkoszą witamy te pierwsze dary ożywionej natury, z jaką pociechą poglądamy na ich wzrost, jak nas później zajmuje każdy pączek wśród zielonych liści wyrastający; a cóż dopiero kiedy rozpierając te lekkie więzy kwiat świetnobarwny woń i wdzięki swoje rozłoczy! Nie wszyscy jednakże przestają na zewnętrznej przyjemności, jakiej im dostarczają rośliny; są, i między czytelnikami naszymi znajdują się tacy zapewne, co rozważając cudowny utwór każdego krzewu, śledząc krążenie soków, przyjmowanie pożywienia, wyziewanie zbytecznej wilgoci, wpływ, jaki ciepło i światło na rośliny wywiera, uwielbiają wielkość Stwórcy, którego niepojęta mądrość w najdrobniejszym jego tworze tak się widocznie ukazuje. Ludzie, którzy całe życie swoje poświęcili badaniu roślinnych własności, doszli już do tego, że określili dokładnie wszystkie osobliwości ich wzrostu, wszystkie ich życia wypadki, wyjąwszy jednego, i o tym właśnie kilka słów powiedzieć tu zamierzam.

Nieodgadnioną jest dotąd przyczyna szczególnej drażliwości niektórych roślin, a szczególnie gatunku czułek (mimosa). Drażliwość czyli czułość ta rozmaicie się objawia, i tak: czułodrzew (mimosa pudica), za każdym wiatru powiewem, za lada chmurką na niebie, za najłżejszym przysłonieniem światła, opuszcza listki ku ziemi, więdnie i prawie niszczeje, aż do chwili, w której drażniąca ją przyczyna usunięta zostanie. Rośnie on po większej części w południowej Ameryce, lecz w starannie utrzymanych szklarniach i w naszym klimacie żyć może. Nie bądźmyż jej podobnymi, nie dozwalajmy zewnętrznym okolicznościom wywierać tak ważnego wpływu na zewnętrzne życie, myśmy nie roślinki; nam Bóg dał duszę, która mocą swoją zwyciężać powinna przykrości nieodłączne od pobytu na ziemi;

my za każdym strapieniem zamiast pochylać czoło z boleścią, powinniśmy wznosić je w niebo, ciesząc się ze smutku i cierpienia, które mężnie znoszone nadają nam prawo do świetnej nagrody.

Czułek (hygrometr, pogodomierz), za zbliżeniem się burzy ściska swe liście w ten sposób, że wszystkie wspierając się wzajemnie, łatwiej nawałnicę znieść potrafią. Nasza zwyczajna akacya także do gatunku czułek należy, z rana bowiem, kiedy słońce dopiero wschodzić zaczyna, liście jej widzimy, równolegle przy łodyżkach rozpostarte; w miarę jak słońce wznosić się zaczyna, listki akacyi wznoszą się także, dążąc ku temu rozdawcy światła i ciepła, a wieczorem, kiedy ostatnie jego promienie nikną na widnokręgu i akacya ku ziemi gałązki swoje pochyla!

W północnej Ameryce znajdują się dwa gatunki czułek złośliwych, jeden z nich zwany muchołapką, wyziewa nieustannie lepki sok, który przynęca muszki i inne owadki; ale zaledwie biedna istota siedzie na listku, ten składa się na dwoje i dusi nieprzezorną smakoszkę. Drugi gatunek ma listki opatrzone dokoła nitczkami, cienkościami włosa, i również skoro jakiegokolwiek żyjątka na środku listka usiądzie, ten się składa, nitczki będące na brzegach krzyżują się z sobą, tworząc rodzaj przezroczystej siatki, i w tem więzieniu zatrzymują owad dopóty, póki wszelkie ruchy jego nie ustaną. Gatunek ten zwany jest drosera.

Czułokrzew rosnący w Brazylii, którego wdzięczny biały kwiateczek z pochyloną główką i miłym zapachem może być uważany za godło skromnej zastugi, wytrwały na zmiany powietrza, znieść nie może niczyjego dotknięcia; za zbliżeniem obcego przedmiotu, podnosi się nagle pochylona łodyżka, kwiat prostuje się dumnie, a liście, jakby go ochronić chciały, w jednej chwili dążą do góry. Bodajby i ludzie, biorąc za wzór tę roślinę, znosili wytrwale zwyczajne życia przygody, a od niestosownego towarzystwa, od złego przykładu stroniąc, jak ona wznosi się nad poziom, i pod zasłoną rodzinnej troskliwości czekali, aż niebezpieczeństwo przeminie.

Przekonano się, że przeciąwszy prędko ostrym nożem łodygę czułokrzewu, na żelazie spostrzedz się daje plamka czerwona, zupełnie do kropli krwi podobna.

Mieszkańcy Senegalu, mający u siebie liczne gatunki czułków, zowią tę roślinę guera kiao, to jest: dzień dobry! utrzymują bowiem, że niespokojność i pochylanie się jej listków i gałązek, jest oznaką powitania i wdzięczności dla zbliżającej się ku niej istoty.

Mówiąc o czułkach, nie można także pominąć osobliwszej rośliny, należącej do ich rodzaju.

Czułek kufelkowy (*nepenthes*), rosnący po największej części na wyspie Madagaskar, ma liście podługne; od końca każdego liścia wychodzi cieniutka, w górę zagięta łodyżka, a na niej kwiateczek w kształcie kufelka z pokrywką; pokrywka ta zamknięta w nocy, podnosi się ze wschodem słońca, a pod nią w wydrążeniu kufelka, znajduje się najczystsza i najlepszego smaku woda. Osobliwość ta jest razem podziwem i wielką pociechą dla podróżujących w tak gorącym kraju, gdyż ośm do dziesięciu takich naczynek, może ugasić pragnienie człowieka. Oprócz zwyczajnego otwierania się co rano, pokrywka odskakuje za najlżejszym dotknięciem, a gdy się kufelek przepełni, wzniesiona w górę łodyżka, spuszcza się zwolna, i zbyłeczna woda skrapia spieczoną ziemię. Jaka siła porusza tak rozważnie organa tej rośliny? czy woda w kufelkach zawarta tworzy się ze zwyczajnej rosy, czy z własnych czułka wyziewów? tego jeszcze uczeni nie doszli; zostawmy im ten mozół, a sami pochylmy w pokorze głowę przed Tym, który stworzywszy tyle rzeczy dla pożytku człowieka, dozwoliwszy mu poznać korzyści, jakie z nich osiągnąć może, tajemnicą pokrył środki, których używa w tym celu, przed dumnym badaczów okiem zastaną niewiadomością roztoczył.

17. BEDŁKA RYDZ (*Agaricus deliciosus*. L.).

(Wyjątek z dzieła w rękopiśmie o grzybach jadalnych przez prof. Jana Pankiewicza).

Kapelusz rydza z wierzchu blado-ceglastego lub pomarańczowego koloru, z wieloma jaśniejszemi i ciemniejszymi

mi plamkami na okręgach kół spółśrodkowych ułożonemi; barwa kapelusza w młodości zwykle bywa żywsza, lecz z wiekiem płową się staje. Powierzchnia kapelusza jest gładka, sucha i włosów zupełnie pozbawiona; lecz z wiekiem, a mianowicie w czasie dżdżystym powleka się niekiedy płynem lepkiem. Brzeg kapelusza w pierwiastkowym czasie istnienia rydza ku dołowi zagięty, później podnosi się ku górze, przez co kapelusz staje się wklęsłym, a niekiedy przyjmuje postać lejkową, a brzeg jego bywa bardzo nieforemnie powyginanym. Blaszkki bywają koloru pomarańczowego, zwykle żywszego jak powierzchnia kapelusza, cienkie i nieregularnie potrójnej długości: jedne kończą się w niewielkiej odległości od brzegu, drugie końcami swemi sięgają środka promienia kapelusza, a ostatnie dochodzą do trzonka, po którym zbiegając, stają się ostre; niekiedy one bywają gałęziste, to jest w pewnej odległości od trzonka dzielą się na dwie lub trzy odnogi. Trzonek bywa walcowaty, okrągły lub nieco spłaszczony, jednakowej średnicy w całej długości lub u dołu nieco cieńszy, krótki tak dalece, iż zdaje się, jakoby kapelusz na ziemi spoczywał, koloru blado-ceglastego lub blado-pomarańczowego, który z wiekiem przybiera nabieg białawy; w młodości wewnątrz pełny, z wiekiem staje się wydrążonym, a przestrzeń zajmuje masa podobna do rdzenia trzciny. Zarodniki białe. Wszystkie części rydza, a mianowicie wierzch kapelusza i blaszki, nakłute, oddzielają płyn koloru szafranowego. Mięso kapelusza i trzonka twarde, białawego lub czerwono-żółtawego koloru, który ku powierzchni jednego i drugiego staje się żywszym czerwonym. Smak surowego rydza jest ostry i gorzki, przez gotowanie znikający; zapach słaby, przyjemny. Rydzom wyłącznie jest właściwy przymiot, iż wszystkie ich części będąc uszkodzone przez otarcie lub innym jakimkolwiek sposobem, przybierają kolor zielony, który na nich na zawsze pozostaje.

Rydze rosną w lasach suchych iglastych szczególnie między sosnami i jodłami; w życiu potocznym odróżniają rydze pochodzące z lasów sosnowych od rosnących w la-

sach jodłowych, gdyż pierwsze w gotowaniu lub marynowaniu sinieją, drugie zaś właściwy sobie kolor stale zachowują. Rydze napotykają się zwykle pojedynczo, niekiedy jednak gromadnie; w naszym kraju zaczynają się one pokazywać w sierpniu lub wrześniu i przy sprzyjającej ich rozwijaniu się pogodzie, trwają do późnej jesieni.

Wielu autorów dawniejszych, a nawet z nowszych niektórzy przypisują rydzom szkodliwe dla zdrowia ludzkiego własności; lecz podobne mniemanie jest błędnem i złąd jedynie pochodzi, iż są bedłki z pozoru mające niejaki podobieństwo do rydzów, a które posiadając własności trujące, mogły być przypadkowo, lub z braku uwagi z rydzami zebrane i stać się przyczyną opłakanych wypadków. Przy użyciu więc rydzów, na pokarm, należy pilnie uważać, iżby przedstawiały wszystkie cechy wyżej wymienione, a mianowicie wybierać na użytek te tylko egzemplarze, których mięso w przecięciu pod powierzchnią posiada piękny kolor czerwony i które są pokryte plamami zielonemi, odrzucać zaś wszystkie, któreby przy pozorze rydzów miały na trzonku ślad pierścienia, któreby na kapeluszu, blaszkach i trzonku miały tło różnych kolorów i któreby pochodziły z lasów liściastych. Z pomiędzy wszystkich bedłek najpodobniejszą do rydza jest bedłka wełnianka (*Agaricus torminosus*) od ludu wełnianką zwana, która powszechnie bardzo słusznie za trującą jest uważana. Wełnianka jednakże dość widocznie różni się od rydza; trzon jej wewnątrz zawsze jest próżny, nadto, co stanowi najważniejszą różnicę, brzeg jej kapelusza nie jest gładki jak u rydza, lecz strzępiasty, jakoby włosami lub wełną porośły, a nadto na blaszkach przebija się kolor biały.

Rydze są używane na pokarm w rozmaitej postaci: smażą je na maśle dodając rozmaitych przypraw; lecz dobrze jest przed smażeniem oblać je wodą wrzącą, która niszczy smak gorzki surowym rydzom właściwy. Rydze zachowują się także na zimę w occie z cebulą i pieprzem, lub w roztworze soli, do którego według upodobania można dodać rozmaitych korzeni; rydze takim sposobem zachowane zastępują miejsce sałaty, stanowią pokarm od wielu lubiony,

a w niektórych okolicach bywają przedmiotem handlu. Sól lub ocet powszechnie w stronach północnych do przechowywania rydzów używany, we Włoszech około Genui zastępują oliwą. Do użytku należy wybierać rydze młode i świeże, gdyż te są smaczniejsze, łatwiejsze do strawienia, a nawet posilniejsze od starszych.

18. ALABASTER.

W języku pospolitym i w kunsztach wyraz ten oznacza jużto gips, u mineralogów zbitym albo ziarnistym zwany, już też kamień wapienny ziarnisty. Wszakże oba te minerały, pomimo podobieństwa do siebie na oko z koloru, zwłaszcza gdy są czystej białości i ziarnistości cukrowej w swę masie, mniej więcej przyświecającej, różnią się wielce nie tylko trwałością, ale i składem chemicznym. Alabaster gipsowy u starożytnych alabastrites zwany, daleko jest miękniejszy od wapiennego, t. j. od właściwego marmuru, gdyż od paznogcia przyjmuje rysę, a przeto nierównie łatwiej dłutem i innemi narzędziami obrabiać, lubo za to trudniej polerować się daje.

Pod względem składu chemicznego jest on siarczanem, kiedy marmur, węglanem wapna. Odsyłając na miejsce właściwe dalszą o marmurze wiadomość, tu o alabastrze, jako o gipsie ziarnistym mówić będziemy. Kolor biały, szarawy, żółtawy, czerwony, czasem z żyłkami i plamami czarnymi, niebieskawymi i t. d. jest tego kamienia cechą. Za najprzedniejszy zaś w rzeźbiarstwie uważa się alabaster zupełnie biały; z kąd też powstało przysłowie: biały jak alabaster. Odłam jego jest zbity, ziarnisty, do przedniego cukru podobny, a blask słaby niby tłusty. Lubo alabaster pospolity z innemi gatunkami gipsu w wielu znajduje się krajach, zajmując pospolicie w kopalniach gipsowych najgłębsze warstwy, najpiękniejszym atoli i najwięcej cionym jest włoski i tyrolski. Wyrabianiem z niego popiersi lub posągów, płaskorzeźb, rozmaitych naczyń ozdobnych, lamp, ornamentów architektonicznych i t. p. rzeczy, trudnią się najwięcej w Medyolanie, Voltera (w Toskanii), Florency, Liwurno Gröden (w Tyrolu), Wiedniu, Norym-

berdze, Nordhausen i t. d. Użycie na ten cel alabastru zasięga dawnych czasów Greków i Rzymian, czego dowodem są podziśdzien dochowane w muzeach starożytności zabytki.

Nazwisko nawet téj odmiany gipsu poszło od wyrazu alabastrum, który oznaczał u starożytnych kadzielnicę, lub naczynie na wonności, z tego kamienia wyrobione. Niektórzy jednak wyraz ten wywodzą od nazwiska miasta w Egipcie górnym Alabastra, gdzie w obfitości znajdować się miał alabaster. Pomimo łatwego obrabiania i piękności w wyrobie alabaster ma, oprócz przyjmowania plam i rys od dotknięcia lub potarcia, tę jeszcze wadę, że w wyrobach polerowanych, skutkiem środków używanych do tego, znacznie żółknie i nareszcie brudnym się staje, a przytém będąc czułym na nagłe zmiany temperatury i wilgoci, nie może bez szkody na otwartém zostawać powietrzu. Okruszyny lub nieprzydatne do robót snycerskich, tokarskich, i t. p. kawałki alabastru, wypalone i na mękę utarte, służą jak wszystkie inne gatunki gipsu, do robót sztukatorskich, u Włochów Stucco zwanych.

(N. A. K.).

19. ASFALT.

przez

Antoniego Żyszkiewicza.

Oddział kopalnych ciał, utworzonych podług praw natury organicznój, jakkolwiek niebogaty w gatunki, bardzo ważne w królestwie minerałów zajmuje miejsce. W ogólności jednak powiedzieć można, iż gatunki w niém zawarte, dotąd ani są ściśle rozróżnione, ani z należytą dokładnością uporządkowane; trudności, jakie w tym względzie napotykamy, z samego ich przyrodzenia pochodzą; albowiem w wewnętrznym tych ciał składzie nie znajdujemy stałego stosunku pierwiastków, a budowa ich postaci foremnych i krystalicznych nie posiada. Grupa ciał żywicznych tego podziału, które się odznaczają małym ciężarem, wielką palnością i wydawaniem sobie właściwego aromatycznego zapachu, jaki bitumicznym nazywamy, zawie-

ra szczególny gatunek imieniem asfaltu, inaczej smoły ziemnej oznaczony. To ciało kopalne w tak widocznym związku zostaje z naftą i olejem skalnym, że mówiąc o niém koniecznie wzmiankę o innych uczynić wypada. Nafta jest płynem przezroczystym, bezfarbnym lub bardzo słabo żółtawym, w dotknięciu tłustą, posiada zapach szczególny do olejku terpentynowego zbliżony; lżejsza od wody, na jęj powierzchni się unosi; tak zaś jest palna i lotna, iż dosyć jest w znacznej odległości nad naczyniem otwartém umieścić płomień, a natychmiast na całej powierzchni się zapali. Olój ziemny czyli skalny (petroleum) również jest ciałem płynnem, tłustem, koloru brunatno-czarnego, z ciężkością gatunkową od wody mniejszą. Z resztą wszystkie jego własności zbliżają się do tych, jakie przedstawia nam mieszanina nafty z pewną ilością asfaltu; jakoż wystawwszy najczystsza naftę na działanie powietrza i światła, ta stopniami zamienia się w płyn gęstawy, lepki, koloru brunatnego, który zupełnie do oleju skalnego jest podobny; nadto przy dystylacji wydaje ciecz lotną, całkowicie do nafty podobną. W końcu tenże sam olój skalny przez czas dostateczny stykając się z powietrzem przerabia się w masę coraz to gęstsza, która nareszcie całkowicie tężeje i zamienia się na ciało stałe, we własnościach z następnym gatunkiem zgodne. Asfalt jest żywicą stanu zsiadłego, i według wszelkiego podobieństwa, stanowi ostatni szczebel całego tych zmian szeregu, jakim żywice płynne w zetknięciu się z powietrzem ulegają. W ogólności znajduje się w massach koloru brunatnego lub brunatno-czarnego, nieprzezroczystych i tylko po brzegach cokolwiek przeświecających; wystawiony na działanie wzrastającego ciepła, z początku się rozmiękcza a później zupełnie rozplawia; dalej zaś ogrzewany w zetknięciu z powietrzem, płomieniem się zajmuje; a w dystylacji wydaje płyn zupełnie do oleju skalnego podobny. Jednakowoż inne jego własności fizyczne tak się pomiędzy sobą różnią, iż na kilka podgatunków rozdzielić się może; głównejsze z nich są: asfalt właściwy czyli smoła żydowska i asfalt sprężysty albo elateryt inaczej kauczuk mineralny.

Pierwszy jest koloru aksamitno lub brunatno-czarnego, z odłamek muszlowym i mocnym blaskiem tłustym, przytém zawsze mniej więcej jest kruchy; ciężkość jego gatunkowa do 1, 2 dochodzi. Drugi zaś pospolicie bywa barwy czarniawo-brunatnej, odłamek jego zbliża się do warstwowego, z blaskiem bardzo słabym, przytém jest miękki i tak sprężysty, iż naciskany z trudnością na części roztrzaskać się daje. Co się tyczy składu chemicznego tych ciał kopalnych, to stosunki pierwiastków je stanowiących są zmienne stosownie do miejsc, w których się znajdują, do czasu, przez jaki działaniu powietrza ulegają, oraz wielu jeszcze innych przypadkowych okoliczności; w ogóle jednakże powiedzieć można, iż nafta i olej skalny powstają z węgla i wodorodu, asphalt zaś oprócz tych dwóch pierwiastków jeszcze kwasoród i saletroród w sobie zawiera. Taki ich skład chemiczny i położenie geognostyczne wyraźnie początku organicznego tych ciał dowodzą; albowiem nafta i olej skalny znajdują się tylko w skałach napływowych lub warstwowych późniejszej formacji, szczególnie zaś w piaskowcu lub pokładach węglowi kopalnemu przyległych. W miejscach takich zwykle razem z wodą na niziny spływają, a w ogóle powiedzieć można, że, im krainy są gorętsze, tén więcej w nie obfitują; asphalt zaś oprócz powyższego położenia, znajduje się w żyłach kruszcowych, skały przechodowe przerysujacych a szczególnie w siarczyku ołowiu, miedzi, żelaza magnetycznego, oraz żywego srebra tak w stanie rodzimym, jako tén i z siarką połączonego, przytém natrafia się przy innych ciałach krystalicznych, w geodach i skałach składu migdałowatego. Nafta w wielkiej ilości znajduje się w rozmaitych miejscach Azji, szczególnie w tym względzie słyną okolice Baku nad morzem Kaspijskim; oprócz tego odkryto ją w Parmie, przy wiosce Miano.

Mieszkańcy pierwszej krainy, odkrywając miejsce wydobywania się pary naftowej, stawia nad niem rurę glinianą, poczem do wierzchniego jej otworu zbliżają płomień; tak gorejąca nafta służy im w miejscu drzewa do gotowania

pokarmów; Włosi zaś nafty swojej używają w miejsce oliwy do lamp oświecających miasto.

Olej skalny oprócz miejsc powyższych znajduje się jeszcze w wielu innych, jako to: w Szwecyi, Szkocyi, Harzu, Szląsku, Karpatach, Francyi, Włoszech, Sycylii, na wyspie Zante, w Indostanie, Chinach, oraz na wyspie Trinidad. Używa się na smarowidło do lin, okrętów i innych machin, lub tén służy do lamp za materiał palny; przytém używają go do ochrony rozmaitych przedmiotów od szkodliwego działania owadu, który mocną swą wonią odpycha; nadto i w sztuce lekarskiej nie jest bez użytku; w końcu starożytni Egipcyanie mieli używać tego oleju do balsamowania ciał zmarłych obecnie pod imieniem mumij znanych. Asphalt sprężysty czyli kauczuk mineralny nie tak jest pospolity, znajduje się on szczególnie w Anglii (Derbyshire) we Francyi (dep. niższej Loary) oraz w górach wulkanicznych Ameryki północnej. Asphalt zaś właściwy w największej ilości unosi się na powierzchni morza Martwego, które inaczéj zwie się Asfaltowém: nie mniejszą z tego względu uwagę ściągają na siebie jeziora na wyspie Trinidad położone, w ogólności jednak powiedzieć można, że Azja najwięcej wén obfituje, chociaż i w Europie na nim nie zbywa; główne jego miejsca rodzinne są: Anglia, Hannover, Hare, Szwajcarya, Sycylia, Francya i inne. Ciało to palne używa się dziś jeszcze do robienia lakierów, czarnego laku i na farbę w malarstwie; szczególnie w tym względzie słynie kolor zwany mumią dlatego, iż najlepszy jej gatunek ma być wydobywany ze starożytnych zabytków tego nazwiska, do których przyrządzania Egipcyanie mieli także asphaltu używać; nadto toż ciało kopalne na równi z innemi żywicami tego rodzaju może służyć na wiąz do zaprawy szczególnie obecnie dość powszechniej, którą asphaltową albo smołowcem zowiemy; niemniej są podania, że do wiązania murów Babilonu używano cementu ze smoły twardej czyli asphaltu.

To jednakże jest pewno, iż dziś w mowie potocznej imieniem asphaltu oznaczają się ciała pomiędzy sobą różnorodne, szczególnie zaś pod tén imieniem zajmują skały

piaskowca i wapieńca, większą lub mniejszą ilością ciał żywicznych przejęte. Do robienia zaprawy asfaltowej bierze się pospolicie jedna ze skał powyższych, i na proch utłuczona miesza się na ogniu z olejem skalnym, jaki się z nich otrzymuje ogrzewając w kotłach téż same skały nalane wodą, na powierzchni której olej jako lżejszy się zbiera; ilość przydanego piasku z pośluczonej skały zależy od stopnia czystości wyżej powiedzianym sposobem wydobytego oleju, w ogóle im mniej ten ostatni zawiera w sobie cząstek ziemnych, tém się więcej doń pierwszego dodaje; jednak z rachunku przybliżonego wypada, że w zaprawie materya żywiczna piątą jej część stanowi. Do tak przyrządzonej zaprawy dodaje się pewna ilość zwiru, ażeby ją ochronić od zmian objętości, z powodu odmiennéj temperatury: można nawet użyć kamienia tłuczonego w rozmaitych barwach i tym sposobem otrzymywać zaprawę, która w pewny sposób pozór mozaiki naśladuje; przykłady prób podobnych po raz pierwszy ukazały się na wystawie płodów krajowego przemysłu 1834 roku w Paryżu. Główne użycie téj zaprawy jest na pokrywanie tarasów i ścian, oraz podłóg wilgotnych budowli; i tak: kazematy, magazyny, korytarze warowni w Strasburgu, Metz, Phalzburgu, Beforcie mają ściany i podłogi nią odziane, a inżynierowie pruscy w takimże celu równie korzystnie jej używają. We Francyi, Anglii i wielu innych krajach pokrywają nią chodniki; pomyślné próby z jej użycia, staraniem Banku Polskiego, znajome już są w Warszawie i z wszelką pewnością oczekiwać można, że zamierzone obszerne plany dalszego z niej korzystania pożądaną uwieńczą skutek.

20. BURSZTYN.

Skarby ukryte w ziemi utorowały drogę kulturze, powiodły Fenicyan do złotodajnych krain Afryki, Rzymian do Indyj a Hiszpanów do Ameryki. Uboga północ Europy nie miała kruszców i kamieni dla zwabienia cywilizowanych ludów starożytności, lecz miała bursztyn na równi niemal z tamtymi ceniony. Sprowadzenie jego złączyło w odległych już wiekach brzegi oceanu Północnego z brzegami

Adryatyku i morza Czarnego, i ożywiło stosunki międzynarodowe w krajach środkowej Europy. Bursztyn z Germanii przez ziemię Celtów do Italii, przez Polskę zaś i Rosyą po Dniepr się rozchodził, a w miejsce jego tą samą drogą, wraz z monetami rzymskimi wpływała rzymska oświata. Nie rozstrzygnięto dotąd pytania, czy Fenicyanie w swych wycieczkach handlowych docierali do morza Bałtyckiego. Prawdopodobniej atoli, bursztyn pochodził z zachodnich brzegów Cymbryjskich czyli Duńskich, a będąc przedmiotem zamiany, dostawał się lądem nad brzegi morza Śródziemnego. Słynny matematyk i geograf Pyteas, około lat 340—320 przed Chrystusem, pożeglował z Masylii (Marsylii) do Cantium (Canterburg, Kent), a ztamtąd do Tule, (zdaniem Lelewela, dzisiejszych wysp Orkadzkich i Szetlandzkich, należących do Szkocyi). Przedsięwzięcie to było jedną z pierwszych podróży w zamiarze wyłącznie odkrywczym, i miało na celu znalezienie prawdziwej ojczyzny bursztynu, o którym mylnie dotąd mniemano, że rośnie w lasach nad brzegami rzeki Po. Morze wyrzucające bursztyn według podanych przez Pyteasa wiadomości, podlegało zjawiskom przyptywu i odpływu, a wyspę bursztynową Glessaria (od staro-niemieckiego miana bursztynu Glessum, Glas (szkło) którą napotkał, Pliniusz zamieszcza wyraźnie na oceanie Północnym, na zachód od przylądka Cymbryjskiego. Za czasów cesarstwa, Rzymianie weszli jak się zdaje w bezpośrednie już z brzegami morza Bałtyckiego zetknięcie. Rycerz jakiś rzymski puścił się pierwszy w wielką podróż lądową przez Panonią do kraju Wenełtów. Monety rzymskie odkopywane w okolicach nadbałtyckich, mianowicie w okręgach na północ od Noteci, a z których najdawniejsze pochodzą z czasów Nerona, świadczą o stosunkach handlowych téj ziemi z osadami nad morzem Czarném. W starożytnéj Scytyi (dzisiejszej Rosyi), miały być kopalnie bursztynu i rzeczywiście znajdują go dotąd w niektórych punktach pod Uralem. W nowszych czasach odkryto bursztyn w Hiszpanii, we Francyi, w Niderlandach, Grenlandyi, Szwecyi, Polsce, we Włoszech, a nawet w Chinach i Indjach. Brzegi morza Północnego między ujściem

Wezery i Elby, gdzie prawdopodobnie Pyleas czynił poszukiwania, dziś jeszcze dostarczają rocznie około 3,000 funtów bursztynu. Wszelako najobfitszym jego źródłem niezaprzeczenie jest Baltyk, a mianowicie przestrzeń od zatoki Fryskiej (Frisches-Haff) do Kurskiej (Kurisches Haff). Gdy silne tchnienie wiatru zawieje od północy, i wały bogactwa swoje wyrzucają na brzegi, wtedy mieszkańcy nadmorscy z sieciami spieszą na połów bursztynu. Nie łatwa to robota, bo zwykle wiatr przyjazny zjawia się aż pod zimę, i nieraz skórzane poszukiwaczów ubranie po kilkogodzinnej brodzie, pokryje się warstwą lodu, a członki ich stężeją przy domowym dopiero ognisku giętkość swą odzyskują. Przy spokojniejszym morzu ta sama czynność odbywa się na łodziach i nie ustaje aż w zimie; lecz nawet w porze największych mrozów, przemysłni Prusacy umieją bursztyn dobywać z przerebli. Niekiedy ten płód drogo-cenny znajdowanym bywa w znacznej od morza odległości. Przed 300 laty odkryto go przypadkiem o mil kilkanaście od brzegu, w roku zaś 1559 urządzono kopalnię jego na sposób górniczy. Z początku zyski były wielkie, bo w owych czasach powszechnej dowolności, rząd elektorski za małą opłatą, zagnał mieszkańców do roboty, wkrótce atoli niebezpieczeństwo z obrywania się ziemi piaszczystej okazało się tak wielkiem, że zaniechać musiano kopalni.

Podobnie jak dyament na Brazylię, tak bursztyn na po-brzeża bałtyckie, zamiast błogostawieństwa sprowadził klęski fizyczne i moralne. Praca przymusowa zagrażała bytowi materialnemu i tak już ubogiej ludności, a srogie kary wymierzane za ukrycie bursztynu podkopywały jej rzetelność. Poznawszy się na tem, rząd postanowił wydzierżawić połów mieszkańcom, ale już było zapóźno; nie-prawne korzyści tak dla nich stały się ponętnymi, że propozycją odrzucono.

Od r. 1811 kopanie bursztynu nowego nabrało popędu. Zaniechano najmów przymusowych, a robotnicy hojnie wynagradzani, ochoczo się teraz garnęli do przeklinanej dawniej pracy. Rozrzucając wzgórza, zaczynają zwykle od usypania po stronie morza wału ochronnego, a w utworzo-

nym tym sposobem kotlinie, szczupłą liczbą wyrobników małemi rydelkami ostrożnie i potrosze ziemię rozkopuje, aby nie skruszyć przypadkiem większej bryły bursztynu, a jednak nie pominąć i mniejszych. Zawsze kopalnie w wydajności ustępują połowowi morskiemu.

Ogólna produkcja bałtyckiego bursztynu od 200 lat przeszło w jedną utrzymuje się mierze (rocznie około 300,000 funtów). W okolicy Królewca dobywanie jego wydzierżawionem jest prywatnemu przedsiębiorcy za 10,000 talarów rocznie, a lubo koszt takąż prawie wynoszą sumę, interes przecież okazał się korzystnym. Za kawał bursztynu ważący funt jeden, płać w Hamburgu albo Lipsku 48—60 talarów. Funt w pięciu kawałkach kosztuje 22—28, w dziesięciu 14—18, a w pięćdziesięciu tylko 4—5 talarów. Największa w zbiorze berlińskim bryła, znalezioną została w znacznej odległości od morza pod Gąbinem (Gumbinnen). Ma ona $13\frac{3}{4}$ cali długości, $8\frac{1}{2}$ szerokości, a 3—6 grubości, i waży przeszło 13 funtów. NAJJAŚNIEJSZY Cesarz Wszech Rosyji, od dwóch ostatnich monarchów pruskich otrzymał w darze tak znakomitą ilość bursztynu, że pokryć nim rozkazał, aż pod sufit ściany jednej z sal pałacu w Carskim-Siele.

I dalej także ku południowi napotkać się zdarza bursztyn kopalniany. Pod Chobienicami w Wielkiem Księstwie Poznańskiem, na granicy Brandeburskiej, ziemia w przestrzeni 2 mil kw. mieści w sobie kawałki tego płodu, a pobliskie jezioro po każdej burzy wyrzuca go dosyć obficie. W królestwie Polskiem odkryto bursztyn r. 1796 w leśnictwie Ostrołęckim, pod wsią Wolkowo. W r. 1810 urządzono tam kopalnię, i puszczone je w dzierżawę starozakonnym. Wydobywają go także w leśnictwach: Przasnyskiem, Rożańskiem, a mianowicie w obrębie Rzaniec i w leśnictwie Kupiskiem (gub. Augustowskiej). Dochód z tych wszystkich kopalin podług autora: „Górnictwa w Polsce,” czynił rządowi w r. 1818 Złp. 4,800 czyli Rsr. 720; dziś one zupełnie prawie zaniedbane.

Najnowsze wcale niespodziewane odkrycie bogactw bursztynowych, poczyniono niedawno w Kurlandyi. U wschodnich brzegów tego kraju niedaleko zatoki Rygskiej i od

niej równolegle w przestrzeni $2\frac{1}{2}$ mili rozciąga się jezioro Angern. Wpada doń kilka strumieni, z których jeden boczną odnogą łączy się z zatoką. Otóż, lat temu kilka gdy przedsięwzięto osuszenie jeziora, znaleziono mnóstwo bursztynu na dnie jego i po bokach. Trudno oznaczyć, ile w początku samym wynosić mógł zbiór tego płodu, poszukiwania bowiem zrazu odbywały się skrycie; według twierdzenia atoli kupców starozakonnych, przed wdaniem się jeszcze rządu, sprzedano im bursztynu za przeło 4,000 Rsr. Kawałki znajduwane po większej części są przezroczyste, a niektóre z nich zawierają owady z rodzaju dwuskrzydlatych.

Szklistość, przyjemne dla oka ubarwienie, a szczególnie twardość, skutkiem której zdolnym się staje do przyjęcia politur, nadają bursztynowi wysoką jego wartość. W Królewcu, Gdańsku, na wyspie Sycylii i w Konstantynopolu zgrubsza tylko i niedokładnie obrabiany przybiera on pod ręką tokarzy paryzkich kształty prawdziwie artystyczne, i wraca do swój ojczyzny kilkakrotnie w cenie podwyższony. Wschód tak bogaty w szlachetne kamienie, dziwnie się jednak w tym skromnym północy wyrzutku rozmiłował. Korale bursztynowe na naszyjniki i naręczniki wychodzą do Egiptu i Indyj, a końce cybuchowe czyli munsztuki do Turcyi i Arabii. Najuboższy Turek musi koniecznie do swój fajki mieć chociaż kawałek bursztynu. Oprócz przyjemnego uczucia, jakie sprawia w zetknięciu z ustami, wyznawcy islamizmu utrzymują, że chroni od zarazy. Piękny munsztuk mleczny (kapuściany) bez plam i rysów, stosownie do wielkości, kosztuje w Konstantynopolu 40—100 talarów.

Jeżeli szklistość już bursztynu przypomina nam żywicę, to bardziej jeszcze jego palność i topliwość. Zajmuje się łatwo płomieniem szerząc przytęm woń dość przyjemną; ztąd w Persyi, Chinach, Japonii, przy obrzędach religijnych i ucztach, nie obejdzie się bez żółtej ambry, jak go nazywają. Im więcej go tam spalą, tem obchód uroczystszy.

Czego domyślać się każe powierzchowność, to rozbiór chemiczny w zupełności potwierdza; bursztyn jest istotnie

żywicą. Rozpuszczalny częściowo w eterze, przez dystylacją daje lotny mocno woniejący olejek i lepkie dwie żywice. Wszelako $\frac{2}{10}$ blisko części bursztynu nie rozтворя się ani w eterze, ani w wysoku, ani w olejkach lotnych i tłustych, ani w gryzących alkaliach czyli solach ługowych. W drodze suchej dystylacji otrzymujemy zeń kwas bursztynowy znany już od roku 1546, a znaleziony później i w terpentynie. Jak teraz analiza wykazująca w bursztynie pierwiastki zupełnie drzewnej żywicy odpowiednie, tak niegdyś pozór jego zewnętrzny myślicielom Grecyi i Rzymu, wskazywał w nim ciało pochodzenia roślinnego. Dziś nawet to mniemanie żadnej nie podlega już wątpliwości, napotykamy bowiem bursztyn w tak zwanym węglu brunatnym i w drzewie bitumicznym. W słojach pniów wydobytych z pokładów węgla brunatnego, wykrywamy niekiedy jego szczątki; na bryłach bursztynu spostrzegamy wyraźnie odcisniętą korę drzewną; znajdujemy kawałki drzewa i kory całkowicie nim oblane; nakoniec zawarte bywają w jego massie owady, liście, iglice, nasiona, mchy i kamyki. Stan tych zamknięć dowodzi, że bursztyn w chwili, gdy przyjął je w siebie, musiał być bardzo płynnym i stygnąć niezmiernie powoli. Kiedy w lepkiej żywicy drzew naszych iglastych ujrzyć się zdarzy jaki owad, ciało jego zawsze jest pogięte, nogi skurczone a skrzydła zwinęte. Przeciwnie rzecz się ma w bursztynie: tu cząstki najdelikatniejsze doskonale są zachowane, skrzydła, różki i nogi w naturalnym swém położeniu, same zaś owady, w których uznać nam przychodzi zasklepionych dawnego świata mieszkańców, należą po większej części albo do dziś żyjących gatunków europejskich, albo przynajmniej pokrewne są istniejącym dotąd w Brazylii i Nowej Hollandyi.

Wysokie ceny jakie płacono za sztuki bursztynu zawierające szczątki organiczne, dały pocho do licznych nadużyć. Zamykano w nim sztucznie małe zwierzątka, nawet rybki, jaszczurki i żaby drzewianki, rozłupując go i wydrążając, potem otwór zapełniono mastyksem i kitowano połówki przez zwilżanie ich wodanem potażu czyli potażem gryzącym. Naturalnie, że takie oszustwa do czasu

tylko ukryć się mogły, zlepione bowiem bryłki w wyskoku lub wracając wodzie z łatwością się rozwodziły.

Widocznie więc bursztyn jest utworem żywicznym, powstałym nie w ziemi, lecz na jego powierzchni w przystępie i pod działaniem powietrza. Zamknięte w nim owady wszystkie prawie żyją nad ziemią, a że się martwe do ziemi nie dostały, o tem świadczy ich położenie zupełnie takie, jak wszystkich zwierząt utopionych. Lecz z jakichże drzew ta żywica wypłynęła? Czy one dziś jeszcze istnieją na pobrzeżach morza Bałtyckiego, czy może w górniejszej gdzieś strefie? albo nareszcie, czy skutkiem gwałtownej kiedyś katastrofy, zupełnie zostały wytępione?

Nie znamy obecnie drzewa, któreby zdolne było wydzielać taką masę żywicy, jaką przypisaćby należało domniemanym drzewom bursztynowym. Są wprawdzie w Chili gatunki niezmiernie w nią obfitujące, ale wszystko to niknie w obec potężnych i w nieprzebraną ilość rozrzuconych brył bursztynowych. To też i starożytni daremnie się już silili na wytłumaczenie tej zagadki; jeden tylko Pliniusz zbliżył się do prawdy, utrzymując: że bursztyn jest skrzepłą na mrozie żywica sosnową. Nauka w nowszych czasach mniemanie to potwierdziła, tylko, że sosny owe do przeddziejowej należą przeszłości. Bursztyn znajdowany w stojach iglastego drzewa bitumicznego, zasklepione w bursztynie lub mieszczące go między łuskami szyszki, przesiąknięte nim drzewo wyrzucone niekiedy przez morze, a w którym najdokładniej poznać naturę iglastą, wszystko to wnosić każe, że on jest płodem rodzaju drzew szyszkowych (Coniferae), zbliżonego zapewne do naszych jodeł, który Göphert nazywa *Pinites succinifer*.

Liczne szczątki organiczne od tysięcy lat w skrzepłej zawarte żywicy, odślaniają nam w części obraz życia roślinnego tej epoki, do której, jak się zdaje należało drzewo bursztynowe. W ówczesnych lasach widocznie przeważały drzewa iglaste, wykryto bowiem ślady czterech gatunków *Pinus*, pięciu gatunków *Thuja*, dalej *Cupressus* *Taxodium*, *Juniperus* i *Ephedra*. Z liściowych najwięcej być musiało dębów i grabów, następnie brzoź i topoli, mniej daleko

olech i kasztanów. Rodzinę roślin krzewistych składały: *Andromeda* *Calmia* *Rhododendron*, *Ledum* *Naeconium*. Po ziemi gęstą powłoką płątały się pasożyty. Widzimy tu świat roślinny, całkiem różny od teraźniejszej fauny nadbałtyckiej, pokrewny chyba płodom cieplejszych morza Śródziemnego okolic. Ale i życiem zwierzęcym tętniały te lasy przedwiekowe. Igrały w nich muchy, komary i chrząszcze, pełzały pająki, stonogi, mrówki i t. p., których szczątki lub całkowite okazy, bursztyn do naszych przechował czasów. Nastąpił potem powódź, uragany; powierzchnia ziemi wielkim uległa zmianom, a w zniszczeniu ogólnem runęły i drzewa bursztynowe. Płynną ich żywicę strumienie uniosły do morza, ta zaś olbrzymia całość przyrody składnica nie uroniła powierzonego sobie skarbu, lecz strzeżony wiernie, dziś go ludzkiemu oddaje przemysłowi. Może też na dnie Bałtyku spoczywają pokłady węgla brunatnego, z których fale potrosze bursztyn wypłukują. Trudno bowiem nie uznać, że między dwoma temi przeszłości zabytkami, ściśle zachodzi związek.

Tak przeto bursztyn rzeczywiście jest łzą minionego żywota. I na nim, jak na kamiennych łzach południa, nie jedno ciąży przekleństwo; lecz skromne dziecię północy wdzięczniejsze od bułnego dyamentu, odpłaciło się ludzkości nie tylko sprowadzeniem w swą ojczyznę światła obcego, ale własną jasnością opromieniło naukę. Bursztynowi winniśmy odkrycie elektryczności, tej siły ożywczą wszechświata, której wpływów daleko sięgających dziś nawet jeszcze objąć nie zdołamy.

VI. GOSPODARSTWO.

1. O agronomii w Polsce za dawnych czasów.

(Z pierwszego tomu Hist. Lit. Michała Wiszniewskiego).

Ze znalezionych w r. 1824 w Trzebuniu pieniędzy, z których żaden r. 1050 nie przechodził, wnosić można: iż już

w XI wieku między Anglo-Sasami a Polską, przez Wisłę i przy jej ujściu, zamiany handlowe się odbywały. Przedmiotem tego handlu były produkty krajowe, zapewne zboże, bobry, miody i woski. Wszyscy Słowianie od dawnych wieków trudnili się rolnictwem, a Polacy na żyznych i polistych niwach, zapewne mieli już wówczas wiele od miejscowych potrzeb zbywającej pszenicy. Wiemy nadto, iż gospodarstwo bobrowe doszło w XII wieku największej doskonałości. W Polsce, mającej wówczas wiele lasów nietrzebionych i nieosuszonych bagnisk, bardzo wiele ich znajdowało się; dzisiaj w niektórych miejscach Polesia, widzieć jeszcze można budowy tego dziwnego z przemysłu zwierza. Przywileje świadczą o urzędnikach bobrowych nad Nidą i Wartą. Tadeusz Czacki wspomina o rejestrze bobrów, podanym w r. 1229 księciu mazowieckiemu Konradowi, przez Jaszka z Makowa, z którego widać, iż bobrownie były bardzo starannie utrzymywane, i że dobierano nawet stada jednakowej maści.

W przywilejach szlaskich częste wzmianki o bobrach znajdujemy. W ugodzie książąt szlaskich, Bolesława II i Henryka II, z kapitułą wrocławską roku 1249 zawartą, o prawa kasztelanii Milicz, jest wzmianka o bobrach i powinnościach kmieci książęcych i opłatach z powodu bobrów. Panowie kmieciom kazali pilnować bobrów, a gdy który z nich uciekł z gniazda, kmieć 70 grzywnien kary opłacał.

2. Kilka słów o północnych powiatach gub. Augustowskiej.

Zapewne niewiadomo wielu czytelnikom, że w granicach królestwa Polskiego istnieje mil kilkanaście kraju, pośród których znaleźć się mogą prawie cudzoziemcami, obcymi mowie, zwyczajom i wszelkim miejscowym stosunkom. A przecież takimi są powiaty: Kalwaryjski i Maryampolski, niegdyś do województwa Trockiego i księstwa Żmudzkiego należące. Lata ostatnie nieurodzaju, jakim powiaty te dotknięte zostały, jeszcze bardziej się przyczyniły do najgorszego o nich mniemania; a wszelako zasługują

one na uwagę, i z wielu względów może na pierwszeństwo przed innemi okolicami tutejszego kraju.

Powiaty Kalwaryjski i Maryampolski łączą się z krajem jak wiadomo przez powiat Sejneński. Oblane są Niemnem od wschodu i północy, zachodnią zaś swą częścią graniczą z Prusami. Położenie to geograficzne samo przez się wskazuje, jak szczęśliwą co do stosunków handlowych jest natura tych powiatów. Niemen, owa wspaniała i głęboka rzeka, zawsze i w każdej letniej porze sprzyja spławowi i zawodu handlującemu nie czyni. Bliskość portów Bałtyckiego morza, jakim jest Kłajpeda i Królewiec, ciągły i bezustanny na płody rolnicze zapewnia odbyt; waga zatem wszelkich interesów, idąc za Niemnem ku Bałtykowi i Prusom czyni te powiaty jakby oderwanymi od całości kraju, który ze wszech względów produkcyjnych i handlowych w Warszawie i Wiśle, a w końcu w Gdańsku główne ognisko i kanał swego ruchu upatruje. Dlatego wyjąwszy interesów administracyjnych, mało który mieszkaniec tej okolicy udział ma w ruchu handlowym środku kraju. Nie obchodzi go ani jarmark wełniany w Warszawie, ani targ tameczny zbożowy, ani św. Mateusz w Łowiczu, bo tutaj całe życie przemysłowe ku Niemnu i Prusom zwrócone.

Nietylko zboże, ziemię, włókno, drzewo, wełnę, opasy i wszystko znajdzie na miejscu kupca, ale nawet poślady, ziele i obficie rodząca się kostrzewa (Dyrśa) ma swoich na Prusy spekulantów. Królewiec jest głównym targiem zboża i siemienia, Kłajpeda zaś szczególnie drzewa, które do niej w obfitości nawet z Wołynia przybywa. Do spławu zboża używane są na Niemnie wiciny mieszczące do 1500 korcy zboża. Od Aleksoty chodzą już statki pruskie, które i wyżej pojawiać się zaczynają. Gdyby dokonane już od Aleksoty oczyszczenie Niemna z kamieni ukończonem wyżej zostało, nie byłoby rzeki dogodniejszej do spławu dla głębokości nurtu swojego jak Niemen; żegluga zaś parowa olbrzymią mu bez zawodu obiecuje przyszłość. Z ustroju Niemna, Ponieunie, Kucharskinie i słynne z pięknego położenia przedmieście Kowna Aleksota są głównymi punktami w spichrze zaopatrzonem; do niczego wszelkie transpor-

ty kołami ściągają. Pośrednikami handlu są tutaj kupcy żydowscy Poniemunia, Kalwaryi, Władysławowa i Wiłkowyszek; tych okrutna lichwa miejscowa, u zagranicznych wielki kredyt, oraz rozgałęzione z nimi spółnictwo i stosunki do znacznej wzniosły zamożności. Brak wszakże tej gubernii poprzecznych traktów bitych; bez nich w ciężkich gliniastych gruntach tutejszych kołowa komunikacja częstokroć bywa przecięta. Dotąd oprócz wielkiego gościńca Kowieńsko-Warszawskiego na Maryampol i Kalwaryę idącego, z ostatniego odchodzi trakt bity do Królewca. Rozpoczęte z woli wyższej roboty około traktu z Wytkowiszek do Kucharskini nader są pożądane.

Gleba tych powiatów, jak wszędzie jest rozmaita, znajdują się tu i owdzie piaski, zwirki i czarno-ziem; wszakże silna glina z pokładem nieprzepuszczalnym zdaje się przeważać; natura jej godna uwagi myślących gospodarzy; bywa ona albo czarna albo przy wzgórkach czerwona; na płaszczyznach zaś częstokroć przechodzi w tak zwaną białugę, to jest glinę z piaskiem zmieszaną; przy wyschnięciu nabiera nadzwyczajnej białości i jest twarda jak skała. Czerwone gliny są prawie najlepsze. Spód tych wszystkich ziem jest bogatym marglem gliniastym, znajduje się on często bezpośrednio pod warstwą rodzajną, w innych miejscach głębiej, częstokroć zaś samą warstwę rodzajną stanowi. Z tej przyczyny pochodzi szczególna bujność wegetacji, pożywność trawy i paszy, mnogość wszelkiego rodzaju dzikich koniczyń, ziół aromatycznych, nie zrównanie sprzyjających hodowli inwentarzy. A przecież rola tamieczna pomimo tylu nieocenionych przymiotów i części składowych jest zawodną w uprawie zbóż, mianowicie ozimych, i więcej może jak każda inna wymaga zastanowienia i wyłączonego sobie systemu. Groszkowe rośliny, owies i w ogólności jarzyny nigdy prawie nie chybają. Owsa nie sieją tu inaczey jak na zimowych podorywkach po wypędzeniu brózd dwoma skibami do siebie, i to jak można najwcześniej z wiosny. Doświadczenie pokazuje, iż uprawa pod owsy na glinach jest szkodliwą; wyrost ich przy dogodnej wiosennej porze bywa olbrzymi. Sieją tam owies

zółty, w części czarny i wielko-owies, którego słoma żytniej wyrównywa, ziarno zaś na kaszę się odznacza. Na uprawnych rolach wieśniacy i jęczmień w jednoról zimową siał tu lubią, i ten bywa dorodny.

Po dworach sieją jęczmień późny w końcu maja i w pierwszej połowie czerwca aż do św. Antoniego. Ten ma dawać plony nadzwyczajne jakkolwiek ziarno chudsze. Wszakże przez ostatnie dwa lata skutkiem suszy, jęczmiona późne chybiały. Ważną one grają rolę, z powodu iż, pod takowe ziemia kilkakrotnie wyrabia się w porze wiosennej, w której skutkiem mrozów zimowych, deszczów i ciepła majowego, jest najkruchsza i do uprawy najsposobniejsza; tém ważniejsze zaś są jęczmiona późne, że według doświadczenia, oziminy w ogólności bezpośrednio pod siebie zbyt ciężkie roli uprawiać nie pozwalają. Chłopek litewski podorywkę pod oziminy w czerwcu, w lipcu, a w czasie suchego lata, gdy rola orać się nie daje, czasami w sierpniu podorywkę po odleżeniu bronuje i w zagon składa. Uprawa zatem pod oziminy zwyczajem miejscowym ogranicza się na dwóch razach, co zdaje się wszelkim teoryom gospodarskim przeciwne. Wszelako, pomimo całego zamięłowania postępu, przekonania o leniwem i często niedołężnem chodzeniu włóścian koło roli, nigdzie, a tém bardziej w tamiecznej miejscowości odrzucać systemu jego nie godzi się odrazu, bez narażenia się najczęściej na raptowne i niepowetowane straty. To przekonanie nakłania dwory do podorywania w jesieni ugorów na przyszłoroczne ozime zboże; mróz bowiem dla tych ciężkich gruntów jest szczególnie zbawiennym środkiem uprawy; zastępuje niejako niemożność bezpośredniego pod oziminy trojenia roli. Do osobliwości należy i to, że podorywki zimowej pod oziminy nie można redlić w poprzek, gdyż robią się na roli poprzeczne wklęsłości, w których ozimina potem wymaka: podobnie redlić godzi się tylko pod okopowe i późne jęczmiona.

Nieprzenikliwość spodniej warstwy powoduje, iż pierwszym warunkiem gospodarstwa tych okolic jest mnogość rowów; te gdy chłopek zazwyczaj zaniedbuje, narażanym bywa na chybianie oziminy skutkiem mokrej jesieni. Kopa-

nie zaś rowów tém jest zbawienniejsze, gdy wyrzucana ziemia powiększej części nawozem jest dla granicznego pola. Mnogością brył na roli posianej, mianowicie pod oziminy po suchém lecie cieszy się gospodarz litewski, jako zastoną od mrozów, tamą dla rozwiewania śniegów i przeszkodą w zlewaniu się ziemi w masę od ulewnych deszczów, téj roli bardzo szkodliwych. Orki głębokiej boi się nader chłopek, orze téż nadzwyczajnie płytko, zaledwie na trzy lub cztery cale. Powodem tego jest niejednostajność bezpośredniej spodniej warstwy, która w tych miejscach, tam, gdzie niezaraz znajduje się margiel, psuje wierzchnią, sprawia chybne urodzaje, a czemu słabé nader nawożenie zapobiedz nie jest w stanie. Ponieważ zaś spodnia warstwa ziemi jest nieprzepuszczalna, płytka zaś warstwa uprawnej roli skwapliwie napawa się jesienną wilgocią, przeto za nastąpieniem gołych mrozów rozsadaną być musi ta ostatnia dokryształów lodu; poczem za nadejściem wiosennych wiatrów i deszczów zsiada się nagle, i korzonki, płytko osadzonej oziminy zostawia na wierzchu pod zgubnym wpływem majowych przymrozków.

Z tego wszystkiego wynika konieczność zgłębiania warstwy rodzajnej uprawą okopowych, tak, aby i ozimina głębiej krzewić się mogła, i wilgoć zbyteczna jesienna wsiąkać. Rozszerzenie tylko okopowej uprawy może tutaj ujednostajnić plon ozimych zbiorów i przygotować, jak należy do niego rolę, czego jak się powiedziało, powszechnie przyjętém bezpośredniém letniém trojeniem, żadną miarą czynić się nie godzi. Pomimo zaś, że rola ta zdaje się być z wejrzenia rodzajną, we wszystkie części składowe do produkcyi zbóż potrzebne obfitą, nawozić ją należy silnie, tylko dla bezpośredniego użyzniania jéj, jak dla osiągnięcia pulchności i rozkładu chemicznego: Że zaś rola ta jest szczególnie płodną, dowodem tego urodzaje i plony, jakie na niej się przytrafiają. Wszelako jest niezaprzeczoném w ustach ludu będącém podaniem, iż od lat kilkunastu, urodzajów onych niestłychanych nie było. Powodu odgadnąć niepodobna: rok suchy lub mokry również są dla niej zgubne; deszcz jeden ożywny olbrzymią budzi w mgnie-

niu oka wegetacyą; w porę pomyślną siew w jednoról nie-doprawną, lepiej czasem dopisze, jak najpracowiciéj wyrobiona rola. Co do okopowych tyle ważnych dla rolnictwa w ogólności, a których rozszerzenie uprawy w ziemi tamecznej, za pilne i konieczne uważaliśmy, dodać należy tutaj: że kartofle na tak nazwanych białugach udają się bardzo pomyślnie, na glinach czerwonych przeciwnie. Wszakże doświadczenie pokazuje, że buraki wszelkiego gatunku, tak zwyczajne jako i cukrowe, przy glinie marglowej potężnie wyrastają. W ich uprawie znaleźć może gospodarz tameczny wielkie źródła bogactwa w przyszłości, a to przez osiągnięcie głębokiej uprawy roli pod oziminy, otrzymanie obfitéj dla inwentarza zimowej karmi, w końcu zaś przez rozwinięcie fabryk cukrowych. Konieczyny zdają się być chybne, czemu wszakże głębsza uprawa i silny nawóz z czasem zapobieży; tymczasem zastąpić je można wykami; te, jak wszelkie groszkowe, są tu w domu. Lnom nadzwyczaj ziemia ta sprzyja. Wieśniak je téż obficie sieje, a szczególniej w Maryampolskim powiecie winien im swoje bogactwo. Na glinach kostrzewa hojnie się rodzi, zwłaszcza po mokrych latach, ceni ją téż chłopek litewski i do chleba miesza, a lepsze zboże na pieniądź topi. Zresztą gospodaruje jak każdy w zwyczajnych trzech polach, od czego go nikt odwieść nie zdoła. Być może, że przy rozszerzającej się kolonizacyi, potrzeba pastwiska na inny system go naprowadzi.

Po dworach różne upowszechniają się płodozmiany; wszakże powiat Maryampolski i część Kalwaryjskiego od granicy pruskiej pochlubić się może gospodarstwami należącemi do rzędu najpiérwszych w kraju.

Chów inwentarzy wielką w gospodarstwie litewskiem gra rolę, czemu wspomniona wyżej żyźność łąk i pastwisk nad podziw sprzyja. Bogatym téż jest chłop litewski w liczbę szczególniej bydła i koni. Nierzadko znajdziesz u gospodarza półwłócznego pięcioro, sześcioro i więcéj ostatnich, a po dziesięć lub kilkanaście sztuk bydła. Nie mówię tu już o bogatych maryampolskich włościanach, u tych bowiem i zbytłowniejsze w znacznej liczbie napotkać można.

Rasa koni litewskich jest zupełnie sobie właściwa, nie-mieszana, osadna, dobrej i silnej nóg budowy, karczysta, mocna, do ciężkiej pracy i błota wytrwała, wzrostu średniego, więcej miernego; w swą pierwotności dosyć kształtna; jest w niej coś oddzielnego od dawnych koni polskich, a szlachetniejszego od mierzynów rosyjskich lub wiat-skich. Jak wszędzie tak i tutaj przecież nie trudno napot-kać i liche szkapki, zwłaszcza u biedniejszych włościan. Bydło miejscowe jest dosyć mierne, wszelako woły są sil-ne do pracy, i para ich tylko w ciężkich glinach sochę cią-gnie. Zwyczajem miejscowym w znacznej części konie do soch używane bywają.

Skutkiem mokrego roku i ciężkiej zimy 184¹/₂, chów by-dła i koni w ogólności nadzwyczaj ucierpiał w tych stro-nach. O ile okolice te zdają się szczególniej hodowli by-dła i koni na wielką skalę sprzyjać, o tyle chów owiec poprawnych, ze względu tłustej paszy i sapowatości roli, nader jest w nich zdradny. Nie małej też klęski doznały ogólnie wszystkie owczarnie z niewielkimi wyjątkami z ro-ku 1844 na 1845; znaczna część też owiec włościańskich upadła. Po dworach znajduje się już wiele zakładów po-prawnego bydła, zwłaszcza rasy szkockiej, i powszechnie dziś wychwalanej i zaprowadzanej fryzyjskiej. W liczbie stadnin znana jest aż nadto w kraju stadnina dziedzica Giełgudyszek, wychowancami swojemi corocznie warsza-wskie zasilająca wyścigi.

Z narzędzi gospodarskich godna uwagi jest litewska socha: lekka, składna, orkę należycie dokonywająca; le-pszą ona jest od soch np. w podlaskiem używanych, czego dowodem jest, iż najcięższe gliny parą koni lub wołów orać nią można. Nie godzi się także pominąć sposobu bu-dowania litewskiego. Chaty mieszkalne budują włościanie z okraglaków sosnowych lub świerkowych, 7 do 8 cali w cienkim końcu mających; takowe po wyżłobieniu grubo mchem przełożone, jedno na drugie jak siodło nakładają. Budowle takowe w węzły związane, z dużym po większej części okapem, są niekosztowne, ciepłe, wytrwałe, i gdy dobrze wykonane, nawet ozdobne. Chaty te są po większej

części obszerne w kształcie dwojaka, we środku ich duży przedsionek, w nim stoi ława i niektóre gospodarskie sprzę-ty. W ostatnie zapaśny jest litewski gospodarz; znajdziesz u niego kufry pełne różnego odzienia i płótna bez liku, białość i mnogość jego odznacza szczególnie ubiór Litwi-nek. Z jednej strony przedsionku są składy i warzywnia, z drugiej strony obszerna izba mieszkalna gospodarza i jego drużyny; potężne dymne piece z gliny ubite, zaczynają Li-twini zamieniać skwapliwie na murowane z kominami, do czego nowe rozporządzenia wyższej władzy wielką stają się zachętą. Naprzeciw każdej chaty, w miarę zamożności i skrzętności gospodarza, w większe lub mniejsze opatrzo-ną okna i różne wyrabiania w szczytach i bokach, znaj-duje się najczęściej spichrz starannie wykończony. Sta-wiany on bywa również z okraglaków, z wysokimi i pro-stemi szczytami, obrócony frontem do chaty, zaopatrzony jest w podłogę, odpowiednie przegrody, a co największa, dla ochrony od złodzieja ma bezpośrednio pod całą strze-chę rodzaj powały, szczelnie do krokiew przywierconej ze szczepanego drzewa. W budowie tych spichrzów na naj-większą zdobywa się Litwin wykwinność, i nią mierzy za-możność i staranność swą gospodarki. Stodoły, chlewy i obory są dosyć niedbale stawiane na sochach, najwięcej w słupy; ostatnie rzadko ciepłe i dobrze opatrzone. Na wygodach nawet ozdobnych nie brakuje po wioskach, zwłaszcza przy owocowych sadach i pasiekach, o które Litwin bardzo dbały.

Z opisu budowli przejdźmy do ich mieszkańców. Kmio-tek litewski jest skrzętny, zabiegły, przytém chytry. Niena-darmo przysłowie mówi: mądry Litwin nie po szkodzie, w obietnice nie wierzy, więcej podejrzliwy niż otwarty; wielką życzliwością i sprzyjaniem zaledwo zobowiązać go nieco można. Do czynszów chętny i usposobiony, nienawi-dzi pańszczyzny i jak najopieszaliej ją odbywa. Drużyna jego jest liczna, rzadko kiedy dziesięciu dusz chociażby na pół włóki roli nie dochodzi. Spizarnia dosć zapaśna, wszakże w ogólności Litwin skąpi na życie: chleb jé jak najpodlejszy; u zamożniejszych znajdziesz i różne trunki,

a w Maryampolskiem podobno i wszelkie życia wygody. Chodzi ubrany w jasno-siwym samo-dziale porządnie skrojonym, czarnym kapeluszu lub czapce oryginalnego kroju. Obuwie jego najczęściej opatrzone w grube brzozowe podszwy, które kołatem swoim przypominają nam szacowne pamiątniki Paska. Obok skrzętności swojej, Litwin przecież do roboty jest mniej więcej leniwy i ciężki.

Las uważa Litwin jako powszechne dobro: kładzie go w równi z powietrzem i wodą, przy zamiętowaniu więc do porządnego budowania się, wielką wagę przywiązuje do posiadania drzewa.

Zamożność litewskiego kmiecia jest faktem godnym badania. Zaprzeczyć bowiem niepodobna, że chłopstwo litewskie w powiecie Kalwaryjskim a szczególnie Maryampolskim osiadłe, jest najbogatszym z całego królestwa. W ostatnim nawet powiecie włościanin miejscami przeistaczać się zaczął na surdutowego majetnego gospodarza. Zkądże przyczyna téj w kraju niezwykłej, a tyle pożądanej zamożności? Leży ona w naturze miejscowości sprzyjającej hodowli bydła i koni, a razem i lnu uprawie; leży w położeniu handlowém okolicy i w charakterze skrzętnym a oszczędnym mieszkańców, a nakoniec najpewniej w zadawnionej opiece, jakiej włościanin tameczny doznawał, zwłaszcza skutkiem niedopiéro już upowszechnionego oczynszowania lub umiarkowanej, a nieprzesadzonej pańszczyzny, rzadko gdzie trzy dni tygodniowo tutaj przenoszącej. Znaleźć się szczególnie gmina Zypłowska, Kidulska i wiele innych jako wzór błogiej pomyślności włościan.

Litwini odznaczają się popędem do oświaty, czego dowodem szkoła maryampolska, powiększej części synami włościańskimi zapełniona, a która dlatego z woli wyższej słusznie przemysłowo-rolniczy otrzymała kierunek. Nie mało też synów włościan litewskich kieruje się do stanu duchownego i w rzędzie swoim zasłużonych i szacownych liczy mężów.

Stan włościański na Litwie stanowczo dziś rozdzielił się: na klasę zamożną, niejako arystokrację włościańską, dziś już czynszową albo do oczynszowania sposobną, i na

liczną nader klasę wyrobników, osiedloną na gruntach albo na kacie po gospodarzach, lub wreszcie u tychże i po dworach za parobków umieszczoną; klasa ta obarczona powiększej części znaczną rodziną, w dobre lata znajduje dostateczne utrzymanie pod opieką bogatęj starszyny i dworów. Wszakże w zeszłych dwóch latach nieurodzaju niedostatek tym ostatnim szczególnie się dał we znaki.

Los téj klasy, której liczba tutaj z żadną królestwa w porównanie iść nie może, znajdzie zapewne stałe uzasadnienie przy rozszerzającym się oczynszowaniu gospodarzy pańszczyznianych; ponieważ zaś znaczna część téj okolicy własnością jest rządu, takowe szybkim postępuje krokiem.

Nie mała część mieszkańców litewskich zupełnie nie rozumie polskiej mowy. Podróżny z trudnością o drogę dopytać się może, na suprantu lankiszka (nie rozumiem po polsku) odpowiedzią jest niechętnego Litwina, nierozumiejącemu jego narzecza. Język ten zachował się w całej swojej pierwotności; jak wiadomo, z żadną z słowiańskiego szczepu mową nie ma on pobratymstwa. Nie zbywa mu na licznych odcieniach w każdej okolicy odmiennych, a w ogólności na miłym dźwięku zwłaszcza w ustach Litwinek. Umiejący po polsku Litwin, mówi nim starannie i czysto. W dniu świątecznym wielu znajdziesz modlących się z książek nabożnych. Litwin w ogólności dosyć jest bogobojnym, chociaż upatrzeć w nim nie trudno niejaki ślad przedjagielłowego pogaństwa, zwłaszcza w obrzędach ślubnych i pogrzebowych; opłakiwanie nader rzewliwe, jest zwyczajem ciągle trwającym. Krzyżów po drogach napotyka się wiele ozdobnych w całą mękę Chrystusa, starannie i z kosztem wykonaną. Kiermaszu i żadnej uroczystości okolicznej Litwin nie opuści.

Mnóstwo parokonnych wózków mocno i porządnie zbudowanych, niby bryczek powiększej części okutych, dobrą parą lub trójką mierzynów ciągnionych, sprowadzają gospodarzy i ich drużyny; bogatszych wiezie parobek należycie ubrany.

Śpiew litewski jest smętny, ponury, zbliżony do śpiewu Rusi nadbużańskiej. Skrzypków utalentowanych nie brak pomiędzy niemi, przy weselnych godach grają oni wielką rolę. W stosunkach sąsiednich Litwin jest uczynny, z biednym dzieli się ostatkiem. Szczególny napotyka się pośród nich zwyczaj, tak zwany tłoki. Nie uprosisz czasami żadnego na najem do jakowej roboty, na tłokę wyjdzie ci cała wieś za dobre słowo i poczęstowanie.

W końcu tego ulotnego opisu, trudno nie zwrócić uwagi czytelnika na uroczosć litewskich krajobrazów. Pośród licznych parowów, bystrych strumyków i rzeczek, smętne świerkowe i mieszane lasy, nadają téj okolicy barwę jęj właściwą, nie wesołą zapewne, ale przecież nadobną i okazałą. Brzegi Niemna, owego polskiego Renu, należą do najpiękniejszych położań Polski, na które skwapliwi do zwiedzenia takowych za granicą, zbyt mało zwracamy uwagi.

Przecudny widok z Aleksoty na wspaniałą Kowieńską dolinę, gdzie Wilia obok starożytnego Kowna do Niemna uchodzi, kogożby najobojętniejszego nie zachwycił.

3. Jak troskliwie u nas dawniej się zajmowano robotami około przedziwa.

(przez prof. Augusta F. Bernhardta).

Przed laty dwory nasze ziemiańskie prawdziwemi były szkołami robót około przedziwa i tkania płócien dla ludu wiejskiego; gospodarstwem lnianém i konopném trudniły się panie domu, rozdawały przedziwo, odbierały przedzę na wagę, same dozorowały wszystkich robót, znały się dobrze na owych małych przeniewierzeniach się sług i domowników swoich, umiały one na motek jeden sprawdzić tkacką robotę, i wiedziały, jak płótno bielić się powinno. Wrzeczono i kołowrotek wszędzie był w uważaniu. Włościanki z kolei zgromadzały się razem do dworu, przedły pospół, śpiewkami ożywiając pracę i ubiegając się o nagrodę przyznawaną téj, która prędzej sztukę wykończyła. Tak samo było po miasteczkach, w nich cechy powroźników, sieciarzy, tkaczy i płócienników były liczne. Mnóstwo

wsi i osad wciąż noszą nazwy: Linów, Linne, Konopki, Konopnica, Moczydłów, Krosno, Krośnice, Tkaczew, Blichowo, Pakuły, Zgrzebichy i t. p.; ale w nich już nie zajmują się temi robotami, które im może nazwiska nadały; już i w Październiku mało co październicy wycierają. Liczne targi na lny, konopie, wszelakie przedzę, płótna i narzędzia do robót około przedziwa służące, rzadko gdzie na jarmarkach widzieć się dają. Wieczernice zupełnie wyszły ze zwyczaju, a pogardzone kółka ledwie gdzieś w jakiej chacie zawarczą. Nic więc dziwnego, że dawna umiejętność poszła w zapomnienie; że w tém, co dawniej było powszechném, na nowo ćwiczyc i doskonalić się potrzeba, chcąc wskrzesić ten przemysł, rozwinąć i większe nadać mu znaczenie. Nie wyrabiano wprawdzie dawniej i u nas cieńszych tkanin, albo raczej nie umiano ich ostatecznie wykończyć, ale przynajmniej własne samodziały wybielane i wykończone za granicą, pod nazwiskiem holenderskiego płótna napowrót do kraju przychodziły. Rąbki nasze z Podgórze, choć niebielone, od zagranicznych kupców były bardzo cenione; a płótna żaglowe noszące nazwisko: Polacco, Polackenleinwand, ważny nader stanowiły artykuł handlu; kiedy dziś kupujący płótno obce, nie tylko za robotę, ale i za len płacimy.

4. CHÓW OWIEC W HISZPANII.

przez K. W.

Okolica Segowii uważana jest w Hiszpanii za najwięcej sprzyjającą hodowli merynosów. Lubo niektórzy temu przeczą, wszakże tylko grunta suche i górzyste owocom są dogodne. Grunta w takich położeniach wydają trawę delikatną, niską i pomieszaną z ziołami aromatycznymi bez żadnych chwastów, podobną do téj, jaką widzimy w odczynnie kóz tybetańskich, które zatem w okolicy Segowii i Libanu mogłyby być chowane. W Biskai i Asturyi gatunek owiec jest ordynaryjniejszy, i w czasie wojen żołnierze wzbraniłi się w miejsce dziewięciu funtów skopowiny przyjmować całą taką owcę. Te są właśnie owce, które

orzeł czarny-pirenejski unosi częstokroć na karm dla swoich młodych; zwyczajna owca z dobrego bytu byłaby dla niego zbyt ciężką.

Wiadomo jest, że mięso ze zwierząt będących w stanie natury, smaczniejsze jest od mięsa zwierząt hodowanych, co pochodzi w części z większego ruchu, w części ze zmiany paszy i jej różnaitości. Co zaś polepsza mięso, musi i zdrowiu sprzyjać i poprawiać odzienie. Rzecz ta oddawna musiała być znaną posiadaczom stad w Hiszpanii, albowiem od niepamiętnych czasów, z wszelką troskliwością przykładają się do poprawy gatunku wełny. Ztąd pochodzi zwyczaj mesty, to jest mieszania i łączenia znacznych gromad dla zwiedzania, stosownie do odmiennych pór roku, różnych części kraju. Tym sposobem z tego, co zwierzyńie służy, i owce korzystają, to jest ze zmiany powietrza i paszy. Trawa oddzielnych pomniejszych okręgów jak np. Benasqua i Pastido d'Albaracin, dostarcza właściwszego środka do utworzenia najcieńszej wełny, wszakże wszystkie owce na tak szczupłych okręgach mieścić się nie mogą, nawet miejscowe wyrodziłyby się, gdyby ich na inne pola nie przeganiano. Regularna tylko zmiana jest w stanie utrzymać cienkość wełny, z tej też przyczyny mesta może ulegnie zmianie, ale nigdy w Hiszpanii zaniechaną nie będzie.

Kompania, do której gromady podróżujące należą, składa się z osób stanu szlacheckiego, duchowieństwa i innych majątnych właścicieli, i owce te nazywają merynosami czyli tras humantes. Niektórzy odnoszą początek tego zwyczaju do czasów wielkich pomorów, w skutek których Hiszpania $\frac{2}{3}$ swoich mieszkańców utraciła. Wówczas ci, co śmierci uszli, zajęli ziemię bezdziedziczną, a nie będąc w możności ją uprawiać, na pastwisko jej użyli. Lecz to inną spowodowało klęskę. Później, kiedy powyższa okoliczność ustała, gromady wędrujące wyraźnie włościanina i mniej zamożnego objadają. Głównie w prowincjach Leon i Estremadurze, znajdują się osoby, posiadające bez żadnego prawnego tytułu ogromne pastwiska. Konieczność wymaga, aby prawodawstwo uregulowaniem własności się

zajął, i spodziewać się należy, że uwaga rządu na tę potrzebę zwróconą zostanie.

Gromada połączona czyli mesta obejmuje dziesięć tysięcy i więcej owiec; przy każdym oddziale jest dozorca pilnujący owczarzy, wybierający miejsca do paszenia i pełniący służbę weterynarza. Dostaje konia i znaczną pensyą. Ma pod sobą pięćdziesiąt owczarzy w czterech oddziałach, Owczarze pobierają dziennie dwa funty chleba i miesięcznie od 18—66 złotych. Przy wyruszeniu i powrocie mesty prócz tego odbiera każdy owczarz małą kwotę pieniężną; mleko od kilku kóz i owiec, również do nich należy. Ilość osób znajdujących się przy tych gromadach, przechodzi pięćdziesiąt tysięcy, stosuje się bowiem do ilości mestów ulegających zmianom. Przed trzydziestą laty obejmowały siedm milionów owiec; za panowania Filipa III, zmniejszyły się do półtrzecia miliona; przy końcu wieku XVII podniosły się do czterech milionów; dziś ich będzie od pięciu do sześciu milionów. Liczba zaś wszystkich owiec w Hiszpanii wynosi dziś około dziewiętnaście milionów.

Po przebyciu zimy w Andaluzji, Estremadurze, Leonie i obydwóch Kastyliach, z końcem kwietnia lub początkiem maja gromady udają się w góry Arragonii, Nawarry i Biskai.

Znaczna liczba gromad pasie się po górach w okolicy Segowii, Sorii i Buytrago, w których podług powszechnego mniemania zimy przebyć nie mogą, lubo owcom w tych stronach zrodzonym, zima nie szkodzi. W czasie przebywania owiec w górach często sól dostają, jako środek przeciwko szkodliwym wpływom wiatrów. Duże płaskie kamienie posypują się solą i owce je liżą wedle upodobania; w takich wszakże dniach nie bywają pasane na gruntach wapiennych, tylko na gliniastych, na których trawy po użyciu soli lepiej mają im służyć.

W końcu września schodzą z gór i udają się na płaszczyzny zachodnio-południowych prowincyj, zwykle w miejsce zeszłoroczne. Gromady znaczne w środkowej Azji i Arabii równie są jak ich właściciele koczującami, i jeżeli powyżej wspomnianego twierdzenia o pochodzeniu mesty, Hiszpanie gruntowniej udowodnić nie potrafią, zdaje się, że

zwyczaj ten wzięty jest od Arabów. Strzyż odbywa się w maju w czasie przechodu w góry. Jestto w tym kraju tak ważna epoka, jak gdzieindziej żniwo lub winobranie. W zabudowaniach, w których strzyż się odbywa esquilnos zwanych, może się do sześćdziesięciu tysięcy owiec zmieścić. Zabawy, śpiewy i rodzaj saturnaliów towarzyszą tej czynności i łączą właścicieli z owczarzami, z całego zaś towarzystwa jedna owca jest tylko posepną; z gwaru bowiem ją otaczającego sądzić może, że ostatnie chwile jej życia nadeszły; bo zwykle Hiszpanie tylko idąc do stołu albo na spotkanie nieprzyjaciela, robią dużo hałasu.

Strzyż, która wbrew wszystkim sielankom jest zatrudnieniem obmierzłym, odbywają robotnicy, mający każdy wyznaczoną czynność.

Do ostrzyżenia tysiąca matek potrzeba sto pięćdziesiąt robotników dziennie, do tryków 200; na każdej owcy znajdują się trzy lub cztery gatunki wełny, odmiennej cienkości, wedle części, z której jest brana. Matki najcieńsze mają pokrycie; strój ich jest delikatny, nie waży więcej jak pięć funtów, co wynosi tyle, jak trzy piąte wełny z tryka.

Wełna przeznaczona do wywozu za granicę odsyła się natychmiast do portów, mająca zaś pozostać w kraju, do pralni na ten cel w kilku miejscach w Kastylii urządzonych; jedna z najznaczniejszych znajduje się w Segowii. Wełna oddaje się sortierom czy apartadores, do tego stopnia biegłym, że za pierwszym spojrzeniem wiedzą, z której części wełna jest wzięta. Następnie się suszy, trzepie, pierze, w końcu jeszcze raz z wszelką starannością z wszystkich nieczystości się przerabia.

Wszystkie prawa dotyczące się utrzymywania merynosów wydane są lat temu trzysta; dziś wymagają reformy z przyczyny, że pochodzą od samych interessantów.

Oddzielny istnieje trybunał, consejo de la mesta, złożony (pod przewodnictwem radcy Kastylskiego) z czterech alcaldes mayores entregadores, tyluż kanclerzy i alguazilów. Przedmiotem tego trybunału jest pobieranie cła od gromad, wyznaczanie marszów owiec i sadzenie spraw i sporów tych Arkadyjczyków. Część władzy tego trybu-

nału przeszła w ręce właścicieli owiec i ich oficyalistów, z czego niezliczone wynikają nadużycia.

VII. NAUKI PRZYRODZONE, KOMMUNIKACYE I PRZEMYSŁ.

1. GŁOS I ODGŁOS.

Obdarzył nas Pan Bóg pięcią zmysłami; najcelniejsze z nich, wzrok i słuch sprawują nam największe przyjemności, i największy mają pożytek. Jeżeli niewidomy w ciemnej nocy pogrążony, żadnych piękności świata nie widząc, litość w sercu naszym wzbudza; równie nieszczęśliwym sędzimy brata, pozbawionego słuchu: bo wieczna cisza i głucho milczenie zamyka przed nim miły głos matki, czułe rozmowy rodziny i przyjaciół, nie przypuszcza do ucha i do serca wzruszających dźwięków muzyki, wspańniętego głosu organów i śpiewu; ani wietrzyk, ani szum borów, ani trzask gromu, nie opowiada mu wszechmocności Boga. Jakże szczęśliwymi Pan Bóg was stworzył, obdarzywszy was wzrokiem i słuchem! Ileżto chwały i dziękczynienia winniście za to swojemu Stwórcy!

Com teraz wyrzekł, doszło do waszego słuchu; lecz jakimże sposobem? Zastanówmy się nad tém. Wszystkie dzieci bawić się lubią takimi rzeczami, które łoskot, brzęk, i głos mocny wydają. Gdy ci ojciec kupił bębenek, tak jakby cię na sto koni wsadził; od rana do nocy trum, trum, po sieni, po schodach, i wszędzie, że aż uszy bolały. Pewno też wiecie, że trąbki, stalowe pręty, beczki, kotły, skrzypce, dzwonki, i t. p., mają mocny ton. Kowale, blacharze, kotlarze, bednarze hałasu wiele robią po mieście; a wojsko w czasie rewij, to dopiero dla was zabawa, kiedy z broni pałą i z dział biją, że ziemia cała drży i okna za-brzęczą. Wszystkie te głosy, moje dzieci, są skutkiem drżenia i trzęsienia. Uderzywszy w kocioł, bęben, beczkę albo

dzwon, wiemy, że całkiem one zaczęły drżeć; tak, iż położone na nich, albo przytknięte do nich ciała drobne (np. proch) skaczą i odskakują. Jeżeli kiedy wrzucić kamień w stojącą wodę, uważałeś pewno, iż naprzód małe, potem coraz większe porobiły się koła, które oddalając się od kamienia słabiały, aż znikły. Równym sposobem ciało drżące robi w powietrzu takie koła, raczej kule, bo na wszystkie strony wypusza się powietrze, i wężykowym ruchem dalej a dalej płynie. Dochodząc zaś do ucha, tenże ruch sprawia drżenie błonki w uchu będącej, która zmysł słuchu obudza. Przyłóżcie ucho do belki, a usłyszycie wyraźnie, gdy kto na drugim końcu drapie palcem lub puka; albowiem drżenie czyli brzęk przez drzewo przechodzi. Im ciało jest sprężystsze, tym wyraźniej i mocniej brzmieć zwykło.

Tak srebro, stal, mosiądz, bardziej drżą za uderzeniem, niż ołów, glina, ziemia, a złąd głos mocniejszy mają. Guma, lubo sprężysta, jednak nie jest dosyć twarda, aby mogła brzmienie sprawić. Rozmaitość głosu pochodzi od rozmaitego ciała drżenia, i rozmaitości materii i składu. Z dwóch np. stron naciągniętych, wyższy ton wydaje ta, która przy równej długości jest cieńszą, albo przy równej grubości jest mocniej wyteżona, albo przy równym wyteżeniu i grubości jest krótsza. Dłuższa, grubsza, bardziej spuszczone strona wolniej drży, i mniej w jednej sekundzie trzęsień odbywa, a zatem głos niższy wydaje.

Im większe jest oddalenie od ciała brzmiącego, tym słabszy jest głos; lecz prędkość rozchodzącego się głosu zawsze jest jednakowa, i w każdym powietrzu na każdą pogodę jest równa. Jakże zaś człowiek wyrachuje prędkość głosu? Bardzo łatwo. W pewnym miejscu postawisz wartę z nabitą bronią i przykażesz, aby na krok nie opuściła stanowiska swego. Tedy pójdziesz sobie dalej np. o 3114 stóp; bo wymierzyć ci trzeba oddalenie twoje. Stanąwszy wyjmiesz zegarek sekundy i obróciwszy się do zastawionej warty, głosem rozkazującym, jak najdzielniejszy przywódca zakrzykniesz „pal.” Warta wystrzeli, ty w tym momencie, kiedy proch zabłyśnie, patrz na zegarek, a rachuj 1, 2, 3, 4 sekundy, aż usłyszysz huk wystrzału,

bo pewno wiesz, że światło prędzej biega niż głos, że zatem prędzej widzimy wystrzał, a za chwilę dopiero go usłyszysz. Jeżeli np. wymówiwszy 3, usłyszysz huk, łatwo pojmiesz, że, nim głos do ciebie doleciał, 3 sekundy upłynęły. Pamiętaj, że cała przestrzeń między wartą a tobą wynosiła 3114 stóp, więc, gdy na 3114 upłyną 3 sekundy, przypada na trzecią część jedna sekunda, to jest w jednej sekundzie głos ulatuje 1038 stóp.

Wiedząc to, nie trudno wyrachować np. szerokość rzeki, bagna, boru, góry. Tylko uważać, ile sekund upłynie od błysku aż do huk, i mnożyć liczbę sekund przez 1038. Im gęściejsze jest powietrze, tym mocniejszy bywa głos, im rzadsze, tym słabszy; dlatego na górach wysokich bardzo trzeba krzyczeć, aby słyszeć sąsiada. Głos także słabieje, gdy sprężystość powietrza zmniejsza się. Po śniegu świeżym łoskot słabieje. Od przeciwnego wiatru prędkość głosu tyle w sekundzie stóp traci, ile stóp wiatr na sekundę uleci. Z wiatrem głos lecąc wzmacnia się i dalej się rozchodzi; uważ, gdy dzwonią gdzieś daleko. Wzmacniające głos ciała i narzędzia na tym zależą, aby głos w jedną stronę puścić, i niejako zebrać wszystko brzmienie powietrza, i jednym przeprowadzić kierunkiem. Trąba morska np. ku końcowi coraz szersza, głosowi mówiącego nie daje się rozchodzić, ale go w kupie trzyma i puszcza w jedną stronę, dlatego głos jest donośniejszy. Trąbka do słyszenia przeciwnie zrobiona, przykładą się do ucha, i skupiając głos mówiącego drugim końcem, wzmacnia go. Zatknawszy uszy, gdy brzęczące ciało zębami trzymasz, mocny usłyszysz głos, bo drżenie przechodzi z ciała w zęby i dalej w głowę, aż poruszy błonkę, która słuch sprawia. Nietylko pitka rzucona o ścianę, nie tylko światło spadające na lustro odbija się pod równym kątem i odskoczy, ale i głos, skoro uderza o ścianę. Gdy odskakujący od ściany głos znów wraca ku nam, tak, że go słyszymy wyraźnie, nazywa się odgłosem. Odgłos czyli echo wtedy tylko tworzyć się może, gdy odległość ściany od nas nie jest za małą; bo inaczej powracający odgłos za prędko zmiesza się z pierwotnym głosem i rozpoznać się nie daje. Gdy w sto-

pniowych odległościach od nas ściany lub skały, lub góry znajdują się, odgłos może się odbijać kilka razy, zkad idzie, iż my kilkakrotnie powtórzenie głosu słyszymy. Wy-mówione słowo od każdej ściany coraz słabiej się odbije, jak gdyby je kto powtarzał. W górach grzmoty z téj przy-czyny straszny i długi łoskot sprawiają, bo się huk wiele razy odbija, wzmacnia i wraca. W kościołach i innych gmachach rozlega się każdy głos, bo odbijając się od ścian, znów wraca i brzmienie niejako przedłuża; ztąd czasem trudno kazania rozumieć. Można także wystawić sklepienia, że odbijający się głos w jednym miejscu się zbiera, jak promienie światła za palącym się szkłem, albo przed palącym lustrem. W miejscu takim czyli ogniwie gdy staniesz, usłyszysz każde słówko, które kto szepcze na drugim końcu gmachu, lubo stojący przy nim sąsiad słów jego nie dosłyszysz.

Pułki z książkami, sukna, materye, pierze, słoma, tłu-mią głos, który nie odbijając się w nie wsiąka.

2. CIEPŁO.

Będąc chłopcem, gdym jednego razu na mrozie zeział, powróciwszy do pokoju, ręce ogrzać chciałem i do pieca gorącego przyłożyłem. Sparzyłem się a ojciec mnie poła-jał. Kryłem ręce w rękawach i przyjemne uczułem ciepło; jednak mi je ojciec kazał wyjąć i trzec z całej siły. Usłu-chałem go natychmiast i nie mało zmordowawszy się nad tarcie rąk własnych, uważałem, że się one zaczerwieniły, nabrzmiały i tego rozgrzały; tedy przestał trzec, a ojciec wymagał, żebym zastanowiwszy się nad témże doświadczeniem, uwagi swoje wyjawiał. Suszyłem głowę, zaczą-łem prawić, jakałem się i poprawiałem; a ojciec jedną i drugą uwagę pochwalił, inne zbił, i tyle mnie w tém oświecił, iż wam teraz całą rzecz wyłożyć potrafię. Spa-rzyłem się o piec dlatego, że wiele ciepła nagle przeszło z pieca w zimną rękę. Albowiem ciepłe ciało stykając się z zimnem, dopóty oddaje własnego ciepła, póki obydwa nie będą na równym ciepła stopniu. Zbite ciała prędzej

ciepło swoje przelewają w inne ciała, więc też prędzej sty-gną niż pulchne i lekkie. Tak żelazne piece prędko się rozgrzewają i prędko ostudzą. Rozpalone w ogniu żelazo trzyma kowal obcęgami, bo drugi koniec także gorący, sparzyłby rękę; drewno zaś, choć się pali, można trzymać, aż sam płomień dojdzie do ręki; tak i papier, materye, sło-mę. Ciała, w których ciepło prędko rozchodzi się, nazy-wamy dobrymi przewodnikami ciepła, np. kruszce, szkło, porcelana, kamienie. Złym przewodnikiem jest słoma, drze-wo, pierze, węgle, wełna, jedwab', sierć, popiół, śnieg, po-wietrze. Z tychto ciał ciepło nie tak prędko ulatuje, dlatego służą one na zachowanie ciepła, i mówi się: iż grzeją. Jakto? Śnieg grzeje? Nie inaczej. Kiedyście w zimie ze śniegu robili kule, choć z razu w ręce było zimno, wnet się od śniegu ciało rozpaliło. A w polu, czemużto ozimina w ziemi nie wymarza? Nie słyszycie gospodarzy mówią-cych: „Bogu dzięki za śnieg, żyta nie wymarzną, bo im ciepło pod tą pierzyną.” A gdy nie ma śniegu, albo wiatry go rozpędziły, tedy narzekają, że suche mrozy, że nie do-brze na rolę, że ziarno wymarźnie. Kto na mrozie nos, rękę, nogę odziebił, niech członki odziebnięte co tchu śniegiem okłada, aż się zaczerwienią, nie mu nie będzie. Dachy ze słomy latem chłodzą, zimą grzeją, bo ciepłu są przesko-dą, tak ulatującemu z poddasza jako i uderzającemu z po-wietrza. Drzewa, studnie i sklepy opatrujemy słomą, aby mrozom bronić przystępu. Szczególnie roślinom szkodzi nagła odmiana ciepła i zimna; wiele drzew na wiosnę obumiera, gdy na przemian taje i marźnie, i lodowa na drze-wie robi się skorupa. Podobnie nie jeden człowiek pozba-wił się ręki lub nogi, kiedy skościane członki grzał przy ogniu i zapalenia dostał. Powtarzam więc, że odmrożone członki nie przy ogniu, lecz śniegiem lub zimną wodą le-czyć powinniście. Łatwo uwierzycie, gdy weźmiecie na uwagę to: iż ciało mrozem przejęte, zimniejsze jest od śnie-gu lub wody, która najwięcej kilka stopni zimna miéwa; ztąd wynika, że mróz z ciała wchodzi w wodę, to jest, że ciało odtaje, a nie nagle, więc bez uszczerbku zdrowia. Przy ogniu grzejąc się, nagłe ciepło ciała nie daje odtająć,

i krew w niem psuje. Dlatego nikt nie kładzie zmarzniętych jabłek na ciepły piec, tylko w zimną wodę, gdzie przez parę godzin grubą lodu skorupę w koło siebie utworzą, co jest znakiem, że tyle zimna z nich wyszło. Inny sposób wzniecenia ciepła jest: tarcie, kucie, tłuczenie. U niektórych dzikich narodów do dziś dnia nie krzeszą ognia, tylko twarde drzewo trą o miękkie, aż się zatli. W czasie wojny kowale wojskowi często na zimno kuja, jednak żelazo się rozpala; świder dopiero wyjęty z drzewa jest gorący; osie u kół zapalić się mogą od prędkiego jeżdżenia, a szlifierze wodą polewają kamień, żeby zbyteczne z tarcia ciepło, ostrzu nożów i innych narzędzi nie szkodziło. Lód nawet tarcie nagrzewa się. Ztąd wniosek, iż w każdym ciele ciepło jest zawarte, w żyjących stworzeniach siła żywotna ciepło wznieca, w nieżywych ciałach tarcie i mieszanie z niektórymi innymi ciałami, co nazywamy połączeniem chemicznym. Takie mieszaniny są: wapien palony i woda, o czém każdy mularz wie dobrze; kwas siarczany lub inny z kredą, wapnem i t. d., żędra żelazna, siarka i woda. Powszechnie mniemano, iż pomienione trzy ciała, główniejszą stanowią przyczynę ognia podziemnego z wulkanów; najnowsze dostrzeżenia odkryły w płynącej lawie nieznane dotąd ciało kalium, które od powietrza samego zapala się. Gospodarzom wiadomo, iż siano, zboże, mierzwa, barłóg, nawet warzywa i ogrodowiny wilgotne, rozgrzewają się i zapalić się mogą. Tak rozmaite krzesiwka wynaleziono, w których stykanie się różnych ciał ogień wznieca.

Największe nakoniec źródło ciepła jest słońce, którego promienie nie tylko nas grzeją, ale całą ziemię i morza i powietrze rozgrzewają. Wszystkie ognie ziemskie potrzebują materiału czyli żywiołu, ażeby się paliły i nie gasły; jeden ogień słoneczny nie tylko, że jest najdzielniejszy i że zapala i topi prędzej niż inne ognie, ale nawet bez powietrza obyć się może. Szkła wypukłe albo zwierciadła wklęsłe, zbierają promienie słońca w jedno ognisko i tём bardziej palą, im są większe. Zebrawszy wszystkie doświadczenia, przekonamy się, iż materia ciepła czyli ciepłik, jest ciałem

i nie ciałem: ciałem, bo wchodzi wszędzie, napełnia i zmienia wszystko, przybywa i ubywa; nie ciałem, bo go nie podobna zważyć i zamknąć. Ciepłik może być bez światła czyli ognia, i może także sprawić światło.

Jakie ciepłik ma skutki na inne ciała, jużśmy nadmienili. Ciepło rozsadza, zimno ściska. Rozpalona kula nie wchodzi w tę rurę, w której się przed rozpaleniem mieściła; z palca zgrzanego trudniej zdejmować pierścien; zagrzana w rurce woda wyżej idzie, ostudzona znów opada; suszone drzewo, jabłko, ziarno, mniejszém się staje, bo wilgoć w niem zawarła ulatuje i ciało się zsycha; lecz woda, gdy się w lód obróci, niemniejsze, ale większe zajmuje miejsce, bo wiele powietrza w czasie marznięcia zamknęło się w lodzie.

Płyny od ciepła zamieniają się w parę i w gazy. Gdy ciepło zwolna działa, wtedy para jest niewidzialna; ale za przystępem zimna, taż para zgęszcza się, a nawet zamienia w krople zbierać się daje. Widać to w gorzelniach, albo nad wodami i błotami, nawet w czasie łękich mrozów, gdy parująca woda we mgłę ścięsniona i zgęszczona oku się zjawia. Parowanie tём bywa obfitsze, im więcej się powietrze rozrzedza (szczególnie przez ciepło) i im bywa suchsze (od mrozu); im zaś obfitsze jest parowanie, tём więcej się chłodzi powietrze, bo płyny wyparowując potrzebują część ciepła. Czujemy to, gdy np. w pokoju podłogę kropimy, aby mieć chłodniejsze powietrze. Zmoczona twarz chłodnieje parowaniem (wyschnieniem) wody; gorączka chorego po potach zwykle ustaje. Dmuchanie i powiewanie dlatego chłodzi, iż przyspieszają i przysparzają wyparowanie wilgoci; które ciepła ujmuje, więc chłodzi. Narzędzie do mierzenia ciepła czyli termometr, tak się robi: Nalewa się żywego srebra w rurkę szklaną, której koniec dolny rozszerza się w bańkę; potём rozgrzewszy szkło, wypędza się pozostałe w rurce powietrze i zalewa się górny szkła koniec, topiąc go i zakrzywiając, żeby powietrze nie weszło w rurkę. Wstawiwszy bańkę szkła w śnieg, lub tłuczonym lodem obłożwszy: merkuryusz znacznie opada; tam zrobisz znak na rurce, potём wstawi-

wszy szkło w wodę, i zważywszy ją, uważ, jak wysoko merkuryusz stanie, i drugi tu zrób znaczek. Podzieliwszy przestrzeń pomiędzy obiema znakami na 80 części, masz tyleż stopni ciepła. Co pod dolnym znakiem czyli niżej zera jest, oznacza stopnie zimna.

Przyjemne mamy ciepło latowe, gdy jest 15°, przykre zimno gdy 12° niżej zera, największe u nas zimna dochodzą do 24°; lecz skoro jest 32 stopni zimna (np. w Syberyi), wtedy merkuryusz stężeje, i stałem ciałem się robi, że go można kuć. Krew ludzka pokazuje 30° ciepła; woda nigdy nad 5° zimna nie ma, dlatego często jest cieplejsza od zimowego powietrza; cóż więc może szkodzić kąpiel w przerwibli; jest ona cokolwiek przykra, ale bardzo zdrowa.

3. Para i elektryczność, jako siły poruszające.—Fland i jego oszczędne maszyny parowe.—Elektryczność i jej skutki fizyczne, chemiczne, fizjologiczne i mechaniczne.—Elektromagnesy sztuczne i maszyny galwanomagnetyczne.—Salvator del Negro i Jacobi.

Zastanawiając się nad nieprzerwanym ruchem niezmiordowanego przemysłu dzisiejszej społeczności, uderza nas to ogólne postrzeżenie: iż nie ledwie za każdym zjawiającem się jego dziwem, co się zwykle odbywa za pomocą sztucznie pomyślanych mechanizmów, prawie koniecznie spotkać się musimy z parą, jako siłą poruszającą; tak dalece, iż zdawaćby się mogło, iż ona przyjęła na siebie monopol pracy ludzkiej. Bo czyto potrzeba dźwigać ogromne ciężary, czy czerpać masy wód z kopalni, czy przenosić szybko ładem lub wodą płody przemysłu, czy poruszać kunsztowne przyrządy, z których wychodzą prześliczne tkaniny, prawie powieńsze od przedży pajęczej, para zaraz stawi się na usługi. Słowem co krok w przemyśle, to para i para; a wyraz ten tak dalece, jeżeli można powiedzieć, wszedł w modę, że dziś nie jeden przebiegły przemysłowiec, chcąc zbyt i cenę wyrobów swoich a tём samém i zyski powiększyć, przydaje im przymiotnik od niej pochodzący, chociaż częstokroć w powstaniu tych wyrobów, para żadnego udziału nie miała.

Chociaż w teraźniejszym przemyśle wpływ pary coraz bardziej wzrasta, lecz zdaje nam się, że nadejdzie chwila, w której postannictwo jej, jeżeli nie całkiem zastąpione, to przynajmniej podzielone z nią zostanie przez inne również potężne, a może nawet i potężniejsze działacze. Mówimy tutaj o elektryczności, której chociaż człowiek dotąd zupełnie opanować nie zdołał, jednakże korzystając z jej szybkości, zmusił już ją służyć za gońca swjej myśli, która telegrafami elektrycznymi przez lądy i morza w najodleglejsze leci krainy, i przyjdzie czas, że elektryczność w potężną siłę poruszającą zamienioną i na wzór pary użytą będzie, a nadzieję naszą opieramy na robionych już próbach i przyrządach, które, aczkolwiek niedokładne i w zastosowaniu zawile, wszelako są już wyrażnemi na zawiesz pękami, co nieznane i nieodgadnione wydadzą owoce. Lecz nim słów kilka im poświęcimy, chcemy oddać sprawiedliwość pocziwój parze, której najpóźniejsze wynalazki zdają się największe upowszechnienie zapowiadać; gdyż para co dawniej służyła tylko bogatym fabrykantom lub przedsiębiorcom, dzisiaj pomaga już w pracy i mniej zamożnym rzemieślnikom. Dotąd budowane olbrzymie maszyny parowe potrzebowały znacznych nakładów, dzisiaj mniejsze co do siły i zajmowanej przestrzeni, są przystępne dla każdego rzadnego rzemieślnika. Dawniej dla samój obszerności maszyny parowej, potrzeba było wznosić oddzielne budynki, dzisiaj ona się wciśnie przez drzwi małego warsztatu i na małym kąciu rada poprzestaje. Wynalazcą tych nowych maszyn parowych jest pan Fland rodem z Bretanii. Onto ukończywszy z korzyścią nauki w szkole sztuk i rzemioł w Angers r. 1834, pracował z zapałem w rozmaitych zakładach mechanicznych, szczególniej pompiarskich. W r. 1850 przez p. Giffard, starającego się zastosować maszyny parowe do kierowania balonem, naprowadzony na myśl szczęśliwą szybkością działania maszyny, zastąpić jej obszerność i ciężar, szczerze zajął się urzeczywistnieniem pomysłu, i w kilka miesięcy wystawił maszynę parową o sile sześciu koni, której sąd znawców oddał wysokie zalety. Jeden z jego przyjaciół

udzielił mu pierwiastkowego funduszu na skromny zakład, z którego już w r. 1851 znajdowała się machina na wystawie powszechniej w Londynie, za którą wynalazca otrzymał nagrodę w wielkim medalu. Za użytecznością ulepszenia p. Fland, najlepiej przemawia to, że w przeciągu lat czterech zakład jego sprzedał przeszło 300 machin parowych. Machiny te dają się zastosować do wszelkiego rodzaju przemysłu, nawet w najszczuplejszych warsztatach rzemieślniczych, gdzie szczególnie przydatnymi być mogą o sile jednego konia, kosztujące tylko 500 franków, a tak małe i lekkie, że całą silny mężczyzna na barkach przenieść zdoła. Umieszczona w najciaśniejszej pracowni i tę jeszcze korzyść przynosi, że w zimie ją ogrzewa, a zawsze do gotowania pokarmów, zamiast kuchni, służyć może.

Skończywszy na tém o parze, zrobimy wzmiankę o innym potężnym działaczu, co jako siła poruszająca, do współzawodnictwa wystąpić z nią zamierza, to jest: o elektryczności. Ma się rozumieć, że o pomysle jeszcze w zawieży będącym, nie wiele ci czytelniku powiemy, jak również, że w szczegółowy wykład o elektryczności wchodzić nie zamierzamy, ograniczając się jedynie do pojęć w tej mierze ogólnych. Wiadomo powszechnie, że źródłem elektryczności tak w pracowniach naukowych jakoteż i przemysłowych, jest stos Volty, składający się z blachy cynkowej zanurzonej w kwasach siarczanym i saletrzanym, z których działania chemicznego na metal wywiązuje się w znacznej obfitości elektryczność dodatna i ujemna, które za pomocą dobrych przewodników metalicznych zgromadzone i na zewnątrz wyprowadzone być mogą. Zbliżywszy te przewodniki czyli druty aż do ich zetknięcia, obie elektryczności łączą się z sobą, a to ich połączenie i przejście do stanu naturalnego, daje początek temu, co nazywamy tokami albo strumieniami elektrycznymi.

Na czém te toki zależą i czém są w sobie, jest to tajemnica, której nikt z żyjących dotąd nie zgłębił. Lecz chociaż istota tego zjawiska podobno na zawsze nieprzystępna dla rozumu ludzkiego pozostanie, jednakże skutki jej widzialnymi będą dla naszego oka i nie przestaną nas dziwić

swoją potęgą i różnaitością; skutki zaś te są: 1) fizyczne, 2) chemiczne, 3) fizyologiczne i 4) mechaniczne.

Skutki fizyczne zależą w ogólności na potężnym rozwijaniu światła i ciepła. Jeżeli bowiem dwa bieguny stosu, czyli właściwie mówiąc, dwa przewodniki od nich idące połączymy jakim drutem metalicznym, ten, bez względu na jego opór działaniu ognia, wkrótce się rozżarzy, stopi i w postaci kropel roztopionych spadnie albo się w parę zamieni. Jeżeli zaś zamiast drutu, użyjemy węgla w dwóch kawałkach, na końcach przewodników osadzonego, i zbliżymy je na pewną do siebie odległość, to ujrzymy iskrę elektryczną pod postacią łuku świetnego, przebiegającą nieustannie z jednego przewodnika na drugi. Światło tej iskry tak jest mocne, że nam blask słoneczny przypomina.

Skutki chemiczne toku elektrycznego, polegają na szybkim przezeń rozkładzie wszystkich ciał złożonych. Woda, zasady, kwasy, sole, słowem wszelkie związki naturalne i sztuczne, niepojętym wpływem tego działacza, rozkładają się na pierwiastki, t. j. na ciała proste z których powstały.

Co do skutków fizyologicznych, te się ograniczają dotąd do nader szczupłej liczby doznanych zjawisk, t. j. do samych wstrząśnień organizmu, których doznajemy dotykając się lekko zwilżonemi rękami, dwóch przeciwnych biegunów stosu.

Na czémże polega ostatni rodzaj zjawisk mechanicznych? O elektryczności, jako sile mechanicznej, można się już było domyślać z samego przenoszenia cząstek metalicznych przez strumienie elektryczne, jak o tém przekonały doświadczenia przez rozmaitych uczonych robione. Innego rodzaju przyrządy i w innym celu przez pp. Arago i Ampièra obmyślane, jeszcze dalej po tej drodze poprowadziły. Wiadomo bowiem, iż sztabka ze zwyczajnego miękkiego żelaza, okręcona wielu skrętami drutu metalicznego, obwiniętego jedwabiem i połączonego z przewodnikiem od biegunów stosu galwanicznego idącym, pod wpływem krążącego po nim strumienia elektrycznego, nabiera własności magnetycznych, t. j. staje się doskonałym, lecz tylko cza-

sowym magnesem, który do siebie przyciąga inną sztabkę zwyczajnego żelaza, naprzeciw niego umieszczoną. Owóż ów magnes sztuczny, wywierający siłę poruszającą, winien ją jest elektryczności, która, dzięki jęj szybkiemu w dalekie strony pędowi i zdolności rozwijania ruchu w sztabkach magnetycznych, posłużyła do wynalazku telegrafów elektrycznych, w których owe ruchy użyte zostały, jako umówione znaki do wyrażania myśli służące. Od owych ruchliwych telegrafów, jeden tylko krok pozostaje, jeżeli nie do samych machin, to przynajmniej do ich zasady, w jakiej siłą poruszającą jest elektryczność. Przypuśćmy tylko, że zamiast słabego stosu z kilku, użyjemy mocnego z kilkuset ogniw złożonego, i że zamiast małej sztabki żelaznej, bierzemy wielką w kształcie podkowy wykutą, którą okrażamy znaczną liczbą skrętów drutu obwiniętego jedwabiem i połączanego z przewodnikiem od biegunów powyższego stosu idącym: i cóż wtedy nastąpi? Oto żelazna podkowa zamieni się w magnes sztuczny, potężny, bardzo wielkie ciężary utrzymać mogący. Otóż takim sposobem przyszli fizycy do utworzenia ogromnego zasobu siły, która dotąd martwą pozostawała, czekając tylko, aby ją w życie wprowadzono, t. j. aby ją zamieniono na poruszającą; do czego też fizycy w końcu doszli. Zważając, iż tak potężna siła rozwija się w sztucznym magnesie, przez samo tylko zetknięcie przewodnika stosu Volty z okręcającym podkowę żelazną drutem, i że taż siła z równą łatwością może być odjęta, przez proste tego zetknięcia zerwanie; nie trudno już pojąć, jak i za pomocą jakich sposobów, elektryczność w siłę poruszającą da się zamienić, i jak elektromagnes sztuczny, w rzeczne warunki wprowadzony, sam jeden stanowić już może przyrząd poruszający. Ustanawiając i zrywając w sposób nadzwyczaj szybki związek takiego elektromagnesu z działającym stosem, można istotnie na przemiany, w bardzo krótkich przerwach czasu, to podnosić to zniżać wielką bryłę żelaza, naprzeciw galvano-magnesu umieszczoną. Pozostaje tylko dla umiejętnego mechanika tę masę żelaza w nieprzerwanym ruchu zostającą połączyć z jakimś prętem, i ten zastosować sposobem rucho-

mym, do mocnej dźwigni, któraby ruch jęj udzielony do właściwej już maszyny przenosić mogła. Sądzymy, iż nie od rzeczy będzie, wspomnieć tutaj o człowieku, który po odkryciu czysto-naukowym Oersteda, wpływy toków elektrycznych na ruchy igły magnesowej, pierwszy wpadł na myśl korzystnego użycia elektro-magnetyzmu do poruszania machin; tym człowiekiem był ksiądz Salvator del Negro, uczony kapłan padewski, który w r. 1831 w Rocznikach akademii padewskiej, zamieścił opisanie wymyślnego przez siebie przyrządu, w rozprawie pod tytułem: O magnetyzmie chwilowym. Nieco późniejszym co do czasu, lecz również zalecającym się nowością własnego pomysłu i odmiennością zasady mechanicznej, jest znakomity fizyk Jacobi, professor uniwersytetu dorpackiego, który w roku 1834 złożył akademii nauk w St. Petersburgu swą pracę: O zastosowaniu elektro-magnetyzmu do poruszania machin, gdzie toż zadanie w sposób bardzo gruntowny jest roztrząsnięte. Wynalazca od panującego ówczasie Monarchy wsparty szczodrym zasiłkiem, i do dalszych poszukiwań dostojną zachętą zaszczycony, w r. 1839 robił próby zastosowania swego przyrządu do poruszania statku wodnego na Newie, co mu się w części powiodło; albowiem szalupa opatrzona kołami przez jego przyrząd elektro-magnetyczny poruszana, mając na pokładzie dwanaście osób, przeciwko biegowi, pomimo gwałtownego wiatru, przez kilka godzin płynęła. Lecz gdy po ścisłym obliczeniu pokazało się, że siła poruszająca wynosiła tylko $\frac{3}{4}$ siły konia parowego, a urządzenie maszyny znacznego kosztu wymagało, jako poruszanej strumieniem elektrycznym wyrabianym w stosie z 64 ogniw z cynku i platyny złożonym, sam wynalazca od pierwszego pomysłu swojego odstąpił i rzecz tę dalszemu udoskonaleniu zostawił.

Tymczasem, jak wieść niesie, amerykańscy mechanicy pochwyciwszy zasadę uczonego fizyka rossyjskiego, zaraz w roku następnym szczerze nad jęj praktycznym rozwinięciem pracować zaczęli; i pewno dojdą kiedyś do pomyselnego skutku, albowiem w ważnych i wielkich przedsięwzię-

ciach naukowych, częstokroć niepowodzenia przeszłe, są przyszłej ich korzyści rękojmią i zbawienną dla nich nauką.

4. O termometrach czyli ciepłomierzach.

Ciepło rozszerza ciała, zwiększa ich objętość, a więcę rozszerza płyny, niżeli ciała stałe; ząd pochodzi, że płyn w naczyniu zamknięty, po rozgrzaniu zajmując więcę miejsca, podnosi się. Termometry są także naczyniami w cienkiej rurki przedłużonemi dlatego, żeby i mała przewyżka rozszerzonego płynu wydatniejszą była w ciasnej rurce. Za płyn termometryczny używa się dziś tylko merkuryusza, jako najrówniej rozszerzającego się. Obok rurki umieszcza się skala, która mierzy wysokość słupa płynu, a przez to ilość ciepła; aby jednak wszystkie termometry tę samą ilość ciepła tym samym stopniem oznaczały, potrzeba było wynaleźć w naturze stałe temperatury, któreby posłużyć mogły za granice podziału termometrów. Postrzeżono, że lód topnieje zawsze w tym samym stopniu ciepła; stawia się przeto kilka termometrów w topniejący lód, i wysokość słupa oznacza się przez zero czyli punkt, od którego poczynać się ma rachowanie stopni. Postrzeżono także, że woda dystylowana przy jednakowym stopniu nacisku atmosfery, który wskazuje barometr, gotuje się zawsze w jednakowym stopniu w naczyniach płytkich; obrano przeto ten sposób dla oznaczenia drugiego punktu, zwanego stopniem wrzenia. Trzeba się jednak znowu zgodzić na jeden stopień nacisku atmosfery, gdyż woda wre przy większym nacisku dopiero w wyższej temperaturze, a w niższej przy mniejszym. Obrano na to wysokość barometru 76 centymetrów, czyli $27\frac{1}{2}$ paryzkich, albo $31\frac{1}{3}$ cali polskich. Jestto średnia wysokość, jaką barometr przy poziomie morza wskazuje. Farenheit jednak odstępuje w tém, że punkt zera oznacza nie w lodzie topniejącym, ale w mieszaninie śniegu i soli, co wydaje daleko większe zimno. Dlatego téż jego stopień zera przypada niżej. Mając na termometrze dwa punkta jego granice skali, robią się stopnie przez prosty podział tego odstepu na pewną ilość równych części, ale i w tém

znowuż nie ma zgody. Réaumur dzieli ten odstep na 80 stopni, Celsiusz na 100, a Farenheit na 212, przez co Farenheita 32 stopień odpowiada stopniowi 0 drugich dwóch termometrów; ząd wypada, że termometr lubo między swoim sztuczném zerem, a stopniem wrzenia, ma 212 stopni, ma ich jednak tylko 180 między zerem naturalném lodu topniejącego a stopniem wrzenia.

Téj saméj długości stopnie jakie wypadły nad zerem, przenoszą się pod zero, i oznaczają się znakiem odjemnym —; nad zerem zaś, znakiem dodatnim +.

Z tego widać, jak ważną jest rzeczą, jeżeli się cytuje temperatura, żeby oznaczyć, podług którego termometru. Francuzi używają najwięcej stustopniowego, Anglicy Farenheita; Niemcy i Polacy po większej części Réaumura.

Często wypada potrzeba zamiany jednych stopni na drugie, co łatwo się skutecznia, zważając stosunek wzajemny długości stopni 80, 100, 180, czyli 4, 5, 9. Chcąc stopnie Réaumura zredukować na Celsiusza, pomnożymy je przez 5, a podzielimy przez 4. Odwrotnie gdy stustopniowe trzeba na Réaumura zamienić, należy je pomożyć przez $\frac{4}{5}$. Gdyby zaś wypadło Réaumura na Farenheita zamienić, trzeba pomnożyć przez $\frac{9}{4}$; a gdy Farenheita na Réaumura, przez $\frac{4}{9}$.

Temperatura ciał ciekłych i gazów, dochodzi się przez zanurzanie termometru w pośród ich massy; wtedy cieplik układający się między ciałami zetkniętemi do równowagi, wypadnie tenże sam w ciepłomierzu. Najczęściej używa się termometru do oznaczenia temperatury powietrza, ale tu może on wskazywać nie tylko ciepło otaczającego go powietrza, ale jeszcze i ciepło promieni słonecznych bijących w niego. Dlatego chcąc otrzymać same tylko ciepło powietrza, zostawia się termometr w cieniu. Tak rozumie się zwykle, jeżeli jest mowa o zmianach termometrycznych atmosferycznych. Rozmaite miejsca na ziemi, mają téż rozmaite temperatury, co nie tylko od ich szerokości geograficznej zależy, ale od mnóstwa ubocznych jeszcze okoliczności. Średnia temperatura Warszawy jest około + 5.

5. Elektro-magnetyczny telegraf między St. Petersburgiem a Carskiem Siołem.

Pan M. H. Jacobi, na posiedzeniu akademii umiejętności w St. Petersburgu z dnia 24 listopada 1842 r., odczytał następujący wykład tego przedmiotu:

Mam honor oznajmić akademii, że elektro telegraficzne połączenie, które NAJJAŚNIEJSZY Cesarz zaprowadzić rozkazał, między gabinetem Jego Cesarskiej Mości w Alaksandrowskim pałacu w Carskiem Siole, a pałacem ministra publicznych robót w St. Petersburgu, zostało ukończone 1843 r. Telegraf ten łączy dwa punkta odległe od siebie na 23 wiorsty, 170 sążni." Oto krótki opis jego budowy:

Przewodnik galwaniczny, wraz z przewodnikiem który strumień przeprowadza, składa się z dwóch drutów miedzianych, na $\frac{1}{20}$ cala grubych, otoczonych kauczukową tkanką. Druty te leżą po prostu w ziemi, a gdzie natura gruntu tego wymaga, piasek się pod nie wyścięła. Sygnały dają się lekkim dotknięciem (touche), jednocześnie okazują się na obu stanowiskach bardzo składowie i dosyć regularnie, na gładko zeszlifowanej tablicy ze szkła białego. Każdemu cugowi towarzyszy uderzenie dzwonka, który służy do kontroli, za znaki do zwrócenia uwagi, wiele takich uderzeń dzwonka zostało urządzonych i po sobie następują. Niewielka bateria galwaniczna, bo tylko z 24 elementów Daniela składająca się, którą jednak później zastąpi bardzo oszczędna bateria księcia Bagrationa, daje aż nadto wystarczającą siłę do działań telegrafu. Szczególnie staranie, jakie podałem, aby obwiniecie drutu kauczukiem przeszło 25,000 sążni sam dopełnić, a praca ta nietylko żmudna i trudząca, ale nawet ze żmudnym bólem połączona była, bo najmniejsza niedostateczność w tém obwinieciu dawała się uczuwać silnymi elektrycznymi uderzeniami, które na mnie spadały. Te starania, powiadam, jak niemniej szczęśliwe kombinacje w aparacie telegraficznym, dozwoliły pierwotnie zamierzoną stację, w połowie drogi w wiosce Kamienka dalej posunąć, tak, że znaczna odległość 24 wiorst bez żadnej przerwy będzie przebieganą.

Przy urządzaniu tego telegrafu, nie można się było kierować tém, co gdzieindziej za konieczne uważano, tak, że wszystko prawie na nowo musiało być obmyślaném. To też nasz telegraf z telegrafami, które w Niemczech i Anglii zaprowadzić usiłowano, nie ma nic wspólnego, prócz jednakowego zastosowania znanych fenomenów galwanizmu.

Dodajemy tu, że przy téj okoliczności czynione naukowe badania, do takich wniosków i rezultatów doprowadziły, które równie w praktyce jak w teorii użyteczne będą. Tym razem użyto podwójnych drutów prowadzących. Ale dawniejsze doświadczenia, które 1842 roku czyniono na przestrzeni 9 wiorst, a o których już akademią zawiadomieniem, pokazały, że sama ziemia nawet w wielkich odległościach, może zastąpić miejsce drugiego drutu. Aby zaś doświadczenie to sprawdzić na większej jeszcze przestrzeni, w Carskiem Siole cynkową, a w St. Petersburgu miedzianą płytę, każdą po 10 stóp kw. w ziemię wkopano, a to w taki sposób, że strumień galwaniczny przechodzi przez ziemię i między niemi leżącą wodę, która w tym razie służy za drugi drut prowadzący. Staranne wymierzenie działań téj kombinacji okazało, że przenoszona siła jest dwa razy większa, jak wtedy, kiedy się używa podwójnego drutu; że zaś znaleziono przesłanie depeszy przez ziemię i wodę dosyć zaspakajającém, w przyszłości drut grubszy owiniętym będzie w grubszą kauczukową powłokę. Otrzymane wypadki są większe, kiedy drut sam w ziemi leży, zamiast zostawać w powietrzu na palikach, jakto w innych miejscach czyniono.

Koszta zaprowadzonego tu systemu telegraficznego wynoszą tylko trzecią część tego, co według urzędowych wykazów kosztowały telegrafy przy kolejach żelaznych w Anglii zaprowadzone. Wolno więc mniemać, że do użytku Jego Cesarskiej Mości urządzony telegraf, rozwiązuje ważne zadanie elektrycznych telegrafów z podwójną korzyścią, tak co do odległości, które można przebiegać bez żadnych pośrednich punktów, jak i pod względem kosztów urządzenia.

6. ZJAWISKA POWIETRZNE.

Zaczynam od zjawisk pochodzących z wyziewów wodnych, jakimi są: mgła, deszcz, rosa, chmury, szron, śnieg i grad.

Bez ustanku z ziemi i ciał wszystkich, wyziewy wzbijają się do góry i powietrze napełniają. Nie widać tych wyziewów, gdy one są rzadkie i nieskupione; ale odmiana w powietrzu, bądźto wiatrem, bądźto nagłym zimnem, albo ciepłem zdziałana, natychmiast wyziewy skupić, ścisnąć i na kropłe zamienić może. Gdy kropelki bardzo są drobne, widzimy mgłę; obłoki są też samo co mgła, tylko wysoko nad ziemią unosząca się dla większej lekkości swojej. Jeżeli kropłe mgły jeszcze bardziej ściśnięte zbliżają się, tedy zlawszy się tworzą deszcz, który dla większej ciężkości spada na ziemię. Utworzenie mgły i deszczu zrozumieć możemy, patrząc na szklanę zimną, przeniesioną do ciepłego pokoju, na niej albowiem wilgoć powietrzna zimnem ściśnięta, w kształcie kropki osiada. Tym sposobem tłumaczmy sobie i rosę. Po zachodzie słońca powietrze ostudza się rychlej niż ziemia, i oziębia powstające z niej wyziewy, które na kropelki zamienione, zawieszają się na trawie. Całą noc, a szczególnie nad ranem okazuje się rosa, i błyszczy na ziołach i trawach, dopóki ciepło słoneczne nie zacznie działać. W jesieni i na wiosnę najobfitsze bywają rosy, ponieważ natenczas różnica ciepła dziennego i nocnego jest największa. Mgły i rosy wiosenne i jesienne z podobnych przyczyn powstają, w tém tylko się różniąc, iż na wiosnę ziemia, a w jesieni powietrze jest środkiem oziębiającym wyziewy. Że z rana często większa jest rosa niż w nocy, pochodzi ztąd, iż powietrze górne, rychlej oświecone i ogrzane, rozrzedza się i ustępuje przed dolnemi warstwami, które także rozrzedzając się, nie mogą przyjąć wszystkich wyziewów nocnych, i przeto ją opuszczają, sprawiając mgłę; albo, gdy się wyziewy wzniesić nie mogą, tworzą kropłe na roślinach. W krajach gdzie mało deszczu pada, obfite bywają rosy i roślinność utrzymują. Deszcz rozmaicie spada: jużto w drobnych kropel-

kach na podobieństwo mgły, jużto w wielkich, a czasem strumieniem leje i nazywa się wtedy ulewą. Słyszeliście moje dzieci, o krwawych deszczach, o siarce i żabach z deszczem spadających? Lud zabobonny wierzy w takie baśnie, ale wy naukę odbieracie, i w przypadku niedorzeczne zdania tak macie sprostować: deszcz krwawy i śnieg krwawy, nie krwią lecz posoką drobnych zwierzątek lub pyłem roślinnym farbowanym być może; deszcz siarczasty, po burzach zdarzający się, zostawuje na ziemi żółty proszek podobny do siarki; jednak to nie jest siarka, z chmur piorunowych wydobyta, lecz pył kwitnących roślin i szczególnie sosen i innych drzew, który burzliwym wiatrem w powietrze wzbity, następnie z deszczem spada. Dlatego nikt deszczu siarczystego nie widział w tym czasie, kiedy rośliny i drzewa już okwitły. Żaby po deszczu kryjówki swoje lubią opuszczać i łazić po zwilżonej ziemi, z kądem mniemanie, że z deszczem spadają. To atoli rzecz niezaprzeczona, iż kamienie czasami z powietrza spadają, zwykle z trzaskiem i błyskiem. Przyczyna tego zjawiska dotąd nam nie jest dostatecznie wiadoma. Jedni mówią, że owe kamienie w powietrzu się tworzą, drudzy, że z księżycy spadają. Prócz tych kamieni, które jak kule gorejące zabłysnąwszy w powietrzu, z hukiem pękają i spadają, znamy inne, co w znacznej czasem mnogości, razem z popiołem z wysokości spadać zwykły; ale sąto płody wulkanów, więc tam tylko zdarzyć się mogą, gdzie w bliskości jest wulkan.

Grad z deszczu się rodzi, gdy kropłe z chmur spadające przechodzą przez warstwy zimnego powietrza; to się zwykle dzieje w jesieni i na wiosnę, a grad taki jest mały, lekki i jakby oszroniały. Grady zaś letnie w czasie burzy spadające, bywają większe, z wierzchu zlodowaciałe i twarde, dlatego wiele szkody narobić mogą. Nagłe ubycie elektryczności w chmurach sprawiać zdaje się, iż powietrze utracą sprężyłość i ciepło, potrzebne do unoszenia wielkiej ilości wyziewów wodnych. W locie swoim deszcz marznie i wilgoć chmur przylega do gradu i lodowacieje.

Slizgawica robi się, gdy deszcz na zmarzłej ziemi lodowacieje. Szron jest to rosa zmarzła, i tworzyć się może tylko w jesieni, w zimie i na wiosnę. Śnieg powstaje z wilgoci w chmurach, która nim się zbierze i zleje w krople, od zimna marznie, tworząc dosyć regularne kryształki. Zazwyczaj robią się pierzaste laseczki, i składają się w trójkąty pod kątem 80 stopni, albo w sześcioboki pod kątem 120°. Na każdym boku i kącie rosną rozmaite kwiatki, dziwnego układu, które wyraźnie poznajemy na czarném tle tabliczki łupkowej. Gruby i miękki śnieg pada, gdy powietrze złagodnieje, ale zwykle się zlepiają gwiazdki i przez to układ swój tracą. Gdy drobny a suchy śnieg pada, wiemy, że powietrze bardzo jest zimne; wtedy gwiazdki z trudną się tworzą, bo igielki lodowate będąc zanadto suche, nie zlepiają się, i figur nie składają. Mróz na oknach pochodzi zład, iż wilgoć w powietrzu pokojowém będąca, uderza o zimną szybę, i w szron się zamienia, który rosnąc w kwiaty coraz przybywa, i okno skorupą lodową powleka. Na ścianach cienkich to samo się robi. Ale, gdy odwilż nastaje, mury, drzewa i kamienie obielają i mówi się: iż mróz z nich wychodzi; lubo to prawda, jednak nie rozumiecie, jakoby owa skorupa ze szronu miała być w murze i drzewach, a teraz wystąpiła na wierzch; nie tak się rzecz dzieje, wilgoć powietrzna, dotykająca zimnych murów, zamienia się w szron i osadza na murze, a to dopóty, póki zimno w nim nie zginie złączywszy się z wodnemi cząstkami. Gdy okna obmarzają ze dworu, znać że w pokoju większe jest zimno niż na dworze. Wielkie zimno w okamgnieniu wilgoć powietrzną zamienia w szron i w śnieg; widzimy to w krajach północnych, gdy się okno otwiera, albo gdy człowiek na dworze oddycha; wtedy śnieg nagle się tworzy i spada; zład u nas słoma i mierzwa, którą zatykamy otwory sklepów, szronieją; konie, bydło i ludzie w czasie mrozu, naprószone szronem włosy mają, i drzewa czasem jakby srebrzystym kryształem po wszystkich gałązkach okrywają się. O użytku deszczu, śniegu, rosy, mgły i t. d. mówić nie będę, gdy każdy z was łatwo pojmuje, że bez tych zjawisk życie roślin ustałoby na ziemi.

Po wodnych napomykam zjawiska ogniste i światłe, jakimi są: błyskawica, świeczniki, latawce i kule gorejące, gwiazdy spadające, łęcze, zorze ranne, wieczorne i północne, tudzież koło miesięczne, tona zodyakalna i pozorne słońca. O błyskawicy, latawcach i kulach gorejących jużście czytali; teraz mówmy o świecznikach i gwiazdach spadających. Pochodzą one z wyziewów powietrza palnego i fosforycznego, które szczególnie na cmentarzach i bagnach zbierają i zapalają się, a dla wielkiej lekkości za każdym poruszeniem powietrza chwieją się, pomykają i skaczą; nie mają one styczności ani z pieniędzmi zakopanemi, ani z złym duchem; gdy się wzbijają wysoko i zapalają, mają podobieństwo do gwiazdy. Nie sądźcie, żeby istotna gwiazda spadła z nieba na ziemię; gwiazdy są podobne do kuli ziemskiej, ani jedna nie zmieściłaby się w całym naszym kraju, gdyby spadła. Zorze pochodzą od światła słonecznego, łamiącego się w okręgu powietrznym. W rozdziale o świetle słyszeliście, że się kolory robią, gdy promień przechodzi ciała różnej gęstości, a że warstwy powietrzne stopniową mają gęstość, to zapewne sobie przypominacie. Zorze północne (a w krajach południowej szerokości, zorze południowe) wspaniałem i dosyć rzadkiem u nas są zjawiskiem, powiadają uczeni, że elektryczność najwięcej w tém działa. Nie każdy z was widział zorzę północną; więc ją tu opiszę tak, jak mi się pokazało dnia 7 stycznia 1831 r. O godzinie szóstej w wieczór, gdy przechodził przez most zamkowy w Berlinie, od niechcenia podniósłszy oczy, spostrzegłem na północnem niebie jasny pas, łukiem sterczący nad miastem. Stanąwszy z innym ludem, czekałem, co dalej będzie z tąż toną; jakóż po dobrej chwili światło w żółtawy wpadając kolor, czasami wydawało szerokie pasy i pręgi żółtawego światła, które coraz gęściej i szerzej rozchodząc się migały, i do wysokości bieguna podnosiły się, kolejno znikając i zjawiając się na czystym niebie zimowém. Cały ten ruch poczynął się od wschodu, i pomykał się ku zachodowi, aż tona przeszła punkt zachodni; już tedy nie same pasy, strzały i pręgi, ale nieregularne plamy nakształt obłoków, przesuwały

się nieznacznie jako cień krwawy po błękitie niebios; koło jasne wyżej się podniosło, kolory ciemniały, i promienie w ustawicznym ruchu wypadały, malały, nikły i znów ku górze strzelały. Nagle barwy i promienie znikły, tylko jasny ów pas świecił jeszcze na niebie. Gdym o godzinie 9 do domu wracał, zdawało się, że zjawisko zwolna gaśnie; ale obróciwszy się jeszcze raz ku owój stronie, oto widzę wzmagającą się jasność: promienie i pasy czerwienieją, coraz wyżej wzbijają się krwawe pręgi, i dziwnie goreją na ciemnym tle błękitu nocnego. Gwiazdy na niebie porzucane, migają jakby zadziwione i patrzą przez owe zasłony czerwonego światła, a luna szczególnie od wschodu jak bury ogień błyska i znika. Nie jeden obywatel, wtedy dopiero spostrzegłszy zorzę, sądził, iż się pali część miasta. Na samej północy pod łukiem jaśniejącym rozlała się słaba lecz czysta jasność, jakby od światła księżycowego; końce pasów i promieni wychodzących z owego półkola, tam gdzie na niebie zniknęły, płonęły burm światłem; gdzie się z luną stykały, w bladło-żółty kolor przechodziły. Długość tychże promieni zdawała mi się być 30°—60° i okrywała prawie trzecią część nieba. Długość półkola całego nie była równoodległa co do równika, lecz bardziej na zachód wystawała. Około północy znikło zjawisko wspaniałe. Co za cuda Boskie już na tym świecie nas otaczają! Któż z nas śmiertelników pojmie wielkość Twórey odwiecznego? Te myśli wówczas mnie zajmowały i idącemu na spoczynek towarzyszyły. Koła księżycowe zjawiają się, gdy na niebie dość wysoko zbierają się zgęszczone wyziewy, w których światło się łamie. Na plusk świece w pokoju zapalone, tworzą w około siebie podobne koła; znak, że powietrze gęste. Przy młynach i spadających wodach, także koło się pokazuje, nawet w kolorach tęczy, bo i tęcza nie jest czem innym, jak tylko światłem w kroplach chmury deszczowej łamiącym się i odbitym.

Zawsze tęcza na przeciwnej słońcu stronie swój łuk rozciąga, który tém jest większy, im niżej słońce zeszło; w południe zaś być nie może, dla wysokiego słońca stanowiska. Wystawmy sobie ostrokrąg stojący podstawą swoją

na przeciwną chmurze, a wierzchołkiem wpadający w nasze oko. Ponieważ podstawa składa się z gęstych kropli deszczu, więc promienie słońca w nich łamiąc się i odbijając ku naszemu oku, rozkładają się na kolory. Kolor czyli promień czerwony pod najmniejszym, fioletowy pod największym kątem się łamie, dlatego tęcza pewną szerokość czyli grubość mieć powinna, mieszczącą w sobie kąty łamanego światła. Że słońce jest okrągłe, zatem i tęcza koło czyni, które przed zbliżającym się usuwa, a oddalającego się ściga; albowiem każde oko w innym ją widzi miejscu, tak jak obrazek w lustrze. Że tylko półkoła widzieć możemy, stąd pochodzi, iż oko nasze tak blisko jest ziemi; bo z wysokości stosownej moglibyśmy całe widzieć koło, co się też niekiedy zdarza będącym na wysokich górach. Końce tęczy zdają się być szerszemi od pałaka, dla gęstszego u dołu powietrza. Czasem druga tęcza nad pierwszą się robi, gdy promienie po kilkakrotnym łamaniu się w kroplach deszczu, ku naszemu oku wypadają, stąd też kolory drugiej tęczy o wiele są bledsze. Żeby tęcza wodę piła albo zakopane wskazywała skarby, są to uprzedzenia i baśnie zabobonne. Słońce pozorne jestto obraz słońca jasny: odbity, jak mniemają uczeni, od lodów północnego morza, albo od warstw powietrza. Luna zodykalna pokazuje nam się w czasie porównania dnia z nocą: na wiosnę wnet po zachodzie, w jesieni krótko przed zachodem słońca, na podobę światła żółtawego rozlanego długim pasem po niebie od strony zachodu. Sądzą, że to pochodzi od atmosfery słońca. Nakoniec trąby powietrzne i wodne, układając z różnych domysłów, jakie czyniono w tej mierze, biorę ten, który najjaśniej tłumaczy zjawisko. Kto już kiedy uważał wirowe wiatry, gdy porwą kurz, liście lub inne ciała lekkie, i w około je obracając podnoszą, wystawić sobie można dwa przeciwne wiatry obok siebie wiejące tak, że ściśnioną pomiędzy nimi chmurą gwałtownie zakręca, zwina, i w trąbę wielką, że tak powiem skulną, jak gdyby kto kawał ciasta między dłońmi kulał. Chmura w tym prędkim ruchu wydraża się i spuszcza końcem swoim do dołu. Ruch wirowy w takim słupie porywa i wciąga w sie-

bie te ciała, na które natrafia; zład trąba wietrzna na ziemi domy i drzewa kruszy i obala, a gdy na morzu powstaje, wodę ku sobie pociąga, która wiatrem wirowym porwana, z łoskotem i szumem pieni się, i ku środkowi wiru podnosi. Ścisnięta wiatrami chmura wilgoć swoją opuszcza i zlewa ją strumieniami na wodę, sama zaś nareszcie w morze spada i prędko znika. Błyskawice i grzmot niekiedy w trąbach widziano i słyszano.

Teraz moje dzieci, chętnie przyznacie mi, że fizyka jest nauką niezmiernie korzystną dla rodu ludzkiego. Przypomnijcie tylko sobie pompy, drąg, kołowrót, młyn, proch, rozmaite gazy i ich użytek, Kompas czyli igłę magnesową, szkła, perspektywy, maszyny parowe, konduktory i t. d. Jestże na świecie sztuka, rzemiosło i rękodzieło, które się wydoskonaliło bez zasad fizycznych? Wieleżto ważnych odkryć i wynalazków wiek nasz wydał i wydaje! Lecz jakkolwiek wielkie były i są postępy przemysłu; fizyka jednak jako i niemal każda nauka, jest niezmierna, nieobjęta pewnymi granicami. To przekonanie zachowuje nas od próżności i chętności, przywodząc na myśl odwieczną i cudowną Boga mądrość a własną niedołężność. Prawdziwie uczony człowiek, choćby posiadał najwięcej nauk, najbystrzejszy rozum i wiele doświadczenia, nie wynosi się z tego, owszem coraz więcej upokarza, bo coraz jawniej poznaje i czuje, jak drobną jest ta cząstka mądrości, której przez całe życie pracując rozumem i pamięcią nabył, tak drobną mowę jest w porównaniu z ogromem rzeczy i przedmiotów światowych, których nie przenikamy, nie pojmujemy! A cały świat i jego mądrość, czémże jest przed samym Bogiem? Jest ona jak cień przemijająca, która nigdy nas nie nasyca i nie zaspakaja. Tylko w samym Bogu spocząć możemy, do niego wszystkie działania i myśli nasze odnosić powinniśmy, bo On jest prawdą i światłością.

7. Przestrzeń kolei żelaznej od Częstochowy do wsi Granica.

Na przestrzeni drogi żelaznej od Częstochowy do granicy Austriackiej, odbyta została dnia 22 listopada 1847 r.

próba jazdy parowozem, który w dniu tym dotarł poraz pierwszy do stacyi Granica, wzniesionej nad rzeką Białą-Przemszą pod wsią Maćki, naprzeciwko i w odległości dwóch wiorst od stacyi Krakowsko-Szląskiej drogi żelaznej w Szczakowie. Nowa ta część drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej 72 wiorst długości mająca, wychodząc z dworca kolei w Częstochowie, rozwija się naprzód wzdłuż lewego brzegu rzeki Warty, w bliskości wsi Bleszno, Wrzosowa, Słowiki, aż do młyna Wały, pod którym przerzucając się na prawy brzeg tej rzeki, opuszcza zarazem gub. Warszawską i wchodzi w Radomską, a następnie dobiega do stacyi klasy trzeciej Poraj, dwie mile od Częstochowy odległej. W całej tej długości rozległa dolina Warty z panującym ciągle widokiem klasztoru Jasnej-Góry i ruin Olsztyńskiego zamku, piękny przedstawia krajobraz, i dlatego tém smutniejsze sprawiają wrażenie następne dwie mile drogi wiodącej od Poraja wśród bagien, zarośli lub jałowych piasków do stacyi klasy drugiej w Myszkowie. Lecz wrażenie to jest krótkie i przemijające, bo, dzięki kolei żelaznej, mile liczą się minutami, a dojeżdżając już do Myszkowa, okolica inną przybiera postać; rozsuwający się widok urozmaicony licznymi osadami zamykają wzniosłe góry, dolinę rzeki Warty obejmujące. Tu opodal 6 wiorst na lewo od kolei leży miasto Żarki. Od Mysłkowa droga przebywa już nader urozmaiconą okolicę. Mijając miasteczko Mrzygłód odkrywa się malowniczy widok na powabne położenie wsi Rudnika z grupą piętrzących się w oddale niu skalistych gór, uwieńczonych zwaliskami Ogródzienickiego zamku. Droga żelazna przecinając kilkakrotnie bystre potoki Wartę zasilające, dochodzi następnie do osady fabrycznej Zawiercie, położonej o milę poniżej miasta Kromotów, gdzie rzeka ta ma swój początek. W Zawierciu droga ostatni raz przecina rzekę Wartę i opuszcza już takową, aby następnie przedrzeć się przez pasmo gór, któremi natura oddzieliła dwie najznaczniejsze kraju naszego rzeki, t. j. Wisłę i Wartę. Zład ta część kolei aż do stacyi Łazy jest na całej linii najwyższą, wyniesienie jej dochodzi 1000 stóp nad poziom morza Bałtyckiego, a przeszło 700

stóp nad poziom kolei na stacyi Warszawskiej. Pospępnie jodłowe lasy, nieodstępne powyższych gruntów towarzysze, zalegają jedno milową przestrzeń drogi od Zawiercia do Łazów. Od stacyi Łazy droga żelazna wchodzi pomiędzy wzniosłe i trudne do przebycia góry, których widok wzbudza ciągle oczekiwanie wjazdu pociągu na groźne wiadukty lub do podziemnych tunelów; lecz próżna obawa, droga czepia się i rozwija u podnóża wzniosłych gór, chwyta cieśniny, przedziera się przez międzygórza, a podróżni zaledwie dostrzegają mało znaczące nasypy lub przekopy, tam gdzie widoku olbrzymich dzieł oczekiwali. Dlatego ta szczególnież część drogi będzie na zawsze świadectwem zdolności i gorliwej pracy naszych inżynierów, którzy przy ograniczonych środkach, jedynie trafnym wyborem kierunku drogi napotkane trudności i zapory pokonać umieli. Góry, pomiędzy którymi, mijając stacyę Łazy, kolej jest prowadzoną, ubarwione łąkami, niwami, kłębami lasów i gęsto rozrzuconemi wioskami, poprzedziane obficie spływającemi potokami, przedstawiają malownicze widoki, z pędem pociągu co chwila zmieniające się, a z tych do piękniejszych policzyć można, rozkoszne położenie wsi Wiesiołka i Wysoka. Dalej droga przecina wieś Bugaj i dochodzi do stacyi klasy trzeciej Ząbkowice, w bliskości wsi tegoż nazwiska założonej. Od Ząbkowic minawszy niewielką przestrzeń lasu, przedstawia się powabny widok wsi rządowej Gołonóg, z pięknym kościołem na wysokiej górze wzniesionym. Dalej wchodzi droga w długi i głęboki przekop w skałę wykuty, aż do wsi Strzemieszyce docierający; przy wyjeździe z przekopu nikną nagle góry, dotąd drogi otaczające, otwiera się rozległa płaszczyna zamknięta od strony południowej pasmem gór Krakowskich i Szlązkich, a za temi rozwijające się w oddaleniu szeregi niebotycznych, wiecznie śniegiem pokrytych Karpat, określają tę nader wspaniałą panoramę mil kilkanaście obejmującą. W okolicach Strzemieszyc, a mianowicie: Dąbrowie, Niwce i w Niemcach, rozłożone są najznakomitsze kraju naszego górnicze zakłady, t. j. huty żelazne

i cynkowe, także węgla ziemnego kopalnie. Od Strzemieszyce droga żelazna dochodzi już do stacyi Granica.

VIII. USTĘPY Z HISTORJI Powszechnej.

1. Przejsie Hannibala przez Alpy.

Miedzy Gallią i Włochami wznosi się niebotyczny, a wszędzie stromy grzbiet śnieżnych Alp, jakby nieprzebytej mur między temi krajami. Wszystko na okół skrzępto śniegiem i lodem; kończące skały sterczą aż pod same obłoki, a bezdenne przepaści otwierają się za każdym słupnieniem. Tylko dzikie zwierzęta rykiem powiększają zgrozę i okropność tego nieprzystępnego miejsca, albo równie dziecy ludzie, którzy skórąmi zwierząt okryci, w chatkach na urwiskach skał zawieszonych lub w jaskiniach nędzny prowadzą żywot. Wszystko drętwiejąc od mrozu i głodu, stawiało najokropniejszy obraz, zdolny odstraszyć najodważniejszego, tylko nie Hannibala. Tędy więc, kędy dotychczas nie przedarła się żadna stopa ludzka, tędy, mówię, miało się przeprowadzić liczne wojsko, z ludźmi, z końmi, słoniami, taborami, wozami, w porze czasu najzimniejszej dla Kartagińczyków, do gorącego afrykańskiego klimatu przywykłych, tém nieznośniejszej.

Wojsko uderzone okropnością widoku stanęło, lecz Hannibal ani na chwilę się nie wahał. Zgromadziwszy swych wojowników około siebie, tak ich do wytrwałości zagrzał, zapewniając, iż na mury samego Rzymu wstępują, że zaczęli śmiało piąć się na góry. Lecz gdy się wzniesli do pewnej wysokości, tém większe znalazły się przeszkody. Na gładkim śniegu i lodzie nie mogąc się utrzymać, ślizgali się żołnierze i spadali w wądoły, lub też załamywali się po śniegu, pokrywającym urwiska w bezdenne przepaści. Niejeden żołnierz pośliznąwszy się na zdradliwej i niezwykłej drodze, strącał w przepaść za sobą peł-

zające z wielką trudnością szeregi. Na domiar niedoli wypadali z jaskiń dzicy mieszkańcy, miotając na znużone wojsko kamienie. Rozpacz i zwątpienie ogarnęły serca wszystkich; tylko Hannibal krzepił ich odwagę nadzieją, że wkrótce staną na grzbiecie góry. Zwalczywszy tysiączne przeszkody, trudne do opisania, stanęli nareszcie na szczycie góry Cenis. Tu na śnieżnej i lodowatej gór alpejskich pościeli, wśród mroźnych poświstów szamocących się wichrów, kazał swemu skościanemu od mrozu i zgłodniałemu wojsku wypocząć, pokazując mu z daleka uśmiechające się i blaskiem słońca jaśniejące łany rozkosznej włoskiej krainy. Wojsko pokrzepione na sercu, zaczęło się spuszczać z góry na dół, co na ślizkiej, lodowatej spadzidliwości, z większą jeszcze przychodziło trudnością. Co chwila nowe wydarzało się nieszczęście. Niezmierna ilość świeżo spadłego śniegu, wielką moc żołnierzy wygubiła. Reszta przyszedłszy do skały, mającej 300 stóp prostopadłej wysokości, nieprzebytą tamę znalazła. Hannibal chce okrążyć górę, szuka wszędzie przejścia, a znajdując coraz większe trudności, wreszcie ową skałę kruszyć zamierza. Chwyta żołnierz za topór, wali odwieczne drzewa, a z tych wzniesione i podpalone stosy, rozpalają płomieniem skałę, która tym sposobem kruszeje i łatwiej ulega pod twardym żelazem niezmordowanego robotnika, otwierającego wojsku drogę przez wyłom tej skały.

Po piętnastodniowej przez góry alpejskie podróży, stanął nareszcie Hannibal na włoskiej ziemi, z połową tylko wojska, drugą bowiem połowę mroz, trudy niewypowiedziane i oręż Gallów wytracił. Nie mając więcej jak 26,000 żołnierza, starał się swe szyki wzmocnić Gallami, u stóp Alp mieszkającymi, a którzy oddawna nieprzyjaciołmi byli Rzymian.

2. Wojna przeciwko Cymbrom i Teutonom.

113—101 przed Chr.

Jeszcze w czasie wojny z Jugurtą doszła była wiadomość Rzymian, że lud straszliwy, olbrzymiej postawy, z niebieskimi oczami, a żółtymi włosami, opuściwszy zimne,

w wiecznej nocy pogrążone siedziby, ciągnie do Włoch. Byli to Cymbrowie i Teutonowie, zapewne niemieckie narody od brzegów północnego morza, które głodem lub wylewem wód z owych siedlisk ruszone, z żonami i dziećmi w niezliczonych tłumach, nowych dla siebie szukały siedlisk. Najprzód wpadli do Gallii, gdzie wiele wojsk rzymskich wystanych na spotkanie ich porazili, poczem straszliwa ta czerń do Włoch się obróciła. W Rzymie taka powstała trwoga, iż pierwszy raz nikt się o konsulat nie ubiegał. Tylko jeden Maryusz nie ulękł się, przyjął opuszczony konsulat i wyszedł z wojskiem na spotkanie nadchodzącego nieprzyjaciela. Nie uderzył zaraz na nich, ale w warunkach obozach wstrzymywał napady srogiej dziczy, aby się żołnierze przyzwyczaili do widoku owych potwornych postaci. Ci zaś sprzykrzywszy sobie długie czekanie, wpadli raz na obóz rzymski i darli się na okopy, ale Rzymianie nie bojąc ich się już bynajmniej, ze stratą odparli. Nareszcie owi barbarzyńcy namyślili się porzucić obóz rzymski i pójść prosto do Włoch; ciągnęli więc przez sześć dni około rzymskiego obozu, wołając z urągowskim na zamkniętych i za szaniami siedzących: że idą prosto do Rzymu, czy nie chcą pozdrowić żon i dzieci.

Wstrzymał i tu zapalczywość swoich ostrożny Maryusz, a gdy wszyscy przeszli, on także za nimi ze stanowiska ruszył, mając się zawsze na ostrożności i nie inaczej obozem stawał, jak w miejscu bezpiecznym. Tym sposobem przyszedł do miejsc, które nazywano Aquae Sextiae (dziś Aix w Provence), a widząc miejsce sposobne, bitwę stoczyć postanowił, i prędzej niż się spodziewał, przypadek mu ją nadarzył. Była woda dosyć opodal od obozu rzymskiego, trzeba było po nią iść zbrojno. Tam więc zastali Rzymianie Teutonów i zaczęli z nimi bitwę. Przybywały z obu stron posiłki. Nie było już w mocy Maryusza wstrzymać zapału żołnierzy. Rzymianie przełamawszy gęste tłumy tej dziczy, pędzili je do rzeki, wielu ich legło, nierównie więcej potopiło się. Noc przerwała walkę. Rozproszeni barbarzyńcy, poniosłszy już znaczną klęskę, powrócili do swego stanowiska, i tej nocy nie czynili już takiego wycia

i takich krzyków, jak to dawniej bywało, co Rzymianom jeszcze bardziej dodało serca. Przyszedł nareszcie dzień oczekiwany, mający rozstrzygnąć losy narodów. Maryusz dla większej pewności poczynił zasadzki, zdając to na Marcella, aby, gdy przyjdzie do spotkania, wziął tył nieprzyjacielowi. Tą razą pierwsi Rzymianie bój rozpoczęli, i z początku bitwa dość długo z równym szczęściem wrzała; dopiero, gdy za danym znakiem wychylił się z zasadzek Marcellus, padł postrach na barbarzyńców, zmieszali się w szyku, tłocząc się i nie wiedząc, gdzie odpór dawać. Powszechna więc ogarnęła ich trwoga i zaczęli uciekać na wszystkie strony. Ale ich przyparli Rzymianie, w straszliwej swej zjadliwości przeciw tej dzieciny do 100,000 trupem na placu położyli. Teotobad, ich król, olbrzymiej wielkości, dostał się do niewoli. Tymczasem Cymbrowie inną drogą przeszedłszy przez Alpy, spuszczać się po śnieżystej pochyłości na swych drewnianych puklerzach, wpadli do Włoch, przeprawili się przez rzekę Adygę, rzucając w nią skały i drzewa dla ułatwienia przeprawy. W bitwie powiązali przednie szeregi łańcuchami, aby ich nie złamano. Na próżno usiłował konsul Catulus wstrzymać tę nawałę nad rzeką Padus (Po); dopiero, gdy się Maryusz po odniesionem owym zwycięstwie z nim połączył, przyszło do morderczej bitwy na równinach Werony w r. 101. Przed bitwą imieniem swoim i Teutonów, o których porażce nie wiedzieli, żądali miejsca na osadę, ale im Maryusz odpowiedział: Już ja waszych współbraci Teutonów osadziłem na spoczynek wieczny, i pokazał im w kajdanach wodzów i króla. Natenczas pełni rozpaczyci wrócili postowie do swoich, zapalając ich do zemsty.

Nieznośny upał dnia tego szkodził wiele Cymbrom, nieprzywykłym do gorąca. Nadzwyczajne było krwi rozlanie. Po porażce mężów broniły się jeszcze zapalczywie żony owych barbarzyńców, otoczone taborem z wozów; a gdy widziały przegraną, rzucały swe dzieci pod koła od wozów, lub pod nogi zaprzężonego bydła, poczem same sobie śmierć zadawały, aby tylko żywe nie wpadły w ręce zwycięzców. Z tryumfem wchodził Maryusz po odniesionem

zwycięstwie prowadząc niedobitki owych barbarzyńców, wzbudzających jeszcze w niewoli postrach i podziwienie. Maryusz od ludów ubóstwiony, trzecim zbawcą Rzymu nazwany, szósty raz konsulem obrany został.

3. Attyła, król Hunnów.

(444 po Chr.).

Hunnowie, którzy pierwsi dali popęd do tych wędrówek ludów, koczowali przez niejaki czas między Wołgą i Dunajem.

W r. 444 połączył rozproszone ich hordy w jeden wojenny tabor, odważny dowódzca Attyła, chłostą bożą, przewzany.

Najprzód zwrócił się na wschód, zburzył ogniem i mieczem prowincje państwa wschodniego, i zmusił cesarza do płacenia mu rocznej daniny 2,000 funtów złota.

Poczem w r. 450 zimową porą wyruszył Attyła na czele kilku królów, pół miliona wojowników z swego taboru w Pannonii, obrócił na zachód. Na wiosnę w r. 451 stanął nad Renem. Kto nie zdołał uciec, znalazł niechybną śmierć, albo się połączyć musiał z tą wędrowną ciżbą narodów, pożogami i spustoszeniem ślady swoje znaczącą.

Trwoga połączyła do odporu zachodnie narody. Dzielny wódz rzymski Aecyus i król zachodnich Gotów Teodoryk odważyli się wreszcie stawić czoło nadchodzącej burzy, i na Katalaunskich polach w bliskości dzisiejszego Chalons nad Marną spotkały się wojska. Prawie wszystkie narody od Wołgi aż do Atlantycznego morza stanęły w tym pamiętnym dniu do boju. Była to jedna z największych walnych bitew, w Europie stoczonych; 100,000 z obu stron legło na placu. Attyła pierwszy raz został pobity 451 r. i zmuszony do odwrotu przez Ren. Ale już następującego roku pokrzepiwszy swe siły, żądał ręki Honoryi, siostry cesarza, i należnego działu, a gdy mu to odmówiono, dostało, wpadł do Włoch, zdobył i zburzył miasto Akwileję. Zbiegi z tego miasta i okolicy ukryli się na małych wysepkach (Lagunach) Adryatyckiego morza, i założyli

miasto Wenecyą. Mieczem i ogniem wszystko pustosząc, zbliżał się Attyla do Rzymu, którego zguba zdawała się być nieuchronną. Chwycono się ostatniego sposobu ratunku. Papiież Leon w uroczystej processyi kapłanów wyszedł z Rzymu do obozu Hunnów: „Pomnij, rzekł z powagą do Attyli, że Piotr Święty pierwszy apostoł, wzięt Rzym pod swoje potężną opiekę. I Alaryk wkroczył do Rzymu, ale za to rychtęj nie uszedł śmierci. Pomnij, abys nie doznał jego losu.” Poważna postawa sędziwego kapłana, otoczonego całą świętością i powagą religijną, przejęły uszanowaniem Attylę. Przyjął ofiarowane mu dary i powrócił z swemi hordami do Pannonii, gdzie już następującego r. 483 nagle umarł. Ciało jego w złotej złożone trumnie, ta w srebrnej, a srebrna w żelaznej, z wielką uroczystością pogrzebane zostało. Po jego śmierci rozchwiało się pod jego synami obszerne państwo Hunnów od Wołgi do Renu sięgające, a narody przez niego podbite, odzyskawszy niepodległość, znowu na scenę historyczną występują.

4. WYNAŁAZKI I ODKRYCIA.

a) Kompas.—Proch.—Sztuka drukarska.

Wynalazki kompasu, prochu palnego i sztuki drukarskiej, zastosowane do życia narodów w ciągu XIV i XV stulecia, wywarły wielki wpływ na przeistoczenie średniowiekowego świata.

Cudowna własność igły magnetycznej wskazywania ku północy, już dawniej była rozważaną, ale zastosowanie jej do żeglugi i przez Flawiusza Gioja z Amalfi, upowszechniło się dopiero w XIV stuleciu, i wydało z siebie nieobliczone następstwa. Jakoż przed użyciem kompasu nie puszczało się okrętem poza brzegi morza Śródziemnego, a śmiały sternik, który się dalej odważył, trzymał się bacznie pobrzeża, kiedy po zaprowadzeniu jego śmiało w głąb oceanu czyniono wycieczki.

Opowiadają, iż Bertold Schwarz w r. 1354, mnich niemiecki z Frejburgu w Bryzgowii, wynalazł proch palny; według innych wynalazek ten przynależy Chińczykom, od

których przejęli go Indowie i Arabowie; pewną wszakże jest rzeczą, iż użycie prochu w połowie XIV stulecia wywarło niezmierny wpływ na przeistoczenie sztuki wojowania, podobnie jak kompas nadał nowy kierunek żegludze. Zaprowadzenie broni palnej przyspieszyło upadek zbrojnego rycerstwa. Nadwątłone stosunki lenne osłabiły potęgę pospolitego ruszenia szlacheckiego, jego miejsce zajmowała zrazu ćwiczona piechota najemników, później stała armie. Zastosowane w XIV stuleciu do wyrobu kart jeograficznych i obrazów świętych drzeworytnictwo, w dalszym rozwoju pierwotnej myśli, dało może początek sztuce drukarskiej; wszelako szczytny pomysł układania słów za pomocą pojedynczych czcionek, jest własnością Jana Guttenberga w r. 1440 z Moguncyi, który długo w Sztrasburgu przebywał. W połączeniu ze złotnikiem Fustem czyli Faustem, dostarczycielem potrzebnego kapitału ku przeprowadzeniu swego pomysłu, tudzież z biegłym przepisującym ksiąg Piotrem Schöfflerem, doprowadził Gutenberg wynalazek swój do téj doskonałości, iż już 1456 r. biblią łacińską z wielką dokładnością wydrukowano. Wszakże nagroda usiłowań nie była wynalazcy udziałem. Faust poróżnił się z nim i uzyskał w sądzie wyrok oddający mu wszystkie czcionki i narzędzia, tytułem wynagrodzenia za włożony kapitał; poczem w połączeniu z Schöfflerem swym zięciem, rozpoczęte przedsiębiorstwo dalej przeprowadzał. Schöffler wynalazł chemiczną miarę kruszcu czcionkowego i czerpidło drukarskie. Wynalazek ten, trzymany zrazu w tajemnicy, upowszechnił się niebawem, gdy w czasie wojny Moguncyę zdobyto, a wielu z towarzyszków sztuki do innych zbiegło krajów. Wnet celniejsze miasta niemieckie i włoskie posiadały prasy drukarskie, a nowy wynalazek stał się własnością wszystkich ucywilizowanych narodów. Księgi roznosiły narodom oświatę starożytnego i nowszego świata, zwłaszcza, gdy te od chwili użycia papieru lnianego i bawełnianego, miasto drogiego pargaminu, nie jednym już bogaczom i osobom znamienitym, ale każdemu były dostępne. Upowszechnienie poczt listowych ułatwiało związki między uczonymi, którzy sobie pomysłów swych

nawzajem udzielali, i chyliło wieki średnie ku czasom nowszym.

b) Odkrycia drogi morskiej do Indyj wschodnich.

Arabowie i inni mahometanie dostarczali w wiekach średnich karawanami płodów i wyrobów bogatych Indyj, Wenecyanom i Genuńczykom, od których je znów mieszkancy zachodniej Europy nabywali.

Za staraniem Henryka Żeglarza, księcia portugalskiego, wielkiego mistrza bogatego zakonu Chrystusa, 1460 r. czynili Portugalczycy śmiałe i szczęśliwe wycieczki ku odkryciu ziem nowych na morzu Atlantyckim, i odkryli wyspy: Porto-Santo, Madeirę, wyspy Azorskie, przylądek zielony, ludziez bogate w złoto i kość słoniową pobrażę Gwinei wyższej, w południowo-wschodniej stronie od Sierry-Leony. Papiież wręczył Portugalczykom akt własności tych i wszelkich przyszłych odkryć na morzu aż do Indyj. Król Jan II (1481—95), który pierwszy skruszył potęgę stanu szlacheckiego, a podniósł władzę królewską i stan miejski, posunął dalej portugalskich żeglarzów odkrycia. Z jego rozkazu puścił się śmiały Bartłomiej Diaz 1486 r., z Gwinei niższej (pobrażę Hongo), ku południowym końcom Afryki, gdzie burzą miotany, nadał im miano „Przylądka Burzliwego;” ale król nazwał go przylądkiem „Dobrej nadziei,” bo już we dwadzieścia lat później za panowania króla Emanuela wielkiego, puścił się ztąd przedsiębierczy Vasco de Gama, wzdłuż wschodniego pobrażę Afryki (Mozambique i Zangnebar), na morze Indyjskie ku pobrażom Malabarskim, zawinął do przystani Kalikutskiej i odkrył drogę morską do Indyj wschodnich.

Zamorin, panujący w Kalikucie, podniecany do wojny przez zawistnych mahometan, zostających dotąd w wyłącznym posiadaniu handlu wschodniego, wystąpił do boju z Portugalczykami, zmuszając ich do zaciętej walki, o posiadanie ziemi świeżo odkrytej. Było to trudne dla cudzoziemców zadanie, wszakże niezgody panujących książąt indyjskich ułatwiły zdobycz Portugalczykom. W połączeniu z księciem Kochinu walczyli oni szczęśliwie przeciw

Zamorinowi, pod wodzą Vasco de Gama i Kabrala (który w dalszych wycieczkach odkrył Brazylię i zajął ją w imieniu króla portugalskiego). Almeida i dzielny Albuquerque 1500 roku, byli założycielami panowania Portugalczyków w Indyach, odnosząc na czele nielicznego, ale europejską sztuką wojowania ożywionego hufca, bezustanne zwycięstwa nad ociężałymi massami wojowników azyatyckich.

Portugalczyk Almeida pokonał w stanowczej bitwie przeważniejszych w liczbę Indów i Mahometan, zhołdował kilku książąt, zmuszając ich do uznania zwierzchnictwa Portugalii i przyzwolenia na założenie faktoryi po ich stolicach. Po Almeida, zabitym w powrocie przez dzikich Hottentotów, nastąpił w dowództwie Alfons Albuquerque, mężny i ogledny namiestnik króla portugalskiego w posiadłościach indyjskich, których stolicę w zdobytym przemocą mieście Goa założył. Na czele ośmiuset Portugalczyków, wziął on szturmem Malakkę, stek handlu tylnio-indyjskiego, zhołdował księcia Ormuza nad zatoką Perską, czyniąc głośne w Azji imię króla Emanuela. Niewdzięczność była nagrodą usiłowań wiernego sługi królewskiego, któremu żal i troski śmierć przyspieszyły. W następnych latach założyli Portugalczycy osady swe i faktorye na wyspie Ceylon i wybrzeżu Koromandel, poczem zajęli obfite w korzenie Molukki i wyspy Sundy.

Religia chrześcijańska służyć musiała zdobywcom za środek dogodzenia żądzy zysku i bogactw, które za sobą pociągały zbytki i zniewieściałość, a ucisk, jakiego się na pokonanych ludach dopuszczali, zbliżał chwilę ich upadku. Odkrycie nowej drogi handlowej do Indyj, było śmiertelnym ciosem dla Wenecyi i Genui. Długo Lisbona była stkiem handlu światowego, ale skarby zamorskie zradzały w narodzie ospałość, podkopywały przemysłowość krajową, która tém niżej upadła, ile że wzrastający stan miejski, jej wyobraźniel, swobody swe utracił.

c) Odkrycie Ameryki przez Krzysztofa Kolumba.

Podniecony szczęśliwemi wyprawami Portugalczyków zapął do odkryć, obudził w Genuńczyku Krzysztofie Ko-

lumbie, wielką myśl odkrycia nowej, zachodniej drogi, do bogatych Indyj. Niepewne podania odległej starożytności, bajeczne powieści o cudownych, lecz nieznanym krajach, działały twórczo na fantazję tego znamienitego w dziejach świata męża, i party jego badawczego ducha ku ich odkryciu, a pokonaniu stawianych długo wzniosłym jego zamiarom przeszkód. Napróżno ten wielki mąż przedkładał plany swój ojczystej Genui, Portugalczykom i Anglikom, wzywając ich pomocy — nazwano go marzycielem i awanturnikiem. Dopiero Izabella Kastylijska, uszczęśliwiona zdobyczą Grenady, powierzyła trzy okręty śmiałemu żeglarszowi, zapewniając mu, w razie uwieńczonej szczęśliwym skutkiem wyprawy, godność wielkiego admirała i vice-króla we wszystkich krajach i wyspach jakieby odkrył, a nadto dziesiątą część dobytku z nich dla niego i potomstwa jego. Dnia 3 sierpnia 1492 r., opuściła mała flota Kolumba przystań Palos w Andaluzji, i obok wysp Kanaryjskich popłynęła ku zachodowi. Obawa załogi okrętowej wzrastała z każdym dniem w miarę oddalenia się od brzegów hiszpańskich, i przeszła na koniec w otwarte przeciw wielkiemu sternikowi powstanie. Już groziła mu śmiercią przywiedziona do rozpacz załoga, jeżeli nie zechce powrócić, gdy nagle niespodzianym odkryciem wyspy Guanahani (nazwanej odtąd San-Salvador) uradowana, u nóg swego wielkiego przewodnika szukała przebaczenia. Znaleźli tam Hiszpanie żyzną krainę, zajęta przez ludzi dzikich (nagich), miedzianej barwy ciała, którzy nie przeczuwając nic złego, spoglądali spokojnie na zajęcie wyspy przez nowych przybyszów w imieniu króla hiszpańskiego, i co mieli najlepszego, chętnie podawali w zamian za próżne błyskotki i bawidła; ale nie znaleziono tam, ani na odkrytych niebawem dwu większych wyspach Kuba i Hayti (Hispaniola i San Domingo) oczekiwanych skarbów złota, pereł i drogich kamieni, w takiej, jak się spodziewano obfitości. Kolumb założył na wyspie Hayti osadę i powrócił do Hiszpanii, przynosząc zadziwionej Europie wiadomość o nowym świecie, nazwanym w błędnym mniemaniu Indjami zachodnimi.

Papież nadał Hiszpanom uroczystym aktem darowizny, wszystkie kraje, jakieby o 370 mil od Azorów na zachodzie odkryli.

Następnie podjął Kolumb jeszcze trzy podróże do nowego świata, odkrył kilka wysp (Jamajka i inne), a w końcu północno-wschodnie побереża Ameryki południowej, przy ujściu rzeki Orinoks do Atlantyku. Wszelako odkryta przezeń nowa część ziemi, nie nosi jego miana, ale po Amerigu Vespucii z Florencji, który ją pierwszy opisał, nazwano ją Ameryką. Kolumb zaś doznał losu, który zwykle geniuszom towarzyszy. Gdyby twórca wielkiego dzieła nie znalazł nagrody w własnym przekonaniu, wdzięczność świata nie pobudziłaby go nigdy do przeprowadzenia własnego pomysłu. Osadnicy na wyspie Hispanioli popadli między sobą w niezgody, tudzież w załogi z ciemnymi i kałowymi przez nich krajowcami. Kolumb nadbiegł dla przywrócenia porządku, ale chcąc winnych ukarać, oskarżony był przez nich i spotwarzony na dworze hiszpańskim, gdzie, jako cudzoziemiec, mnogich liczył nieprzyjaciół. Ferdynand nie tyle już życzliwy wielkiemu mężowi ile Izabella, wysłał dla rozpoznania tej sprawy urzędnika złośliwego, który śledztwo swe rozpoczął od złożenia Kolumba z godności namiestnika, i okutego w kajdany do Hiszpanii odesłał. Cała Europa oburzyła się na wiadomość o tym okrucieństwie; zdjęto wprawdzie żelaza z wielkiego sternika, ale nikt nie pomyślał o dotrzymaniu mu poczynionych obietnic. Zawistni Hiszpanie ścigali go i braci jego; a gdy ostatnia jego wyprawa, z powodu burzy i nieprzyjacielskich kroków buntowniczej zgrai osadników hiszpańskich, niepomyślny koniec wzięta, złożono go z wszelkiego urzędowania; poczem w mieście Valladolid, bolejąc nad niewdzięcznością świata, niebawem życia dokonał. Zwłoki jego przewieziono później na wyspę Kubę wraz z więziami, w których go do Hiszpanii odesłano, a które temu wielkiemu mężowi, na własne jego żądanie syn jego Diego włożył do grobu.

d) Dalsze odkrycia i zdobycze w nowym świecie.

Balboa, Magelan.—Kolumb pociągnął za sobą wszystkich śmielszych sterników do szukania odkryć i zdobyczy w nowym świecie. Wszakże było tam dla nich otwarte pole do nabycia bogactw sławy i zaszczytów.

Przedsiębiorczy Balboa przekroczył na czele nielicznego zastępu górzyste międzymorze Panamy, z pokonaniem ogromnych trudności, jakie mu położenie nieznanego kraju, dzikie zwierzęta i nieprzyjacielskie kroki krajowców widzianych do boju przez swych naczelników (kacyków) stawiały, i odkrył ocean Spokojny. Śmierć z ręki kata, która mu zgotowała zawisć jego niegodnego następcy, położyła koniec dalszemu planów jego przeprowadzeniu. Nieco później przepłynął Magelan, Portugalczyk w służbie hiszpańskiej, nazwaną po sobie cieśninę, puścił się na morze Spokojne, gdzie głodem morzony, ledwie zdołał osiągnąć wyspy wschodnio-indyjskie, rozpoczynając tę podróż pierwszą naokoło świata. Okropna śmierć poprzednika jego Diaza de Solis, zabitego i pożartego przez dzikich mieszkańców Ameryki południowej, przy ujściu rzeki La Plata, nie odstraszyła go od dalszych poszukiwań. Szukając sławy w onych odkryciach, walczył Magelan z tysiącami niebezpieczeństw. I on zginął gwałtowną śmiercią na wyspach Filipinach, nie dokonawszy swjej słynnej żeglugi naokoło świata.

Kortez w Meksyku.—Ferdynand Kortez, śmiały sternik i mężny wojownik, w pierwszej połowie XVI stulecia, postanowił podbić państwo meksykańskie. Meksykanie wstąpili już byli na drogę cywilizacyi, mieszkali w ożywczym miastach, oddawali się rękodzielnictwu i innym zatrudnieniom pokoju, ubierali się w wyroby bawełniane, i posiadali organiczne osady krajowe, nad których wykonaniem czuwał król, otoczony bogatą szlachtą i możnym stanem kapłanów. Na czele pięciuset Hiszpanów i sprzymierzonych z nimi kilku słabych ludów amerykańskich, zawojował Kortez liczny, dzielny i ojczyznę miłujący naród meksykański, jął w niewolę króla Montezumę w własnym jego pałacu, i zdobył stolicę Meksyku.

Straszliwy huk ognia działowego, okazała jazda hiszpańska, wyborne uzbrojenie wojownika europejskiego zrodziły w pokonanych krajowcach myśl, jakoby Hiszpanie wyższymi byli jestestwami, którym oni swemi wątłemi siłami i niedołączną bronią (nie znali bowiem żelaza) oprzeć się nie zdołają. W przeciągu dwóch lat zdobył Kortez kraj cały, powalił ohydne bałwany, ku którym czci corocznie tysiące ludzi w ofierze zabijano, i zamierzał przez zaprowadzenie zbawiennych instytucyj pokoju, odkryć pokonanym ludziom korzyści cywilizacyi europejskiej, gdy zawistna potwarz przed królem hiszpańskim stała się powodem jego odwołania. Pod pozorem jakoby dążył do założenia własnego królestwa 1528 r., złożono go z namiestnikostwa i zapomniano o jego zasługach. W dalszych wycieczkach odkrył Kortez Kalifornią, ale niewdzięczność monarchy hiszpańskiego towarzyszyła mu wszędzie i przyspieszyła zgon jego, 1536 r.

Pizarro w Peru. — Jako właściwą kopalnią złota wskazywali Amerykanie kraj Peru, obfity w drogie kruszce od zamożnego Meksyku, którego skarby Korteza i jego chciwych towarzyszy wzbogaciły. Pizarro i Almagro, mężowie równi z Kortezem odwagi, ale namiętni i żądzą zysku wiedzeni, zdobyli Peru mniejszemi nawet siłami, jakimi on przy zawojowaniu Meksyku władał. Peruwianie byli narodem ukształconym, charakteru łagodnego. Ich religijne obrzędy nie miały na sobie cechy barbarzyństwa. Zartargi dynastyczne w łonie panującego tam domu Inkasów, ułatwiły Hiszpanom zdobycie ich kraju ze stolicą Kuzko. Okrutny Franciszek Pizarro jął króla w niewolę i oddał go w ręce kata, mimo przyrzeczonej mu wolności za niezmiernym okupem w złocie, poczem zawojował bogate państwo peruwiańskie 1535 r., i założył Limę nową jego stolicę. Niebawem Franciszek Pizarro i bracia jego Ferdynand i Gonzalo, poróżnili się z Almagrem, odkrywcą państwa Chile, i powstałi zbrojnie przeciw sobie. Almagro został pokonany i ścięty, a znów syn jego pomścił śmierć ojca na Franciszku Pizarze. Już zajądlność Hiszpanów miała przywrócić ich pana o utratę zdobyczy, gdy cesarz Karol V

namiestnikiem swym w Peru, mianował mądrego kapłana Gaske, który burzycielów pokoju pokonał, ostatniego Pizarre (Gonzalego) szubienicą ukarał, i powagę władzy króla hiszpańskiego w zdobytym kraju ustalił.

e) Następstwa z odkrycia nowego świata.

Położenie krajowców. — Odkrycie Ameryki i zajęcie zdobytych w niej krajów, połączone było z niestęchającymi okrucieństwami. Zdobywcy katowali bez litości mieszkańców wysp zachodnio-indyjskich; co uszło przed mieczem, lub ocalało z roznoszonego prochem palnym zniszczenia, pędzono do ciężkich robót, w których wielka część słabych z przyrody krajowców, śmierć znaleźć musiała. Zaprzęgano ich do uprawy nowo-założonych osad, do trudów w kopalniach srebra i złota, którym chciwość zdobywców nigdy dość nasycić nie mogli. Napróżno apostołowie chrześcijaństwa, krzewiąc naukę ewangelii i korzyści cywilizacji europejskiej między dzikimi Amerykanami, zalecali Europejczykom łagodność i ludzkość w obchodzeniu się z pokonanymi ludźmi; w zakamieniałych sercach nie przyjęły się głoszone środki miłosierdzia, dogodzenie żądzy bogactw stało się najwyższem zdobywców bożyszczem, a kiedy w końcu szlachetny kapłan Las Casas chcąc złagodzić położenie Indian, na silnych Murzynów afrykańskich, jako zdolniejszych do robót ciężkich osadniczych wskazywał, rada jego dała powód do niegodnego handlu niewolnikami, plagi rasy etiopskiej, i otworzyła Europejczykom nowe pole do dogodzenia ich chciwości. Nietylko mieszkańcy wysp, ale równie i Meksykanie i Peruwianie ulegli ciężkiej niewoli, słabe tylko rzesze dzikich krajowców szukały zrazu schronienia w nieprzebranych lasach Ameryki. Cudzoziemcy zaś czyli bieli osadnicy, mianowicie: Hiszpanie, Portugalczycy, Bretonowie, Francuzi, Niemcy i Żuławianie przywłaszczyli sobie władzę nad śniadymi Indianami i czarnymi murzynami, w której wykonaniu prawdziwymi byli tyranami.

Ziemio-płody i stosunki handlowe. — Nieobliczone są następstwa z odkrycia nowego świata, pod wzglę-

dem wpływu na obyczaje Europejczyków i ich przemysłowość. Przewiezione do Europy ziemio-płody amerykańskie, wpłynęły stanowczo na zmianę sposobu życia jej mieszkańców. Produkta kolonialne, kawa, cukier, tytoń i inne, stały się odtąd niezbędną ich potrzebą, ziemniaki najgłówniejszém pożywieniem ludu.

Pomnożenie kruszców szlachetniejszych, wydobywanych z kopalni Peruwii i Meksyku, wpłynęło na wartość dóbr i stosunki towarzyskie. Odkrycie nowych dróg morskich nadało handlowi inny kierunek: dotąd stękiem handlu światowego były miasta włoskie, odtąd zachodnie państwa Portugalii, Hiszpanii, Żuław i Anglii. Wszakże gdy dwa pierwsze mocarstwa przemysłowości krajowej więzy włożyły, handel ich niezbyt długim cieszył się powodzeniem. Przemysłowi towarzyszyć winny swobody, atoli kraje te nie dozwalały obcym narodom przystępu do swych osad, ograniczając takowe na wyłączny handel z krajem macierzystym, i kładły na nie uciążliwe obowiązki. Nie wolno było osadnikom dostarczać innych, tylko surowych ziemio-płodów, z których dopiero w kraju macierzystym wydobywano przedmioty sztuki i potrzeb domowych; zład też kolonie nie mogły zakwitnąć, a władzący niemi Hiszpanie i Portugalczycy, z powodu zbyt łatwego zysku i nagromadzonych bogactw, popadli w ośpałość i nieczynność. Na pysznych galeonach przewozili Hiszpanie do swych portów skarby amerykańskie, ale tymczasem niszczały własne ich kopalnie.

Z innej strony wiadomości naukowe w przedmiocie badania przyrody i ziemioznawstwa, stanęły na wysokim szczeblu doskonałości przez te odkrycia zamorskie.



1. O DOBRODZIEJSTWACH BOGA.

przez

Jana Kochanowskiego.

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary;
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?
Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach, i w morzu, na ziemi, na niebie.

Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje,
Wdzięcznym Cię tedy sercem, Panie, wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.

Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował,
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował.
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,
I przykryłeś jej nagość zioly rozlicznymi.

Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przeskoczyć się boi,
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień, a noc ciemna swoje czasy znają.

Tobie kwoli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie kwoli w kłosianym wieńcu lato chodzi,
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.

Z Twój laski nocna rosa na mdle ziola padnie,
A zagorzałe zboże deszcz ożywia snadnie.
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swój żywności,
A Ty każdego żywisz z Twój szczodroblivości.

Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie:
Twoja laska, Twa dobroć nigdy nie ustanie.
Chowaj nas, póki raczysz, na tej nizkiej ziemi,
Jeno niech zawsze będziemy pod skrzydłami Twemi.

2. PSALM VIII.

przez tegoż.

Wszehmocny Panie, wiekuisty Boże,
Kto się Twym sprawom wydziwować może?

Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

Gdziekolwiek słońce miecie strzały swoje,
Wszędy jest znane święte imię Twoje;
A sławy niebo ogarnąć nie może
Twój, wieczny Boże.

Niech zli, jak chcą, Ciebie mierzą sobie,
Z ust niemowlątek rośnie chwała Tobie.
Ku większej hańbie i ku potępieniu
Złemu stworzeniu.

Twój czyn jest niebo, Twoich rąk robota
Gwiazdy, jaśniejsze wybranego złota.
Ty coraz nowym światłem zdobisz wdzięczne
Koło miesięczne.

A człowiek co jest? że Ty niestworzony
Wszystkiego Twórca i Pan niezmierzony
Racysz nań pomnieć, czym jest syn człowieczy,
Gódzien Twój pieczy?

Takeś go uczcił i przyochodził,
Żeś go z anioły tylko nie położył:
Postawiłeś go panem nad zacnemi
Czyni swojemi.

Daleś w mój jego wszystkie bydła polne,
Daleś i leśne zwierzęta swawolne:
On na powietrzu ptastwem, pod wodami
Władnie rybami.

Wszehmocny Panie, wiekuisty Boże,
Kto się Twym sprawom wydziwować może?
Kto rozumowi, którym niezmierzony
Ten świat stworzony?

3. DO BOGA.

przez

F. hr. P.

Błysnął poranek, zniknęły cienie,
Ja wzrok z pokorą toczę po niebie;
Boże! najpierwsze moje westchnienie
I moję duszę wznoszę do Ciebie.

Czuję Twą wielkość, wieczność jęj straż;
 U nóg Twych strumień czasu przecieka;
 U nóg Twych losy świata się waży,
 I drżący piorun Twęj woli czeka.
 Lecz gdy się groźnej potęgi trwożę,
 Boska mnie litość tarczą okrywa,
 Wołam do Ciebie, Ojczy i Boże!
 Ty słuchasz głosu, który Cię wzywa.

Spraw, niech mi serce cnotą goreję,
 Nieszczęściem zagródź występku drogę,
 A jeśli zbłądję, daj mi nadzieję:
 Że jeszcze Ciebie przebłagać mogę.

4. TOBIASZ OJCIEC.

(Starzec ociemniały, wspierający się na kij, zbliża się do swego mieszkania).

Już nie znają mnie te strony,
 Próżno błądzę osamiały;
 Próżno wołam dawnęj chwały
 Starzec drżący i wzgardzony.

Oczy Pańskich dzieł nie widzą,
 W sercu radość się nie wznieci:
 Pokolenia mego dzieci
 Z lat i modlitw moich szyszają.

Pókiś Ty był ze mną Paniel!
 Ze mną były dni wesela,
 Ze mną miłość Izraela,
 Dla mnie królów posłuchanie.

Dziś mię wróg prochem narzucił,
 Myślę smutno, nieprzytomnie;
 Bo zapomniał Pan dziś o mnie,
 Od grzesznika twarz odwrócił.

Sprawiedliwyś Ty od wieków Pa-
 (nie.

I wszystkie sądy Twe sprawie-
 (dliwe;

Jamto przestąpił Twe przykaza-
 (nie,

Jam zeszedł na drogi krzywe.

Jam Cię obraził, zdradził, a oto!
 Tyś przewinieniom moim prze-
 (baczył:
 Tyś mnie pogardą, nędzą, śle-
 (potą,
 Ty, Bóg mój, ukarać raczył!

Błogosławione są Twoje kary!
 Twe zagniewanie błogosławione!
 Bo jakież drogie będą ofiary
 Za twych-wybranych koronę!

Ustęp z poezji biblijnych.

5. MODLITWA DZIECI DO BOGA.

Boże w Twoje imię święte,
 Zaczynamy prace dzienne;
 Bo w ten sposób rozpoczęte,
 Plony dadzą nam zbawienne.

Czy zabawa, czy nauka,
 Niech zaczyna się od Ciebie,
 A kto Twego wsparcia szuka,
 W każdej dozna go potrzebie.

Gdy się modlą dobre dziatki,
 Ty ich prośbom czynisz zadość,
 I dla ojca i dla matki
 Zesłać raczysz zdrowie, radość.

Wszakże Chrystus, co świat
 (zbawił

Przez najświętszą krwi ofiarę,
 Gdy prawdziwą głosił wiarę,
 Dobrym dziatkom błogosławił.

Pobłogosław i nam Panie,
 Dozwól w enotach się ustalić,
 Byśmy mogli w każdym stanie
 Bliźnich wspierać, Ciebie chwalić.

6. DUMANIE O BOGU.

Któż to jest taki, co te światy
 (stworzył,
 Co tyle cudów udzielać był w sta-
 (nie?

I kto grunt jego potęgi założył?
 Nieraz ja sobie czynię to pytanie.
 Nieraz myśl moja pędem błyska-
 (wicy,

Dążąc do nieba loty nieścigłemi,
 Rozumów ludzkich dotknęła gra-
 (nicy

I znów musiała powracać do ziemi.
 Boże mój! Boże niepojęty wiecz-
 (nie,

Przebacz mi, przebacz uniesienie
 (moje,

Że tego Pana chcę poznać konie-
 (cznie,

Który mi co dzień zlewa łask
 (swych zdroje.

Gdy na te gwiazdy świecące w noc
 (ciemną,

Gdy na to słońce oczy swoje
 (zwróce,

Które już tylu widziało przedemną
 I tylu ujrzy, gdy się w proch
 (obróce;

Pytam was, pytam, o wy zimni
 (ludzie!

Czyliż przypadek mógł to wszy-
 (stko zrzadzić.

Miliony światów, niepojęty cu-
 (dzie!

Krążą i nigdy nie wolno im zbłą-
 (dzić.

Mogłoby się wszystko w powie-
 (trzu i wodzie

Samo utworzyć? ta ziemia, te nie-
 (ba?

By to utrzymać w takiej dziwnej
 (zgodzie,

Do tego nawet Boga już potrzeba.
 Próżno szyderstwem pokonać
 (mnie chcecie.

Kładźcie mię w słabych nabo-
 (żnisiów rzedzie,

Odmówcie miejsca mi na całym
 (świecie;

Zawsze Bóg mieszkać w mojej
 (duszy będzie.

Przyjdzie ta chwila, nie minie ni-
 (kogo,

Kiedy śmierć władzę swą rozcią-
 (gnie srogą;

Gdy wsparcia ludzi wymagać da-
 (remnie,

Westchnie przyjaciel i wyjdzie
 (odemnie,

Od grobu mego i żona się wróci,
 Działwa zapłacze, potem się prze-
 (smuci;

Któż wstąpi za mną w to ciemne
 (mieszkanie?

Tvoja opieka, mój wieczysty Pa-
 (nie!

Napróżno mędrce, wy! z twarzą
 (surową

Straszyć mię chcecie, że nie mo-
 (gę ożyć,

Czemuż mię wskrzesić nie może
 (na nowo

Ten, który zdołał z niczego mnie
 (stworzyć?

Lecz jaki powód, jaki cel? mówi-
(cie.
Ja wiem, że Jemu niepotrzebny
(na nic.
Lecz że On dobry, potężny, wi-
(dziecie,
A moja wdzięczność i ufność bez
(granic.
Ach! tak jest, śmierci gdy bramę
(otworzą,
Ufam, że ujrzę Ciebie bez wąt-
(pienia;
Lecz nim przed Tobą stanę wiel-
(ki Boże!

Wysłuchaj modłów Twojego stwo-
(rzenia.
Daj mi być dobrym, daj być spra-
(wiedliwym,
Niechaj me chwile użyteczne
(płyną;
Niech płochą mową, czynem nie-
(gódziwym,
Nie będę nigdy zgorszenia przy-
(czyną.
Ani takiego dopuść poniżenia,
Bym kiedy prawdy wyrzekł się
(dla zysku.

7. CHRYSTUS Z NAMI.

przez

Antoniego Czajkowskiego.

Łódź gibka na modrém jeziorze usiadła,
I pruli spokojnie przezrocze zwierciadła,
Płynęli powoli wietrzykiem owiani,
Aż fala zahuczy, welnami bałwani;
To wody się nagle podnoszą, to zwiną,
I z łodzią igrają, jak z wątlą łupiną.

Więc uczniu się zlekli, i w okropnej chwili,
Uspionego Mistrza z przestachem budzili,
Ach ratuj nas, Rabi! wołali ze łzami;
A Rabi: O słabi! wszakże jestem z wami,
I kazał się burzy uciszyć—opadła,
I pruli spokojnie przezrocze zwierciadła.
O duszo chrześcijańska! gdy burza szalona
Roztoczy nad tobą huczące ramiona,
Ty rozpacz odepchnij świętymi pierściami,
I spojrzysz spokojnie: *bo Chrystus jest z nami.*

8. GROSZ WDOWI.

przez tegoż.

Wówczas szli ludzie różni ciskając w kaletę
Dla biednych złote sztuki lub drobną monetę;

A z niemi razem przyszła do świętego miasta,
Pokorna, ubożuchna, cnotliwa niewiasta,
I wyciągając rękę, skromna i nieśmiała,
Dwa małeńkie pieniążki na jałmużnę dała,—
A Chrystus rzekł: „Zaprawdę, wielkie to są dary,
Większe, niżli bogaczów największe ofiary,
Bo ci oddali zbytek; a azaliż ona,
Skladając dwa pieniążki, wdowa opuszczona,
Dwa ostatnie pieniążki, nie złożyła z niemi
Swego chleba, i wszystkich bogactw na tej ziemi!”
Bracia w Chrystusie! niech nas ten przykład poruszy,
Niech słowo życia przejdzie do żyjącej duszy,
Niech litość z samolubstwa trędów nas uzdrowi,
I niech każdy poniesie ochoczo grosz wdowi.

9. WZNIESIENIE MYŚLI DO BOGA.

Ojciec wieków, pełen chwały,
Chwały bez granic i końca;
Z którego łona powstały
Księżycy, gwiazdy i słońca.

Ty jeden obecny wszędzie,
Ty jeden z nami i w niebie,
Ma dusza wielbić nie będzie
Tylko Twą wielkość i Ciebie.

Ty jeden! lecz któż policzy
Te niewidzialne przymioty;
Które wraz z światem dziedziczy
Wszechmocność Twojej istoty.

Czy grzmiały fale, piorun błyska,
Czy po kwiatach brzęczą roje;
Wszędzie świetności zjawiska
Otaczają berło Twoje.

Lubo widzę te gwiazd koła,
Co w przestrzeniach niebios toną,
Czyżże umysł pojąć zdoła
Mnogość światów nieskończoną?

Kogoż ta ziemia nie dziwi,
Gdy mimo wieków zagłady,
Dźwiga na sobie i żywi
Rozliczne jestestw gromady.

Gdyś Boże stworzył te dzieła,
Jeszcze Twój dłoni opieka
Troskliwość Twoją zajął
Uposażeniem człowieka.

Z Twój łaski pamięć dziedzicze,
Lecz któż tę pamięć pojmuje,
Gdy zgasłe życia słodczy
W mej wyobraźni maluje?

Twoim jest ten dar myślenia,
Co jak Twych cudów potęga,
Ogarnia niebios sklepienia,
I krańców świata dosięga.

Tyś nadał sercu mojemu
Czucie najśłodszej pociechy,
Kiedy przebacza bliźniemu,
Jak Ty przebaczasz me grzechy.

Ty Boże zsyłasz w me łono
Smutek, gdy myślą przewinię:

Rozkosz, gdy innym to czynię,
Co chcę, by dla mnie czyniono.

Tak dobroczynną przestroga,
I dzikich dłoń Twa obdarza,
Strawić swych zgryzot nie mogą
Nawet i piersi zbrodniarza.

Wszystko czas z wieków potokiem
Wraca na łono nicestwa,
Aleć tak smutnym wyrokiem
Nie dotknął mego jestestwa.

Tys mi część bóstwa udzielił,
I tys mię dary swojemi
Zgłębiać przedwieczność ośmielił,
Acz jestem prochem Twój ziemi!

Dla mnie słodycz znosi pszczoła,
Dla mnie owoc, złote żniwa,
Wonne kwiaty, zbawcze zioła
Daje Opatrzność troskliwa.

Królu chwały, Ojcie ludów!
W dziełach Twoich niepojęty,
Twórczo tylu świata cudów,
Boże wielki! Boże święty!

Tys mą pociechą jedyną,
Tys ulgą nieszczęść kolei,
Ty razem z smutku przyczyną
Zsyłasz nam promień nadziei.

Tys ujarzmił dumę świata,
Wstrzymał krwi ludów potoki,
Bo twe kazaly wyroki,
Kochać bliźniego jak brata.

Nie masz tam ognia ni stali,
Nie drżą mdlejące ofiary;
Gdzie święte prawa Twój wiary,
W niewinnych pieniach lud
(chwali.

Gdy w zmianach losu mój nawy,
Sarkam na ciężar niedoli;
Wspomnij mi Boże łaskawy
Żem winien uleść Twój woli.

Wspomnij, że po tej żegludze
Stanę przed Twojem obliczem;
Że szczęście, którym się trudzę,
Obok przyszłości jest niczem.

Ucz mnie, jak dopiąć tej cnoty,
Co ludzi z Niebem jednoczy;
A w namiętnościach ślepoty
Ku Sobie zwracaj me oczy.

Karć me żądze, bym nie grze-
(szyl,
Chętnie przestawał na swoim,
Cierpiących wspierał i cieszył,
Świętym oddychał pokojem.

Acz ufny w Twojej litości,
Spokojnie czekam dni schyłku;
Otwórz dłoń pełną hojności
I pełną rosy posilku.

Niech nam króluje na wieki
Twa dobroć, mądrość i wła-
(dza;

A pokarm Twojej opieki
Niech troski nasze osładza.

Niech wszystko, co świat posiada,
Co nad nim dłoń Twa unosi,
Twój wszechmocności hold skła-
(da,
I Ciebie Twórcą swym głosi.

Tą prośbą kończę me pienia,
Bo Ty najlepiej wiesz Boże,
W czem słabość mego plemie-
(nia
Uszczęśliwioną być może.

9. ELEGIA

pisana na emmentarzu wiejskim p. Grój, naśladowana z angielskiego.

(w skróceniu).

Schylek dnia dzwon oznacza; ustaje już praca,
Zwolna rycząca trzoda błoniem postępuje,
Rolnik dumając ścieżką do domu powraca,
A świat cały ciemności i mnie zostawuje.

Już szarym okolica mrokiem się okrywa,
Powietrze uroczyste napelnia milezenie,
Chyba brzęk lecącego chrząszcza ją przerywa,
Lub błędnej jałowicy dalekie dzwonicie.

Na wieży mchem i bluszczem oddawna okrytej,
Nadęta sowa łukiem żalobnym przeraża
Tego, co po miesiącu w przechadzce swój skrytej,
Święte państw jej siedliska klócić się odważa.

Za temi świerki, za tym jaworem ogromnym,
Gdzie szereg mogił z darni wznosi się daleki,
Spoczywają przodkowie wsi tej snem niepomnym,
Każdy w ciasnej swój trumnie zamknięty na wieki.

Świeży powiew tehnącego woniami poranku,
Szczebiotliwość jaskółki, co się gniazdem trudzi,
Pianie koguta, odgłos trąb w rycerskim szranku,
Z głębokiego ich łoża więcej nie obudzi.

Już dla nich na ognisku płomień się nie wznieci;
Ani krzątać się będzie pracowita żona;
Nie będą wracających witać lube dzieci,
Ni piąć się po kolanach do ojców swych łona.

Często pod ich sierpami schylały się żniwa,
Często plugi ich twarde rozbijały bryły;
Nieraz ciągnięta przez nich szła łódź uporczywa,
Nieraz pod ich toporem dęby się waliły...

Może pod tą mogiłą, na tém miejscu skromném,
Spoczywa serce niegdyś pełne uczuć dzielnych:
Ręce, co mogły władać mocarstwem ogromném,
Albo lutnie do pieśni wzbudzać nieśmiertelnych.

Lecz nauka łupami czasu zubożona,
Nie otworzyła dla nich księgi swój szerokiej;

Myśl ta szlachetna była niedolą stepiona,
I zimna nędza ścięła dowcipu potoki.

Wieleż drogich kamieni i pysznych szkarłatów
Oceanu przepaści zawierają ciemne?
Lub wiele się rozwija niewidzianych kwiatów,
I w dzikich puszczech trwoni zapachy przyjemne?

10. OBRAZ PANADŻYI W BURZY.

przez L. S.

Pewnego czasu w pogody prześliczne
Chętka mię wzięła odprawić niedługę
Na morzu Czarném przy brzegach żeglugę.
Okręt był grecki; na nim grono liczne
Osób zastałem, co na morskiej fali,
Jak ja, na nowość wrażeń polowali.

Przy dobrym wietrze wybiegliśmy chyżo
Na pełne morze; brzegi się już ćmiły;
Z gajów Bosforu zalaływał miły
Powiew; a fale ledwo okręt liżą,
Takie spokojne. I w podróży duszy
Snać też harmonia; bo nie raz się zbliża,
I w pogadance nikt głowy nie suszy,
A rad ze swoich spowiada się wrażeń,
Albo słyszanych gdzieś w świecie wydarzeń.
Ztąd też rozmowy urok był cudowny,
I mruk największy stawał się wymowny.
Przecież w prawidle musi być wyjątek;
Taki wyjątek był i w naszym kole:
Jakiś jegomość z marszczkami na czole,
Siedział na boku, przy nim ksiąg dziesiątek,
W których wciąż grzebał, i tylko ezasami
Wzrok swój zawieszał między obłokami.
Może się dźwił ich kształtów przemianie?
Wątpię—najprędzej, że jakie zadanie
Metafizyczne rozwiązać zamyslił,
Bo na powietrzu a + b wciąż kryślił.
Z oryginała wszyscy się uśmieli
I prędko o nim wszyscy zapomnieli;

Bo kiedy z duszy leje się rozmowa,
Nawet złośliwy dowcip żądła chowa.

Wtém nasz kapitan, co stał przy sterniku
I coś z nim mówił, wskazując ku górze,
Krzyknął z płuc głębi: „Burza, mamy burzę!
Rozwijać żagle!... z każdego kącika
Wyskoczą majtki, i jak po drabinach
Pną się po masztach, po rejach, po linach,
W mgnieniu kawałka nie zoczyłeś płótna...
A nam też dziwno, zkąd trwoga okrutna?
Gdyż niebo zawsze pogodne się zdało
I tylko w dali coś niby tam wrzało.
Więc jaki taki skrył się do kajuty,
Bo już pociągać zaczynał wicher luty,
I wielkie fale były w boki nawy....

Wchodzę... aż oto w sukience złotawej
Obraz Panadżyi wyjął nasz padrone,
I obżegnawa każdą świata stronę,
Potém w kąciku zawiesza i świece
Zatli jarzące.....

Wtém burza się sroży;
Piorun maszt strzaskał; a wicher mocą całą
Gnał nas na skały.—Słówby mi niestało
Malować trwogę;—prawdziwy sąd Boży.
Ci ręce łamią, owi krzyżem leżą;
Najspokojniejsi—co najwięcej wierzą.
Majtkowie także pomp swych odbieżali,
Do świętej Panny o pomoc wołali
Z taką ufnością i z poddaniem takim,
Że, chociaż każda chwila grobem zda się,
Byliśmy pewni wlecieć choćby ptakiem,
I ta święta nadzieja sprawdziła się.
Naraz nas łodzie rybackie otoczą...
Z tonącej nawy, ach jakże ochoczo
Każdy uciekał, jak niebu dziękował!...
A gdzież filozof? Czy się wyratował
Spekulacyjnym jakowym wykrętem?...
Oto widzę, leży w pół umarły:
Lecz cóżto?—z licem Panadżyi świętym
Szydercze usta pobożnie się zwarły!

11. PRZECZUCIE.

przez

Winc. Smacznińskiego.

Bluźni, kto wpośród domysłów,
 Wpośród pojęciem niezbadanych zdarzeń,
 Bierze granice zawodnych zmysłów
 Za przeczucie, za świat marzeń.
 W szczupłym obrębie zamknięty płaz
 Ledwie przemierzy pędz ziemi,
 Zielskiem obrośnie utkwiony głaz,
 I dąb stuletni wierzchołki swojemi,
 Chociaż się zdaje sięgać pod obłoki,
 Ginąć przed wzrokiem i roztracać chmury,
 Uśnie na łonie natury,
 Jeśli obiegiem nie krążą w nim soki;
 Mech i pleśń pokryją szczątki.
 Niegdyś powagą przyozdabiał knieję,
 Smutne wskazując przeszłości pamiątki,
 Nowém życiem nie roztleje,
 Świeżych gałęzi z ruin nie rozstrzeli,
 Ptactwa cieniem nie zwabi, karmą nie obdzieli.
 I człowiek jak te twory rozkwitnie i zginie,
 I w zamecie po sobie śladu nie zostawi,
 Jeśli na łodzi zwichrzonych żądz płynie,
 Jeśli myślą nie błysnie, ducha nie objawi.
 Ach, gdybym wszystkie zinyśly wzmocnił tak wysoko,
 Iżbym w sferach niebiańskich topił gołe oko,
 Zdumiewał się nad jestestw spojonych łańcuchem,
 I górną harmonią słyshał mojem uchem,
 I z padółu przenikał ukryte tajniki,
 W głębi skał ujrzał bijące poniki,
 Jeszczebym między zjawisk wielorakich tłumiem,
 Nie dowierzał, i wyżej wzbijał się rozumem;
 Lecz niezdolny dojsć prawdy i w sercu zaszezepić,
 Ani promieni ożywnych rozniecić,
 Chciałbym słabą w obłędach mą ufność pokrzepić,
 Na skrzydłach przeczuć w kraj światłości wlecieć!
 Gdzie nas przeczucie prowadzi,
 Tam wiara jasną pochodnią przyświeci,
 W nadziejach nigdy nie zdradzi,
 Po innych drogach wichry i zamieci.

12. WYJĄTEK Z POWIESTI

WIESŁAW.

przez

Kazimierza Brodzińskiego.

Z żoną Stanisław wychodzi z komory,
 Wnosi do izby dwa pieniądze wory,
 Czterysta złotych ułożył na ławie.
 I tak powiedział: „Zgarnij to Wiesławie!
 „Idź do Krakowa, a za te talary
 „Kupisz dwa konie i doberz mi pary.
 „Nie mam w niemocy poufać się komu,
 „Ty prawą ręką stałeś mi się w domu,
 „Po mojej śmierci tyś rodziny głowa.
 „Jeśli daj Boże, córka się uchowa,
 „Ma lat dwanaście, nieskapo urody,
 „Możesz jej czekać i twój też wiek młody.”
 „Tak jest! dla ciebie (Bronisława powie),
 „Strzeżę tej córki, jakby oka w głowie,
 „A cóż mieć możesz droższego od matki?
 „Jedneć to może przed grobem dostatki.
 „Miałam ja drugą, litościwy Boże!
 „Oko się za nią napłakać nie może.
 „Zaledwie piąty owoc kwitnął sadu,
 „Gdy mi zniknęła bez żadnego śladu,
 „Już to dwunastym liściem wiatr pomiata,
 „Jak myśli matki zatruwa jej strata...
 „Gdy koło lasów i wiosek pożary
 „Gniewu Bożego zwiastowały kary,
 „Z wiatrem się strzechy, konary waliły,
 „I naszą rozległą wioskę zapalily.
 „Dzień to był sądul wśród płaczu i gwaru,
 „Śród ciemnej nocy, wichru i pożaru,
 „Razem rolnicy ku obronie bieżą,
 „W tej walce z dymem poszła ojców strzecha,
 „Razem się tłumy cisną za grabieżą.
 „Wtedy mi córka, jedyna pociecha,
 „Znikła bez śladu. Przez długie ja czasy
 „Chodziłam za nią na wioski i lasy;
 „Ale jak kamień do morza rzucony
 „Zniknęła wiecznie! głuche wszystkie strony...

„Co rok do kłosów przychodzą oracze,
 „A ja dziecięcia nigdy nie obaczę,
 „Niech Boska wola będzie Boska chwała!
 „Ciebiem ja synu za nią wychowała;
 „Bo gdzie sierota przyjęta pod strzechę,
 „Tam z nieba bliższy Bóg zsyła pociechę;
 „Może też moje utracone dziecię,
 „Podobnie kędyś opuszczone w świecie,
 „Litość znalazło—żyje gdzieś u matki
 „Pomiędzy własne policzone dziatki.
 „W tej ja to myślę, po twych ojców stracie,
 „Ciebiem małego wychowała w chacie.
 „Litość za litość. Niebieska opieka
 „Tajnie nagradza uczynki człowieka,
 „A jeśli ziemia strawiła jej kości,
 „Swobodna dusza w krainach przyszłości
 „Igra wesoło przy niebieskiej matce,
 „I łaskę nieba zsyła naszej chatce.“
 Tu Bronisława zalała się łzami...
 Zawsze łzy płyną za matki myślami—
 Płakała zaraz i córka przy boku;
 A łzy mężklemu nieprzystojne oku
 Kryjąc Stanisław, karcni smutek żony:
 „Jaki los ludziom w niebie naznaczony,
 „Próżno się troskać: Bóg siedząc wysoko,
 „Nad całym światem baczne trzyma oko!
 „Wszakci On ojcem, wszędzie i na wieki—
 „Cóżby zdołało ujść Jego opieki?
 „Lepsze nad smutek ufanie pobożne.—
 „Idź Wiesławowi przygotuj nadrożne,
 „A ty pospieszaj i chroń się przygody,
 „Bo zawsze wiele ufa sobie młody:
 „Przywieź Bronice podarunek z drogi.“
 Wiesław oboje uściśnął za nogi
 I wyszedł z chaty przenikniony cały,
 Że takich ojców niebiosu mu dały.

13. Z POWIEŚCI WIESŁAW

Wyjatek i zakończenie.

„Teraz słuchajcie o losie Haliny,
 I to do waszej odnieście rodziny.—

Ale i w lesie płoną ogniem sosny,
 Byłci to widok straszny i żalony,
 Gdy to ostatnia gorzała uchrona,
 Milami wielka rozciąga się łona,

Dzieci i żony błdziły tłumami,
 Przy drodze na to patrzyłam ze
 (łzami,
 Aże mi dziecię zastąpiło drogę
 Płacząc — do serca tuląc je jak
 (mogę,
 Pytam o imię, rodzinę, mieszka-
 (nie,
 Ale daremna prośba i pytanie;
 Dziecię zaledwo swoje znało imię,
 Mówiło tylko, że w okropnym dy-
 (mie
 Nieznani ludzie wiedli je do lasu—
 Więcej nic nie wie aż do tego
 (czasu.
 Ja niegdys matka, pamiętna na
 (Boga
 Wzięłam sierotę, choć sama ubo-
 (ga;
 Podjęłam troski, lecz była ich go-
 (dna.
 Wyrosła zdrowa, pracowna, uro-
 (dna;
 Obiedwie teraz robimy na siebie,
 W jednych żyjemy troskach i po-
 (trzebie,
 Pracą łagodząc ubóstwo uporne,
 W cudzej zagrodzie siedzimy ko-
 (morne,
 Bez skiby ziemi — jałówka, dwie
 (krówek,
 Kilka owieczek, cały nasz dochód-
 (wek.
 W lecie sąsiadom pracuję przy
 (żniwie,
 Za to nam zagon odstąpią na ni-
 (wie,
 Tak len siejemy, a wieczorna prze-
 (dza
 Resztę domowej potrzeby opędza.
 Brzmią tu wesela na każde zapu-
 (sty,
 Lecz to nie dla niej, nie dla niej
 (odpusty,
 Jak była dotąd niebieska opieka,
 Tak przeznaczenia u Boga niech
 (czeka.
 Ufam, że póki niemoc mnie nie
 (strawi,
 Już mnie Halina samą nie zo-
 (stawi,“

Na to Halinie łza z oczu wytry-
 (ska,
 Kłęk przed matką i kolana ści-
 (ska,
 „O miła matko! tysci moje wiano,
 Choćby mi góry złociste dawano,
 Choćbym mieszkała w malowa-
 (nym dworze,
 Jedwabne szaty chowała w ko-
 (morze;
 Tobym bez ciebie przeplakała ży-
 (cie.”
 Tak się ścisnęły lejąc łzy obficie,
 A Jan myślący bacznie radość
 (chowa;
 Wykraść się chciały niecierpli-
 (we słowa,
 Bo dusza była pełna ważnych my-
 (śli.
 Na twarzy tylko wesele się kryśli.
 Chciał mówić Wiesław, ale go Jan
 (bacznie
 Ostrzega cicho, i tak mówić za-
 (cznie:
 „Ważne mi, ważne zwiastują się
 (rzeczy!
 Jest Bóg, co ludzkie sprawy ma
 (na pieczy,
 Chwała Mu wieczna! Miła gospo-
 (dyni,
 Niechaj z ufnością, co powiem
 (uczyni,
 Bo z serca idzie szczeram moja rada:
 Uproście koni z wozem u sąsiada,
 A tę życzliwość hojnie mu wró-
 (cimy
 Bo wszyscy w drogę wybrać się
 (musimy;
 Szczęścia spólnego nadeszła go-
 (dzina,
 Pozna Halinę Wiesława rodzina.”
 Wartko wóz toczą parszczące ko-
 (nie,
 Mijają bory i mostki i błonie.
 Cała drużyna siedzi zadumana,
 Weselość tylko nie opuszcza Ja-
 (na;
 Sam radość w sercu utajoną żywi;
 Że dwie rodziny w rychłe uszcze-
 (śliwi

Przydrożne lipy długie ścielą cie-
(nie,
Gore nad lasem niebieskie skle-
(pienie,
Irzeźwą wonią wieje wiatr pogo-
(dny.
Jest blisko wioski gościniec wy-
(godny
Tu każą stanąć, bo choć wioska
(bliska
Ale ja dzielą zbłotniałe stawiska;
Przeto nim w okół jadący okrąży,
Pieszy ścieżkami trzykroć prze-
(dziej zdąży.
Idą więc wszyscy ścieżkami we-
(sóło
A wóz pył wznosi, okrążając ko-
(to;
Dziwnie Haliny twarz się uwe-
(sela,
A nawet więcej mówić się ośmiela.
Przebyli kładki i zaczepne krze-
(wy,
Z błonia pastusze ozwały się spie-
(wy,
Które jej bardzo do serca trafiły.
Tak na weselu nucił Wiesław
(miły.
A Jan uważny pogląda w jej lica,
Czy jej nie będzie znana okolica;
Wtém uroczyscie od kościelnej
(wieży
Dzwon na pacierze głos po rosie
(szerzy.
Pobożnie wszyscy padli na ko-
(lana,
Halina cała modlitwie oddana,
Do dziwnych marzeń głos dzwon-
(ka ją skłonił.
I słodki smutek kilka łez wyro-
(nił.
A idąc dalej na wzgórkach stanęli,
Już od nich wioskę błonie tylko
(dzieli,
Z którego gwarząc rozpierzchle
(pacholki
Spędzają na most i krówkę woł-
(ki.
Skrzypią z ról czarnych wracają-
(ce pługi,
A cała wioska jako ogród długi

Wsadach kwitnących niskie strze-
(chy kryje,
Z których dym kręty ku niebu się
(wije;
A stary kościół z wysokimi
(szczyty
Nad wsią panuje lipami okryty;
Wieża, z której dzwon o milę do-
(nosi,
Już pogrzeb piątym pokoleniom
(głosi.
Gdy tak na wszystkie pogląda (strony,
Jan się zapytał na łaskę schy-
(lony:
„Jak ci się zdaje to nasze siedli-
(sko?
Chata Wiesława już tu bardzo
(blisko.“
Ale Halina w jedną patrzy stronę,
Bijące serce, usta otworzone
Poznać dawały wielkie zadumie-
(nie;
Błogie się w duszy cisnęło wspo-
(mnienie
Nie mogła mówić, bo w takowym
(stanie,
Każdy jej oddech zajmowało lka-
(nie.
Dalej przy miedzy naprzeciwno
(chaty
Stoi krzyż Pański pochylony
(z laty,
W około wierzby i zielona traw-
(ka;
Tam wiejskich dzieci niedzielną
(zabawka.
Tu już Halina pada na kolana,
W dłonie uderza i mówi do Jana:
„O mocny Boże! toć moja rodzi-
(na.
Gdzie moja matka, gdzie matka
(jedyna?
Jeśli już w grobie, na grób jej
(pójść muszę,
Stęsnioną za nią niech wypła-
(cę duszę!
Tu się bawiłam, tu zbierałam
(kwiaty;
Ale nie widzę rodzicielskiej cha-
(ty).

Bo tu inaczej wszystko dawniej
(stało,
Nie tak jak mi się w pamięci zja-
(wiała.“
Tu Jan powiedział: „Bóg co cię
(ratował,
I ojców twoich przy zdrowiu za-
(chowal,
Zostawił wszystkich przy pracy
(spokojnie;
Wzmogli się ludzie po nieszcze-
(śnej wojnie,
Chatkę i córkę stracili w potrze-
(bie,
Dziś w nowej chacie uściskają
(ciebie;
Podziękuj Bogu, żeć druga dał
(matkę,
Co cię w rodziną odprowadza
(chatkę!“
Halina wszystkich ścisnęła koleją,
Wszyscy rozkoszne łzy radości
(leją;
Weszli w podwórko lecz ojców
(nie było....
Patrzy Halina, co się odmieniło,
Spokojnie ojców od pola czekali,
Aby Halinie wypoczynek dali.

Już też Stanisław idzie z łąki z ko-
(są,
Idzie i żona, koniec krówkom
(niosą;
Naprzód z bławatem szła Broni-
(ka mała,
Gości w podwórku ojcom wska-
(zywała.
Chciał Jan, by Wiesław naprze-
(ciw pośpieszył,
Aby wprzód matkę szczęśliwą
(ucieszył.
Jak się witała rodzina złączona,
Jedno drugiemu oddając do łona;
Jakie pytania, dzięki, odpowie-
(dzi,
Jako się zbiegli ciekawi sąsiedzi;
Jako Bronika starszą siostrę ści-
(ska,
Nie znając straty, a czując, co zy-
(ska:
Tego wam moi mili towarzysze
Tak, jakbym pragnął, nigdy nie
(opiszę,
Na tém więc kończę: wy! co czuć
(umiecie,
Lepiej to sobie w sercu opisze-
(cie.

14. FRASZKI

KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO.

1. Do Jana Kochanowskiego.

Wielbie ja razem z światem wielkie gieniusze,
Lecz Janie z Czarnolesia! tyś mi ujął duszę;
Tyś mi jakoś do cichęj przyjaźni stworzony;
Neokazny, ztąd mało od świata ceniony;
Nikt też nie wie, co w tobie widzi serce moje;
I ja z tobą przestając, o wielkość nie stoję.

2. Różne losy.

Kret ślepy, niewidziany, narcysy rozryje;
Jastrząb z łupem bezkarnie w obłoki się kryje;
A skowronek, gdy cieszy spracowanych ludzi,
Śpiewaniem strzelca obudzi.

3. Do Sąsiada.

O sto kroków mieszkanie, lecz o sto mil myśli;
Przełośmy do przyjaźni, sąsiedzie, nie przyszli.

4. Do czasu.

Oszukałeś mnie czasie! choć serce się smuci,
Błaga, niech mu twa dawna uluda powróci.

5. Miła pociecha.

Kiedy robakom dasz ciało na strawę,
Przestanie głupstwo szarpać twoje sławę;
Podobnie kruszec, aż z ziemi obleci,
Dopiero blaskiem zaświeci.

6. Przedsmak wieczności.

Gdy z starym przyjacielem mam wino na stole,
I z nim patrząc na młodzież hasającą w kole,
Wtedy przeszłość i przyszłość czarują mnie razem;
Chwila jest mi wieczności i nieba obrazem.

7. Nauki mędrca wsehodniego.

Jeśli prawdę chcecie wiedzieć:
Lepiej siedzieć, niżli stać,
Lepiej leżeć, niżli siedzieć,
Lepiej umrzeć, niżli spać.

Nieszczęśliwy.

Gdy cię Bóg z domu wyrzuci,
Wszędzie stać będziesz za drzwiami;
A kiedy On ci dom wróci,
Wszyscy zaproszą cię sami.

Powolne szczęście.

Zwolna szczęście rosnące najdłuższe ma trwanie;
Ten, kto z miejsca uprzedza, przed metą ustanie;
Ptak, czém być ma, jest zaraz, gdy z gniazda ulata;
Człowiek powoli rośnie, lecz na pana świata.

Sadzi do Czytelnika.

Nie jedną cząstkę życia na tém ja poświęcił,
Bym, co dobre wyszukał, i drugich zachęcił:
Chcesz lub nie chcesz korzystać z minionego znoju,
Ja tobie życzę szczęścia, ty mi życz pokoju.

8. Do ptaszków.

Was natura, o ptaszkil kołysze z gniazdami;
Was dziwnie pisanemi odziała piórkami;

Was pieśni wyuczyła, któremi i lasy
Samotne ożywiacie i rolnika wezasy;
Dla was z gór rozesłała chłodzące strumienie;
Wam opatrza z siejącym kmieciem wyżywienie;
Was jak aniołków, skrzydły obdarza lekkimi;
Dała być posłańcami od nieba do ziemi.

9. Fraszka do czytelnika.

Jak podróżny na kwiatek, oko na mnie rzucisz,
Oko rzucisz bez myśli, bez myśli odwrócisz.

10. Ziemiska nagroda.

Kiedy był młodym, mówili starzy:
„Czego nam drogę zachodzi,
I o czémsi nowém marzy?”
Kiedy się starzał, wołali młodzi:
„Czemu on z drogi nie schodzi,
I stare rzeczy nam gwarzy?”
On w starości jak za młodu,
Pełnił, co kazał duch święty,
Działał dla swojego rodu,
Jemu, sobie nie pojęty.
Gdy kiedyś w drzew jego cieniu,
Spokojny potomek siedzie,
O ich zaszczyty imieniu
Wiedzieć nie będzie.

11. Fraszki.

Górą dziś wszystko, górą, a ja
(fraszki z wami,
Wszyscy z drogi do domu wróci-
my z fraszkami.

12. Do chrabąszcza.

Mój ty rycerzu
Wąsaty
W pancerzu!
Na drzewie siadasz,
I kwiaty
Objadasz;
Szumisz w pomroku,
Po niwie,
Po rosie;

13. Budzę cię!

Rozmyślaj, nie zasypiaj w przeszłości zacieniu,
Nam służy doświadczenie, nie my doświadczeniu.

Trącasz złośliwie

Po oku,
Po nosie;
Niech zejdzie rano,
Stul wąsy
I łoty;
Z słońcem ustaną
Twe płasy
I psoty.

13. Pociecha.

Choćby rozum zniknął wszędzie,
To rozumnych pełno będzie.

14. Przyjaciel.

Jan przez sztukę judaszową,
W jaki chce, kolor się zmienia;
Na stronie czerni obmowa,
W oczy pochwałą rumieni.

15. Rada z G.

Cierp, jak możesz, eicho w domu,
I nie bądź dzieckiem skarzającym;
Zwierz się z jednym smutkiem
(komu;
On ci wyjedzie z tysiącem.

16. Stare przysłowie.

Zamieć każdy przed swym pro-
(giem,
A pan burmistrz pójdzie z Bo-
(giem.

18. Fraszka i wielkość.

Aby umysły wznosił, a pychę pokorzył,
Bóg z nas, fraszek nikiemnych, wzniosła ludzkość stworzył.

19. Duma i skromność.

Duma w nieszczęściu, skromność w szczęściu służy
Temu, kto na nie przez się nie zasłuży.

20. Starzec.

Ku ziemi schyla się chata,
Podpory,łaty drewniane,
Ze śniegiem strzecha wylata,
Szyby wytarte i ciemne.
Zrzuci już czasie to więzienie.

21. Dobra chęć.

Kiedyś robił, jak przystało,
Nie płacz że się nie udało.

22. Do mojego stolika.

Gdy rolników z plugami wywołują zorze,
Ja, zielony stoliku, ja przy tobie orzę.
Tyści moje dziedzictwo; staniesz mi za niwę,
Gdzie dziadkom chleb obmyślam, lub imię pocziwne.
Wyrobnik w dni powszednie; ale w dzień świąteczny
W wieczność myślą się puszcza nad ten czas konieczny.
Tu pańskiej chorągiewki wyśmiewam odmienne,
... i klasyków wieńce;
A w przyspieszonym świata zmiennego obrocie,
Cichęj prawdzie hołduję i staręj prostocie.

23. Z podwórka.

Gąski miały radę długą,
Jedna mądrzejsza nad drugą;
Wtém najgłupszej nie wiedzieć, co się увидziało,
Wrzasła, i za nią wszystko w błoto poleciało.

24. Stary.

Że się zbliżam do kresu, poniekąd się smucę;
Lecz, choćby wolno było, dalibóg nie wrócę.

25. Do młodych.

Śmialiście się z jego roli,
Więc wam na bok stary zjedzie,
I napatrzy się do woli,
Jak się też to wam powiedzie?

26. Góra i człowiek.

Góra.

Czego pniesz się po mym szczy-
cie
Samotny i zlany potem?

Na dolinie twoje życie,
Między ludzi idź z powrotem.
Tam są bracia, siostry twoje;
Tu obmyślam ich wygody,
Spuszczam ziarna, deszcze, zdro-
(je,

Zsyłam cienie i ochłody.

Człowiek.

Ach, mnie tęskność tu przywio-
(dła!

Widzęc teraz twoje źródła,
Cieszę się ziemi widokiem;
Lecz i z gór patrzę do góry,
Za kraj widzialnej natury:
Nieba chciałbym przebyć okiem,
Płynąć za tych gwiazd potokiem;
Za przechodnie chmury chwy-
(tam,

O mojego ojca pytam.

Głos.

Świat Go wokoło opowiada;
A lży twoje, które sączysz;

Tęskność, która tobą włada,
Świadczą, że się z Nim połączysz.

27. Wiara.

Rozum stępuje, szczęście się od-
(mieni,
Męstwo się z czasem zachwieje,
Najmilsze zwiędłą nadzieje:
Sama wiara niepożyta,
W przepaści zbawienie czyta;
Ję tylko samęj przyszłość się zie-
(leni.

28. Natura.

Choć już człowiek w przepaść
(wpadnie,
To się jeszcze grzebie na dnie.

29. Moje wiersze.

Bylbym ja coś budował, ale się
(nie dało;
Tak się wszystko na liche fraszki
(rozleciało.

15. Z FRASZEK JANA KOCHANOWSKIEGO.**1. Na dom w Czarnolesiu.**

Panie! to moja praca, a zdarzenie Twoje;
Raczysz błogosławieństwo dać do końca swoje.
Inszy niechaj pałace marmurowe mają,
I szczerem zlotogłowiem ściany obijają;
Ja Panie niechaj mieszkam w tём gniaździe ojczystém,
A Ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystém,
Pożywieniem uczciwém, ludzką życzliwością,
Obyczajmi znośnemi, nieprzykrą starością.

2. Pochwała mierności.

Wielkich pieniędzy wielka troska naśladuje,
A im człowiek w pokładzie swoim więcej czuje,
Tém jeszcze więcej pragnie! Słusznie moje oko
I nigdy przedtém i dziś nie zmierza wysoko.
Ludziom wieloządnym wiele nie dostawa. Niech przy-
(muje z dzięką,
Komu ścisła, co dosyć, Bóg udzielił ręką.

3. O fortunie.

Fortuna z nami igra jako z dziećmi,
Dziś panem będziesz, jutro siadaj z kmiećmi.

4. Różność gustów ludzkich jest dobrodziejstwem.

...Bóg jako wszystko postawił bacznie,
Tak i w tém swoje mądrość okazuje znacznie:
Że w ludzkie głowy wlepił różne obyczaje;
Ten to lubi, a ów zaś indziej się podaje.
Bo, byśmy byli wszyscy na pieniądze chciwi,
Abo wszyscy waleczni, abo i myśliwi;
Jaka ciżba, jakiego mordu być musiały!

16. PRZYPowieść KONFUCYUSZA.

z SZYLLERA.

przełożył Walenty Chłędowski.

Trojaki jest krok czasu, przyjaciele moi:
Zwolna nadciąga przyszłość opieszala,
Obecność leci jak strzała,
A przeszłość wiecznie nieruchoma stoi.

Żadna mu niecierpliwość nie przyprawia skrzydeł,
Gdy się wolnym zbliża krokiem;
Żadna obawa, rozmyśl nie wkłada wędzideł,
Kiedy przed naszym ulatuje okiem;
Żadne zakłęcie, najszczerszy żal duszy
Stojącego nie poruszy.

Chceszli mądrze i szczęśliwie
Odbyć pielgrzymkę po tej życia niwie,
Niech twym leniwa przyszłość poradnikiem będzie,
Nigdy twych czynów narzędzie,

Pierzchliwój obecności przyjacielem drogim,
A przeszłości stojącej nie obieraj wrogiem.

17. WSPOMNIENIE.

Niegdyś dziecko pieszczone na zieloném bloniu
Za pięknie strojném cackiem biegałem wesoło.
O! w rokoszném zagrody domowej ustroniu,
Całą myślą goniłem motyle w około:

Raz, wzbiwszy młodą duszę na skrzydła ptaszyny,
Latałem po nad strumyk do lubego kwiatka;
Siadałem chwilę wychnąć pod cieniem krzewiny,
Aby spojrzeć, czy widać, czy daleko chatka.
To znów śmiało przez łąki płaśmałem jedwabne,
Jak motyl, po kwiatami dzierzgany kobiercu,
Hojnej w wdzięki dąbrowy ubranie powabne
Rozlewało wesele, głaskało po sercu.
A gdy pomrok ocieniał i strumyk i ziola,
Rzuciłem krasę wiosny, jak niestała pszczoła,
Śpieszyłem we śnie miłe zagrzebać wrażenia;
Uciechy dnia ginęły bez żalu westchnienia....
Inną widownię, inne odkrywało słońce,
I zawsze nowych uciech wabiły mię gońce.
Jak chyżo przeleciały te dziecinne lata!
Jak słodko przędły nieba dni od troski wolne!
Serce dziecka nie znało przewrotności świata,
Ani cierpień, do jakich niestety jest zdolne!..
Czemuż, we tle natura rozwija po świecie
Dni uroku dla duszy, przy uczuć pogodzie?
Ach! czemuż prędko nikną, w pierwszym ranku kwiecie,
Chwile przyjemnych marzeń o szczęściu ...

18. WIEK DZIECINNY.

przez

Franc. Dyoniz. Książnina.

Igrajcie dziatki szczęśliwe,
Wzruszając Ojca łzy tklive;
Pod okiem czulej i roztropnej ma-
(tki)

Igrajcie dziatki.

Nowego świata nadzieje,
On przez was nam zielenieje;
On wam podaje w każdym oka
(rzucie)

Świeże uczucie.

Bez troskliwój nadal chęci
I próżnej na tyl pamięci,
Chwila wam każda wybiega po-
(służyć,

A wy jój użyć.

Ust wam nie tuli uwaga,
Wyziera okiem myśl naga.
A serce chwyta, co z łatwą ro-
(skoszą)

Ręce unoszą.

Kryje przed wami zielona,
Niewiadomości zasłona
Tę przyszłych ofiar, tę cierpień
(robotę,

Rozum i cnotę.

Władza najwyższej Istności
Z cudów swój wielkiej piękności,
Pierwszym udziałem przenika nie-
(winne)

Zmysły dziecinne.

Miałem ten życia poranek
I ja mój matki kochanek.
Na samą pamięć i obraz jój tkli-
(wy

Jeszcze szczęśliwy!

Raz mię trzymając na rękę,
Ukazała w słodkim wdzięku
Słońce, gdy między szkarłatnemi
(chmury

Padało w góry.

Tu barwista w moje oczy
Jasny łuk tęcza zatoczy,

Tu razem słowik na blizkiej ja-
(bloni
W ucho zadzwoni.

Nie znalazłem, co mię przenika,
Co piękność, co głos słowika:
Aleś czuł żywo, aleś się rozry-
Aleś używał. (wał,

19. CZTERY PORY WIEKU.

Czém pory roku, tém są życia chwile,
Dzieciństwo, młodość, wiek średni, dni schyłek.
Z tych jedne smucą, drugie bawią miło,
Pełne nadziei, uwag i pomyłek.
Szczęśliwy w życiu, kto spełnił cnót tyle,
Że z nich na przyszłość ubierał zasilek,
A kończąc podróż swą, wspomni z pociechą,
Że biednym otarł łzy pod niską strzechą.

I jam żył w wiosnie, której oddech miły
Powietrze całe przejął wonią swoją,
W niej się kwiatami łąki ubarwiły,
Których przeciwne wiatry tchnąć się boją;
Skały promieniem słońca się zaszklily;
Drzewa się w nowy liść i pączki stroją;
A ptastwo na to natury wesele
Wabi się, śpiewa i gniazda swe ściele.

I jam żył w wiosnie, żądze me niewinne,
Ciche jak zefir, ranek mój owiały;
Marzenia miłe, igraszki dziecinne
Przedzę mą życia na jedwab' zwiły;
Cacka i śpiewy, owoce roślinne
Oczy, smak, wonią i słuch radowały.
A sen bez burzy, jak spokojne morze,
Barwił twarz moję w porankową zorzę.

W lecie młodzieńczém nieznane wzruszenia
Błyskotny ogień w duszy rozniecały,
Łowy, koń żartki i poetów pienia
Lubym przedmiotem były mojej chwały.

Co piękne, śmielsze wrażało natchnienia,
Sława i honor sercem kołysały,
A cnota patrząc na me kroki skromnie
Z żądzą spór wiodła, i walczyła o mnie.

Dojrzałszy owoc przynosząc i zdanie,
Nadeszła jesień po zbyt skwarnym lecie,
Nowe przyjąłem na się powołanie,
I w nowym dla mnie ujrzałem się świecie.

Przyszła i zima: już jej groźna pora
Ścina dno rzeki, która w morze leci,
Jestem jak dębu stuletniego kora,
Osuta szronem śniegowym zamieci,
Jednakże jeszcze u schyłku wieczora,
Przyjaźń mi swoją pochodnią rozświeci.

Święta przyjaźni, rzadko komu znana!
Tobie winienem serca mego bicie,
Szukałem ciebie od dni moich rana,
Jakież cię dotąd chowało ukrycie?

Uprzejmą postacią odziana,
Dziś mi się zjawiasz osłodzić me życie,
To ci poświęcę, a ostatnie tchnienie
Powtórzysz twoje ciche uwielbienie.

20. WIEJSKI PLEBAN.

Gdzie był ów ogród, gdzie się lipy wznoszą szczytnie,
I gdzie jeszcze nie jeden kwiat zdziczały kwitnie,
Gdzie polna róża świeci niezerwana,
Stało niegdyś mieszkanko wiejskiego plebana.
Był to mąż bogobojny, z postacią nieśmiałą,
Słowem, był to duchowny, jakich dzisiaj mało.
Los mu szczupło udzielił, lecz on przestał na tém,
I z tysiąc złotych na rok sądził się bogatym;
Umiał on swą spokojność, swoje mierność cenić,
Nigdy miejsca nie zmieniał, ni żądał odmienić;
Skromny, nieśmiały, obcym mu był układ chytry.
Miłym gościem był starzec do jego gospody,
Co okrywał pierś zeszlą pasmem siwej brody.

I marnotrawca ciężką biędą poprawiony,
 Kiedy spojrział litośnie, nie był odrzucony.
 Tak w progach, w których znana nie była obfitość,
 Wprzód dobroć dała, niż się odezwiała litość.
 Niedosć na tylu cnotach; poślubiony Panu,
 Wierny był powinnościom wybranego stanu,
 Nauką swoją wszystkim pociechę przynosił,
 Za wszystkich czuł i płakał, modlił się i prosił.
 Tak jak biedna ptaszyna, plód pierzem okryty,
 Wabi każdym sposobem napowietrzne szczyty,
 Tak on owieczek swoich gromadkę ubogą
 Ciągnąc do lepszych światów, szedł pierwszy tą drogą.
 Przy łożu, gdy człowieka siły już omdleją,
 A boleść, żal i trwoga dręczą go koleją,
 Stawał szanowny pleban: na głos jego boski
 Ucieka czarna rozpacz i bojaźń i troski;
 Słodka nadzieja w dusze strapione wstępuje,
 I gasnącem już oczom niebo ukazuje.
 W kościele, gdy do Boga wznosił święte pienie,
 Jakąż te siwe włosy, te słodkie spojrzenie
 Cześć wzbudzały! ach! nieraz, kiedy upominał,
 Ten, co przychodził śmiać się, modlić się zaczynał.
 Po modlitwie, gdy schodził, wraz rzesza zebrana
 Z uszanowaniem swego otacza kapłana,
 Małych nawet dzieci poczet szczenioliwy
 Ciągnie go za sutannę, by wzrok jego tkliwy
 Lub słodki uśmiech ściągnąć: on pełen wesela,
 Jak czuły Ojciec, słodkich pieścizn im udziela:
 On ich zachęca, wspiera, troski ich uśmierza....
 Ale surowszą myślą zawsze w niebo zmierza.
 Tak skała wzbijająca w niebo szczyt wysoki,
 Lubo w średnicy swojej zostawia obłoki,
 Lubo łoskot piorunów wewnątrz jej przenika,
 Wiecznych słońca promieni czołem swém dotyka.

z ang. H. N.

21. POWRÓT TATY.

Pójdźcie o dziatki, pójdźcie wszy-
 (stkie razem,
 Zamiasto, pod słup na wzgórek;
 Tam przed cudownym klęknięciem
 (obrazem,
 Pobożnie zmówcie paciorek.

Tata nie wraca; ranki i wieczory
 We łzach go czekam i trwodze;
 Rozlały rzeki, pełne zwierza bory,
 I pełno zbójców na drodze.
 Słyszac to dziatki biegą wszyst-
 (kie razem
 Za miasto pod słup na wzgórek,

Tam przed cudownym klękają
 (obrazem
 I zaczynają paciorek:
 Całują ziemię, potem w imię Ojca,
 Syna i Ducha świętego;
 Bądź pochwalona Przenajświęt-
 (sza Trójca
 Teraz i czasu wszelkiego.
 Potem Ojcie nasz, i Zdrowaś
 (i Wierze;
 Dziesięcioro i koronki;
 A kiedy całe zmówili paciery,
 Wyjmą książeczkę z kieszon-
 (ki,
 I litanią do Najświętszej Matki
 Starszy brat śpiewa; a z bratem,
 Najświętsza Matko, przyspiewują
 (dziatki,
 Zmiłuj się, zmiłuj nad tatem!
 Wtém słyhać turkot, wozy jadą
 (drogą
 I wóz znajomy na przodzie;
 Skoczyły dzieci, i krzyczą, jak
 (mogą:
 „Tata, ach! tata nasz jedzie!”
 Obaczył kupiec, lży radośne leje,
 Z wozu na ziemię wylata:
 „Ha! jak się macie, co się u was
 (dzieje?
 Czyście tęskniły do tata?
 Mama czy zdrowa? ciotunia, do-
 (mowi?
 A ot rozynki w koszyku:“
 Ten sobie mówi, a ten sobie mó-
 (wi,
 Pełno radości i krzyku.
 „Ruszajcie,“ kupiec na sługi za-
 (wola,
 „Ja z dziećmi pójde ku miastu.“
 Idzie... aż zbójcy obkoczą do-
 (koła;
 A zbójców było dwunastu.
 Brody ich długie, kręcone wasi-
 (ska,
 Wzrok dziki, suknia plugawa;
 Noże za pasem, miecz u boku błę-
 (ska,
 W rękę ogromna buława.
 Krzyknęły dziatki, do ojca przy-
 (padły,
 Tułają się pod płaszcz na łonie;

Truchleją sługi, struchlał pan wy-
 (bladły;
 Drżące kn zbójcom wznosił dło-
 (nie.
 „Ach! bierzcie wozy, bierzcie do-
 (statek,
 Tylko puszczajcie nas zdrowo;
 Nie róbcie małych sierotami dzie-
 (tek,
 I czulej małżonki wdową.“
 Nie słucha zgraja: ten już wóz wy-
 (przega,
 Zabiera konie; a drugi
 Pieniędzy! krzyczy, i buławą sięga;
 Ów z mieczem wpada na sługi.
 Wtém: „stójcie! stójcie!” krzy-
 (knie stary zbójca,
 I spędza bandę precz z drogi;
 A wypuściwszy i dzieci i ojca,
 „Idźcie,” rzekł, dalej bez trwo-
 (gi.”
 Kupiec dziękuje, a zbójca odpo-
 (wie:
 „Nie dziękuj, wyznam ci szcze-
 (rze,
 Pierwszybym pałkę strzaskał na
 (twój głowie,
 Gdyby nie dziatek paciery.
 Działki sprawiły, że uchodzisz
 (cało,
 Darzą cię życiem i zdrowiem;
 Im więc podziękuj za to, co się
 (stało,
 A jak się stało, opowiem:
 Zdawna już słysząc o przejeździe
 (kupca,
 I ja i moje kamraty,
 Tutaj za miastem, przy wzgórku
 (u słupca,
 Zasiadaliśmy na czaty.
 Dzisiaj nadchodzę, patrzę między
 (chrósty,
 Modlą się dziatki do Boga.
 Słucham, z początku porwał mię
 (śmiech pusty,
 A potem litość i trwoga,
 Słucham, ojezyste przyszły na
 (myśl strony,
 Buława upadła z ręki;
 Ach! ja mam żonę! i u mojej żony
 Jest synek taki małeńki.

Kupecz! jedź w miasto, ja do lasu
(muszę,
Wy dziatki na ten pagórek

22. DO POETY.

Wieszczu! natury uczniu i kochanku,
Słuchaj jej głosu, on zdradzić nie zdoła;
Czcij ją, gdy w wonnym się ukaże wianku,
Czcij, gdy chmurami zamgli jasność czoła,
A ona w złotym twoich dni poranku
Zesze ci wiernie natchnień swych aniola,
Umocni głos twój, wzbije lot myślenia,
I do serc twe zaniesie pienia.

Wieszczu! ciekawy obróć wzrok za siebie;
W grobach treść życia niech twe oko czyta,
Budź zmarłą przeszłość. Czas ją w gruzach grzebie,
Lecz gruzy mówią, gdy je rozum pyta.
Śmiało się nurzaj—na tém ciemném niebie
Twój żądnej myśli nowy dzień zaświta;
Nie mów, że droga trudna i daleka;
Tam moc i słabość, cześć i wstyd człowieka.

Wieszczu! i w siebie częstém wzieraj okiem;
W tej duszy Stwórca skarb swój myśli złożył,
Badaj—i własnym zdumiony widokiem,
Poznaj swą możność—abyś się ukorzył.
Nowego świata oblany potokiem
Szukaj tej drogi, którą On otworzył;
Głos czystém sercem i usty czystemi
Tego, co dał ci wielkim być na ziemi.

Józef Korzeniowski.

23. PODRÓŻNY

Z GETEGO „WANDERER.”

Podróżny.

Niewiasto młoda, bądź błogosławiona!

I niech Pan Bóg błogosławi

Niemowlatku, co się bawi

U twego łona.

Pozwól mi na tym zrebie opoki
Złożyć z siebie
Podróżne tłómoki,
I odpocząć blisko ciebie.

Niewiasta.

Gościu! jakie was rzemiosło
W takim lata upale,
Po tej piaszczystej skale,
Aż w nasze strony zaniósło.
Może wy kupcem jesteście,
I z towarami nabranemi w mieście
Zwiedzacie sielan mieszkanie.
Gościu! ty z mego śmiesz się pytania.

Podróżny.

Towarów nie mam. Idę w blizkie miasto;
Już wieczór dzienną ochłodził pogodę.
Pokaż mi niewiasto
Krynice, zkąd pijesz wodę.

Niewiasta.

Tam, kędy skały wyżyna,
Idź dalej—a ta drużyna
Wiedzie do świetlicy,
Gdzie mieszkamy,
Do krynicy,
Zkąd wodę mamy.

Podróżny.

Widzę przemysłnej ręki ludzkiej ślady
Pośród zarośli cienia;
Bo nie mogła skał związać w tak porządne składy
Rozrzutna dłoń przyrodzenia.

Niewiasta.

Dalej, wyżej.

Podróżny.

Mehu powłoka
Okryła sklepienia łuki.

Poznaję ciebie twórczy duchu sztuki,
Twą pieczęć nosi opoka.

Niewiasta.

Dalój pielgrzymie.

Podróżny.

Tu depczę napisy,
Daremnie czytać! zatarły się rysy,
Którymi twórca téj arcy-sztuki
Chciał swą pobożność wslawić pomiędzy prawnuki.

Niewiasta.

Pielgrzymie! ciebie zadziwia
To na kamieniach rosnące ziele?
Tam wyżej, gdzie się droga zakrzywia,
Jest przy méj chacie kamieni wiele.

Podróżny.

Wyżej.

Niewiasta.

Zaraz na lewo!
Gdzie śród krzaków wyższe drzewo.
Tu!

Podróżny.

O Gracye! o Muzy!

Niewiasta.

Widzisz naszą gospodę.

Podróżny.

Świątyni gruzy.

Niewiasta.

Niziej na boku
Słyszysz szum potoku,
Ztamtąd czerpiemy wodę.

Podróżny.

Dotąd w całej życia sile
Roztaczasz skrzydła na twój mogile,

O geniuszu dzielny!

Chociaż twoje arcydzieło

W około ciebie runęło,

Tysś nieśmiertelny!

Niewiasta.

Zaczekaj, zaraz z gospody

Przyniosę kubek do wody.

Podróżny.

Powiewna bluszczu szata

Boskie kształty oplata!

Ze stosu gruzów jakby z rozłamanéj trumny,

Jeszcze ku niebu dążycie społem

Dwie bliźnie kolumny.

Tam siostra wasza stoi między groby;

Posępny mech nad waszém wywinął się czołem.

Patrzycie z uroczystéj wyrazem żałoby

Na szanowne postaci

Waszych siostr i waszych braci,

Zwalone pod nogi,

White do ziemi

Miedzy ciernie, miedzy głogi!

Wysmukła trawa powiewa nad niemi.

O niewdzięczne przyrodzenie!

W takiejże u ciebie cenie

Arcydział twych arcydzieło.

Nieczule lamiesz własne świątynie,

I siejesz na ich ruinie

Głogi!

Niewiasta.

Jak moje dziecko usnęło!

Gościu, czy zechcesz u nas w komorze

Odpocząć, czy tu na dworze?

Jak miły chłodek! biegnę do strumyka,

Weź tymczasem na ręce mojego chłopczyka.

Śpij me złoto! spij, mój synku!

Podróżny.

Słodki dziecka spoczynku!

Święta niewinność i święte zdrowie

Kołyszą z lekka jego wezgiowie.

O chłopczyku poczęty

Na świętej przeszłości grobie!

Niechaj przeszłości duch święty

Spocznie na tobie.

Kogo duch jej okryje

Skrzydły czarownemi,

Ten z boskim czuciem na ziemi

Każdego dnia użyje.

O ziarnko lubel!

Wschodź i wypływaj

Na wiosny chlube!

I towarzysów głowy swym majem okrywaj,

A kiedy się kwiat okruszy,

Niech jak z rodzajnego drzewa

Pełny owoc wypłynie z głębi twojej duszy,

I przed oczyma słońca dojrzewa.

Niewiasta.

Oby życzenie two spełniły nieba!

Jeszcze śpi mój maleńki?

Do wody na zakąskę nie mam nic prócz chleba.

Podróżny.

Dzięki i za to, dzięki!

Jak tu wokoło mnie na całym świecie

Zieloność i kwiecie!

Niewiasta.

Mąż mój wkrótce powraca

Do chaty—w polu skończyła się praca;

Mój gościu! zostań do wieczora w chacie,

Wieczierzaj z nami

Wieśniakami.

Podróżny.

Więc tu mieszkacie.

Niewiasta.

Tam na gruzach tej wielkiej połamanej bramy

Chatka niedaleka:

Ojciec nieboszczyk z gruzu wymurował,

I nam darował;

Tam mieszkamy.

Wydał mnie za mąż za dobrego czelaka

I umarł na naszym ręku.

A, moja duszko! już spałeś do woli!

Patrz, jak wesół, jak swywoli.

A, ty błazenku!

Podróżny.

O ty Naturo, wiecznie płodna matko!

Wszyscy żyjący równie tobie mili:

Chcesz, aby wszyscy żyli i użyli!

Wszystkich zarówno uposażasz—chatką.

Jaskółka górne osiada pałace,

Do gzymsów gniazdo przyczepia,

Nie wie, jakie dłota prace

Zasklepia.

Gąsienica przedziwem obwinęła kwiatki

I w nich na zimę tuli swoje dziatki.

A ty człowieku

Miedzy wspaniałe wyłomy

Przeszłego wieku

..... Domy

Stawiasz sobie.

Używasz życia na grobie!

Bywaj mi zdrowa szczęśliwa niewiasto!

Niewiasta.

Koniecznie chcecie iść w miasto?

Podróżny.

Niech łaska Boga

Ciebie i dziecię w zdrowiu i szczęściu zachowa.

Bądź zdrowa!

Niewiasta.

Shczęśliwa droga!

Podróżny.

Tą ścieżką z prawej strony,

Jeśli się nie mylę,

Trafie do miasta?

Niewiasta.

Tak jest, do Werony.

Podróżny.

Jak ztąd daleko?

Niewiasta.

Dwie mile.

Podróżny.

Bądź zdrowa!

Przyrodzenie! wzywam twój opieki,

Na przeszłości mogile

Zbłąkany pielgrzym daleki;

Ty przed północy powiewem

Prowadź mnie w ciche ustronie,

W południe okryj mi skronie

Laurowém drzewem.

A z dziennych trudów końcem

Wróć na spoczynek

Do méj chatki zachodniém ozłoconém słońcem.

24. HRABIA Z HABSBURGA.

Ballada (Szyllera).

przeł. przez Józefa Dyon. Minasowicza.

W Akienie, gdzie cesarz koronę

(kładał;

Tam, w starożytnej świetlicy,

Majestat króla Rudolfa siadł

Do uczy, z nim biesiadnicy.

Nadreński pfalcgraf jako krajczy

(stał,

Podczaszy Bohemczyk perlisty

(sok lał,

I wszyscy wyborcy pospołu,

A siedmiu ich było, jak owych

(gwiazd chór

Nadstawia się słońcu, zdążyli na

(dwór,

I urząd sprawują u stołu.

A wokoło radośny gromadzą się

(tłum

Wysokie zajął balkony;

Przerzyna się hucznych okrzy-

(ków szum,

I głuszy wrzaskliwe puzony;

Bo nakoniec spór długi a zgu-

(bny już spi,

Bezkrólewia nieszczęsne zamierz-

(chły już dni,

I jest komu znów sądzić na ziemi.

Nie trafia na oslep żelazny już

(miecz,

I świętą osoba i świętą jest rzecz,

I można nie miota słabemi.

Tu cesarz z puharem, co w dło-

(ni mu tkwi

Tak rzecze, spojrzawszy na go-

(ście:

„Wspaniałą mam ucztę i obrzęd

(się lśni,

Ze serce królewskie mi roście;

Lecz śpiewaka nie widzę, a rażno,

(gdzie on,

Drga pierś, kiedy słodki potraci,

(ją ton,

I boska w nią prawda się wraża.

Ja tegom był nawykł od młodych

(lat:

Niechajże to; czemu tak wojak

(był rad,

Nie mija go jako cesarza.”

A na to, gdzie orszak dobranych

(głów stał,

Kroczy śpiewak odziany opończą,

A włos mu po skroni jak srebro

(się lał,

Bo mu wieku dni pełne się koń-

(czą:

Dźwięk słodki w strunie zlocistej

(spi;

Ma piewca pieśń taką, że miłość

(w niej czci,

Co najwyższe, najlepsze, on sławi,

Czego serce zapagnie, co zmysł

(wabi nasz:

Lecz powiedz, co godne Cesarza

(i zważ,

Co w dniu takim, jak ten go zaba-

(wi?

Ja śpiewakom rozkazów nie da-

(ję, rzekł ów,

I usta uśmiechem przymili;

Wyższemu panu z swych liczy

(się słów,

On sługą wszechwładnej jest

(chwili,

Jak przez powietrza szum wi-

(chru się drze,

Nie wiedzieć, zkąd zadał, i dokąd

(on dmie,

Jak krynica z tajemnych żył ska-

(ły,

Tak i piewcy śpiew z jego wnę-

(trza brzmi,

Potęę on uczuć rozbudzi jak

(sny,

Co dziwnie w głębi serca drzy-

(mały.

Na to śpiewak, chwytając sposo-

(bny mu czas,

Potęźnie w struny uderzy:

„Płochą giemzę pogonić zachcia-

(ło się raz

Jednemu z wielmożnych rycerzy.

A jechał z nim giermek i łowczą

(wiózł broń,

A pyszny, jak rzadko, rycerza

(był koń,

A w chwili, gdy wstąpią do niwy,

Dźwięk dzwonka drobnego do-

(sięga ich drząc,

I z Ciałem Najświętszém zacho-

(dzi im ksiądz;

Przed księdzem szedł sługa sę-

(dziwy;

A ku ziemi pochyli hrabia głowę

(swą,

I czoło z pokorą odkryje;

Bo prawowierną przejmuje go

(czcia

Zbawiciel, co świat onym żyje;

A strumyk przed nimi przez pola

(się wili:

Lecz wzdęty prądami, dziś tyle

(miał sił,

Że pochód wędrowcom zagroził.

Więc stawia ksiądz puszkę, gdzie

(w chlebie jest Bóg,

I spiesznie zezuwa obuwie z swych

(nóg,

By łączniej strumyk przebrodził.

„A co wam ojcze?” zapyta go Graf,

I zdziwion na niego spogląda.

„Oto Panie, przykry spotykamnie

(traf,

Człek konający mnie żąda.

Po kładce ten ruczaj przejść za-

(wsze się dał,

Lecz dzisiaj, gdym właśnie prze-

(prawiać się miał,

Toń ją wezbrana porwała,

A ten tam pociechy łaknący już

(mrze,

A wodę przejść trzeba, więc pu-

(ścić się chcę,

Bo rośnie coraz nawala.”

A hrabia na konia go sadzi i sam

Dłoń lejcem mu świetnym obwi-

(nie,

By chorego pokrzepił, co tęskni

(tam

W ostatniej życia godzinie.

A że łowy poczęte kończyć chciał,

Więc skoczy na konia, co gier-

(mek go miał,

A tamtym czas w drogie, to śpieszą.

A ze świtem przed hrabią powro-

(tny stał koń

Przy koniu stał kapłan, przy uździe

(miał dłoń,

Pokornie prowadził go pieszo.
 „Abrońże mnie Chrystel pobo-
 (żnie rzekł ów,
 Bym gwoli walk, czy wesela,
 Dosiadać miał kiedykolwiek znów
 Wierzchowca, co niósł Zbawiciela!
 Nie cheszli na własną potrzebę
 (go wziąć,
 Ku Boskiej weź służbie i oddad
 (nim rzadzi!
 Wszak Temum dał na użycie,
 Z którego dłoni łask tyłu ja zlew
 Na lenność wzięłem i ciało i krew,
 I duszę, i tchnienie i życie.“
 To niechże Bóg wszechmocny
 (sam,
 Co ku modłom nędzarza się chyli,
 Do czci was wyniesie tu i tam,
 Jak wy Go dzisiaj uczyli.
 Potężnym wy, hrabio, jesteście,
 (ja wiem,
 Z rycerstwa was każda z Szwej-
 (carskich zna ziem,
 Sześć córek nadobnych wam kwi-
 (tnie.
 Niechajże, tak wołał, a brzmiało
 (jak grom,
 Sześć koron za wiano poznoszą
 (w wasz dom.
 W czas późny niech słyń zaszczy-
 (tniel”
 I zadumał się mocarz i zwiśla mu
 (skron,
 Jak gdyby ubiegłych dni szukał;
 I patrzy się w piewce, i schyla się
 (doń,
 Bo do serca mu wyraz zapukał...
 I błysnął w pamięci znajomy mu
 (ksiądz;
 I w tej chwili za ciepła z pod po-
 (wiek się drąc,
 Po purpurze łza trysnęła stru-
 (mieniem.
 I każdy w cesarzu zstąpiła wzrok
 (tkwił,
 A poznając, że onto owym hra-
 (bią był,
 Przed boskiem się korzył zrzę-
 (dzeniem.

25. KU WSPOMNIENIU GUTTENBERGA.

Długo myśl się po świecie bla-
 (kała,
 Jako duch, jój rodzic, niewcielo-
 (na,
 I by mądrość pochwyć w ra-
 (miona,
 Promienista zapragnęła ciała.

I w postaci się zwierząt odziała,
 Do piramid uczepiła łona,
 W tajemnicze kształty zasklepio-
 (na
 W sarkofagu kamiennym sko-
 (nała.

Owinięta w pergaminów zwoje,
 Jak w pieluchy, niby Nilu czara
 Rozlewała na świat woni zdroje.
 I młodzieńcza, choć światłością
 (stara,
 Gdy podniosła, jak cedr, czoło
 (swoje,
 Rozwiała się pod mieczem Oma-
 (ra!

Przyszłaż mąż co na nowo ja
 (wcielił,
 I skaczącą przez czcioneń milio-
 (ny,
 Jak plyn gromu po drucie pu-
 (szczony,
 Wnet pomiędzy miliony rozstze-
 (lił.

Życia wiekom umarłym udzielił,
 Świat z przyrodą rozgała uczo-
 (ny,
 W przyszłość okiem proroczym
 (wpatrzony,
 Ludzi budzić się ze snów ośmie-
 (lił.

26. WYJĄTEK Z POEMATU. PRZYGODY JP. BENEDYKTA WINNICKIEGO.

przez

Wincentego Pola.

Miałem podówezas ja szkapę kochaną;
 Lecz piękność mnie w koniu oddawna nie mam;
 Przyciężką miał głowę, głowaczem go zwano.
 Weź sobie innego, mówili dworzanie;
 A na co innego? myślałem mosanie:
 Koń czuły i nożny i twardy do drogi,
 Adwokat niech głowę, a koń niech ma nogi.
 I dobrze to bywa, gdy piękność nie mam;
 Bo zrazu jechałem znanymi stronami
 Wraz z drugim dworzanem, co został w Ostrogu,
 Lecz, kiedym już zabrnął w zapadłe Polesie:
 Myślałem sam sobie: ha! oddaj się Bogu!
 Zła będzie rozprawa z tobą, panie biesie!
 Bo mazią po piasku tu mile się wleką.
 I chłodno i głodno i do dom daleko,
 A nawet do karczmy. Raz jadę dzień cały
 Przez piaski i groble, przez błota, zawały,
 I karczmy dojeżdżam dopiero wieczorem;
 A w karczmie żyd siedział jak cygan pod borem.
 Tu głowacz strudzony, tum głodny mosanie,
 Więc fuknę na żyda: „A czego dostanie?”
 Jest słodka, są jaja... „A owies?” Da nie ma,
 Lecz niech się pan przecie na chwilę zatrzyma,
 Bo gdzież pan pojedziesz? wszak noc już zapada,
 Po puszczech rozboje, i sama noc zdrada!
 I pobiegł mi wódki utoczyć skwapliwy.
 Za stołem w karczmie dziad siedział sędziwy,
 I kiedy żyd odszedł, dziad do mnie powiada:
 „A! niech pan nie wierzy i tém się nie biedzi,
 O miłe jest karczma, katolik w niej siedzi,
 I będzie czém konia pokrzepić i zdrowie,
 Tam zwykle podróżni nocują panowie.”
 Więc siadam i jadę — lecz jadę i jadę
 I widzę, że trudno téj puszczy dać radę;
 Ni karczmy, ni wioski, a koń się sforsował,
 Spojrzałem na kwoczkę, z północy już tłała,

Więc biłem się z myślą, ha będę nocował!
 Bo już téż mnie chęćka do snu zbierała.
 Więc konia puściłem, zjechawszy kęs z drogi,
 Kulbakę pod głowę, linewkę do nogi.
 I ległem, pacierze zmówiwszy w pokorze,
 Lecz usnąć nie mogłem; wiatr świsał po borze
 I kłiwie mi było. Gdy człowiek frasowny,
 Najlepszy towarzysz, choć niezbyt wymowny,
 Jest ogień i lulka: gdy ogień ów błśnie,
 Człek dłużej smutnemi myślami nie kiśnie.

Więc wówczas na puszczy czyniłem tak wcale;
 W tém koń mi się szarpnął i przystrzygł uszyma,
 Spojrzałem dokoła, a w koło nic nie ma;
 Lecz rzenie się jakieś z głąb puszczy dobywa,
 A rumak mój zarżał i znowu się zrywa.
 O zbójcach mówiono—więc przeszło mnie mrowie,
 A rzenie się znowu odzywa w dąbrowie.
 Więc wziąłem nabity pistolet i szablę;
 Za młodu o pińskim słyshałem ja djable;
 Więc, *Kto się w opiekę....* zrobiłem znak krzyża,
 A rzenie się coraz do ognia przybliża,
 Ściągnąłem leń konia i siadłem za krzakiem;
 Po chwili, aż pełźnie do ognia coś rakiem,
 I błysło nad ogniem, powstawszy, żelazem,
 I pchnęło w mą burkę na ziemi zarazem.
 Jam zmierzył do ognia i kiedym wypalił,
 Na chaszcze się obwieś, czy djabeł powalił?
 Zerwałem się razem, rzuciłem się żywo
 I dalej ruszyłem nie bardzo leniwo,
 I żywy i cały przy opiece boskiej
 Dobilem się w końcu o świecie już wioski.
 Tam duby smalone prawili o dziadzie,
 Co stoi po puszczech podróżnym na zdradzie,
 A gdym się pochwalił, żem go już zastrzelił,
 Lud wszystek się wielce przytomny weselił.
 Wytchnąłem tam dobrze, i dalej bez szwanku
 Sta nałem w Nieświeżu, mój panie kochanku.

W Nieświeżu siadywał Radziwiłł, pan z panów,
 I książę z krwi zacnej i hetman z hetmanów.
 Nie darmo szlachta mawiała ówczasnie,
 Że chudy pacholek w Nieświeżu jak we śnie.

Mówili, że w skarbcu ma trąbkę mosanie,
 Co słyhać na całą już Litwę jój granie;
 A strzeż się, gdy łaskaw, bo zginiesz tam w złości.
 Dopiero ów klejnot! Trzy trąby w klejnocie,
 A każda jak ona, co w skarbcu ją chował;
 Nie darmo się przeto i człowiek dziwował,
 Gdy wjeżdżał w te progi: boć tam to zamczysto,
 Budownie, warownie, a wierzchem złocisto!
 Most wiódł mnie do zamku, a most był zwodzony,
 Za mostem budowne wznosiły się brony,
 Za niemi dziedzińce, ogrody i place,
 I kościół i klasztor i pańskie pałace.

Zgłupiałem w dziedzińcu na pierwszym już kroku,
 Ujrawszy niedźwiedzia, a tuż, tuż przy bokul
 A za nim gwałt ludu i kądle spuszczone
 I hałas: zamykaj, zamykaj tam brone.

Tu widzę szlacheica zabiorą obławą;
 Bo jakby na harcu zażyli mnie wieńcem,
 A co się to znaczy? Koń rzucił się w prawo,
 Wziął na kiel i rusza na oślep dziedzińcem,
 Wziął na kiel i mija dziedzińiec przydworki,
 I leci na oślep na ogród klasztorny.
 Ha! trzymam! nie wstrzymać; obławę wyboczył,
 O ratuj mnie Chryste! chlust, i przez mur skoczył,
 I stanął i parsknął—spojrzałem dokoła:
 Jedyna furteczka wiedzie do kościoła;
 Więc coby począć?... rozmyślam, o biada!
 Sowizdrzał, powiedzą, przed dworem ohyda!
 Sowizdrzał, powiedzą, wypadek fatalny;
 Et quidem nie darmo, bo dzień był feralny.
 Lecz, gdy się tak biedzę i patrzę dokoła,
 Nadbiega dworzanin od furty kościoła,
 I prosi do księcia, a nibyto grzeczenie,
 Tymczasem widziałem że śmiał się serdeczenie.
 A kędyż mam jechać, gdy jechać nie mogę?...
 Ej czy waść kpisz sobie, czy pytasz o drogę?
 A nie wiem już komu—powiada—z nas obu
 Nie stało tu drogi? No, szukaj sposobu!
 Przez kościół nie wrócisz a wkoło mur wszędy,
 Więc kędyś tu wjechał, wyjeżdżaj tamtędy;

Znaj bratku! w Nieświeżu na fryców tu matnia,
 Więc passya mnie na to porwała ostatnia,
 A miałem jak naraz po dziadku kord sławny,
 Na tylcu choć ligaj, a w jaszczur oprawny.
 Co będzie, to będzie! myślałem więc w duchu:
 Ej urwę szlachcica na odlew po uchu!
 Aż on mnie: Mosanie! pan zadzwili z waszmości,
 A niedaj drwić z siebie, do kupy zbierz kości,
 I ruszaj, jak mówią, koniem i odwagą,
 Więc sztuką krzyżową, pociejowską plagą.
 Co mówisz, powiadam—tak radzisz? a dobrze;
 Jak skrobę więc konia nahajem po ziobrze,
 To ledwie mnie waryat z kulbaki nie zsadził,
 Lecz lekko się wyniósł i w skoku nie zdradził,
 A w tejże to chwili sam książę wypalił,
 I sztofem niedźwiedzia o ziemię powalił.
 Z chałasem go psiarnia dopadła i szczwacze,
 A z brony na wiwat zagrały trębacze.
 Onego niedźwiedzia, jak później mówiono,
 Przed laty raz w puszczy złowiono,
 I siedział przed kuchnią książęcą na kole,
 I zdawna stroiły z nim kuchty swawole;
 Lecz srodze też niedźwiedź ukarał junaka,
 Bo ubił kuchcika i splatał kozaka;
 A czego się książę tak mocno uzałił,
 Że puszczać go kazał i sztofem powalił.
 Gdy wrzawa ustała i książę siadł w ganku,
 Rzekł do mnie po chwili: Mój panie kochanku,
 Waszmości, jak widzę, nie trudno o plecy!
 Nie chciałbym ja bronić przed waścią fortęcy,
 Bo dziwną do murów przebierasz się drogą.
 No, widzę, masz listy? a proszę, od kogo?
 —Od pana Cetnera—Co? Cetner poczeiwy!
 Mój panie kochanku, ach! jakem szczęśliwy!
 Witamy w Nieświeżu, witamy Wasana!
 No, prosić mi tutaj księdza kapelana!
 Mój panie kochanku! cóż słyhać na Rusi?
 Waszego starostę czy jeszcze bies kusi,
 O lepsze w zawody chodzić z Radziwillem?
 Nie z takim ja grałem, kiedy w Chinach byłem,
 Lecz próżne zabiegi, daremneto troski!
 Radziwil! Radziwillem! Kaniowskim Kaniowski!

Tu nadszedł kapelan i listy przeczytał.
 „Cóż pisze pan Cetner? Radziwil! zapytał,
 Czy przyjaźń mu nasza zawsze jeszcze miła?
 Czy kocha jak dawniej sługę Radziwilla?”
 Ha, nie wiem, co pisał, bo pisał ksiądz z cicha,
 A książę się ofuknął: „A co mi u licha!”
 A potem się znowu trochę udobruchał,
 I głaskał czuprynę i mruczał i słuchał;
 A ilem zmiarkować mógł z całej rozprawy,
 Zapraszał go Cetner po coś do Warszawy.
 Ksiądz pilnie nalegał; ja stojąc przed nim,
 Patrzałem na wszystko. Przed gankiem na ziemi
 Leżało niedźwiedzych skór kilka rozbitych,
 Per modum kobierca, szkarlatem zeszytych;
 A na nich stał stół żelazny, składany,
 I stolik do ziemi kobiercem zasłany.
 Na berle stawiono przy pańskim tuż boku
 Sokoła Kubusia z kapturkiem na oku.

Tu księciu zazwyczaj, gdy dzień był pogodny,
 W rozmowach zwykł ranek był schodzić swobodny;
 Wróciwszy z kaplicy tu zwykle zasiadał,
 I prawil z panami, i śmiał się i śniadał;
 I służba tam nieraz uśmieła się z duszy.
 W dziedzińcu harcował nadworny koniuszy,
 Lub gościom na pokaz ogiery gnał w kole;
 Tą razą gwintówka leżała na stole.

„Rozumiem!” rzekł książę, wszak mam ci ja głowę,
 A pono i moja nie taka zbyt płaska,
 Trzy grosze wart łaska, trzy grosze niełaska!
 Daj pokój!”—i do mnie obrócił już mowę:
 „Mój panie kochanku, upraszam waszmości
 Na wszystkie afekta i wszystkie miłości!
 W tej porze, pod jesień, czy jest tam sumienie?
 Ba, dobrze mu mówić: Radziwil! niech jedzie!
 Ta tu mi pan Rejtan wystrzela niedźwiedzie:
 Gdy trąbka nie grywa, to choćby nie była.
 Ej, panie kochanku, zgubisz Radziwilla:
 Pofolguj na Boga! ja teraz nie jadę,
 Lecz do mnie waść serca nie psuje ztąd sobie,
 I bądź mi spokojny, bo weźmiem my radę.
 Dla pana Cetnera, co mogę, to robię;

Lecz jechać nie mogę, ponowa za pasem;
 Nie mogę! No, wołać marszałka tymczasem."
 Gdy nadszedł marszałek, spojrzalem: persona!
 Ej, sztuka zuchwała, z szwedzka podstrzyżona,
 A na nim wenecka saita, pas lity
 I w koło z czerkieska bramowano szyty!
 Sam poszedł na księcia, gdy rozkaz dał w ganku.
 „A jakże ci pisza, mój panie kochanku?
 Niech dowiem się, proszę, kto łaskaw zagości?”
 —Benedykt Winnicki, sługa książęcej mości!
 „Winnicki? no proszę! a znałem ja dziada!
 A byłto prawdziwy karmazyn, człek setny,
 Odstąpił mi w Łęcznie turczynka nie lada;
 Lecz widzę i Wasze junosza nie szpetny.
 Mój panie marszałku! zalecam waszmości,
 Pan łowczy Winnicki niech mile nam gości,
 Syn zaczęj rodziny, zdaleka się trudził,
 Bo prawią na Rusi nie bardzo tam mile
 Coś o tej botwinie i o Radziwille.”
 Skłoniłem się panu, za afekt dziękując,
 A w sercu się wielce z respektów radując;
 Lecz, kiedym się później z marszałkiem pobratał,
 Tom figle mądrości na piękne już płał,
 A uszło, bo człowiek był młody i pusty.
 I święte to było tam życie, mój Boże!
 Czy człek był w podróży czy lito na dworze;
 Bo książę się także i woził bez liku:
 Trzy razy był w Wilnie za mojej bytności,
 Dwa razy w Inflantach, na każdym sejmiku.
 A zawsze w tę podróż zapraszał i gości.
 I zwykle we wtorek rajtarya szła przodem,
 Więc w środę szła stajnia nieskornym pochodem,
 Więc w czwartek szedł łowczy z sieciami i psiarnią,
 Więc w piątek piwniczny i szafarz z spiżarnią:
 A sam pan w sobotę z splendorem a dworem,
 Gdzie ja też ciągnąłem z książęcym taborem.
 Perceptęto cenić tam było z rozchodu;
 Bo czyto na dworze, czy w czasie pochodu,
 Jak woda płynęły rejestra odbytu.
 Co dusza zapagnęła, a zdrowie strzymało,
 Wszystkiego dawano na dworze do sytu;
 Nie ciepło, jak mówią, tam wszystko się lało!

Kapela i goście i łowy, festynie,
 Nim jedno przeminie, to drugie już płynie;
 A dworno i szumno, że ledwie z hałasu
 W kościele wypocząć miał człowiek kęs czasu.

Z bytności tam człek się nie sprawiał nikomu,
 Gdyś księcia powitał i osiadł raz w domu,
 Siedź sobie choć wieki, nikt się tam nie dziwił,
 „Gość w dom, Bóg w dom” mawiał zwykle pan Radziwiłł.
 I byłbym tam siedział po dziś dzień, Bóg świadek,
 Gdyby mi nie licho nadniosło przypadek.
 Gdym zegnał księcia, ten rzekł: „Pozdrów pana Cetnera,
 A niech nas zaszczyca przyjaźnią i względem,
 Bo nasza życzliwość i bratnia i szczera;
 A sam też odemnie przyjmij konia z rzędem,
 I sygnet ten mały, mój panie kochanku!
 A przecież nas głodno nie rzucaj o ranku.”
 Skłoniłem się panu za afekt dziękując,
 A w sercu się wielce odjazdem frasując.
 Marszałek mi oddał pańskie podarunki;
 Więc konia, więc szaty, więc jurgelt trzyletni;
 A wszystko to nowe, od podków do pletni!
 Zabrałem i listy do pana mego.
 Marszałek sam wypił do mnie strzeziennego,
 I dał mi pacholka, pacholek był setny,
 A sygnet kosztowny, grosz także nie szpetny,
 Koń stada Sobieskich, z konopiastą grzywą,
 Pas w łuskę dziergany, a kontusz z cięciwą.

Więc kocham i ściskam, i siadam, i jadę;
 Lecz ledwom mógł sobie od żalu dać radę.
 Gdym znowu zajechał w zapadłe Polesie,
 Wspomniałem o owymto dziadzie, czy biesie,
 Co drugich nawodząc, sam upadł był w jamę;
 I jakoż znalazłem znów miejsce to same,
 Gdzie leżąc rozmyślał i luleczkę palil,
 Gdzie ogień nakładał i dziada powalil,
 I wkoło stał jeszcze, jak wówczas, bór niemy.
 Lecz kiedy obydwu po liściach brodziemy,
 Coś brzękło pod koniem; więc spojrzę ja, co to?
 Pacholek zsiadł z konia i szuka, ba złoto!
 Ha, boskie w tém sądy i boska to łaska!
 Dziad leżał na twarzy, i wysechł jak trzaska,

Na piasku przy dziadzie trzós leżał ze złotem,
Zdobyłem więc złoto z małym kłopotem.
Jadę w świat dalej.
Pod jesień się miało i żółkły już bory,
Więc na noc zjeżdżałem zazwyczaj na dwory;
A radzi mi byli, bom wracał z Nieswieża,
Więc codziennie gościna pocziwa i świeża,
Tę codziennie znajomość i codziennie świat inny,
Tak w końcu się przybił ku stronie rodzinnej.

28. POCZĄTEK POWIEŚCI ORŁY Z HERBURTÓW (1).

przez
Aleksandra Dunina Borkowskiego.

Wprawa.

Na górze ogromnej w czarnym wianku sosen,
Zim tysiąca pomny i tysiąca wiosen,
Wznosi płowe szczyty zamek murowany,
I w jasne błękity i w groźne bałwany.

Przez szyby szerokie starosta zamkowy
Przeziera głębokie wertepy i rowy;
Wokoło na dole i łąki i wody,
I sady, i pola, i sioła, i grody.

Od Węgier, od Lwowa zaświtał dzień złoty.
Bóg dobry Ruś chowa od wrogów pustoty;
Śród kwitnących sadów, roboczy lud zatarł
Zniszczenia napadów Madziarów i Tatar.

Przez szyby szerokie starosta zamkowy
Przeziera głębokie wertepy i rowy;
Nad skały urwiskiem w przepaści straszliwej
Siadł orzeł spłowiwały i ostrzył dziób krzywy.

I szpony kosmate w baranku utopił,
I piersi pierzaste niewinną krwią skropił,
Różane dżdże szponą wyciśniętą luną
Na skałę omszoną i śnieżyste runo.

Najeżył siwiznę starosta zgniewany,
I przodków spuściznę pochwycił ze ściany,
Zawołał: „O śmiałku!” Poleciał do proga,
I nadkrzeszał skałek i nadsypał z roga.

(1) Powieść ta oparta jest na podaniu krążącym w okolicy Dobromiła, że dawni dziedzice tego zamku, Herburciowie, w orły się przemienili.

„Ten wróg mi plądruje codziennie po dolach,
I trzody rabuje po spokojnych siołach.”
Kłakami proch przybił, wymierzył w jarugi,
I strzelił i chybił raz jeden i drugi.

I z gniewu się pieni i usta zacina,
I wleciał do sieni i krzyknął na syna:
„Chodź synu na wprawę i nabierz kul z kosza,
I strzelaj na ławę do ruskiego grosza.

Strzelaj od rozwidu aż po wieczór szary,
Abyś nie miał wstydu, jak przyjdą Tatary,
Mnie nie dziw, bom stary, mnie trzęsą się dłonie;
Jak przyjdą Tatary, ja już nie obronię.”

Pobiegł syn na wprawę i nabrał kul z kosza,
I strzelał na ławę do ruskiego grosza,
Strzelał od rozwidu aż po wieczór szary:
Nie będzie miał wstydu, jak przyjdą Tatary.

29. STAROSTA WILCZEK

(zdarzenie prawdziwe).

przez *Antoniego Czajkowskiego.*

Doliną bystrą Strypa bieży,
A tu na górze zamek stoi,
Wiewa chorągwią z górnej wieży,
I przekopami boki zbroi;
Ma most zwodzony z silną broną,
A w zamku mieszka Wilczek z żo-
(ną.

Wilczek, to szlachcic z prapra-
(dziada,
Przeto barankiem jest w kościele,
A jak wilk płoszy obce stada,
Gdy do rąk chwyci karabele;
Na zjazdach zdrowym zdaniem
(świeci
I kocha Boga, kraj i dzieci.

A pani zacna białogłowa,
Śpiewa godzinki, kądziel przedzie,
Dziatwę w bojaźni Bożej chowa,
Rządzą gospośia, zajrzy wszędzie,
To do nabiata, to do czeladzi,
Biednych opatrzy, chorym radzi.

A co tam dworzan na tym dworze!
Jest komu stanąć, bić się komul
A co tam gościł miłyż Boże!
Toć gość do domu, Bóg do domu;
Bóg błogosławił gościnności,
Było i na dwór i na gości.

I szło wesoło, jakby z płatka,
Ptasiego chyba brakło mléka,
Bóg z swą czeladką, a czeladka
Na swego Boga nie narzeka;
I tak przejrzysto płynie życie,
Jak bystra Strypa w swém kory-
(cie.

Aż nagle błysły straszne łony,
I coraz bliżej, jaśniej płoną,
Toćto tatarskie mkną zagony,
Toćto wsie nasze popalono;
Toćto lud biedny trapią nędzą,
A dzielnych branców w jassyr
(pędzą.

Mógł Wilczek w zamku spać bez-
(piecznie,
Ale kraj w ciężkiej był potrzebie,
A on kraj kochał tak serdecznie,
Iżby zań chętnie oddał siebie;
Więc żegna żonę, ściska dzieci,
I na Tatarów z hufcem leci.

Patrzała żona długo, długo
Na dziarskie konie, dzielne męża,
Wiejące skrzydła nad kołczugą,
Na buzdługany i oręż;
Patrzała długo, rozboleła,
I nie prócz żalu nie widziała.

Oni zniknęli, ona czeka,
Coraz to łuny mpięj żarzące;
Niebo się pali już z daleka,
A tuman jakiś mknie po łące;
Powraca garstka porąbana,
W końcu zwycięzka, lecz bez pana.

A pan od ostrój poległ strzały,
Gdzieś mu tam kruki pogrzeb
(sprawia,
Wiatry pożegnanie będą grały,
Deszcze się tylko nad nim złązawia;
Wdzięczna go ziemia nie przy-
(wali,

A imię jego przejdzie dalej.

W zamku żaloba, pusto wkoło,
Wdowia powieka, suche oczy,
Wybladłe lica, smętne czoło,
Aż się nakoniec lza potoczy;
A z nią i rozpacz w żal się zmieni,
Jak chmura niknie wśród stru-
(mieni.

Ze lzą westchnienie w niebo leci,
Dalej modlitwa, cicha, szczerza,
Pośepne cienie w pół oświeci,
I błogą przyszłość w pół roz-
(twiera;

Cichym pokojem duszę wieńczy,
Jak słońce chmurę blaskiem tęczy.

A czas na wszystko jest lekarzem,
I sześć lat w życiu, to nie chwila,
Już też i pani przed ołtarzem
Z nowym małżonkiem głowę
(schyla,
Zmarłemu zawsze jednak święci
Z tkliwem westchnieniem lzę pa-
(mięci.

I znów ubiegły cztery lata.—
Gdy raz wieczorem pątnik wcho-
(dzi,
Włos posrebrzony, długa szata,
Dokoła rzewnym wzrokiem wo-
(dzi,
A kiedy wstąpił w gród wspa-
(niały,
To się zatrzymał, gdyż drżał cały.

A państwo właśnie przy wie-
(czerzy,
Wkoło nich chłopcy siedzą wien-
(cem,
Wszedł pątnik, panią okiem mie-
(rzy,
Twarz mu się dzikim łśni rumień-
(cem,
Czoło się chyli, krok nieśmiały,
Słowa na ustach mu konały.

W tém pan go wita w Boże imię,
I stawia przed nim puhar miodu,
„Spocznijże z nami cny pielgrzy-
(mie!
Z jakiegoż teraz wracasz grodu?”
A pątnik: „Idę do ojczyzny,
Wracam z jassyr, z Tatarszczy-
(zny.

Jeszcze daleko, a czas ciecie,
Niech za gościnność Bóg od-
placi.”
Wstał; aż syn pani tak doń rzecze:
„Maszże pielgrzymie! krewnych,
(braci,
Którym twój powrót boleść skró-
(ci?
O! czemuż ojciec nasz nie wróci.”

A pielgrzym zadrżał, wzrok od-
(wraca,
Potém się chłopcu na piers rzucił,
„O synu! Ojciec twój powraca!
Synu! twój ojciec już powrócił!
I w uniesieniu pątnik siwy
Nagle na ziemię padł nieżywy.”

30. Ustęp z poematu Wład. Syrokomli (Ludwika Kondratowicza)

pod napisem:

DEBORÓG.

O miłe w wiosce był dom plebana:
Mała świetlica w ziemię schowana,
Krzyżyk się wznosił na facyacie,
I człowiek Boży mieszkał w téj chacie.
Ksiądz definitor święty, wymowny,
Poważny wiekiem, szlachcic herbowny,
Przybył z klasztoru w wiejskie progi,
I wziął w opiekę kościół ubogi,
Wziął półwłocz gruntu — i na téj ziemi
Pracował równo z owieczki swemi.
Czy raz, bywało, widzieć się zdarza,
Jak święty starzec w porannej porze,
Czytając hymny z kart brewiarza,
Bronuje zagon, lub sieje zboże.
Dwa chromiejące kościelne dziady —
To była cała jego posługa.
Ksiądz definitor, ojciec gromady,
Jedzie do lasu, kółków nastruga,
Ogrodzi cmentarz, przywlecze drzewa,
Nosi wiadrami wodę ze strugi,
A idąc, pacierz łaciński śpiewa.
Gdy chcesz mu oddać jakie posługi,
Nigdy nie przyjmie — uchyli głowę:
„Za dobre chęci zapłać ci, Chryste,
„Masz Waszeć, bratku, prace domowe,
„Ja sam chcę orać pole ojczyste!”
I tak modlitwę szepejąc pobożnie,
Sam sobie zorzę, zasieje, poźnie.

Na jego szarach najlepiej rodzi,
Jego przekosów nie znosi woda;
Gdy on na łąkę z kosą wychodzi,
Pewno dni kilka będzie pogoda.
Z długich doświadczeń jego żywota,
Jakby wyrocznie mieli kmiotkowie:
Drożynna, pomór, pogoda, słońce,
Ksiądz definitor zawsze przepowie.

I cóż dziwnego — wszak jego oko
 Na firmamencie tkwiło zwyczajnie,
 Myślami w niebo wsiąknął głęboko,
 Podpatrzył, przeczuł niebieskie tajnie;
 Może mu nawet w samotnej celi
 I święci Pańscy coś podszepnęli.
 Kiedy śpiew starca zadrzał w kościele,
 Jakoś cię zawsze skrucza ogarnie,
 Rzekłbyś: apostoł — kiedy w niedzielę
 Prostymi słowy uczył owczarnię,
 Kiedy tłumaczył ze świętej księgi:
 „Jak to pokorny Zbawiciel świata
 „Sklada majestat Bożej potęgi,
 „I w ciele ludzkim z czlekiem się brata,
 „Bóg z nędzarami żyje pospołu,
 „Między grzeszniki siada do stołu,
 „I daje siebie przybić do krzyża,
 „I składa ciało w człowieczym grobie,
 „Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
 „By nas uzacnił, podniósł ku sobie.”

31. *Ustęp z rapsodu rycerskiego Wincentego Pola*
 pod napisem:

MOHORT.

Cztery mil prawie od granicznej luki (*),
 Był tam monaster Ojców Bazylianów,
 W nim księży wielkiej cnoty i nauki,
 Wspierani łaską okolicznych panów.
 I niedaremnie — bo miała przytułek
 Tam młódź uboga, z parafialnych szkółek:
 I już nie jeden co u furty jadł,
 Kiedy się pięknie w tych szkółkach wyćwiczył,
 Na starość w ławce przy ołtarzu siadał,
 A syn już po nim i wioski dziedziczył.

Sławne to miejsce było odpustami,
 A stary Mohort był tam niby w domu,
 Bo żył w poważnej przyjaźni z księżami,
 I całe dzieje klasztoru, nikomu

Nie były równie znane, jako jemu;
 I tu od wszystkich starszy, postaremu,
 Jak i na krésach poważnie réj wodził,
 I z cicha kącik na starość łagodził.
 I zawsze mawiał: — „kiedy już nie będzie
 Mógł się na konia, a Bóg mu pozwoli
 Zebrać co grosza, a klasztor zezwoli,
 To na dewocy u ojców osiedzie.”

Jakoż w klasztorze miał już własną celę,
 A w niej szlacheckie swoje depozyty:
 Turecki namiot, drogie karabele,
 Kilka par sukien, nie jeden pas lity,
 Sadzone rzędy, co droższe rynsztunki,
 Słowem rycerskie sprawne moderunki.
 Więc i ksiąg kilka, i kilka puharów,
 Kilka pamiątek jeszcze od Hetmana,
 Parę kobierców i klasztornych darów,
 I sławną szablę od samego Hana;
 I familijne w kantorku papiéry,
 I relikwiarzyk od matki nieboszczki,
 I z Matką Boską ryngraf złoto-szczéry,
 Święcone wianki i palmowe różczki;
 I święci Pańscy ozdabiali ścianę,
 A łożo nizko u ziemi wysłane
 Było okryte końską skórą białą,
 Jako na zakon rycerski przystało.

Miał i piwnicę własną dla wygody,
 Co swoim sumptem przed laty zmurował,
 W niej stare wina i wytrawne miody,
 A jak mówiono i stary grosz chował,
 Co go przekazał po najdłuższém życiu
 Na klasztor (jako starszy brat cerkiewny);
 Tylko ksiądz jeden, i jeden dziad pewny
 Wiedział o skarbie, gdzie leżał w ukryciu.

Dwa razy na rok dłużej się zabawiał
 W murach klasztornych: raz gdy gości gościł
 Na imieninach, to znowu, gdy pościł
 I rekolekcy w Wielki Post odprawiał.
 Na Symeona bywał praznik w maju,
 I w monasterze, w święto Symeona,
 Obchodził Mohort dzień swego Patrona.

(*) Miejsca na linii pogranicza wojskowego od Kozaczyzny i Ordy tatarskiej, zajmowane przez komendy wojskowe nazywano lukami.

Monaster leżał przeslicznie śród gaju
Cienistych dębów, śród lip i jaworów,
I cała szlachta z okolicznych dworów
W tym dniu zjeżdżała na solenizancją;
A Mohort suto podejmował bracią.

Namiot turecki stał zwykle wzniesiony
Przed monasterem dla uroczystości,
A solenizant pięknie ustrójony
Stał przed namiotem i przyjmował gości;
I pośród gaju bywał dzień wesoly,
Bo pod lipami zastawiano stoły:
A gdy wiwatów nadeszła już pora,
Trąby ich odgłos roznosiły z wieży
Na okolicę, a na znak Rektora,
Bito na vivat z klasztornych moździerzy.

A potem znowu cicho przez rok cały
Bywało w gaju—tylko słowik śpiewał,
Tylko głos dzwonu wdłuż jaru przepływał;
I ponad źródłem światełka migwały,
Gdzie z pod kapliczki sączył się źródło mały.

I w ciągu roku zdarzyło się częściej,
Że ze mszą świętą księża przybywali,
I dobrodzieja na luce zwiedzali,
Chcąc się dowiedzieć, jak mu PanBóg szczęści?

Na nabożeństwie czterdziesto-godzinném,
I na Popielen z nami jeszcze bywał,
I *Gorzkie żale*—po sumie zaśpiewał;
Lecz po nich zdawszy już komendę innym,
Wracał na futor i brał kubrak na się;
A co uzbierał przez rok cały w czasie,
Z sadu, z pasieki, z bydła, i ze młyńa,
Z tego szła więcej niżli dziesięcina
Do monasteru Ojców Bazylianów.

Dwie, a czasami trzy wołowe maże
Suto ładowne, szły dla Ojców w darze;
A na najpierwszej sam siedział na wierchu,
I zwykle stawał na miejscu o zmierzchu.
A gdy zadzwonił u forty klasztornej,
To już nie rycerz, lecz kubrak pokorny,

Odsyłał ludzi do dom w'Imię Boże,
A sam się wpraszał pokory słowami
Na rekolekcyę—a wozy z wołami
I cały zapas zostawał w klasztorze.

Tu już przez cały Wielki-Post się bawił,
I włosiennicę pokutną przywdziewał,
Długie godziny na modlitwie trawił,
I z księżmi razem w chórze pieśni śpiewał;
Bo jako rycerz wziął pokorę z daru,
Więc na usługach cichych i pokornych
Czuwał przy chorych, a chłopców klasztornych
W kolój pacierza słuchał i Alwaru.

Tu na rok cały leki przysposabiał:
Jeruzalemski balsam zwykle rabił,
Maść Matki Boskiej cudną od zranienia,
Rycerski kordywał z ziół i okowity,
Na wszelkie wewnętrzne bóle wysmienity
I jakieś proszki od gadu kąszenia.

Tu zapas kartek zwykle wygotował,
Któremi ludziom febrę odpisywał,
A dla klasztornej i własnej wygody,
Przepędzał wódki i rad sycił miody.

Gdy Wielki-Tydzień w końcu już nadehodził,
Mohort zazwyczaj wszystko załagodził,
A kiedy Mękę Pańską zakonniczy
Rozpamiętywać w końcu poczynali,
Kłęczał i Mohort tam, gdzie się kapnicy,
Zakrywszy głowy, w skrusze biczowali....

Aż w Wielki Czwartek znów był mundur wzięty,
Gdy przystępował do spowiedzi świętej,
A choć post cały gdzieś w kącieku jadał,
To w Wielki Czwartek, gdy mundur ubierze,
Po prawej ręce Rektora zasiadał,
I w refektarzu jadł Pańską Wieczerzę.
A po Wieczerzy starym obyczajem
Na koń i do dom: komendę odebrał
Przed rezurekcyą, i do ust nic nie brał,
Póki się z nami nie po dzielił jajem.

32. PRZYJAZD KSIĘCIA JÓZEFA DO MOHORTA.

(Ustęp z rapsodu rycerskiego pod napisem „Mohort“).

Kogoż nie zbiedzi, i kogoż nie znudzi,
Na Ukrainie ta rozkał wiosenna?
Lecz co za rozkosz, gdy się ziemia senna
Po długiej nocy znowu ze snu budzi!
Wówczas się wiosna od razu już robi,
Bo to zaledwo że się śnieg roztopił,
A to wiatr ciepły i deszczyk przekropił,
I już zielono; i ziemia się zdobi
W trawy i kwiaty, zwierz opuszcza nory,
A w pole wabi nadzieja i praca;
Step się uśmiecha, i kwitną futory,
I co dzień nowe ptastwo do gniazd wraca.

W takito ranek zawezwał o świcie
Książę do siebie cały kwiat młodzieży,
Chcąc się wykapać w stepowym błękiecie,
I znów przehulać konie co najszczerzej.
Coto tam było serca i ochoty,
I co conceptów, co dzielnej pustoty!
Przez parę godzin nie pilnując drogi,
Niosły nas konie w nieznane rozłogi;
A choć dokoła był tylko step goły,
Przecież tak piękny był świat i wesoly,
Jakby go Pan Bóg dopiero był stworzył,
I młodą duszę ku niemu otworzył.

Słońce już było podbiegło wysoko,
Gdyśmy stanęli nad debrą szeroką.
„Nieźle się składa!—rzekł Starszy Kresowy,
Bo to, jak widzę, futor Mohortowy!”

„A, to wybornie!—rzekł wesolo książę,
To i odwidzim dziś starego ćwika!
Puśćcie mnie naprzód, niechaj piéwszy zdążę
Po służbie witac mego Porucznika!”

I sam się puścił najpiérwszy do jaru;
Jar był szeroki i pięknie obrosły,
Jak uroczysko, niby pelen czaru,
Drzewina kwitła, dąb strzelał wyniosły,

A na dnie jaru, jeszcze z nocnej rosy
Trawy nietknięte, w dali jakieś skały,
Nad nami w krzewach leśnych ptaszat głosy,
A żywe wody pod nami zagrały....

Święty Onufry z brodą za kolana,
Kłęczał w pustynię wśród małej pieczary,
A wniście do niej brzost ocieniał stary,
A u stóp jego krynica rozlana,
Żywym do jaru upływała zdrojem
I jar oddychał uroczym pokojem,
I wonne jego owiały nas chłody;
A niżej nieco, zbierały się wody
W stawku niewielkim, i turkotał młynek;
Dalej pasieka, pośrodku kalinek,
A jeszcze dalej laszek czeremchowy,
A w nim rozpięty namiot Mohortowy.

Ognisko z nocy jeszcze nie wygasło,
A przed namiotem wiała chorągiewka,
Kilka się koni niżej młyńa pasło,
I jakaś smutna ukraińska śpiewka
Płynęła jarem.

Wstrzymaliśmy konie.

Patrząc dokoła urokiem zakłęci:
Taki to cudne było to ustronie!

„W takich to jarach żyli Pańscy Święci!”
Rzekł stary kozak—skoczył do krynicy,
Z czcią się przeżegnał w pustynię uroczej,
Czerpnął ze zdroju, i przemywszy oczy
Wyniósł dla księcia wody w ładownicy.

„Na zdrowie, szczęście, na wiek i urodę,
Niechaj Wam będzie! a pójcie tę wodę,
Bo takiej wody, ani w naszym kraju,
Ani nie dostać nawet ni z Dunaju!
A kto na Jura tak do gwiazdy wstanie,
Że raniżej oczy od ptaszka obmyje,
I piérwój zdroju od niego dostanie,
I niezmaconej wody się napije,
Temu na życie stanie prawdy w głosie;
I będzie patrzył czysto jak po rosie!”

W istocie była to wyborna woda!
Raczej dla duszy niż ciała ochłoda,
I każdy rad też był wytchnąć po znoju,
I przemyć oczy, i przejrzeć się w zdroju,
I ładownicą zaczerpnąć z krynicy,
Którą za świętą czczono w okolicy.

Ale już z łąki i konie zarżały,
I psy się głośno od młyna ozwały.
„Na koń! rzekł książę: tam widzę ktoś orze?
Ba, to sam Mohort!” i puścił się przodem,
—Daj Boże szczęście! — a Mohort: „szczęść Boże!”
—Co widzę, książę? i z takim narodem?
Hej ptaku, ptaku pancernego znaku! ()*
A-czy od szlaku droga czy z Budziaku,
Z czego człek powstał, o tém myśleć trzeba.
Ani Hetmanom bez Boga i chleba!
Gdy Bóg dał gości, to puść w łąkę woly,
Niech i im będzie dzisiaj dzień wesoly...”

Chłopak posłuchał: pług został na roli,
A Mohort przeszedł po niej się powoli,
Przypasał szablę i wąsów poprawił,
I jak po służbie przed księciem się stawił;
„Porucznik Mohort, na kresach stojący
A waszą Miłość wielce miłujący!”
Książę go ścisnął, a on do komendy:
„Do woli z konia! Towarzyszom wszędy
Wolno się bawić—a konie w ordynek!
Pacholki z końmi staną tam pod płotem,
Siedmiu na wartę, po dwóch przed namiotem,
Na krótkie straże—reszta na spoczynek!”

—Otóż to lubię!—rzekł wesoło książę,
Gdy jest komenda to i dobrze będzie!”
A Mohort na to: „jakoś to się zwiąże,
Niech tylko książę z konia już zesiądzie.”

I nie ubiegła może i godzina,
A już podano śniadanie ze młyna;

(*) Przysłowie Mohorta.

Na prędcie zbito z kilku tarcie stoły,
A z drugich kilku ławy przyrządzono,
Wiarus kucharzył z młynarką na poły,
I obozową ucztę zastawiono.
Barszcz był wyborny, a baran był z rożna,
I jajecznicą, a arcy-wielmożną,
Bo przystrojona wieńcami kielbasy;
A był do tego i podpłomyk świeży,
Kubek gorzalki, i kufelek miodu:
Sztuciec i łyżkę—jeszcze w owe czasy,
Miał każdy z sobą zwyczajem żołnierzy;
A więc nie było kłopotu ni głodu.

KOŚCIÓŁ WIEJSKI.

przez

Wład. Syrokomłę.

I.

Był Wielki Czwartek—poranek marcowy:
Na czarnych polach topniał lód zaskrzeplony,
Śpiewał skowronek, wiatr powiewał ciepły,
I ciepłe myśli napędzał do głowy,
Człowiek skwapliwszy do Boga i świata,
Bo coś mu serce wiosenniej kołata.
Po siném niebie kilka chmurków płynie,
Nad czarną ziemią mgła ranna się ściele;
Nad cichą wioską, po czarnej równinie,
Huczy dzwon stary—bo dziś msza w kościele.
I przed drewnianą, zamszoną dzwonnica,
I pod kościoła pochyloną ścianą,
Dziś naród Boży zgromadził się rano:
Bo każdy przyszedł z wielką tajemnicą,
Swe całoroczne i błędy i bole
Wyznać u kratek do ucha plebana,
A w łzach, gdy ciężka zasklepi się rana,
Spożyć chleb życia przy Chrystusa stole.
Nim organista kościołek otworzy,
Wedle dzwonnicy kupi się drużyna;
Jeden się modli, grzechy przypomina,
A drudzy gwarzą by czas zeszedł sporzej.
Jest o czém gwarzyć, jak zwyczajnie wiosną:
Czas ruszyć z sochą—a tu nie ma chleba;

Woly do pracy pokarmić potrzeba,
 A trawy jeszcze nie prędko wyrosną;
 Sianka nie wiele w ubogiej odrynie,
 Ostatnia wiązka skarmi się co chwila;
 A ruń z pod śniegu źle się coś wychyla,
 Bóg raczy wiedzieć, czy nas głód ominie?
 A choć u wszystkich w jednakięj chudobie,
 Jednaka dola i myśl w jednej stronie,
 Miło z sąsiadem pogawędzić sobie,
 Wedle dzwonnicy siadłszy na bierwionie,
 Pokiwać głową po szczeręj gawędzie;
 „Tak, tak, sąsiedzie—Bóg wie co to będzie!”

II.

Lecz brzękły klucze w rękach organisty,
 Przeszedł przez cmentarz, szepcząc święte psalmy.
 A starcy mówią: „Dziś dzień uroczysty!
 „Choć na czas myśli znikome oddalmy;
 „Zdajmy swą dolę na wyroki Boże,
 „A jakoś biędę przełożacem może.”
 I w rdzawym zamku zaskrzypiał klucz stary,
 Dzwon stęknął, mruczy, chwieje się, kołycha.
 Za organistą do wioskowej fary
 Tłoczy się naród gromadnie a z cicha;
 A choć stąpają najciszej jak mogą,
 Odbija łoskot echa pod podłogą.

III.

Kościół ubogi:—w oltarzu poprostu,
 W ciemnych lichtarzach cztery żółte świeczki,
 I stary obraz wiejskiego pokostu,
 Na którym Chrystus pasie swe owieczki.
 We dwóch oltarzach, na prawo i lewo,
 Jest Matka Boska i Święty Antoni,
 Anioł uklęka przed Najświętszą Dziewą,
 A patron święty ma lilię w dłoni;
 Twarz jego jasna, ale wzrok poddańczy,
 Na szorstkich rękach małe dziecię niańczy.
 Tuż przy ambonie dwa konfesyjonały,
 Przy nich się mary śmiertelne stanowią,
 I w czarnych ramach obraz wypłowiwały,
 Na którym Zbawca wręcza klucz Piotrowi.
 Cztery chorągwie, a każda podarta,
 U skromnych ławek utkwione na boku:

Tam święty Michał pokonywał czarta;
 Tam święty Jerzy pastwi się na smoku;
 Wojciech odbiera palmę z rąk anioła,
 A śmierć do tańca wszystkie stany wola.

IV.

Skrzyły drzwi boczne—wioskowa gromada,
 Serdecznym wzrokiem patrzy za balaski.
 Wszedł stary pleban i na klęczki pada,
 Prosić u Niebios przed spowiedzią łaski;
 Przypadł do świętych oltarza podnóży,
 I grzmotnął czołem, aż huknęło w sklepie.
 Wtedy pachole, co mu do mszy służy,
 Dziecięcym głosem *Miserere* trzepie,
 I *Confiteor* z ust dziecięcych płynie,
 Z uśmiechem w oczach, z błędami w łacinie.

V.

Powstał ksiądz pleban i poszedł pomału,
 W nawę kościoła do konfesyjonału.
 Błysła promieniem jego twarz jak święta,
 Skreślił znak krzyża, cofnęły się świadki
 I najpierwszego z rzędu penitenta
 Przyzywał skinieniem przed pokutne kratki;
 Złocistą stulę skrzyżował na łonie,
 Ukrył się w chustkę kraciastą, czerwoną,
 I począł badać aż do głębi ducha....
 Co tam gadali, Bóg chyba podsłucha.

VI.

Tak jeden, drugi, i trzeci, i czwarty,
 Zalani łzami odeszli od krutek,
 W bocznych oltarzach, snadź z piersi rozdartej
 Jeszcze spowiedzi leje się ostatek.
 Już ksiądz nie słyszy—ale Pan Bóg słyszy,
 Jak z serca ciężka odpada im żmija,
 Pacierz pokutny kiedy szepcą w ciszy
 Siedem Ojcze nasz i Zdrowaś Marya.
 A gdy serdecznie, jak Chrystus w Ogrójcu,
 Wyspowiadana modli się gromada,
 Kiedy ostatnie mówi Chwała Ojcu,
 Z kościelnych okien słońce na nich pada.

VII.

Bije godzina dziewiąta, dziesiąta,
 A pleban ciągle za kratami siedzi.

Lud, to się przysła spowiedzią zaprzęta,
 Albo rozgrzeszon idzie od spowiedzi,
 I kłeka jeden, potem drugi po nim,
 Przed Matką Boską i świętym Antonim.
 Bo jakież grzechy na wiosce być mogą?
 Jeden do pana odczwał się śmielej,
 Drugi swe żyto może sprzedał drogo,
 Trzeci w gospodzie hulał co niedzieli,
 Albo na bratnią gospodarke siada,
 Albo przekosił granicę sąsiada;
 Lub, kiedy latem dokuczały deszcze,
 On, zbyt troskliwy o kopy w stodole,
 Po sześciodniowym a krwawym mozołu,
 Złamał niedzielę — i pracował jeszcze,
 Lub się ze skargą na Opatrzność młota:
 Oto są grzechy kmieckiego żywota.

34. ŻEGLARZ.

Ku wybrzeżom, z wiatrem, w dal,
 Po błękitnej wód równinie;
 Pieśń żeglarza tęskno płynie,
 Z szumem wiatru, z szumem fal.
 Pożegnałem kraj, rodzinę,
 Matka płacząc mię żegnała,
 Błogosławiąc nie pytała
 Kiedy wrócę? dokąd płynę?
 Brat uściśnął, siostra mała,
 Jak lilii kwiatek zrana,
 Błada, drżąca, rozplakana,
 Kiedy wrócę, nie pytała.
 Kogo pytać? — toni morz?
 Świat szeroki i daleko
 Oceanu wody cieką,
 A w podróży tyle burz!
 Próżno, pytaj wiatrze, fal,
 Chmur zapytaj: dokąd płyną
 Nad błękitną wód równiną?
 Odpowiedzą: w dal gdzieś, w dal!
 Za wsią, w polu, pośród łąków,
 Pożegnalnych tyle głosów,
 W szumie gajów, w szumie kłosów,
 I w porannej grze bocianów,

I w skowronka ranniej pieśni,
 W ryku trzody w dzwonów śpiewie!
 Tyle wspomnień... serce nie wie
 Jak je prześni?... i czy prześni?
 Co pomoże wspomnień łzał...
 Brzegi nikną w szarej dali,
 A szum żagla, a szum fali
 W świat podróżną piosnkę gra.
 Dalej, dalej, z morz na morza...
 Jak świat długi kwitną pola,
 Złotym kłosem szumi rola,
 Śpiewa ptaszę, świta zorza;
 Jak szeroki Boży świat,
 Biją serca, brzmi wesele,
 Życie w kwietny szlak się ściele,
 Burza głuży żale strat.

W świecie nie ma drugiej matki,
 Nie ma wspomnień serdeczniejszych,
 Nie ma w świecie lez rzewniejszych,
 Nad lzy siostry i sąsiadki!

Ku wybrzeżom z wiatrem, w dal,
 Po błękitnej wód równinie,
 Pieśń żeglarza tęskno płynie,
 Z szumem wiatru, z szumem fal.

H. J.

35. SKOWRONEK.

przez

Winc. Pola.

Skowroneczek furknął w glebie,
 Zatrzepotał w drobne skrzydła;
 I jak gdyby zwisł u sidła,
 Śpiewa ziemi pieśń na niebie.

O co prosisz skowroneczku?
 Czy o pokój w twym gniazdeczku?
 Czy o ziarno drobną miarką?
 Czy o wody dla ochłody?

Ja o szczęście proszę wioski,
 Bom ja śpiewak Matki Boskiej!
 A gdy ludziom dobrze, czule,
 To i ja się gdzieś przytulę...

A więc lecę pod niebiosy,
I niebieskiej błagam rosy,
Błagam burzy urodzajnej,
Aby rosła niwa, łąka,
Płodnej ciszy, ciepła, słonka,
I to pacierz mój zwyczajny.

36. DO MORZA CZARNEGO.

przez
Winc. Pola.

Powiedz mi, proszę, za co cię tak rano
„Morzem Gościnném” po świecie nazwano?
Czyśto tak wiernie niosło twoich gości?
Czy na dnie twojem nie leżą ich kości?
Czyliś darzyło tak drogiemi dary,
Że we czci miewał ciebie już świat stary?

—Ni to, ni owol! Ot, bajki wierutne!
Nie o mnie czleku dobra wieść to chodzi;
Tonie me czarne i jak cmentarz smutne....
Na dnie bez liku i kości i łodzi....
Ja tylko biorę; tylko burzę daję,
Lecz po mych brzegach są tam piękne kraje.

Hen tam, na północ i tam od zachodu,
Tam w czarnej ziemi zasiedli Gazdowie,
Wielkiego szczepu, sławnego narodu,
A Dniepr i Dunaj z dawna ich posłowie....
Onito, oni, gościli przybyszy,
Że świat dziś jeszcze o gościnie słyszy,
Bo tam gościna spuścizną po Bogu:
Więc głosu serca nie cedzą przez zęby,
Lecz chlebem gościa witają u progu.

37. Wjazd Władysława Jagiełły do Krakowa.

(z pieśni Kraszewskiego: Witoldowe boje).

W ulice spłynął wszystek lud Kra-
(kowa),
We dzwony biją, odgłosy witają,
Orszak Jagiełły już bramy pomi-
(nał),
I różnobarwnym sznurem się roz-
(winał).

Pięć hufców składa orszak Ja-
(giełłowy),
Litwy i Rusi cztery pułki idą,
Tatary śniade, Witebszczanie
(bieli).
Bogate skóry na barkach im wiszą,
Czarne się łuki na plecach kołyszą,
Sajdaki świecą blachami srebrne-
(mi),
Konie suknamy kryte szkarłatne-
(mi);

Na łbach ich szłyki z dzikich zwie-
(rzał puszczy,
Na piersiach wilków, niedźwiedzi
(pazury,
I miasto zbroi nabijane skóry.

I tarcze krągłe z gwoździami zło-
(temi
Wiszą błyszczące na rękach wo-
(jaków,
Mężne ich lica i dzikie spojrze-
(nia,

Ani się ludom stolicy dziwią.
Nieraz po Polskiej pładrowali
(ziemi,
Miasta niszczyli, i zbliżka patrzeli
Na cuda owe, gdy w nie ogień
(miałli,

Wpośrodku hufców wozy skarbane
(idą,
A lud je liczy i wielość podziwia,
Dziesięć wielbłądów droższe dary
(niosą,

Każdy z nich sukmem do ziemi
(odziany,
Każdego wiedzie Tatarzyn pół-
(nagi,

Ponad hufcami dwie chorągwie
(wieją:
Na jednej Pogoń Litewska wy-
(szyta,
Druga się w słupy różnej barwy
(mieni.

Bogaty orszak Polski się na koń-
(cu,
Złotem i srebrem błyszczący przy
(słońcu
Rozwinał. Spytek Mielsztyński
(go wiedzie,

W zbroi złocistej wjeżdżając na
(przedzie;
Za nim Jagiełło na siwym bach-
(macie,
A wkoło niego jadą: Witold du-
(mny,

Skirgełł okrutny, Swidrygiełło
(chytry,
Jerzy, Korygał, Michał, syn Ja-
(wnuta,
Borys Olgerdów, Pany i Bojary,
Algimunt, księcia Witolda po-
(krewny

I strzelec Hanul, Namiestnik Wi-
(leński,
Jamund, Sudzimund i z Rusi star-
(szyzna.

38. DO GITARY

przez J. B. Z.

Towarzyszko życia wiosny!
Powiernico tklivej duszy,
Brzmiących strun twych dźwięk
(żałosny,
Niech westchnienia me zagłuszy.

Niechaj głos twój z moim złączy,
Jak ten koi me boleści;
Niech odbity o te ściany,
Biedne serce tylko pieści.

Upój serce, upój ucho,
Żywy wytracaj śpiewem lotnym,
Bo świat dla mnie puszcza głuchą,
Ty w niej echem meim samotnym.

W zbiegłych moich lat kolei,
Nie zaznałem szczęścia wcale;
Prócz tęsknoty i nadziei
Ciągły zawód, ciągłe żale.

Coraz chwila chwilę zgania,
Jako kwiaty lata wędna;
Kiedyż ziemię tę wygnania,
I wędrówkę rzucę biedną?

Ach! wieczności się nie zlekne,
Śmierć nie budzi wstępu we
(mnie,
Bo tam znajdę te dni piękne,
Których szukam tu daremnie.

Towarzyszko życia wiosny,
Powiernico tklivej duszy,
Brzmiących strun twych dźwięk
(żałosny,
Niech westchnienia me zagłuszy.

39. ŚPIEW POETY.

Gdy na górach świta dzionek,
A w dolinie srebrzy rosa,
I ja śpiewam, jak skowronek,
I ja lecę pod niebiosy.

Lecę, gonie wspomnień marę,
Z kwiatów życia wieniec plotę,

Piękność, miłość, czucie, wiara,
Na ogniu spajam złote.

Świat odbija moja dusza,
Jak zielony brzeg krynica;
Wszystko piękne, tkliwe wzrusza,
Wszystko tkliwe ją zachwycą.

Lza na krótko oko cieni,
Częściej płoną w niem rozkosze;
Bo co ziemskie, rzucam ziemi,
Co niebieskie w niebo wznoszę.

Z niewcielonych gdzieś tam świat-
(tów
Garzę myśli—uczuć sbarby;
Z nowych dolin, z nowych kwia-
(tów,
Do obrazów zbieram farby.

Brzmia śpiewacy polni, leśni,
Pierś podnosi rzewność błoga;
Przyrodzenie wielbię w pieśni,
W przyrodzeniu wielkość Boga.

Brzmia śpiewacy... i na przemian,
To na dole, to na górze;
To dla niebian, to dla ziemian,
Wtórzą dla mnie, dla nich wtórzę.

Tak przebiegam różne tony,
Pierwój z sercem dźwięk po-
(godzę;

I czystszy, upiękniejszy
Po samotnej puszczy drogę.

40. Wspomnienie z podróży do morskiego Oka w Karpatach.

przez

Antoniego Czajkowskiego.

I rozmawiały z sobą niebotyczne Tatry,
Ubrawszy czoło w śniegi, a swe stopy w kwiecie,
Rozmawiały milczeniem, a szumiące wiatry
Niosły ową rozmowę po szerokim świecie;
I o ich piersi twarde, ich piersi z granitu
Odbiwszy się, leciały aż do niebios szczytu,
A jedna skała, w konchy i muszle ubrana,
Mówiła do sąsiady: „Jakiżto dzień minął!

Myśl mej pieśni nie przekwita,
Jako niebo, serce, wiosna
Wiecznie świeża, rozmaita,
I dziewicza i miłosna.

Coraz w gaju śpiew ucicha,
Wolnie bujam kilka chwilek;
I z wonnego róż kielicha,
Piję balsam, jak motylek.

Znowu lecę między ziołka,
Między gaje, łąki, wody;
Biorę miody, a jak pszczołka,
Nie dla siebie biorę miody.

Gdy w polocie mym znienacka
Coś mię draśnie, lub ukole;
Widzę wkoło piękne cacka,
I jak dziecię koje bole.

Nie wyrzekam nigdy zbyt wiele,
Błogo w lubym żyję błędzie:
Wiosna kwitła, więc odkwitnie,
Lub gdzieindziej kwitnąć będzie.

Czara życia nie wciąż miodna;
Gdy cykutę spełnić trzeba,
Chrześcianin, spełnię do dna,
I wesoło pojrzę w nieba.

Duch nie zgaśnie przez skonanie...
A dla ziemi — u mogiły
Kilka piórek pozostanie,
Co ku niebu mnie wznosiły.

Wczoraj jeszcze morzami dokoła oblana,
A dziś się świat promienny przed okiem rozwinął;
Wczoraj wielki wieloryb lejąc strumień wody,
Przesunął po mym grzbiecie swe ciemne obwody,
I rekin, olbrzym morski, koło mnie przepłynął;
A dzisiaj na mém czole zawisnęły lody,
Dziś błyskawica z gromem zlatując z obłoków,
Płasa w pośrodku szumu spienionych potoków
I na mém łonie odprawuje gody.”
Na te jej słowa stara, poważna sąsiada,
Granitem swoim słowem wzniosłe odpowiada:
„Tyś jeszcze bardzo młoda, córko moja, droga,
Ale ja zapamiętam pierwsze dni stworzenia;
Widziałam wtedy Boga, twórcę Boga,
A Bóg nie był ciemnością, i nie miał promienia;
Bóg był tchem i materią, na wszechmocne tchnienie
Wody się oddzieliły i lądy steżały,
Zabłysło światło, nocy zczerniało sklepienie,
A Bóg wtedy był Bogiem wśród stworzonej chwały
U nóg Jego spienione oceany grały,
Góry zabrzmiały piersią na jego skinienie,
Szły ku niebu, i Pana swojego witały.
Na dwóch polarnych gwiazdach On położył dłoń,
Księżyc z słońcem osnuły Jego Boskie szaty,
Piorun był Jego słowem, a błyskawic kwiaty
Ognistym wieńcem jasne obwiodły Mu skronie.
Ja stałam nad morzami, a mamut wspaniały
Olbrzymią nogą deptał odwieczne me skały;
Aż nadciągnęła burza, wylały potoki,
Ziemia się wstrzęsła, ziemia uciekła z łóżyska,
Grzmiał świat potęgą wicherów, rwały się opoki,
I na ruiny nowe spadały zwałiska;
Wtém Bóg rozpędził chmury i otóż dzień świeci—
Tak prawi góra—kołem niezmierzone skały
W obłoki swój wierzchołek dźwigają wspaniały,
A u stóp ich pagórki igrają jak dzieci.
Gwiazdy obwiodły rzędem ramiona olbrzyma
I z wysokości w przepaść sięgają oczyma;
Wiatr zasnął, koźdrzewa czernią się wysoko,
A u spodu zieleni się wielkie morskie Oko;
Ono pysznie roztacza zwierciadlane fale,
I nadbrzeża odbija w źrenicy kryształ;

Tuż nad niém, szarym słupem powiewne mgły dysza,
W nich się dwoją opoki, i gwiazdy kołysza.
Rzekłbyś, że to jest siatka morskiego widzenia.
I głucho, nieruchome jeziora i góry,
Jak gdyby Bóg się przejrzał w zwierciadle natury,
Bóg nieruchomy—tylko wśród niebios sklepienia
Coraz to nowe gwiazdy ciekawe migocą,
Na barkach skał odpoczną, dolinę pozłocą
I pędzą dalej, gnane siłą przeznaczenia.
Na uboczu, na wzgórzu, w owych skał pobliżu,
Błyszczy napis, że nad nim Zbawiciel na krzyżu;
Tam się nagle wstrzymała poety powieka,
Bo chciał pieśń swą podnieść, i cudom przyrody
Chciał pokazać cud większy ów marzyciel młody,
Chciał on pokazać Boga przemianę w człowieka;
Lecz, gdy spojrzął na siebie i w przestrzeń stworzenia,
Spuścił głowę.

Już słońce twarz swą rozplomienia,
I blaskiem swym całuje niebosiężne szczyty,
Rumienia się odwieczne, ziarniste granity;
Błyszcza; lecz nie topnieją na ich czole lody,
A u stóp ich zielenią zwierciadlane wody.
Morskie Oko się patrzy słupem w Oko słońca,
Patrzy się bez zmrużenia, patrzy się bez końca.
Aż słońce wzrok odwróci, i przemknie na wiatrach,
Bo Morskie Oko trupie, już nie ma powieki,
Morskie Oko ocean wypłakał przed wieki,
Wypłakał wśród potopu, i zostawił w Tatrach.

41. WĘDROWIEC W ALPACH.

Alpejską drożką pnie się wędrowiec,
Mgły czarne w okół kryją manowiec;
I gdzie najdziksza przepaść śród manowca,
Spotkał do domu spieszącego łowca.

Strzelec Alpejski.

Wróć cudzoziemczel na karku burza;
Niebo się w czarne tumany nurza,
Już błyskawica ostrzy żądła żmije,
Ryczy grzmot w górach i wściekły ton wyje.

Obey.

Chociaż grzmot ryczy, choć niebo w mroku,
Obcą mi trwoga, nie cofnę kroku;

Naprzód mię, naprzód ciągnie tam wysoko,
W te światy gruzów chcę zapuścić oko!

Strzelec.

Ej powróć, powróć! straszno u góry,
Gdy tam zawyje wicher ponury,
I w takt szalony, wśród przepastnych ciemnic,
Poczną się gody szatańskich tajemnic.

Obey.

Choć piekło wicherzy, o to nie pytam—
Grzmiące lodownie, witam was, witam!
Wraz z dziką burzą skrzydła me rozwinę,
Zanucę z wiatry, z obłokiem popłynę.

Strzelec.

I śmiały orzeł skrył się w zamroczy,
Ni kędy kozła na skałach zoczy.
I pasterz z wyżyn schronił się w zaciszy,
Ni łowieckiego hallo! gdzie usłyszysz.

Obey.

Choć się zwierz dziki choć człowiek chroni,
Cudza mi trwoga kroku nie wzbroni;
Muszę ja, muszę, gdzie ten szczyt urwiska,
Muzyką wiatrów napoić słuch zbliśka.
Muszę ja, muszę zwiedzić te kraje,
Gdzie błyskawica, kędy grzmot wstaje!
—Rzekłszy nie zważał na przestrogi łowca,
I nikt już odtąd nie widział wędrowca.

L. N.

42. DO DOKTORA S,

przedsiębiorczego podróż naukową do Azji w przedmiocie
Historii Naturalnej.

Kapłanie Eskulapa! w pogaństwo zagnany
Szerząc cześć twego bóstwa między Azyany,
Sam nie umrzesz z tęsknoty, bo i w obcym niebie
W wodach, w ziemiach, znajomi powitają ciebie.
Spojrzyj na tłum, co wietrzne kraje rozwesela:
Jak król najdrobniejszego znasz obywatela.
Wiesz, swojska-li ptaszyna, czy ziem dzikich córa,
Ile wiosen przelata, i gdzie złoży pióra.
Morze straszące samym widokiem swych głębi
Badawczego zapału w tobie nie wyziębi;

Znijdziesz pod zwierciadlaną rozeznawać tonia
 Roślinki hodowane Amfitryty dlonia,
 Których postać znikoma jak senne marzenia,
 I kolory zmienniejsze od tęczy promienia.
 Tam jest gwiazda, co tylko dnem podmorskim świta (1)
 I latarnia, przy której dumał Stagiryta (2),
 I łódź wiosłem żyjącem morskie traca szyby,
 I pałasze (3) któremi walczą wieloryby.
 Godna zazdrości podróż; ale tam pielgrzymia
 Zewsząd śmierć liczna, łatwa ima.
 Dalszych rybiego państwa nie badajmy ciemnic,
 Dosyć jest dla rozumu lądowych tajemnic.
 Za twém skinieniem, władco cudotwornej laski,
 Trysną źródłem nauki astrachańskie piaski,
 Każemy pękać górą w ich ciemnotę,
 Zważać w kuźni natury klejnotów robotę.
 Ja bogactw niełakomy, cenie wynalazki,
 Wktórych wielkie pamiątki, choć pomniejsze blaski.
 Odszedlbym od brylanty rodzącego szystu.
 Do geodów zamkniętych na klucz z ametystu.
 Wiesz ich początek? między edeńskimi drzewy,
 Kiedy nasz ojciec pierwszy raz przemówił do Ewy,
 Ziemia to pierworodne westchnienie
 Złowiła i w kosztowne zawarła kamienie.
 Te prawdy po hebrajsku zapisane w skałę (4)
 W tajnych archiwach ziemi leżą skamieniałe.
 Od Humboldta weź klucze na te alfabety,
 I stań się biografem naszego planety.
 Niech cię nie trworzy znużone latopismo świata,
 Z warstw ziemi, jak ze zmarszczek policzysz jej lata.
 A gdzie w czasach i czynach zdarzy się zagadka,
 Poradzisz się mamuta, naocznego świadka:
 Zbudzisz na skamieniałym uśpionego cedrze,
 W imię Bojana (5) wstanie i paszczę rozedrze.
 Ze snów czterdziestowiecznych ten przeszłości goniec
 Przetrze oczy, obwieści swój żywot i koniec.

(1) Gwiazda morska, rodzaj molusków.

(2) Latarnia stagiryty Arystotelesa, gatunek muszli.

(3) Pałasz morski, ryba.

(4) Skała hebrajska tak nazwana od czarnych rysów, podobnych do liter hebrajskich.

(5) Bojanus, sławny niegdyś nauczyciel anatomii porównawczej w Wilnie.

Wiesć będzie nowa jako endo, a jako świat stara,
 Prawdziwa jak rachunek, i dziwna jak mara.
 Żegnam cię! idź, w przeszłości załóż twe dziedzictwa,
 Przypomnij matce ziemi czasy jej dziewictwa.
 Mnie poetę już zamiar opanował nowy,
 Ja o przyszłości z niebem wdałem się w rozmowy,
 Astrologiczném okiem wyczytałem z gwiazdy,
 I blizki i radosny koniec naszej jazdy.
 Znowu czoło z podróży orzeźwiwszy znojęw,
 W stary tokaj niemeńskich przymieszały zdrojów.
 Tego królem badaczów ogłosi biesiada,
 Czyje oko najpierw dno kielicha zbada;
 I będziem o rozjeździe, co nas dziś rozżali,
 Jak o przedpotopowych dziejach wspominali.

43. ŻEGLARZ POWIETRZNY.

ODA.

Słaby i znikomy twórce!
 Gdzie się twa śmiałość przedziera?
 Mało ci otchłani morze,
 A ziemia grobów otwiera?

Któreż wieki, które strony,
 Któreż Bóstwo ci kres znaczy?
 Kto ten popęd nieskończony
 Duszy ludzkiej wytłumaczy?

Próżno swym pamiętnym losem
 Zbladły cię Ikar przeraża,
 Ziemia tkliwym zwraca głosem,
 Niebo piorunem zagraża?

Lecz cóż dzielną wstrzyma wolę
 I ten wrzący zapal męztwa?
 Już na posłusznym żywiole
 Rozwijasz żagiel zwycięstwa.

Są więc te stanowcze chwile,
 Chwile życia, wieki chwały,
 Gdzie dusza w całej swój sile
 Puszcza się w zawód zuchwały.

Gdzie z głębi siebie przywoła
 Wszystko, czém się podnieść umie,
 I gdzie człowiek wszystko zdoła,
 Co być podobnym rozumie!

Chwała! chwała twój odwadze,
 Same cię budzą niebiosy,

Ustępują twój przewadze,
 Przeszłość, natura i losy.

Gdzie wiecznym Boga wyrokiem
 Grzmią te krainy rozległe,
 Gdzie samą myślą i okiem
 Siegały wieki ubiegłe;

Tam cię wolnego obawy,
 Niesie twoja własna siła,
 Tam na skrzydłach twojej chwały
 Wiek cię obecny przesyła.

Patrz, jak ów orzeł wspaniały,
 Oswojony z niebios grzmotem,
 Odwagą twoją zdumiały,
 Niespokojnym krąży lotem.

Patrz, jak się w chmurach ukrywa,
 Gniewem i wstydem zapala,
 Jak próżno gromów przyzywa
 Na zgubę swego rywala.

Próżno na swe losy zdraadne
 Skarżące jęki wywiera,
 Dłoń mu twoja samowładne
 Berło powietrza wydzierza.

O! jak cię każdy ze drzeniem,
 Jak duszą ściga radosną;
 Jak z każdym lotu wznieśieniem,
 Myśl się wzbija, serca rosną.

Czémże, im śmielszy, im wyższy,
Tém silniejszą zazdrość budzi?
Czyli, że już nieba bliższy,
Czyli że dalszy od ludzi?

Wzbijaj się mężny sterniku!
Uciekaj z ziemskiej doliny,
Leć szczęśliwy śmiertelniku!
W górne ulatasz krainy!

O! niechaj cudem w naturze
W twoim dalekim zakresie

Aż do owych światów w górze
Szczęśliwy cię lot zaniesie.
Spiesz się, spiesz połączyć z niemi,
Wzbijaj się, wzbijaj do góry,
Dziś jesteś królem natury,
Dotąd byłeś panem ziemi.
Lecz cóż to? jaka zawada
W śmiałym go locie ukraca?
Już słabiej, już upada
I znów do pyłu powraca.

F. M.

44. KOLEJ ŻELAZNA.

przez
Wincentego Smacznińskiego.

Patrzajcie zdziwione ludy
Na dowcipu dzieło nowe,
Na uwieńczone błogim skutkiem trudy,
Przybierzcie szaty godowe,
I złożcie dzięki w świątyni Jehowie;
Niech się uczą późne wnuki
Uświęcać pomniki sztuki,
A potomność wam głosem wdzięczności odpowie.

Z hukiem szumi w kotle wrzawa,
Jakby szepty przeciągle złowieszczonego ducha,
Do góry czarny dym bucha,
Wzrasta w przechodniach obawa.
Z żywiołem żywioł śmiałą walkę toczy,
Ogień i woda idą o wygraną,
Odwagą zbrojne niczem niewstrzymaną,
Ogień pod wodą, wodę kruszyć tłoczy,
Ta się przemienia na krople drobne,
Zgęszczonęj pary nawalne tarcie
Przybywa sztuka na wsparcie,
Napreża parę, tworzy czary niepodobne!
Ruszają się wartkie koła,
Postępuje karawana,
A natura zadumana,
Zrywa wawrzyn z swego czola
I zdobi dowcipu skronie
Na pełnem radości łonie.
Tajemnica od gminu wcale niepojęta,
Jak rozrzucone cząstki przybliżać do siebie,

Z nich całość ukształtować, zaradzić potrzebie,
I skruszyć jednym ciosem zardzewiałe pęta.

Okólne przejrzyć równiny,
Nie starczą ciekawe oczy;
Jawi się widok uroczy,
Migają się i nikną góry i doliny,
Czas, przestrzeń na równi stoją;
Przestrzeń się na czas obraca,
Czas rozległą przestrzeń skraca,
Myśl sama czasu, przestrzeni ostoja!

Kiedy noc szare rozpostrze cienie,
A nawa płynie żelazną koleją,
Zdaje się, że jej boki płomieniem goreją,
Naksztalt burzy po drodze wałą się płomienie.

Jeszcze się nie udało przemysłnym ziemianom,
Narzucić jarzmo powietrznym krainom,
Przyglądać się z wysoka wieków obalinom;
Ale człowiek panuje lądom, oceanom,
Zostawiając po sobie czynów szereg długi,
Wyższości niemyłne szlaki;
Na wolność puszcza rumaki,
Zrzeka się ich pomocy, zrzeka ich posługi,
Bez skrzydeł na ziemi pędzi,
Chyżej od orłów i sokołów pędzi.
Zdumiony wynalazkiem cały ród sokoli
Iść na wyścigi nie śmie, dziwować się woli.

45. WSCHÓD SŁOŃCA.

przez
L. Osinińskiego.

Na świetnych skrzydłach wysłane gońce
Śpiącej ogłaszają ziemi,
By wstała ze snu, bo górne słońce
Tuż się przybliża za niemi.
Na widok złotej niebios poświaty
Powstaje wszystko stworzenie;
Cuca się zwierza, rośliny, kwiaty;
Całe w pracy przyrodzenie.
Každy dzień, jakby z ściślej umowy
Nowe przynosi nam dary;

Nie wart ich użyć, komu dzień nowy
 Nowe pomnaża przywary.
 Wdzięczni ku Temu, co z krain górnych
 Rodzajną ziemię urosił;
 Padnijmy ze czcią modłów pokornych,
 Wszak Go nikt darmo nie prosił....
 Do pracy mężnym weźmy się krokiem,
 Czy będzie słota, czy spieka;
 Bo tak odwiecznym niebo wyrokiem
 Do niej skazało człowieka.
 Patrz, jak porządne natury zwroty
 Idą w nieprzerwanym biegu;
 Idź więc statecznie gościńcem enoty,
 Aż staniesz u nagród brzegu.

46. PROSTAK WIOSELI.

Nie wiem, gdzie tam lepiej komu,
 Każdyć panem własnej woli;
 Mnie najchętniej w ojców domu,
 Więc rad siedzę na swój roli.
 Nie ciekawym, co tam pada
 Zagranicznym miastom moda;
 Sieję sobie swe zagony,
 Niech Bóg będzie pochwalony!

Któs tam szuka obyczaju,
 Pędzi w świat... otwarte wrota.
 Dzięki Bogu! wiem i w kraju,
 Co jest rozum, grzeczność, enota,
 Żyje po staremu miernie,
 Trzymam się zwyczajów wiernie.

Któs przez mądre tam mozoły
 Myśli, że świat przeinaczy,
 Toć i jam odbywał szkoły,
 Wiem, co to ich mądrość znaczy.
 Hurt na hurt, wolę ja stare
 Ojców serce, ojców wiarę,
 Żyć dla dzieci i dla żony,
 Niech Bóg będzie pochwalony!

Któs tam ludzi durzy, mami,
 I gdy jakiś zysk w tém zoczy,
 Górnościami, czułościami,
 Jak może, mydli oczy.
 U mnie, znam się na oszustach,
 Prawda w sercu, prawda w ustach,

Do prostotym wzwyczajony,
 Niech Bóg będzie pochwalony!

Niech tam sobie ląkną drudzy
 Chwały, sławy i tak dalej;
 Mnie gdy w domu lubią słudzy,
 Gdy mnie w wiosce kmięć po-
 (chwali,
 Gdy pochwałą mnie sąsiedzi,
 A zwłaszcza ksiądz u spowiedzi,
 Tom ja całkiem nacieszony,
 Niech Bóg będzie pochwalony!

47. MOJE BOGACTWO.

Mała chatka przy dolinie,
 W której strumień płynie;
 Kawał niwy
 Nieleniwy;
 Łączka na potrzeby swoje,
 To bogactwo moje.

Cztery woly i dwa konie,
 Nie drzemiące w bronie;
 Koło ściany
 Wóz kowany
 I plug, którym skibę kroję,
 To bogactwo moje.

Czarna z owiec mych sukmana,
 A czapka z barana;
 Pas wełniany,
 W domu tkany,

I świąteczne w skrzyni stroje,
 To bogactwo moje.

Czerstwe zdrowie, serce hojne,
 Sumienie spokojne;
 Myśl niewinna,
 Pieśń rodzinna,
 Co przy pracy słodzi znoje;
 To bogactwo moje.

48. Rachunek życia obywatela wiejskiego.

Chcesz wiedzieć waćpan dobro-
 (dzień,

Jak też nam tu życie schodzi...
 Waćpanowie w wielkim świecie
 Modnie i różnie żyjecie;
 U nas, w cichym kącie wioski,
 Mniej odmiany, mniej też troski.
 Zwyczajne sobie prostaki,
 Nasz rachunek życia taki.
 Rano nasamprzód pacierze,
 Potem piję co ciepłego,
 Potem zaraz człek się bierze
 Do pracy, bo nie bez tego.
 A więc, co tam bądź na dworze,
 W lecie, czy w zimowej porze,
 Muszę z obowiązku pana,
 Dojrzyć sobie co dzień z rana,
 Czy wszystko, jak być powinno,
 Czy każdy już zaczął swoje:
 Raz koleją tą, raz inną,
 Tędy przejdę, tam postoję,
 Tam się spytam, tam coś każę,
 Wszędzie jest mnie pełno: łązę
 I do owiec, i do koni,
 Słowem, wszystko jak na dłoni.
 Temu trzeba jak zaradzić,
 To potrzeba przysposobić,
 To ogrodzić, to przesadzić;
 Dość że zawsze jest co zrobić.
 Czasem także, choć na krótko,
 Wybiegniesz z strzelbą raniutko
 Po zającą, albo ptaką;
 Czasem też fabryka jaka.
 Jeszcze się gdzieś powie słowo,
 Wyrzy w okno czy na ganek,
 Jedno z drugiem to i owo,
 I ot jakoś przejdzie ranek.
 Potem obiad. Po obiedzie,
 Czy z sąsiedztwa kto przyjedzie,

Czy też się na wózek siada,
 I jedzie się do sąsiada;
 A nie, to dzieci biegają
 Latem w sad, po izbach w zimie,
 Lub też córki co zagrają,
 A ja sobie trochę zdrzymię.
 Czasem co od sług usłyszę,
 Albo list też gdzie napiszę,
 Albo się do książki bierze,
 Zwykle nabożnej, o wierze.
 Bywa, że kupiec zawita,
 O to, o owo się spyta;
 Prawda, czasem dosyć nie da,
 Lecz często się coś i sprzeda.
 Pójdiesz na wieś, zajrzysz wszę-
 (dzie,
 Zrobisz co choremu, wdowie;
 Czasem kwestarz zkąd przybędzie,
 I nowinkę jaką powie;
 Czasem też ku wieczorowi,
 Czy w pole, czy ku młynowi,
 Sam, albo ochota czyja....
 I ot jakoś dzień przemija.
 Na wieczór, rachunek dzienny;
 Przy tym ja najmocniej stoję.
 Więc ekonom i gumieny,
 I drudzy przynoszą swoje.
 Pytam się i o wszystkiem słyszę,
 Ślicznie, pięknie zliczę, spiszę,
 Jedno po drugiem rozumnie,
 Już to, jak zegarek u mnie.
 Dopiero gdy się załatwie,
 Wtedy sobie z wolną głową,
 Albo zacznę prawić działwie
 Jaką powiastkę krajową,
 Albo zkąd przyjedzie siwy
 Jaki starzec, lub myśliwy,
 To słucham, a on mi gwarzy,
 Jak zwyczajnie lubią starzy.
 Czasem z gościem przy szklanicy,
 Czy w karty, jeśli ochota,
 Czy siadłszy u arcabnicy,
 Proboszczowi wytnę kota;
 Albo jak zimową porą,
 Na kominie głównie gorą,
 Trochę i podumać miło,
 Jak to tam gdzie w życiu było...
 Żadza szczęścia coraz cichnie,
 Tyle, tyle już w pamięci,
 Czasem człowiek się uśmiechnie,
 Czasem się i łąza zakreci...

Ot widzisz waćpan dobrodziej,
I wieczór jakoś przechodzi.
Taki nasz dzień. A dzień do dnia,
Tygodnie, miesiące, lata!
Byle odbyć czas przechodnia,
Skończyć głupią służbę świata:
Już dziedzice podrastają,
Co twych prac używać mają,
Ocieżają głowa, nogi;
Dalej, stary! umknij z drogi,
Więc, gdy m kresu już dogonił
W cichej, miłej mój ustroni,

49. DZIEŃ CZERWCOWY.

przez

Michała Jezińskiego.

Piękny był dzień czerwcowy—bez deszczu i chmury,
Rozbity namiot niebios świecił się u góry,
Ziemia jak dywan ręką aniołów utkany,
Błyszczał w różne kolory bogato przywdziany—
Woda cicho leżała jak zwierciadła szyba,
Czasem muszka się wzruszy, lub swawolna ryba
Srebrną łuską pancerza po powierzchniach trąci,
I odbite widoki na chwilę zamąci.
Kiedy wszystko w naturze zdaje się uśmiechać,
Któż nie biegnie, by czystym powietrzem oddychać,
By zgodzić głos uczucia z harmonią natury,
I serce wypogodzić, jak niebo bez chmury,
Jak cząstka oderwana, myśl z niebem się spaja,
Żądza radości w sercu się podwaja,
Krew żywiej bije w łonie—myśl wyżej wzlatuje,
Dusza tonie w nadziejach, nieśmiertelność czuje.

50. WIECZÓR.

(z Szyllera przekł. J. N. Kamińskiego).

Wędrownik bez czasu straty,
Przez las żywym spieszy krokiem,
Aby przed nocy zaskokiem,
Do rodzinnej zdążył chaty.
Powracają do zagrody
Beczające trzody,
Dojne krowy głoszą rykiem,
Że idą z mlekiem;
Zalega znane obory
Gmin różnowzory;

To dzwón, co na chrzest mój
(dzwonił,
I na pogrzeb mój zadzwoni;
Dobrzy zjadą się sąsiedzi,
W wiosce już pan nowy siedzi.
Ten i ów jeszcze się spyta,
Z czego umarł? Jak... I kwita.
Tu dobrze, tam źle cię wspomna!
Któs się i ucieszy skrycie,
Pogadają i zapomną...
I ot jakoś przeszło życie.

Wóz skrzypiący pod ciężarem,
Z bożym darem,
Toczą woły
Do stodoły,
A żenicy z łanu,
Skończywszy żniwo,
Spieszają żywo
Z wieńcem do tanu.
Gwar po ulicach ciszyć się po-
(czyną,
Światło przyjemnym połyskuje
(blaskiem;

Przy niem zasiada domowa dru-
(żyna,
A miejska brama zamyka się z trza-
(skiem.
Czarną oponą noc ziemię zaściela,
Serce zbrodniarza razi głęboko;
Słodki prawego sen obywatela,
Bo nad nim czuwa ustawy oko.
Święty porządku, szczęśliwości
(zdrojul
Ty wszystko w mocnym utrzy-
(mujesz spoju.
Wszystko wesoło, łatwo i przy-
(jemnie
Wolném ogniem kojarzysz wza-
(jemnie.
Tyś miast budowie dał trwałe po-
(sady,
Zwabił w nie dzikie ze stepów
(gromady,
Tyś do ludzkiego wstąpiwszy mie-
(szkania,
Wniósł obyczaje, ulagodził zda-
(nia.

51. Przechadzka wieczorna.

przez

Kazimierza Brodzińskiego.

Dzień rumiany spuścił oczy,
Cień kwitnące krzewy mroczy,
Po wsi ściągają się dziatki,
Niosąc jagody i kwiatki.

Tam pasterka w głębi siola,
Błędnej krowki na noc wola,
Słońce za lasy zachodzi,
Bramy złocone odwołzi.

Koń opuszcza żółte łany,
Wraca między popętany,
Grusze, co w polu się biela,
Długi ku drodze cień ściela.

Już zaporą skrzypla chatka,
Gdzie przy dziatwie sama matka.
Pastuch do stawu wesoły,
Krowki zagania i woły.
Ptaszek śpiewem utrudzony,
Już się zniża na zagony.

Rolnik, co razem z nim nucił,
Pole z wozami porzucił.

Żebrak, który koło włości
Wola we dnie do litości,
Na spoczynek się udaje,
Śpiewa nabożnie przez gaje.

Na kościółku krzyż blaszany,
Błyszczący blaskiem żorż obłany,
Ptaszki ruszyły się z wieży,
Dzwonka wołanie się szerzy.
Z pola idąc z wiązką siana,
Pada matka na kolana;
Z dzwonkiem pod nieba skle-
(pienie.
Maryi śle pozdrowienie.

Wzniosła lipa przy kościele
Długi cień na pola ściela.
Jakoby łzami żaloby,
Rosa upada na groby.

Krzyż spruchniały, pochylony,
Nad mogiłą wyniesiony;
Wiatr chorągiewką kołysze,
Smutne przerywa zacisze.

Za parkanem między krzewy
Zaczął słowik smutne śpiewy,
Kwiatkom drzymiącym na łące,
Świecą robaczki błyszczące.

Na pagórku ponad łany
Stoi prosty słup drewniany,
Na nim w cierniowej koronie,
Zbawca świata schylił skronie.

52. WSPOMNIENIE.

(jeden ustęp).

Gdy zegar życia bić zacznie,
W grającej wiosny godzinie,
Mile, słodko i nieznacznie
Strumień dni szczęśliwych płynie;
Lecz, gdy się ranka żaluje,
Już południe ulatuje.
Już wieczór—już noce cienie!
Cóż w tej krótkiej życia dobie
Człowiek zostawia po sobie?
Co go pójdzie szukać w grobie?
Wspomnienie—jedno wspomnie-
(nie.

53. KŁOS.

przez

Kazimierza Brodzińskiego.

Często, gdy Opatrzności szukamy po niebie,
 Stopa nasza najwyższy cud natury grzebie.
 Tu ziarno trafem w zgniłą ziemię zarzucono,
 Wnet je matka natura bierze na swe łono,
 Ogrzewa je, przekształca jej czujna opieka;
 Ziarno zmienia się w mączkę, dalej w krople mleka.
 Wnet zapuszcza korzonek i nitki rozwodzi,
 Które są matkę zmarłą; aż roślina wschodzi,
 Co jakby srebrnym rylcem lekką ziemię ryje,
 Aż główkę szafirową wśród nocy wykryje.
 Od rzeszy lekkich wiatrów obwiewana wkoło,
 Osmielona, wznosi się, kołysze wesoło.
 A natura, jak anioł budowę prowadzi,
 Zakłada wewnątrz ściany, urządza i gładzi;
 Cztery buduje pietra, podstawia filary,
 Splata łuk, aby przyszłe udźwignąć ciężary.
 Gdy kłos widzi nad sobą osuszona ziemia,
 Matka w dziwnej budowie potomstwo rozplemia.
 Z jednego mnóstwo tworzy;—wnet kolebki dzieli,
 Śpią jedne nad drugimi w jedwabnej pościeli.
 Tak leżą słodkiem mlekiem karmione od matki,
 Aż silniejsze i śmielsze podnoszą się dziatki.
 Teraz pora igraszki—z wesołą prostotą,
 Kwitną, igrają w szatę ustrojone złotą.
 A przeciw napaściom zamiast zbroi, puklerza,
 Matka dzidy ostre wkoło swych dzieci najeża.

Tak natura swe dzieci kocha i ochrania,
 Corok w polach powtarza ten cud zmartwychwstania;
 Człowiek, którego zdobi rozum i nauka,
 Mówi: że Opatrzności nadaremnie szuka!

54. POŻEGNANIE WIOSKI.

przez

Sowińskiego.

Żegnam cię wsi ulubiona,
 I was gaje, łąki, niwy;
 Nieba! wśród waszego łona,
 O jakże byłem szczęśliwy!

Tu mi moje dni płynęły,
 Jak ciche wody potoku,
 Już one wiecznie minęły:
 Czas swego nie cofnie kroku.

Jak ta rzeczka z brzegiem swoim,
 Tak wszystko przejdzie, przeminie;
 Jedna tylko w sercu mojem
 Pamięć twoja nie zaginie.

55. DOBRY ZIEMIANNIN.

Jak lubię gospodarza, który się rad spieszy,
 Zasiąść w dni święte w pośród rolników swych rzeszy,
 Przed nim śmiało prostota, powszechnie trwożliwa,
 Doli swojej zwierza się, swe tajnie odkrywa;
 On w sercu dobroczynny, łagodny na twarzy,
 Słucha, radzi, pociesza, a najczęściej darzy.
 Ach! by wspomagać ludzi wśród wiejskiej zagrody,
 Czyliż liczne potrzeba posiadać dochody?
 Lecz, by umieć wspomagać i koić kłopoty,
 Trzeba więcej jak skarbów, potrzeba mieć cnoty.
 Biada temu, co bliźnich opuszcza w potrzebie,
 I nikogo nie kocha prócz samego siebie;
 Szuka szczęścia, za cóż go nie umiał obierać?
 Nie masz rozkoszy, jak łzy nieszczęsnych ocierać!
 Ale szczęście częstokroć prawo czucia tłumi,
 Kto nie zna nędzy, ten cię rzadko wyrozumie;
 A serca, co nieszczęsnych lubią koić dole,
 Rodzą się wśród cierpienia, kształcą w smutku szkole.
 Jój dziełem litość, pierwsza pomiędzy przymioty,
 Z niej wyszła dobroczynność, prawa córka cnoty.
 O wy! co przez przyjemne litości natchnienie,
 Częstokroć łzy ronicie na obłudnej scenie,
 Zejdźcie z pysznych teatrów pod dachy prostoty,
 Tu są godniejsze waszej czułości przedmioty.

56. NIWA.

Ale już lato upał wzmagając skwarliwy
 Ognistém złości tchnieniem popłowie niwy:
 Szepczą w krzakach koniki, przepiórka chrapliwa,
 Pod wazącym się kłosem daje hasło żniwa.
 Dópiastowała ziemia, czekamy nagrody:
 Pospieszaj za nią w pola, korzystaj z pogody,
 Zbieraj hoże dziewice i krzepkich młodzieńców,
 Gromadź orszak ochoczy z ranną zorzą żeńców:
 Niechaj się miesza z gwarem licznej rzeszy głosów
 Chrzest krzywych sierpów, szelest spadających kłosów.
 Ty sam zaprzęgaj woły póki pora sprzyja:
 Niechaj się wóz za wozem szybkim pędem mija;
 Szparkim rzutem napelniaj sнопami zapole,
 To twoje, coś uchronił przed słońcą w stodole.

A gdy radośne pieśni pod niebo się wzbija,
I dłonie pracowite wieniec ci uwija,
Gotuj ucztę. Już śpiewa u wrót orszak cały
Przygany dla sąsiada, dla ciebie pochwały;
Wyjdź przeciw, wezwij w progi, przyjm wieniec na czoło,
I z tą, która go nosła, zrób ochocze koło.
Ta lipa, lub ten jesion, co przecina chmury,
Co pod niemi spoczywał może z Piastów który,
Staną im za przysionek z ozdobnemi stropy.
Miękkie trawniki nagięj nie obrażają stopy;
Za ogień w alabastrach albo szklach iskrzące
Zabłysz na lazurach jasných gwiazd tysiące;
A jakibądź niezgodnie wydadzą dźwięk strony,
Skoro na nich wesole odezwą się tony,
Zadrgnie w żyłach krew młodzi, każdy poda dłonie
Towarzyszce, przy której zżył na zagonie.
Zaczną się szybkie skoki, zaczną koła zwrotne,
Przeplatane przez pieśni i rymy zalotne,
Jakiemi się wspierali pasterze Marona,
Lub śpiewał w Czarnym lesie wieszcz wśród knieci grona.

Tak gdy ochota orszak unosi wesoly,
Zajmą ojce i matki rozstawione stoły,
O dzieciach, rodzicielskim posłusznych naukom,
Mówić będą i uśmiechną się lica wnukom.
Szczerą życzliwość wejdzie w serdeczną rozmowę,
Rając pocziwych zięciów, nadobne synowe,
Tworzą się lube związki, miłość do nich wzywa.
Prawa córko natury, prostoto szczęśliwa!
Ty z dziedzictwem, twój matki powaby jej dzielisz,
Jej wdziękiem się zalecasz, uśmiechem weselisz.

57. PIERWIOSNEK.

(*Primula veris*).

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwoni skowronek,
Najrańszy kwiatek pierwiosnek
Błysnął ze złotych obłonek.

Ja.

Zawczasnie kwiatku, zawczasnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszyły plesnie,
Dąbrowa jeszcze niesucha.

Przymruż złociste światelka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi szronu ząbek,
Lub chłodnej rosy perelka.

Kwiatek.

Dni nasze jak dni motylka,
Życiem wschód, śmiercią połu-
(dnie,
Lepsza w kwietniu jedna chwilka,
Niż w jesieni całe grudnie.

Czy dla bogów szukasz datku,
Czy dla drucha w pierwszym
(rzedzie,

Upleć wianek z mego kwiatku,
Wianek nad wianki to będzie.

Ja.

W podłej trawce, w dzikim lasku,
Urosłeś o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzeńki,
Ni zawoje tulipana,
Ni liliowe sukienki,
Ni róży pierś malowana.

Uplatam ciebie do wianka;
Lecz zkądże ufności tyle!
Przyjaciele i bratanka
Czy cię powitają mile?

Kwiatek.

Powitają przyjaciele,
Mnie, wiosny młodej aniolka;
Przyjaźń ma blasku niewiele,
I cień lubi jak mę ziółka.

58. OPIS DOMU SZLACHECKIEGO.

Przy dziedzińcu dom chędogi,
Półtoraczne ławy w ganku,

Sień obszerna, a przy wianku
Wiszą strzelby, smycze, rogi,
Kordy, rzędy, drożne burki,
I wyprawne pękiem skórki.

Drzwi na oścież—a w pokoju,
Stół dębowy, woskowany,
Pod nim niedźwiedź rozesłany;
Dzban cynowy do napoju,
A na ścianach antenaty,
A na półkach srebrne blaty.

Jak dzień boży, szum na sali,
A z tej sali, coraz dalej
Wlewo, w prawo, jasne, ciemne,
Opuszczone i przyjemne,
Jawne, strojne i ukryte,
I bielone i obite,
Zakomórki i kąciki,
I pokoje, pokoiki,
I sioneczki, narożniki!

Co tam schówek, co tam sprzętów,
Dworskiej służby, rezydentów!
A dopiero spojrzeć wkoło,
Po układzie tym pokojem,
Jak tam dziwnie i wesole,
Jak tam każde swoim strojem,
W swém gniazdeczku się sadowi,
Któż to wszystko nam opowie?

59. OPIS KONIA ARABSKIEGO.

Witaj mój koniu, szlachetny biegunie,
Jak sen proroka mnie miły,
Jak wieszczych tonów przeczucie gra w strunie,
Grają przed biegiem twe żyły.

Witaj mój koniu gotowy do biegu,
Białą łabędzia świecący!
Jak promień słońca, pomknięty po śniegu,
Chyży i lekki i drżący.

Pojrzyj mi w oczy! twe włosy na czole
Niby dziewicy warkocze,
Gdy wschodnim wiatrom puszczone na wolę
Ukażą lica uroczę.

A grzywa twoja, jak górskie potoki
Z wyniosłej szyi się zrywa,

I niby obłok, gdy niebo przepływa,
Trąci się z lekka na boki.

Więź twoja koniu, i te biodra twoje
To niby skała pustyni,
Którą wiatr puszczy piaskami oczyni,
I pozatacza w zawoje.

A kita twoja z wysoka wisząca
Na skwary puszczy i chłody,
Niby to suknia sultanki szumiąca,
Kiedy się puszcza w ogrody.

Twe czoło jasne, jak tarcza farysa,
A twoje boki, mój koniu!
Grają i świecą, jak boki tygrysa,
Gdy na łup czyha w ustroniu,

Nozdrza pryskają paszczami hieny,
Szyja w kształt palmy uroczej,
Pod którą pielgrzym odpoczywa senny,
A oczy twoje, te oczy!...

Oto dwie perły z topieli tajemnej,
A w czarnej nocy skąpane:
Albo dwie gwiazdki pośród nocy ciemnej,
Z nieba wschodniego zebrane.

Cwał twój to tuman, piorun niosący,
A jak myśl nigdy skończony,
Daleko wokół wzdłuż pustyni grzmiący,
Lotnemi wiatry niesiony.

Witaj mój koniu, rozkoszy Omaja!
Gwiazdko farysa bez zmayı!
Niech cię tu mleko wielbłąda napaja
I krzepi pasza oazy.

60. PIŃSZCZYŻNA.

Gdy Żmudź ci przyjdzie rzucić,
Nazad Litwą znowu wrócić,
To przed Pińską opatrz drogą
Wóz twój dobrze w potrzeb wszelką,
Bo w pustynię wjedziesz wielką,
W ziemię dżdżystą i ubogą.

Droga pójdzie ci przez błota,
Po nich długi pomost spłynie,
W oczeretach oko zginie,
A kraj nudny niby słotał

Ani ruchu, ani ducha,
Woda stoi, wiatr nie wieje;
Lud po puszczech mało sieje,
Jedno lasem się zabawia:
Smole pali, drzewo spawia,
Drze dranice, gnie obody,
I nałożon jest do wody,
Jak tych bobrów leśne plemie,
Co z nim na spół trzyma ziemię.

Mnóstwo jezior, rzek nie mało
Po kotlinach się rozlało;
Miasto trawy, rókiciny,
Miasto bydła huk zwierzyny.

Lud też strzelcem, póki lody,
Lecz gdy z wiosną ruszą wody,
A po puszczech wzbiorą kały:
To pod wodą jest kraj cały,
A bezpieczen lud na łodzi
Pływa wszystek śród powodzi.

61. O HODOWANIU PSZCZOŁ.

W sadach albo na wzgórkach od nich nie zdaleka,
Gdy strumyk szybkim pędem od źródła ucieka,
Przy rozłożystych lipach, przy kwiecistej łące,
Gdzie rosy nie otrząśnie z ziół koźle skaczące,
Na wybranej przestrzeni szykuj domy w rzędy,
Sadź pożywne melisy i wonne lawendy;
Niech się tam jaśmin wzmaga, niech barwinek wije
I fijołek z czystego źródła wodę pije.
A tak zamożną przestrzeń i w krzewy i zioła
Od napastnego wichru ogradzaj dokoła.
W takiej uchronie chętnie z swym rodem osiedzie,
Świeżą rosę z rozkwitłych kielichów pić będzie,
Z niedostrzeżonych darów, które kwiaty ronią,
Zebraną w drobne piersi otoczy się wonią.

Oto już z blizkich ulów mdły polot ukrzepia,
 I młodego się listka na topoli czepia;
 Tam stojąc zadumana podsłuchuje w ciszy,
 Czy za pługiem twojego głosu nie usłyszysz.
 Jużci za daném hasłem wyprowadza roje,
 Brzmia pola, i powietrze, i krzewy, i zroje,
 Gdzie ty siejesz lub zbierasz przy pogodnej dobie,
 Wzłata, zwija się, krząta, snuje się przy tobie.
 Zwiedza dęby i wrzosa, zwiedza strugi czyste
 I miękkie macierzanki i osty koleczyste.
 Ty wracasz, ona dźwiga brzemień do zagrody,
 Równie wam wspólne prace, jak wspólne przygody.
 Niejedną grom przerazi i wichur uniesie,
 Że pod listkiem schronienia musi szukać w lesie;
 Nieraz burza w jeziora zanurzy głębinie,
 I nie każda kamyka lub brzegu dopłynie;
 Przecież, skoro pogodnej chwili powrót tuszy,
 Drżąca mokre skrzydelka roztacza i suszy,
 I niepomna wraz z tobą na ciosy i straty,
 Ty na pola, a ona powraca na kwiaty.
 W wieczór każda odnosi do ula zdobycze,
 Ta wyciedza wyssane po kwiatach słodycze,
 Ta składa z lipkiej miry uzbierane brylki,
 Ta z błyszczących skrzydełek wonne strząsa pyłki.
 Co praca uzbierała, to bez czasu straty
 Odbiera i odnosi przemysł na warsztaty.
 Tworzą się śnieżne woski, sączą się nektary,
 Biorą domy, śpichlerze i kształt i rozmiary;
 Brzęczący rzemieślnicy pod cyrkiel i sznury,
 Wznoszą dachy ze złota, z alabastru mury,
 Jedne się napelniają pożywnymi płyny,
 W drugich osiedzą starce i drobne rodziny.
 Co za rzadna społeczność! jaka w pracy sformość,
 Czynność w chwilach obecnych, na przyszłość przezorność.
 Chętnego posłuszeństwa nikt ogniowi nie zrywa,
 Radzi starszyzna, słucha młodzież nie burzliwa.
 Gdy już dojrzały owoc zapłoni się w sadzie,
 I czas podrzywać zbiory i utłaczać w kadzie,
 Gdzie dostatek przepelnia potrzebę obficie,
 Bierz haracz—ale szanuj pracowników życie,
 Ujmując jednym, w drugich stan troskliwie wglądaj,
 A od skromnej potrzeby ofiary nie żądaj.

62. DO MŁODZIEŻY.

przez

W. Gałdzickiego.

Spojrzyjcie po za siebie na wasz wiek dziecinny,
 Czy dawno, jak zabawki was drobne cieszyły,
 A już czas ten wam zniknął, czas święty, niewinny,
 Dziś wiek świetnej młodości błysnął miodopłynny,
 Wiek szczęścia i natchnienia w blasku całej siły,
 W tych sercach, w których słowa Boskie się wyryły.

Dziś pora wieku młode swe serce rozwijać,
 Gdy na pierwszy maj twarzy spojrzę z zachwyceniem,
 Zda się, że każda chwila żyje, by wam sprzyjać;
 Pozwólcie swemu sercu ku niebu się wzbijać,
 Niech tam wznosi modlitwy ze świętym natchnieniem,
 Modlitwy ożywione czystej duszy technieniem.

Gdy serce napelnione wdzięcznością za dary,
 Łza błysnie na źrenicy wśród modlitwy żywej,
 Prośby wzleć ku niebu na skrzydłach swęj wiary,
 Nie ma dla Boga milszej, wspanialszej ofiary;
 Wtenczas proś dla rodziców przyszłości szczęśliwej,
 A Bóg wysłucha syna i córki cnotliwej.

Bo może przyjąć ta pora, gdzie szczęście, dostatki,
 Nieprzewidziana przyszłość zniszczeniem otoczy,
 Gdy znikną tobie ludzkiej przyjaźni ostatki,
 Nie znajdziesz przywiązania nad ojca i matki;
 Ich serce z twą boleścią razem się jednoczy,
 I jak serce ich czuje tak wskazują oczy.

Proś wtenczas, kiedy serce jeszcze nie zna świata,
 Gdy myśl pierwsza króluje o Bogu w twój duszy,
 Proś na przyszłość opieki: bo nadejdą lata,
 Gdy życie twe z cierpieniem niechęć się pobrata,
 Gdy nędza, troski, smutek, piękną młodość skruszy,
 Gdy włos jasny przedwcześnie siwizną się spruszy.

Niech życie wasze będzie przykładem u ludzi,
 Niech serca błysną w raju cnotami świętymi:
 Wtenczas choć i niedola dla was się obudzi,
 Choć gorycz w serce wpadnie i życie zanudzi;
 Z rozkoszą to powiecie słowa pokornymi:
 Bądź wola Twoja w niebie jako i na ziemi.

63. O BOGU.

przez

Tad. Zabłockiego.

Zdumiewającej budowy świata
 Ty jesteś Boże, światłem i życiem,
 Blask dnia i nocy godowa szata
 Są tylko słabem Ciebie odbiciem,
 Wokoło płyną Twój chwały zdroje,
 Jasność i piękność, wszystko to Twoje.

Gdy na dobranoc promień zachodni,
 Po nad otwartym pełza obłokiem,
 Ach! nam się zdaje, żeśmy już godni
 Zajrzeć do niebios śmiertelnym okiem,
 Blaski, co złącą nocy podwoje,
 Tak ciche, jasne, Panie, są Twoje.

Co niebu, ziemi, gdy noc ponura,
 Skrzydła gwiazdzistej ciemni roztoczy,
 Niby ptak czarny którego pióra,
 Zdobia tysiączne błyszczące oczy,
 Ta święta ciemność, te ogniów roje,
 Tak wielkie, liczne, Panie, są Twoje.

Gdy młoda wiosna życiem oddycha,
 Twój duch ociepla jej wonne tchnienie,
 I każdy kwiatek spóźniony z cicha,
 Twych ogrzewają oczu płomienie,
 Wokoło płyną Twój chwały zdroje,
 Jasność i piękność, wszystko to Twoje.

64. SZTUKI PIĘKNE.

przez

Gustawa Zielińskiego.

W martwych kształtach życie wzbudzić,
 Ująć namiętne uczucie;
 Myśl zatrzymać, oko złudzić,
 Znaleźć obraz w wieszcza nucie;
 Rozwinać świata koleje;
 I naturze odkraść skarby;
 Na jaw dobyć znikłe dzieje;
 To świat malarza i farby.

Wzniesć duszę w wyższe dziedziny;
 Przygasle wskrzesić pamiątki;
 Przypomnieć szczęścia godziny;
 Wzruszyć tajne serc zakątki;
 Wzburzyć żądze i — uśmierzyć;
 Nieść zapal w wojenne szyki;
 Łzę wycisnąć, w cud uwierzyć;
 To władza Boskiej muzyki.

Lecz spojrzeć w przyszłość tajemną;
 Uzacnić człowieka serce;
 Rozjaśnić błędów noc ciemną;
 I na geniuszu iskierce
 Przebić chmury, spojrzeć w nieba;
 I nad słońca, nad planety
 Wzniesć tron Bogu; na to trzeba
 Uczuć i natchnień poety.



Wznieść duszę w wyższe światy;
Przygasać wstrząsanie pamiętki;
Przygnać do serca goziny;
Wznieść łajno serce zaskaki;
Wznieść łajno i — nemiędzy;
Niech radzi w wojnie zaski;
Lec wygnanie w ciele nemiędzy;
To widać łajno nemiędzy.

Lec spojrzeć w przyszłość tajemną;
Uznając łajno nemiędzy;
Rozjaśnić łajno nemiędzy;
I na gminach istnieć;
Przed ciałem, spojrzeć w nieba;
I nad słoncem, nad planetą;
Wznieść łajno nemiędzy; na to trzeba;
Gład i natchnienie poety.

SPIS PRZEDMIOTÓW.

PROZA.

I. Religia i moralność.

Wyjątki z Pisma Świętego.

	Stron.
1. Stworzenie świata . . .	5
2. Człowiek skazany na pracę . . .	8
3. Ofiara Abła	11
4. Noe składa ofiarę dziękczynną	—
5. Manna na puszczy . . .	13
6. Moralność Ewangeliczna przez Jana Sniadeckiego . . .	14
7. Boże Narodzenie . . .	15
8. Wpływ dobrych zasad . . .	21
9. Rzetelność	22
10. Sumienie	—
11. O porządku i posłuszeństwie przez K. B.	—
12. Porządek i punktualność . . .	24
13. Praca i nudy	25
14. O pracy	26
15. Zachowanie zdrowia przez Ignacego Krasickiego . . .	27

II. Zwyczaje, obyczaje, charakter, powieści, podróże i opisy pomników, świątyń, miast, okolic i osobliwości natury.

1. Gościnność przez Wł. K. Wojcickiego	29
2. Święcone	31
3. Kulig przez Kaź. Wład. Wojcickiego	35
4. Mazury	43
5. Lud Podlaski	44
6. Kilka słów o wieśniakach Żmudzkich przez księdza Lud. Adama Lucewicza	46

7. Śpiewacy w Polsce i na Rusi przez Wł. Kaź. Wojcickiego	48
8. O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim	52
9. Dom możnego szlachcica (wyjątek z powieści Rzewuskiego „Listopad”)	60
10. Jarmark w Berdyczowie przez Józefa Korzeniowskiego	65
11. Dwór w Dębowej Woli przez tegoż	67
12. Obraz sknery wystawnego przez tegoż . . .	70
13. Domek mego dziadka przez Ignac. Chodźkę . . .	72
14. Spoczynek po pracy . . .	77
15. Łowy na wilka przez Kaź. Wł. Wojcickiego . . .	78
16. Przygoda Macieja Strykowski r. 1551	82
17. Odwiedziny kwatermistrza u podłowczego Bielewicz przez Ignacego Chodźkę	85
18. Przyjazd przez Ed. Masalskiego	89
19. Jaskinia tygrysów . . .	100
20. Gejzer przez prof. Alexandrowicza	105
21. Kazimierz Wielki . . .	111
22. Kościół katedralny w Wilnie	112
23. Królikarnia przez K. . .	115

	Stron.		Stron.
24. Czerniaków przez K.	116	55. O nurkach i żegludze	
25. Bielany	117	podwodnej.	188
26. Krzeszowice przez Am-		56. Odkrycie Ameryki p.	
broźego Grabowskiego	118	Polaka Jana z Kolna . . .	193
27. Alwernia	119	57. Morze Bałtyckie	195
28. Czerna	120	58. Morze świecące, krwa-	
29. Dębnik	—	we, białe; morze mle-	
30. Tęczyn	121	czne peryodyczne przy	
31. Częstochowa	122	wyspach Moludzkich . .	198
32. Karpaty	124		
33. Kamieniec podolski p.		III. Żywoty.	
Alex. Przezdzieckiego	127	1. Jan Kochanowski	200
34. Tulon	128	2. Adam Naruszewicz . . .	204
35. Kolumna Cesarza Ale-		3. Stanisław Trembecki . . .	206
xandra	132	4. O życiu i pismach Fran.	
36. Walhalla przez R.	134	Karpińskiego p. Kaź.	
37. Wyjtki z dziennika Po-		Brodzińskiego	208
droży po zachodniej		5. O Ignacym Krasickim	
części Galicyi, opisu-		przez Fran. Dmochow-	
jącego szczególniejsze Ta-		skiego	219
try	136	6. Rodzina Herschlów . . .	231
38. Wodospad Siklawa w Ta-			
trach	141	IV. Listy, weksle i kontrakty.	
39. Nad-Prucie przez Wł.		1. Listy Ignacego Krasie-	
K. Wojcieckiego	142	kiego do M. H. K. K. W. .	236
40. Gopło i jego okolice . . .	144	2. Listy w przedmiotach	
41. Zorza północna	150	handlowych, przemy-	
42. Wycieczka do Laponii . . .	151	słowych i innych	246
43. Przejazdka na morzu . . .	160	3. Weksle	252
44. Grota bazaltowa na wy-		4. Kontrakty	253
spie Staffa w Szkocyi . .	162		
45. Kopalnie żelaza w Dan-		V. Historia naturalna.	
mora w Szwecyi przez		1. Myśli Okena względem	
Alexandra Przezdzie-		usposobienia umysłó-	
ckiego	164	wego zwierząt	264
46. Wspomnienie z wędró-		2. Zoologia Azji	266
wki przez góry Olbrzy-		3. O wole i w ogólności	
mie	165	o bydle rogatym przez	
47. Noc w Alpach	171	Antoniego Wage	271
48. Kaskada Terni przez Ł.		4. Tur przez K. W. Woj-	
z G. R.	173	cieckiego	274
49. Ren pod Laufenburgiem	174	5. O koniu przez Stanis.	
50. Pustynia Sahara	178	Tad. Łyszkowskiego . .	275
51. Spadek Niagary	180	6. Wydra	278
52. Wulkany	183	7. Wiewiórki amerykań-	
53. Archipelag Jana Potoc-		skie	281
kiego na morzu Żółtym		8. Paw	282
przez P. K.	186	9. Bażant przez hr. K. Ty-	
54. Okręt w promieniach		zenhauza	284
słońca	187	10. Bażantarnia przez tegoż.	287
		11. Nurek	288

	Stron.		Stron.
12. O ogrodach angielskich		7. Przestrzeń kolei żela-	
przez Józ. Strumillę . . .	289	znej od Częstochowy	
13. Dąb przez Ant. Wage . . .	293	do wsi Granica	354
14. Modrzew przez K. Wł.		VIII. Ustępy z historii po-	
Wojcieckiego	295	wszechniej.	
15. Lipa	296	1. Przejście Hannibala przez	
16. Czulek przez P. K.	298	Alpy	357
17. Bedłka rydz przez prof.		2. Wojna przeciwko Cem-	
Jana Pankiewicza	300	brom i Teutonów	358
18. Alabaster przez N. A. K. .	303	3. Attyla król Hunnów . . .	361
19. Asfalt przez Antoniego		4. Wynalazki i odkrycia . .	362
Żyszkiewicza	304		
20. Bursztyn	308	POEZYJE.	
		1. O dobrodziejstwach Boga	
VI. Gospodarstwo.		przez Jana Kochanow-	
1. O agronomii w Polsce za		skiego	2
dawnych czasów przez		2. Psalm VIII przez tegoż . .	—
M. Wiszniewskiego	315	3. Do Boga p. T. hr. P. . . .	3
2. Kilka słów o północnych		4. Tobiasz ojciec	4
powiatach gubernii Au-		5. Modlitwa dzieci do Boga .	—
gustowskiej	316	6. Dumanie o Bogu	5
3. Jak troskliwie unas da-		7. Chrystus z nami p. Anto-	
wniej się zajmowano		niego Czajkowskiego . . .	6
robotami około prze-		8. Grosz wdowi przez tegoż .	—
dziwa przez prof. A. F.		9. Wzniesienie myśli do Bo-	
Bernhardta	326	ga	7
4. Chów owiec w Hiszpanii		Elegia	9
przez K. W.	327	10. Obraz Panadżyi w burzy	
		przez L. S.	10
VII. Nauki przyrodzone,		11. Przeczucie przez Winc.	
kommunikacye i przemysł.		Smaczińskiego	12
1. Głos i odgłos	331	12. Wyjątek z powieści Wie-	
2. Ciepło	334	sław p. Kazim. Brodziń-	
3. Para i elektryczność, ja-		skiego	13
ko siły poruszające.		13. Z powieści Wiesław wy-	
Fland i jego oszczędne		jątek i zakończenie . . .	14
machiny parowe. Elek-		14. Fraszki Kazim. Brodziń-	
tryczność i jej skutki		skiego	17
fizyczne chemiczne, fi-		15. Z fraszek Jana Kochano-	
zyologiczne i mechanicz-		wskiego	21
ne. Elektro-magnes		16. Przypowieść Konfucjusza	
sztuczne i maszyny galwa-		p. Wal. Chładowskiego . .	22
no-magnetyczne. Salva-		17. Wspomnienie	—
tor del Negro i Jacobi . .	338	18. Wiek dziecienny p. Fran.	
4. O termometrach czyli cie-		Dyoniz. Książnina	23
płomierzach	344	19. Cztery pory wieku	24
5. Elektro-magnetyczny te-		20. Wiejski pleban	25
legraf między St. Pe-		21. Powrót taty	26
tersburgiem a Carskiem		22. Do poety przez Józefa	
Siolem	346	Korzeniowskiego	28
6. Zjawiska powietrzne . . .	348		

Stron.	Stron.
23. Podróżny z Goetego „Wanderer” 28	patkach przez Antoniego Czajkowskiego 62
24. Hrabia z Habsburga . . . 34	41. Wędrowiec w Alpach p. L. N. 64
25. Ku wspomnieniu Guttenberga. 36	42. Do doktora S. 65
26. Wyjatek z poematu przygody J. P. Benedykta Winnickiego p. Winc. Pola 37	43. Żeglarz powietrzny przez F. M. 67
28. Początek powieści Orły z Herburtów p. Alex. Dunina Borkowskiego . 44	44. Kolej żelazna p. Winc. Smacznińskiego . . . 68
29. Starosta Wilczek p. Antoniego Czajkowskiego. 45	45. Wschód słońca przez L. Osńskiego 69
30. Ustęp z poematu Władysława Syrokomli (Lud. Kondratowicza), pod napisem Dębóróg . . . 47	46. Prostak wiejski. . . . 70
31 Ustęp z rapsodu rycerskiego Winc. Pola pod napisem Mohort 48	47. Moje bogactwo. —
32. Przyjazd księcia Józefa do Mohorta. 52	48. Rachunek życia obywatela wiejskiego 71
33. Kościół wiejski p. Wład. Syrokomlę. 55	49. Dzień czerwcowy przez Mich. Jezierskiego . . . 72
34. Żeglarz przez H. J. . . . 58	50. Wieczór (z Szyllera) przekład J. N. Kamińskiego —
35. Skowronek przez Winc. Pola 59	51. Przechadzka wieczorna p. Kazim. Brodzińskiego . 73
36. Do morza Czarnego przez Winc. Pola. 60	52. Wspomnienie —
37. Wjazd Władysława Jagielly do Krakowa (z pieśni Kraszewskiego Witoldowe boje) —	53. Klos p. Kazim. Brodzińskiego. 74
38. Do gitary przez J. B. Z. 61	54. Pożegnanie wioski przez Sowińskiego. —
39. Śpiew poety —	55. Dobry ziemianin . . . 75
40. Wspomnienie z podróży do Morskiego Oka w Kar-	56. Żniwo —
	57. Pierwiosnek. 76
	58. Opis domu szlacheckiego 77
	59. Opis konia arabskiego . —
	60. Pińszczyzna 78
	61. O hodowaniu pszczół. . 79
	62. Do młodzieży przez W. Gazdzickiego 81
	63. O Bogu przez Tad. Zablockiego 82
	64. Sztuki piękne p. Gustawa Zielińskiego. —

10.
A No 004650 U

26 c. n. Nr 1043



Cena

zł 10 gr

DK wzór 217 „Prasa” Bydg. 2335 51

Biblioteka Studium Zaocznego P. W. S. P. Kraków	Czytelnia 26.203 Łyszkowski Wypisy
---	--

Kdn. Zam. 163, 17. III. 52. — 60.000.

UP - Kraków BG



1050222580

